Kamil Dziewanowski

Aleksander I, car tajemniczy

tłum. z angielskiego
Joanna i Adam Gajlewiczowie

Przedmowa

Hrabia Lew Tołstoj, opisując w swym pamiętniku rewolucję 1905 roku, znajdował się wstanie głębokiej depresji; kłopoty natury osobistej - zażarta wojna domowa jaką prowadził z żoną - mocno zabarwiły jego pesymistyczny pogląd na temat rosyjskiego społeczeństwa. Jego zdaniem, znalazło się ono w beznadziejnej sytuacji z powodu braku ideałów prostoty życia i wzniosłej duchowości. Uważał, iż oto wszystkich ogarneła obsesja "nauki", wobec czego - "nie ma miejsca na kwestie religijne czy moralne".

Ażeby uciec od tych ponurych refleksji, Tołstoj począł wertować dopiero co opublikowaną książkę o carze Aleksandrze I, ogromne czterotomowe studium autorstwa N.K. Schildera. Historia tajemniczego władcy wyraźnie go zafascynowała, a wiele jej elementów wydawało się jakby żywcem zaczerpniętych z greckiej tragedii, mamy tu bowiem do czynienia z postacią rozdartą pomiędzy odwiecznymi dylematami świata polityki a osobistymi perypetiami (współudział w zamordowaniu ojca, romans z własną siostrą, liczne przygody miłosne). Wstąpiwszy na tron, próbował Aleksander zreformować Rosję - zmagając się z ogromem przeciwności stojących przed owym kolosem, swą nieszczęsną ojczyzną: z jej bezkresem i potęgą, zacofaniem, misją historyczną, niejasną tożsamością - ni to europejską, ni to azjatycką; z jej stosunkami z resztą świata. A równocześnie car walczył z własnymi słabościami.

Największe wrażenie wywarło na Tołstoju nawrócenie się Aleksandra na chrześcijański mistycyzm, uderzająco przypominające jego własne. Intrygowały go także zagadkowe okoliczności zgonu cesarza w Taganrogu. Czy to możliwe, że w 1825 roku Aleksander sfingował własną śmierć; że został świętym człowiekiem, który przez z górą trzydzieści lat żył na Syberii jako pustelnik pod przybranym nazwiskiem: Fiodor Kuzmicz? Właśnie to drugie, pełne skruchy życie dotychczas frywolnego i rozwiązłego władcy, jego pokuta, dobre uczynki i duchowa medytacja zafascynowały Tołstoja. Co za historia! Po przestudiowaniu tego kontrowersyjnego zagadnienia, które podzieliło historyków rosyjskich na dwa obozy, Lew Tołstoj rozpoczął pracę nad opowieścią o Fiodorze Kuzmiczu (Casanowie, który przeobraził się w Św. Franciszka z Asyżu) uważał bowiem, że stanowi to doskonały temat dla powieściopisarza-historyka. Nigdy jednak nie ukończył książki, pozostawiając jedynie krótki szkic całości.

Historię cara Aleksandra opowiadano wielokrotnie, jak dotąd wszelako nie poświęcając należytej uwagi wielu jej wątkom. Niniejsza opowieść stanowi próbę przybliżenia kilku z nich. Aczkolwiek napisanie tej książki wymagało wielu badań, z przestudiowaniem leningradzkich archiwów państwowych

włącznie, to nie posiada ona charakteru pracy naukowej. Określić ją można mianem zbeletryzowanej biografii tej tragicznej i tajemniczej postaci. Autor wyszedł z założenia, iż właśnie forma powieściowa pozwoli lepiej przedstawić szerokiej rzeszy czytelników tak osobliwą historię, dając mu przy okazji sposobność rozwikłania sprzeczności i uzupełnienia luk za pomocą fabularnej rekonstrukcji.

Wszystkie daty podawane są według kalendarza gregoriańskiego, obowiązującego w świecie zachodnim, nie zaś juliańskiego - używanego przez Rosjan do wybuchu rewolucji bolszewickiej. Tam gdzie to możliwe, stosowałem powszechnie przyjęty system transliteracji, wyjąwszy te przypadki, gdzie wymogi języka angielskiego dyktowały odmienną pisownię, z dawna przyjętą w literaturze. W przypadku bardziej arbitralnych zmian tego rodzaju, proszę purystów językowych o wyrozumiałość.

W pracy nad książką korzystałem z pomocy kilku przyjaciół. Profesor Roland Stromberg oraz Alex Jordan przeczytali pierwsze dwa rozdziały, wprowadzając cenne poprawki oraz sugestie. Pani Rosemary Schaefer i mój były student, Charles Schaefer, przeczytali rękopis w całości, ich uwagi natomiast wpłynęły na ostateczny kształt książki. Jestem im wszystkim niezmiernie wdzięczny, nie tylko za korektę, lecz także za cenne rady i słowa zachęty.

M. K. D.

ROZDZIAŁ I

Pomiędzy Moskwą a Petersburgiem

W połowie osiemnastego wieku Rosja przypominała dwugłowego orła bizantyjskiego, zdobiącego jej godło: jedna głowa spoglądała na wschód, druga na zachód; jedna - przed siebie, druga - wstecz. Uwaga Imperium skupiała się jednocześnie na dwóch metropoliach: prastarej Moskwie oraz nowej stolicy - Petersburgu. Te dwa ośrodki, reprezentujące przeciwstawne symbole tradycji i nowoczesności, słowiańskości i okcydentalizmu, tego co rodzime i tego co obce, trendów kontynentalnych i morskich, rywalizowały ze sobą o prymat.

Początki tej dychotomii sięgają czasów cara Piotra Wielkiego. W maju 1703 roku, podczas Wielkiej Wojny Północnej, którą Piotr prowadził z królem Szwecji, Karolem XII, i jego sojusznikami, wojska rosyjskie odniosły pierwsze większe zwycięstwa, zdobywając bałtyckie prowincje Ingrii i Inflant. Przemierzywszy lasy ingryjskie porastające ujście Newy, Piotr i jego świta nie znaleźli na wybrzeżu niemalże nic poza błotnistą dziczą i kilkoma wioskami rozproszonymi dokoła bagien. Na ostatnim, kilkumilowym odcinku, tuż przed ujściem do Bałtyku, Newa, kierując się na zachód, rozwidla się na cztery odnogi, tworząc kilka bagiennych wysp, porośniętych gęstymi chaszczami. 16 maja, dotarłszy do brzegu morza, potężny car wykrzykiwał w upojeniu: "Nareszcie! Hura! Za mną!". Po chwili brnął po kolana w wodzie, nucąc pieśń, którą zasłyszał u swych żołnierzy, gdy śpiewali ją przy obozowych ogniskach: "O Bałtyku ty mój, jak długom o tobie marzył..."

Po chwili wziął od jednego z żołnierzy muszkiet i bagnetem wyciął dwie spore kępy przybrzeżnej darniny, mówiąc: - Tu stanie twierdza i stolica. Nazwę ją imieniem mojego świętego patrona. - Była to doniosła chwila, nie zważając bowiem na dotychczasową stolicę, car rzucił wyzwanie starej Rosji, z jej prymitywnymi obyczajami i skostniałą tradycją. W chwili, gdy ją zakładano, stolica nowej Rosji składała się w istocie jedynie z kilku lepianek, zamieszkałych przez garstkę fińskich rybaków. Kiedy bliski przyjaciel i współpracownik Piotra, Aleksander Daniłowicz Mienszykow, zwrócił uwagę na fakt, iż miejsce to stanowi nadal linię frontu, i że Rosjanie mogą nie utrzymać Ingrii, Piotr odparł: - Aleksandrze Daniłowiczu, jesteś prawdziwym Rosjaninem czy nie? Prawdziwy Rosjanin nigdy nie porzuca choćby piędzi ziemi, którą podbił. Jest niczym buldog, który nie wypuszcza z pyska tego, w co raz wbił swoje kły!".

Następnie rozkazał bezzwłocznie rozpocząć budowę twierdzy. Wypełniając polecenie cara, setki tysięcy chłopów pańszczyźnianych ściągniętych z całej Rosji zabrało się do dzieła. Już po upływie kilku lat, potężny bastion, nazwany imionami świętych, Piotra i Pawła, strzegł dzielnie zachodnich granic rozbu-

dowującego się miasta. Jako że wody często zalewały brzegi, na których gród wznoszono, należało przede wszystkim podnieść teren ponad poziom morza. Z braku nie tylko taczek, ale nawet łopat, robotnicy musieli rozgrzebywać ziemię gołymi rękami, pakować ją do worków i przenosić na plecach na niżej położone pasy wybrzeża zagrożonego powodzią. Na dotkniętych malarią bagnach otaczających ujście Newy zginęło co najmniej 100000 chłopów zwerbowanych do budowy miasta.

To właśnie dzięki owemu niezwykłemu kaprysowi Piotra powstała nowa stolica - w wirze wojny, na niestrzeżonym, niegościnnym północno-zachodnim pograniczu Imperium, na ziemi tak jałowej, że rodziła co najwyżej sosny i tsugi. W rezultacie, ażeby utrzymać stolicę przy życiu wszelkie dostawy sprowadzano hen - z głębi kraju. Tam, niedaleko Koła Podbiegunowego, śnieg spadał nierzadko już na początku października, pod koniec listopada zaś gruba, puszysta pierzyna kryła całą ziemię. Krótkie zimowe dni zaczynały się ze świtaniem, około dziewiątej rano, a kończyły około trzeciej po południu. Długie, letnie "białe noce" zakłócały naturalny rytm ludzkiego życia. W pełni sezonu, petersburski upał i wilgoć były wprost nie do zniesienia; powietrze nie ochładzało się nawet podczas krótkich godzin nocnych, kiedy słońce miłosiernie znikało za horyzontem. Wszystko to sprawiało, iż życie w nowym mieście stało się nie lada udręką. Ale cóż, kaprys samowładcy należało spełnić.

Do roku 1712, trzy lata po decydującym zwycięstwie Rosjan nad Szwedami pod Połtawą, Piotr nakazał przenieść większość urzędów z Moskwy do Petersburga - choć miasto znajdowało się dopiero w początkowym etapie szaleńczej budowy - następnie zaś wydał dekret, ogłaszając je stolicą Imperium. Wszelako, ów wszechpotężny tyran nie potrafił zmienić odwiecznych przyzwyczajeń i nawyków moskwiczan, którzy w dalszym ciągu trwali przy majestatycznej, dawnej stolicy z jej prastarą cytadelą, Kremlem, gdzie koronowano i grzebano carów, i gdzie metropolita Moskwy, głowa Kościoła Prawosławnego, miał tradycyjnie swą siedzibę. Wprawdzie pod koniec osiemnastego wieku Petersburg stał się administracyjną *głową* Imperium, jednak to Moskwa nadal pozostawała jego sercem, a i poniekąd centrum kultury (choć silne nurty europejskiego oświecenia nie omijały także Petersburga), duchowym przybytkiem Świętej Rosji tudzież najaktywniejszym ośrodkiem handlu w kraju.

Były to dwa krańcowo odmienne miasta: pomysł na jedno z nich zrodził się w głowie pojedynczego człowieka, drugie rozrastało się spontanicznie bez wcześniej ustalonego planu czy schematu. W końcu XVIII stulecia Moskwa posiadała wiele cech przerośniętej osady, bezładnie stłoczonej wokół architektonicznego centrum, Placu Czerwonego, rozciągającego się u stóp Kremla, z imponującą konstelacją pałaców i cerkwi. Z kolei, Petersburg od samego początku zaplanowano ze ściśle geometryczną dokładnością. Zachodni architekci zaangażowani przez Piotra i jego następców stawiali wzdłuż ulic domy w zachodnim stylu, które śmiało mogły rywalizować z najwspanialszymi budowlami tego rodzaju w Europie. Szerokie aleje krzyżowały się prostopadle, tworząc symetryczną sieć. Pupilka Piotra I i Katarzyny I, cesarzowa Elżbieta, sprowadziła włoskiego architekta, Bartolomeo Rastrelliego, by ten wzniósł

dwie wspaniałe rezydencje cesarskie, Pałac Zimowy w Petersburgu, oraz Pałac Katarzyny w Carskim Siole, zaledwie kilka mil na południe od miasta. Symbol orientacji na zachód i na morze, Gmach Admiralicji, zakończony wysoką wieżą, stał zwrócony frontem do Bałtyku. Petersburg rósł jak na drożdżach, i co roku, 16 maja, święcił dzień, kiedy to w umyśle Wielkiego Tyrana zrodził się ów niezwykły, śmiały pomysł.

Tymczasem Moskwa, rezultat bez mała siedmiu stuleci spontanicznego rozwoju (nikt w rzeczy samej nie znał daty założenia miasta), przypominała ogromne targowisko, urozmaicone tu i tam pradawnymi cerkwiami oraz staromodnymi dworkami. Zespół pałaców i gmachów urzędów w Petersburgu, zaprojektowany ściśle według zachodnich wzorów, otaczały liczne koszary niezbędne dla pomieszczenia żołnierzy i marynarzy. Ulice Moskwy wypełniali ludzie zaabsorbowani własnymi sprawami - kupcy, hałaśliwi straganiarze, gestykulujący chłopi, sprzedający swe plony na targu. W Petersburgu natomiast wszystko wydawało się uporządkowane i pod kontrolą. Wokół dominowała biurokracja ze swą pompą i protokołem. Dworzanie, oficerowie, oficjele, wszyscy należycie umundurowani wedle rangi i funkcji, sunęli ulicami miasta, milczący i pyszni, niosąc rozkazy do i od przełożonych. Niekiedy przemknął drogą konny posłaniec do jakiegoś prowincjonalnego gubernatora, lub kryty furgon, który wiózł zesłańców na Syberię, bądź do innej odległej części bezkresnego imperium euroazjatyckiego. Codziennie, bez względu na pogodę, oddziały maszerowały na plac musztry, po czym wracały do koszar. Jak zwykli mawiać złośliwi moskwiczanie, "u Piotra (tak bowiem potocznie nazywano stolicę), nikt nie umiera ani nie oddycha, chyba że za oficjalnym przyzwoleniem lub na rozkaz".

Podczas gdy Moskwa rozrastała się stopniowo, Petersburg eksplodował. W drugiej połowie osiemnastego wieku, liczba jego mieszkańców podwoiła się, z około 100000 do 200000. Osiadło tam tysiące obcokrajowców, głównie Niemców, ale też sporo Francuzów, a nawet kilkuset Anglików. Kwitnący handel dostarczał brytyjskich towarów przemysłowych w zamian za konopie, żelazo, łój i drewno. Na Prospekcie Newskiego mieszkańcy mogli kupić doskonałe angielskie piwo lub wyroby garncarskie Josiaha Wedgewooda.

Kontrast pomiędzy obydwiema metropoliami pogłębia się jeszcze bardziej, gdy porównać materiały wykorzystywane do budowy każdej z nich: cegłę i kamień w Petersburgu, oraz drewno w Moskwie, z którego wzniesiono niemalże wszystkie budynki, z wyjątkiem Kremla i kilku cerkwi. Nawet pałace arystokratów budowano z drewnianych kłód. Brukowane arterie nadnewskiego grodu oświetlały latarnie, podczas gdy moskiewskie ulice stanowiły zwykłe drewniane kładki, a mniej uczęszczane drogi z błota i gliny stawały się nieprzejezdne jesienią i podczas wiosennej pory deszczów.

Mieszkańcy nowej stolicy natrząsali się z zacofanych i staromodnych moskwiczan, ci drudzy natomiast szydzili z kosmopolitycznych zapędów petersburskiej ciżby: pretensjonalnej, cudzoziemskiej oraz zdemoralizowanej, skaczącej sobie nawzajem do gardeł w pogoni za rozrywką i rządowymi posadami.

W późniejszych dekadach osiemnastego wieku niejeden się uskarżał: - Powiadam ci, Piotr popełnił wielki błąd, ba, zbrodnię, zakładając to miasto, i to za taką straszną cenę! Toż to istna jaskinia występku! Prawdziwym sercem Rosji jest Moskwa. Tu, w Petersburgu, wszystko takie zimne, bezduszne... Tutaj ludzie zamiast po rosyjsku, mówią po francusku lub po niemiecku. A cóż powiadają nam te francuskie czy niemieckie bufony? A to, że Rosja to kraj nędzny i dziki, że trzeba go przerobić na obcą modłę. To ohydne!

Wnet padła odpowiedź: - Cóż począć? W literaturze rosyjskiej nie ma ani jednego prawdziwego dzieła, ani jednej powieści, która realistycznie opisywałaby rosyjskie zwyczaje i obyczaje. A jak ma powstać kulturalne społeczeństwo, kiedy nie czyta się wielkich pisarzy francuskich, angielskich, czy niemieckich? Powrót do kultury moskiewskiej to powrót do nędzy i dziczy. Musimy iść z duchem Zachodu.

* * *

Petersburg był wąskim oknem, które Piotr Wielki siłą otworzył na Europę. Właśnie tędy napływały do Rosji całe rzesze uczonych, artystów, a nawet ekspertów wojskowych, car pragnął bowiem uczynić ze swego kraju wielką europejską potęgę, wyposażoną w sprawną armię, a zwłaszcza nowo powstałą flotę. Tymczasem pomimo wszystkich tych reform, ogromna większość rosyjskiego społeczeństwa pozostała tym, czym była przez stulecia - bezkształtną masą biednych włościan, traktowanych jak bydło, odczłowieczonych wskutek morderczej harówki i pijaństwa; w oczach zokcydentalizowanych klas wyższych zaś uchodziła za fanatyczną i przesądną czerń. Dla większości z nich prawosławie stało się raczej sposobem życia, aniżeli zbiorem dogmatów. Część ziemiaństwa uważało chłopów pańszczyźnianych za szczęśliwych i zamożnych. Pod koniec stulecia sentymentalne opery narodowe przedstawiały ich jako radosnych wieśniaków, jaśniejących cnotą. Ten wyidealizowany mit obalił Aleksander Radiszczew - pierwszy z "pokutujących szlachciców" - przedstawiając w *Podróży z Petersburga do Moskwy* obraz nędzy i barbarzyńskiego traktowania włościan, za co zesłano go na Sybir.

Chłopi pańszczyźniani uważali swych władców nie tylko za panów życia i śmierci, lecz prawie za istoty boskie. Pogląd ten znajdował potwierdzenie w ich przysłowiach: "Słońce świeci na niebie, car na ziemi". Inne powiedzenie wyrażało organiczną więź chłopa z ziemią, którą uprawia: "Car - ojciec, ziemia - matka". Niestety, większość gruntów rolnych, które dostarczały im pożywienia należała prawnie nie do nich, lecz do wielmoży, którzy pozwalali swoim niewolnikom żyć i gospodarować na niewielkich poletkach, w zamian za ciężką pracę w pańskich włościach. Tak naprawdę, jednak, i możnowładcy stanowili własność cara, zobowiązani do bezwzględnego posłuszeństwa wobec głowy państwa.

Szlachcic miał nad chłopami pańszczyźnianymi władzę niemal absolutną. Do 1765 roku posiadał również prawo zsyłania chłopa na roboty przymusowe na Syberię, bez konieczności zwracania się do jakiegokolwiek trybunału. Z reguły, chłop i jego rodzina pracowali pół dnia dla pana, a pół dla siebie, ale prócz codziennych zajęć większość ziemian, w pewnych okresach - jak, dajmy na to, podczas sianokosów i żniw - nakładała na nich dodatkowe obowiązki. Odpowiadało to mniej więcej położeniu chłopa w Europie Zachodniej, w epoce wczesnego średniowiecza. Lecz o ile pańszczyzna w Zachodniej Europie do osiemnastego wieku niemalże zaniknęła, to w Rosji rozprzestrzeniła się i stała się jeszcze surowsza. Chłopstwo, aczkolwiek posępne i niekiedy buntownicze, znosiło ten ciężar, zachowując prawie że mistyczne przywiązanie do ziemi. "Myśmy wasi, ale ziemia nasza", głosiło ludowe przysłowie. "Chcemy ziemi, ziemi, więcej ziemi", słychać było lament zdecydowanej większości włościan w tym największym kraju świata.

Zamożność rosyjskiego szlachcica mierzono ilością chłopów, których posiadał, gdyż to oni stanowili główną siłę roboczą; bez nich ziemia nie była nic warta. Monopol na ziemię i chłopów dzieliła szlachta z Koroną i Kościołem Prawosławnym. Pod koniec osiemnastego wieku, zwyczajowy podział majątku między wszystkich spadkobierców płci męskiej wpędził większość właścicieli ziemskich w poważne tarapaty. W roku 1772 tylko jedna trzecia z nich posiadała więcej niż dziesięciu chłopów, podczas gdy zaledwie jeden na czterech miał ich więcej niż dwudziestu. Tym samym, także i dla większości zubożałych ziemian życie zamieniło się w walkę o przetrwanie. Jedyną szansę polepszenia losu dawała im służba w wojsku lub administracji rządowej. Wszelako niewielka grupa wielmożów - rodzin takich jak Golicynowie, Szuwałowowie, Strogonowowie - posiadała tysiące "dusz" i żyła w zbytku, zajmując jednocześnie większość intratnych stanowisk państwowych. Przepaść dzieląca zniewolonego chłopa, harującego w mozole na polu, a niewielką warstwę zeuropeizowanych możnowładców, odgrodzonych od świata murami wiejskich dworków lub petersburskich czy moskiewskich pałaców, była praktycznie nie do pokonania. Owa izolacja wstrząsała sumieniami niektórych skruszonych, nękanych poczuciem winy arystokratów, których umysły skłaniały się ku reformom, a nawet rewolucji.

W osiemnastym stuleciu nie istniała jeszcze groźba rewolucji, choć z daleka dały się już słyszeć jej odgłosy. Zapowiedź tego, co nieuchronne stanowiła seria buntów chłopskich, z których najniebezpieczniejszy miał mieć miejsce pół wieku po tym, jak car Piotr Wielki nadał nazwę swej nadbałtyckiej stolicy.

* * *

Śmierć Piotra zapoczątkowała trzydziestosiedmioletni okres politycznej destabilizacji. Piotr, który bestialsko torturował, a wreszcie zabił swego syna, Aleksego, sprzeciwiającego się reformom na wzór zachodni, zniósł tradycyjną

primogeniturę, zastępując ją prawem każdego suwerena do wyboru swego następcy. W praktyce, to pułk straży i inne elitarne jednostki wojskowe, stacjonujące w okolicy, jak również w samym Petersburgu, decydowały o tym, kto zostanie wyniesiony na tron. To one sprawiły, iż rosyjska korona nie była odtąd czymś, co można było dziedziczyć, lub przyjąć, lecz czymś, co się nosiło albo nie. Od śmierci Piotra w 1725 roku do wstąpienia na tron Aleksandra I w roku 1801, każdy władca rządził za zgodą i przy poparciu gwardii. To ona faktycznie wybierała cara, awansując tych, którzy wydawali się ulegle wspierać interesy jej klasy. Wśród bezpośrednich następców Piotra znajdowały się trzy kobiety, dwunastoletni chłopiec, jedno roczne dziecko i jeden idiota. Dwie najstarsze jednostki gwardii: pułki preobrażeński i siemionowski, obydwa stacjonujące w Petersburgu, odegrały szczególną rolę w procesie osadzania i utrzymywania suwerenów na tronie. W tym względzie przypominały pretorianów z okresu późnego cesarstwa rzymskiego.

Cesarzowa Elżbieta, córka Piotra Wielkiego, wkrótce po wstąpieniu na tron w 1741 roku usiłowała ponownie wymusić uznanie jej praw, a także z góry zapewnić sobie sukcesję. W tym celu sprowadziła do kraju swego siostrzeńca, syna siostry Anny, księżny Holsztynu, aby wykształcić go na przyszłego cara Rosji. Dokonała raczej osobliwego wyboru. Piotr był niemieckim książątkiem, człowiekiem o miałkim umyśle, fałszywym, ograniczonym i dziecinnym. Wyrażał obsesyjny podziw dla wszystkiego, co pruskie, a zwłaszcza dla wojskowej organizacji i praktyk Fryderyka Wielkiego - musztry, mundurów, obyczajów. Elżbieta, choć świadoma jego ograniczoności, nadal trwała przy swych dynastycznych planach, twierdząc, iż "w jego żyłach płynie krew Romanowów. To wszak rzecz naistotniejsza... W swoim czasie nauczy się być władcą Rosji. Mądrzy Niemcy zwykli mawiać: "rozum przychodzi z urzędem, *Verstand kommt mit Amt*..." I rzeczywiście, owego półgłówka, kapryśnego Piotra, wprowadzono na petersburski dwór, gdzie odtąd figurował jako Wielki Książę i następca tronu, czyli carewicz.

Elżbieta okazała się nader troskliwą i do tego dosyć despotyczną ciotką.. W roku 1744 sprowadziła dla Piotra przyszłą żonę, niemiecką księżniczkę, Zofię Anhalt-Zerbst, córkę jednego z feldmarszałków Fryderyka Wielkiego, urodzoną w Szczecinie, w 1729 roku. Elżbieta nie znała jej osobiście, ale kiedy ujrzała jej portret, postanowiła, że dorodne dziewczę o rumianych policzkach i anielskim uśmiechu będzie doskonałą partią dla jej siostrzeńca. Zofia miała czternaście lat, gdy sprowadzono ją do Petersburga, z kufrem pełnym książek zachodnich autorów, a tylko trzema sukienkami oraz dwiema koszulami nocnymi, zakupionymi za pieniądze cesarzowej, przeznaczone na podróż. "Pamiętam - pisał jeden z dworzan w swoim pamiętniku -"że kiedy zjawiła się wraz z matką, przedstawiono ją jakiemuś niezdarnemu młodzikowi, którego miała poślubić. Na jego widok o mało nie doznała szoku." Niemniej jednak, owa inteligentna dziewczyna, posiadająca łatwość przystosowywania się do otoczenia, udawała, że się tym nie przejmuje. Godząc się na to, co nieuchronne, z miejsca poczęła się uczyć rosyjskiego, którym już wkrótce władała całkiem biegle. Pilnie oddawała się studiom nad religią prawosławną, wyrzekając się

rodzimego luteranizmu, po czym przeszła na prawosławie i przyjęła imię: Katarzyna. Po poślubieniu Piotra otrzymała tytuł Wielkiej Księżnej.

Była bystra i przebiegła zarazem.. W mig pojęła, że jej mąż to niedojrzały i apatyczny tępak, którego nie interesuje nic, poza sprawami wojskowości. Podczas miesiąca miodowego bawił się żołnierzykami, całkowicie zaniedbując pannę młodą. Otaczał się ludźmi swego pokroju. Dotyczyło to także jego pustogłowej metresy, związków z którą nie taił przed nikim. - Faworyty Piotra to albo idiotki , albo zdrajczynie - zwierzała się Katarzyna zaufanej dwórce. - Mój mąż gustuje w najbardziej wyuzdanej rozpuście i pijaństwie. Jego metresa jest brzydka, głupia i wulgarna. - Piotr ostatecznie zraził do siebie większość dworzan, z wyjątkiem tych równie zepsutych jak on sam.

Katarzyna doszła w końcu do wniosku, że jej małżonek to nieuleczalny psychopata. Ta ambitna i energiczna dziewczyna rozczytywała się w Wolterze, Madame Sevign, i wielu innych francuskich pisarzach doby oświecenia, pełna podziwu dla ich galijskiego *esprit,* żywego stylu, umiejętności tworzenia nowych idei, z których pojęcie "oświeconego despotyzmu" wysuwało się na plan pierwszy. Nie dawała po sobie poznać, że przejmuje się dziwactwami męża, a do łóżka zabierała ze sobą dzieła Monteskiusza. W swych pamiętnikach wspominała o pożerającej ją ambicji, aby stać się "samowładczą cesarzową Wszechrosji". To germańskie dziewczę, wykształcone w duchu francuskim, zaczęło także zaskarbiać sobie przyjaźń tych Rosjan, którzy mogliby pomóc jej w osiągnięciu celu, a mianowicie oficerów dwóch najważniejszych pułków gwardii.

Do bardziej śmiałych i przystojniejszych należeli pułkownik Siergiej Sałtykow oraz bracia Orłow, Aleksy Michaił i Grigorij. W roku 1754 Katarzyna urodziła syna, Pawła, którego Piotr uznał za swego, choć jego rodzonym ojcem był ponoć Sałtykow. Gdy tego ostatniego odesłano następnie do Szwecji, jego miejsce zajęli bracia Orłow, którzy na zmianę korzystali z jej łask.

Odziedziczywszy tron po Elżbiecie w roku 1762, mąż Katarzyny - teraz jako Piotr III - począł popisywać się brakiem kompetencji. Swymi poczynaniami bezustannie znieważał rosyjskich patriotów, czego uwieńczeniem było zakończenie jak dotąd udanego udziału Rosji w Wojnie Siedmioletniej z Prusami, rządzonymi przez nieustępliwego i zaradnego Fryderyka II. Podczas tej wojny, którą Rosja prowadziła od 1756 roku jako sojusznik Francji i Austrii, jej wojska zajęły większość Prus Wschodnich, a nawet sam Berlin. Gdy Piotr wstąpił na tron, Fryderyk znajdował się u kresu sił, nosząc się z zamiarem kapitulacji. Z dnia na dzień jego sytuacja uległa zmianie, gdy nowy car rozkazał swym głównodowodzącym zrezygnować z podbojów w Niemczech i zmienić front. Rosyjskie oddziały opuściły dotychczas zdobyte terytorium, dzięki czemu Prusy cudem uniknęły totalnej klęski.

W swym obsesyjnym uwielbieniu dla Fryderyka, Piotr posunął się nawet do tego, że publicznie ukląkł przed popiersiem pruskiego władcy, ukoronował je laurem, po czym ucałował! W owym czasie Piotr otaczał się współziomkami z rodzimego Holsztynu, popom nakazał nosić szaty luterańskich pastorów i głośno zachowywał się podczas nabożeństw religijnych na dworze. Raz nawet

pokazał język biskupowi celebrującemu mszę. Nie dziwota, że kanclerz Imperium, Nikita Panin, nazwał go głupcem i zdrajcą.

Szkodząc narodowym interesom Rosjan, Piotr nie oszczędzał również Katarzyny, znieważając ją publicznie, grożąc rozwodem i zamknięciem w klasztorze, co oznaczałoby dla niej los gorszy niż śmierć! Pogróżki te pchnęły ją do działania. Pewna poparcia młodej kadry oficerskiej, zawiązała spisek celem przejęcia władzy. W czerwcu 1762 roku, gdy tajni agenci Piotra schwytali i osadzili w areszcie jednego z konspiratorów, ryzyko, iż torturowany wyjawi nazwiska towarzyszy, zmusiło pozostałych spiskowców do pośpiechu. Ówczesny kochanek Katarzyny, Aleksy Orłow, rozpowszechnił pogłoski o tym, iż na wpół obłąkany car znęca się nad Katarzyną. Wspierany przez swych dwóch braci oraz innych konspiratorów, Aleksy Orłow sprowadził do Petersburga dwa pułki gwardii oraz inne jednostki. Katarzyna wkroczyła do stolicy na czele 14000 żołnierzy, ubrana w zielono-czerwony uniform pułku siemionowskiego. Przemawiając po rosyjsku z rusztowań wciąż nieukończonego Pałacu Zimowego, Katarzyna - ze swym ośmioletnim synkiem Pawłem u boku - zwróciła się do oddziałów, ażeby obroniły ją przed mężem - tyranem i szaleńcem: - Jestem biedną kobietą... A mój mąż to głupiec, który nie zadał sobie nawet trudu, aby nauczyć się naszego języka. Nie tylko zbeszcześcił nasze święte narodowe sztandary, ale zelżył naszą świętą religię. Teraz chce mnie uśmiercić... Wraz z moim małym synkiem oddaję się pod waszą ochronę. Pomóżcie mi! Pomóżcie memu biednemu synkowi!

Jednocześnie agenci Katarzyny rozpowszechniali wydrukowany wcześniej manifest, w którym ogłoszono detronizację niekompetentnego i zdradzieckiego Piotra III. Wiwatujący żołnierze, na rozkaz swych oficerów otoczyli Katarzynę, podczas gdy wojskowi, duchowieństwo i szlachta przybywali, aby poprzysiąc wierność nowej cesarzowej. Tymczasem Piotr, powolny i skonfudowany, czekał bezczynnie w pałacu na przedmieściu w Oranienbaum. Wkrótce został aresztowany przez zwolenników Katarzyny; nie stawiał przy tym większego oporu. Kiedy nakazano mu abdykować, uczynił to z poniżającą pokorą, prosząc jedynie, by pozwolono mu zatrzymać skrzypce, służącego-Murzyna, psa oraz ulubioną metresę. Ta bezwarunkowa kapitulacja nie ocaliła mu jednak życia; bracia Orłow udusili go podczas jednej z pijatyk. Światu oznajmiono, że Piotr zmarł na kolkę.

ROZDZIAŁ II

Trzymając się babcinej spódnicy

Oczywistym pretendentem do opuszczonego po śmierci Piotra tronu był teraz prawowity następca, ośmioletni Wielki Książę, Paweł, którego Piotr ofi-

cjalnie uznał za swego syna. Zgodnie z zasadą sukcesji wprowadzoną przez Piotra Wielkiego, car miał prawo sam wyznaczyć swego następcę. Piotr III nie skorzystał z tej sposobności i - po wstąpieniu na tron - nie ogłosił Pawła sukcesorem. Przysięga na wierność składana w owym czasie nowemu carowi wspominała jedynie o "takim następcy, jakiego wyznaczy", nie wymieniała jednak Pawła z imienia. Katarzyna wykorzystała tę niejasną sytuację prawną, by siebie samą ogłosić carycą "z łaski Boga i z wyboru narodu rosyjskiego". Poprzysięgła bronić prawosławia, honoru rosyjskich sił zbrojnych i porządku publicznego. Z niezwykłą siłą ciała i ducha, natychmiast rzuciła się w wir spraw państwa. Była przy tym równie zaradna i pozbawiona skrupułów, co inteligentna i wykształcona. Dała się poznać jako tytan pracy, genialny dyplomata i zręczny administrator.

Jednocześnie stale zmieniała kochanków. Aleksego Orłowa zastąpił jego brat, Grigorij, przystojny kapitan artylerii, który pomógł jej w dojściu do władzy, po czym ustąpił miejsca Grigorijowi Potiomkinowi. "Fałszywy, zezowaty, ogromny, śniady, zawsze spocony, parszywy olbrzym" - jak opisał go Lew Tołstoj, "ale... cóż za człowiek! Prawdziwy Rosjanin, wielkiego formatu. Posiadał ogromną wiedzę, jak powiadano. Ale też, co za oszust! Nieźle się obłowił. Niemniej jednak dwór wiele przy nim zyskał. Drugiego takiego ze świecą szukać." Często wcielał się w rolę monarchy, przyjmując posłów w łożu, w brudnych, podartych łachach. Niekiedy wędrował po pałacu w szlafroku lub płaszczu z różową chustką przewiązaną dokoła głowy. Wszelako Katarzyna porzuciła Potiomkina dla innych, młodszych amantów. Jej apetyt na coraz to świeższe, młodsze męskie ciała pozostawał wciąż nienasycony. Podczas trzydziestu czterech lat panowania przez jej łoże przewinęło się około czterdziestu kochanków. Był wśród nich Zoricz, Serb - wędrowiec, młody Rimski-Korsakow, który utracił łaski, gdyż zabawiał się z jedną z dam dworu; dalej Łanskoj (miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, podczas gdy Katarzyna przynajmniej czterdzieści). Po sześćdziesiątce caryca darzyła względami niejakiego Płatona Zubowa, dwudziestokilkuletniego pustogłowego playboya.

Katarzyna łączyła w sobie pospolitą zmysłowość z wystudiowaną dbałością o najdrobniejsze szczegóły. W wieku mniej więcej sześćdziesięciu lat, doszła do wniosku, że nie może już tracić cennego czasu, i że zasługuje wyłącznie na *créme-de-la-créme* [śmietankę] rosyjskiej męskości. Gdy erotyczni atleci, jak Orłowowie czy Potiomkin, najlepsze lata mieli już za sobą, starzejąca się caryca uznała, że młodych mężczyzn trzeba należycie wyszkolić, aby mogli się wywiązać z powierzonych im obowiązków. W rezultacie, zanim kandydat na kochanka otrzymał pozwolenie wstępu do cesarskiej sypialni, musiał wpierw zdać trudny egzamin w pokojach ozdobionych pornograficznymi obrazami (z reguły lichymi francuskimi i włoskimi rycinami) skrupulatnie rozplanowanymi na ścianach - jak to nazywała - "mojego małego gimnazjum". Zadanie sprawdzania i szkolenia wyselekcjonowanych kandydatów otrzymała kobieta doświadczona, Madame Protasowa, która oficjalnie nosiła tytuł *l'eprouveuse,* czyli "egzaminatorki". Najlepszego z absolwentów wyznaczano następnie na adiutanta, sekretarza carycy, lub powierzano mu jakąś inną nominalną funk-

cję, faktycznie zaś pozostawał do jej dyspozycji jako towarzysz łoża. Katarzyna, która jako Wielka Księżna prowadziła raczej skromne życie, po wstąpieniu na tron zmieniła zwyczaje. Rezydując najczęściej w Pałacu Zimowym i Carskim Siole, szybko doszła do wniosku, iż luksus i splendor stanowią nieodłączne atrybuty skutecznego sprawowania władzy. Pod względem przepychu jej dwór prześcignął dwory poprzedników. Zawsze przed nią, jak również za nią podążał długi orszak dworzan. Jej straż przyboczna złożona, rzecz jasna, z wysokich, przystojnych młodzieńców, ubrana była w okazałe szaty; oficerowie nosili masywne, srebrne napierśniki, pozłacane szable, oraz mundury, bogato zdobione klejnotami.

Służba w tym elitarnym pułku gwardii, niegdyś trudna, z czasem zamieniła się w swoistą synekurę. Podczas gdy zwykłe jednostki sił zbrojnych wysyłano na linię frontu, gwardia pod rozkazami Katarzyny pełniła w zasadzie funkcje reprezentacyjne. Ażeby awansować na oficera gwardii, należało przejść przez Korpus Paziów, ekskluzywną akademię, przygotowującą młodzieńców do służby wojskowej lub publicznej - wysokich szczebli. Życie towarzyskie gwardzistów wypełniały parady, wystawne kolacje i bale, musztra natomiast stanowiła głównie działkę podoficerów. Ważniejsza niż ściśle wojskowe szkolenie była dobra prezencja na placu defilad. To właśnie oddział straży przybocznej regularnie dostarczał carycy kochanków.

Erotycznym wyczynom Katarzyny towarzyszyła gorączkowa działalność propagandowa i intelektualna. Przyjaźniła się i wymieniała korespondencję z wielkimi francuskimi *philosophes*, do których należał także Wolter. Diderot, redaktor naczelny Wielkiej Encyklopedii Francuskiej, złożył jej wizytę w Petersburgu. Obaj pisarze otrzymywali hojne subwencje, w zamian zaś wynosili pod niebiosa tę "Semiramidę Północy", przyrównując ją do Świętej Dziewicy, a jej styl pisania po francusku stawiali wyżej niż własny. Aczkolwiek Katarzyna nie była muzykalna, wspierała twórczość nadwornych kompozytorów. Finansowała przekłady starannie dobranych pozycji literatury obcej - dla własnych celów. Chociaż z zasady posługiwała się niemieckim i francuskim, wspierała badania nad językiem rosyjskim, nie posiadającym jeszcze słownika i gramatyki. Rosyjski, język gminu, uważano wtenczas za zbyt wulgarny, by się nim posługiwać w towarzystwie. Była inspiratorem i pionierem w dziedzinie szkolnictwa, a zwłaszcza kształcenia kobiet. Założyła pierwszy Instytut i Pensję dla Szlachetnie Urodzonych Panien w Smolnym.

Frapujące owoce owego intelektualnego renesansu, znanego pod nazwą oświecenia, docierały do Rosji, pomimo tego, iż Katarzyna bez entuzjazmu odnosiła się do idei, które - jej zdaniem - przynosiły krajowi szkodę, jak ataki Woltera na instytucję Kościoła, czy Russowski kult zwyczajnego człowieka. Często powtarzała - "Mnie interesują ludzie nadzwyczajni".

Pomna tego, że na tron wynieśli ją oficerowie gwardii pochodzenia szlacheckiego, Katarzyna chroniła prawa klasy właścicieli ziemskich. Wielka karta swobód uznawała ich za odrębny, uprzywilejowany stan, gwarantując im zwolnienie od służby przymusowej i bezpośrednich podatków, jak również kary cielesnej. Szlachta mogła pozbywać się ziemi i przypisanych do niej ludzi

według własnego uznania. Posiadała prawo do sprzedaży i kupna chłopów, dawania ich w zastaw, biczowania, a nawet zsyłania na Syberię, bez prawa do apelacji.

W rezulacie, to co stanowiło raj dla szlachty, oznaczało piekło dla włościan. Katarzyna uważała, że "pod okiem dobrego pana, rosyjskiemu chłopu nie wiedzie się gorzej niż chłopom w innych krajach." Za jej rządów, jednakże, kozaków i ukraińskich wolnch osiedleńców zniewalano i zmuszano do pańszczyzny. W ludowych pieśniach i balladach lżono Katarzynę, nazywając ją okrutnicą, która zdeptała kozacką autonomię i przywiązała chłopa ukraińskiego do ziemi: "Katerina, matko diabła, cóżeś uczyniła? Do szerokich stepów i szczęśliwej ziemi sprowadziłaś ruinę i niewolę" - głosi pewna ukraińska pieśń.

Polityka rozszerzania poddaństwa stanowiła przyczynę serii krwawych powstań chłopskich, charakteryzujących rządy Katarzyny. Na czele największego i najbardziej znanego z nich stanął doński Kozak, Jemielian Pugaczow - barwna i charyzmatyczna postać, która później rozpaliła wyobraźnię Puszkina, stając się inspiracją do napisania *Córki Kapitana*. Oświadczając, iż jest Piotrem III, cudownie ocalonym z rąk oprawców Katarzyny przez Michała Archanioła, Pugaczow podniósł w 1773 roku sztandar buntu na Uralu, skąd rozprzestrzenił się on na bezkresne tereny południowej i środkowej Rosji. Była to jedna z największych rebelii wszechczasów. Zwolennikom Pugaczowa udało się zająć Kazań, Penzę, Saratow oraz wiele innych miast, zanim zdradzonego przez rywali buntownika schwytano i przewieziono do Moskwy, gdzie poddano go torturom, a następnie - w 1775 roku - stracono. Wkrótce potem nastąpił okres masowych i brutalnych prześladowań, w którym na powrót siłą nakładano okowy poddaństwa. Sama Katarzyna obdarowywała tysiącami "dusz" obecnych faworytów i szlachtę, która wszak wielce zasłużyła się państwu.

* * *

Tymczasem syn Katarzyny, Wielki Książę Paweł, żyjąc w odosobnieniu niczym sierota, nie uświadamiał sobie zrazu swego położenia. Przyszedł na świat w roku 1754, w chwili śmierci ojca miał zatem zaledwie osiem lat. Matka od urodzenia podchodziła do swego brzydkiego i niezdarnego dziecięcia z zimną obojętnością, a wręcz z pogardą. Zaistniała sytuacja rozbudziła w nich wzajemną podejrzliwość. Bo czyż potencjalni buntownicy - wrogowie korony wywodzący się spośród niespokojnej szlachty - nie wykorzystaliby go jako broni w walce o władzę? Jednakże Paweł nie prędko pojął fakt, iż matka jest uzurpatorem. Kiedy w wieku lat dziewięciu pojawił się publicznie podczas parady wojskowej, zdumiały go okrzyki kilku oficerów: "Niech żyje nasz prawowity car, Paweł Piotrowicz!" Znalazł się w sytuacji Hamleta: "Twoja matka

i jej kochanek zamordowali twego ojca - zdawał się podszeptywać tłum. - Pomścij go!"

Z wyglądu Paweł w niczym nie przypominał bohatera. Miał niezwykle mały, niemalże płaski nos, szerokie, wydęte usta, wystającą szczękę, oraz długie żółte zęby. Cechy te, jak również przedwczesna łysina oraz blada cera, zdobyły mu przydomek "Trupiej Czaszki". Niski i tęgi prezentował się tym bardziej groteskowo, rzekłbyś - odrażająco. Paradując w ekstrawaganckich strojach, przypominał raczej karykaturę aniżeli dworzanina. Katarzyna, rozmiłowana w prawdziwie męskich kształtach, nienawidziła go szczerze, był bowiem wspomnieniem krótkiej i nieudanej przygody miłosnej. W miarę, jak chłopiec dorastał, relacje między matką i synem stawały się coraz bardziej napięte, pomimo wzajemnych prób zachowania pozorów.

Pierwsze małżeństwo Pawła (zaaranżowane przez matkę) z księżniczką heską, zakończyło się, gdy młoda Wielka Księżna zmarła przy porodzie. Nieco później wybuchł skandal, bowiem jej prywatna korespondencja ujawniła romans z księciem Aleksiejem Razumowskim, który zapewne był ojcem owego nieszczęsnego niemowlęcia. Razumowskiego pośpiesznie wyekspediowano do Neapolu. Krążyły nawet pogłoski, że Wielka Księżna została zamordowana, albo też że umyślnie dopuszczono do jej śmierci. Potem jednakże, Paweł zaznał szczęścia małżeńskiego u boku księżniczki wirtemberskiej, Zofii Doroty (również związek zaaranżowany przez Katarzynę). Po ponownym przyjęciu chrztu, a także - jak było tu w zwyczaju - nowego imienia, Maria Fiodorowna, urodziła Wielkiemu Księciu jedenaścioro dzieci. Najstarszy syn przyszedł na świat 24 grudnia 1777, i ochrzczono go imieniem: Aleksander, na cześć Aleksandra Newskiego, rosyjskiego bohatera narodowego z dwunastego stulecia, który zadał klęskę Szwedom i Krzyżakom. Obstając przy tym imieniu, Katarzyna miała także na względzie Aleksandra Wielkiego, legendarnego wodza, który podbił starożytny świat.

Ładny, jasnowłosy chłopiec o błękitnych oczach, który odziedziczył urodę po matce, z miejsca zaskarbił sobie sympatię Katarzyny. Drugi syn, Konstanty, urodzony dwa lata później, był bez porównania mniej urodziwy. Rudowłosy, z małpią, mongolidalną fizjonomią, śmiesznie małym nosem i wyjątkowo długimi rękoma, bardziej przypominał swego brzydkiego ojca aniżeli piękną matkę. Katarzyna poświęcała mu sporo uwagi, jednak od początku wolała przystojnego Aleksandra.

Od 1783 roku, w ostatniej dekadzie życia carycy, Paweł wiódł samotny żywot w Gatczynie, podarowanym mu przez Katarzynę ogromnym majątku, jakieś czterdzieści kilometrów od Petersburga. Sądziła, iż tam będzie mniej niebezpieczny, a poza tym chciała, by zniknął jej z oczu. Mitrężył więc czas zabawiając się w wojsko. Zatrudnił architektów, inżynierów oraz ekspertów balistycznych, aby ufortyfikowali jego rezydencję i wybudowali olbrzymie koszary, gdzie ćwiczył swą małą armię, niewielkie oddziały (około 2400 ludzi) pod nazwą "Bataliony Jego Cesarskiej Mości". Kazał im nosić pruskie mundury i ćwiczył je całymi dniami jako prywatne wojsko, niezależne od reszty sił zbrojnych cesarstwa. Rządził Gatczyną niczym własnym, małym królestwem,

jednocześnie pielęgnując w sobie dziką nienawiść do pełnej pogardy matki, jej podstępnego i rozwiązłego dworu, jej pseudo-intelektualizmu - do wszystkiego, co uosabiała. Duch pruski stanowił jego ideał, idolem zaś stał się Fryderyk Wielki.

A dzieci? Katarzyna podstępnie wykorzystała nieobecność wielko-książęcej pary (którą w 1781 roku wysłała w podróż po Europie, by nie wchodziła jej w drogę) i przeniosła chłopców do Pałacu Zimowego, a następnie do Carskiego Sioła. Mieli tam odbierać wychowanie pod czujnym okiem babki oraz wybranych przez nią preceptorów. Aleksandra przygotowywano do tego, by w przyszłości zasiadł na rosyjskim tronie. Konstanty zaś być może kiedyś okaże się godny swego imienia, wydzierając Turkom Bizancjum, i z jego stolicy - Konstantynopola - władać będzie odzyskanym imperium. Katarzyna zarządziła, iż rodzice odwiedzać chłopców mogą wyłącznie za jej zgodą, na którą nierzadko musieli czekać miesiącami. Gdy Paweł i Maria zaprotestowali, Katarzyna stwierdziła jedynie: - Chłopców wychowywać będę ja. Czyż nie jestem mistrzynią w sztuce rządzenia ludźmi? Czyż nie świadczą o tym moje dokonania? - Kiedy Wielka Księżna Maria Fiodorowna płakała, domagając się, by caryca zwróciła jej dzieci, ta tupiąc nogami ze złości, krzyczała: - Dzieci nie należą do ciebie, tylko do Rosji. Stanowią własność państwa. Moim obowiązkiem zaś jest wychować je tak, by mogły spełnić swe zaszczytne przeznaczenie. - Gdy Maria Fiodorowna urodziła kolejno cztery córki, Katarzyna pocieszała ją: - Widzisz, masz teraz czwórkę dzieci, które ukoją twój smutek. Czy to ci nie wystarczy?

Tyrania matki wzmagała u Piotra gniew i frustrację. Owładnięty manią prześladowczą, obudził się pewnej nocy i szlochając opowiedział żonie swój koszmar: otóż ponownie przeżył dzień śmierci ojca, kiedy to jego, małego chłopca w nocnej koszuli, zabierano do pałacu, gdzie u boku matki miał pozdrowić wiwatujący tłum. Ale w jego strasznym śnie pojazd nigdy nie dotarł na miejsce, lecz powiózł go na Plac Senacki, gdzie zaprowadzono go na szafot. - Wszyscy krzyczeli, że muszę umrzeć! - żalił się. - Podobne koszmary nawiedzały Pawła coraz częściej, natomiast rozpacz i frustracja, potęgowane przez strach i podejrzenia, pogłębiały się z wiekiem, aż w końcu skończył jako paranoik.

* * *

Tymczasem Katarzyna w dalszym ciągu z pasją poświęcała się edukacji chłopców. Niewątpliwie uwielbiała Aleksandra, nazywając go swoją "małpeczką", "ukochanym aniołeczkiem", "rozkosznym urwisem", lub też "moim przyszłym Aleksandrem Wielkim". Celem przygotowania wnuków do przyszłych obowiązków, nakazała nauczycielom i opiekunom stosowanie russowkich, czyli "naturalnych" metod wychowawczych, do których przywiązywała wielką wagę: prosta kuchnia, luźne ubrania, dużo świeżego powietrza i ruchu. Ten surowy, zdrowy tryb życia uwzględniał także codzienne kąpiele poranne

Aleksander I, Car Tajemniczy

w zimnej wodzie oraz spanie na żelaznych pryczach i materacach ze skóry, wypchanych słomą. Temperaturę w pomieszczeniach utrzymywano na poziomie 14-15 stopni Celsjusza. Ażeby zachować czystość powietrza, w pomieszczeniu zajmowanym przez każdego z chłopców nie mogły się palić więcej niż dwie świece jednocześnie. Aleksander znajdował się pod kuratelą rosyjskiej piastunki, a także francuskiej guwernantki. Konstanty również miał rosyjską mamkę, lecz jego niańka była Greczynką, aby oswoić przyszłego władcę Bizancjum z jego przeznaczeniem.

Mimo rozlicznych obowiązków i rozrywek, Katarzyna zawsze znajdowała czas dla wnuków, ucząc ich czytać i pisać, bawiąc się z nimi zabawkami, które często sama projektowała. Pisała pouczające opowieści, rymowanki, oraz streszczała dla nich dawne rosyjskie legendy. W swych poglądach na temat edukacji podkreślała znaczenie kształtowania charakteru na równi z nauką etykiety. Zachęcała obu chłopców, by sami zajmowali się ogrodem i uprawiali własne warzywa. Uczono ich dostojeństwa, jak również pragmatyzmu, pewności siebie i samowystarczalności.

Jako chłopiec Aleksander uwielbiał spędzać czas poza domem. W letnie miesiące spacerował, rozkoszując się otaczającym go oceanem zieleni, lub wdrapywał się do niewielkiej łódeczki i krążył po kanałach przecinających bezkresny park w Carskim Siole. Lubił zbierać jagody i grzyby. Zimą, która w Petersburgu może trwać nawet pięć miesięcy, usypywał zwały śniegu, po czym spryskiwał je wodą, aby zamarzły, tworząc tym samym góry lodowe ze wspaniałymi zjazdami dla sań i sanek. W 1781 roku Katarzyna na wychowawcę Aleksandra i Konstantego wybrała dwudziestopięcioletniego Szwajcara - Fryderyka Cezara Laharpe'a - ucznia Woltera, Rousseau i Monteskiusza. Przepojony ideologią francuskiego oświecenia, tak bliskiej jego rodzimego Vaud, wyrobił w sobie poczucie bezwzględnej niezależności, umiłowanie cnoty republikańskiej, a także nienawiść do tyranii, poprzez co ów młody prawnik popadł w konflikt z feudalnymi władzami w swoim własnym kraju. Stało się to zanim jeszcze przyjaciel Katarzyny, niemiecki pisarz doby oświecenia - Grimm - zaprosił go w jej imieniu do Petersburga. Laharpe był dobrym, szczerze oddanym nauczycielem, Aleksander zaś go uwielbiał.

W tym samym czasie, caryca wyznaczyła starego generała Sałtykowa, ojca jej pierwszego kochanka, by nadzorował wojskową edukację chłopców. On to uczył ich jazdy konnej, musztry i ogólnej dyscypliny niezbędnej do pełnienia obowiązków księcia i żołnierza, natomiast nauka języków obcych, historii, matematyki i przyrody stanowiły domenę Laharpe'a.

Katarzyna najbardziej lubiła historię. W trakcie zajęć nakazywała Laharpe'owi, by uczył swych podopiecznych o "powstaniu, zmierzchu i upadku imperiów i cywilizacji", jak również o wielkich mężach stanu, zasadach prawa, polityce zagranicznej i handlu. Miał dbać o ich charakter i zachowanie, jak również wiedzę, ogładę, opanowanie i "zasady humanitaryzmu". Młody Szwajcar sprostał temu zadaniu. Katarzyna nazywała go "solidną głową"; lubiła go, co bardzo mu pochlebiało.

Aleksander całe życie pozostawał pod głębokim, trwałym wpływem Laharpe'a, z którym od samego początku łączyły go więzi przyjaźni. Z kolei, ordynarny, kapryśny i fałszywy Konstanty pogardzał preceptorem, a nawet ugryzł go raz, kiedy ten zganił go za brak postępów w nauce. Poważny i sumienny Szwajcar jako pierwszy stał się dla Aleksandra uosobieniem ojca - substytutem niestałego i wiecznie nieobecnego Pawła.

Laharpe usiłował zaszczepić u swych wychowanków światopogląd racjonalistyczny, nie wyłączając religijnego sceptycyzmu. Na pytanie Aleksandra, "kim był Jezus Chrystus?", mentor odpowiadał: - Fanatycznym Żydem, od którego imienia pochodzi nazwa chrześcijańskiej sekty.

Do końca życia Aleksander wyznawał swoistą odmianę deizmu, w którym religia stanowiła racjonalistyczną moralność humanistyczną, nie czyniąc przy tym różnic pomiędzy rozmaitymi sektami i wyznaniami. Wyróżniki poszczególnych teologii uznano tu za nieistotne, za kompleksową racjonalizację partykularnych interesów odpowiednich grup kapłańskich.

W tym względzie pomiędzy Katarzyną i Laharpe'm panowała doskonała, aczkolwiek milcząca zgoda. Swój własny deizm, lub raczej agnostycyzm, skrzętnie skrywała pod przykrywką ostentacyjnego oraz systematycznego przestrzegania rytuałów i obrzędów Kościoła Prawosławnego. Te zaś były liczne i przydługie. Niektóre ceremonie, jak na przykład Msza Wielkanocna, trwały od dwóch do trzech godzin. Podczas liturgii należało stać, później zaś następowała cała seria kazań, o wiele dłuższych niż te w kościołach katolickich czy protestanckich. Katarzyna cierpliwie znosiła te obrządki. Rozwiązłe życie nie przeszkadzało jej często przyjmować komunię i manifestować zewnętrzne oznaki wiary prawosławnej, niczym wielce pobożna zakonnica. Równocześnie konfiskowała ogromne połacie gruntów kościelnych, które następnie rozdawała swoim faworytom. Kiedy metropolita Rostowa sprzeciwił się polityce sekularyzacji i skarcił ją za brak prawdziwie duchowych wartości, wpadła w szał. Nakazała, "zatkać tę wielką gębę", pozbawiając biskupa godności kapłańskich i zamykając go w odległym klasztorze na dalekiej północy. Na ogół hierarchia kapitulowała wobec kaprysów i ekscesów carycy, tolerując jej świecki światopogląd, o ile tylko ta z poszanowaniem zachowywała zewnętrzne pozory religijności.

Aleksander, początkowo zbulwersowany ewidentną hipokryzją Katarzyny, nauczył się od Laharpe'a oświeceniowej doktryny, iż religia to tylko pożyteczne narzędzie w rękach polityka. - Religia jest jednym z podstawowych instrumentów dyplomacji. Należy ją wykorzystywać umiejętnie i z rozwagą... Pamiętaj, że z chwilą wstąpienia na tron, ty staniesz się głową Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Bez względu na swoje uczucia i przekonania, musisz się temu podporządkować. Musisz postępować tak, jak gdybyś był wiernym synem Kościoła, dając tym samym dobry przykład swoim poddanym. - Laharpe pouczał swego ucznia.

Osobliwym można także nazwać wybór nauczyciela religii dla wnuków. Zadanie to caryca powierzyła bowiem A.A. Samborskiemu, nietuzinkowemu popowi, który przez długi czas mieszkał w Londynie, poślubił Angielkę i polubił

anglikański obrządek. Wprawdzie pełnił funkcję nadwornego kapelana, więcej czasu jednak poświęcał ekonomii politycznej aniżeli sprawom religii, i - jako pierwszy - przybliżył Rosjanom tę nową naukę, krzewioną przez francuskich fizjokratów i Szkota, Adama Smitha. W rezydencji Samborskiego spotykali się wszyscy ci, których interesowały angielskie idee, oraz wszyscy przyjezdni z Wysp Brytyjskich. Samborski zgolił brodę, a Katarzyna pozwoliła mu nawet nosić świeckie szaty. Hierarchia prawosławna poddawała w wątpliwość nieskazitelność jego wiary; niektórzy biskupi wręcz nie chcieli odprawiać z nim nabożeństw, uważając go za libertyna i heretyka.

Ogólnie rzecz biorąc, Aleksander otrzymał dość wszechstronne wykształcenie. Poza językami (łaciną, greką, a również francuskim, niemieckim oraz angielskim) i historią, obejmowało ono matematykę, rysunek, szermierkę, muzykę, a także przedmioty ścisłe, tak miłe sercu Laharpe'a - człowieka oświecenia. Podobnie jak wielu innych dworzan, Aleksander znał francuski, angielski i niemiecki lepiej od rosyjskiego, którego nie uważano wtenczas jeszcze za język odpowiedni do prowadzenia kulturalnej konwersacji. Można by postawić zarzut, iż wykształcenie " Aleksandra było ograniczone przez sam fakt, że rzadko wyjeżdżał poza granice Petersburga i wyobrażał sobie, że reszta kraju przypomina tę sztuczną idyllę, jaka go otaczała. Chłopów widywał tylko z oddali, w kilku wzorcowych siołach stworzonych przez Katarzynę i Potiemkina na pokaz dla zagranicznych gości. Skrupulatnie wyselekcjonowani włościanie, przyodziani w regionalne stroje mieli śpiewać, tańczyć i demonstrować miejscowe zwyczaje. Zaledwie paru śmielszych służących miało odwagę ukradkiem szepnąć Aleksandrowi słowo o ciężkim losie chłopów pańszczyźnianych. Kiedy ten powtórzył co zasłyszał Laharpe'owi, wychowawca wyjaśnił: - Nie zapominaj, że Aleksander Macedoński też miał niewolników, dopuszczał się wielu okropieństw i poświęcił wolność na ołtarzu cesarstwa. Siał spustoszenie w Azji, by upodobnić się do homeryckich bohaterów i sprawić przyjemność swym faworytom. Tobie jednak nie wolno brać z niego przykładu. Twoim celem winno być szczęście poddanych.

Aleksander zdziwił się i odrzekł: - Ale moja babka chce, bym został kolejnym bohaterem-zdobywcą, takim jak Piotr Wielki. Czyż nie postawiła mu pomnika na Placu Senackim?

- Tak, mój chłopcze. - odparł Szwajcar - Piotr Wielki nie tylko twierdził, iż przyświeca mu wyłącznie dobro narodu, ale też pracował ciężko, by go cywilizować. Możliwe, że za jego czasów nie można było się obejść bez okrutnych metod, jakie stosował wobec barbarzyńskich Rosjan. Lecz od tamtej pory upłynęło już prawie całe stulecie. Wraz ze zmianą warunków, należy zmienić także sposób rządzenia. Również mądre reformy carycy, twej babki, przyczyniły się znacznie do ucywilizowania twojej ojczyzny. Gdy nadejdzie ta szczęśliwa chwila, kiedy będziesz wstępował na tron, rosyjski naród powinien już dojrzeć do dalszych reform - poprawy obyczajów, moralności, łagodniejszej, bardziej ludzkiej formy rządów...

- Jest pan mądrym człowiekiem, Monsieur Laharpe! Chciałbym, aby zawsze stał pan u mego boku, gdyż stale będę potrzebował pańskich rad.

- Zostanę tu tak długo, jak długo Jego Cesarska Mość będzie sobie życzyła i będę nauczał zasad, które - moim zdaniem - winny przepajać umysł każdego oświeconego księcia. Ludzki los nie może zależeć wyłącznie od kaprysów innego człowieka...

- Cóż zatem poczniemy z naszymi chłopami, Monsieur Laharpe?

- Mam nadzieję, że twoja babka położy wreszcie kres ich niedoli. Bunt Pugaczowa stanowił ostrzeżenie. Twoim zaś zadaniem będzie skończyć ostatecznie z ową instytucją. Ba, sam zamierzam przedłożyć carycy memoriał w tej sprawie, a także w sprawie konstytucji dla Rosji.

Tak też uczynił w czerwcu 1784 roku. Kiedy treść dokumentu dotarła do dworzan, nie wątpili, iż caryca każe Laharpe'owi spakować manatki i wracać do Szwajcarii. Jednak nic takiego się nie wydarzyło, i nadal mógł napychać głowę Aleksandra republikańskimi ideałami. Chłopiec z uwagą chłonął każde słowo mentora. Słuchał wykładów Laharpe'a o "zasadach godności osoby ludzkiej, o szacunku do każdego człowieka, bez względu na jego miejsce w społeczeństwie", aczkolwiek, czasami wyrażał wątpliwości:

- A co z naszym prastarym samodzierżawiem?

- Oświecony książę - pouczał Laharpe - winien być łaskawym ojcem dla swoich poddanych, pierwszym sługą narodu, nie zaś jego ciemiężcą... Idealnie byłoby, gdyby w ogóle nie było książąt. W każdym kraju, gdzie panuje sprawiedliwe i bezstronne prawo, obywatele sami winni wybierać najczcigodniejszych spośród siebie do sprawowania urzędów . Ufam, że pamiętasz, co Platon mówił o filozofach rządzących państwem.

* * *

Bystry, nad wiek rozwinięty chłopak szybko doroślał. Tymczasem Katarzyna po obejrzeniu *Wesela Figara*, które uznała za wręcz szokujące, stała się - o dziwo - w pewnych sprawach niezwykle pruderyjna. Zakazała Aleksandrowi wszelkich kontaktów z kobietami, z wyjątkiem nauczycielek tańca (na które wybierano panny z najlepszych arystokratycznych rodzin), po lekcji zaś natychmiast odsyłano je z powrotem. Wychowawcy nigdy nie rozprawiali z nim o sprawach seksu, chyba że w sposób jak najbardziej abstrakcyjny. Jednak młodzieńcza natura sama dopominała się swych praw. Czternastoletni Aleksander począł uganiać się za służącymi sprzątającymi jego pokoje. Pewnego dnia zwierzył się Laharpe'owi: - Często miewam w nocy dziwne sny. Wczoraj wieczorem, po przedstawieniu *Figara*, śniło mi się, że jedna z włoskich aktorek, które widziałem na scenie, przyszła do mojego łóżka i czule mnie objęła. Kiedy się obudziłem, na prześcieradle były mokre plamy...

Posłusznie doniesiono o tym carycy, przykazała bowiem, by informować ją o każdym szczególe dotyczącym "rozwoju jej małego aniołka", nawet o pracy jelit. Kiedy przekazano jej wiadomość o nocnym incydencie, uznała, iż nadszedł czas, by znaleźć księciu odpowiednią żonę. Tymczasem Monsieur Laharpe

otrzymał zadanie pilnie strzec jego cnoty i bacznie śledzić kontakty Aleksandra z pokojówkami. - Wtajemniczenie chłopca w sprawy miłości winno się odbyć wyłącznie poprzez małżeństwo... Do chwili ślubu, dziewictwo stanowi twardą konieczność - konstatowała Katarzyna. Ożenek jej wnuków stał się dla carycy sprawą najważniejszą.

Rosyjscy ambasadorzy na czołowych dworach europejskich natychmiast otrzymali instrukcje, by przedłożyć Ministerstwu Spraw Zagranicznych listę potencjalnych kandydatek. - Niemieckie księżniczki - to najlepsza partia. Są wierne, płodne i posłuszne. Zwróćcie przede wszystkim uwagę na niemieckie dwory książęce - instruowano ambasadorów. Wkrótce napłynęły wieści z Karlsruhe w Badenii o dwóch księżniczkach: trzynastoletniej Luizie i jedenastoletniej Fryderyce. Rodzice tych ładnych, wykształconych panien nie posiadali się z radości na myśl, że cesarzowa Wszechrosji uważa ich córki za potencjalne narzeczone. Młody wiek dziewczynek nie zniechęcił zdeterminowanej Katarzyny. - W końcu, kiedy ja po raz pierwszy przyjechałam do Rosji, nie byłam wiele starsza od Luizy. Muszę opłacić ich podróż do Petersburga i pobyt tutaj. W międzyczasie, dziewczynki oswoją się z naszymi zwyczajami i sposobem życia. A Aleksander i Konstanty szybko doroślęją...

I tak, zgodnie z planem, w październiku 1792 roku, dwie małe, wystraszone księżniczki przybyły do Petersburga. Wkrótce po przyjeździe, w styczniu 1793 roku, Luiza rozpoczęła naukę rosyjskiego i religii prawosławnej, po czym - powtórnie ochrzczona - zamieniła protestanckie imię: Luiza na bardziej z rosyjska brzmiące: Elżbieta Aleksiejewna. Katarzyna, którą Luiza urzekła bez reszty, wykrzyknęła: - Im częściej się ją widzi, tym milsza się wydaje. Cóż za delikatność rysów! Profil żywcem wzięty z greckiej kamei. Jakie śliczne włosy! Oczy - dwa migdałki! Nikt, kto się do niej zbliży nie może się oprzeć jej urokowi. Jest idealną partią dla Aleksandra. - Nawet Wielka Księżna, Maria Fiodorowna, matka chłopca, choć niezwykła się zgadzać z carycą, tym razem przyznała jej rację: - Stanowi uosobienie niezwykłego wdzięku. Aleksa z pewnością urzecze ten doskonały owal jej twarzy, głos wibrujący uczuciem i wprost nienaganne maniery. Kogóż nie zachwyciłyby jej popielatoblond loki, mlecznobiałe lica i róż policzków? A błękitne oczy, okolone czarnymi rzęsami... Trzeba mieć serce z kamienia, żeby jej nie pokochać! Toż to istny brylant!

Lecz Aleksander - ku rozczarowaniu zarówno matki, jak i babki - pozostał obojętny na wdzięki dziewczyny. Ich pierwsze spotkanie pod czujnym okiem setek dworzan zakończyło się fiaskiem. Luizę - pierwszy raz sam na sam z nieznanym młodzieńcem - paraliżował strach i zmieszanie; Aleksander zaś, czując, iż został złapany w pułapkę, ostentacyjnie demonstrował brak zainteresowania. Po kilku kolejnych spotkaniach, relacje pomiędzy młodymi nieco się ożywiły, ograniczając się jednak nadal do wymiany banalnych uwag na temat wczesnego śniegu, długiej, męczącej podróży z Karlsruhe do Petersburga, czy też imponujących rozmiarów Pałacu Zimowego. Późniejsza wymiana listów zaowocowała kilkoma spotkaniami w zaciszu komnat dziewczęcia.

Nie minęło kilka tygodni, a Wielka Księżna, Maria Fiodorowna, powiadomiła Katarzynę, iż Aleksander przyznał, że Luiza wydaje mu się "z dnia na dzień coraz sympatyczniejsza". Raz próbował nawet pocałować przyszłą żonę, a ona nieśmiało mu się odwzajemniła. Wspomniała o tym w liście do matki w Karlsruhe: "Nie możesz sobie wyobrazić, jak dziwnie się czułam, całując mężczyznę, który nie jest mi ojcem lub wujem. Co więcej, wcale nie przypominało to pocałunku Taty, zawsze kłującego mnie swą brodą".

Jako że wszystkie listy Luizy przechodziły przez ręce carskich urzędników, wieść ta dotarła do Katarzyny, ta zaś poczuła się nią niezwykle podbudowana, o czym pospiesznie powiadomiła swego sekretarza: - Wszystko wskazuje na to, że Aleksander kocha Luizę, lecz nie ma dość odwagi, by to okazać. Dziewczyna, mimo młodego wieku, dojrzała już do małżeństwa. Musimy wyprawić zaręczyny, póki jest jeszcze dziewicą. Jak sam wiesz, na naszym dworze nie długo zachowa cnotę. Ci oficerowie gwardii są niczym głodne wilki, krwiożercze tygrysy gotowe na wszystko, by uwieść tak niewinną istotę jak Luiza - dopóki jej pozycja na dworze nie zostanie jasno określona. Nawet ja nie mogłabym temu zapobiec... Ślub musi się odbyć niezwłocznie.

Kiedy się pobierali, Luiza miała lat piętnaście, a Aleksander - szesnaście. Paweł z początku odmówił uczestnictwa w ceremonii, gdyż przy wyborze panny młodej nikt nie pytał go o zdanie. Wtedy Katarzyna uciekła się do groźby: - Albo przyjdziesz na ślub, albo odbiorę ci pensję, żołnierzy i majątek w Gatczynie. Paweł ustąpił, lecz bez entuzjazmu, a jego żal i frustracja jeszcze się pogłębiły.

Wesele odbyło się 4 października 1793 roku w Pałacu Zimowym. Aleksander miał na sobie długi, rosyjski kaftan ze srebrnego brokatu, przyozdobiony diamentowymi guzikami i błękitną wstęgą Orderu Św. Andrzeja. Elżbieta zaś wystąpiła we wspaniałej szacie, także z brokatu, ale przetykanej perłami. Brat Aleksandra, Konstanty - zgodnie ze zwyczajem - trzymał nad głowami młodych cesarską koronę. Ceremonia poruszyła Katarzynę do głębi, a gdy Aleksander całował świeżo poślubioną żonę, rozpłakała się, szepcząc: - Wyglądają jak dwa aniołki. - Po ceremonii nastąpiła seria bankietów i balów, urozmaiconych pokazami fajerwerków oraz przedstawieniami w stylu: "Kupidyn i Psyche". Tak świętowano pełne dwa tygodnie. Aleksander i Elżbieta (teraz Wielka Księżna Elżbieta Aleksiejewna) sprawiali wrażenie wesołych i beztroskich.

Pompa i fanfary maskowały nadejście małżeńskich kłopotów. Niedojrzałości emocjonalnej Aleksandra towarzyszył brak doświadczenia w sprawach damsko-męskich. Chowany w złotej klatce Pałacu Zimowego, pod okiem surowej i nadopiekuńczej babki, książę miał ograniczony kontakt z kobietami, z wyjątkiem pośpiesznie kradzionych całusów obłapianym służącym. Samotne dzieciństwo zrodziło u niego dziecięcy narcyzm - potrzebę brania miłości, nie zaś jej dawania.

Elżbieta była jeszcze bardziej dziecinna i niedoświadczona niż jej młody mąż. Grzeczna dziewczynka, nierozbudzona seksualnie, miała niezbyt jasne pojęcie o cielesnych rozkoszach. Z przerażeniem przyjmowała niezdarne wysiłki Aleksandra, próbującego zaspokoić jej nieokreśloną, romantyczną tęsk-

notę za czymś więcej niż przelotne pocałunki i pieszczoty. Kiedy po raz pierwszy znaleźli się w małżeńskim łożu, byli bardzo zmieszani - Aleksandra paraliżowała nieśmiałość, Elżbieta natomiast trzęsła się i łkała. Żadne z nich nie wiedziało co robić. Niebawem pieszczoty i pocałunki znudziły młodzieńca, więc poczuł się śpiący: - To był długi dzień... Chyba wypiłem za dużo szampana... - Odwrócił się do żony plecami i usnął. Głośne chrapanie męża nie pozwoliło Elżbiecie zmrużyć oka, aż w końcu tuż nad ranem zmogło ją zmęczenie i nuda. Trudno sobie wyobrazić żałośniejszy finał wspaniałego dnia ślubu.

Następnej nocy, niezrażony nieudanymi początkami, Aleksander ponowił nieco śmielsze, acz nadal niezdarne próby uprawiania miłości, jednak i tym razem Elżbieta pozostała niewzruszona. Po mniej więcej tygodniu owych małżeńskich podchodów, stosunki pomiędzy nowożeńcami przekształciły się w relacje bratersko-siostrzane, choć nie wolne od czułych, aczkolwiek mało zmysłowych karesów, które pobudzały Elżbietę, ale nie dawały jej zaspokojenia. Tylko wrodzona delikatność powstrzymywała ją przed okazaniem tego światu. I tak oto narodził się ów długi, złożony związek.

ROZDZIAŁ III

Pomiędzy dwoma światami

Caryca Katarzyna wybudowała nowożeńcom uroczy, żółto-biały pałacyk w Carskim Siole, niedaleko własnej letniej rezydencji. Carskie Sioło - położone jakieś trzynaście mil na południe od Petersburga - stanowiło konglomerację budynków, z których za najważniejszy uchodził potężny Pałac Katarzyny, wzniesiony przez najmłodszą córkę Piotra Wielkiego, Elżbietę, na cześć swej matki, Katarzyny I (jego drugiej żony). Liczne carskie rezydencje tonęły w zieleni rozległych, efektownych parków w stylu angielskim, projektu ogrodników sprowadzonych z Londynu. Park z dużym, sztucznym jeziorem, zdobiły typowo osiemnastowieczne budowle: malownicze pseudoruiny starożytnych świątyń, czarowne "średniowieczne" mosty oraz repliki meczetu i chińskiej wioski. Wille otaczające park zajmowali przedstawiciele arystokracji, jak również carscy oficerowie przyboczni. Caryca spędzała tu lato, a specjalna rampa ułatwiała jej zejście z komnat na dziedziniec, gdyż z wiekiem tak się roztyła, iż schodzenie po schodach nastręczało jej wiele trudności.

Carskie Sioło miało własną szkołę średnią - liceum - dla dzieci z elity. Wszystko to tworzyło zamknięty świat, nad którym górował carski pałac. Tymczasem Wielki Książę Paweł - jak już wspomniano - wiódł samotny żywot w Gatczynie, z dala od znienawidzonej matki, w otoczeniu własnych żołnierzy. Tylko tutaj czuł się panem - niezagrożonym i wszechpotężnym.

Młody Aleksander rzadko odwiedzał ojca w jego posiadłości, gdyż zazdrosna babka sprzeciwiała się ich swobodnym kontaktom. Jednak z chwilą, gdy się ożenił i - zamieszkawszy we własnym pałacu - uwolnił spod nadzoru, stał się w Gatczynie częstym gościem. Od czasu do czasu zabierał ze sobą brata, Kostię. Początkowo szokowało go grubiaństwo i wulgarność oficerów ojca - nieokrzesanych oraz skorych do wypitki. Wszelako z czasem spodobało mu się to środowisko pozbawione manier, a także komenderowanie oddziałami ojca. Widząc zafascynowanie Aleksandra sprawami wojskowości, Paweł - aby pozyskać syna i odciągnąć go od babki - począł uczyć jego i Konstantego sztuki dowodzenia wojskiem. Bo któregóż dziarskiego młodzieńca nie porwałaby muzyka orkiestry wojskowej, widowiskowa zmiana warty, opracowana w szczegółach przez ojca, czy też pozorowane ataki paradnie wystrojonych huzarów?

Powoli, pod okiem Pawła - który przy synach ukrywał zniecierpliwienie wywołane ich uczniackimi błędami - chłopcy nabywali znajomość żołnierskiego rzemiosła. Na tym polu przodował głównie Konstanty, szorstki i brutalny - urodzony służbista. Jako silniejszego z braci i lepszego jeźdźca pociągały go gatczyńskie koszary, uwielbiał bowiem wykrzykiwać rozkazy niskim, nosowym głosem. Gwardziści wypełniali polecenia tej brzydkiej, acz krzepkiej i wojowniczej istoty. Na placu apelowym, Kostia sprawiał imponujące wrażenie, a sylwetką i sposobem bycia górował zdecydowanie nad niepewnym, nader łagodnym Aleksandrem. Fakt, iż Konstanty - wszak mniej inteligentny - szybciej opanował arkana wojskowej profesji, osłabił nieco braterską więź.

Aleksander, ze swą wątłą posturą i cienkim głosem, nie mógł uchodzić za wymarzonego przywódcę. Miał ponadto krótki wzrok, był głuchy na jedno ucho i lekko utykał, co - u jednostki tak niezwykle wrażliwej - zrodziło poczucie niższości. Toteż zazdrościł Kostii umiejętności oraz jego bliższych relacji z ojcem, który wydawał się darzyć większym uczuciem syna przypominającego jego samego, pod względem budowy i temperamentu.

Wkrótce te coraz częstsze wypady do Gatczyny zaczęły służyć chłopcom za pretekst do opuszczania lekcji; paradomania zastąpiła naukę. Paweł nalegał, by jego synowie nosili strój odpowiadający pełnionej przez nich funkcji, tzn. mundur jednostki, którą w danym dniu mieli dowodzić. Jako że w Gatczynie stacjonowało pięć oddziałów - każdy o innym umundurowaniu - chłopcy musieli się często przebierać. Było to zajęcie wyjątkowo uciążliwe, lecz Aleksander w końcu je polubił i z przyjemnością przeglądał się w lustrze, podziwiając wymyślone przez ojca ekstrawaganckie ubiory oparte na rozmaitych pruskich wzorach. Zwykle składały się na nie wysokie buty z fantazyjnymi ostrogami, białe rękawice do łokci, trójgraniaste kapelusze, złote i srebrne szarfy oraz pudrowane peruki z warkoczami przeplatanymi wstążką! Z szablą u pasa i laską w dłoni, Aleksander próbował naśladować ojca, bez końca ćwicząc przed lustrem gesty i rozkazy, jakie będzie wydawał podczas przyszłych parad.

Już po kilku miesiącach wojskowego szkolenia stało się rzeczą oczywistą, że Katarzyna przegrała bitwę o dusze wnuków. Próbowała zapanować nad chłopcami przy pomocy intelektualnej indoktrynacji, opartej na złożonych,

abstrakcyjnych ideach, te jednakże nie zaspokajały ich samczych instynktów. Nie wiedziała, że młodzieńcza energia braci musi się wyładować w ciekawszych zajęciach niż nudna, ściśle przestrzegana dworska etykieta z perukami, koronkami mankietów i ukłonami na francuską modłę. Paweł, ze swej strony, z powodzeniem wykorzystał męską dumę swych synów, i obaj bracia z coraz większą przyjemnością wypełniali wojskowe obowiązki w świecie Gatczyny. Dawało im to poczucie ważności, mile łechtało ich próżność, a jednocześnie nie wymagało zbytniego myślenia. Młodzieńczy bunt przybrał formę protestu przeciwko autorytaryzmowi babki, która dotychczas była jedynie namiastką ojca (wraz ze swym narzędziem, Laharpe'm). Obaj bracia zwrócili się ku swemu prawdziwemu, choć jak dotąd nieobecnemu rodzicielowi.

Tak więc przez następne trzy lata Aleksander prowadził podwójne życie, kursując pomiędzy Gatczyną Pawła, a Pałacem Zimowym i Carskim Siołem Katarzyny. Rodziło to wiele problemów. Ponieważ caryca nie tolerowała mundurów Pawła na swoim dworze, Aleksander - zanim stanął przed jej obliczem - musiał przywdziewać stosowny strój: złotem i srebrem zdobiony dworski frak, obcisłe spodnie do kolan, jedwabne pończochy i lakierki ze złotymi klamrami. W Gatczynie zachowywał się niczym nieokrzesany żołdak, na carskim dworze zaś musiał udawać ułożonego dworaka. Aleksander z powodzeniem odgrywał obie role, lubił bowiem grać, a jedną z jego pasji były amatorskie przedstawienia. Psychologiczne implikacje są oczywiste: niepewne ego wciela się w różne role, narcyz podziwia swe odbicie w lustrze.

Aleksander okazał się znakomitym aktorem. Kiedy zagrał główną rolę w komedii pod tytułem: *Kłamca,* Katarzyna osobiście złożyła mu gratulacje, po czym ucałowawszy go w oba policzki, stwierdziła: - Sasza, byłeś naprawdę wspaniały. Nikt nie zagrałby tego lepiej. - W swym prawdziwym, zdumiewającym życiu - daleko bardziej dramatycznym niż jakakolwiek fikcja - również wystąpi później w roli aktora, a Napoleon nazwie go "Talmą Północy", w nawiązaniu do sławy paryskich teatrów.

* * *

Aleksander znalazł wkrótce przyjaciół i wzory do naśladowania wśród kolegów-oficerów w Gatczynie, i coś, czego potrzebował, lecz nigdy przedtem nie doświadczył - towarzystwo innych młodych mężczyzn. Wyjątkową sympatią darzył księcia Aleksandra Golicyna, instruktora jazdy konnej i fechtunku. Aleks był jedynym synem bogatego ziemianina, dziedzicem olbrzymiej fortuny, a wysoka pensja pozwalała mu spędzać czas w towarzystwie zepsutych młodzieńców. Śniada cera, bujne kędziory, rzymski nos i ciemny wąsik sprawiały, iż prezentował się znakomicie zarówno na torze jeździeckim w Gatczynie, jak w salonach Petersburga. Jego cięty dowcip, bystry umysł, a także pogodne usposobienie oraz beztroska urzekły Aleksandra zrażonego nieokrzesaniem większości gatczyńskich oficerów.

Pewnego styczniowego dnia 1794 roku Golicyn, dostrzegając przygnębienie Wielkiego Księcia, rzekł: - Coś mi się widzi, że Waszej Wysokości przydałaby się odrobina rozrywki; na przykład wizyta u Cyganek w "Czerwonej Oberży".

Aleksander nigdy przedtem nie słyszał o tym miejscu, a kiedy przyjaciel objaśnił mu, co to za przybytek oraz jakie oferuje uciechy, spiekł raka, po czym wymamrotał: - Mój drogi Aleksie, jestem żonaty i nie chciałbym zdradzać żony. - Pozwolę sobie zauważyć - ten odparł z uśmiechem - iż Wasza Wysokość zdaje się zapominać o nadrzędnej wierności, wierności heroicznej, na którą powinno być stać rosyjskiego oficera, a mianowicie - wierności kilku kobietom jednocześnie. - Choć nie do końca przekonany, Aleksander z początku nie odrzucił zaproszenia - nie chciał bowiem uchodzić za mniej śmiałego i męskiego od pozostałych - lecz po chwili zadumy zaczął z innej beczki: - Mój drogi Aleksie, jakże mogę, przy mojej pozycji, udać się do Cyganek tak, by cały Petersburg się nie dowiedział i nie trąbił o tym na lewo i prawo?

- Zadbam o wszystko, Wasza Wysokość. W czarnej peruce i cywilnym ubraniu wystąpicie jako mój przyrodni brat, Piotr, który właśnie przybył z Ukrainy, aby zamieszkać na sezon w stolicy. Co więcej, zarezerwuję dla naszego szwadronu kawalerii całą oberżę, tak żeby tego wieczoru nie popsuł nam jakiś żałosny piechur czy godny pogardy cywil. Czy tak będzie dobrze?

- Jesteś geniuszem, Aleksie! Chodźmy więc. Co sądzisz o przyszłej sobocie?

* * *

I rzeczywiście, w sobotnią noc pół tuzina pokrewnych dusz wyruszyło dwiema trojkami w kierunku "Czerwonej Oberży". Powożący, w futrzanych czapach i kożuchach, gnali konie galopem przez jakie cztery mile po zaśnieżonych drogach, w stronę Petersburga. Rącze rumaki pokrywała gęsta siatka, chroniąca woźniców przed odłamkami lodu pryskającymi spod kopyt. Zwierzęta z całych sił napinały wędzidła, ciągnąc sanie oblodzonymi drogami, wijącymi się niczym srebrzyste wstęgi w świetle księżyca. Zatrzymali się przed parterowym budynkiem, bielonym i zdobionym sztukaterią, którego dach przykryty śnieżną pierzyną podtrzymywał olbrzymie sople, zwisające z okapu, zaś odrzwia i framugi przyciągały oko jaskrawą czerwienią. Była to owa legendarna "Czerwona Oberża", której uciechy Golicyn tak obrazowo przedstawił Aleksandrowi.

Gdy tylko goście weszli do sieni, młode Cyganki pomogły im zdjąć ciężkie futra, po czym oficerów powitał właściciel - stary, siwy mężczyzna w krótkim, czarnym, orientalnym kaftanie, wyszywanym żółtym i zielonym jedwabiem, oraz zdobionym srebrnymi cekinami. Gnąc się w pół w ukłonach, poprowadził gości do dużej, prostokątnej sali, wypełnionej światłem świec kutego w żelazie żyrandola oraz blaskiem kominka. Pokryte tynkiem, odrapane ściany zdobiły jedynie dwie akwaforty w lakierowanych, drewnianych ramach; jedna z

nich przedstawiała Piotra Wielkiego na koniu, podczas inspekcji wojska przed bitwą nad Połtawą, druga zaś - Katarzynę Wielką w koronacyjnym stroju.

Cztery młode Cyganki-kelnerki, w równie barwnych kaftanach i luźnych, tureckich pantalonach, usadowiły gości przy ciężkim, dębowym stole, obok kominka, w którym trzaskały polana. Przygotowano wystawną ucztę: na środku stołu spoczywało prosię z rusztu oraz spore kawały pieczonego jagnięcia, w otoczeniu wykwintnych smakołyków - kawioru, zimnych mięs i dań rybnych - a także butelek wina i wódki. Goście jedli i pili, gdy tymczasem z przeciwnej strony jadalni wyłoniła się grupa śpiewaków i tancerzy. Smukli, śniadzi młodzieńcy w haftowanych koszulach i wschodnich pantalonach, stanąwszy w półkolu, brzdąkali na mandolinach, nucąc w takt muzyki, podczas gdy tyleż samo tancerek wirowało dokoła w tradycyjnych, fałdzistych spódnicach i jedwabnych bluzkach. Ich głowy okrywały żółte, niebieskie i zielone chusty, na szyjach zaś połyskiwały sznury złotych i srebrnych monet. Kapela przygrywała, a tańczące dziewczęta z tamburynami w dłoniach, szczerząc zęby, obsesyjnie wybijały stopami porywający rytm. Śpiewali melancholijną, zmysłową pieśń o cygańskim losie i nieszczęśliwej miłości na bezkresnych, rosyjskich stepach tudzież o podróżach do egzotycznych krajów, sercach złaknionych miłości, szukających ukojenia w desperackich wyczynach lub samobójczej śmierci. Salę wypełniło pobrzękiwanie złotych monet oraz zawodzenie męskiego chóru, któremu wtórowało gardłowe staccato tancerek. Tempo rosło, aż wreszcie wyciągnęły w kierunku gości rozpostarte ramiona i dumnie odrzuciły głowy.

Brzmienie rzewnych melodii, cała ta niesamowicie hipnotyzująca scena, głęboko poruszyła Aleksandra, który niewiele jedząc, przyglądał się jedynie i żłopał szklankami kaukaskie wino, jakiego nalewali mu kompanii. Wtem, zza pleców muzyków wyskoczył młody, ciemnoskóry Cygan w białej koszuli, czarnych pantalonach i czerwonych butach. Klepnął się w kolana i wykonał pojedynczy piruet, w zawrotnym tempie odtańczył solowy numer, po czym kompletnie wyczerpany zakończył popis widowiskowym skokiem, lądując na podłodze. Ustały muzyka i śpiew. Przedstawienie dobiegło końca.

Ponownie pojawili się kelnerzy, serwując szampana w ogromnych kielichach. Każdy z gości brał jeden z nich, składał niski ukłon, następnie wstawał, by wypić zawartość jednym haustem. Uczyniwszy to podnosił kielich do góry nogami, aby pokazać, iż nie uronił ani jednej kropli, po czym rzucał go za siebie na podłogę. Pito bez umiaru. Aleksandrowi, który z reguły nie nadużywał trunków, zaczęło się kręcić w głowie. Z czasem do oficerów dołączyły dziewczęta, siadając im na kolanach, całując ich i zachęcając do śpiewu. Oszołomiony Aleksander, chowany pod kloszem, nigdy przedtem nie słyszał pieśni, które pozostali znali już na pamięć, nie wyłączając słów orgiastycznego refrenu:

Bez rosyjskich pijatyk
Cygańskich ognistych śpiewów
Nie byłoby zabawy,
Pijmy i śpiewajmy

Aby nie wyjść z wprawy!

Gdy świat zaczął mu wirować przed oczyma, Aleksander spostrzegł, jak jego towarzysze porywają Cyganeczki i umykają z nimi do pokojów sąsiadujących z jadalnią, bądź też na poddasze. Bawiąc w "Czerwonej Oberży" po raz pierwszy, nie podążył ich śladem, toteż jedna z tancerek, pulchna, acz nadal piękna kobieta około trzydziestki, o śniadej karnacji i błyszczących czarnych oczach, widząc jego nieśmiałość, podeszła doń i zapytała: - Kim jesteś? Nigdy przedtem nie widziałam cię tutaj. Czemuś taki smutny? Zdaje się, żeś samotny... Na imię mi Marusia. Jestem solistką w chórze. Chodź, poprawię ci humor...

Po chwili pocałowała go namiętnie w usta, wzięła za rękę i zaprowadziła do swego pokoju na górze.

* * *

Po tej styczniowej nocy Aleksander został stałym bywalcem "Czerwonej Oberży". Płomienna miłość Marusi wyraźnie kontrastowała z chłodem małżeńskiego łoża, bezwolnym i beznamiętnym oddawaniem się niedoświadczonej seksualnie Elżbiety. Znalazł ożywczy nektar, który zrewolucjonizował jego pojęcie erotyki, co stało się w jego życiu punktem zwrotnym. Dziwił się, jak mógł się dotąd bez tego obywać i marnotrawić swą młodość. Swoją drogą, dręczyła go myśl, czy podczas tych upojnych nocy Marusia nie udawała, czy nie była to wyrafinowana gra przebiegłej Cyganki, chcącej ocyganić bogatego młokosa? Po paru spotkaniach przestało to mieć dlań jakiekolwiek znaczenie. Przez kilka tygodni żył jak w transie. Po kilkunastu wizytach w "Czerwonej Oberży" zaczął przypominać uzależnionego, gotowego zapłacić każdą cenę za wymarzony narkotyk.

Jak można było przewidzieć, Marusia z czasem zapragnęła poznać tożsamość swego kochanka.

- Nie opowiadasz mi zbyt wiele o sobie. Kim jesteś?

- Mówiłem ci przecież. Jestem młodszym bratem przyrodnim Aleksa Golicyna.

- Dziwne. Wcale nie jesteście podobni. Musisz być bardzo bogaty. Nikt jak dotąd nie dał mi za noc pięciuset rubli.

- Cóż, mój ojciec jest zamożnym ziemianinem i wyznaczył mi wysoką pensję. Jako magnacki syn wierzę, że pieniądze są jak nawóz - na nic się zdadzą, jeśli się ich nie rozrzuca na lewo i prawo. Opowiedz mi raczej o sobie i swoich ziomkach. Kim jesteście? Skąd pochodzicie? Czy prawdę mówiła moja piastunka, że Cyganie to pogańscy czciciele diabła, którzy porywają i zabijają chrześcijańskie dzieci?

- Co za brednie! My także jesteśmy chrześcijanami! Może nie takimi jak wy, prawosławni, ale jednak chrześcijanami. W końcu Chrystus był Cyganem, bo

przecież Najświętsza Dziewica była Cyganką. A jako że Jezus był jednym z nas, znamy wiele opowieści o Naszym Panu. Na przykład, ojciec z dziadkiem opowiadali mi, że to właśnie Cyganowi, kowalowi o imieniu Romi, rzymski centurion rozkazał wykuć gwoździe do ukrzyżowania Chrystusa. Romi uważał to za zbrodnię. Ociągał się jak długo tylko mógł, aż w końcu odmówił dokończenia pracy, twierdząc, że mimo jego usilnych starań gwoździe wciąż pozostawały krzywe i rozgrzane do białości, i nie nadawały się do krzyżowania. Centurion zabił go za to. Uważamy Romiego za pierwszego chrześcijańskiego męczennika. Jak widzisz, nad moim łóżkiem wisi jego ikona, przed którą pali się oliwna lampka.

- Skąd wzięli się Cyganie? Jak oni żyją?

- Tego nie wiem dokładnie. Mój dziadek mówi, że przybyliśmy do Europy wiele pokoleń temu z terenów Azji. Wielu naszych ludzi pielęgnuje tradycję św. Romiego, pracując w metalu. Robią i naprawiają garnki i patelnie. Wykonują też podkowy. Niektórzy są kowalami i druciarzami, inni - muzykami. Gwoli ścisłości, mój starszy brat pracuje jako kowal w jednym z pułków kawalerii w stolicy.

- Powiadają również, że wasi ludzie, a zwłaszcza kobiety są jasnowidzami i potrafią przepowiadać przyszłość.

- To bajki, Piotrze. Jasnowidztwo to wielki dar boży. Tylko niewielu nim obdarzono. Ponieważ żyją w biedzie, wielu naszych ludzi udaje, że jest w stanie przepowiedzieć przyszłość, by zarobić parę groszy. W pewnym sensie przypominamy Żydów. Rozproszona rasa prześladowanych tułaczy, próbujących jakoś związać koniec z końcem. Wieki cierpień wyostrzyły naszą intuicję, nasz szósty zmysł. Szczerze mówiąc, proste Cyganki przepowiadając przyszłość zwyczajnie oszukują i kłamią. Próbują wpierw wyczuć, co klienci chcieliby usłyszeć, a następnie przepowiadają - zgodnie z ich marzeniem - miłość, pieniądze, podróże, przygody. Cóż w tym niezwykłego?

- A ty, Marusia, możesz mi powróżyć?

- Widzisz, Piotrze, bez trudu mogłabym postąpić tak jak inne Cyganki i kazać ci jeszcze za to zapłacić. Ale ty jesteś taki miły, delikatny i hojny. Coraz bardziej cię lubię. Może nawet zakochałam się w tobie... Nie zamierzam cię oszukiwać. Nie posiadam daru przepowiadania przyszłości. Na życie zarabiam śpiewając, tańcząc, dostarczając mężczyznom rozrywki...

- Szkoda. W moim obecnym położeniu wiele bym dał za to, by się dowiedzieć, co los chowa dla mnie w zanadrzu.

- Chyba będę mogła ci pomóc. Mój stryj, Munro, jest wybornym wróżbitą i jasnowidzem, istnym czarodziejem. Chcesz się z nim zobaczyć? Przepowie ci przyszłość z ręki, z kart, z fusów, z czego tylko zapragniesz; jest też uczonym astrologiem.

- Ależ tak. Gdzie go znajdę? Chodźmy do niego zaraz.

Stryj Munro, jak się okazało, mieszkał z dala od swoich, na przedmieściach Petersbrurga. Ożenił się z kobietą prawosławną, Mołdawianką, również pewnego rodzaju czarodziejką. Munro - człowiek niezwykle zajęty - posiadał sporą klientelę, złożoną z samych ważnych osobistości. Rady zasięgali u niego

wielcy książęta, cudzoziemscy dyplomaci, rozmaici dygnitarze. Jednak Marusi udało się zorganizować wizytę dla Aleksandra w przeciągu tygodnia, po znajomości.

* * *

Razem udali się do małego domku na południowym krańcu przedmieścia Petersburga, niemalże na wsi. Drewniana chatka stryja Munro, kryta strzechą, poczerniała z wiekiem. Goście zapukali do malowanych drzwi, które po chwili otworzył im stary Cygan, odziany w długi orientalny czarny strój. Potem udali się do dużej, słabo oświetlonej izby, gdzie starzec zatopił się w niskim fotelu. Po krótkim przywitaniu, stryj Munro zaproponował, aby zobaczyć najpierw, co mówią fusy. Marusia oddaliła się do sąsiedniej izby, a tymczasem stara, wysoka, koścista kobieta w bogato zdobionych szatach wniosła imbryk z gorącą wodą, torebkę z herbacianymi liśćmi i dwa mosiężne kubki. Gdy ceremonia picia herbaty dobiegła końca, stryj Munro wysypał fusy z kubka Aleksandra na biały talerz i począł im się wnikliwie przypatrywać. Potem, mamrocząc pod nosem jakieś dziwne zaklęcia, zaczął rozgrzebywać liście długim, białym gęsim piórem. Po dokładnych oględzinach, zebrał je wszystkie na dłoni, dodał garść ziół i wrzucił całość do pojemnika z płonącymi węglami, stojącego pośrodku izby. Wdychając silny zapach wypełniający całe pomieszczenie, Cygan-jasnowidz począł mówić szeptem: - Kobiety, kobiety, zbyt wiele kobiet... Raz ci pomogą, innym razem zaszkodzą... Stosunki w rodzinie - nie dobre. Za dużo zawiści, podejrzliwości, ambicji, pychy i ... zdrady. Twój ojciec wkrótce umrze - co za dziwna i straszna śmierć! Zaklinam cię, abyś nie miał z tym nic wspólnego... Potem widzę jak dokoła ciebie rozlewa się jeszcze więcej krwi... całe morze krwi... Chaos, intryga, chaos! Twoje życie rozdwaja się w połowie. Widzę to wyraźnie, ale nie wiem, co to oznacza... Zbyt wiele zamętu dokoła ciebie... Nie mogę już dłużej. Stary jestem, zmęczony. Może moja żona... jest młodsza i widzi przyszłość wyraźniej, ona może nam pomóc.

Starzec rozparł się w fotelu i przez chwilę odpoczywał, głośno oddychając. Potem klasnął w dłonie trzykrotnie i wnet ukazała się postać wychudzonej kobiety, która wcześniej podawała herbatę. - Usiłowałem powróżyć temu młodzieńcowi - zwrócił się do niej - ale jakoś nic nie rozumiem. Jest tu zbyt wiele rzeczy dziwnych i strasznych, których nie mogę pojąć. Może ty dokończysz?

Siadając na przeciwko Aleksandra po turecku, kobieta ukłoniła się nisko i poczęła przenikliwie wpatrywać się w jego czoło, swymi zielonymi, błyszczącymi oczyma osadzonymi w wąskiej, bladej twarzy. Po chwili milczenia wyciągnęła torebkę z ziołami zza pasa i wrzucała je jedno po drugim do pojemnika z rozżarzonymi węglami. Znowu izbę wypełnił silny zapach, który nieco zemdlił Aleksandra. Po jakimś czasie, kobieta wyszeptała: - Nie jesteś tym, za kogo się podajesz... Dlaczego to robisz?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, z wyrazem ostrego bólu i przerażenia na twarzy, zaczęła się szamotać i wyrzucać z siebie zdanie po zdaniu. Jej szept stopniowo przerodził się w krzyk: - Widzę, jak duszą mężczyznę. To ktoś bardzo ci bliski, krewny. Ty pniesz się w górę, ale - głupi ty - rzucasz wyzwanie człowiekowi na białym koniu. On cię tratuje, a potem obejmuje. Wyrywasz się z jego uścisku. Zdrada. Wojna, wojna, straszliwa, krwawa wojna. Ostatecznie go pokonujesz, ale płacisz straszną cenę. Potem coś się stało... coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Dalekie podróże do odległych krajów... Długi żywot pustelnika... jeszcze jedno długie życie w samotności...

- A co z Rosją? Co stanie się z naszą ojczyzną?

Po długiej chwili kobieta powróciła do ledwie słyszalnego szeptu. - Nie wiem... Nie rozumiem tego, co widzę. Te okropne obrazy w mojej głowie przechodzą moje pojęcie. - Mamrotała coś o olbrzymiej czerwonej powodzi zalewającej Rosję, o wielkiej wojnie i milionach trupów... - A teraz widzę żółtą powódź! Żółtą powódź zatapiającą cały kraj... - Tu porwał ją histeryczny szloch. Trzęsąc się, upadła i zemdlała. Jej lica stały się białe niczym kreda, ciało leżące w bezruchu wydawało się pozbawione życia. Stryj Munro klasnął dwa razy w dłonie i Cygan-służący wyniósł zesztywniałą postać. Tak skończyły się wróżby, Aleksander i Marusia wyszli po cichu z izby.

Wspaniała przygoda z Marusią i Cyganami, która obudziła u Aleksandra chęć do życia, trwała jeszcze przez kilka tygodni. Potem, nagle, jego euforię przerwała wieść o tym, że Golicyn i jego towarzysz zarazili się rzeżączką. Bolesne leczenie polegało na przepłukiwaniu moczowodu i wstrzykiwaniu olejku z drzewa sandałowego tudzież na przyjmowaniu dużych dawek silnych, gorzkich naparów. Aleks powoli wracał do zdrowia. Jednak, po tym jak pewnej nocy jego gorący temperament kazał mu szukać miłosnej przygody, lekarz zalecił tak duże upuszczenie krwi, że biedny Golicyn, osłabiony i wymarniały, z ledwością wstawał z łóżka.

Wielki Książę Paweł wpadł w furię. Chorzy oficerowie byli jedynymi instruktorami szermierki i jazdy konnej w czasie, gdy księciu dostarczono grupę nieopierzonych rekrutów dla jego szwadronu kawalerii. By znaleźć zastępstwo natomiast, książę musiałby uzyskać zgodę Katarzyny. W przypływie wściekłości Paweł ogłosił "Czerwoną Oberżę" strefą zakazaną dla oficerów garnizonu, w tym i dla Aleksandra, co - nie trzeba dodawać - było dla tego ostatniego dotkliwym ciosem. Brutalnie oderwany od towarzystwa Marusi i od przepełniającej jego duszę cygańskiej muzyki, Aleksander boleśnie przeżył rozstanie. Stracił apetyt, nie mógł spać, ogarnęła go depresja. Chwilami był bliski samobójstwa.

Wkrótce potem, utracił przyjaciela z dzieciństwa i mentora w jednej osobie - Laharpe'a. Ten bowiem, świadom, iż nie jest już nikomu potrzebny, z mieszanymi uczuciami opuścił pałac i poślubił szesnastoletnią dziewczynę z rodziny Niemców bałtyckich, rezydujących w Petersburgu. Nieokrzesany Konstanty często nadużywał cierpliwości Laharpe'a. Poza tym, bezeceństwa na dworze Katarzyny coraz bardziej szokowały tego szwajcarskiego purytanina. Wreszcie, wybuch Rewolucji Francuskiej sprawił, że ponownie zaczęto go traktować

z podejrzliwością jako radykalnego republikanina. Nawet Katarzyna, aczkolwiek sama frankofilka, zdecydowanie występowała przeciwko Rewolucji i wszystkiemu, co się z nią wiązało. Laharpe doradzał jej, by nie przyłączała się do zbrojnej interwencji Prus i Austrii przeciwko rewolucyjnej Francji. Ta jednak, zirytowana radami preceptora, zwolniła go w grudniu 1794 roku, prawie dwa lata po tym, jak Rewolucja zgładziła Ludwika XVI. Nauczyciel i uczeń rozstali się we łzach. Aleksander hojnie obdarował Laharpe'a na pożegnanie, ten zaś opóźnił swój wyjazd do maja, utrzymując się z prywatnych funduszy wielkiego księcia. - Mój drogi przyjacielu! Nie zapomnij o mnie! - Laharpe nie zapomniał.

* * *

Za panowania carycy Katarzyny Imperium Rosyjskie niesłychanie się rozrosło. Wewnętrzne spory w sąsiednich krajach - Polsce i Turcji - zaostrzyły jeszcze apetyt Katarzyny na terytorialne zdobycze. W państwie polskim obowiązywała elekcja, wobec czego Katarzyna postarała się o to, aby w 1764 roku jej były kochanek, Stanisław Poniatowski zasiadł na polskim tronie. Rewolta, wspierana przez Francuzów, wprowadziła na scenę także Turków, jednakże Rosjanie zadali im ciężką klęskę i wyrwali chwiejącemu się Imperium Otomańskiemu nie tylko księstewka naddunajskie, ale także część Krymu (1769-70). Rosyjskie podboje zaalarmowały nie tylko Austrię, lecz również Prusy. Ażeby nie dopuścić do wybuchu na pozór nieuniknionej wojny, przebiegły król pruski, Fryderyk II, zaproponował Katarzynie i cesarzowej Austrii, Marii Teresie, rozbiór Polski. Pierwszy z owych bankietów, podczas którego monarchie te urządziły sobie ucztę kosztem nieszczęsnych Polaków miał miejsce w roku 1772. Owa cyniczna zaborczość zaszokowała niemalże całą Europę, podział polskich łupów wszelako scementował przymierze pomiędzy tymi trzema mocarstwami na prawie całe stulecie.

Tak więc, po wojnach z Turcją, Rosja umocniła swą pozycję na północnym wybrzeżu Morza Czarnego, a do tego zagarnęła dla siebie kawałek Polski i Litwy. Tymczasem Katarzyna planowała dalsze podboje, zwłaszcza Konstantynopola i Cieśniny Czarnomorskiej. Bo czyż jej drugiemu wnukowi, gburowatemu Konstantemu, nie było przeznaczonym, aby kiedyś zasiąść na bizantyjskim tronie, w mieście noszącym jego imię? Kiedy w roku 1774 Turcy musieli uznać prawo Rosji do ochrony prawosławia na zarządzanych przez nich terenach Grecji, Rumunii, Bałkanów i Ziemi Świętej, Katarzyna znalazła doskonały pretekst do interwencji. Już od jakiegoś czasu wywierała na nich presję, tym razem jednak rosyjskie intrygi mające na celu rozczłonkowanie Imperium Otomańskiego pokrzyżowała poddenerwowana Anglia, po której stronie stanęły zarówno Prusy, jak i Szwecja. Tak rozpoczęła się długa i zaciekła rywalizacja pomiędzy Petersburgiem i Whitehallem o cieśninę łączącą Morze Czarne ze Śródziemnym.

Drugi i trzeci rozbiór Polski zapewnił Rosji lwią część tego, co niegdyś wchodziło w skład potężnej Rzeczypospolitej Polski i Litwy: Kurlandię, Litwę, Wołyń, Podole i Białoruś. Od śmierci Piotra Wielkiego ludność Imperium Rosyjskiego wzrosła z 18 do 30 milionów, głównie w wyniku podbojów Katarzyny. Niemniej jednak, nie wszystko szło gładko. Drugi rozbiór Polski wywołał w 1794 roku powstanie narodowe, stłumione przez rosyjskie wojska pod wodzą bohatera wojen tureckich, marszałka polowego Aleksandra Suworowa.

Przywódców powstania osadzono w twierdzy Pietropawłowskiej u ujścia Newy. Było wśród nich dwóch oficerów, potomków potężnego i zamożnego rodu Czartoryskich. Bracia, Adam i Konstanty, których ojciec i dziad przewodzili niegdyś frakcji prorosyjskiej, byli zbyt cenni, ażeby trzymać ich w lochach. Katarzyna kazała zatem sprowadzić ich do Petersburga, gdzie mieli przebywać pod ścisłą obserwacją. Traktowano ich jako politycznych zakładników, na wypadek, gdyby Czartoryscy chcieli użyć swych wpływów. Caryca wyznaczyła ich do służby u swych wnuków; Adam miał służyć jako adiutant Aleksandra, natomiast młodszemu - Konstantemu - nakazano służyć u jego imiennika.

Wielki Książę Aleksander z miejsca zapałał sympatią do wysokiego, ciemnowłosego, eleganckiego młodzieńca, którego wydatne szczęki i żwawe ruchy zdradzały naturę pewną i energiczną. Siedem lat starszy od swego nowego mocodawcy, książę Adam był wytwornym dżentelmenem, imponującym elokwencją i ogładą. W Paryżu, Londynie i Edynburgu - tym szkockim centrum myśli oświeceniowej - studiował był prawo, historię i ekonomię polityczną. Zorientowany w wielu sprawach, potrafił wypowiadać się mądrze na rozmaite bieżące tematy; poza tym posiadał parę cech, których Aleksandrowi brakowało, a mianowicie: stateczność, samodyscyplinę oraz głębię.

Ale i na odwrót: na Czartoryskim jego młody zwierzchnik wywarł wielkie wrażenie, okazał się bowiem przystojny, czarujący i inteligentniejszy niż można się było spodziewać. "Umysł Aleksandra jest żywy, celny i chłonny" - pisał Adam w liście do ojca, do Polski - "Pomimo licznych luk w wykształceniu, będących wynikiem nieskutecznych metod nauczania Laharpe'a, a także wrodzonego lenistwa Wielkiego Księcia, jego sądy są trafne, przy czym posiada zdumiewającą intuicję. Wprawdzie brak mu rozległej wiedzy, ale dużo rozumie".

Aleksander nie krył podziwu dla precyzji, z jaką jego adiutant wyrażał swe myśli, tak odmiennej od pustosłowia i frazesów dworzan. "Ależ mam bystrego, wszechstronnego adiutanta!" - pomyślał sobie Aleksander po ich pierwszym spotkaniu. Aczkolwiek nieugięty w sprawach etykiety, Polak był wolny od bizantyjskiej służalczości, zadomowionej na obu dworach, Katarzyny i Pawła. "Cóż za kontrast - dumał Aleksander - w rzeczywistości jest więźniem, zakładnikiem, a zachowuje się jak człek wolny, wielki pan". - Szybko zrezygnował z pozorów wyższości wobec adiutanta, okazując mu jawną serdeczność. Od razu zaczął mu mówić po imieniu - rzecz niezwykła w dworskich kręgach Rosji - a po kilku dniach zaprosił go na nieoficjalny obiad do swojego pałacu. Od pierwszej chwili Czartoryski pozostawał pod wrażeniem delikatnej

urody Wielkiej Księżny Elżbiety i jej łagodnego czaru, wszelako nie szczędząc jej komplementów, zachowywał zawsze właściwy dystans. I tak oto te trzy jednostki, których losy będą się ze sobą splatać przez następnych kilkadziesiąt lat, połączył długi i zażyły związek.

* * *

Wkrótce Aleksander i Adam nabrali zwyczaju przechadzania się wspólnie wokół Carskiego Sioła. Aleksander zwierzał się przyjacielowi ze swych eskapad do Cyganów, powierzając mu także inne sekrety natury osobistej. Z upodobaniem wspominając dzieciństwo, zaskakiwał swego polskiego towarzysza zdumiewającą szczerością. - Kiedy miałem pięć lat moja babka przejęła całkowitą kontrolę nad moim wychowaniem... Jako dziewięcioletni dzieciak zacząłem pojmować, o co jej naprawdę chodzi. Na przykład, pamiętam starcie pomiędzy jej dwoma kochankami, Aleksym Orłowem i Potiomkinem. Odbyło się to na moich oczach, w apartamentach babki. Niecodzienny to widok: dwóch rywali poróżnionych przez nienawiść i zazdrość.

Aleksander wyławiał wspomnienia i przedstawiał je księciu Adamowi z prośbą o komentarz. - Pewnego razu służący przyprowadzili mnie i Kostię przed oblicze babki. Ogromną salę o rzeźbionym, złoconym suficie, wypełniali dworzanie, ona sama zaś - okryta białą peleryną - siedziała przy toaletce. Pokojówki kończyły właśnie wymyślną fryzurę, upinając jej włosy wysoko nad czołem i układając wokół skroni. Na nasz widok uśmiechnęła się i odrzekła, z wyraźnym niemieckim akcentem: "Czyż to nie piękni chłopcy, mój smukły Sasza i pucołowaty Kostia!" Tak, moja babka hołubiła mnie i rozpieszczała bardziej niż Kostię. Ale, siedząc na jej kolanach, byłem świadom odrażającego zapachu jej ciała, mimo iż nadużywała francuskich perfum. Niemiło drażnił moje nozdrza... Nie lubiłem także jej dłoni - żółtych, pomarszczonych, wilgotnych - o zakrzywionych palcach, zakończonych długimi paznokciami, które przywodziły na myśl ręce chciwej czarownicy. W wiecznie zamglonych, szarych, znużonych oczach czaiły się przebiegłość i nikczemność... Chociaż prywatnie zwracałem się do babki per "babuniu", przy wszystkich tytułowałem ją "Wasza Cesarska Mość"... To były szczęśliwe czasy... Wtedy jeszcze miałem złudzenia...

Podczas jednego ze spacerów Aleksander wyznał Adamowi, iż początkowe przywiązanie do babki ustąpiło miejsca gorzkiej pogardzie. - Czy wiesz, że jej obecny kochanek, Płaton Zubow, prostak, ograniczony młodszy oficer gwardii, jest od niej o ponad trzydzieści lat młodszy? Wprawdzie Potiomkin także był grubiański i brutalny, ale przynajmniej nie brakowało mu dowcipu, charakteru i inteligencji. Biły od niego władza i potęga. Zubow to skończone zero. Jest najbardziej żałosny i nijaki ze wszystkich jej kochanków; przypomina zombi. Lekceważy dworską etykietę, a babka pozwala mu na zbyt wiele... Pewnego ranka widziałem, jak Zubow w szlafroku wychodził z pokoju carycy, a jej pie-

sek biegł za nim wściekle ujadając. Nawet dwóch kamerdynerów, strzegących jej sypialni nie mogło powstrzymać się od śmiechu... Czuję wstyd na samą myśl, że moja babka zachowuje się tak skandalicznie, jak zwykła dziwka...

Czartoryski nie wiedział, czy te opinie, które osiemnastoletni Wielki Książę z taką otwartością wyrażał w miejscu publicznym są szczere, czy miały go tylko ożywić i skłonić do wyznania, co naprawdę sądzi o Rosji i o samym Aleksandrze.

W rozmowach z Adamem, Aleksander nie unikał także poważniejszych tematów, na przykład, planowanych liberalnych i humanitarnych reform dla Rosji. Tym politycznym fantazjom kształt nadawały wpojone mu przez Laharpe'a republikańskie ideały. Choć młody Czartoryski zasadniczo zgadzał się z jego poglądami, to czuł, iż musi tonować co śmielsze projekty. - Monarchia dziedziczna to instytucja niesprawiedliwwa i przestarzała - klarował Wielki Książę przyjacielowi. - Najwyższa władza nie powinna nikomu przypadać z urodzenia, lecz z woli narodu. - Zaskoczony Adam wysunął argumenty przemawiające przeciwko tak nieortodoksyjnym sądom, po czym ostrzegł go: - Zobacz tylko, ile wycierpiała Polska z powodu wolnych elekcji! One to paraliżowały w polskim narodzie siły twórcze, czyniąc z mojego kraju łatwy łup dla lepiej zorganizowanych, zachłannych sąsiadów. Weźmy choćby niedawne rozbiory!

Aleksander zapałał świętym oburzeniem: - Rozbiory Polski to jedna z największych zbrodni naszego stulecia! Po cóż Rosji więcej ziemi? I tak z trudem zarządzamy tym, co już posiadamy. Jeżeli kiedykolwiek wstąpię na rosyjski tron, to z miejsca zadośćuczynię Polsce za tę perfidną i skandaliczną grabież, zwracając jej wolność.

Książę Adam nie krył zakłopotania. Czy wielki książę naprawdę tak myślał? - Tylko z tobą mogę rozmawiać szczerze - Aleksander zapewniał towarzysza. - Zwierzył mu się jednocześnie ze swej dziwnej fascynacji wojskową pompą i ceremoniałem. - Gdy byliśmy mali, przebieraliśmy się z Kostią w ciemnozielone mundury pułku siemionowskiego. Najbardziej podobały nam się kapelusze z czarnymi piórami. Kiedy przejeżdżaliśmy w nich ulicami miasta, żołnierze salutowali nam, a cywile zdejmowali nakrycia głowy w niskim ukłonie; kobiety dygały. Jakże miło jest wzbudzać podziw tłumów!... Gdy mijaliśmy straże, warta honorowa pułku preobrażeńskiego prezentowała broń. Zawsze uwielbiałem widok tych szykownych wojaków, stojących na baczność. Przepadam za musztrą, ćwiczeniami, widowiskowymi paradami... - Mając na myśli historię Narcyza, Czartoryski mruknął zapewne: - Lubisz się przeglądać w rozwartych z podziwu oczach innych ludzi. - Nie mógł jednak odpędzić natrętnej myśli: "Oto radykalny republikanin, przysięgły liberał, a przy tym próżny militarysta..."

Aleksander namiętnie uwielbiał przyrodę. Kwiat, soczysta zieleń drzewa czy też falujący, nizinny pejzaż wprawiały go w niemy zachwyt. Kochał wieś i marzył o prostym, chłopskim życiu, o jakim czytał u Rousseau lub jakie przedstawiały sztuki pasterskie, tak często grywane na dworze jego babki. - Mam powyżej uszu - zwierzył się kiedyś Czartoryskiemu - sztuczności i hipokryzji

dworu. Czyż nie byłoby wspaniale osiąść, dajmy na to, w starym zamku nad Renem, zagłębić się w ciekawej lekturze, uprawiać sad lub winnicę, albo kupić plantację bawełny w Wirginii?

Książę Adam kwitował uśmiechem podobne okrzyki: - A co z twoim krajem, poddanymi? Jakąż korzyść przyniosłoby Rosji ustąpienie przyszłego władcy, tak doskonale przygotowanego do swej roli? Urodziłeś się z koroną na głowie i wyrzeczenie się jej byłoby aktem moralnego tchórzostwa. Jesteś przypisany do tronu, tak jak chłopi do ziemi. To twoje przeznaczenie.

* * *

Katarzyna z przerażeniem obserwowała narastający terror Rewolucji Francuskiej. Położyło to ostatecznie kres jej flirtowi z zachodnimi intelektualistami i snobowaniu się na liberalizm. Popiersie Woltera przeniesiono z gabinetu do piwnicy, a francuskiemu ambasadorowi w Rosji caryca rzuciła na odchodne: - Lepiej by było dla pana pozostać w Rosji, nie zaś pchać się w samo oko cyklonu. Pańskie upodobanie do tej nowej filozofii i wolności zapewne skłoni pana do opowiedzenia się po stronie ludu. Z góry ubolewam, ja bowiem zamierzam pozostać arystokratką. - Po czym dodała z dumą: - To jest moje *métier.* - Rozruchy i masakry, których punktem kulminacyjnym stało się zgilotynowanie króla i królowej doprowadziły ją do dzikej furii. Stracenie Marii Antoniny poruszyło ją bardziej aniżeli śmierć Ludwika. Na ostatek zerwała wszelkie stosunki z Francją, a po egzekucji ogłosiła na dworze sześciotygodniową żałobę. W roku 1794 zdelegalizowała loże masońskie, a osiadłych w Rosji Francuzów zmusiła - pod groźbą wypędzenia - do złożenia wobec rosyjskiego państwa deklaracji lojalności. Surowa cenzura zakazywała odtąd publikacji książek, które "mogłyby naruszać normy moralne" lub choćby wspominały o Rewolucji Francuskiej. Bezprawnym również stało się sprowadzanie francuskiej literatury, prasy, a nawet win i perfum. Najbardziej znany przykład działania cenzury stanowi sprawa Aleksandra Radiszczewa, zesłanego na Sybir za to, iż w swej *Podróży z Petersburga do Moskwy* ośmielił się krytykować poddaństwo.

Aczkolwiek Katarzyna życzyła im zwycięstwa, nie przyłączyła się do wspólnej wojny monarchów Austrii i Prus z królobójczym reżimem Francji, zbytnio pochłaniało ją bowiem porządkowanie spraw na świeżo podbitych terenach Polski i Turcji. Podczas gdy wojna na Zachodzie wciąż trwała, przebiegła caryca dumała, jakby tu uszczknąć jeszcze kawałek Polski.

Zrazu Aleksander spoglądał na Rewolucję Francuską przychylniejszym okiem. Tak jak wielu innych, zachwycała i jego, w czym widać było wyraźny wpływ Laharpe'a. Należy pamiętać, iż miał zaledwie dwanaście lat, gdy zwołano Stany Generalne, jednakże rozwój wypadków rewolucyjnego dramatu śledził z żywym zainteresowaniem. Niemniej, egzekucja pary królewskiej, triumf niepohamowanych i fanatycznych jakobinów tudzież rządy terroru

osłabiły jego entuzjazm. Mimo to, stracenie Ludwika XVI traktował jako ostrzeżenie skierowane do monarchów.

Ponownie rozważał myśl o abdykacji, Czartoryski natomiast wciąż odwodził go od tych marzycielskich zamiarów uważając je za nierealistyczne, a nawet szkodliwe. - A co z Rosją - pytał - co z interesem dynastii Romanowów?

- Jakich Romanowów? Czy kiedy księżna Anhalt-Zerbst sparzy się z pułkownikiem Sałtykowem - to zrodzi się z tego Romanow?

* * *

Z czasem relacje Pawła z Katarzyną pogorszyły się do tego stopnia, że w końcu nie mogli nawzajem znieść swego widoku. Przez z górą trzydzieści lat matka i syn ścierali się z zimną nienawiścią. W gronie przyjaciół w Gatczynie Paweł nie tylko nazywał ją morderczynią, uzurpatorką i dziwką, ale w ogóle nie krył swej dezaprobaty dla polityki Katarzyny. Rozbiory Polski określał mianem "rozboju w biały dzień", przynoszącego szkodę narodowym interesom Rosji. "Po cóż unicestwiać słowiańskie państwo buforowe?" - pytał.

Co się tyczy samej Katarzyny, po długich wahaniach, zdecydowała się ostatecznie wydziedziczyć tego niezrównoważonego dziwaka i przekazać tron bezpośrednio Aleksandrowi. Przeczuwała, że gdyby Paweł doszedł do władzy, zmieniłby całkowicie system polityczny, i zaprzepaścił wiele zdobyczy kulturalnych, czyniąc z Rosji "pruskiego lennika".

Wezwała Laharpe'a tuż przed jego wyjazdem, by zapytać go o zdanie: - Powiedz szczerze, co sądzisz o tym szaleńcu? Jaki byłby los Rosji, gdyby pewnego dnia został carem? Ta myśl nie daje mi spokoju. Co za różnica pomiędzy nim a moim Aleksandrem! - Szwajcar zdawał sobie sprawę, iż Katarzyna wypowiedziała mu służbę głównie dlatego, że wcześniej wielokrotnie odmawiał współpracy w kampanii mającej na celu odsunięcie Pawła i przygotowanie Aleksandra do przejęcia władzy. Wiedział, iż chłopak nijak nie pasuje do bezwzględnego świata polityki, który w dodatku wcale go nie pociągał, gdyż Aleksander sam mu o tym doniósł w liście: "To, co widzę dokoła siebie zniechęca mnie i przywodzi do rozpaczy. Chętnie uciekłbym od tego wszystkiego w jakieś wiejskie zacisze... Moja żona także tego pragnie".

Tak czy inaczej, próby pominięcia prawowitego dziedzica musiały nastręczać pewnych trudności. W oczach wielu Rosjan to właśnie Paweł był następcą tronu, poza tym miał w Gatczynie świetnie wyszkolony oddział pretorianów i aż rwał się do władzy. Jak doprowadzić do abdykacji bez jego aprobaty? Paweł mógł być dziwakiem, lecz jak udowodnić jego niepoczytalność? Kto miałby to uczynić?

Gdy ostrzeżono Pawła, iż Katarzyna zamierza go wykluczyć, opanowało go wielkie wzburzenie. Czasami napadał na własnych synów - Aleksandra i Konstantego - zarzucając im, że są w zmowie z babką. Groźba wydziedziczenia opętała go bez reszty. Od czasu do czasu budził się w środku nocy z okrzy-

kiem: - Zdrada, wszędzie zdrada! - Strach, iż zgładzą go jak Piotra III jeszcze bardziej pogłębił jego frustrację. Katarzyna usiłowała nakłonić żonę Pawła do podpisania aktu abdykacji, nie wiadomo jednak, co chciała przez to osiągnąć. Wielka Księżna oczywiście nie wyraziła na to zgody.

W duchu, Aleksander wzdragał się na myśl, że zostanie carem, więc ilekroć babka poruszała ten temat, udzielał wymijających, wykrętnych odpowiedzi. W roku 1794 Katarzyna podniosła kwestię sukcesji w Senacie, stanowiącym ciało doradcze i sąd najwyższy, w którego skład wchodzili najznamienitsi wielmoże. Senatorzy w większości zgodzili się odsunąć Pawła od tronu, aczkolwiek niektórzy wskazywali na poważne trudności natury prawnej. Mimo to Katarzyna nie dawała za wygraną. W 1796 roku powtórnie zwróciła się do Senatu o zajęcie w tej sprawie przychylniejszego stanowiska, lecz akt abdykacyjny, sporządzony dla Pawła leżał w jej biurku - niezatwierdzony z powodu braku podpisu - jeszcze przez parę miesięcy.

Latem tegoż roku krążyły pogłoski, że Katarzyna, nadal zasiadając na tronie, zamierza 1 stycznia ogłosić swego wnuka prawowitym dziedzicem. Jesienią wydała dekret, w którym wydziedziczała Pawła i ustanowiła Aleksandra swoim spadkobiercą.

Jesień 1796 roku była okresem napięć i chaosu. Zajęcie rozległych terytoriów nadbałtyckich, a także części Polski i Litwy skomplikowało kwestię rządów, przy czym problemem najbardziej palącym pozostawało wstrzymanie napływu Żydów ze wschodniej Polski. Podwojenie podusznego zdawało się mieć niewielki wpływ na ich imigrację i osiedlanie się w starej i nowej metropolii. Wszystko to niepokoiło starzejącą się carycę. Zagranicą, młody generał o nazwisku Bonaparte planował właśnie ofensywę przeciwko Włochom, a zarazem przeciwko staremu porządkowi wyjałowionej Europy, przewracając trony ancien regime'ów, oraz krzyżując wszystkie tak pieczołowicie wypracowane przez Katarzynę plany, od Bałtyku po Morze Śródziemne.

Dnia 5 listopada 1796 roku Katarzyna wstała o zwykłej porze, tj. o 6 rano. Jak zazwyczaj, umyła twarz w lodowatozimnej wodzie, następnie wypiła pięć filiżanek mocnej tureckiej kawy, ażeby wzmocnić w sobie słabnącą energię. Przyjąwszy u siebie młodego kochanka, Płatona Zubowa, oraz sekretarzy, sześćdziesięciosiedmioletnia, tęga kobieta udała się do swej garderoby, potem zaś do nowej toalety. Po kilku godzinach, zaniepokojeni jej nieobecnością, lokaj i pokojówka wywarzyli drzwi i znaleźli ją nieprzytomną na podłodze. Doznała rozległego udaru mózgu.

Tegoż poranka spacer Aleksandra w przyprószonych śniegiem ogrodach Carskiego Sioła przerwało wołanie posłańca: - Wasza Wysokość, proszę szybko do pałacu! Jej Cesarska Mość dostała ataku apopleksji. - Aleksander przybył przed ojcem, którego wezwano z Gatczyny. Obleśne, bezkształtne ciało carycy spoczywało na materacu na podłodze. Ciężko oddychała, podczas gdy służba i damy dworu szlochały ostentacyjnie, szeptem rozprawiając o tym, co się stało. Zaskoczony Aleksander zauważył, że brakowało jej przedniego uzębienia, a jej nocna koszula była brudna i wysmarowana. Potężna cesarzowa leżała bezradna, teraz stała się obiektem litości i pogardy, ale już nie strachu.

Paweł czuł się bardzo nieswojo. Czy caryca zdąży odzyskać przytomność, aby urzeczywistnić chytry zamysł wydziedziczenia go na rzecz Aleksandra? Czy być może będzie tak trwać, na wpół sparaliżowana, powierzając regencję zarówno jemu, jak i obojgu synom? Podczas gdy Aleksander się wahał, Paweł pospiesznie przejął inicjatywę, wydając rozkazy ze zdecydowaniem i pewnością siebie monarchy wygodnie rozpartego na tronie. Tymczasem pojawił się kochanek Katarzyny Płaton Zubow. Nie mogąc ukryć zmieszania, pobladły, z włosami w nieładzie, gorączkowo przetrząsał biurko Katarzyny w poszukiwaniu kompromitujących go dokumentów. Podczas gdy Katarzyna leżała w agonii na podłodze, starsi oficerowie i dworzanie zastanawiali się, komu złożyć deklarację lojalności jako następcy tronu: Pawłowi czy Aleksandrowi? Większość z nich znała zamiary Katarzyny, jednakże widząc bierność Aleksandra, pospiesznie, jeden po drugim, klękali, składając hołd Pawłowi, który pokazał wszem i wobec, kto tu jest panem. Aleksander poszedł w ich ślady. Na kolanach ucałował dłoń ojca i złożył nowemu carowi przysięgę na wierność. Aleksander Bezborodko, czołowa postać w rządzie Katarzyny, opowiedział się po stronie Pawła i zniszczył testament carycy.

Tymczasem porzucono nadzieję, że Katarzyna kiedykolwiek odzyska przytomność. Pomimo wysiłków dwóch niemieckich lekarzy, zmarła o dziesiątej wieczorem, jakieś trzydzieści sześć godzin po ataku. W dziejach Rosji i życiu Aleksandra rozpoczęła się nowa epoka.

ROZDZIAŁ IV

Nekropolis, Lesbos i Cytera

Nigdy przedtem zmiany na scenie politycznej nie były tak nagłe i gwałtowne jak te, które się dokonały po wstąpieniu na tron cara Pawła I. Niemal wszystko, czego dokonała jego nieboszczka matka, zostało przekreślone jednym pociągnięciem lub przynajmniej zmienione nie do poznania. Jednym z pierwszych posunięć nowego monarchy było zawarowanie jego pięciu gatczyńskim batalionom przywileju triumfalnego wjazdu do Petersburga. Jednostki z Gatczyny rozmieszczono w szyku bojowym w kluczowych punktach stolicy, w miejsce regularnych oddziałów gwardii. Wywołało to nieukrywane niezadowolenie pośród oficerów wywodzących się z arystokracji, których zmarła cesarzowa obsypywała łaskami i darzyła szczególnymi względami. Obecnie "te łotry i zbóje z Gatczyny" odstawiły ich na boczny tor.

Car natychmiast rozkazał swym oficerom nałożyć pruskie mundury Fryderyka Wielkiego. Obcisłe uniformy miały stanowić wzór najpierw dla gwardzistów, potem zaś dla całej rosyjskiej armii. Zalecił także pruskie uczesanie.

Układanie loków i plecenie warkoczy zabierało wiele czasu dwóm fryzjerom przydzielonym do każdej kompanii, szwadronu, czy baterii. Zadawali oni nieszczęsnym modelom istne tortury, wmasowując w ich włosy mieszaninę tłuszczu i pudru. Mikstura wysychała, tworząc grubą skorupę, która często wywoływała u żołnierzy potworny ból głowy. Sam mundur nie był bardziej wygodny. Paweł stanowczo żądał, ażeby ściśle przylegał do ciała, co uniemożliwiało szybkie poruszanie się. Jeśli jakiś żołnierz upadł, często nie mógł powstać o własnych siłach.

Aleksander i Konstanty znajdowali się w korzystniejszej sytuacji, albowiem już wcześniej wyposażono ich w gatczyńskie uniformy, oraz wiedzieli, jaka fryzura przypadnie ojcu do gustu. Z drugiej strony większość dworzan straciła głowę. W przeciągu kilku dni, musieli nie tylko radykalnie zmienić strój, ale także uczesanie tudzież raczej swobodny sposób bycia, do którego przywykli przez ostatnie lata. Za Katarzyny, oficerowie nosili włosy krótkie bądź długie, proste lub kręcone, ot, jak im się podobało. Nowy porządek wymagał noszenia sztywnych loków tuż nad uchem, jak również obowiązkowego pruskiego warkocza, wszystko to pokryte pomadą i pudrem. Za Katarzyny zachowano wygodny, luźny mundur, wprowadzony jeszcze przez Piotra Wielkiego. W ostatnich latach panowania carycy wielu dandysów posuwało się nawet do tego, że nosili rozpięte mundury, aby zademonstrować swe nieprzepisowe, bogato zdobione kamizelki. Pawła drażniła ta nonszalancja, toteż szydził z niej: - Och, wy dandysi! Lalusie! A może tak włożycie jeszcze damskie halki?

Przeprowadzając w całym kraju najrozmaitsze radykalne zmiany, Paweł systematyczie przeszukiwał prywatne archiwa matki. Malutkim srebrnym kluczykiem otworzył ukrytą szufladę w jej biurku, w której trzymała osobiste dokumenty. Znajdowały się w niej przeróżne pakieciki, zawierające najimtymniejszą korespondencję, starannie przewiązane jedwabną wstążką. W toku przeszukiwań natrafił na wymiętą, szarą kartkę papieru, wrzuconą pomiędzy listy miłosne; duże, koślawe litery zdradzały jakąś niewprawną rękę. Kiedy Paweł zabrał się do odczytywania treści, wnet pobladł, a jego ręce poczęły drżeć. Adresatem listu, datowanego "Ropsza, 6 po południu, 6 lipca 1762", była jego matka. Grigorij Orłow opisywał kochance swego brata, jak pozbył się jej męża, Piotra III.

"Miłościwa Monarchini i Mateńko, jakże mam objaśnić, jak opisać to, co się wydarzyło? Nie uwierzysz swemu wiernemu słudze. Ale, tak jak przed samym Bogiem, powiadam prawdę. Niechaj umrę, sam nie wiem, jak przytrafiło się to wielkie nieszczęście. Jesteśmy zgubieni, jeśli nie okażesz nam swej łaski. Mateńko, jego nie ma już wśród żywych".

W tym miejscu słowa zamazywały się i ledwie je można było odczytać, tak jakby na list spadły krople wody, a może łzy. Łzy Orłowa czy Katarzyny? Z ogromną trudnością Paweł przeczytał tę fatalną wieść, używając do tego okularów, w których nigdy nie pokazywał się publicznie, zwykł mawiać bowiem, iż "sprawiają, że wyglądam, jak lekarz polowy, nie zaś wielki książę i następca tronu". W taki oto sposób, z zamazanych zdań listu Orłowa poznał szczegóły śmierci ojca.

"Nikt tego nie zamierzał, jakże śmielibyśmy podnieść rękę na naszego monarchę! Jednakże, Najjaśniejsza Pani, stało się. Pokłócił się przy stole z Aleksym i księciem Teodorem Bariatyńskim. Nie zdążyliśmy ich rozdzielić, a już było po nim. Nie przypominamy sobie, co zrobił, bo byliśmy pijani i wszyscy, do ostatniego, jesteśmy winni i zasługujemy na karę. Zlituj się nade mną, choćby ze względu na mego brata. Oto moje wyznanie, nic więcej nie mam do ukrycia. Wybacz, albo każ szybko ze mną skończyć."

Paweł siedział bez ruchu w fotelu, ciężko dysząc i wgapiając się w list, który wypadł mu z rąk. Przed oczyma stanął mu jak żywy dobrze znany Aleksy Orłow, prawdziwy Herkules, który swymi potężnymi łapskami zadusił jego umiłowanego ojca, stanowiącego dlań wzór władcy. Ludzie zapomnieli już o śmierci Piotra z wyjątkiem Pawła, który ciepło wspominał rodziciela, ten bowiem - w przeciwieństwie do matki - okazywał mu czułość, przywoził z Holsztyna bajecznie kolorowe, drewniane żołnierzyki i bawił się z nim całymi godzinami. Przed lekturą listu, zanim dowiedział się, jaką rolę odegrał on w zabójstwie Piotra III, Paweł podziwiał Orłowa - doskonałego żołnierza, zwycięzcę wielu bitew. Poza tym pozostawała jeszcze niewyjaśniona kwestia ojcowstwa. Krążyły słuchy, że jego prawdziwym ojcem jest kochanek matki, Sałtykow, lecz sam przed sobą nie chciał się przyznać, że daje im wiarę. Jego żądza zdobycia korony okazałaby się wtedy niezdrowym urojeniem, a ciągłość dynastii - mitem. Wiedząc, że Katarzyna spiskuje, aby go wydziedziczyć, nie chciał pogodzić się z myślą, że jest także bękartem. - Nie, nie - mruczał do siebie - Piotr III był moim ojcem. Na pewno. Musiał nim być. Jestem jego prawowitym dziedzicem i muszę go pomścić.

* * *

Podczas gdy Paweł doświadczał swego rodzaju masochistycznej przyjemności studiując prywatną korespondencję matki, ciało carycy czekało na pochówek. Nie ustalono jeszcze daty ceremonii i nikt nie mógł pojąć, dlaczego po tygodniu zabalsamowane zwłoki Katarzyny przeniesiono z jej sypialni do sali tronowej. Opóźnienie to jednak było wynikiem zimnej kalkulacji, Paweł planował bowiem wyprawić wspólny, uroczysty pogrzeb obojgu rodzicom.

Poruszenie sięgnęło zenitu, gdy w olbrzymiej galerii, służącej podczas balów za parkiet do tańca, rzemieślnicy poczęli wznosić wspaniałą konstrukcję. Nad podium, otoczonym kolumnadą, zbudowano mianowicie rotundę, a czarne, aksamitne i udrapowane zasłony ze srebrnymi frędzlami zwieszały się z sufitu, tworząc swego rodzaju okrągły namiot, tradycyjne *castrum doloris* dla dwóch ciał.

Pomimo śmierci Katarzyny życie dworskie biegło swoim torem. Służący nie mieli zamiaru trzymać w tajemnicy skandalicznych szczegółów i anegdot, dotyczących jej życia prywatnego. Dworzanie, po ucałowaniu dłoni zmarłej monarchini, pośpiesznie oddalali się od trumny. W międzyczasie, Paweł zarządził

pilne i gruntowne poszukiwania ciała swego ojca. - Grób trzeba odnaleźć jak najszybciej. Przesłuchajcie wszystkich tych, którzy brali udział w pogrzebie. Użyjcie tortur, jeśli zajdzie konieczność. - Nie było to łatwe, gdyż Katarzyna nakazała braciom Orłow pochować ciało Piotra po kryjomu, w nieoznakowanej mogile. W oczekiwaniu na wynik poszukiwań, Paweł przekopywał prywatne zapiski matki. W pobliżu jej sypialni odkrył dwa pomieszczenia wypełnione pornograficznymi obrazami - teren ćwiczebny dla jej przyszłych kochanków. Każdy z kandydatów miał osobną teczkę, w której Katarzyna trzymała sprawozdanie Madame Protasowej na temat jego szczególnych właściwości. Potencjalnych kochanków oceniano - jak uczniów - w skali od jeden do pięciu. Paweł zaśmiał się sarkastycznie, gdy wyczytał, że jej ostatni faworyt - dwudziestopięcioletni Płaton Zubow - omal nie oblał egzaminu. Scharakteryzowano go jako "humorzastego, niezdarnego i kapryśnego, a także niedoświadczonego, pomimo dwudziestu pięciu lat oraz anielskiej urody". Sprawozdanie kończyła uwaga Madame Protasow: "Dałabym mu 3 lub 3+, w zależności od jego nastroju. Wahałabym się polecić go bez zastrzeżeń. Proponuję, aby Jej Cesarska Mość sama go wypróbowała i sama podjęła decyzję". "Coś takiego! - pomyślał Paweł - "każę to powielić i rozpowszechnić wśród kompanów Zubowa i dam dworu. Będzie to dla niego lepsza kara aniżeli zesłanie na Syberię. Zrobię z niego pośmiewisko".

Paweł przeszedł następnie do korespondencji carycy z cudzoziemskimi luminarzami - Wolterem, Diderotem, braćmi Grimm, i innymi sławami europejskiego oświecenia. Niektóre listy były napuszone i śmieszne, inne wręcz interesowne. Większość z nich kończyła się prośbą o dodatkowe subwencje, o dalsze wsparcie. Najbardziej cyniczne i służalcze były listy Woltera, który nie szczędząc cesarzowej pochlebstw, wpadał w zachwyt nad jej mądrością, pozostawiającą w tyle najtęższe umysły świata. Ubolewał ponadto, iż nie potrafi posługiwać się równie wspaniałą francuzczyzną. Posunął się również do tego, iż przyrównał Katarzynę do starożytnej królowej Semitauris, a nawet do Najświętszej Dziewicy. I aczkolwiek niemal w każdym liście znajdywał sposobność, aby załatwić jakąś sprawę, Katarzyna, kobieta inteligentna i światowa, szczerze lubowała się w tych bezwstydnych pochlebstwach. Wolter wychodził zapewne z założenia, że pochwał nigdy nie dość i że tą drogą wszystko da się załatwić.

"Ci zachodni intelektualiści - co za banda sprzedajnych dziwek! Za parę rubli całowaliby diabła po dupie" - pomyślał sobie Paweł.

* * *

Tymczasem poszukiwanie ciała Piotra III i przygotowania do wspólnego pogrzebu trwały nadal. Mimo iż okoliczności jego pochówku trzymano w tajemnicy, starzy chłopi, ktrzy asystowali byli grabarzom, teraz pomogli zidentyfikować miejsce. Jeden z nich opisał je dokładnie: - To jakieś pół mili na północ

od wiejskiego cmentarzyka w Ropszy, pod brzozą. - W połowie listopada ziemia była zamarźnięta na kość, więc na nic się zdały łopaty. Trzeba było użyć ciężkich siekier, aby skruszyć błotnistą ziemię obecnie twardą jak lód. Pobladły Paweł bacznie przyglądał się grabarzom, nadzorując ich pracę.

Wreszcie oczom zebranych ukazało się zapleśniałe wieko trumny. Kiedy grabarze wyciągali na powierzchnię stoczoną przez robaki, sosnową skrzynię, Paweł nie odrywał od niej wzroku, a gdy unieśli wieko, wpatrywał się jakby zahipnotyzowany w jej zawartość. Trumna nie zawierała niczego poza kępką włosów, roztrzaskaną czaszką, połamaną miednicą i kilkoma innymi kośćmi, a także na wpół zgniłymi, wysokimi kawaleryjskimi butami z ostrogami. Nie było tam ani całunu, ani też zwykle dołączanej wstęgi z inskrypcją na głowie nieboszczyka, żadnego krzyża, żadnej ikony. - Pochowali go jak poganina, jak psa - wyszeptał Paweł. Po chwili odstąpił od skrzyni, wyciągnął szablę i stanął na baczność, salutując szczątkom człowieka, który - jak sądził - był jego ojcem. Przeżegnał się trzy razy, ponownie kierując wzrok na szeroko otwartą trumnę.

Na rozkaz Pawła, z wielkim ceremoniałem, drewnianą skrzynię umieszczono w srebrnej trumnie, którą następnie pokryto złotym brokatem i insygniami carskimi, w obecności całej rodzimy, w tym malutkiego Mikołaja na rękach piastunki. Aleksandrowi i Konstantemu, trzymającym czerwoną poduszkę, na której spoczywała cesarska korona, dano znak, by zbliżyli się do szczątków dziadka. Paweł podniósł koronę i umieścił ją na strzaskanej czaszce Piotra, potem z okrzykiem "Baczność" ponownie oddał honory szczątkom, unosząc w górę szablę. Dwóm szambelanom, w żałobnych szatach i czarnych rękawiczkach, nakazano przenieść srebrną trumnę do wspaniałego karawanu, ciągniętego przez sześć czarnych koni, po czym cały orszak podążył - powóz za powozem - do stolicy.

Po uroczystej mszy żałobnej w Katedrze pod wezwaniem św. Piotra i Pawła trumnę zamknięto. Nowy imperator wyznaczył komisję carską do opracowania ceremoniału "wspólnego pochówku ich Cesarskich Mości". Ogłoszono następnie żałobę narodową po "św. pamięci Cesarzu i Cesarzowej" na okres dwunastu miesięcy. Wszyscy dworzanie mieli sprawić sobie czarne, żałobne stroje, oficerom i żołnierzom natomiast nakazano nosić na lewym rękawie czarne przepaski. Naród nie mógł się nadziwić, iż żąda się odeń, by opłakiwał człowieka nieżyjącego od trzydziestu czterech lat i niemal przez wszystkich zapomnianego.

Na ostatek trumnę przewieziono do Pałacu Zimowego i umieszczono na podium *castrum doloris*, obok ciała Katarzyny. Wysokie woskowe świece rzucały na trumny upiorne światło. W rogach podium stało bez ruchu sześciu wartowników, którzy zmieniali się co godzinę. Dzień po dniu tłumy przetaczały się przez ogromną, mroczną komnatę, by złożyć hołd obojgu monarchom. Żałobnicy wstępowali na stopnie, całowali dłoń cesarzowej i dotykali zamkniętej trumny Piotra. W półmroku sala ta wyglądała ponuro i majestatycznie, i tylko *castrum doloris* jaśniało blaskiem woskowych świec. W czasie, gdy ciało leżało na marach, komnata stała się miejscem towarzyskich spotkań. Co wieczór lu-

dzie gromadzili się tam, by porozmawiać i pobyć wśród znajomych. Pośród tych, którzy przychodzili codziennie złożyć wyrazy uszanowania znaleźli się bracia Orłow, Paweł stanowczo zażądał bowiem, ażeby stawiali się tam każdego popołudnia, kiedy zwiedzających było najwięcej. Pozostali zebrani obserwowali ich ukradkiem z ociemnionych kątów wielkiej komnaty.

Jednakże Paweł zgotował publiczności jeszcze jedną niespodziankę. Postanowił, iż ci, którzy przyczynili się do śmierci jego ojca - nie wyłączając Aleksego Orłowa - podczas procesji będą nieśli regalia ulicami miasta. Potem, szczątki Piotra spoczęły na marach obok Katarzyny w katedrze pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, a kiedy kapłani okadzili ciała, pochowano je w jednej krypcie, nad którą miały zostać wzniesione dwie marmurowe figury.

* * *

Po pogrzebie nastąpiła cała seria gruntownych zmian. W wieku czterdziestu dwóch lat, po trzydziestoletnim oczekiwaniu na koronę, Paweł pragnął zreformować wszystko, zdecydowanie skończyć z polityką i praktykami Katarzyny. Zniósł akt o sukcesji Piotra Wielkiego, zgodnie z którym car mógł wybrać swego następcę, i ogłosił, iż władza przechodzi w ręce najstarszego żyjącego syna. Tym samym, Aleksander stał się oficjalnie następcą tronu. Paweł zdymisjonował większość dygnitarzy tak wpływowych za panowania Katarzyny, pozostawiając jedynie hrabiego Aleksandra Bezborodko, którego awansował z wicekanclerza na kanclerza i mianował księciem. Uczynił tak, gdyż w ostatnich dniach rządów Katarzyny Bezborodko śmiał krytykować Płatona Zubowa i przeciwstawiać się planom uczynienia wielkiego księcia Aleksandra prawowitym spadkobiercą babki.

Paweł tak bardzo nienawidził Potiomkina, że zamienił jego wystawny taurydzki pałac - prezent od Katarzyny - w koszary i stajnię dla pułku gwardii konnej. Mauzoleum, które Katarzyna wzniosła dla Potiemkina na Krymie, zostało zniszczone, jego szczątki zaś wystawione na działanie żywiołów. Płatona Zubowa, skompromitowanego przez "cenzurkę", jaką wystawiła mu Madame Protasow, skazano na areszt domowy w jego włościach z zakazem opuszczania ich do końca swych dni.

Paweł bywał na przemian drobnym tyranem i oświeconym, dalekowzrocznym reformatorem. Początkowo pragnął pokoju i szydził z wojen prowadzonych przez matkę, toteż odwołał mobilizację ogłoszoną na dwa miesiące przed jej śmiercią. Próbował także położyć kres samowoli dowódców wobec szeregowych żołnierzy oraz praktykom traktowania służby w gwardii jako intratnej synekury. Usiłował ponadto zmodernizować rosyjską armię. W czwartym dniu sprawowania władzy założył nową organizację artylerii polowej, potem zaś rozwinął swą koncepcję wykorzystywania trzech głównych rodzajów wojsk. Pod tym względem, nie naśladował ślepo swego idola, Fryderyka Wielkiego. Podczas gdy Fryderyk używał artylerii na początku bitwy, piechoty do

ataku, a kawalerii do zakończenia całej operacji, Paweł znacznie rozszerzył pole działania artylerii, włączywszy w to bombardowanie wstępne, wsparcie dla atakującej piechoty i osłanianie jej odwrotu. We wszystkich trzech etapach bitwy, artyleria miała działać samodzielnie, w przypadku klęski zaś - osłaniać wycofujące się oddziały. Zreformowana przez Pawła artyleria sprawdziła się nie tylko za jego panowania, ale jeszcze długo potem.

Paweł święcie wierzył w to, iż jest wybrańcem Boga, toteż czasami jadał w koronie. Nie znosił sprzeciwu, a gdy przytaczano jakąś ustawę jako przeszkodę dla jego reform, grzmiał i uderzał się w pierś, mówiąc: - Oto wasze prawo. - Posłowi szwedzkiemu, Stedingkowi, powiedział natomiast: - Wiedz, że w Rosji liczy się tylko ten, kto rozmawia ze mną. - Dworzan traktował jak świeżych rekrutów. Gdy któryś z nich spotykał cara, musiał ukłonić się aż do ziemi, a potem, klęcząc na jednym kolanie, ucałować jego dłoń, podczas gdy imperator całował go w policzek. Oddalając się, dworzanin nie mógł obrócić się doń plecami. Było to często przyczyną zamieszania, bowiem wycofujący się tyłem nierzadko deptał po nogach temu, kto właśnie przystępował do cara, by złożyć mu hołd.

Czasami Paweł jeździł po stolicy saniami lub odkrytym powozem, w towarzystwie jednego ze swych adiutantów. Na ich widok, każdy mijany pojazd musiał się zatrzymać, woźnica i lokaj zdejmowali czapki, pasażerowie zaś wysiadali, aby złożyć władcy głęboki ukłon, ten natomiast oceniał, czy jest wystarczająco głęboki. Niejednokrotnie zmuszano kobiety i dzieci, by przetrzegały tego rytuału, nie bacząc na mróz i śnieg czy błoto podczas odwilży. Wszyscy na dworze żyli w ciągłym strachu i niepewności, czy pewnego dnia Marszałek - działając na polecenie cara - nie zelży ich publicznie i nie ześle na katorgę.

Podczas balów i uroczystości dworskich ryzykowało się utratę pozycji, a nawet wolności, Paweł żył bowiem w ciągłym przeświadczeniu, że jego osobie nie okazuje się należytych względów. Często, wydawszy surowy wyrok na nieszczęśnika, który popadł w niełaskę, zaostrzał jeszcze karę, uznając po namyśle, że był zbyt pobłażliwy. Dworzanie drżeli więc na samą myśl o spotkaniu z carem. Nikt nie miał pewności, czy przed wieczorem nie straci stanowiska; każdy z lękiem też kładł się spać w obawie, czy nocą lub o świcie nie przyjdą poń, by go wywieźć na Sybir.

Z początku Aleksandrowi dobrze się wiodło pod nowymi rządami. W wieku lat dwudziestu został wojskowym gubernatorem Petersburga, dowódcą siemionowskiego pułku gwardzistów i oddziałów w stolicy, Inspektorem Kawalerii oraz przewodniczącym komisji do spraw zaopatrzenia, budownictwa i sił porządkowych. Od roku 1798, kierował również Departamentem Wojny, a od 1799 zasiadał w Senacie i Radzie Cesarskiej. Jednakże w roku 1800 sytuacja uległa pewnej zmianie, Paweł zaś stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Aczkolwiek Aleksander nadal opływał w honory, ojciec począł go traktować niezwykle szorstko, twierdząc, iż nie wypełnia należycie swych obowiązków. Nieufny i zazdrosny o wpływ, jaki mają na syna, wydalał ze dworu - jednego po drugim - jego przyjaciół: Piotra Tołstoja, Wiktora Koczubeja, Aleksandra Golicyna i Pawła Strogonowa. Zniknęły ponadto bez śladu chwilowe przypły-

wy ojcowskiej serdeczności, kiedy to nazywał go Saszą, klepał po ramieniu i nie szczędził komplementów. Odtąd oficjalnie zwracał się do Aleksandra per: "monseigneur" , a pochwały gościły na jego ustach równie rzadko jak uśmiech na bladej, posępnej twarzy.

Obowiązki wobec dworu i armii pochłaniały Aleksandra bez reszty, toteż musiał się mocno koncentrować, by nie utonąć w powodzi szczegółów, związanych z czynnościami natury administracyjnej i nie przeoczyć najmniejszego detalu. Często poranna praca męczyła go tak bardzo, że całe popołudnie dochodził do siebie, by wieczorem stanąć ponownie przed obliczem cara.

* * *

Z biegiem czasu nawet niewolnicza uległość Aleksandra przestała zadowalać kapryśnego ojca. Z dwóch braci, Konstantemu wiodło się lepiej, z powodu bardziej żołnierskiej prezencji. Po paradzie Paweł ośmieszał Aleksandra, często w obecności innych oficerów: - Rzecz w tym, że brak ci wojskowej postawy, brak właściwego ducha. Żaden z ciebie żołnierz! Za grosz ikry. Na placu zachowujesz się jak wstydliwa dziewica w noc poślubną. Rosyjski władca musi być wodzem! Spójrz na Konstantego... Ten zna się na dowodzeniu...

Ilekroć Aleksander próbował powściągnąć gwałtowność ojca, ten odpowiadał: - Jak śmiesz przeciwstawiać się moim rozkazom? Jesteś wobec mnie nielojalny.

Zarówno na dworze, jak i na placu parad, Paweł wymagał ścisłego przestrzegania ceremoniału. W pełnieniu obowiązków natury militarnej pomagał mu zaufany człowiek z czasów Gatczyny, Aleksander Arakczejew, syn ubogiego szlachcica, który wcześnie rozpoczął karierę w wojsku. Podczas ostatnich czterech lat w Gatczynie (1792-1796), niezmordowanie ćwiczył oddziały Pawła, zajmując się głównie unowocześnianiem artylerii, pozostającej pod jego wyłącznym dowództwem, czym zaskarbił sobie względy przyszłego władcy. Po wstąpieniu na tron, nowy car obsypał Arakczejewa honorami i przydzielił go do pułku preobrażeńskiego, awansując go jednocześnie ze stopnia pułkownika na generała-majora. Paweł darował mu również w prezencie posiadłość ziemską Gruzino, w obwodzie nowogródzkim, i dwa tysiące chłopów pańszczyźnianych. W ten sposób, z dnia na dzień, Arakczejew stał się bogaczem.

Jak należało się spodziewać, błyskawiczna kariera tego *self-made mana* nie przysporzyła mu przyjaciół wśród wyniosłej i snobistycznej rosyjskiej szlachty, natomiast wymóg absolutnego, niekwestionowanego podporządkowania się jego poleceniom, jak również zakaz poddawania ich pod jakąkolwiek dyskusję wzbudzał wrogość kolegów. Obce im były jego skrupulatność i pracowitość, sposób, w jaki urządził swój dom i posiadłość, a także spartański tryb życia. Odwiedzający majątek Arakczejewa powiadali, iż jego dom przypomina

muzeum, a ogród - cmentarz. Niemniej jednak te właśnie cechy pociągały Pawła. - Oto bratnia dusza - zwykł często mawiać.

Jeszcze w Gatczynie Arakczejew wkradł się w łaski Aleksandra, po tym jak Paweł polecił mu wprowadzić syna w tajniki tamtejszej służby wojskowej. Okazywał młodemu uczniowi szacunek i dobre serce. W listopadzie 1796 roku, gdy Paweł mianował Aleksandra wojskowym gubernatorem Petersburga, młody następca tronu niemal codziennie spotykał się z Arakczejewem, który objął teraz funkcję jego zastępcy i doradcy. Już wkrótce wielki książę nie mógł się obejść bez Arakczejewa, który - bądź co bądź - w wojskowości zjadł zęby, i często chronił go przed gniewem cara. Z kolei, Aleksander coraz bardziej uzależniał się od Arakczejewa. Żyli w dziwnej symbiozie: dystyngowany, wykształcony młodzieniec oraz ograniczony i nieokrzesany służbista.

Na początku 1797 roku Arakczejewa mianowano generałem-kwatermistrzem, a krótko potem oddano pod jego dowództwo pułk preobrażeński, tak że z czasem stał się jedną z najważniejszych i najbardziej wpływowych osobistości w cesarstwie. Jednakże, po incydencie, podczas którego spoliczkował pewnego pułkownika, ten zaś, w konsekwencji, popełnił samobójstwo, zesłano go do Gruzina, gdzie pędził żywot wygnańca. Wszelako Paweł nie mógł znieść nieobecności swego poplecznika, i nie minął rok a Arakczejew powrócił do Petersburga. Odzyskawszy pełne zaufanie cara, został wkrótce mianowany generalnym inspektorem jego ulubionego rodzaju wojsk - artylerii.

Podczas gdy Arakczejew gnił w Gruzinie, jego obowiązki pełnił tymczasowo hrabia Piotr von Pahlen, inflandzki arystokrata i potomek jednego z czołowych rodów wśród Niemców bałtyckich. Pahlen wstąpił do rosyjskiej armii w bardzo młodym wieku i za panowania Katarzyny II otrzymał stopień generała-majora, oraz stanowisko gubernatora Rygi. Awans ten zawdzięczał wstawiennictwu Płatona Zubowa. Jakiś czas po dojściu do władzy Pawłowi, bawiącemu przejazdem w Rydze, przypadła do gustu dyscyplina panująca w garnizonie oraz wygląd miasta utrzymanego w czystości. Niebawem sprowadził więc Pahlena do Petersburga. Również i tam ambitny arystokrata celował w obowiązkowości. Systematyczny i bezwzględny, był także zręcznym dyplomatą umiejącym przypodobać się swemu panu i zdobyć jego zaufanie. Paweł obsypał nowego faworyta zaszczytami i prezentami, darowując mu rozległe włości. W przeciwieństwie do Arakczejewa, Pahlen - człowiek kulturalny, z bogatym doświadczeniem w dziedzinie administracji i wojskowości - doskonale nadawał się na to stanowisko. Najlepszym przyjacielem i oddanym towarzyszem Pahlena był generał Lewin Bennigsen, Hanowerczyk w służbie dla Rosji.

Oprócz Arakczejewa i Pahlena, grubiańskiego służbisty i dystyngowanego bałtyckiego arystokraty, do grona najbliższych współpracowników Pawła należał jego osobisty służący, Iwan Kutajsow - turecki jeniec wojenny, niewiadomego pochodzenia, którego Katarzyna podarowała synowi, gdy jeszcze rezydował w Gatczynie. Ten dziwaczny prymityw miał pełnić funkcję lokaja i cyrulika, w rzeczywistości jednak przysłano go, by szpiegował Wielkiego Księcia na polecenie carycy. Kutajsow pojął w lot, że lepiej trzymać z następcą tronu niż z podstarzałą monarchinią i już po paru dniach służby upadł przed

Pawłem na kolana, wyznając mu całą prawdę. - Podejrzewałem to od początku - rzekł ówczesny wielki książę. - Teraz mnie możesz się przydać. Co tydzień będę dyktował ci raport, który następnie prześlesz cesarzowej.

Wkrótce Paweł polubił szczerze tego zmyślnego służalca i wysłał go do Paryża, by doskonalił swe fryzjerskie umiejętności i poduczył się języka. Po powrocie stał się jego faworytem - szpiegiem, powiernikiem, a nawet doradcą politycznym - przy czym jego wpływ rozciągał się także na stosunki natury osobistej. Temu ambitnemu awanturnikowi udało się zatruć umysł Pawła do tego stopnia, iż ten czuł się dotknięty wyrazami szacunku, jakie okazywali jego żonie dworzanie oraz jej własne dzieci. Niebawem podobną urazę poczuł Paweł do swej wieloletniej metresy, Katarzyny Nelidowej, ni stąd, ni zowąd przestając odzywać się do którejkolwiek z nich. To podwójne wyobcowanie znacznie ograniczyło jego kontakty z otoczeniem i jeszcze bardziej uzależniło od Kutajsowa. Od tej chwili Wielki Książę polegał wyłącznie na ograniczonym służbiście Arakczejewie, nadętym inflandzkim arystokracie von Pahlenie oraz tureckim intrygancie Kutajsowie.

* * *

Odseparowany od ojca, Aleksander tęsknił za towarzystwem, wobec czego przez czas jakiś interesował się masonerią. Jego romantyczną wyobraźnię rozpalała tajemnica, jaką ją otaczano, antyczny rodowód zakonu, którego początki sięgały podobno czasów Salomona, mistyczny i poetycki rytuał oraz niezwykłe nazwy i tytuły, przywołujące na pamięć przeróżne legendy. Aleksander wiedział, iż w większości krajów europejskich do zakonu należy wiele wybitnych osobistości, nie wyłączając królów, tak więc począł ostrożnie wypytywać o tych przedstawicieli elity, których jego przyjaciele zidentyfikowali jako wolnomularzy.

Jednym z nich był sir Charles Whitworth, brytyjski ambasador w Petersburgu. Poinformował on Aleksandra, iż loże winne posłuszeństwo Wielkiemu Wschodowi nie przyniosły światu pożytku, i że Rewolucja Francuska to głównie ich dzieło. Ta gałąź masonerii - dowodził sir Charles - ponosi odpowiedzialność za śmierć Ludwika XVI i jego żony, Marii Antoniny, dlatego też Katarzyna słusznie wszczęła represje wobec loży głoszących takie poglądy, aresztując ich przywódców. Przytoczył następnie losy takich wolnomularzy jak Radiszczew czy Nowikow, którzy nie uniknęli kary, gdyż obaj należeli do loży związanej z Wielkim Wschodem. - Dobrze im tak. Królobójcy nie zasługują na litość. Nasza gałąź, Szkocki Ryt, to co innego. Jesteśmy konserwatystami. - Sir Charles potwierdził także informację, iż w Rosji działają już loże Szkockiego Rytu. Wielki Książę dowiedział się ponadto, że jego własny ojciec wstąpił do jednej z nich, na przekór matce. Petersburska loża Obrządku Szkockiego skupiała wielu arystokratów. Serdeczni przyjaciele i adiutanci Aleksandra - Piotr Wołkoński i Książę Adam - zapewnili go, że w przeciwieństwie do radykalne-

go, ateistycznego Wielkiego Wschodu, Obrządek Szkocki jest politycznie umiarkowany, deistyczny i czci Stwórcę. Jego petersburska gałąź przetrwała prześladowania lat 1794-95 dzięki sir Charlesowi, który od czasu do czasu urządzał spotkania bractwa w pałacu ambasady, znajdującym się formalnie na terytorium brytyjskim, a więc poza zasięgiem rosyjskiej jurysdykcji. Niedługo potem, sam sir Charles Whitworth wprowadził Aleksandra do loży masonów.

* * *

Depresja psychiczna, w jaką wpadł Aleksander po wymuszonym rozstaniu z Marusią, rzuciła go na powrót w ramiona opuszczonej żony. Drugi miesiąc miodowy był bez porównania lepszy od rozczarowujących, dwóch pierwszych lat ich małżeństwa, a przez tych parę tygodni cieszyli się większym szczęściem niż podczas całego wspólnego życia. Potwierdzają to listy Elżbiety do matki: "Och, Mamo. Tak się cieszę, że ja i mój ukochany mąż wreszcie jesteśmy sobie bliscy. On jest taki czuły i oddany". Inny list kończył się słowami: "Moje szczęście jest w jego rękach. Stracę je na zawsze, gdy przestanie mnie kochać". Lecz zaznawszy raz gorącej namiętności Marusi, Aleksander szybko znudził się chłodną biernością niedoświadczonej Elżbiety.

Co bardziej przedsiębiorcze francuskie aktoreczki i rosyjskie dwórki odwracały uwagę Aleksandra od obowiązków małżeńskich, tak więc wkrótce błogie chwile czułej intymności odeszły w niepamięć. Elżbieta została sama. Często przez całą noc nie mogła powstrzymać łez, płacząc aż do świtu. Jej pewność siebie zniknęła bezpowrotnie. Opoka, na której budowała swe życie, pozornie wspaniały związek z potężnym wielkim księciem, następcą tronu "Wszechrosji", legł w gruzach. Nie była w stanie zdusić czarnej rozpaczy, która nachodziła ją w chwilach samotności. W listach do rodziny w Niemczech, a zwłaszcza tych do matki, usiłowała to ukryć. Teraz, opuszczona, czyniła sobie gorzkie wyrzuty, czując, iż nie sprawdziła się jako żona i kochanka. Czy była zbyt bierna, zbyt wstydliwa, dla płomiennego temperamentu Aleksandra? Cóż miała czynić? Poprosić o rozwód, czy żyć samotna, zgorzkniała, z dala od dworskiego życia, w którym nie brak okazji, by szukać, a być może i znaleźć spełnienie w kimś innym? Nie cieszyła się dobrym zdrowiem i nie służył jej klimat Petersburga; nadworny lekarz ostrzegał, iż może zapaść na gruźlicę. Powiadomiła matkę o ogarniającej ją melancholii oraz o tym, iż mąż ją zaniedbuje. "Aleksander nie kocha mnie tak, jak tego pragnę i tak, jak by mnie kochał, gdyby mógł mnie zrozumieć."

Przez dłuższy czas Elżbieta w milczeniu znosiła obojętność współmałżonka. Pomimo cierpienia pozostała bez reszty lojalna i oddana, mając nadzieję, że do niej powróci. Była istotą wrażliwą. Potrzebowała kogoś bliskiego: odrobiny intymności, lecz wiele ciepła. Mimo to jednak nie było jej dane zasmakować małżeńskiej serdeczności. Będąc damą w każdym calu, zachowywała pozory harmonii nie tylko przed ludźmi, lecz również w życiu prywatnym. Publicznie

Aleksander okazywał żonie na pozór czułą troskliwość i szacunek, nocami zaś, pozostawiona sama sobie, przeżywała męczarnie. Drobny szczegół, ujawniony w liście do matki zdradza stan nerwowego napięcia, w jakim się wówczas znajdowała: "Wyobraź sobie, Mamo, co się zdarzyło wczoraj wieczorem, gdy służąca układała mi włosy. Otóż, w czasie, kiedy je rozczesywała, rozległ się suchy trzask, jak przy przeskoku iskry elektrycznej. Fryzjerka sądziła, że to mogą być prawdziwe iskry, więc pogasiłyśmy wszystkie światła i rzeczywiście - moje włosy stały w płomieniach".

Pewnego dnia marzenia Elżbiety o miłości i spełnieniu przeszły dziwną metamorfozę. Stało się tak, kiedy zaprzyjaźniła się z główną damą dworu, hrabiną Warwarą Nikołajewną - księżną, z domu Golicyn - która poślubiła marszałka dworu, hrabiego Gołowina. Z czasem jedna drugiej wyjawiła, iż ich mężowie nie stronią od towarzystwa innych dam, przez co stały się sobie jeszcze bliższe. Wykorzystywały odtąd każdą wolną chwilę, by być ze sobą, dzielić się myślami, odbywać wspólne spacery, ślęczeć nad lekturą lub słuchać muzyki. Elżbieta jako pierwsza zwierzyła się towarzyszce. Wyznała, mianowicie, iż hrabia Płaton Zubow - zapewne wiedziony instynktem urodzonego żigolaka i sutenera - próbował ją kiedyś uwieść. Odtrąciła go jednakże z obrzydzeniem: - Jak mogłabym kochać się z mężczyzną, który w wieku lat dwudziestu paru obsypywał sześćdziesięciosiedmioletnią kobietę nieszczerymi, wymuszonymi pieszczotami, w zamian za bogactwo i sławę? Czuję wstręt do takich ludzi jak Platon, dla których seks może istnieć bez miłości.

Warwara nie była tym zaskoczona i odparła z cynizmem kobiety rozczarowanej własnym małżeństwem: - Oni wszyscy są tacy: samolubni i okrutni. Traktują nas jak zwykłe naczynia - albo jak czarę rozkoszy, albo jak zbiornik na nasienie, by mnożyć potomków, najlepiej płci męskiej. Raz zaspokojeni, uganiają się następnie za młodszymi, atrakcyjniejszymi; odchodzą, by oddawać się pijaństwu, grze w karty i tej krwawej, zwierzęcej obsesji - bezsensownym wojnom. Brak im głębszych, cieplejszych uczuć. Nie traktują nas ani jak istoty ludzkie, ani jak towarzyszki życia. My, kobiety, jesteśmy znacznie bardziej wrażliwe.

- Zawsze podejrzewałam, że tak właśnie jest, ale łudziłam się, że Aleksander jest inny.

- Nie różnisz się od pozostałych kobiet - ciągnęła Warwara. - Urodzona w Niemczech, w społeczeństwie zdominowanym przez mężczyzn, przyjmujesz to bez zastrzeżeń. Przedtem nie śmiałaś nawet zdradzić mi swych prawdziwych uczuć, choć przyjaźnimy się od miesięcy. Tak naprawdę, wszystkie nas wychowują tak, byśmy żyły w obłudzie i pokornie znosiły nasze zniewolenie, podporządkowanie brutalnej sile władczego samca. To, co nazywamy "małżeństwem" jest w istocie wcieleniem żony w osobowość jej męża. Prawdziwa miłość nie polega na podporządkowaniu, lecz na partnerskim przenikaniu się dwojga jaźni. Wszystko inne ogranicza tylko tę drugą jednostkę. Prawdę powiedziawszy, znalazłam pełniejsze zaspokojenie w miłości z kobietą niż z własnym mężem. To młodzieńcze uczucie było najsubtelniejszym w całym mym życiu; wtedy mogłam być nareszcie sobą.

Początkowo nieco zgorszona, Elżbieta pokonała pierwsze zaskoczenie i dysząc z podniecenia spytała: - Jak do tego doszło? Opowiedz mi proszę.

- Moi rodzice pragnęli mieć syna, więc kiedy przyszłam na świat, nie kryli rozczarowania. Ojciec stale powtarzał, że potrzeba im silnego mężczyzny, który służąc w wojsku kontynuowałby rodzinną tradycję. Do dwunastego roku życia moja matka ubierała mnie jak chłopca. Wszystko leżało na mnie doskonale, przy moich szerokich barkach, wąskich biodrach i płaskim biuście. Dorastałam jako mała trzpiotka: jeździłam konno okrakiem, polując z ojcem na przepiórki, zające i sarny. Często nazywał mnie swoją "łowczynią Dianą" lub "Amazonką". Przez mniej więcej trzy lata miałam prywatnych guwernerów, obu sprowadzono z Petersburga. Pierwszy, monsieur Dupont, był marynarzem, niższym oficerem usuniętym z francuskiej marynarki z przyczyn, których nigdy nie sprecyzował. Otóż, ten opój zaniedbywał swoje obowiązki, z wyjątkiem lekcji geografii, uwielbiał bowiem opowiadać o swoich podróżach śledząc trasy na mapie i na globusie, który ze sobą przywiózł. Pewnego razu ojciec przyłapał go, jak pijany ucinał sobie drzemkę, zamiast konwersować ze mną po francusku. Wściekły, wyrzucił go i zatrudnił innego Francuza, monsieur Fragonarda. Ten doskonały nauczyciel i miłośnik literatury francuskiej, a zwłaszcza Corneille'a i Racine'a, był jednocześnie nieuleczalnym kobieciarzem, toteż wkrótce zrobił dziecko praczce, a nawet śmiał nastawać na moją cnotę. Kiedy doniosłam o tym ojcu, ten wpadł w furię, kazał Fragonardowi pakować manatki, po czym oświadczył: - Nigdy więcej francuskich guwernerów. Jedynym miejscem, gdzie pojętna dziewczyna może zdobyć należyte wykształcenie jest Instytut Smolny. Wprawdzie uczą się tam głównie córki drobnych szlachciców, jednak - o ile się nie mylę - mają tam znakomitych wykładowców. Tak więc wysłano mnie do Petersburga, bym uzupełniła wiedzę, jak dotąd skąpą, powierzchowną i fragmentaryczną.

W Instytucie Smolny poznałam mademoiselle Paulette Girard, nauczycielkę francuskiego. Jako bystra, pilna uczennica, szybko zdobyłam jej względy. W nagrodę za dobre stopnie (byłam najlepsza w klasie) mademoiselle Girard przydzieliła mi pokój tuż obok swojego. Przyszła niezwykle sroga zima, i aczkolwiek w naszych sypialniach stały olbrzymie, piękne fajansowe piece, to nie dawały one dość ciepła. Pewnej zimnej nocy mademoiselle Girard przyszła do mego pokoju z gorącym termoforem w ręce i, siadając na brzegu łóżka, umieściła go troskliwie pod moimi stopami. Potem zaczęła mnie pieścić, delikatnie i czule, składając na mych ustach długi i namiętny pocałunek. W życiu nie doznałam czegoś równie wspaniałego. Zimą odwiedzała mnie prawie każdej nocy, a nasza przyjaźń trwała aż do lata. Podczas wakacji bardzo mi jej brakowało, choć pisywałyśmy do siebie listy. We wrześniu, jednakże, po powrocie do szkoły dowiedziałam się, że Paulette usiłowała zaskarbić sobie przyjaźń także i innych dziewcząt. Jednej z nich nie spodobały się te nocne wizyty i karesy, więc powiedziała o tym dyrektorce szkoły. Wybuchł skandal. Mademoiselle Girard pośpiesznie odprawiono i odesłano do Francji. Dyrektorka zebrała wszystkie uczennice w ogromnej sali, po czym ostrzegła nas przed - jak się wyraziła - "niezdrowymi, sentymentalnymi przyjaźniami". Nie pojmowałam,

co było niezdrowego w naszym związku. Dla mnie stanowił on lekcję czułości i na zawsze zostanie w mej pamięci wspomnienie tych cudownych chwil. Gdy ukończyłam szkołę z wyróżnieniem, wydano mnie za mąż za hrabiego Gołowina. Nie zamierzałam nikogo poślubić, ale nasze rodziny zaplanowały to wszystko, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Co miałam robić? Musiałam się słuchać.

- A co się stało z mademoiselle Girard? - spytała Elżbieta.

- Cóż, korespondowałyśmy ze sobą przez jakieś dwa lata, a potem nagle przestała odpisywać. Będąc we Francji, wstąpiłam na Montpellier, gdzie mieszkała z siostrą. Przeżyłam straszny szok na wieść o tym, że bożyszcza mojej młodości nie ma już wśród żywych. Jej siostra wyznała mi, iż Paulette została odtrącona i wyśmiana przez ograniczone, małomiasteczkowe towarzystwo, przez co popadła w ciężką depresję. Którejś nocy wypiła butlę jodyny i umarła w okropnych męczarniach, gdyż miejscowi lekarze odmówili przyjścia jej z pomocą.

* * *

Następnej nocy, widząc Elżbietę przygnębioną i zapłakaną, Warwara zaproponowała otwarcie: - Bądźmy jak dwie siostry, czułe i kochające, nie za cenę, jaką musi płacić kobieta za chwilę rozkoszy z mężczyzną. Mężczyźni to okrutne bestie, które nas poniżają. Zostaniemy przyjaciółkami od serca?

Od tamtej chwili, związek pomiędzy Elżbietą a jej damą dworu stawał się coraz bardziej zażyły. Starały się stale przebywać razem, bowiem sama myśl o rozstaniu przepełniała wielką księżną bólem. A mimo to, nie udało się tego uniknąć. Hrabia Gołowin, jako marszałek dworu, musiał często towarzyszyć carowi w jego podróżach po kraju, troszcząc się o zakwaterowanie i rozrywki swego mocodawcy. Pewnego dnia Warwara oznajmiła, iż jej mąż udaje się z cesarzem na inspekcję do gubernii bałtyckich i żąda, by jechała wraz z nim, jako że wymagają tego liczne obowiązki towarzyskie.

- Będę do ciebie pisać codziennie - obiecywała Elżbiecie i rzeczywiście dotrzymała słowa.

Elżbieta zgodnie z przyrzeczeniem odpisywała, a jeden z jej listów zawierał namiętną deklarację czułej przyjaźni: "Tęsknię za Tobą bardziej niż jestem w stanie to wyrazić. Nic mnie nie cieszy, kiedy nie ma Cię przy mnie. Zaklinam Cię na wszystko, zjedz ze mną obiad w dniu swego powrotu". Gdzie indziej wyznawała: "Myślę o Tobie stale. Kiedy Cię nie ma tak długo, nie jestem w stanie nic zrobić do końca. Ach, nie mogę przywołać słodkiej myśli, która naszła mnie tego ranka. Jakie to okrutne, okrutne!"

Zażyła przyjaźń tych dwu kobiet nie uszła uwadze służących, i już wkrótce do uszu Aleksandra doszły pierwsze plotki. Początkowo bawiły go nawet te dziwne pogłoski, tak rozpowszechnione w dworskich kręgach, kiedy nagle został wezwany do ojca na pilną, ściśle poufną rozmowę. Aleksander nie był za-

skoczony wyraźnym poruszeniem cara; bywało tak i wcześniej. Spodziewał się zatem kolejnej reprymendy za uchybienie przeciw dyscyplinie, jednakże powód spotkania zaskoczył go bez reszty.

- Monseigneur - rzekł Paweł - od kilku miesięcy otrzymuję raporty na temat niepokojąco zażyłego związku pomiędzy Wielką Księżną Elżbietą a jej damą dworu, hrabiną Warwarą Gołowin. Czy wiesz coś o tym? Co to wszystko ma znaczyć?

- Oczywiście, że wiem, sire. Ale zdaje się, że to tylko sentymentalna dziewczęca przyjaźń.

- Nic podobnego! - wybuchnął Paweł. - Znowu próbujesz mnie wywieść w pole! Kazałem je śledzić i sprawdzać korespondencję. Oto jeden z listów, które przepisali moi ludzie. Przeczytaj, co Elżbieta napisała kilka miesięcy temu do madame Gołowin: "Och, gdybyśmy tylko mogły - tak jak jesienią - spędzać razem te upojne wieczory". A w następnym liście wyznaje: "Mój Boże, zaczynam tracić głowę. Odchodzę od zmysłów. Jeżeli tak dalej pójdzie - oszaleję". I jeszcze jeden list: "Kocham Cię. Uwielbiam. Tęsknię przeokropnie! A mimo to muszę żyć z dala od Ciebie. Cały Petersburg jest dla mnie ciężarem, gdy Cię tu nie ma. Boże! Boże! Jak ja Cię kocham!"

- Czy brzmi to jak zwykłe, sentymentalne dziewczęce bzdury?

Aleksander stał jak oniemiały, nie mogąc znaleźć słów: - Nie wiedziałem, że sprawy zaszły aż tak daleko.

- Żądam, by natychmiast położono temu kres! Oczekuję, że raz na zawsze skończysz z tą ich dziwaczną zażyłością. Czyżbyś zapomniał, że pewnego dnia może i ty zasiądziesz na tronie i zostaniesz carem Wszechrosjii? Jest coś, do czego władca absolutny dopuścić nie może, a mianowicie - ażeby stać się pośmiewiskiem dla swoich poddanych. Rosja może pozwolić sobie na to, by rządził nią Iwan Groźny, ale nigdy Aleksander Śmieszny. Możesz odejść, monseigneur!

- Sire - odrzekł Aleksander. - Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

W chwili, gdy Aleksander wykonywał właśnie ukłon tak głęboki, na jaki pozwalał mu chory kręgosłup, Paweł dodał: - Próbujesz mnie okpić odgrywając rolę posłusznego, oddanego syna. Tak jak inni, usiłujesz mnie wodzić za nos. Ale sam widzisz, że nic ci z tego nie wychodzi. Szczerze mówiąc, mnie nie sposób oszukać. Myślisz, że o niczym nie wiem. Ale ja wiem wszystko. Oto dowody. Przedwczoraj, w niedzielę, dwadzieścia minut przed północą odprowadzałeś to ordynarne kurwiszcze, tę podstarzałą tygrysicę, madmoiselle Chevalier, z Teatru Francuskiego do domu, skąd wyszedłeś dopiero nad ranem, około wpół do siódmej. To właśnie dlatego o mało nie spóźniłeś się na poranną musztrę i chodziłeś zaspany cały dzień. Co z ciebie za następca tronu? Popatrz na brata, Kostię. Ten zawsze przychodzi na czas, na każdą musztrę, każdą paradę, zawsze na rozkaz. Możesz odejść, monseigneur.

Niezwykle gwałtowny wybuch gniewu ojca przestraszył Aleksandra nie na żarty. Z początku nie miał nic przeciwko przyjaźni Elżbiety z jej ulubioną damą dworu, gdyż zaprzątało to jej uwagę na tyle, że mógł bez przeszkód kontynuować romans z mademoiselle Chevalier, która bawiła go swą rześkością i

ciętym dowcipem. Była równie namiętna jak Marusia, a jednocześnie wyjątkowo dystyngowana, inteligentna i sprytna. Teraz jednak sytuacja stała się krytyczna. Aleksander nie mógł zasnąć nawet po butelce porto i dopiero nad ranem wpadł nieoczekiwanie na pomysł. A może by tak przy pomocy Czartoryskiego poróżnić Elżbietę z Warwarą? Od dawna widział, że książę Adam rzuca w kierunku żony adorujące spojrzenia. Jako lojalny przyjaciel Aleksandra i jego podwładny, rozumiejący swe niepewne położenie zakładnika, Czartoryski nigdy nie odważył się ujawnić przed Elżbietą swych miłosnych zapędów. Niemniej, wyraz jego ciemnych oczu oraz słowa zachwytu nad jej wyglądem, strojem czy uczesaniem zdradzały uwielbienie, jakie dla niej żywił. Nie mogło to ujść uwadze Aleksandra. Obu mężczyzn łączyły nie tylko polityczne aspiracje i liberalne poglądy, ale także niemal braterska przyjaźń. Elżbieta również nie pozostawała obojętna na uwodzicielskie krasomówstwo rycerskiego Polaka i poddawała się jego urokowi, nawet gdy była związana z Warwarą. Jako stuprocentowa dama, nie śmiała zrobić pierwszego kroku. Póki co, jej zażyłość z ukochaną dworką zdawała się zaspokajać ją duchowo i fizycznie.

Tymczasem gniew ojca zmusił Aleksandra do działania. Zaprosił przyjaciela na obiad, po czym tuż po deserze znalazł jakiś pretekst, by opuścić towarzystwo i zostawić Adama sam na sam z Elżbietą. Czynił tak przez kilka wieczorów z rzędu, zgodnie z zasadami prześwietnej, prastarej sztuki nakłaniania do cudzołóstwa, lecz choć wszystko skrzętnie zaplanował, nieśmiały Polak wciąż nie mógł się zebrać na odwagę. Gdy książę Adam zapytał go dlaczego zaniedbuje swą piękną i czarującą żonę, Aleksander odparł: - Nasz ślub odbył się pośpiesznie na rozkaz babki. Elżbieta miała wtedy lat czternaście, ja - zaledwie szesnaście. Szczerze mówiąc, nigdy nie pociągała mnie fizycznie. Teraz jesteśmy dla siebie jak brat i siostra. Róża zwiędła, acz wydawało się, iż tonie w pełnym kwieciu. A może ty chciałbyś zostać jej rycerzem?

Czartoryski nie odpowiedział, mimo iż myśl o tym rozpalała jego wyobraźnię. Nocami prześladowały go szalone, erotyczne sny. Czuł się bardzo samotny. Przez ponad rok, od czasu przyjazdu do Petersburga, powściągliwy Polak przezornie unikał uczuciowych związków z rosyjskimi damami z kręgów dworskich, z obawy przed komplikacjami natury osobistej i politycznej. Od samego początku podziwiał Elżbietę, ale lojalność wobec przyjaciela nie pozwalała mu otwarcie wyrazić swych uczuć. Teraz jednakże, gdy Aleksander sam organizował ich nastrojowe *tte--tte*, a Elżbieta coraz żarliwiej odwzajemniała komplementy księcia i jego tkliwy afekt, trudno było nie ulec pokusie. A w końcu ta propozycja Aleksandra - niemalże rozkaz. Cóż miał czynić?

Po pięciu czy sześciu intymnych obiadkach, kiedy dwa serca aż usychały z tęsknoty za romantyczną miłością, natura wzięła górę. Wprawdzie Elżbieta dała się bez reszty porwać miłosnemu uniesieniu, poprzedni związek jednakże nie dawał jej spokoju. Po pierwszej nocy spędzonej w ramionach księcia, popędziła do madame Gołowin, zajmującej apartament piętro wyżej. Warwara grała właśnie na klawikordzie i nie mogła ukryć zdziwienia na widok przyjaciółki, która zjawia się niespodziewanie po kilku dniach niewytłumaczonej

nieobecności. Elżbieta, wybuchając płaczem, padła jej w ramiona: - Wybacz mi, wybacz mi, proszę.

- Wybaczyć ci? Co?

Gdy Elżbieta wyjaśniła powód zaniedbania swej "oddanej przyjaciółki i towarzyszki", Warwara, z trudem hamując gniew, wyszeptała: - Zawsze obawiałam się, że to nastąpi, wcześniej czy później. Miałam tylko nadzieję, że później.

* * *

Aleksander patrzył przychylnym okiem na związek żony z księciem Adamem, trwający już ponad trzy lata. Elżbieta wychodziła z założenia, że to co łączy ją i jej kochanka jest być może zabronione, lecz na owe czasy nie stanowi nic niezwykłego. 18 maja 1799 roku powiła córkę, Marię, uderzająco podobną do Czartoryskiego, dziewczynka miała bowiem czarne włosy i oczy. Po ceremonii chrztu, car, którego poproszono, by zgodził się zostać ojcem chrzestnym dziecka, zagadnął młodą matkę: - Madame, zechciej mi wyjaśnić, jak z jasnowłosych rodziców może się zrodzić ciemnowłose dziecko. - Po chwili zmieszania Elżbieta wykrztusiła: - Sire, Bóg jest wszechmogący.

Paweł, nie do końca przekonany, wpadł w furię. W pierwszym odruchu postanowił zesłać Czartoryskiego dożywotnio na Sybir. - Nie brak nam bękartów w rodzie Romanowych, ale przynajmniej wszystkie były rosyjskie. Przeklęty Polak flirtujący z rosyjską wielką księżną - tego już za wiele. Długi pobyt nad Kołymą ostudzi jego zapał i da mu czas na zadumę nad własną arogancją!

Elżbieta była wstrząśnięta i przerażona. Wiedziona rozpaczą, padła do nóg teścia, błagając: - Litości, litości, Wasza Cesarska Mość. Zawiniłam tak jak i on. Jeżeli wyjedzie na Syberię, to ja z nim. Przysięgam. Poproszę o rozwód i poślubię go, nawet jako skazańca.

Groźba nowego skandalu, a także słabość Pawła do synowej, kazały mu ulec i zmienić surową decyzję. Gdy ochłonął, rzekł nieco spokojniejszym tonem: - Miejsce żony następcy tronu jest w Petersburgu, u boku męża. Kampania włoska przeciwko Francji wymaga, byśmy mieli swojego człowieka - rosyjskiego dyplomatę - na dworze Sardynii. Wyślę Czartoryskiego do Florencji w charakterze ministra pełnomocnego. Zaraz wydam instrukcje. Musi jednak wyjechać natychmiast, w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

I rzeczywiście, Czartoryski był zmuszony opuścić Petersburg, nie pożegnawszy się z ukochaną. Po raz trzeci, odkąd wyszła za mąż, Elżbieta została sama.

ROZDZIAŁ V

Czyż jestem stróżem ojca mego?

Co do jednego Paweł i jego matka byli jednomyślni - oboje nie znosili Rewolucji Francuskiej. Car wezwał do powrotu Rosjan podróżujących po Francji i wydał zakaz sprowadzania francuskich książek. Do kraju wpuszczał tylko tych Francuzów, którzy legitymowali się paszportem wystawionym przez Burbonów. Na rozkaz cara, policja zdzierała z przechodniów stroje przywodzące na myśl rewolucyjny Paryż: okrągłe kapelusze, surduty czy wysokie kołnierzyki. Paweł posunął się nawet do tego, iż zabronił używania słów "społeczeństwo" oraz "obywatel", uznając je za wywrotowe. O ile Katarzyna wykorzystywała Rewolucję jako pretekst do tłumienia oznak buntu w Polsce i do zajęcia jej wschodnich terytoriów, o tyle Paweł gotów był wysyłać rosyjskie oddziały do Włoch i nad Ren, by wsparły Anglię i Austrię w walce z "jakobińską hydrą".

Kiedy młody generał Napoleon Bonaparte przegnał wojska austriackie z Lombardii, pędząc je przed sobą aż po wschodnie Alpy, po czym w 1797 w Campo Formio zmusił przerażonych Habsburgów do zawarcia upokarzającego dla nich pokoju, Paweł postanowił wkroczyć do akcji i wraz z Austrią i Wielką Brytanią utworzył nową koalicję antyfrancuską. Wydarzeniem, które pchnęło Rosję do podjęcia faktycznych działań zbrojnych przeciwko Francji, było zagarnięcie wyspy Malty. W drodze do Egiptu, punktu wypadowego do inwazji na Indie, Napoleon zajął siedzibę prastarego zakonu krzyżowego św. Jana z Jerozolimy, znanego powszechnie pod nazwą Kawalerów Maltańskich. Kiedy wygnani członkowie Zakonu zaproponowali Pawłowi tytuł Wielkiego Mistrza swego arcykatolickiego zrzeszenia, ten ochoczo przyjął ów zaszczyt. Największe wrażenie wywarł na nim wspaniały rytuał, a także ceremonialny strój: czarny płaszcz z białym krzyżem maltańskim, czerwony mundur wyszywany złotem oraz kapelusz z piórami.

Niedługo potem car utworzył rosyjską gałąź zakonu i ogłosił powstanie nowego regimentu pod nazwą Kawalergardów, którego oficerowie musieli obowiązkowo należeć do zakonu. Paweł nadał im szczególne przywileje, z jakich nie korzystała żadna inna dywizja, a mianowicie - mieli prawo nosić kapelusze Kawalerów Maltańskich, podobne do tych, jakie w rosyjskiej armii nosili wyłącznie generałowie. Poza tym, na ubiór Kawalergardy składały się kirysy i szkarłatny uniform, a na specjalne okazje - jak na przykład przyjęcie na dworze - przepyszny czerwony mundur z insygniami: białym, emaliowanym krzyżem maltańskim z liliami w rogach oraz złotą koroną u góry. Oddziały Gwardii Kawalerów pełniły ciągłą służbę w rezydencji Pawła, a także podczas oficjalnych uroczystości, nie wyłączając przedstawień w Ermitażu, kiedy to dwóch oficerów stało za fotelem cara. Kawalerowie wywyższali się ponad innych, co wzbudzało oburzenie starych pułków, a w szczególności Gwardii Konnej, któ-

rej najlepszych żołnierzy i najlepsze konie przydzielano właśnie Kawalergardom.

Gdy Paweł rozpoczął przygotowania do wojny, aby pokonać "tego nikczemnego potwora-rewolucjonistę", jak nazywał Napoleona, większość generałów Katarzyny z czasów wojen tureckich i polskich popadła w niełaskę bądź przeszła w stan spoczynku, a wśród nich słynny marszałek polowy Aleksander Suworow. Otóż, marszałek został publicznie złajany za to, iż wysłał zwykłego kapitana ze zwykłą pocztą do Petersburga. W odpowiedzi na reprymendę poprosił o roczny urlop, lecz mu odmówiono. Nie wysłuchano także jego pokornych próśb, by wolno mu było złożyć urząd. Miast tego zaś zwolniono go ze służby, roztoczono nad nim dokuczliwy nadzór policyjny, zakazując mu jednocześnie odwiedzania przyjaciół i przyjmowania gości. Suworow zwrócił się wtedy z prośbą, aby pozwolono mu przywdziać szaty zakonne, ale i na to car nie wyraził zgody.

Brak kompetentnych dowódców zmusił jednak Pawła do ustępstw. Osobiście napisał schlebiający list do Suworowa, wezwał go do stolicy i powierzył temu sześćdziesięcioośmioletniemu bohaterowi dowództwo nad rosyjskim korpusem ekspedycyjnym, by maszerując przez Austrię do Włoch wykurzył kohorty Napoleona z Lombardii. Po dotarciu do Wiednia, Suworow pokazał cesarzowi Franciszkowi II mandat wystawiony przez Pawła, upoważniający marszałka do prowadzenia wojny w sposób, jaki uzna za stosowny. Austriacy jednakże mieli własne plany i zażądali prawa do kontrolowania całości działań zbrojnych. Suworow nie skrywał swego oburzenia. - Przystąpiliśmy do walki, by wybawić ich z opresji, w którą sami wpadli, a teraz stawiają nam wygórowane żądania.

Suworow był wodzem roztropnym, acz nie pozbawionym wyobraźni. Jego taktyka polegała na dokładnym rozpoznaniu sytuacji i wybraniu miejsca do zadania wrogowi śmiertelnego ciosu. Szczęściem, Napoleon przebywał wtedy w Egipcie, a francuskimi oddziałami dowodzili jego podkomendni. Co więcej, marszałek wykorzystał również niezgodę panującą wśród francuskich głównodowodzących, i gdy tylko przybył do Werony, zaatakował zaskoczonych Francuzów, zajmując Cassano. Wkroczył triumfalnie do Mediolanu w rozpiętej chłopskiej koszuli, wywijając batem. Widowisko to nie miało sobie równych.

Suworow wygrał bitwy pod Bassignano i Marengo, a w maju 1799 roku gościł już w Turynie. W czerwcu francuski generał MacDonald, pokonując w pośpiechu zachodnie wybrzeże i Apeniny, zadał Austriakom klęskę pod San Giovanni. W odpowiedzi na to Suworow błyskawicznie przystąpił do natarcia, rzucając do walki wszystkie swoje siły. Kiedy podległy mu generał Piotr Bagration zameldował, że w zdziesiątkowanych kompaniach zostało mu niewiele ponad czterdziestu ludzi, Suworow odrzekł: - MacDonald ma tylko dwudziestu. Do ataku! - Francuzów zepchnięto aż nad Trebbię, i tam - po raz kolejny - Suworow odniósł nad nimi zdecydowane zwycięstwo.

W międzyczasie wzmocniona armia nieprzyjaciela nacierała z północnych Apenin na Novi, gdzie stacjonowały znacznie słabsze liczebnie wojska rosyjskie i austriackie. Na wieść o tym, Suworow, podążając za swym zwiadem,

przekroczył linię frontu o jakiś dzień drogi i zaatakował 15 sierpnia tuż przed świtem. Francuzi odparli kilka natarć, lecz w końcu marszałek zmusił ich do bezładnej ucieczki. Zapytany o cel, odpowiedział: - Paryż.

Sukcesy Suworowa coraz bardziej działały Austriakom na nerwy. Habsburgowie pragnęli zachować dla siebie wpływy na odzyskanych włoskich terytoriach, toteż prowadzili swoistą grę w szachy - ulubiony chwyt w czas wojny oraz w dyplomacji. Planowali mianowicie przegrupować siły tak, by Suworowa wyekspediować z Włoch na najcięższy odcinek walk. Miał on w założeniu przejść przełęczą św. Gotharda przez Alpy i ścigać Francuzów aż w głąb Szwajcarii. Kiedy prawie cały kontyngent arcyksięcia Karola von Habsburga wymaszerował - zanim dotarły na miejsce oddziały Suworowa - uzdolniony generał francuski Massena zaatakował niespodziewanie słabszy kontyngent i 23 września 1799 roku przedarł się przez linie generała Korsakowa. Rosyjska straż przednia broniła przełęczy do ostatniego naboju, po czym odmówiwszy złożenia broni, zginęła na placu boju. Zwycięski Massena zajął Zurych, a generał Soult odniósł nad Austriakami kolejne zwycięstwo.

Po przebyciu blisko pięćdziesięciu mil w trzy dni, Suworow dotarł do przełęczy św. Gotharda, bez większych strat w ludziach, tam jednak natknął się na dziewięć tysięcy francuskich żołnierzy. Atak opóźniono o cztery dni, gdyż Austriacy nie dostarczyli obiecanych środków transportu dla rosyjskich oddziałów. Ostatecznie marszałek przedarł się przez przełęcz i pokonał wzniesienia za plecami wroga, zmuszając go do odwrotu. Francuzi wycofywali się krótkim tunelem, w miejscu gdzie góra opuszczała się stromo do rwącego, głębokiego potoku. Suworow wysłał dwa oddziały - jeden korytem rzeki, drugi górami - by zajęły przejście o nazwie Czarci Most, zanim Francuzi zdołają je zniszczyć. Po kolejnym oszałamiającym sukcesie Rosjanie dotarli do Altdorf, gdzie marszałek stwierdził, że droga zaznaczona na austriackiej mapie w ogóle nie istnieje. Nie zrażony tym, obszedł stok, przebył Przełęcz Rostocką, po czym dotarł do doliny Mutten. Rosjanie maszerowali gęsiego, spowici gęstą mgłą, w strugach ulewnego deszczu, smagani wiatrem. Dowódca był zawsze tam, gdzie jego ludzie; dzielił z nimi niewygody, spał przy jednym ognisku, jadł z tego samego kotła i razem z nimi śpiewał ludowe pieśni. Podkomendny marszałka, generał Bagration, po dotarciu do Muttenthal otoczył niewielki oddział Francuzów, a jego tylnie straże odparły dwa ataki wroga. Tu jednakże Suworow dowiedział się o porażce Austriaków pod Zurychem.

Do tego czasu marszałek stracił już wszystkie działa i prawie całe zapasy, a Francuzi odcięli mu odwrót. Mając nadzieję "w Bogu i bezprzykładnym oddaniu swych ludzi", jeszcze raz przedarł się przez góry i 4 października znalazł się w kantonie Glarus. Idąc jeden za drugim, przemarźnięci do kości i często nieobuci, żołnierze pokonali drogę do Chur w jeden dzień. Pomimo iż stracił jedną trzecią swych ludzi, Suworow znowu odniósł zwycięstwo.

Paweł szalał z radości. Mianował Suworowa generalissimusem rosyjskiej armii, z prawem wydawania rozkazów i dekretów dla oddziałów, niczym sam car. Z drugiej strony, był bardzo niezadowolony ze swych sojuszników, zarówno z Anglików, jak i z Austriaków. Rozgniewało go to, iż rosyjski korpus ekspe-

dycyjny, wysłany, by służyć w Holandii pod rozkazami księcia Yorku poniósł klęskę i złożył broń. Co więcej, Londyn nie chciał nawet słyszeć o wymianie francuskich jeńców na Rosjan. Car domagał się zwolnienia niekompetentnych austriackich dowódców, a gdy spotkał się z odmową, wystąpił z koalicji i wezwał rosyjskie siły ekspedycyjne do powrotu. W Petersbergu przygotowywano Suworowowi triumfalne powitanie. Wyjechać miała poń cesarska kareta, na cześć wielkiego bohatera ulice miały się jarzyć od świateł, a po obu ich stronach miał stać szpaler żołnierzy. Przypadkiem jednak Paweł wykrył drobne naruszenie przepisów, a mianowicie to, iż Suworow zatrudnił w sztabie generała, i wściekły odwołał całą uroczystość. Aleksander próbował wstawić się za wodzem, lecz na próżno. Wysłuchawszy wyjaśnień syna, Paweł wybuchnął gniewem: - Śmiesz kwestionować moje decyzje, monseigneur? Gdzie twoja lojalność?

- Jestem twym najposłuszniejszym synem i sługą, ale lojalność wymaga czasami różnicy zdań.

- Nie dla mnie! Dla mnie równa się ona zdradzie! Popatrz na swego brata Konstantego. Ten nigdy nie kwestionuje mych rozkazów!

Podówczas Suworow był już schorowanym człowiekiem. Od czasu opuszczenia Pragi nie był w stanie dosiąść konia, do Petersburga zaś wwieziono go na noszach, pod osłoną nocy. Zmarł kilka miesięcy później, zgorzkniały i upokorzony.

* * *

Po tym jak jego wspaniały generał Massena ocalił Francję przed inwazją, odnosząc zwycięstwo pod Zurychem, Napoleon zostawił swą armię w Egipcie i powrócił do Francji. Zastał tam niekompetentny i skłócony dyrektoriat (pięcioosobowy gabinet rządzący Francją po upadku Robespierre'a) tak osłabiony personalnymi rozgrywkami i tak skompromitowany na skutek własnej nieudolności, iż bez trudu go obalił. Obecnie, przybrawszy tytuł Pierwszego Konsula, stał się faktycznie dyktatorem. Napoleon postanowił wykorzystać niechęć Pawła do swych sojuszników. Odesłał rosyjskich więźniów obładowanych prezentami, wraz ze sztandarami i całym uzbrojeniem, po czym zaproponował układy. Na Pawle, rozmiłowanym w wojennej chwale, posunięcie to wywarło olbrzymie wrażenie, i już wkrótce oba kraje prowadziły negocjacje pokojowe, w których Berlin wystąpił w roli pośrednika. Bonaparte zgodził się na wszystkie warunki stawiane przez Pawła: odszkodowania dla króla Sardynii, przywrócenie władzy papieskiej w Rzymie, oraz uznanie Pawła Wielkim Mistrzem Zakonu Kawalerów Maltańskich. Paweł był wniebowzięty i z radością przystał na wszystkie te ustępstwa Napoleona. W zamian za to, odnowił Przymierze Zbrojnej Neutralności skierowane przeciwko supremacji Anglików na morzu. Na prośbę Napoleona wygnał pretendenta do tronu Francji,

Burbona, Hrabiego Prowancji, który znalazł był schronienie w Mitawie w Kurlandii.

Podczas kampanii włoskiej i szwajcarskiej, Konstanty brał udział w trudnych operacjach i uczestniczył w bitwie nad Trebbią i pod Novi. Suworow nie szczędził Wielkiemu Księciu słów uznania, a w swym raporcie z 25 sierpnia 1799 roku donosił carowi, że Konstantemu należy się pochwała "za odwagę i dobry przykład, który zachęcił całą armię do jeszcze większych poświęceń". Męstwo syna mile łechtało próżność cara, który przechwalał się: - Widzicie, jakiego mam syna. - Następnie wydał specjalny dekret stwierdzający, iż "w uznaniu za bohaterskie czyny wojenne" wielkiego księcia, "z niekłamaną radością jako imperator i ojciec" nadaje Konstantemu tytuł carewicza, zarezerwowany dotychczas dla najstarszego syna jako prawowitego następcy tronu. Tym samym Aleksander znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji, w chwili obecnej bowiem było aż dwóch Wielkich Książąt z tytułem carewicza. Któż więc ostatecznie miał zasiąść na tronie? Czy rzeczywiście zamierzał rywalizować z bratem o władzę, wiążącą się z ogromną odpowiedzialnością, której się tak obawiał?

Ponownie odżyły dawne marzenia o zrzeczeniu się korony. Przed powrotem Konstantego, potajemnie przemycił list do Szwajcarii, do byłego preceptora - Laharpe'a, w którym opisał swoją rozpacz i nieszczęście wynikające stąd, że powierzono mu obowiązki, "które równie dobrze wykonywać mógłby pierwszy lepszy sierżant... Nie znoszę despotyzmu, i chylę głowę przed duchem wolności, której osiągnięcie jest celem narodów". Na zakończenie Aleksander nawiązał do swych wcześniejszych planów opuszczenia Rosji na zawsze. Błagał byłego nauczyciela, by ten wyszukał dlań "zamek w Szwajcarii, lub - jeśli to możliwe - plantację w Wirginii, gdzie mógłbym wieść bezpieczne i spokojne życie jako osoba prywatna".

Tymczasem Paweł nadal układał się z Francuzami. Z chwilą ustanowienia konsulatu uznał, iż Napoleon przywrócił prawo i porządek - podzielając tym samym pogląd rozpowszechniony w ówczesnej Europie. Pawła ujął także życzliwy stosunek Napoleona do religii i jego poparcie dla przywróconego kościoła francuskiego. Początkowo, car aż palił się, by stanąć na czele krucjaty w obronie tronu i ołtarza, ale zewsząd otaczała go nieufność, zawiść oraz prywata. Wierzył, że tylko on i Napoleon mogą przywrócić pokój na kontynencie. Podziw cara dla Pierwszego Konsula wzrósł jeszcze bardziej, gdy ten przypieczętował los Włoch wspaniałym zwycięstwem pod Marengo, 14 czerwca 1800 roku, narzucając Austrii kolejny upokarzający pokój. Zaproponował wówczas Napoleonowi, aby ten przyjął tytuł króla.

Paweł robił się zarazem coraz bardziej antybrytyjski, wspierając Przymierze Zbrojnej Neutralności, wymierzone przeciwko Anglii, która - ku niezadowoleniu mocarstw europejskich - kontrolowała wszystkie znaczące morskie szlaki handlowe. Postawa cara, wszelako, groziła wojną z Wielką Brytanią, odbijając się niekorzystnie na rosyjskiej gospodarce, tak więc tamtejsza szlachta podniosła wrzawę. Eksport drewna, konopi, dziegciu, miodu, wosku i zboża, wytwarzanych w wielkich majątkach ziemskich, zależał od brytyjskiego handlu. Z

chwilą, gdy Paweł nałożył embargo na angielski transport morski, obrót towarowy spadł niemalże do zera. Właściciele ziemscy, nie mogąc nigdzie indziej znaleźć zbytu, niecierpliwili się coraz bardziej.

Niechęć szlachty pogłębiała dodatkowo polityka wewnętrzna cara. Otóż, przywrócił on chłopom pańszczyźnianym prawo wnoszenia skarg do Korony na samowolę swoich panów - zawieszone wcześniej przez Katarzynę. Chłopi mogli uzyskać od Senatu zwolnienie od wysyłki na Sybir, zarządzonej przez właściciela. Paweł zakazał ponadto sprzedaży chłopów bezrolnych. Ziemiaństwo najbardziej wzburzyły jednakże dekrety zabraniające im rozciągania pańszczyzny na więcej niż trzy dni w tygodniu oraz dające kupcom prawo nabywania chłopów do pracy w fabrykach. Wielu posiadaczy ziemskich obawiało się, że może to ostatecznie doprowadzić do obalenia instytucji poddaństwa. Wiekowe, święte prawo do absolutnej władzy nad zniewolonymi chłopami zostało pogwałcone.

Próbując ulżyć niedoli włościan, Paweł zlekceważył niebezpieczeństwo zrażenia sobie szlachty, z której wywodzili się jego oficerowie. Co więcej, znósł jej nietykalność cielesną, opodatkował majątki oraz zakazał rezygnacji ze służby państwowej bez swej osobistej zgody, której z zasady nie udzielał. W szczególności uchybił oddziałom gwardzistów, odmawiając im przywileju pełnienia obowiązków cesarskiej gwardii przybocznej. Zadanie to bowiem powierzał odtąd wyłącznie Kawalergardom, coraz bardziej wywyższającym się ponad innych oficerów.

Carska polityka faworyzowania Francji kłóciła się ze zmieniającymi się obyczajami i nastrojami rosyjskich klas wyższych. Na przełomie wieków tamtejsza arystokracja - zrażona okrucieństwami jakobinów - usiłowała odciąć się od wszystkiego, co francuskie, nie wyłączając przemożnego wpływu francuskiej kultury. Do tego czasu wytworne towarzystwo, przesiąknięte angielskimi ideałami, nabrało wyspiarskich zwyczajów. Odtąd to angielski lord, nie zaś francuski *seigneur* stał się arbitrem elegancji, wzorem przykładnego życia, najwyższym uosobieniem doskonałego gustu i feudalnej dumy. Choć nie sposób pominąć widocznych zmian w stylu życia i obyczajowości, to decydującą rolę odegrały jednak czynniki natury ekonomicznej. Embargo na handel z Wielką Brytanią mianowicie stawiało pod znakiem zapytania nie tylko chwilową modę i przelotne fascynacje rosyjskich klas rządzących, ale i ich dalsze przetrwanie.

Tymczasem stosunki pomiędzy Pawłem a Napoleonem zacieśniały się coraz bardziej. Posunęli się nawet do tego, że wspólnie zaplanowali obalenie wciąż chwiejnych rządów Anglii w Indiach. Wojska rosyjskie miały przemierzyć Azję Środkową, via Chiwa i Buchara, i dotrzeć do północnych granic Indii. Zgodnie z planem Pawła, oddział kozaków wyruszyłby z Orenburga i podążył na południe, w międzyczasie zaś trzydzieści pięć tysięcy francuskich żołnierzy pod wodzą Masseny popłynęłoby w dół Dunajem, dotarłoby Morzem Czarnym do Taganrogu, a następnie Donem i Wołgą zmierzaliby na wschód, w kierunku Astrachania i Morza Kaspijskiego. Tam Francuzi połączyliby się z Rosjanami o tej samej sile, po czym już razem przedarliby się przez Himalaje do Indii. Roz-

kazy, jakie Paweł wydał generałowi Orłowowi, dowódcy kozaków, były raczej lakoniczne. "Załączam wszystkie dostępne mi mapy" - pisał. "Obejmują one teren do Chiwy i Amu Darii. Potem przez tajnych agentów nawiążcie kontakt z niespokojnymi książętami Indii i zorganizujcie ogólnonarodowe powstanie przeciwko brytyjskim rządom". Jedyna wzmianka dotycząca transportu i zaopatrzenia nakazywała każdemu jeźdźcowi zabrać dodatkowego konia jucznego i zapas żywności na cały tydzień.

Był to plan ze wszech miar nierealistyczny, wytwór chorej wyobraźni, toteż Aleksander usiłował przekonać ojca o bezskuteczności indyjskiej kampanii. - Czyżbyś znowu występował przeciwko mnie? - zapytał Paweł tonem nie wróżącym nic dobrego. - Spodziewałem się po tobie większej lojalności i posłuszeństwa.

Póki co jednakże, nad Rosją zawisło znacznie poważniejsze niebezpieczenstwo. Na morzach północnych, gdzie do Przymierza Zbrojnej Neutralności przystąpiły wkrótce także Dania i Szwecja, połączone floty zagrażały brytyjskim statkom. Anglia wysłała wtedy admirała Nelsona, by ten rozprawił się z potężnym Przymierzem i zdobył duńskie okręty. I rzeczywiście tak się stało, gdy w kwietniu 1801 roku Nelson odniósł brawurowe zwycięstwo u wybrzeży Kopenhagi. Teraz przyszedł czas na Rosję. Lecz zanim Nelson zebrał siły i dotarł do Rewlu, w Petersburgu zaszły istotne zmiany.

* * *

Niespodziewane odwrócenie sojuszy przyśpieszyło nadejście niebezpiecznego kryzysu. Do 1800 roku arystokracja, wyżsi urzędnicy oraz generałowie żyli w przeświadczeniu, iż car cierpi na ataki szału i zaburzenia umysłowe. Co więcej, brutalność Pawła uczyniła go przedmiotem powszechnej nienawiści. Kapryśny i okrutny, ciągle zaskakiwał poddanych samowolnymi dekretami, każąc im żyć w niepewności i strachu. Obecnie doszła do tego jeszcze awanturnicza polityka zagraniczna, grożąca wojną z potężnym mocarstwem, z którym Rosję łączyły interesy natury ekonomicznej.

Na domiar złego, do wiosny 1800 roku Paweł zraził do siebie większość dawnych przyjaciół i popleczników. W październiku 1799 roku zwolniono ze służby najwierniejszego sługę cara, Arakczejewa, za to, iż skłamał chcąc ochronić brata. Otóż, w zbrojowni popełniono drobną kradzież, gdy dyżur pełnił tam brat Arakczejewa, major piechoty. Donosząc o całej sprawie carowi, Arakczejew pominął ten fakt milczeniem i zrzucił winę na innego oficera, którego natychmiast osadzono w areszcie. Zazdrosny Kutajsow, rywalizujący z Arakczejewem o carskie względy, wyjawił Pawłowi prawdę. Wściekłość imperatora nie miała granic, wobec czego zesłał Arakczejewa do jego majątku w Gruzinie.

Także stosunki Pawła z Aleksandrem stawały się coraz bardziej napięte. Pewnego wieczora złożył synowi niespodziewaną wizytę w jego gabinecie.

Kiedy wszedł, Aleksander czytał właśnie *Brutusa* Woltera, gdy tymczasem chytre paciorki oczu Pawła spoczęły na opisie zabójstwa Cezara, zakończonego słowami: "Rzym jest wolny. Złóżmy dzięki bogom". Car nie powiedział ani słowa, wszelako przykazał Kutajsowowi, by ten dostarczył Aleksandrowi biografię Piotra Wielkiego, otwartą na stronie poświęconej carewiczowi Aleksemu. Otóż, ów młodzieniec, rozmiłowany w nauce, przeciwstawiał się radykalnym reformom Piotra, wprowadzanym za pomocą terroru. Piotr często wpadał w złość i publicznie łajał swego syna. Gdy w 1716 roku Aleksy szukał schronienia przed gniewem ojca najpierw w Wiedniu, a następnie w Neapolu, ten poczytał to za zdradę. Po długich negocjacjach skłoniono Aleksego do powrotu, w zamian za obietnicę przebaczenia. Jednakże, gdy tylko przyjechał do Rosji zmuszono go, by zrzekł się tronu, po czym w 1718 roku Senat skazał go na śmierć pod zarzutem spisku i buntu przeciwko ojcu. Uwięziono go i torturowano, aby wydał rzekomych wspólników. Pewnego dnia znaleziono go martwego w celi. Obłąkany Piotr wepchnął mu do odbytnicy rozżarzony pręt, by w ten sposób pozbyć się raz na zawsze syna, wyimaginowanego zdrajcy.

Mniej więcej po tygodniu Kutajsow pojawił się ponownie z zapytaniem, czy Aleksander przeczytał już podarowaną przez ojca książkę. Przed wyjściem wyszeptał jeszcze słowa ostrzeżenia: - Jego Cesarska Mość przechwycił niektóre zdradzieckie listy do Laharpe'a. Plany Waszej Wysokości, by osiąść za granicą zirytowały wielce Jego Cesarską Mość. To są bardzo, bardzo niebezpieczne plany. Podobne miał Aleksy Pietrowicz. Cesarz powtarzał mi to kilkakrotnie. Strzeż się, Panie.

* * *

Wszystkie te wydarzenia nie uszły uwadze brytyjskiego ambasadora w Petersburgu, sir Charlesa Whitwortha. Należał on do grona najzręczniejszych, najbardziej przedsiębiorczych i doświadczonych agentów dyplomacji na usługach brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, lorda Granville'a. Opatrzność obdarzyła Whitwortha wszystkimi cennymi atrybutami, jakie winien posiadać ambasador w odległym kraju w erze żółwiej komunikacji, a więc bystrością umysłu, żywą wyobraźnią oraz gotowością podjęcia ryzyka. Co więcej, sir Charlesowi nie brakowało osobistego uroku, który roztaczał zarówno dla własnych korzyści, jak i dla dobra swego rządu. Służąc w Rosji, kontynuował rodzinną tradycję. Stryjeczny dziad Whitwortha zdobył uznanie jako poseł na dworze Piotra Wielkiego. Po sześciu latach spędzonych w Petersburgu za rządów Katarzyny, sir Charles zaliczał się do weteranów korpusu dyplomatycznego. Gromadził szczegółowe dane na temat wszystkich dygnitarzy Imperium, starając się wszędzie zjednywać sobie przyjaciół. Z tego też względu niestrudzenie nadskakiwał Płatonowi Zubowowi i został kochankiem jego siostry, Olgi Zerebcowej, którą sprytnie wykorzystał jako źródło dworskich plotek oraz informacji dotyczących spraw wagi państwowej. Zdobywając przy-

jaźń kochanka carycy i sypiając z jego siostrą, sir Charles stał się najlepiej poinformowanym dyplomatą w całym Petersburgu.

Kiedy Paweł wstąpił na tron, Whitworth od początku był z nim w dobrych stosunkach. Nie szczędził pochwał na temat wojskowych uzdolnień cara, ograniczając jednocześnie do minimum kontakty z Olgą Zerebcową, by nie drażnić nowego monarchy, który szczerze nienawidził całej rodziny Zubowów. Dzięki umiejętnościom Whitwortha rząd brytyjski mógł wciągnąć na swą listę płac dwoje wpływowych faworytów Pawła: Katarzynę Nielidową - jego późniejszą kochankę - oraz jego poplecznika, Kutajsowa. Za sumę, odpowiednio, trzydziestu i dwudziestu tysięcy rubli, przyczynili się do zawarcia umowy handlowej z korzyścią dla Wielkiej Brytanii.

Whitworth był ponadto wieloletnim przyjacielem hrabiego Nikity Panina, który jesienią 1799 roku został rosyjskim wicekanclerzem. Panin jako jeden z pierwszych zasilił grono rodzimych fanatycznych anglofili; gorąco wierzył, iż to, co angielskie nie ma sobie równych. Z Londynu sprowadzał właściwie wszystko: odzież, pudding śliwkowy, whisky i gin, ba, nawet biszkopty i herbatę, choć ta ostatnia w istocie pochodziła z Chin. Panin nierzadko pomstował na Francuzów, wyzywając ich od krwiopijców Rosji. Konwersując z Aleksandrem po francusku, powiedział kiedyś: - Czy nie widzisz, że Francuzi zalali nasz kraj niczym szarańcza. Niemal cały handel luksusowymi towarami, a także większość profesji wymagających fachowych umiejętności zdominowali Francuzi: krawcy, modystki, kucharze i tancmistrze - Paryż dyktuje modę zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. A przecież angielskie ubiory są takie eleganckie, francuskie biją na głowę. Francuzi chcą po prostu puścić nas z torbami. Rosja przypomina potężnego niedźwiedzia na pasku małej, acz sprytnej francuskiej małpki. - Tu dodał złośliwie: - To Anglicy powinni być dla nas przykładem. Ci cenią własny język, nie tak jak nasi rodacy, którzy wolą łamaną francuzczyznę od rosyjskiej mowy. - Panin sam próbował dawać dobry przykład. Po rosyjsku jednak nie potrafił wysławiać się tak kwieciście, ze względu na mały zasób słów, a i listy pisał z reguły po francusku.

W raporcie do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, lorda Granville'a, Whitworth tak oto scharakteryzował Panina: "zdrowe zasady, trzeźwy osąd, niezwykła umiejętność załatwiania spraw, głęboka świadomość niebezpieczeństwa, na jakie Europę naraża nowa polityka cara, jak również wrodzona nienawiść do wszystkiego, co francuskie. Panin to w gruncie rzeczy raczej intelektualista aniżeli przywódca. Za dużo mówi. Nie jest ani wystarczająco stanowczy, ani dość bezwzględny. Rosjanie wielbią tylko takich przywódców, przed którymi odczuwają strach." Już w roku 1798 Whitworth począł się rozglądać za bardziej zdecydowanymi sojusznikami politycznymi, tudzież czynić sekretne starania, by nie dopuścić do rozpadu koalicji antyfrancuskiej. Wewnątrz rosyjskich kół rządowych ścierały się dwie frakcje: Panina, który opowiadał się za kontynuowaniem wojny z Francją, oraz hrabiego Teodora Rostopczyna, młodego człowieka, niezbyt kochanego przez Katarzynę, który niebawem został ulubionym adiutantem i politycznym doradcą Pawła. Hrabia był zwolennikiem niezależności politycznej Rosji, zmierzającej w kierunku zbli-

żenia z Francją, a zarazem przeciwnikiem Austrii - i jej mocarstwowych ambicji na kontynencie - oraz brytyjskiej ingerencji na morzu.

Z początkiem roku 1800, widząc zacieśniające się więzi pomiędzy Rosją i Francją, w obawie przed najgorszym, sir Charles postanowił działać. Począł skupiać wokół siebie ludzi godnych zaufania, by wspólnie z nimi zawiązać spisek przeciwko carowi. Centralną postacią wśród konspiratorów nie miał być wszelako gadatliwy i niestały Panin, lecz hrabia Piotr von Pahlen, wysoki, barczysty, inflandzki arystokrata, o wysokim czole, szerokim uśmiechu, oraz stalowym, zuchwałym spojrzeniu. W wieku lat siedemnastu został kornetem w gwardii, i zasłynął jako bohater kampanii pruskiej 1759 roku. Zrobił błyskawiczną karierę, bo już w 1781 awansował na generała majora. W dowód uznania za jego nieocenione zasługi Katarzyna podarowała mu olbrzymią posiadłość Ekawa w Kurlandii, mianowała go wojskowym gubernatorem Rygi, a następnie wszystkich prowincji nadbałtyckich. Pahlen na pozór brał życie lekko i beztrosko. Był dowcipny i jowialny, lecz za tą maską niefrasobliwości chował się zupełnie ktoś inny. W rzeczy samej, pod tą pociągającą i wesołą powierzchownością kryła się żelazna wola, brawura i nieokiełznana ambicja. Za panowania Pawła, wojskowe i administracyjne zdolności Pahlena pozwoliły mu nadal piąć się w górę. Wkrótce porzucił stanowiska gubernatora prowincji bałtyckich, wojskowego gubernatora Rygi oraz inspektora inflandzkiej kawalerii i piechoty, by sprawować obowiązki gubernatora stolicy, wyznaczonego do pomocy wielkiemu księciu Aleksandrowi, który był nowicjuszem w sprawach zarządzania. Pahlen wciąż umacniał swą pozycję, i wydawało się, że zatriumfował nad wszystkimi rywalami. I rzeczywiście, po kolejnym zdymisjonowaniu Arakczejewa, stał się prawą ręką Pawła, jego oczami i uszami w stolicy. W tym celu został także mianowany Generalnym Poczmistrzem, dzięki czemu był w stanie przechwytywać niemalże całą korespondencję rosyjskiego establishmentu.

Sir Charles wiedział, że Pahlen ma reputację jednego z najbardziej śmiałych, przebiegłych i ambitnych ludzi w Rosji. Whitworth podziwiał jego odwagę i umiejętność dostosowania się do każdych warunków, toteż w depeszy do Granville'a, przyrównał go do "wańki-wstańki co to, choć postawiona do góry nogami, i tak zawsze się podniesie". Pahlen nie miał sobie równych w pokonywaniu trudności.

Whitworth i Pahlen rozumieli się doskonale. Obu niepokoiła profrancuska polityka Pawła, obu zależało na zacieśnieniu więzi z Anglią, Austrią i Prusami. Za namową sir Charlesa Pahlen nawiązał kontakty z niezadowolonymi oficerami i urzędnikami. Wszystkie te pozornie przypadkowe spotkania nie miały miejsca w brytyjskiej ambasadzie - wzbudziłoby to podejrzenia Pawła - lecz w domu Olgi Zerebcowej, przy okazji balów i wieczorów muzycznych. W przerwach pomiędzy biesiadą a tańcami omawiano ważne kwestie, i tak oto powstał zalążek spisku. Wszyscy konspiratorzy byli zgodni co do jednego: nieobliczalność, brak konsekwencji i awanturnicza polityka cara zagraża bezpieczeństwu Rosji i jej wewnętrznej stabilizacji. Potrzebne było im przede wszystkim silne, integrujące przywództwo. Pahlen, pełniący obowiązki gene-

rała gubernatora Petersburga zajmował się właśnie sprawami bezpieczeństwa w stolicy. Przekonani argumentami Whitwortha i Panina, wszyscy zgodzili się, iż na czele spisku winien stanąć Pahlen.

* * *

W marcu 1800 roku Whitworth zrozumiał, że groźba zerwania stosunków z Rosją staje się coraz bardziej realna i że wkrótce będzie musiał opuścić Petersburg. Pewnego wieczoru, wysłał do Pahlena tajną wiadomość: "Proszę przyjść do mnie samemu w przyszłą niedzielę do ambasady na obiad na godz.20. Liczę na dyskrecję." Gospodarz przyjął Pahlena nie w głównej sali jadalnej, lecz w swym prywatnym gabinecie. Obiad podawał zaufany lokaj sir Charlesa, stary Szkot, Ian MacDuggal. Po kilku kieliszkach koniaku i dwu butelkach bordo, zaserwowano porto, po czym sir Charles przystąpił do objaśnienia celu tego spotkania.

- Prosiłem, aby przybył pan sam, ponieważ zgadzam się z powiedzeniem, iż gdziekolwiek jest trzech Rosjan, tam przynajmniej jeden musi być szpiegiem. Poza tym jest pan prostolinijnym inflandzkim protestantem, a zarazem członkiem naszej loży masońskiej, więc mogę mieć do pana pełne zaufanie. Naradzaliśmy się od tygodni, ale teraz musimy działać, i to szybko. Jego Cesarska Mość jest psychicznie niezrównoważony i całkowicie nieobliczalny. Należy go odsunąć od władzy, przynajmniej na jakiś czas, aby uchronić Rosję przed katastrofalną wojną, a także bankructwem. Rosyjskie imperium jest bogate i urodzajne, lecz grozi mu ruina z powodu braku przemysłu. Swoje miejsce w europejskiej wspólnocie może utrzymać wyłącznie dzięki eksportowi do Wielkiej Brytanii, który uniemożliwiły cła zaporowe. - Po chwili ciszy, sir Charles zapytał Pahlena: - Czy jest pan gotów na współpracę?

- Wasza Ekscelencjo, to niezwykle delikatna, ba, wyjątkowo niebezpieczna sprawa. Zebrałem jakichś 50 - 60 ludzi, ale większość z nich wciąż się waha. Podnieść rękę na prawowitego władcę - to krok niezwykle zuchwały. Poza tym, cesarz jest członkiem naszej loży.

- Ależ nie miałem na myśli królobójstwa. Uchowaj Boże. Nie jestem jakobinem. Chodzi mi tylko o ustanowienie regencji na wzór angielskiej i duńskiej, za którą przemawiały zaburzenia umysłowe króla Anglii, Jerzego III, i króla Danii, Christiana VII. W Rosji, podobnie jak w obu tych krajach, regentem zostanie następca tronu. Z tego też względu musimy pozyskać dla sprawy wielkiego księcia Aleksandra. Młody książę jest wyjątkowo inteligentny i, mam nadzieję, dosyć lubiany. Przychylność, jaką ludzie darzą Aleksandra jest tym większa, im bardziej nienawidzą oni jego ojca. Mówi się, że gdy młodzieniec padł mu do nóg, błagając o litość dla jednej z ofiar carskiego gniewu, ten odepchnął go i kopnął w twarz! Władca oskarżył Aleksandra o to, iż jest mięczakiem, tchórzem i zdrajcą, grożąc, że spotka go los Aleksego Pietrowicza.

- Tak, tak. Słyszałem o tych pogróżkach od Kutajsowa.

- A co do naszej loży - kontynuował sir Charles - car sam wykluczył się z szeregów bractwa, przyjmując tytuł Wielkiego Mistrza rzymskokatolickiego zakonu Kawalerów Maltańskich. Nie tylko pozostaje pod wrażeniem maltańskiego ubioru i ceremoniału, ale rozpowszechnia także pewne potworne katolickie przesądy. To oburzające. Przestaje, na przykład, z tymi przeklętymi czarnymi diabłami - jezuitami. Pełno ich w całej Rosji niczym szarańczy, i niejedną figurę nawrócili już na papieskie herezje. Zgromadzili niezmierzone bogactwa, mnóstwo olbrzymich majątków ziemskich, budynki, kolegia, i - jak obliczono - około trzydziestu dwóch tysięcy chłopów pańszczyźnianych czy też "dusz", jak ich nazywacie. Powinniście zmusić cara, by zrzekł się korony na rzecz Jego Wysokości wielkiego księcia Aleksandra, który sprawowałby obowiązki regenta. Po abdykacji, Paweł zachowałby tytuł, wysoką pensję, i włości, jakie pragnąłby zatrzymać. Może zechciałby powrócić do Gatczyny. Wypijmy jeszcze odrobinkę porto.

Gdy opróżniono kieliszki, sir Charles podjął wątek: - Kto wie, może miałby ochotę osiąść za granicą. Wielka Brytania i jej zamorskie terytoria stoją przed nim otworem. W końcu, Marynarka Królewska zdobyła Maltę; niewykluczone, że zechciałby odbudować swój ukochany zakon i rządzić wyspą według własnego widzimisię. Tam byłby władcą suwerennym.

- Trzeba mieć wszystkie te opcje na uwadze, jednak nierozważnym byłoby podejmowac jakiekolwiek działania nie uzyskawszy przedtem ostatecznego przyzwolenia następcy tronu - wtrącił Pahlen. - Niestety, wciąż brak nam jego poparcia.

- Niewątpliwie. Panu jednakże łatwiej nań wpłynąć, nie wzbudzając podejrzeń cara. Wszakże to do obowiązków generała gubernatora stolicy należą codzienne spotkania z wielkim księciem.

- To prawda. Jeżeli chodzi o ścisłość, to wybadałem jego stanowisko kilka tygodni temu, kiedy spotkaliśmy się w łaźni. Wciąż jednak nie za bardzo chciał się angażować, gdyż drży o życie ojca, no, i swoje własne. Próbowałem przedstawić Jego Wysokości wszystkie niebezpieczeństwa, jakie zagrażają Rosji pod obecnymi rządami. Usiłowałem przemówić mu do rozumu, że jego świętym obowiązkiem jest przejąć władzę i rządzić krajem w sposób oświecony, jak przystało na męża stanu; że nie wolno mu poświęcać dobra milionów poddanych dla niecodziennych kaprysów pojedynczego człowieka, nawet jeśli mowa o jego ojcu. Przypomniałem mu, iż wolności jego matki, a może i życiu, zagraża wciąż pogłębiająca się, chorobliwa niechęć cara do małżonki. Stosunki pomiędzy nimi popsuły się, gdy w 1788 roku na świat przyszła ich czwarta córka, Katarzyna. Z dnia na dzień jest coraz gorzej. W przypływie gniewu, car nie zawaha się przed niczym.

- Zgadzam się w zupełności, i dlatego nie możemy zwlekać ani chwili dłużej. - nalegał sir Charles.

- Kiedy ponownie zagadnąłem wielkiego księcia kilka dni temu - ciągnął Pahlen - Jego Wysokość odparł: "Chcesz, bym jak żyrafa nadstawiał karku. Mam podnieść rękę na ojca? Planuję wyjechać, osiąść za granicą i żyć spokojnie w

jakimś wolnym kraju jako nikomu nie znana osoba." Zapewniałem go: "Wasza Wysokość, gwarantuję życie i bezpieczeństwo cara", ale wielki książę wciąż miał wątpliwości i zachowywał rezerwę, aż wreszcie zapytał po raz kolejny: "Czy możesz przysiądz, że darują ojcu życie?"

"Przysięgam na mój honor" - uspokajałem go. On jednak nadal nie dowierzał i wyznaczył adiutanta, Piotra Wołkońskiego, na swego łącznika i obserwatora.

- Zanim się rozstaniemy - powiedział sir Charles - ustalmy najpierw plan działania. Przede wszystkim należy pracować nad wielkim księciem i zachęcić go, by bardziej zaangażował się w naszą sprawę. Bez jego zgody, żołnierze pułku siemionowskiego nie będą mogli działać po naszej myśli. W krytycznym momencie muszą pełnić wartę w nowym pałacu cara. Musimy również przeciągnąć na naszą stronę Kutajsowa. Powinien namówić cara, by nie wzywał Arakczejewa do stolicy. Nie mam w tej chwili zbyt wiele pieniędzy, ale proszę, oto czterdzieści tysięcy rubli, aby poprawić mu humor. Powtarzam, Kutajsow musi wpłynąć na cara w dwóch sprawach: przekonać go, ażeby jak najdłużej zatrzymał Arakczejewa w Gruzinie, i aby wezwał do Petersburga Płatona Zubowa. Paweł musi uwierzyć, że Płaton zmienił zapatrywania i na wygnaniu miał dość czasu nie tylko, by odpokutować winy, lecz aby stać się gorącym zwolennikem przepisów dotyczących nowej artylerii. Teraz zaś - o ile takie jest życzenie cesarza - pragnie służyć w jednej z baterii nawet jako prosty kanonier, byleby tylko znaleźć się w otoczeniu tak wielkiego wodza. W międzyczasie musimy przekonać Kutajsowa, że Płaton ma zamiar poślubić jego córkę. Ten niskourodzony, marny karierowicz na pewno da się na to złapać. Ale powtarzam raz jeszcze, zadanie pierwszorzędnej wagi - to urobienie wielkiego księcia Aleksandra. Z Konstantego nie byłoby pożytku. Za bardzo przypomina ojca i jest mu oddany duszą i ciałem.

Kiedy Pahlen wychodził, sir Charles uścisnął mu dłoń i ostrzegł: - Niezbędne są dwie rzeczy: całkowita tajemnica i szybkie działanie. Przepadł ten, kto gada, zwycięża, kto działa.

Z Kutajsowem poszło gładko. Czterdzieści tysięcy rubli plus perspektywa małżeństwa córki z bogatym arystokratą uczyniły z niego wiernego sojusznika. W istocie, niedługo potem Zubow złożył mu na piśmie formalne oświadczyny. Wielce tym zaszczycony, przekazał nowinę carowi wraz z wyrazami uwielbienia dla władcy, które hrabia Zubow zawarł w swym liście. Nieufny Paweł nie od razu podjął decyzję, lecz Kutajsow padł mu do nóg, błagając, by nie stawał na drodze do szczęścia jego córki: - Jego Cesarska Mość, ojczulku, nie odmawiajcie. Zubow jest teraz waszym wielbicielem. Zostałby waszym niewolnikiem. - Paweł ustąpił i dał swe przyzwolenie.

Przez jakiś czas wszystko szło jak po maśle, lecz pod koniec 1800 roku pewne okoliczności pokrzyżowały plany Pahlena. Otóż, Nikitę Panina, jednego z czołowych konspiratorów, zesłano do jego majątku, gdyż Paweł wyczuł, iż w duchu sprzeciwia się on wojnie z Anglią. Co gorsza, drobiazgowo przygotowany spisek skomplikowała jeszcze przeprowadzka cara do nowej rezydencji. Paweł nie znosił Pałacu Zimowego, ten bowiem kojarzył mu się ze zmarłą matką, i z tego też powodu zarządził budowę nowego - Pałacu Michajłowskie-

go, przypominającego wyglądem twierdzę, a nie siedzibę carów. Gmach ukończono pośpiesznie w lutym 1801 roku, na długo przed planowanym terminem, jako że Paweł coraz bardziej obawiał się zamachu na swe życie.

Podczas przeprowadzki, car zachowywał nadzwyczajne środki ostrożności, węsząc wszędzie podstęp, niczym osaczone zwierzę. Posunął się nawet do tego, że
urządził małą kuchnię tuż obok swych apartamentów, gdzie zaufany służący miał mu przygotowywać posiłki, eliminując tym samym groźbę otrucia. Uzbrojone straże strzegły wszystkich wejść, pilnując, by nikt niepowołany nie przedostał się do zamku. Dwa razy dziennie spuszczano jeden z mostów zwodzonych, wpuszczając nowych wartowników, prowiant oraz pocztę. Otoczony głębokimi fosami z mostami zwodzonymi, i bramami strzeżonymi non stop przez doborowych Kawalergardów, Paweł stopniowo odzyskiwał poczucie bezpieczeństwa.

Car nakazał ociągającej się rodzinie przenieść się do nowej rezydencji i dzielić ze sobą dobrowolne uwięzienie, choć tynk na ścianach nie zdążył jeszcze przeschnąć i brakowało najniezbędniejszych sprzętów. Nowa metresa, księżna Anna Gagarin, zajęła pokoje połączone z apartamentem cara sekretnymi schodami. Chodziły słuchy, że Paweł jest gotów rozwieść się z żoną i poślubić konkubinę.

Wkrótce po przenosinach, car począł snuć nowe plany dynastyczne. Szóstego lutego 1801 roku przybył do Petersburga trzynastoletni książę Eugeniusz Wirtemberski, bratanek cesarzowej Marii. Kiedy Paweł zaprosił go, by spędził jakiś czas z ciotką w Rosji, z początku wydawało się, iż jest to chwilowy przypływ serdeczności - miła odmiana po brutalności, z jaką zwykle traktował małżonkę. Wyobraźnia cara podsunęła mu jednak ciekawsze rozwiązanie. Aby sprawić wujowi przyjemność, chłopiec powitał go w mundurze rosyjskich dragonów, ale buty były tak duże, że kiedy próbował uklęknąć przed monarchą, stracił równowagę i runął na podłogę. Car przymknął oko na tę niemiłą przygodę, podniósł go i posadził sobie na kolanach, nie szczędząc przy tym chłopcu czułych słów i pieszczot - reakcja niespotykana dotąd u surowego i posępnego monarchy. Na koniec powiedział mu, iż ma poślubić jego córkę, Katarzynę, i zostać prawowitym następcą tronu.

* * *

Do marca Paweł żył w zamku w całkowitym odosobnieniu, nie wychodząc nawet na krótkie przechadzki. Unikał żony, która obdarzywszy go jedenastoma potomkami, była zniszczoną, przedwcześnie postarzałą kobietą. Nadworni lekarze zabronili jej współżycia z mężem, gdyż kolejny poród mógłby skończyć się dla niej śmiercią. Nie przeszkadzało jej, że mąż - wzorem innych osiemnastowiecznych monarchów - ma oficjalną metresę, lecz sposób, w jaki ją traktował, uwłaczał jej jako prawowitej małżonce. Zlecił jej, na przykład,

zadbanie o meble i pościel w pokojach jego kochanki w nowym zamku, oraz kazał zabarykadować przejście ze swego apartamentu do pokoi cesarzowej, instalując jednocześnie sekretne schody do sypialni metresy.

Tymczasem do cara zaczęły docierać pogłoski o przygotowywanym spisku. Dziesiątego marca anonimowy nadawca poinformował go, iż około 50 - 60 ludzi planuje zamach na jego życie, w tym także sam Pahlen. Oszalały z wściekłości, Paweł natychmiast wezwał Pahlena przed swoje oblicze. By nie wzbudzać jego podejrzeń, jako powód spotkania podał nieoficjalny obiad, jakim pragnął podjąć swego wiernego sługę. Podobnie jak Piotr Wielki, żywił silne przekonanie, iż ludzie są szczerzy tylko po pijanemu. Obiad podano w jednym z salonów przyległych do kwatery cara, który tym razem wydawał się serdeczny i beztroski. Przed posiłkiem z dwu różnych karafek serwowano rozmaite trunki w pokaźnych kielichach. Podczas gdy Pawłowi nalewano zwykłą wodę, naczynie Pahlena napełniano mocną wódką. Zgodnie z dworską etykietą, Pahlen nie mógł odmówić wypicia żadnego z licznych toastów wznoszonych co chwila przez znamienitego gospodarza. Po pięciu czy sześciu kolejkach, Paweł upewnił się, iż gość dojrzał już do tego, by poddać go drobiazgowemu, wnikliwemu przesłuchaniu.

- Doszły mnie wieści, że knuje się przeciwko mnie spisek, a ty, gubernatorze Petersburga, nie poinformowałeś mnie o tym! Czyżbyś o niczym nie wiedział?

- Proszę o wybaczenie, sire. - odparł Pahlen ze spokojem - Nie tylko o nim wiem, ale sam w nim uczestniczę.

- Co? Spiskujesz przeciwko swemu suwerenowi?!

- Tak, sire. - ciągnął Pahlen, z tą samą pewnością siebie w głosie. - Jestem jego częścią. Przyłączyłem się do spisku dla twojego dobra, by chronić twe życie. Znam już nazwiska wszystkich konspiratorów. Ręczę na mój honor, że winnych nie spuszczę z oka, i że nie unikną sprawiedliwości Waszej Cesarskiej Mości.

- Kim są ci przeklęci zdrajcy? - wrzasnął Paweł.

- Rozwaga nie pozwala mi wymienić ich nazwisk. Poza tym lista jest bardzo długa. Znacznie dłuższa niż sześćdziesiąt pozycji. Ufam, iż po tym, co miałem zaszczyt wyjawić Najjaśniejszemu Panu, obdarzy mnie on całkowitym zaufaniem i pozwoli mi nadal gorliwie strzec swego cennego życia?

Ta zagadkowa mowa jeszcze bardziej pobudziła ciekawość cara: - Kim oni są? Wskaż przynajmniej prowodyrów.

- Sire - odrzekł Pahlen, z szacunkiem chyląc głowę. - Ostrożność powstrzymuje mnie przed wymienieniem tych znamienitych nazwisk.

Paweł, chory z podejrzliwości, z miejsca pomyślał o żonie i synach. - Rozumiem - warknął głosem zdławionym od emocji. - To moja żona cesarzowa Maria Fiodorowna?

Pahlen nie odpowiedział. Nie odrywając wzroku od gubernatora, Paweł kontynuował przesłuchanie. - Czy to wielki książę Aleksander... a może Konstanty?

Pahlen spuścił głowę, jakby na znak potwierdzenia, lecz nadal zachowywał dwuznaczne milczenie.

- Co się tyczy cesarzowej Marii - powiedział Paweł groźnym tonem - sam zrobię porządek z Jej Cesarską Mością. Tymczasem nie wolno spuścić oka z obu wielkich książąt.

- We właściwym czasie spełnię wasze rozkazy, sire. Póki co, proszę o czterdzieści osiem godzin, bym mógł aresztować wszystkich spiskowców.

- Dobry, wierny Pahlen! - wykrzyknął Paweł. - Zrobisz, jak zechcesz. - Po czym zamknął Pahlena w serdecznym uścisku, pocałował go w oba policzki, oznajmiając: - Nawet moja żona i synowie to marni zdrajcy! Tylko tobie mogę ufać bez reszty.

- Prawdę powiedziawszy, sire, pańska lista nie jest kompletna. Wśród konspiratorów znajduje się wielu Kawalergardów, którzy obecnie strzegą Pałacu Michajłowskiego. Kazałbym ich natychmiast usunąć. Polegać można wyłącznie na pułku siemionowskim, ten bowiem jest oddany Waszej Cesarskiej Mości duszą i ciałem. Może by ich zawezwać?

Zrazu Paweł miał pewne wątpliwości, jednak pod koniec rozmowy, ujęty oddaniem i przemyślnością Pahlena, powierzył mu nadzór nad środkami bezpieczeństwa. Dał mu również odręczne pozwolenie wstępu do Pałacu Michajłowskiego o dowolnej porze dnia i nocy, oraz aresztowania każdego, kogo uzna za stosowne, nie wyłączając aryksiążąt. - Miej ten dokument stale przy sobie. - Wyjawił następnie Pahlenowi, iż ma zamiar rozwieść się z żoną, odesłać ją do klasztoru, zaaresztować obu synów i postawić przed sądem za zdradę, dlatego też potrzebuje czasu, by osobiście przeprowadzić dochodzenie. Rozkazał, ażeby Gwardia Kawalerów opuściła zamek, oraz by wzmocniono barykadę oddzielającą jego sypialnię od sypialni żony, a także, aby roztoczono ścisły nadzór nad Aleksandrem i Konstantym. Na zakończenie uciął krótko: - Za kilka dni spadnie wiele głów.

Po wyjściu od cara, Pahlen pośpiesznie zwołał pozostałych spiskowców, wysyłając do nich w charakterze posłańców swych zaufanych oficerów. Gdy zebrało się ich około pięćdziesięciu, powiedział: - Tajemnica się wydała. Wśród nas jest przynajmniej jeden zdrajca, jeden konfident, który doniósł o tym carowi. Mimo to tyran dalej nie zna nazwisk większości konspiratorów. Ale kto wie czy jakiś inny zdrajca nie wyjawi mu szczegółów planu? Jeśli nam życie miłe, musimy bezzwłocznie załatwić całą sprawę.

Strategia Pahlena zakładała wysłanie spiskowców do pałacu pod wodzą generała Benningsena, awanturniczego dowódcy kawalerii zwolnionego ze służby przez cara Pawła i wciąż noszącego w sobie głęboką urazę. W gruncie rzeczy, Pahlen opracował dwa plany i był gotów zdradzić albo swego pana, albo wspólników, w zależności od tego, jaki obrót przybiorą sprawy. Gdyby w decydującej chwili los obrócił się przeciwko konspiratorom, miał ich zaaresztować i powiadomić cara słowami: - Sire, celowo sprowokowałem ich do działania, by móc ich wszystkich ująć. Jest pan ocalony, sire. Po raz kolejny udowodniłem, żem twym najwierniejszym sługą.

Po rozstaniu ze spiskowacami Pahlen, z rozkazem cara w ręku, udał się do apartamentów Aleksandra, usytuowanych tuż pod carskimi komnatami. Niezwłocznie zaprowadzony przed oblicze wielkiego księcia, skłonił się głęboko,

informując go o groźbach ojca i jego planach, by działać szybko i bezwzględnie. Nie ukrywał przed Aleksandrem losu, jaki czeka jego matkę. - Oto rozkaz, by cię aresztować. Co ty na to?

Aleksander rzucił okiem na dokument i wykrzyknął: - Brata także?!

- Senat i całe imperium pragnie zrzucić to nieznośne jarzmo i oddać swój los w twoje ręce. Przyszedłem tu jedynie po to, by przekazać to życzenie. Musimy działać natychmiast, Wasza Wysokość. Nie ma czasu do stracenia.

Widząc wahanie Aleksandra, Pahlen próbował uzmysłowić mu, dlaczego należy się obawiać ogólnego niezadowolenia wszystkich klas społecznych z rządów cara. - Spójrz tylko na Anglię. Tam rodzina królewska pozbyła się Jerzego III, powierzając ster rządów księciu Walii, choć psychiczna kondycja króla nie była tak zła jak naszego cara. A wszystko to miało miejsce w kraju, gdzie władza królewska jest ograniczona prawem, gdzie poczucie praworządności jest silniejsze niż gdziekolwiek indziej na świecie.

- Wasza Wysokość - kontynuował Pahlen, przybierając łagodny ton - mógłby - bez wstępowania na tron - rządzić jako regent, by w każdej chwili oddać władzę ojcu, gdy tylko wróci do zdrowia i odzyska równowagę niezbędną do sprawowania swych obowiązków. Takie jest zdanie senatu, wojska i całego narodu.

Pomimo argumentów Pahlena, Aleksander wciąż nie mógł podjąć ostatecznej decyzji: - Jeżeli nam się nie uda, ojciec z pewnością obejdzie się ze mną równie okrutnie jak Piotr Wielki z Aleksym.

Pahlen nie wytrzymał i wybuchnął: - Monseigneur, najbliższe dwa dni niewątpliwie przesądzą o losie Jego Cesarskiej Wysokości, waszej czcigodnej matki oraz całej Rosji. Nadszedł czas działania, nie zaś moralnych czy też prawnych rozważań! Przepadł ten, kto się waha; zwycięża, kto działa!

Po wyjściu od Aleksandra, Pahlen postawił przed jego drzwiami sześciu strażników pod komendą oficera, i rozkazał, by Wielki Książę nie opuszczał komnaty bez pozwolenia na piśmie. Powtórnie zebrawszy spiskowców w rezydencji Płatona Zubowa, zwrócił się do nich: - Nie wahajmy się czynem udowodnić, żeśmy godni Rosji, żeśmy jej oswobodziciele! Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą!

Przywołując ducha Brutusa, konspiratorzy poprzysięgli zabić tyrana, pociągając po sporym hauście szampana dla kurażu. Powściągliwość zachowali jedynie Pahlen, jego zastępca, generał Bennigsen, oraz Piotr Wołkoński, adiutant Aleksandra - by nie stracić pełnej kontroli nad sytuacją.

Pahlen jeszcze raz złożył wizytę imperatorowi, zapewniając go, iż spiskowcy są pod właściwym nadzorem, a Wielkiemu Księciu Aleksandrowi założono areszt domowy. W ten sposób, zdołał całkowicie uśpić czujność cara. Tej nocy Paweł szukał odprężenia w ramionach swej metresy, księżnej Gagarin. Rozmowa z Pahlenem ostatecznie rozwiała jego wątpliwości, dając mu poczucie bezpieczeństwa i panowania nad sytuacją. - Nie martwmy się o jutro. - powiedział, całując księżną.

* * *

O północy konspiratorzy wyruszyli małymi grupkami w kierunku Pałacu Michajłowskiego. Ciemne chmury przysłaniały marcowe niebo, a mokry śnieg pokrywający ziemię odcinał się na tle czerwonawych murów wciąż nieukończonego zamku. Pierwszą przeszkodę stanowił most zwodzony. Strzegący go dwaj sierżanci z początku nie chcieli respektować przepustki Pahlena, lecz w końcu zgodzili się spuścić most i otworzyć bramę. Spiskowcy wkroczyli do fortecy. Przechodząc przez ogród okalający pałac, wystraszyli stado wron drzemiących na gałęziach. Kraczące ptaki, uważane za zły omen, przeraziły co bardziej przesądnych, którzy na moment zwątpili w słuszność swej decyzji, jednakże zarówno Pahlen, jak i Bennigsen nie pozwolili im zawrócić. Przez cały czas Pahlen i Wołkoński pozostawali w tyle obserwując zachowanie spiskowców, i popędzając ich, wsłuchiwali się uważnie w każdy szmer.

Pahlen odesłał Kawalergardów, na ich stanowiskach zaś rozmieścił oficerów pułku siemionowskiego. Jeden z wartowników, którego przeoczono, miał właśnie zaalarmować osobistą służbę cara o zbliżającej się grupie, gdy został uciszony przez konspiratorów. Dotarłszy bez przeszkód do wnętrza pałacu, zaczęli się wspinać po stopniach monumentalnych schodów.

Paweł, po upojnym wieczorze z księżną Gagarin, spał smacznie w swej własnej sypialni. W chwili, gdy spiskowcy mieli wkroczyć do komnaty cara, osobisty sługa Pawła, który drzemał w fotelu przy drzwiach, na widok intruzów poderwał się na równe nogi, krzycząc: - Stój! Kto idzie? Powiedziałem: stój! - Gdy nie usłuchali, wyciągnął pistolet, a wtedy rzucili się na niego i powalili na podłogę. Hałas obudził Pawła, który wyskoczył z łóżka i pobiegł do drzwi prowadzących do apartamentów na parterze, zapominając najwyraźniej, iż poprzedniej nocy sam kazał je zamknąć i zabarykadować w obawie przed żoną. Na próżno kopał w nie rozwścieczony. Znalazł się w pułapce. Nie wiedział, co robić.

Główne drzwi do sypialni cara rozwarły się z trzaskiem. Konspiratorzy wpadli do środka, krzycząc "Precz z tyranem! Niech się zrzeknie korony"! Paweł zdążył tylko skryć się za kurdybanową zasłoną kominka. Spiskowcy z miejsca skierowali wzrok na łóżko. Stało puste. Gdy bezskutecznie przeszukiwali pokój, jeden z nich dojrzał parę bosych stóp wystających spod zasłony. - Tu jest! Tu jest! - Wywleczono Pawła na środek pokoju, i zawołano Pahlena, lecz ten nie odpowiadał. Z korytarza śledził przebieg walki. W przypadku, gdyby spisek się nie udał, gotów był zaaresztować towarzyszy. Spiskowcy, zbrojni w szable i pistolety, otoczyli Pawła zwartym kołem. Ten, zbierając się na odwagę, skamlał: - Gdzie szacunek należny władcy? Strzeżcie się! Stoicie przed waszym carem!

- Pawle Pietrowiczu - wykrzyknął Płaton Zubow - reprezentujemy władzę senatu. Weź ten oto dokument, przeczytaj go i zadecyduj o swym własnym losie. Podpisz akt abdykacyjny!

Śmiertelnie przerażony, Paweł drżącymi rękoma wziął pismo i w świetle nocnej lampki migoczącym na jego bladej, wykrzywionej twarzy, a także na twarzch pijanych, żądnych krwi spiskowców, przeczytał dokument. Głośno protestował przeciwko oskarżeniom o tyranię i drobiazgowo wyszczególnionym błędom, szaleństwom i zbrodniom. Jego dumie i honorowi zadano śmiertelny cios. Cisnął dokument na ziemię, krzycząc: - O, nie! Raczej śmierć niż hańba! Nie abdykuję! Nigdy! Nigdy!

Widząc, iż większość konspiratorów ledwo trzyma się na nogach, Paweł postanowił walczyć. W chwili, gdy Płaton Zubow schylił się, ażeby podnieść akt abdykacyjny z podłogi, Paweł skoczył w kierunku łoża, gdzie pod poduszką ukrył był dwa pistolety i szablę. Wszelako dowódcy grupy, Bennigsen oraz Płaton i Mikołaj Zubowie rzucili się nań z trzech stron i przygnietli swym ciężarem. Wyrwali mu z dłoni szablę i powalili go na podłogę. Zubowowie chwycili oficerską szarfę Pawła i omotali mu ją dokoła szyi, próbując go udusić. Paweł bronił się zaciekle, ale daremnie. Niepodobna było pokonać aż tylu rozwścieczonych napastników. Kiedy w pewnej chwili wydawało się, iż bezwładne ciało nieznacznie się poruszyło, Płaton Zubow stanął na brzuchu cara obydwiema nogami, wykrzykując: - Przepędźmy okrutnego ducha z tego marnego ciała! Skończmy z nim!

Paweł wydał ostatnie tchnienie w chwili, gdy do sypialni wkroczył Pahlen z szablą w dłoni, w towarzystwie dwóch adiutantów i tuzina żołnierzy. Gubernator wciąż jeszcze nie zdecydował, czy ocalić cara, zdrajców zaś postawić w stan oskarżenia, czy też ogłosić triumf spiskowców. Widok zmasakrowanego ciała cesarza wstrząsnął nim do głębi. Oparł się o kolumnę i stał tak bez ruchu przez kilka sekund, po czym wyrzucił z siebie: - Dzięki Bogu tyran nie żyje. Jesteśmy ocaleni...

Przez zabarykadowane drzwi dochodziły cesarzową Marię przytłumione krzyki i jęki. W pośpiechu opuściła swój apartament i pobiegła na górę schodami, na których aż roiło się od konspiratorów. Bennigsen, jeden z nielicznych, którzy zachowali tej nocy przytomność umysłu, powstrzymał ją przed wejściem do komnaty cara słowami: - Wasza Cesarska Mość, to nie jest widok dla kobiecych oczu.

A Aleksander... co robił w tamtą fatalną noc? Wraz z Elżbietą zajmował apartamenty na parterze Pałacu Michajłowskiego, nieco oddalone od sypialni cara. Wielki książę dowiedział się od Pahlena, że noc ta stanie się punktem zwrotnym w jego życiu: świadom był faktu, iż car będzie musiał abdykować, jego zaś, Aleksandra, poproszą o przyjęcie najwyższego urzędu. Ubrany w mundur, rzucił się na sofę, nękany trwogą i niepewnością. Doskonale znał najdrobniejsze szczegóły spisku, wszak to on osobiście wybrał trzeci batalion pułku siemionowskiego, by pełnił straż owej fatalnej nocy z 11 na 12 marca. Aczkolwiek od dłuższego czasu żyli osobno, w tym krytycznym momencie Elżbieta współczuła mężowi, pocieszając go i dodając mu otuchy. Wszelako, zdumiewała ją pasywność i bezradność małżonka. Czyżby nie słyszał rozgwaru biegających spiskowców, krzyków i jęków ofiary?

* * *

Cesarzowa nie płakała, gdy Bennigsen przekazał jej wieść o śmierci męża. Będąc osobą silną i ambitną, rychło odzyskała zimną krew. W czasach, kiedy byli z Pawłem bardzo blisko, kiedy był tylko następcą tronu, zawsze powtarzał, że powierzy jej regencję, gdyby coś mu się przytrafiło. Nie zajmowała się polityką, jednak nie zadowoliłaby się tytułem Cesarzowej Wdowy. Pomyślała więc, że bądź co bądź ma chociaż okazję wziąć, co jej się należy i zostać regentką. Tymczasem ani Bennigsenowi, ani Pahlenowi nie udało się odwieść jej od zamiaru rozglądnięcia się w sypialni Pawła.

Teraz przechadzała się po cesarskich apartamentach, a napotkawszy na grenadierów spytała parę razy: Czy wasz car padł ofiarą zdrady? Zatem, ja jestem odtąd cesarzową. Tylko ja jestem waszą prawowitą władczynią! - Ale choć powszechnie ją szanowano, nie wzbudzała ani entuzjazmu, ani chęci poświęcenia się dla sprawy. Jej nieskładne apele do żołnierzy, wygłaszane ni to łamanym rosyjskim, ni to po niemiecku, nie odniosły skutku. Po kwadransie zaciekłej kłótni, zmusili ją do powrotu do własnego pokoju. U jej drzwi postawiono straże, aby uniemożliwić jej ponowne wyjście. Zawiedziona i wyczerpana, załamała się nerwowo.

Jedyną osobą w rodzinie cesarskiej, która zachowała przytomność umysłu była Wielka Księżna Elżbieta. Robiła wszystko, by tamtej bezsennej nocy uspokoić Aleksandra. Dodawała mu otuchy i wiary w siebie. Na dodatek, znalazła jeszcze czas, by w tych strasznych, tragicznych chwilach pocieszyć teściową i namówić ją, by została w pokojach i nie narażała się na gniew i wściekłość pijanych spiskowców. Półtorej godziny po północy, Pahlen wszedł do przedpokoju sypialni Aleksandra i zapytał głównego lokaja: - Czy Wielki Książę śpi?

- Nie, sire - odparł Iwan Mielnikow.

Rozkazał więc: - Idź i powiedz mu, że tu jestem.

Mielnikow zapukał do drzwi, po czym wszedł do środka. Aleksander siedział na sofie obok żony. Gdy drżący ukazał się w przedpokoju, Pahlen zasalutował obnażoną szablą i oznajmił: - Już po wszystkim. Najjaśniejszy Panie, jesteście carem Wszechrosji. Pójdźcie ze mną; odbierzecie przysięgę od wojska.

Aleksander był na krawędzi załamania. W pierwszym odruchu, jego chwiejna natura podpowiadała mu ucieczkę nawet przed faktem dokonanym. Wtedy Pahlen bezceremonialnie chwycił wielkiego księcia za ramię i warknął: - Wystarczająco długo odgrywałeś rolę dzieciaka. Teraz idź i rządź! Ale wpierw pokaż się gwardii.

Kiedy wreszcie Aleksander opuścił pałac, wsiadł na konia i w towarzystwie Pahlena przyjechał na Plac Senacki, zobaczył na placu parad tłumy żołnierzy. Po prawej, w błękitno-białych mundurach, znajdował się batalion pułku preobrażenskiego; po lewej - batalion trzech gwardii izmaiłowskich w zielono-białych barwach. Po środku stali żołnierze pułku siemionowskiego w trady-

cyjnych zielono-czerwonych uniformach, za nimi natomiast Gwardia Konna i artylerzyści z działami. Wszystko to efektownie zaaranżował Pahlen, który celowo usunął Kawalergardów, nie był bowiem pewny ich lojalności. Chciał, ażeby wpierw przysięgę złożyli oficerowie, którzy najbardziej wyróżnili się w spisku - by dali przykład innym jednostkom petersburskiego garnizonu.

Dokoła zgromadzonego wojska zebrał się zwarty tłum ludzi. Żądali wyjaśnienia krążących po stolicy pogłosek. Zamordowali cara? Zmarł na apopleksję? Czy nie pojawi się za chwilę z zagniewaną miną i wzniesioną w górę laską, jak zawsze podczas parady? Co mieli o tym wszystkim sądzić? Co przed nimi ukrywano?

Stanąwszy naprzeciw tej ogromnej ludzkiej masy, Aleksander nie potrafił znaleźć właściwych słów. Jego widoczne zmieszanie od razu spostrzegły oddziały, a niektórzy wojskowi stali się wyzywający, a nawet aroganccy. Paweł cieszył się popularnością wśród zwykłych żołnierzy, gdyż nie faworyzował oficerów, do niższych szarżą zaś miał życzliwy, ojcowski stosunek. W głębi serca więc radowali się na widok przełożonych okrutnie łajanych, bitych po twarzy, upokarzanych oraz okładanych laską przez opętanego cara. Pahlen powiedział parę słów do generała Tylzina, dowódcy pułku siemionowskiego, zamieszanego w spisek. Generał zapewnił go, iż nastroje są dobre, choć ich buńczuczność zadawała kłam jego optymizmowi. Aleksander stał bez ruchu, nie mogąc wydusić z siebie słowa. W tej dramatycznej chwili zaskoczyła go buta żołnierzy. Niemożność opanowania sytuacji wprawiła go w całkowite osłupienie. Pahlen pospiesznie poprowadził nowego cara w kierunku pułku siemionowskiego.

N

V Aleksander cieszył się sporą popularnością wśród jego oficerów, dzięki czemu mógł czuć się tam znacznie swobodniej. Aczkolwiek nominalnie stał na czele całej brygady, szczególnie ów regiment uchodził za jego własny, nosił tam bowiem honorowy tytuł pułkownika. Pahlen zwrócił się w stronę wojska i przemówił donośnym, opanowanym głosem: - Żołnierze! Jego Cesarska Mość, Paweł, zmarł ubiegłej nocy na apopleksję. Musicie złożyć przysięgę na wierność jego synowi i następcy, dotychczasowemu Wielkiemu Księciu, a obecnie Imperatorowi, Aleksandrowi Pawłowiczowi. Oto on. Niech żyje car Aleksander I!

Nastała martwa cisza. Generał Tylzin stał w osłupieniu, a Pahlen, któremu odebrało mowę, zdjął kapelusz, by chusteczką zetrzeć pot z czoła. Żołnierze nadal stali w milczeniu, po czym jakiś stary sierżant z batalionu preobrażańskiego wykrzyknął: - Dlaczego umarł? Jeszcze wczoraj był zdrów. Pokażcie nam jego ciało!

Inny żołnierz wykrzyknął gniewnie: - Dlaczego mamy składać przysięgę bez zastanowienia? W ogóle, dlaczego mamy komukolwiek przysięgać? My wszyscy musimy służyć przez dwadzieścia pięć lat, a oficerowie przychodzą i odchodzą, kiedy im się podoba.

- A jak! Nam tam wszystko jedno - warknął inny stary sierżant.

Zdesperowany Pahlen próbował uciszyć żołnierzy, więc krzyknął: - Dziś nie będzie musztry! Mamy święto z okazji przejęcia tronu przez nowego cara. Każdy otrzyma dodatkową rację wódki!

Dopiero wówczas, żołnierze z siemionowskiego pułku zareagowali bardziej pozytywnie, i jeden przez drugiego manifestowali swój entuzjazm. Teraz dopiero dało się słyszeć pojedyncze okrzyki "Hura, hura, hura! Niech żyje nasz car Aleksander!" Tymczasem do wiwatujących co żywo przyłączyli się oficerowie i wkrótce cała kompania grzmiała zgodnym chórem "Niech żyje nowy car! Niech żyje car Aleksander!" W ślad za pułkiem siemionowskim podążyły inne jednostki, wiwaty stawały się coraz bardziej spontaniczne. To uspokoiło nieco Aleksandra. Dokonał przeglądu trzech oddziałów, wysłuchał ich owacji i podziękował Bogu, że ma to za sobą.

Następnie wrócił do pałacu i wszedł do dużej komnaty sąsiadującej z sypialnią nieboszczyka. Cesarzowa Wdowa, niepomna wcześniejszych upokorzeń, z typowo niemieckim poczuciem obowiązku próbowała doprowadzić do porządku pokoje zmarłego męża. Aleksander unikał jej wzroku. Dwóch nadwornych lekarzy przygotowywało do zabalsamowania zmasakrowane, zmienione nie do poznaki złoki jego ojca. Zapytani, na czyj to rozkaz, odpowiedzieli mu: - Generał Pahlen przykazał nam, abyśmy się szybko z tym uwinęli. - Aleksander dowiedział się przy okazji, że Pahlen rozkazał także służącym wznieść w pałacowej kaplicy tradycyjne *castrum doloris*, i poinstruował stołecznego metropolitę, by przygotował duchowieństwo na uroczysty pogrzeb zmarłego cara.

Aleksander nie chciał przeciągać pobytu na miejscu zbrodni i pospiesznie przeszedł do przyległej owalnej komnaty, garderoby nieżyjącego ojca. Pokój wydawał się opustoszały, lecz po chwili dostrzegł księżną Gagarin, siedzącą na stołku w kącie, z głową opartą o piec. Łkała i zawodziła w rozpaczy. Przypuszczalnie była jedyną osobą, która szczerze opłakiwała Pawła. Dopiero co obiecał jej, że gdy tylko rozwiedzie się i odeśle żonę do klasztoru, ożeni się z nią, ogłosi cesarzową i uroczyście koronuje na Kremlu.

Aleksander jednak bez słowa przeszedł do olbrzymiej jadalni, gdzie obecnie miała miejsce wyjątkowo hałaśliwa biesiada. Po środku sali, w otoczeniu grupy dworzan i pijanych oficerów stał Płaton Zubow - jak zwykle cynicznie uśmiechnięty - trzymając na wpół opróżnioną butelkę szampana. Opowiadał sprośne historyjki o tym, jak wypełniał obowiązki na służbie u byłej cesarzowej-kochanki. Podochocone towarzystwo nagradzało je głośnymi salwami śmiechu. - Sami widziecie, jak ciężko musiałem pracować. I wszystko to z patriotycznych pobudek.

Jego brat, Mikołaj, także był już nieźle nabuzowany. Popisywał się ogromnym siniakiem na opuchniętej twarzy, którego oberwał dusząc cara, kiedy tamten bronił się rękami i nogami, a przed wydaniem ostatniego tchnienia, kopnął Zubowa w twarz. Mikołaj przechwalał się, iż ma więcej siły w rękach aniżeli Aleksy Orłow, który swego czasu miał podobną przygodę w Ropszy z mężem Katarzyny, Piotrem III.

W trakcie tej pijackiej orgii w drzwiach pojawił się Pahlen i - jak zawsze opanowany - wykrzyknął: - Cisza, cisza! Gdzie szacunek dla zmarłego imperatora?

Mam coś do zakomunikowania. Jego Cesarska Mość, car Aleksander, ogłosił właśnie trzydziestodniową oficjalną żałobę na dworze.

W rzeczy samej, nic takiego nie miało miejsca, gdyż Aleksander wciąż pozostawał w stanie szoku, nie mogąc dojść do siebie. Snuł się po pałacu niczym duch, by w końcu paść w ubraniu na niezasłane łóżko. Śmiertelnie wyczerpany spał aż do wczesnych godzin popołudniowych.

ROZDZIAŁ VI

Reformując Rosję

Aczkolwiek cenzura zataiła prawdziwą przyczynę zgonu Pawła, to w jego śmierć wskutek apopleksji wierzyło w Petersburgu równie mało osób, co w śmierć Piotra III z powodu kolki. Zagraniczna prasa zamieszczała rozmaite relacje dotyczące owej zbrodni. Kroniki carskiej Rosji nader często uciekały się do eufemizmu - "wylew krwi do mózgu". Talleyrand, Minister Spraw Zagranicznych Napoleona, a zarazem jeden z wiodących europejskich luminarzy dowcipu, trafnie podsumował ów fenomen: "Rosjanie powinni wymyślić jakąś inną chorobę wyjaśniającą wysoką śmiertelność wśród swoich cesarzy; rządy w Rosji - to monarchia absolutna ukrócana przez zamachowców".

Dla rosyjskich klas wyższych, rządy Pawła były istnym koszmarem. Jego reformy zagrażały przywilejom szlachty, wojsko bało się bezsensownej wojny z Anglią; skołowany aparat biurokratyczny zasypywała lawina sprzecznych dekretów. Kupców rozwścieczył zakaz handlu z Wielką Brytanią. Nic więc dziwnego, że większość establishmentu przyjęła wiadomość o śmierci Pawła z wyraźną ulgą. Przez parę dni z rzędu salony i oberże w stolicy rozbrzmiewały gwarem pijącego i weselącego się narodu. Wieczorem 12 marca w Petersburgu nie została ani jedna butelka szampana. Nie trzeba było długo czekać, aby wieści o śmierci cara dotarły do mas, które - choć niewiele pojmowały z tragicznych zajść z nocy z 11 na 12 marca 1801 roku - biernie przyjmowały wszystko, co rozgrywało się na szczytach władzy.

Czyniono pośpieszne przygotowania do pogrzebu. Ciało cara, przyobleczone w mundur generała gwardii konnej, wystawiono na widok publiczny w kaplicy. Jego twarz pokrywał staranny makijaż, olbrzymi, czarny kapelusz z piórami przysłaniał zmiażdżony lewy oczodół, a wysoki kołnierz maskował okaleczone gardło. Dwunastego marca po południu cała rodzina cesarska - z wyjąt-

kiem Elżbiety, która wymówiła się złym stanem zdrowia - przybyła z Pałacu Zimowego do Pałacu Michajłowskiego. Jako pierwsi do komnaty pogrzebowej wkroczyli Aleksander oraz owdowiała cesarzowa Maria Fiodorowna. Jej nalaną, okrągłą twarz pokrywały czerwone plamy, a z ust wydobywał się raz po raz histeryczny szloch. Doszedłszy do ciała, przystanęła na chwilę i przybierając aktorską pozę wykrzyknęła: - Co za tragedia! Co za tragedia! Boże, daj mi siłę, by to znieść! - Po tych słowach ruszyła dalej, lecz zanim dotarła do katafalku zachwiała się, po czym zwróciła do syna teatralnym szeptem, wyraźnie akcentując każde rosyjskie słowo: - Moje gratulacje, drogi synu. Teraz ty jesteś carem!

Aleksander skłonił się przed matką, postąpił krok do przodu i ukląkł przed katafalkiem. Śmiertelnie blady i posępny, nie mogąc opanować nerwowego drżenia szczęk, wykonał potrójny znak krzyża, by potem modlić się przez chwilę i przeżegnać jeszcze kilka razy. Następnie powstał i ucałował posiniaczone czoło ojca.

Trzynastego marca, w dzień po ukazaniu się oficjalnych nekrologów, przez Pałac Michajłowski przewinęły się tłumy ludzi - niby to pożegnać zmarłego cara, a w rzeczywistości, by świętować i rozpuszczać plotki. Wielu przybyłych nie zwracało na pokieraszowane zwłoki najmniejszej uwagi, śmiejąc się i żartując na temat ostatnich dni życia opętanego monarchy i okoliczności jego śmierci.

Podczas gdy przygotowania do uroczystego pogrzebu wciąż trwały, Aleksander odczuwał napady głębokiej depresji i bolesne wyrzuty sumienia. Wspomnienia owej tragicznej nocy z 11 na 12 marca zszarpały mu nerwy. Pomimo zachowania zewnętrznych oznak spokoju, wymizerowany, wynędzniały wygląd zdradzał wewnętrzne piekło, przez które przechodził. Dziecięcy uśmiech zniknął z jego twarzy, a niegdyś błyszczące, niebieskie oczy zaszły mgłą, wyrażając jedynie smutek i boleść. Energia życiowa uchodziła zeń niczym powietrze, pod wpływem surowych oskarżeń, jakich nie szczędził sobie w związku z wydarzeniami poprzedzającymi zabójstwo. Prześladowało go pytanie: Czy nie można było darować ojcu życia? Czy nie powinien był przedsięwziąć poważniejszych środków ostrożności na wypadek nieprzewidzianych komplikacji ryzykownego planu? Czy negocjując z von Pahlenem okazał wystarczającą stanowczość? Czy nie powinien był zażądać wówczas pewniejszych gwarancji?

Świadomość, iż nie wstąpił na tron zgodnie ze swymi oczekiwaniami, nie dawała mu spokoju. Warunek, pod którym Aleksander zgodził się przyłączyć do spisku, a mianowicie, darowanie życia ojcu, nie został przez Pahlena dotrzymany. Czy można w takim razie oczekiwać, że ów podstępny handlarz władzą dochowa przysięgi na wierność i posłuszeństwo, złożonej Aleksandrowi jako carowi?

Podczas gdy Aleksander walczył sam z sobą i nachodzącymi go wątpliwościami, Pahlen pewną ręką pochwycił ster rządów. To on właśnie odwołał zgubną, bezsensowną wyprawę do Indii, ratując tym samym niedobitki rosyjskich wojsk od pewnej śmierci. To on prowadził negocjacje z admirałem Nelsonem, którego potężna flota dotarła aż pod Rygę i zagrażała Kronsztadowi.

To Pahlen we własnej osobie wydobył na światło dzienne manifest liberalnego władcy, sporządzony przez Czartoryskiego dla Aleksandra już w 1797 roku. Przez cały ten czas postępował z zagubionym i niezdecydowanym monarchą jak z kukłą, nazywając go w rozmowach z braćmi Zubow "dzieciuchem" bądź "mięczakiem".

Poza apodyktyczną i butną postawą Pahlena, władzy Aleksandra zagrażało również nastawienie niektórych oddziałów gwardii. Ociąganie, z jakim żołnierze pułków preobrażeńskiego i izmaiłowskiego składali nowemu monarsze przysięgę na wierność, świadczyło o ich przywiązaniu do zmarłego cara, którego nadal uważali za swego obrońcę przed samowolą oficerów. Aleksandra przerażała myśl, że to właśnie śmiała interwencja Pahlena wpłynęła na zmianę nastrojów tych dwóch czołowych regimentów. Czy odważyłby się użyć swego wpływu, by posadzić na tronie innego, bardziej uległego księcia? Czy nie mógłby dla odmiany spiskować teraz wespół z potężnymi, arystokratycznymi rodami Woroncowów, Dołgorukich, Golicynów, Razumonowskich, Rumiancewów i Stroganowów w celu utworzenia oligarchii, pod płaszczykiem dyskutowanej właśnie Karty Narodu Rosyjskiego?

* * *

Dręczony wątpliwościami, Aleksander zwrócił się do swego ulubionego adiutanta i serdecznego przyjaciela, Piotra Wołkońskiego, który - sam należąc do spisku - orientował się w planach jego przywódców. Przezwyciężając początkowe męczarnie, Aleksander otworzył przed przyjacielem swe serce: - Patrz na co mi przyszło, Piotrze. Nie chciałem tej korony. Los wcisnął mi ją na skronie. Przystałem do spisku, by ratować naszą biedną Rosję, a może i własną głowę przed okrutnymi kaprysami szaleńca, który gotował nam wszystkim pewną zgubę. I cóż teraz mam począć?

- Rozumiem rozterki Waszej Cesarskiej Mości, ale tu na niewiele się zdam. Nie jestem politykiem, lecz zwykłym żołnierzem. Skoro jednakże ty, sire, zaszczyciłeś mnie swoją szlachetną przyjaźnią, wolno mi będzie szczerze wyrazić osobiste zdanie?

- Naturalnie. To nawet twój obowiązek, zwłaszcza w tak krytycznej chwili.

- Ponieważ rozkazałeś mi przyłączyć się do spisku, bym donosił ci o wszystkim, co ma dla ciebie wagę, bacznie przyglądałem się Pahlenowi i jego klice. Czy życzysz sobie, bym kontynuował to zadanie? Bądź co bądź, powinienem przede wszystkim stać u twego boku jako twój adiutant i prywatny sekretarz.

- Nadal trzymaj się blisko kliki Pahlena. Prawdę powiedziawszy, nie mogę się doczekać twojej opinii na temat jego planów.

- Sire - podkreślił Wołkoński - pomimo sprzeciwu niektórych spiskowców, a mianowicie Pahlena, Panina i braci Zubowów, ogłoszono cię nie monarchą konstytucyjnym, a "Najwyższym Samowładcą Wszechrosji". Ten właśnie tytuł pojawia się w przysiędze na wierność, składanej przez oddziały i cały aparat i

został oficjalnie uznany za obowiązujący. Jednakże z poufnych źródeł wiem, że Pahlen i jego zausznicy zamierzają ograniczyć twoją władzę i uczynić cię w końcu swoją marionetką. Wiele rozprawiają o przekształceniu w przyszłości senatu w izbę legislacyjną, ale tak naprawdę to chcą w nim mieć przykrywkę dla własnych planów. Już oblizują się na myśl o przywilejach dla swojej oligarchicznej kliki. Jako samowładny car możesz wszystko. Możesz nawet postanowić, że chcesz dzielić władzę z jakąkolwiek izbą doradczą, mniejsza o to jak ją tu nazwiemy, ale powinnien to być akt Twej łaski, nie zaś rezultat presji takich ambitnych ludzi jak Pahlen, Panin, czy Bennigsen. Ustępując im, stwarza się tylko pretest do dalszych ustępstw. Bądź stanowczy. Ci dranie uznają tylko prawo siły. Faktycznie najmniej niebezpiecznym z nich wszystkich jest Panin, który w istocie tylko gada, gada i gada, ale kto dużo szczeka, nie bardzo kąsa. Ten głupi anglofil chciałby u nas wprowadzić brytyjski system parlamentarny. Dobre sobie! Wyobrażasz sobie, sire, coś takiego w Rosji? Jednak Pahlen i jego koteria, tacy jak Bennigsen, na przykład, to niebezpieczni ludzie. Dla nich modelem jest szwedzka oligarchia. Co więcej, ci nie poprzestają na gadaniu - to ludzie czynu. Pahlen jest równie sprytny, co bezwzględny. Już teraz ma się za wielkiego wezyra, ciebie zaś za słabego, nieszkodliwego sułtana. Podsłuchałem kilkakrotnie jak śmiał wyrażać się o tobie w sposób, w jaki żaden rosyjski poddany nie powinien mówić o swoim carze. Wierzę, iż Wasza Cesarska Mość pozwoli mi pominąć milczeniem przymiotniki, jakich używał.

Przywoławszy na pamięć zachowanie Pahlena owego krytycznego poranka po zamachu, Aleksander nie miał wątpliwości, że przyjaciel mówi prawdę. Nastała długa cisza, po czym Wołkoński nadal rozwodził się nad fatalnym położeniem, w jakim znalazł się jego mocodawca.

- Podejrzewam, że Pahlen *et consortes* będą naciskać na ciebie, abyś spełnił pochopnie dane obietnice ustanowienia rządów konstytucyjnych. Nie wolno ci ulec. Powinieneś działać szybko i zdecydowanie, jeśli chcesz zneutralizować ten spisek. Zadanie numer jeden - to podzielić konspiratorów. Przepędź prowodyrów ze stolicy. Jednocześnie nawiąż bliższą więź ze stołecznym garnizonem, zwłaszcza z oficerami i podoficerami gwardii. To z grubsza biorąc potomkowie nobilów. Zarówno synowie arystokratów, jak i zubożałej szlachty, wszyscy oni czują, iż dekrety twego zmarłego ojca zagrażają ich uprzywilejowanej pozycji. Zaradź temu. Przywróć odwieczne prawa szlachetnie urodzonych: żadnych podatków, chłosty, obowiązkowej służby państwowej. Pod pretekstem przeglądu rozmaitych jednostek odwiedzaj ich garnizony, kasyna i koszary. Rozmawiaj nie tylko z oficerami, ale i z szeregowym żołnierzem. Za każdą twoją inspekcją powinien iść jakiś miły, hojny gest zarówno pod adresem oficerów, jak i niższych rangą. Na przykład, przydziel im dodatkowe racje wódki, żywności, itd. Nie zaniedbuj jednak oficerów starych pułków gwardii, wywodzących się z arystokracji. Tym nie za bardzo podobają się przywileje nadane Kawalergardom, ich krzykliwe mundury, kapelusze z piórami, lepsze konie. Ale uważaj! Nie odbieraj tego wszystkiego Gwardii Kawalerów. Utworzył ją twój ojciec, więc obecnie znajduje się w nie najlepszym nastroju. Zastanów się raczej, jakimi nowymi przywilejami obradować starogwardzistów.

Sire, jako twój wielce pokorny sługa i oddany przyjaciel, błagam cię - walkę o władzę musisz podjąć natychmiast. Weź sprawy w swoje ręce. Działaj szybko i odważnie. W razie konieczności, bądź bezwzględny. Gra toczy się o wszystko! Musisz zdobyć sobie więcej przyjaciół pośród wszystkich szarży w armii. Przypomnij sobie taktykę twej przemyślnej babki, kiedy walczyła o koronę, która - co tu dużo gadać - wcale jej się wówczas nie należała. Ty walczysz o swoje. Jesteś prawowitym następcą tronu.

* * *

Aleksander przeraził się nie na żarty i biorąc sobie do serca ostrzeżenia Wołkońskiego niezwłocznie zabrał się do dzieła. Na początek wezwał Arakczejewa, który przybył do stolicy zaraz po zabójstwie Pawła. Generał zalewał się łzami, ale złożył nowemu panu przysięgę na wierność i oddał się całkowicie do jego dyspozycji. Oto jakie instrukcje otrzymał od Aleksandra: - Księcia Pahlena, generała Bennigsena oraz Zubowów należy mieć dzień i noc dyskretnie na oku. Tobie powierzam zorganizowanie nadzoru. Muszę znać każde podejrzane posunięcie Pahlena. Ufam ci bezgranicznie.

Kilka dni później, wysłuchawszy raportu Arakczejewa na temat przeciągających się, nocnych wizyt Bennigsena w rezydencji von Pahlena, Aleksander wykonał pierwszy ruch, mający na celu rozdzielenie konspiratorów, i mianował Bennigsena Generałem Gubernatorem Litwy. Gdy przekazano mu rozkaz cara, iż ma objąć urząd w przeciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, rozgoryczony Hanowerczyk zasyczał ze złości: - Co za niewdzięcznik! Zapominał już, że aby wynieść go na tron, ryzykowałem, iż skończę na szafocie!

Po wyjeździe Bennigsena, Aleksander przystąpił do realizacji pozostałych części planu Wołkońskiego. Przy pomocy tego ostatniego oraz Arakczejewa opracował na kwiecień i maj szczegółowy program inspekcji wszystkich oddziałów, stacjonujących w stolicy i poza Petersburgiem, w tym bazy morskiej w Kronsztadzie. W międzyczasie wydał całą serię dekretów, unieważniających surowe ustawy narzucone szlachcie przez Pawła. Aleksander przywrócił ustanowioną przez Katarzynę Kartę Swobód Szlacheckich, którą Paweł wielokrotnie pogwałcił naruszając mienie, bezpieczeństwo i honor ludzi szlachetnie urodzonych. Nowy car ponownie ogłosił, iż żadnego szlachcica nie można pozbawić życia, mienia, ani tytułu bez procesu i oficjalnego wyroku wydanego przez jemu równych. Przywrócono także prawo szlachty do zwoływania prowincjonalnych zjazdów i wybierania marszałków szlachty. Przedstawiciele tego stanu mogli swobodnie podróżować zagranicę i podejmować służbę w zaprzyjaźnionych państwach; zwolniono ich od podusznego i kary chłosty, stosowanej przez Pawła nawet wobec starszych oficerów.

Celem wizyt, jakie Aleksander składał wojsku nie były wyłącznie parady i musztra polowa, lecz także wspólne biesiadowanie, picie, zabawa, słowem -

życie towarzyskie. Napięty harmonogram odbił się na jego zdrowiu, powodując niestrawność, tak że pod koniec przeglądu zmuszony był spędzić kilka dni w łóżku. Po paru miesiącach jednakże znał już na pamięć nazwiska, charaktery, ba, nawet zamiłowania większości dowódców jednostek powyżej kompanii, szwadronu czy baterii. Po każdej wizycie dyktował swe spostrzeżenia Wołkońskiemu, sprawującemu obecnie pieczę nad prywatnym archiwum cara. Przegląd utwierdził Aleksandra w przekonaniu, że może on polegać na garnizonie w stolicy i sąsiednim rejonie. Dzięki temu, przestał się czuć jak ślimak bez skorupy. Jedynym człowiekiem, którego umiejętności, odwaga i ambicje stanowiły zagrożenie dla tronu pozostawał Pahlen.

Pod koniec maja Aleksander postanowił rzucić wyzwanie butnemu rywalowi. 17 lipca o 5. rano służący wyrwał Pahlena ze snu. Przybył Wołkoński z pilnym rozkazem od cara wzywającym go do natychmiastowego stawienia się w Pałacu Zimowym. Gdy zaskoczony króloczyńca spytał o powód wezwania o tak wczesnej porze, Wołkoński odparł: - Nie do mnie należy analizowanie z Waszą Ekscelencją decyzji Jego Cesarskiej Mości. - Kiedy Pahlen - niechlujnie ogolony i o pustym żołądku - stanął przed carem w jego gabinecie, zdumiało go chłodne przywitanie i cierpkie słowa: - Naszą wolą jest, byś natychmiast opuścił stolicę i udał się do swej posiadłości w Kurlandii. Masz tam przebywać przez czas nieokreślony i oczekiwać dalszych rozkazów.

Rozkaz był tak jednoznaczny i niespodziewany, że Pahlenowi odebrało mowę. Zanim zdążył skłonić się przed cesarzem, ten opuścił komnatę. Tego samego wieczoru, nie zabrawszy ze sobą nawet najpotrzebniejszych rzeczy, Pahlen wyjechał do Rygi, a stamtąd do swego majątku. Następnego dnia jego los wygnańca podzielili dwaj z trzech braci Zubowów, Płaton i Mikołaj. Tym samym unieszkodliwiono spiskującą klikę, Aleksander zaś całkowicie opanował sytuację.

*   *   *

Od momentu wstąpienia na tron, Aleksander ustanowił niemalże regularny codzienny rytuał. O 6. rano, jeszcze w szlafroku, wypijał herbatę i zjadał obfite śniadanie. Po toalecie, jeśli dopisała pogoda, wychodził na krótki spacer po parku w Pałacu Zimowym lub Carskim Siole. Tamże, gajowi często kierowali jego uwagę na swoje jelenie, łabędzie, kaczki i gęsi, ogrodnicy zaś - na owoce i kwiaty. Od czasu do czasu, karmił zwierzęta i wydawał rozkazy personelowi parku. O 7.30 lub 8. rano zasiadał przy biurku, przeglądając oficjalne dokumenty i raporty. O 10. spożywał soczyste, dojrzałe owoce wychodowane w pałacowej cieplarni. Tuż przed południem miał zwyczaj dosiadać konia i dokonywać przeglądu wart. Następnie przebierał się i albo nadal studiował dokumenty państwowe, albo przyjmował ministrów i innych oficjeli. O 4. zasiadał do obiadu i po podwieczorku pracował w swym gabinecie aż do 9. wie-

czór, względnie spotykał się z doradcami. Około 23. lub 23.30 spożywał lekki posiłek złożony z sera lub owoców, i kładł się spać.

Na długo przed zamachem stanu, Aleksander zebrał wokół siebie starannie dobraną grupę zaufanych ludzi. Nazywał ich swoim "Tajnym Komitetem", albowiem podejrzliwy Paweł zakazał podobnych stowarzyszeń; toteż dyskrecja była nieodzowna. Za panowania ojca działalność Komitetu ograniczała się jedynie do tłumaczenia na rosyjski dzieł znamienitych zagranicznych autorów. Wiele książek czekało na publikację, gdyż Paweł zezwalał na druk bardzo niewielu pozycji z dziedziny polityki i filozofii. Obecnie Tajny Komitet zaczął działać otwarcie, choć pozostał przy starej nazwie. Jego starannie dobranych członków łączyła wspólna idea. Uważali mianowicie, iż Piotr Wielki tylko chwilowo wyrwał Rosję z odwiecznego otępienia. Po jego śmierci, cesarstwo straciło rozmach i pęd ku postępowi. Pomimo podbojów terytorialnych sama Rosja wciąż pozostawała siedliskiem barbarzyństwa i zabobonów. Dlatego też kraj potrzebował reform w duchu oświecenia. By osiągnąć ten cel, niezbędni byli oddani współpracownicy i szczegółowy plan działania.

Gdy proklamowano go carem, Aleksander niezwłocznie rozkazał odwołać księcia Czartoryskiego z dworu Sardynii, naówczas mieszczącego się w Turynie. Natychmiast po powrocie do Petersburga książę został członkiem Komitetu. Niepomiernie zaskoczył go fakt, iż uczucia Elżbiety względem niego zmieniły się diametralnie. Obecnie romansowała z młodym porucznikiem gwardii konnej, Grigorijem Owiecznikowem. Przeto, nie chciała się spotkać z księciem i nie odpowiadała na jego listy - upokarzające zakończenie wielkiej przygody miłosnej jego życia. Zrozpaczony, szukał ukojenia w ciężkiej systematycznej pracy. Jeszcze bardziej skryty i zamknięty w sobie niż zwykle, unikał frywolnego dworu, oddając się różnorakim zadaniom zleconym przez cara. Praca stała się dlań narkotykiem, który zastąpił utraconą miłość.

Po powrocie Czartoryskiego, cesarz przeprowadził z nim długą, bo trwającą blisko sześć godzin, rozmowę, po czym zajął się pilnym zadaniem stojącym przed Tajnym Komitetem, jego składem i programem. Poza Czartoryskim było w nim trzech innych członków. Pierwszym z nich był Mikołaj Nowosilcow, zdolny jurysta i dyplomata o wykwintnych manierach, który służył jako główny osobisty sekretarz cara. Nowosilcow posiadał genialny umysł, ale za to słaby charakter. Potrzeba wyróżnienia się i gromadzenia fortuny dla pokrycia zbytkownych wydatków uczyniła zeń oportunistę, a w końcu także zdeprawowała go doszczętnie. Nowosilcow wprowadził do Komitetu kuzyna, hrabiego Pawła Stroganowa. Dwudziestotrzyletni Stroganow był wychowankiem Gilberta Romme'a (niegdyś przewodniczącego francuskiego Konwentu Narodowego), który zapewnił Stroganowowi posadę bibliotekarza w klubie jakobińskim w Paryżu. Chodził tam w stroju rewolucjonisty, długich luźnych spodniach, długiej marynarce i frygijskiej czapce. Wszystko to szokowało cesarzową Katarzynę, toteż natychmiast odwołała go do kraju. Czwartym członkiem Tajnego Komitetu był hrabia Wiktor Koczubej. Ów bratanek hrabiego Bezborodko, byłego ministra spraw zagranicznych Katarzyny, oddelegowany został do ambasady w Konstantynopolu. Podczas pobytu w Turcji, Ko-

czubej zręcznie sobie radził i nabył sporo dyplomatycznego doświadczenia, które Aleksander próbował teraz wykorzystać w urzędzie spraw zagranicznych.

Ta niewielka grupa uzdolnionych reformatorów miała za zadanie dostarczyć Aleksandrowi koncepcji, w oparciu o które mógłby realizować plany modernizacji cesarstwa. Należeli oni do pokolenia wychowanego na ideałach oświecenia, jego doktryny uważali za rodzaj kamienia filozoficznego, panaceum, które usunie wszystkie przeszkody natury moralnej i politycznej, i odrodzi społeczeństwo.

Okresowo związany z Komitetem był Laharpe, który przyjechał odwiedzić dawnego ucznia. Obecnie blisko czterdziestoczteroletni preceptor był członkiem Dyrektoriatu Republiki Helweckiej i z dumą nosił urzędowy uniform. Nie brał on regularnie udziału w spotkaniach Komitetu, ale podczas porannych spacerów w ogrodzie prowadził prywatne rozmowy z carem. Często przedkładał również Aleksandrowi drobiazgowo opracowane memoriały poświęcone wszystkim gałęziom rosyjskiej administracji. Materiały te odczytywano następnie podczas spotkań Komitetu, potem zaś jego członkowie przekazywali je jeden drugiemu, by móc przestudiować je w wolnym czasie, jako że były one niezmiernie długie i wymagały szczegółowych, pisemnych komentarzy. Radykalny i niecierpliwy Stroganow odrzucał większość spostrzeżeń Laharpe'a, umieszczając na marginesie jego memoriałów uwagi typu: "Zbyt długie i pogmatwane. Ale nudziarz!" Pozostali członkowie Tajnego Komitetu byli bardziej taktowni, lecz również uważali go za raczej mało porywającego autora. Tymczasem Aleksander nadal miał sporo uznania dla dawnego wychowawcy i często powtarzał: - Tak wiele mu zawdzięczam. To mój mentor z czasów młodości.

* * *

Pewnego wieczora, pod koniec czerwca, po nieoficjalnej lekkiej kolacji, Aleksander otworzył pierwsze posiedzenie Komitetu krótkim przemówieniem: - Mój zmarły ojciec - po wstąpieniu na tron - próbował zreformować prawie wszystko. Początkowo szło mu znakomicie, lecz po paru miesiącach wiadomo było, że nie osiągnie celu, z powodu brutalnych metod i własnego egocentryzmu. O wszystkim chciał decydować sam, tylko i wyłącznie, a to przecież niemożliwe. W rezultacie wszystko wywrócił do góry nogami. Długo by opisywać jego sprzeczne i nieprzemyślane posunięcia. Z pewnością pamiętacie czasy, kiedy w sprawach wagi państwowej surowość zajęła miejsce sprawiedliwości, a brak rozsądku szedł w parze z brakiem doświadczenia. O awansie decydował kaprys; nie liczyły się zasługi. Na chłopów, choć wzięto ich pod ochronę prawa, nałożono nadmierne podatki i obowiązek służby wojskowej. Na skutek embarga eksportu naszych towarów do Anglii, handel początkowo

kulał, potem zaś zaniknął zupełnie. A wreszcie, wolność i dobrobyt jednostki przestały istnieć. - Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej.

- Musimy na nowo podjąć reformy rozpoczęte przez mego znamienitego przodka Piotra Wielkiego. Jednak musimy obrać inne metody, bardziej ludzkie i cywilizowane. Musimy wybrać właściwy moment, stosowny do okoliczności i kierować się rozwagą, a nie widzimisię pojedynczego człowieka. Cel jednakże pozostaje ten sam: uczynić z Rosji część Europy, kraj oświecony i cywilizowany. Oto nasze zadanie. Sprawą pierwszej wagi jest podjęcie decyzji odnośnie do przeważającej części społeczeństwa, to znaczy, chłopów pańszczyźnianych, ich warunków życiowych, edukacji, a w końcu równouprawnienia. Następnie musimy zająć się administracją centralną, przestarzałą, niekompetentną i niestety bardzo skorumpowaną. Winniśmy także zmienić nasz system kształcenia. Mam nadzieję, panowie, że wspomożecie mnie w tym ciężkim zadaniu reformowania kraju.

Tutaj Aleksander wzniósł kieliszek szampana i zaproponował toast. - Piję za powodzenie naszych wspólnych wysiłków i za postępową, oświeconą Rosję. - Rozległy się burzliwe oklaski, którym towarzyszyła żywiołowa wymiana poglądów. Około północy uczestnicy rozeszli się, postanawiając spotykać się co tydzień i obarczając Stroganowa zadaniem przygotowania porządku dziennego na następne posiedzenie oraz referatu poświęconego chłopom pańszczyźnianym - problemowi niecierpiącemu zwłoki.

I rzeczywiście, poddaństwo - zjawisko masowe i przerażające - stanowiło w Rosji problem numer jeden. W roku 1801, niespełna pięć procent blisko czterdziestumilionowej ludności mieszkało w miastach. Na kolejne mniej więcej pięć procent składali się wolni chłopi, a pozostałe około dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa wysługiwała się innym w taki czy inny sposób. Z grubsza rzecz biorąc, jedna połowa stanowiła własność Korony, druga zaś - prywatnych właścicieli ziemskich. Wszyscy członkowie Tajnego Komitetu posiadali swoich chłopów, rozumieli jednak, że pańszczyznę trzeba najpierw ograniczyć, a w końcu całkowicie znieść. Przede wszystkim należało niezwłocznie ulżyć ciężkiej doli chłopa pańszczyźnianego, przeciwdziałając tym samym coraz częstszym wybuchom chłopskich buntów, które zagrażały stabilności cesarstwa. Kolejna sprawa dotyczyła okresu, w jakim cały ten delikatny proces można było ukończyć.

Tymczasem problem ostatecznej emancypacji był tak złożony, jego implikacje zaś tak niebezpieczne, że większość członków Tajnego Komitetu wahała się, czy podnieść tę kwestię. Jedynym radykalnym abolicjonistą był Paweł Stroganow, który na jedno z pierwszych posiedzeń Komitetu przyniósł egzemplarz *Podróży z Petersburga do Moskwy* Aleksandra Radiszczewa. Książka ukazała się w roku 1790, lecz na rozkaz Katarzyny natychmiast wycofano ją z obiegu. Caryca przerażona opisem barbarzyńskich warunków życia chłopów pańszczyźnianych, oskarżyła autora o zdradę i skazała go na śmierć. Na szczęście, bardziej rozumni doradcy Katarzyny przekonali ją, by zamieniła wyrok na dziesięć lat Sybiru. Paweł z miejsca zmienił werdykt matki i pozwolił Radiszczewowi wrócić do stolicy i wziąć udział w pracach komisji kodyfikacyj-

nej, gdzie Radiszczew zagorzale bronił chłopskiej sprawy. Mimo to, widząc, iż jego wysiłki idą na marne, z rozpaczy popełnił samobójstwo. Stroganow przytoczył następnie długie fragmenty z książki Radiszczewa, po czym rozgorzała chaotyczna, choć bezowocna dyskusja trwająca aż do późnej nocy.

Kolejne posiedzenie Komitetu zorganizowano lepiej aniżeli poprzednie. Otworzył je Stroganow referatem na temat poddaństwa. Po krótkim wprowadzeniu, naświetlającym ogrom i wagę problemu, zilustrował swój wywód ustępami z *Podróży*. - Właściciele ziemscy to ludzie skąpi i okrutni - podkreślał Stroganow. - Niektórzy z nich są naszymi przyjaciółmi, a może nawet krewnymi, lecz nie oznacza to, iż powinniśmy przymykać oczy na ich barbarzyństwo i bestialstwo. Niektórzy panowie zmuszają swych chłopów do pracy w polu siedem dni w tygodniu, pozbawiają ich ziemi i wykupują żywy inwentarz po ustalonej przez siebie samych cenie. Bez pozwolenia swego pana chłopu nie wolno ani się ożenić, ani opuścić majątku. Panowie źle żywią swych poddanych, karmiąc ich nierzadko tylko raz dziennie, po to jedynie, by nie umarli z głodu.

- Poza obowiązkiem pracy na polu obszarnika - kontynuował Stroganow - co włościanie winni są swoim panom bądź Koronie, rozmaite zadania stawia im również państwo. Najokrutniejsze z nich to poduszne i służba wojskowa. Każda wieś ma obowiązek dostarczyć żądanej liczby rekrutów. Podczas wojen Katarzyny z Turcją, Polską i Szwecją, co roku werbowano tysiące żołnierzy. Jako że szlachta zwolniona była ze służby wojskowej, a kupcy mogli się z niej wykupić, cały ciężar tych wojen spadał na chłopów. Wyłącznie kulawych, głuchych, ślepych lub kalekich zwalniano z tego obowiązku. Zdrowi młodzieńcy - jeśli na nich padło - musieli służyć przez dwadzieścia pięć lat, a ustawa ta nadal obowiązuje. Długa, ciężka służba przeraża wielu młodych. Gdy nadchodzi czas poboru, często odcinają sobie palec, a nawet rękę. Poborowi nierzadko płaczą, muszą bowiem rozstać się ze swymi rodzicami i ukochanymi, których mogą już nigdy nie zobaczyć. To haniebne.

Na chwilę przemowę przerwał wymuszony aplauz, po czym Stroganow ciągnął dalej: - W gruncie rzeczy, nasze poddaństwo to zwykłe niewolnictwo. Prawie takie samo jak w większości europejskich kolonii i Ameryce Południowej. Nic dziwnego, że rosyjski chłop unika pracy, nie wie bowiem, co to znaczy pracować dla siebie, dla własnej korzyści. Wie jedynie, że nie może skosztować owoców własnej pracy, zaspokajając co najwyżej najpierwsze potrzeby. Ponieważ od wieków nieludzko się go traktuje, bestialsko wyciskając zeń co się tylko da, jakże mógłby być człowiekiem? Trudno się dziwić, że ucieczkę od tego nieznośnego stanu rzeczy znajduje w pijaństwie i dzikich wybuchach nienawiści. Oto główne przyczyny częstych buntów wśród naszych chłopów. Pamiętacie rewoltę Pugaczowa?

Stroganow zakończył swe przemówienie słowami Radiszczewa: "O prawa! wasza mądrość często zawiera się tylko w stylu. Czyż to nie jawne z was pośmiewisko? Co więcej, pośmiewisko ze świętego słowa «wolność». O, gdyby ci niewolnicy, obarczeni ciężkimi kajdanami, rozwścieczeni w swojej rozpaczy,

rozwalili żelazem, które wzbrania im wolności, nasze głowy, głowy nieludzkich swoich panów, naszą krwią ubroczyli swoje role - co by przez to straciło państwo? Wkrótce z ich środowiska wyszliby wielcy mężowie, aby zastąpić wytępione plemię; byliby oni o sobie jednak innego mniemania i byliby pozbawieni uciskania innych. To nie jest marzenie; wzrok mój przenika przez gęstą zasłonę czasu, zakrywającą przed naszymi oczami przyszłość"[1].Niechaj ta barbarzyńska niewola przepadnie na wieki!

* * *

Wystąpienie Stroganowa wstrząsnęło słuchaczami do głębi. Po chwili martwej ciszy rozgorzała długa, burzliwa dyskusja, która trwała do wczesnych godzin rannych. I tym razem prym wiódł Stroganow.

- Jako że nie jesteśmy gotowi do debaty nad konstytucją, ani też nie wprowadzamy karty swobód, podobnej do tej, jaką przegłosowano w od niedawna wolnych koloniach Ameryki Północnej, na wzór francuskiej Deklaracji Praw Człowieka, tysiące naszych chłopów cierpi skrajną nędzę. Podczas gdy my jemy, pijemy i bez końca gadamy, tysiącami "dusz" kupczy się jak bydłem. Nawet starzy włościanie, którzy odsłużyli już swoje w jednym majątku, odsprzedawani są następnie innym panom. Chłopów, których oskarża się o wyimaginowane zbrodnie, panowie samowolnie sądzą i karzą. Niektórzy z nich gniją w syberyjskich kopalniach za rzekome przestępstwa, a nawet drobne przewinienia. Znakomita większość obszarników aprobuje ten stan rzeczy, czerpiąc zeń same korzyści; a nawet jeśli ubolewają nad jego konsekwencjami, to wszak przekonują samych siebie, iż jakiekolwiek zmiany mogłyby naruszyć podstawy porządku społecznego. Z tego to względu nazywają chłopa leniwym, aroganckim i butnym. Chciałbym dać przykłać tego, w jaki sposób wielu naszych obszarników traktuje swych chłopów.

Mówiąc te słowa, Stroganow rozłożył plik gazet, które uprzednio wyciągnął z kieszeni i zaczął czytać ogłoszenia: "Na sprzedaż, urocza dziewczyna, osiemnascie lat, umie układać włosy; potrafi robić wszystko, co trzeba; poza tym jest bardzo ładna; na dowód tych słów, sprzedawca gotów jest wynająć ją na trzy dni przyszłemu kupcowi na próbę; oferty kierować na adres: Petersburg, Plac Sytny, na przeciwko narożnego szynku Piskunowa".

Pomimo okrzyków Nowosilcowa i Koczubeja: " Ależ to nielegalne! Zakazał tego car Paweł!" Stroganow kontynuował - Owszem, nielegalne, ale powszechnie stosowane. Mam w biurku znacznie więcej podobnych przykładów, zebranych na chybił trafił, ale nie zamierzam was zanudzać dalszymi cytatami. Sami znacie prawdziwe położenie naszych wieśniaków, których co poniektórzy pragną ogłosić obywatelami poprzez wydanie jeszcze jednego świstka papieru pod szumną nazwą Karty Narodu Rosyjskiego. To kpiny! Hipokryzja!

---

[1] Aleksander Radiszczew, *Podróż z Petersburga do Moskwy*, przeł. Seweryn Pollack, Warszawa 1962, s. 116.

Jej rzecznicy łakną władzy, oligarchicznej władzy dla swojej kliki, nie zaś dla ludu. Ponieważ całkowite zniesienie poddaństwa wymaga specjalnych badań i przygotowań, co może się ciągnąć latami, powinniśmy przede wszystkim ograniczyć do minimum jego najdrastyczniejsze i najbardziej szokujące przejawy. Należy od razu zabrać się do dzieła! Na początek proponuję zawarować chłopom nienaruszalność ich własności osobistej, w tym bydła i narzędzi, tak często samowolnie konfiskowanych przez ich panów. Kolejny pilny dekret winnien wprowadzić zakaz kupowania i sprzedawania chłopów, pozwalający im jednocześnie wchodzić w związki małżeńskie bez zgody pana. Trzecim koniecznym posunięciem musi być wprowadzenie w życie ustawy wydanej przez zmarłego cara, ograniczającej pracę na pańskiej ziemi do trzech dni w tygodniu, wyłączywszy niedziele i święta. Te kroki należy podjąć już teraz. Jednocześnie trzeba powołać komisję jurystów, która opracowałaby podstawy prawne dla całkowitego wyzwolenia chłopów z barbarzyńskich więzów. Zwróćmy się do naszego czcigodnego władcy, by jak najszybciej utworzył taką komisję.

Wyczerpany Stroganow przerwał, i usiadłszy, wytarł spocone czoło koronkową chusteczką. Jego mowa wywarła na członkach Komitetu piorunujące wrażenie. Napiętą atmosferę rozładowali dopiero służący, ktrzy na rozkaz Aleksandra podali koniak. Po krótkiej wymianie poglądów z kolegami, Stroganow ponownie podjął wątek. - Niestety my wszyscy jesteśmy hipokrytami. Posługujemy się salonową francuszczyzną, nosimy się z angielska, słuchamy włoskich oper, i czyniąc tak udajemy, iż jesteśmy cywilizowanymi Europejczykami. Ale w stosunku do naszych włościan postępujemy jak barbarzyńcy. U nas prawo to jedno, a praktyka - drugie. Weźmy, dajmy na to, tortury, tę hańbę dla naszego kraju. Mimo iż zniosła je caryca Katarzyna, policja nadal je stosuje na dużą skalę. - Zwracając się do Aleksandra, Stroganow rzucił mu wyzwanie - Zniesienie tortur powinno stać się faktem za twych oświeconych rządów, sire! Ono, a także równouprawnienie chłopów okryje twe panowanie wieczną chwałą!

Po przerwie głos zabrał Czartoryski. Mówił spokojnie, acz równie stanowczo. - Ogólnie rzecz biorąc, podzielam poglądy mojego przyjaciela, hrabiego Stroganowa. Poddaństwo to przeżytek. Naszym ostatecznym celem powinno być przemienienie obecnych chłopów pańszczyźnianych w wolnych dzierżawców, tak jak, na przykład, w Anglii. Ale sądzę, że potrzeba na to nie lat, ale całych pokoleń. Zalecałbym ostrożność i rozwagę. Musimy mieć na uwadze, że Rosja jest niczym wielki statek, któremu potrzeba dużo czasu, by rozwinął szybkość, ale jeszcze więcej - by zawrócił, nie przewracając się do góry dnem.

Nowosilcow i Koczubej nagrodzili wywód Czartoryskiego brawami, ten zaś podziękował im skinieniem głowy, po czym kontynuował: - Zanim wyemancypujemy naszych chłopów, musimy przygotować ich do wolności. Szkopuł w tym, jak z niepiśmiennego chłopa uczynić odpowiedzialnego, światłego obywatela. To trudne i żmudne zadanie. Ażeby odpowiedzialnie korzystać z praw politycznych i mądrze wypełniać obowiązki wolnego obywatela, potrzeba przygotowania, tzn. właściwego wychowania. Ludzie, którzy nie umieją ani pi-

sać, ani czytać nie mogą postępować jak odpowiedzialni obywatele. Dlatego popierając sugestie mojego przyjaciela, dotyczące ograniczenia poddaństwa, proponowałbym w pierwszym rzędzie skoncentrować się na powszechnym szkolnictwie. Zadaniem pierwszoplanowym winno być powszechnie dostępne wykształcenie, to znaczy, edukacja rozpoczynająca się w szkołach parafialnych. Ile ich mamy? Nie wiem. To samo dotyczy szkół wyższych. O ile wierzyć naszym biurokratom, jest ich zaledwie dwadzieścia czy trzydzieści, jeden naprawdę rosyjski uniwersytet, ten w Moskwie. Nie wliczam w to, rzecz jasna, tego rodzaju instytucji na obrzeżach cesarstwa, w krajach bałtyckich, Polsce i Litwie, na przykład Uniwersytet Wileński czy Ryski. Te uczelnie opanowane są przez młodych Niemców, Polaków lub Litwinów, nie zaś przez Rosjan. Jednakże, by należycie zarządzać olbrzymim imperium, dostarczać mu wyszkolonej kadry, musimy mieć więcej rosyjskich szkół i uniwersytetów. Ponadto, należy rozszerzyć dostęp do naszych uczelni, obecnie zastrzeżonych wyłącznie dla wysokourodzonych. A co z naszymi kupcami, co z Żydami?

Koczubej poparł Czartoryskiego i podniósł kwestię unowocześniania biurokracji: - Nasi urzędnicy i nauczyciele powinni nie tylko być lepiej wykształceni, ale i lepiej opłacani. Ich marne pensje sprzyjają korupcji. Wszyscy kradną, a przynajmniej biorą łapówki, a to niemalże to samo. Jak można rządzić krajem, w którym praktycznie brak uczciwych, rzetelnych urzędników? Jeśli chodzi o ścisłość, to przykład idzie z góry. Najczęściej odmienianymi czasownikami na dworze są "pożyczyć" i "tonąć w długach":

Ja tonę w długach
Ty toniesz w długach
On tonie w długach
My toniemy w długach
Wy toniecie w długach
Oni toną w długach

Jeżeli tak beztrosko postępują nasi dygnitarze, w większości ludzie opływający w dostatek, to czegóż można spodziewać się po źle opłacanych, drobnych urzędnikach, którzy ledwo wiążą koniec z końcem?

Dyskusja na te trzy tematy: poddaństwa, biurokracji i szkolnictwa, trwała aż do wczesnych godzin rannych, po czym została ponownie podjęta na kolejnym posiedzeniu. W rzeczywistości, niekończące się debaty ciągnęły się przez blisko dwa lata, i to z miernym skutkiem. Uwaga zebranych koncentrowała się na szkolnictwie i biurokracji - zagadnieniach, z którymi łatwiej się uporać. Wielce kontrowersyjną kwestię zniesienia poddaństwa pomijano natomiast uporczywym milczeniem.

Niektóre szczegóły obrad Komitetu przedostały się do opinii publicznej, wywołując żywą polemikę i sprzeciw, szczególnie w konserwatywnych kręgach rosyjskiej elity politycznej. Poeta Gabriel Dierżawin oraz historyk Mikołaj Karamzin protestowali przeciwko choćby najmniejszym zmianom tradycyjnej struktury społecznej. Mariaż liberalizmu i autokracji jest nie do pomyślenia -

utrzymywał Karamzin. Dla Rosji autokracja to rodzaj religijnego dogmatu; zarzucenie go oznaczałoby dla niej katastrofę. Takim ludziom jak Stroganow czy Koczubej, nie mówiąc już o tym cudzoziemcu Czartoryskim - dowodził oburzony Karamzin - sprawy ojczyzny są do tego stopnia obojętne, że należałoby ich uważać za cudzoziemców, nie zaś oddawać w ich ręce losy kraju. - Znają Rosję nie lepiej niż wykształcony, bogaty Rosjanin zna Paryż - oświadczył z pogardą. Historyk sprzeciwiał się także planom otwarcia Żydom dostępu do rosyjskich szkół powszechnych. Jego zdaniem, zakaz wprowadzony przez carycę Katarzynę należy utrzymać w mocy.

Głównym obiektem niewybrednych ataków Karamzina pozostawał Czartoryski. Uważał księcia za człowieka niebezpiecznego, przedstawiciela dopiero co podbitego, wrogiego narodu, "jezuickiego hipokrytę i zdradzieckiego papistę". Bliskie związki Polaka z kołami rządowymi Petersburga godziły w uczucia patriotyczne Rosjan. Poglądy Karamzina podzielał książę Piotr Dołgoruki, który utrzymywał, iż Czartoryski jest "najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Rosji". Jak sam kiedyś zauważył: - "Właściwym miejscem dla ludzi tego pokroju jest Syberia, nie zaś Petersburg".

* * *

Rzecz jasna, masy nie miały najmniejszego pojęcia o posiedzeniach Tajnego Komitetu, nie wspominając już o szczegółach rozważań i polemikach, jakie w związku z tym prowadzili intelektualiści. Większość poddanych cara była zbyt zajęta codzienną harówką, walką o przetrwanie, by przejmować się retorycznymi dyskusjami, z których, tak czy siak, nic by nie zrozumiała. Nie uczestniczyła także w widowiskowych paradach, organizowanych za życia Pawła. Tak więc, kiedy we wrześniu 1801 roku, dwudziestoczteroletni Aleksander z wielką pompą przybył na Kreml, na swą koronację, masy zgotowały mu entuzjastyczne powitanie. Do tego czasu nikt nie wątpił już w jego popularność. Oto przybywał młody, przystojny książę w pozłacanej karocy, w otoczeniu swych wspaniałych Kawalergardów - żołnierzy w błyszczących hełmach i napierstnikach, dosiadających okazałych, rączych koni. Cóż za widowisko!

Aleksander i Elżbieta wystąpili w tradycyjnych szatach ze złotego brokatu. Metropolita Moskwy, Płaton, godnie przewodniczył całej uroczystości. Wręczył cesarską koronę Aleksandrowi, a młody car, trzymał ją przez chwilę w dłoniach, po czym mocno wcisnął ją sobie na głowę. Następnie Aleksander koronował Elżbietę i oboje otrzymali błogosławieństwo metropolity. Potem cesarska para ponownie zasiadła na tronie, by przyjąć hołd od członków rodziny cesarskiej i wysokich dygnitarzy. Na ostatek, metropolita oficjalnie przedstawił nowego cara narodowi. Wtedy rozległy się dzwony na wieżach Kremla, a salwy z dwudziestu jeden dział oznajmiły Moskwie i całej okolicy, iż Aleksander został właśnie koronowany na samowładnego cara Wszechrosji

Wielkiej, Małej, Białej, europejskiej i azjatyckiej - oraz że car, Ojciec, poślubił Matkę Rosję.

Wieczorem po koronacji urządzono fajerwerki i pokazy sztucznych ogni, bankiety dla tysiąca gości, olbrzymie festyny dla mieszczan na wolnym powietrzu, przedstawienia, koncerty i parady wojskowe. Gdy Aleksander miał już za sobą najbardziej uroczystą część ceremonii koronacyjnej, jego humor i samopoczucie znacznie się poprawiły. Dobry nastrój cara udzielił się jego służącym i przyjaciołom. Przyszłość malowała się w różowych barwach. W kraju panował spokój, a reformy wydawały się w zasięgu ręki.

ROZDZIAŁ VII

Od reform w kraju po przygody zagranicą

Po powrocie z Moskwy Aleksander nadal usiłował współdziałać ze swoimi liberalnymi przyjaciółmi, aczkolwiek jego sentymentalny liberalizm najwyraźniej zaczął go opuszczać. Nie od razu wyzbył się wzniosłych idei. Uległy one jednakże znacznej modyfikacji w zetknięciu z brutalną rzeczywistością dnia codziennego, na skutek różnorakich przeciwności losu. Aleksander zdał sobie sprawę z trudności, na które napotkałyby zasadnicze zmiany w społeczeństwie przywiązanym do tradycji, dotkniętym bezwładem biurokratycznego establishmentu. Świadom przerażającego ogromu zadań, przypominał kogoś, kto wolałby oddawać się dziecięcym zabawom, lecz musi porzucić ulubione rozrywki i powrócić do obowiązków dorosłego życia.

Niemniej jednak, ostrożnie wprowadzono w życie kilka postulatów Komitetu. W grudniu 1801 roku, na przykład, Aleksander wydał ukaz, zgodnie z którym własność ziemską mogli nabywać nie tylko szlachta i kupcy, ale także każda inna osoba, w oczach prawa uchodząca za wolną, a nawet włościanie należący do Korony. W guberniach bałtyckich chłopi pańszczyźniani stopniowo stawali się wolnymi dzierżawcami. Kolejne ważne osiągnięcie Tajnego Komitetu stanowiła reforma administracji centralnej. Dotychczas pozostawała ona w rękach ciał kolegialnych ustanowionych przez Piotra Wielkiego. Ociężałe, kosztowne i niekompetentne, targane osobistymi rozgrywkami i paraliżowane przez nieżyciowe przepisy, we wrześniu 1802 roku zastąpione zostały siedmioma ministerstwami, na czele każdego z których stał urzędnik osobiście odpowiedzialny przed Aleksandrem. Były to: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Wojny; Oświaty; Finansów i Sprawiedliwości. Później dodano jeszcze Ministerstwo Policji. Mimo to Aleksander niechętnie odnosił się do propozycji Komitetu, ażeby

utworzyć centralny organ wykonawczy, który przekształciwszy się w gabinet, dzieliłby władzę z suwerenem.

Kolejną dziedziną, w której poczyniono znaczne postępy, była edukacja. Aleksander w pełni podzielał pogląd Czartoryskiego i Koczubeja, iż przed przyznaniem ludziom jakichkolwiek konstytucyjnych przywilejów należy ich wpierw wykształcić. Z tego też względu, popierał rozwój szkolnictwa na wszystkich poziomach: podstawowym, zaawansowanym i uniwersyteckim. W Petersburgu założono Instytut Pedagogiki, który następnie przekształcił się w uniwersytet. Ogólnie rzecz biorąc, za jego rządów w całej Rosji powstało jeszcze sześć innych instytucji akademickich i ponad czterdzieści nowych gimnazjów.

Przerwy w wytężonej pracy wypełniały Aleksandrowi bujne życie towarzyskie oraz zajęcia związane z wojskiem: parady, inspekcje, manewry. Zdarzały się również przypadki błahe, acz zaskakujące. Pewnego ranka, na przykład, car przebierał się, by uczestniczyć w południe w zmianie warty. W skład munduru wchodziły także białe bryczesy ze skóry łosia, które miały opinać ciało tak dokładnie, by nie powstała najmniejsza nawet zmarszczka. W tym celu przed założeniem należało je zwilżyć, przy czym cała operacja wymagała asysty przynajmniej dwóch energicznych służących. Owego dnia to żmudne zajęcie przerwało w połowie niespodziewane pukanie do drzwi, a chwilę potem do komnaty wkroczył wyraźnie zmieszany Piotr Wołkoński. - Proszę o wybaczenie, sire, ale pewna delikatna sprawa wymaga osobistej interwencji Waszej Cesarskiej Mości. Otóż szef policji doniósł właśnie, że Jego Wysokość, Wielki Książę Konstanty włóczy się po parku w mundurze generalskim, ale bez bryczesów. Chowa się w krzakach, lecz na widok młodych dam wyskakuje nagle i - obnażając się - gorszy przechodzące niewiasty. Szef policji nie aresztował go, mając na względzie jego pozycję i stanowisko. Co mamy robić? Co rozkażesz, sire?

- Wygląda na to, iż mój brat nie traci czasu - tak jak ja w tej chwili - na zmagania z tymi obcisłymi bryczesami. Coś mi się widzi, że przed reformowaniem Rosji muszę przede wszystkim wychować własnego brata. Co za oryginał! Nie dziwota, że żona nim gardzi. Będziemy musieli znaleźć mu inną połowicę, choć nie będzie to takie proste. Podczas gdy niektórzy czują się zeżenowani tym, że ktoś przyłapie ich bez spodni, Kostia lubuje się w żenowaniu innych. - Co rozkażesz, sire? - zapytał zniecierpliwiony Wołkoński.

- Piotrze, powiedz memu bratu, iż życzę sobie, by niezwłocznie udał się do swych apartamentów. Oto peleryna. Weź jeden z mych powozów i okryj go nią, gdy będziesz go odwoził do domu.

* * *

Po powrocie z koronacji, Aleksander rzucił się w wir życia towarzyskiego stolicy. Za panowania jego ojca, uczestniczenie w rozmaitych uroczystościach na dworze - nie wyłączając oficjalnych balów i obiadów - wiązało się z pewnym niebezpieczeństwem, jako że Paweł przywiązywał wielką wagę do przestrzegania etykiety i doboru stroju. Nie tylko w czasie musztry i parad, ale także w trakcie dworskich ceremonii ryzykowało się pozycję, a nawet i wolność. Każdy, kto stawał przed carem, drżał ze strachu, iż ten wybuchnie gniewem i obrzuci go inwektywami. Paweł żył pod wrażeniem, że jego osobie nie okazuje się należnego szacunku, stąd nikt nie był pewien, czy do końca dnia jego pozycja nie ulegnie gwałtownej zmianie.

Aleksander postawił sobie za punkt honoru stworzenie nowego wizerunku cesarza; nie tyrana, lecz władcy łaskawego i oświeconego. I rzeczywiście, pierwsze lata jego rządów wydawały się wielce obiecujące. Z jego oblicza i zachowania emanowały spokój, gracja oraz życzliwość. W przeciwieństwie do swego brzydkiego ojca, był fizycznie bardzo pociągający - wysoki, majestatyczny blondyn, o klasycznym czole i błyszczących błękitnych oczach, podkreślających jego ujmującą prostotę. Nie nosił biżuterii i - jako pierwszy car - obywał się bez cesarskiego przepychu. Obcując z otoczeniem, zawsze pozostawał uprzejmy i układny. Lubił przechadzać się pośród gości, zachowując się niczym zwykły dżentelmen. Często używał takich zwrotów jak: "Niech wolno mi będzie zauważyć...", "Proszę o wybaczenie", lub "Niech wolno mi będzie się z Panem nie zgodzić...". W stosunku do dam niezmiennie bywał szarmancki, kłaniając się nisko, kiedy prosił je do tańca: "Czy mogę dostąpić zaszczytu zatańczenia z Panią?" Całował ich dłonie, ilekroć dziękował im za taniec bądź poczęstunek. Gdy tylko chciał, potrafił oczarować każdego.

Do dnia koronacji, na dworze ściśle przestrzegano żałoby. Lecz po powrocie z Moskwy Aleksander postanowił rozluźnić nieco te surowe zasady i przywrócić w metropolii życie towarzyskie. Petersburski sezon 1802 roku otworzyło 1 stycznia przyjęcie w Pałacu Zimowym, wydane przez cara dla korpusu dyplomatycznego. Odbyło się ono w przestronnej sali św. Jerzego, ozdobionej marmurowymi, korynckimi kolumnami i sześcioma olbrzymimi żyrandolami. Tamże, Aleksander, usadowiony na czerwono-złotym tronie, na tle aksamitnego gobelinu, na którym wyhaftowano cesarskie godło, przyjmował życzenia od przedstawicieli obcych mocarstw. Potem, aż do Wielkiego Postu, wytworne towarzystwo kręciło się w wirze balów, bankietów, koncertów i prywatnych przyjęć.

Aleksander patronował dwóm balom. W czasie Białego Balu wprowadzano do towarzystwa niezamężne dziewczęta, w wieku od piętnastu do osiemnastu lat. Debiutantkom, całym w bieli, towarzyszyły ich sympatie bądź przyjaciele, pod czujnym okiem przyzwoitek, zwykle matek, ciotek lub starszych kuzynek. W czasie gdy młodzież oddawała się zabawie, opiekunki siedziały na sofach i krzesłach, ustawionych wzdłuż ścian sali balowej, i gawędziły, wymieniając najświeższe plotki i snując sieć dworskich intryg. W międzyczasie młode pary wirowały na parkiecie aż do białego rana w rytm kadryla oraz innych tańców rosyjskich, węgierskich i polskich, a nawet walca, uważanego dotychczas za

"rozpasany", lecz obecnie zaaprobowany przez wyższe sfery. Drugim wielkim wydarzeniem sezonu był Różowy Bal, dla par zamężnych. Obydwa bale wyprawiono w Pałacu Zimowym, przy czym do dyspozycji 2000 gości oddano większość z tysiąca stu pokoi. Wspaniały pałac zdobiły dzieła sztuki, lustra, kandelabry, malowidła, perskie dywany, oraz meble z mahoniu i palisandru, wyściełane delikatnym jedwabiem. Ściany Złotej Sali zdobiły mozaiki w bizantyjskim stylu, a okazałą Malachitową Komnatę - marmurowe kolumny, stoły i olbrzymie urny o barwie soczystej zieleni. W sali balowej, o wymiarach 200 stóp na 60, błyszczące podłogi odbijały miriady świec. Na specjalne okazje salę tę przyozdabiano wielkimi żardynierami, pełnymi laurów i rododendronów, powodzią kwiatów w porcelanowych i srebrnych naczyniach, oraz koszami orchidei. Szczytem marzeń było uzyskanie zaproszenia na obydwa bale, a już nakaz stawiennictwa na jeden z nich uważano za wielki zaszczyt i oznakę wysokiej pozycji społecznej.

Przez komnaty Pałacu Zimowego sunęła bezszelestnie armia lokajów w dworskich liberiach - bryczesach do kolan, pudrowanych perukach, białych pończochach i lakierkach ze srebrnymi klamrami. Wzdłuż wielkich schodów z ogromnymi kolumnami i stopniami z kararyjskiego marmuru trzymały straż oddziały Kawalergardów w połyskujących srebrem napierstnikach i hełmach uwieńczonych dwugłowymi orłami. Na szczycie Wielkich Schodów stali dwaj orientalni służący w karmazynowych turbanach, którzy mieli za zadanie otwierać główne drzwi przed wchodzącymi dygnitarzami, podczas gdy mistrz ceremonii uroczyście odczytywał ich nazwiska i tytuły.

* * *

Dworskie bale rozpoczynały się zwykle o 9. wieczór. Mistrz dworu trzykrotnie uderzał o podłogę laską, na której czubku widniał złoty, cesarski, dwugłowy orzeł, a po tym sygnale zalegała natychmiastowa cisza. Mistrz ogłaszał: "Panie i panowie, oto ich Cesarskie Mości!" Otwierały się główne drzwi i do sali wkraczała imponująca procesja. Na jej czele szedł Wielki Mistrz i Mistrzyni cesarskiego dworu, za którymi podążał car i caryca w asyście świty i paziów. Dalej szli wielcy książęta i księżne w kolejności starszeństwa. W międzyczasie wojskowa orkiestra odgrywała hymn narodowy.

W kwestii stroju obowiązywały surowe zasady. W trakcie wszystkich oficjalnych uroczystości damy na dworze musiały nosić dworskie szaty. Na białą jedwabną lub satynową halkę ze złotą wstążką lub haftem dokoła wykończenia i u dołu przodu, nakładały suknię z trenem z karmazynowego, zielonego lub niebieskiego aksamitu, wyszywaną srebrem i złotem. Nisko zaczesane włosy upinała złota siateczka. Na głowę zakładały tradycyjny rosyjski diadem z aksamitu o podobnym odcieniu, bogato wyszywany i zdobiony diamentami, z którego na ramiona opadał welon z tiulu lub koronki. Strój Cesarzowej nie różnił się od ubiorów wielkich księżnych, tyle tylko, że przewyższał je mnogo-

ścią ozdób, poza tym tren był dłuższy i obszyty diamentami lub perłami. Na mniej oficjalne przyjęcia panie przychodziły w wybranych przez siebie cienkich sukniach z dużym dekoltem oraz pantofelkach na niskim obcasie. Jeśli chodzi o mężczyzn, to na balach przeważali wojskowi, odziani w mundury różnych rodzajów wojsk.

W głównej sali tanecznej znajdowały się dwa wystające balkony, na których na przemian grały dwie orkiestry. Dworskie bale zawsze otwierał polonez, który w gruncie rzeczy był nie tyle tańcem, co raczej przechadzaniem się, pełną gracji procesją wysokiego dostojeństwa. Tańczący tworzyli dwa rzędy, pozostawiając po środku sali balowej wolne przejście. Wtenczas orkiestra odgrywała wolną, majestatyczną melodię, i tu ruszał pochód prowadzony przez Aleksandra i Elżbietę. Tuż za nimi sunęli inni: każdy z panów podawał rękę wybranej partnerce, i tak - para za parą - przyłączali się do orszaku. Stopniowo, tańczące pary tworzyły wspaniały korowód stale zmieniających się barw i kształtów. W ten sposób obchodzili salę, a wracając ponownie tworzyli dwu-, a następnie czwororząd. Na koniec panie, ze schylonymi głowami, przychodziły pod szpalerem uniesionych ramion partnerów. Po polonezie tańczono kadryla, kotyliona, walca i skocznego, wymyślnego mazura - śmiały, żywy taniec ze skomplikowaną, prędką, acz jednostajną pracą nóg! W mazurach improwizacja odgrywała rolę równie ważną, co ustalone zasady. Aleksander, który przepadał za tym tańcem, zwykł mawiać: "Pokaż, jak tańczysz mazura, a powiem ci kim jesteś".

O 11. wieczór cesarz prowadził korowód do jadalni, gdzie stały stoły nakryte do kolacji. W chwili, kiedy cesarska para przekraczała jej próg, zapalały się miriady świec. Podczas kolacji, car i caryca, a także wielcy książęta i wielkie księżne, zajmowali miejsca przy ogromnym stole na podwyższeniu. Nad pozłacanymi tronami górowały pokaźne bukiety kamelii i róż. Inne stoły rozstawiono u podstawy palm lub rododendronów, sprowadzonych z cieplarni w Carskim Siole. Cały czas po podwyższeniu kursowali służący, podając rozmaite smakołyki. W podobnych kolacjach uczestniczyło około tysiąca osób, rozmieszczonych w 50 - 60 pokojach sąsiadujących z główną jadalnią. Wszystkie stoły zdobiły kompozycje kwiatowe w wazonach i srebrne kandelabry. Menu natomiast zadowoliłoby najwybredniejszego smakosza. Serwowano aż dwanaście potraw, w tym ryby, drób oraz rozmaite rodzaje pieczeni, wszystko zakrapiane wybornymi winami. Oprócz zagranicznych trunków podawano także rodzimą wódkę i krymskie oraz kaukaskie wina. Zdobione solniczki, widelce, noże oraz łyżki połyskiwały srebrem i złotem w blasku świateł kryształowych żyrandoli. W kilku komnatach sąsiadujących z jadalnią okrągłe stoły uginały się pod ciężarem deserów, naczyń z herbatą, szampanem lemoniadą i ciastem. Przez całą noc służący w liberiach podawali lody w kolorze i kształcie owoców. Wspaniałe dworskie bale trwały aż do 7. - 8. rano, i kończyły się białym mazurem, nazywanym tak dlatego, iż tańczono go już w biały dzień. Długo wcześniej większość gości padała ze zmęczenia, lecz opuszczenie balu przed czasem uchodziło za oznakę złych manier lub braku wytrwałości.

Inną dworską rozrywką były bale maskowe, urządzane tuż przed Wielkim Postem. Ponownie główne sale Pałacu Zimowego zapełniały się gośćmi, a maskarada trwała od 6. wieczór do białego rana. Większość zaproszonych miała na sobie wymyślne kostiumy i maski. Na pierwszym z owych balów Aleksander wystąpił w przebraniu Zeusa, Elżbieta zaś - Pallas Ateny. Tańce w parach i grupach przeplatały się z włoską muzyką kameralną, a po północy zespoły ludowe w narodowych strojach przedstawiały tańce kozackie, tatarskie, czerkieskie i cygańskie.

Tak jak orgiastyczne rzymskie saturnalia, ostatnie dni karnawału przypominały istne pandemonium, jak gdyby chciano powetować sobie zawczasu chude i pełne wyrzeczeń dni Wielkiego Postu, narzucone przez Kościół Prawosławny, którego tradycyjnym rygorom musieli się podporządkować nawet najbardziej frywolni dworzanie. Póki co, obwieszeni wspaniałą biżuterią, zamożni przedstawiciele społeczeństwa pędzili na niezliczone obiady, przyjęcia i bale. W teatrach grywano rano i wieczorem. Po Środzie Popielcowej jednakże życie towarzyskie zamierało. Zawieszano zajęcia w szkołach oraz zamykano urzędy. Siedmiotygodniowego postu, najważniejszego w całym roku, przestrzegano ściśle, acz często niechętnie. Nie spożywano żadnego mięsa, jajek, masła, ani cukru, a zarówno bogaci, jak i biedni zadowalali się czarnym chlebem, grzybami, kapustą, rybami, ziemniakami i herbatą lub kawą z mlekiem. Co gorliwsi, w pierszym i ostatnim tygodniu rezygnowali nawet z ryb, nie jedząc zupełnie nic w środy i piątki.

* * *

Inny, istotny aspekt życia stolicy stanowiły parady wojskowe. Podobnie jak jego ojciec, Aleksander poświęcał wiele uwagi musztrowaniu i przeglądowi swych oddziałów. W przeciwieństwie do Pawła jednakże, nie miał manii na punkcie parad i ograniczył w pewnym stopniu skalę i częstotliwość wojskowych pokazów. Oczywiście, codziennie odbywały się rutynowe zmiany warty; w samo południe nowy batalion piechoty lub regiment kawalerii maszerował przez miasto - powiewając sztandarami, przy akompaniamencie wojskowej orkiestry - by objąć wartę przed cesarskim pałacem i innymi znaczącymi budynkami, jak, np., ministerstwa i siedziba Admiralicji na Placu Senackim. Rytuał ten powtarzał się dzień w dzień, ale od czasu do czasu - w rocznicę wielkich zwycięstw albo w dniu swych imienin - Aleksander dokonywał uroczystego przeglądu wojsk. Te wspaniałe parady odbywały się zwykle na Polu Marsowym lub na Placu Senackim i, jako że dostarczały darmowej rozrywki, przyciągały tłumy mieszkańców stolicy. Wytworne płaszcze oraz suknie arystokracji i bogatych mieszczan mieszały się z czerwonymi, niebieskimi i żółtymi spódnicami tudzież szalami wiejskich dziewcząt oraz kaftanami woźniców i uboższych kupców, rzemieślników i służących.

Najbardziej widowiskową z parad urządzono 28 maja, 1803, (czyli 16 maja według kalendarza juliańskiego), kiedy to Petersburg świętował setną rocznicę założenia miasta. Uroczystość rozpoczęła podniosła msza w Katedrze św. Piotra i Pawła, po czym car udał się na Plac Senacki. Stał tam - wysoki i imponujący - obok pomnika założyciela miasta, Piotra Wielkiego na koniu, w otoczeniu dygnitarzy i oficerów kawalerii, podczas gdy orkiestry wojskowe odgrywały hymn narodowy, a następnie przejechał przed szpalerem swych żołnierzy. Ci żwawo zaprezentowali broń, a zebrani zdjęli nakrycia głowy. Car powitał każdy oddział, zgodnie z tradycją, słowami: "Dzień dobry, moje zuchy! Bądźcie zdrowi!" - oni zaś odpowiedzieli przepisowo: "Życzymy zdrowia Waszej Cesarskiej Mości!" Później, przy akompaniamencie muzyki wojskowej oraz ogłuszającego jazgotu werbli i trąbek, tysiące żołnierzy ustawiło się w szeregu, gotując się do marszu; lance i bagnety połyskiwały w słońcu, proporce powiewały na wietrze. Cóż za wspaniałe widowisko!

Ulubieńcami publiczności byli kawalerzyści. Paradę otwierały dwa regimenty gwardii kozaków, jeden w niebieskich, drugi zaś w czerwonych mundurach. Wszyscy mieli na sobie niskie buty i wysokie, baranie czapy, z których zwisały długie, zdobione kity. Za kozakami podążali Kawalergardzi, prześcigając pozostałych - nawet gwardię konną - przepychem stroju i marsowym wyglądem. Kawalerowie nosili białe mundury i czerwone peleryny, a ich obcisłe kurtki podkreślały wcięcie w talii. Strój dopełniały także wysokie, sztywne buty z cholewami, srebrne napierstniki oraz hełmy zwieńczone błyszczącym, podwójnym ostrzem. Kłusowali na swych siwych rumakach, a ich szable jaśniały w promieniach słońca. Lansjerzy występowali w niebieskich kurtkach z czerwonymi wyłogami, huzarzy natomiast zarzucili na ramiona szkarłatne pelisy obszyte futrem i zdobione złotem. Odezwały się werble. Bataliony piechoty maszerowały niczym roboty, a stalowe ostrza ich bagnetów odbijały słoneczne promienie niczym lustra. Orkiestry poszczególnych oddziałów wygrywały na zmianę skoczne melodie. Za piechotą sunęli saperzy, za nimi zaś z łoskotem i brzękiem maszerowała ciężka i lekka artyleria, turkocząc na wybojach. Pochód zamykała artyleria konna z połyskującymi, mosiężnymi jaszczami. Powitała ją nowa burza oklasków i okrzyki: "Niech żyją nasi dzielni artylerzyści! Hura, hura, hura!" Po paradzie cesarz ponownie przejechał przed szpalerem żołnierzy, wołając: "Dziękuję wam, moje zuchy", a z tysięcy gardeł wyrwała się gromka odpowiedź: "To my dziękujemy Waszej Cesarskiej Mości".

Majowa parada była niezapomnianym, imponującym popisem rosyjskiej potęgi militarnej. Podobne widowiska, choć na mniejszą skalę, powtarzano przynajmniej kilkanaście razy do roku. Dostarczały one masom upragnionej zabawy, rozbudzając w nich uczucia patriotyczne i zaspokajając ich głód rozrywki.

* * *

Zaprzątnięty sprawami wojskowości i państwa, Aleksander nie zaniedbywał jednak sfery uczuciowej. Życzliwe wsparcie i opanowanie Elżbiety podczas tych okropnych marcowych dni 1801 roku jeszcze bardziej scementowały ich przyjaźń. Nadal wspólnie wypełniali oficjalne obowiązki, ona zaś stała się jego powierniczką w sprawach niezmiernej wagi. Czuła bratersko-siostrzana przyjaźń zajęła miejsce małżeńskiej intymności. Elżbieta, sama zajęta swym młodym kochankiem, Grigorijem Owiecznikowem, przymykała oko na liczne przygody Aleksandra, nawet te z jej własnymi damami dworu. Ten dziwny, aprobowany przez obie strony układ, trwał całymi latami.

Mimo iż większość miłostek Aleksandra miało przelotny charakter, w 1804 roku zaangażował się na poważnie. Pewnego wieczoru, podczas Różowego Balu, Aleksander gwarzył z Czartoryskim w komnacie przyległej do sali balowej. Orkiestra grała mazura, którego dźwięki zlewały się z szumem fontanny, zajmującej sam środek pomieszczenia. Rozmowa urwała się ni stąd, ni zowąd, gdy Aleksander spostrzegł dwie damy, które opuściwszy salę balową, przechodziły obok nich. Młoda dziewczyna i kobieta około trzydziestki, na widok cara, wykonały głęboki dyg, po czym wycofały się w pośpiechu. Choć obie były eleganckie i wytworne, Aleksandrowi z miejsca wpadła w oko starsza z pań. Jej posągowe kształty, alabastrowe, wydekoltowane ramiona, kaskada czarnych włosów i ciemne oczy, zauroczyły go bez reszty. Zapytał Czartoryskiego o jej tożsamość:

- Ta brunetka to żona Dymitrija Lwowicza Naryszkina, Wielkiego Łowczego Waszej Cesarskiej Mości. Z domu - księżniczka Maria Światopełk-Czetwertyńska. Jej ojca w 1794 powiesił zbuntowany polski motłoch, ponieważ przynależał do pro-rosyjskiej frakcji występującej przeciwko nowej konstytucji 1791 roku.

Po chwili książę Adam dodał jakby od niechcenia. - Czetwertyńscy, podobnie jak Czartoryscy to książęce rody litewskie, potomkowie Gedymina, Wielkiego Księcia Litwy, oraz jego syna i spadkobiercy, Olgierda. Jest moją daleką krewną.

Aleksandrowi tak bardzo spodobała się Maria Naryszkina, że na kolejnym przyjęciu podszedł do niej i zagadnął wprost: - Madame, podczas Różowego Balu twój czar i uroda wywarły na mnie tak wielkie wrażenie, iż wyrzucałem sobie, że nie znalazłem sposobności, aby poznać cię wcześniej. Czy mógłbym widywać cię częściej w bardziej ustronnym miejscu?

Pochlebstwa spływały z ust Aleskandra niczym woda z kwiatów wodnych lilii, lecz jego bezpośredniość najwyraźniej wprawiła Marię w zdumienie. Marszcząc brwi i trzepocząc długimi, czarnymi rzęsami, udała, iż uchybia jej podobna poufałość, przy czym odparła wyniośle: - Mąż i ja bylibyśmy zaszczyceni, gdyby Wasza Cesarska Mość raczył wziąć udział w którymś z naszych wieczorów muzycznych. Zimą przyjmujemy w naszej rezydencji na Fontance, w każdą środę o 6. Po koncercie podajemy obiad. Latem, również co środę, podejmujemy gości w naszej willi na Kamiennej Wyspie.

Ta formalnie stosowna, acz chłodna riposta mocno rozczarowała Aleksandra. Jak dotąd, jego doświadczenia z kobietami były jednostronne. Jego własne

małżeństwo zaaranżowano zgodnie ze starą, patriarchalną tradycją. Z stosunkach z Marusią, madmoiselle Chevalier, i innymi aktorkami, a także z damami dworu, był nie myśliwym, lecz zwierzyną, nie drapieżnikiem, ale ofiarą. Wystarczyło podejść do jednej z dwórek żony, rzucić kilka zdawkowych komplementów na temat jej urody, i wyrazić pragnienie widywania jej "częściej", by ta złożyła ceremonialny dyg i wyszeptała: "Jestem pokorną służebnicą Waszej Cesarskiej Mości". Podczas bardziej prywatnych spotkań, niejedna rosyjska dama padała na kolana, mówiąc: "Jestem twoją niewolnicą. Cała należę do ciebie".

Maria była pierwszą, na której pozycja i męskość Aleksandra nie wywarły na pozór większego wrażenia. "Dziwne, niespotykane - pomyślał - co robić?" Nie miał wielkiego doświadczenia w sztuce uwodzenia, lecz z lektury niezliczonych francuskich romansów nauczył się, iż żadna kobieta nie może się bez końca opierać wyważonym, rycerskim komplementom i stosownie dobranym podarkom od młodego, przystojnego mężczyzny. Mimo to uważał, iż w przypadku dumnej Polki musi być taktowny, rozważny i cierpliwy.

Tak więc co środa, o szóstej wieczór, rezydencja Naryszkinów na Fontance, usytuowana nad kanałem o tej samej nazwie, była świadkiem stale powtarzającego się rytuału. Pod drzwi wejściowe zajeżdżał ogromny, lśniący, czarny pojazd z taflowymi okienkami i mosiężnymi zdobieniami dokoła karnesu, zaprzężony w cztery siwe konie. Dwóch lokai w dworskiej liberii zeskakiwało z podnóżka, spuszczało schodki i pomagało wysiąść pasażerom, z poważaniem trzymając w lewej dłoni trójgraniaste kapelusze. Ubrani po cywilnemu przechodnie składali głęboki ukłon, natomiast oficerowie stawali na baczność i salutowali. Lokaje, kłaniając się uniżenie, odprowadzali swego pana do wejścia, otwierali podwoje, podczas gdy on wkraczał do środka. Za nim maszerował Wołkoński, niosąc kosz pełen orchidei lub róż, a także bombonierkę. Takie wizyty trwały przez kilka tygodni, lecz - niestety - na próżno.

Dla przygłuchego Aleksandra te muzyczne koncerty były istną męczarnią.Jedynym elementem rekompensującym udrękę był fakt, iż siedząc wygodnie w pierwszym rzędzie, mógł zdrzemnąć się dyskretnie, i tym samym nieco odpocząć od napiętego programu dnia. Maria oczarowała go do tego stopnia, iż gotów był znieść wszelkie niewygody, byleby tylko móc przebywać blisko niej. Kolacje podawane po koncertach dawały mu sposobność porozmawiania z panią domu. Wychwalał wtenczas wysoki poziom muzycznego programu, lecz przede wszystkim klasyczną symetrię rysów i urodę Marii. Była zbyt bystra, by nie zauważyć, iż swymi wdziękami zahipnotyzowała Aleksandra. Jednak wszystkie awanse i wysiłki zmierzające do zaaranżowania rendezvous na osobności spotykały się z uprzejmą, acz zdecydowaną odmową.

- Wasza Cesarska Mość zapomina, że jestem szczęśliwą mężatką. Chciałbyś, sire, bym dołączyła do nader licznego już grona kurtyzan i konkubin, takich jak mademoiselle Chevalier lub rozwiązłe aktoreczki i damy dworu?

Podczas gdy Maria niezłomnie trwała w swym postanowieniu, namiętność zżerała Aleksandra coraz bardziej i bardziej, aż w końcu przerodziła się w obsesję. Nie ustawał w strojeniu zalotów, wykorzystując do tego cały potencjał

aktorski, grę pozorów i maskaradę. Tymczasem po kilku miesiącach systematycznie obmyślanych podstępów, odkrył, iż pomiędzy nim a Marią rodzi się jakaś bliżej nieokreślona więź, kiełkujące uczucie. Czyż Maria istotnie mogłaby być tak obojętna na komplementy i adorację młodego, atrakcyjnego mężczyzny, a do tego, najpotężniejszego monarchy w Europie? Czy jej wyniosłość była prawdziwa czy li tylko udawana? Czy istniała jakaś tajemnicza siła wzbraniająca jej przeżyć z nim chwile rozkoszy, których od zarania dziejów śmiali i obrotni chłopcy zaznają z pięknymi dziewczętami?

Im dłużej Aleksander próbował znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytania, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że sztuka uwodzenia wymaga nie tylko zręczności i rozwagi, lecz także dużo cierpliwości. Bo czyż odwieczna walka płci nie jest nieprzerwaną grą dwu przebiegłych, odmiennych inteligencji, nieustannie zmagających się ze sobą tylko po to, by w stosownej chwili objawić swe prawdziwe zamiary?

I rzeczywiście, długo oczekiwana chwila nadeszła niespodziewanie po jednym z owych na pozór niekończących się, nudnych wieczorów muzycznych. Podczas kolacji, częstując Aleksandra wędzonym łososiem, Maria wyszeptała:
- Sire, właśnie dowiedziałam się od przyjaciółki, że mój małżonek nie jest mi wierny.

Aleksander w mig pojął ukryte znaczenie tych słów: - Kiedy możemy się spotkać na osobności?

- Proszę przyjść pojutrze, późnym popołudniem, około czwartej. Mój mąż rzekomo udaje się wtenczas do przyjaciół na partyjkę wista.

Podochocony Aleksander przybył na Fontankę o dwadzieścia minut za wcześnie. Kiedy wszedł do salonu, by stamtąd skierować swe kroki do sypialni, drogę zastąpiła mu gruba, czerwonolica pokojówka, oznajmiając: - Proszę wybaczyć, sire, ale księżna właśnie bierze kąpiel.

Aleksander odtrącił ją na bok, po czym bez pukania wszedł do łazienki. W cynkowej wannie w kształcie buta siedziała Maria. Z miejsca zaprotestowała, żądając, aby gość wyszedł ipoczekał na nią w salonie, Aleksander jednakże nie zważając na jej protesty, na widok zwykłej wanny, wybuchnął: - Wenus z Milo w cynkowej wannie? To niegodne nawet żony kupca. Co za hańba! Każę sprowadzić ci luksusową wannę prosto z Włoch, z kararyjskiego marmuru.

* * *

Romans z Marią Naryszkiną pochłonął Aleksandra całkowicie. Nie miał teraz ani czasu, ani głowy, by kontynuować dzieło reform. Związek z początku utrzymywany w tajemnicy, wkrótce stał się sprawą publiczną. Przez blisko rok, dwa lub trzy razy w tygodniu, Aleksander odwiedzał Marię wieczorami, bądź to w rezydencji na Fontance, bądź to na Kamiennej Wyspie. Niezadługo bywał tam tak często, że miejsca te stały się dlań drugim domem, na równi z

Pałacem Zimowym i Carskim Siołem. Doszło nawet do tego, iż kochankowie otwarcie przyjmowali gości krajowych i zagranicznych na oficjalnych przyjęciach. Poddając się sile namiętności Aleksandra, Maria także czerpała przyjemność z ich związku. Była dumna ze swej pozycji głównej metresy cara i gotowa zatrzymać go przy sobie tak długo, jak to możliwe, najlepiej na zawsze. To, iż większość dworzan okazywała jej większy szacunek niż samej cesarzowej, mile łechtało jej próżność. Publicznie zachowywała wszelkie pozory i zwracała się do kochanka per "Wasza Cesarska Mość", prywatnie jednak nazywała go swym "młodym greckim bogiem" lub po prostu "Saszą".

Romans z Marią nie powstrzymywał Aleksandra przed flirtami, gdyż jak sam mawiał: "Zbyt kocham kobiety, by zadowolić się tylko jedną". Szczęściem dla Marii, hrabia Naryszkin okazał się wyrozumiałym mężem, który prywatnie przyznawał, że czuje się wielce zaszczycony "oddaniem i uwielbieniem, jakie Jego Cesarska Mość okazuje mojej ślicznej żonie". Pewnego dnia zaskoczywszy Marię i Aleksandra w niedwuznacznej sytuacji, pospiesznie zamknął drzwi sypialni i upomniał żonę najtaktowniej w świecie: - Madame, proszę! Bądź bardziej ostrożna! Co by było, gdyby zamiast mnie drzwi otworzył któryś z naszych służących?

Maria pozostawała oficjalną przyjaciółką Aleksandra przez ponad piętnaście lat. Związek ten nie przeszkadzał zbytnio Elżbiecie, która dyskretnie odsunęła się na drugi plan, sama znajdując pocieszenie w ramionach licznych mężczyzn, zwykle od niej młodszych, jak miało to miejsce w przypadku Owiecznikowa. Prawdę powiedziawszy, cieszyła się, iż mąż związał się z kobietą dystyngowaną, i niezwiązaną blisko z dworem; wolała to aniżeli romanse z własnymi dworkami. Podobne miłostki, uprawiane w najbliższym otoczeniu, krępowały ją, aczkolwiek tolerowała i takie wybryki.

Maria urodziła Aleksandrowi trójkę dzieci, dwie córki i jednego syna. Najstarsza, Zinajda, zmarła będąc dzieckiem w czerwcu 1810 roku. Młodsza, Zofia - ulubienica Aleksandra, która odziedziczyła urodę po matce - zmarła na suchoty w wieku lat siedemnastu, w roku 1824. Po narodzinach każdego z dzieci, Elżbieta składała Marii gratulacje i przesyłała jej stosowny prezent.

Pomimo niższości intelektualnej Marii i jej nader niepohamowanego narcyzmu, przez wiele lat Aleksander rzadko nudził się w jej towarzystwie. Zdając sobie sprawę, iż nie jest w stanie zaspokoić potrzeb kochanka w sferze intelektualnej, Maria wykorzystywała cały swój potencjał aktorski, by dostarczyć mu relaksu i rozrywki. Obdarzona posągową figurą i wrodzonym talentem dramatycznym, preferowała suknie w stylu greckim i rzymskim, szyte dla niej przez najlepszych paryskich krawców. Odkrywszy zainteresownia Aleksandra grecką mitologią, jednego dnia przebierała się za Herę, drugiego za Pallas Atenę, a jeszcze innego za bachantkę lub nimfę. Często grywała na harfie lub flecie. Jej pozy i gesty, kolor i ułożenie sukni, miało wywoływać u Aleksandra określony nastrój. Odziana w półprzeźroczyste szaty i starannie udrapowane kaszmirowe szale, rozpuszczała swe piękne, długie, ciemne włosy i przedstawiała uprzednio zaaranżowane scenki: poważne lub smutne, wesołe i ero-

tyczne. Będąc urodzoną aktorką, zabawiała go tańcem, śpiewem i występami, w zależności od tego, co odpowiadało jego kapryśnej naturze.

Po dwóch córkach przyszedł na świat długo oczekiwany syn, Emanuel. Jeszcze bardziej wzmocniło to u Marii poczucie dumy i pewności siebie. Kilka dni po porodzie wybuchnęła gwałtowną, acz z góry przygotowaną tyradą. Mówiła z patosem, z silnym francuskim akcentem: - Sam widzisz, mój drogi, że Elżbieta nie jest w stanie dać ci męskiego dziedzica. Ja mogę. Nie chciałbyś, ażeby tron przypadł spadkobiercy twej własnej krwi. Spójrz tylko na Emanuela, byłby zeń śliczny wielki książę i następca tronu. Powinieneś rozwieść się z Elżbietą i uczynić mnie swą prawowitą żoną - carycą.

Aleksander zaprotestował: - Świątobliwy Synod nie zgodzi się na taki rozwód, a poza tym co zrobiłbym z Elżbietą? Należy do grona mych najlepszych, najbardziej zaufanych przyjaciół. Chciałabyś, żebym ją odesłał z powrotem do Niemiec?

- Czy nie mógłbyś zmusić tych brodatych capów, by dali ci formalny rozwód? Wkońcu, to ty jesteś głową Kościoła Prawosławnego. Biskupi siedzieli jak myszy pod miotłą, kiedy rozwodził się Piotr Wielki, choć żona dała mu syna, Aleksego. Dlaczego nie możesz zamknąć Elżbiety w klasztorze?

Tego dla Aleksandra było za wiele, toteż wybuchnął: - Rosyjski naród za nic w świecie nie zgodziłby się, aby na tronie znów zasiadła Polka. Nie wiesz, co dwieście lat temu stało się z Dymitrem Samozwańcem i jego żoną, Maryną Mniszchówną? Chcesz, żeby mnie zamordowano, a ciebie i Emanuela zagłodzono w lochach. - Minęło sporo czasu zanim się uspokoił, po czym uciął dyskusję słowami: - Nie życzę sobie, byś kiedykolwiek wracała do tej sprawy. Słyszysz?!

Mimo to, Aleksander nawet przed własną żoną nie potrafił ukryć faktu, iż jest dumny z powodu narodzin syna. Uznał Emanuela i wychowywał go z ojcowską troską i czułością. Elżbieta przyjęła to ze spokojem i ponownie pogratulowała Marii z okazji narodzin chłopca. Emanuel osiągnął wiek męski i sprawował wiele wysokich urzędów w państwie.

* * *

Romans Aleksandra z Marią coraz rzadziej pozwalał mu się skupić na wypełnianiu państwowych obowiązków. Nadal odbywały się posiedzenia Tajnego Komitetu, choć już nie tak często, gdyż Aleksander stopniowo zdystansował się do swych młodzieńczych marzeń o reformach. Odrzucał różne propozycje Stroganowa dotyczące choćby częściowego równouprawnienia chłopów pańszczyźnianych. Z drugiej strony jednak, zaaprobował ustawę pozwalającą właścicielom ziemskim dobrowolnie uwalniać swych poddanych. Ukaz z marca 1803 roku umożliwiał co zamożniejszym chłopom wykupienie siebie i ziemi. Co więcej, powołano specjalne sądy, które miały czuwać na przebiegiem całego procesu i zadbać o to, by cena za usamowolnienie nie była zbyt wygó-

rowana. Lokalni marszałkowie szlachty, wespół z miejscowymi sądami, mieli zaświadczyć, iż warunki umowy przyjęto za zgodą obydwu stron, i że cena była umiarkowana. Ponadto, Aleksander poprzysiągł, iż zerwie z tradycją obdarowywania szlachty chłopami należącymi do Korony, jak zwykli to czynić jego babka i ojciec. Co istotniejsze, dotrzymał słowa.

Ogólnie rzecz biorąc, od czasu koronacji, uwaga Aleksandra coraz częściej skupiała się nie na problemach w kraju, lecz na sprawach zagranicznych. Z chwilą śmierci Pawła, wojna Drugiej Koalicji z Francją, wszczęta w 1799 roku, zmierzała wolno ku nierozstrzygniętemu finałowi. Z końcem 1800 roku, Napoleon, dzięki zwycięstwom nad Austrią pod Marengo i Hohenlinden, odzyskał kontrolę nad północnymi Włochami. Pobici Austriacy ponownie zmuszeni byli błagać o pokój. W ostatnich miesiącach panowania, Paweł współdziałał z Danią, Szwecją i Prusami w tworzeniu Przymierza Zbrojnej Neutralności, grupującej mocarstwa pragnące ograniczyć potęgę Anglii na Bałtyku. Jednak sojusz ten okazał się krótkotrwały. Pięć dni po zamordowaniu Pawła, angielska flota zniszczyła większość duńskich okrętów zakotwiczonych u wybrzeży Kopenhagi. Cieśniny Bałtyckie, tak ważne dla rosyjskiego handlu, znalazły się pod kontrolą brytyjskiej marynarki. Natychmiast po wstąpieniu na tron, Aleksander zaproponował Londynowi zawarcie kompromisu.

Angielsko-rosyjska konwencja z czerwca 1801 położyła kres wzajemnej wrogości na Bałtyku i przygotowała grunt dla dalszych negocjacji. Aleksander jednakże nie ufał intencjom Brytyjczyków, wiele zaś z tego, czego Napoleon dokonał w porewolucyjnej Francji, trafiało do politycznych przekonań cara. Gdyby Bonaparte nie zaspakajał swych ambicji terytorialnych kosztem ważnych strategicznie terenów w Europie Środkowej, Bałkanów czy wschodniej części Morza Śródziemnego, Aleksander nie dostrzegałby zapewne konfliktu interesów pomiędzy Francją i Rosją. W październiku 1801 roku odnowiono traktat pokojowy pomiędzy obydwoma państwami. Francuzi uznali interesy Rosji na Bliskim Wschodzie oraz przystali na to, iż odtąd wszelkie znaczniejsze zmiany terytorialne na obszarze państw niemieckich dokonywać się będą za wiedzą i zgodą Aleksandra. Kiedy, kilka dni później, Panin zmuszony został do przekazania teki ministra spraw zagranicznych Wiktorowi Koczubejowi, oraz do wyjazdu do swej posiadałości, powszechnie uważano, iż odtąd Rosja prowadzić będzie pokojową politykę zagraniczną oraz - zgodnie z planami Koczubeja - realizować reformy w kraju. Ten wszelako nie docenił rosnących ambicji Aleksandra i jego żądzy chwały.

Po powrocie do Petersburga z moskiewskiej koronacji, car otrzymał list od króla Prus, Fryderyka Wilhelma III, sojusznika Napoleona, z propozycją spotkania się w Memel celem omówienia spraw niemieckich. Aleksander przyjął zaproszenie, nie informując o tym ministra spraw zagranicznych. Zrozumiałe jest przeto, iż fakt ten zdenerwował Koczubeja, który stwierdził: "Coś podobnego, żeby minister spraw zagranicznych nie miał najmniejszego pojęcia o wybrykach swego monarchy!"

Wprawdzie Aleksander nigdy jak dotąd nie spotkał się z Fryderykiem Wilhelmem, od czasu rozbiorów Polski istniała wszelako pomiędzy Berlinem a

Petersburgiem ścisła współpraca, wynikająca ze wspólnoty interesów pomiędzy zaborcami. Poza tym, obydwa kraje czuły się zaniepokojone coraz śmielszymi poczynaniami Napoleona w niektórych państewkach niemieckich. Pewną rolę odegrała także ciekawość. Aleksander tak wiele słyszał o Prusach, że zapragnął je zobaczyć osobiście. Wychowywany przez ojca w duchu uwielbienia dla wszystkiego, co pruskie, chciał się sam przekonać o potędze armii Fryderyka Wilhelma III. Czy była tak silna, jak wojsko Fryderyka Wielkiego? Fryderyk Wilhelm z kolei sądził, iż car może wywrzeć pewien wpływ na Napoleona, albowiem pewna klauzula w traktacie francusko-rosyjskim zawartym rok wcześniej, w październiku, dopuszczała wspólne podejmowanie decyzji przez oba państwa, co do losów niemieckich ziem.

Aleksander przybył do Memel 10 czerwca 1802 roku i spędził blisko tydzień w tym dawnym porcie hanzeatyckim, byłej twierdzy zakonu krzyżackiego. Memel zafascynował go na swój sposób. Było to pierwsze miasto poza granicami Rosji, jakie kiedykolwiek widział. Duże wrażenie wywarły na nim ogólny porządek i czyste ulice, a także solidne budynki. Jednakże główną atrakcję wizyty stanowiła królowa Luiza, żona gospodarza. Wówczas dwudziestopięcioletnia, a tym samym o rok odeń starsza, Luiza była prawdziwą pięknością, ale także niepoprawną uwodzicielką. Łączyła w sobie wybitny intelekt z silną wolą. Do tego olśniewała elegancką, smukłą sylwetką, delikatnymi rysami i magnetycznym urokiem. Czyż miałby się temu oprzeć egzotyczny książę z Północy? Królowa Luiza postanowiła wypróbować swą zalotną kokieterię, a przy okazji zaspokoić dokuczliwe pragnienie ciekawego towarzystwa. Jej zdziwaczały, pedantyczny małżonek nużył ją śmiertelnie, toteż otwarcie nim pogardzała.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Już przy pierwszym spotkaniu, królowa oczarowała Aleksandra. Zachwyciła go niezwykle rzadkim połączeniem intelektualnej świetności i dojrzałą, acz promienną urodą. Uwielbiał flirtować z Luizą, ona zaś, ze swej strony, oniemiała z podziwu dla jego galanterii i uroku. Umyślnie łechtała jego próżność, nazywając go swym "młodym Apollo" oraz "najbardziej czarującym młodzieńcem, jakiego kiedykolwiek spotkała". Po paru dniach ich przyjaźń przekroczyła granice zwykłej zażyłości. Co wieczór wyprawiano bal, car zaś tańczył z królową częściej aniżeli z jakąkolwiek inną damą. Po nocach w arkadii przychodził dzień politycznych dyskusji. Każdego ranka car i król przemierzali konno bałtyckie plaże, pogrążeni w poważnej rozmowie na temat przyszłości Europy.

Wszystko, co Aleksander widział dokoła siebie, wywierało nań ogromne wrażenie - czystość i porządek w koszarach, solidne budynki miejskie, ale przede wszystkim oddziały gwardii królewskiej, maszerujące tam i z powrotem, po placu parad, z wystudiowaną precyzją, którą Paweł i on sam na próżno usiłowali wpoić własnym żołnierzom.

Po powrocie z Prus, Aleksander wyznał Wołkońskiemu: - Moim zdaniem mała, prowincjonalny Memel bije na głowę nasze rosyjskie miasta. Wybudowano go ku wygodzie mieszkańców, a nie na pokaz, by pysznić się bogactwem, jak nasz Petersburg. Brukowane ulice są nawet na peryferiach. Także

pruskim wioskom niczego nie brakuje. Domy, choć często małe, wybudowano solidnie i porządnie. Gdzie tylko spojrzeć - fabryki; przemysł kwitnie. Na uregulowanych, spławnych rzekach aż tłoczno od statków i barek. Do niemieckich powozów zaprzęga się znakomite konie, a angielskie karoce, których używają, są wyśmienite. Dokoła widzi się urzekające krajobrazy, godne pędzla holenderskich mistrzów. Jestem jak najlepszego zdania o tym kraju i jego mieszkańcach.

Tak bardzo spodobała się Aleksandrowi atencja, jaką okazywano mu w Memel, iż zpewnością poparłby wyścig Prus o palmę pierwszeństwa w Niemczech, gdyby tylko Pierwszy Konsul gotów był na to przystać. Tymczasem nieustanne sukcesy militarne Francuzów pokazały, że to Napoleon jako pierwszy nakreśli nowe granice Europy Środkowej. Co więcej, inni niemieccy książęta woleli dogadywać się bezpośrednio ze zwycięskim Bonapartem. Tak więc, "wspólna decyzja" pozostała pustym słowem na określenie tego, co Francuzi zawczasu zaplanowali narzucić Niemcom, podczas gdy Rosja miała po prostu zaakceptować ów *fait accompli*.

* * *

Improwizowana wizyta Aleksandra w Prusach dostarczyła Koczubejowi ważnego pretekstu do złożenia urzędu ministra spraw zagranicznych, jesienią 1802 roku. Aleksander zwrócił się wówczas do hrabiego Aleksandra Woroncowa, schorowanego sześćdziesięciolatka, aby ten objął stanowisko kanclerza i ministra spraw zagranicznych. Tymczasem w marcu 1802 roku traktat z Amiens położył kres wrogości pomiędzy Francją i Anglią, zaś trzy miesiące później, pokój zawarły Francja i Turcja. Przez kilka miesięcy Europa cieszyła się niezmąconym spokojem, pierwszym tego rodzaju w tamtym dziesięcioleciu. Przyszłość zapowiadała się obiecująco.

Woroncow, podobnie jak Nikita Panin, był zagorzałym anglofilem. Obydwaj zdawali sobie sprawę z tego, że gospodarka rosyjska jest uzależniona od handlu z Anglią oraz od możliwości swobodnej żeglugi przez bałtyckie cieśniny. Dlatego też, pomimo profrancuskiej orientacji swego suwerena, Woroncow optował za związkami z Brytyjczykami. Na razie jednak wolał nie wplątywać się w żadne sojusze i nie odpowiadał na nieśmiałe propozycje Londynu, by zacieśnienić współpracę przeciwko Napoleonowi. Aleksander podzielał dążenie Woroncewa do pokojowych rozwiązań, niemniej wolał prywatnie współpracować z Czartoryskim, którego mianował zastępcą Woroncowa. Nominacja ta była posunięciem ryzykownym. Zarówno car, jak i książę Adam doskonale zdawali sobie sprawę z wrogości, jaką może wywołać wśród rosyjskich dygnitarzy obecność Polaka na tak wysokim stanowisku. Największe zastrzeżenia wzbudzał fakt, iż Aleksandra łączyła z Czartoryskim przyjaźń bardziej zażyła aniżeli z jakimkolwiek innym rosyjskim doradcą, z wyjątkiem Piotra Wołkoń-

skiego, który pozostawał najbliższym i najbardziej zaufanym przyjacielem cara.

Do najzagorzalszych wrogów Czartoryskiego należał dumny i energiczny książę Piotr Dołgoruki, potomek jednego z najstarszych arystokratycznych rodów w Rosji. Będąc głównym adiutantem Aleksandra, często uczestniczył w zebraniach Rady Nieustającej. Jedną z kontrowersyjnych kwestii, co do której poglądy obu dygnitarzy bardzo się różniły była przyszłość stosunków rosyjsko-pruskich. Dołgoruki podejrzewał Polaka o wrogość wobec Prus, jako że lwia część Polski przypadła po trzecim rozbiorze właśnie Prusom. Uważał on propozycję Czartoryskiego - ażeby wydrzeć centralną Polskę, w tym Warszawę, spod panowania Prusaków, i wskrzesić państwo polskie pozostające w sojuszu, a nawet unii personalnej z Rosją - za wielce ryzykowną. Kiedy książę Adam usiłował przedstawić korzyści, jakie Aleksander odniósłby, powstrzymując niekontrolowany rozwój potęgi Prus i jej apetyt na coraz to nowe połacie polskiej ziemi, Dołgoruki wtrącił się w pół słowa: - Ależ książę, proszę! Czy moglibyśmy mniej miejsca poświęcać sprawom polskim? Czyżbyś zapomniał, że nadal pozostajesz w służbie cara Rosji? Chyba nie marzy ci się restytucja dawnej Polski?

Dołgoruki nie był osamotniony w swych atakach na księcia. Inni dygnitarze, wielu z nich pochodzenia niemieckiego, jak, np., nadbałtyccy baronowie, otwarcie go szykanowali, widząc w nim potencjalnego zdrajcę, który w każdej chwili może zmienić front, by wesprzeć sprawę własnego narodu. Wydawało się, iż zachowanie Czartoryskiego, jego maniery, a nawet nieskazitelny ubiór znalazło się pod obstrzałem rosyjskich krytyków. Jego rezerwę, wyniosłość, a także chłodną uprzejmość określano szyderczym mianem "jezuickiej hipokryzji". "Udaje, że nam dobrze służy, by potem tym łatwiej było mu nas zdradzić" - mawiał Dołgoruki, dodając - "Na języku miód, pod językiem - lód".

Licznych nieprzyjaciół Czartoryskiego wspierała Cesarzowa Wdowa, której wpływ na Aleksandra wzrósł po śmierci Pawła. Młody cesarz, nękany poczuciem winy, rzadko znajdował dość moralnej odwagi, by matce czegokolwiek odmówić. Kiedy jednak przykazała mu natychmiast zwolnić Czartoryskiego i odesłać z powrotem do Polski, Aleksander zdecydowanie odmówił: - Droga matko, jego pomoc jest mi niezbędna. Jak mam wskrzesić Rosję bez pomocy ludzi uczciwych, pracowitych i bezstronnych, takich jak Adam?

Poza przynależnością narodową, człowiekiem wielce niepopularnym czyniła z Czartoryskiego jego silna, namiętna i władcza osobowość. Sam będąc tytanem pracy, zmuszał swych podwładnych w ministerstwie, by często pozostawali po godzinach i wykonywali dodatkowe obowiązki, do czego nie przyzwyczaili ich dotychczasowi niewymagający szefowie. Książę wymagał punktualności i starannego wykonywania powierzonych zadań. Nie było to do smaku wielu oficjelom, z których większość wywodziła się z arystokracji, a swe posady w ministerstwie traktowała jako przywilej, synekurę niosącą z sobą duży prestiż, lecz niewiele pracy. Oto jak skomentował to jeden z urzędników, zwolniony przez Czartoryskiego za pijaństwo i lenistwo, skarżąc się swemu opiekunowi, księciu Dołgorukiemu: "Ten parszywy Polak nie rozumie naszej

wolnej słowiańskiej duszy. Jest pyszny, skryty, twardy jak skała i przebiegły niczym wąż. To hańba, że nasz car toleruje cudzoziemca na tak odpowiedzialnym stanowisku.

* * *

Początkowo Aleksander i większość jego ministrów wybrała politykę izolacjonizmu, dla zachowania pokoju. Wszelako, rozwój sytuacji w Niemczech i we Włoszech, a także kwestia przyszłości Malty - od roku 1800 w rękach Anglików, z obietnicą zwrócenia wyspy Rycerzom św. Jana - potwierdziły bezużyteczność Traktatu z Amiens. Nawet gdyby chciał, Aleksander nie mógł zignorować kryzysu, jaki powstał wskutek ciągłego naruszania przez Napoleona praw książąt niemieckich oraz pozycji austriackiego cesarza. Przez cały ten czas Napoleon odmawiał Rosji prawa mediacji w kwestii niemieckiej. Lecz kiedy pod koniec 1802 przygotowano do przedstawienia w Wiedniu szczegóły nowego porozumienia w sprawach niemieckich, Napoleon zrozumiał, iż potrzebuje poparcia Aleksandra, by przekonać Habsburgów o konieczności ograniczenia ich uświęconych tradycją praw Świętych Cesarzy Narodu Niemieckiego. Aleksander, ze swej strony, gotów był spełnić oczekiwania Francuzów, pod warunkiem, że Napoleon życzliwie potraktuje te księstwa, które - tak jak Badenia, ojczyzna żony Aleksandra - łączyły z Rosją dynastyczne więzi. Pierwszy Konsul skwapliwie zaproponował Badenii Heidelberg i Mannheim, a na dodatek podarował jeszcze większe tereny kuzynowi Aleksandra, Fryderykowi Wirtemberskiemu. Z drugiej strony jednak nie był skłonny przyznać carowi prawa do obrony interesów króla Sardynii, ani też zajmowania się sprawami Szwajcarii, tak bliskiej sercu Aleksandra z powodu Laharpe'a. Ponadto Rosjanie nadal zdradzali - zdaniem Napoleona - objawy maltańskiej obsesji. Ponieważ Rycerze św. Jana obrali Wielkim Mistrzem swego zakonu jego ojca, Aleksander utrzymywał, iż ma prawo występować w obronie interesów zakonu oraz ich małej wyspy.

Na tych francusko-rosyjskich potyczkach próbowała skorzystać Anglia. Londyn także sprzeciwiał się stale rosnącym aspiracjom Napoleona we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, i obawiał się konsolidacji jego posiadłości terytorialnych, do których - wskutek blokady kontynentalnej - brytyjskie towary nie docierały, wywołując tym samym coraz dotkliwszy kryzys ekonomiczny w Anglii. Zrazu kwestia maltańska zbliżyła Francję i Rosję, albowiem w interesie obydwu krajów leżało zachęcenie Anglików do opuszczenia tej wyspy. W pierwszych tygodniach 1803 roku jednakże, liczne raporty donosiły o intrygach francuskich agentów w Lewancie i na Bałkanach. Fakt, iż Napoleon mógłby chcieć ustanowić francuską hegemonię w tych rejonach, które Rosjanie zawsze traktowali jako własną strefę wpływów, kazał Aleksandrowi zmodyfikować wcześniejsze stanowisko wobec Malty. Wszak lepiej po-

zostawić wyspę w rękach Anglików aniżeli pozwolić Francuzom stworzyć tam bazę wypadową do ewentualnej ekspansji na słowiańskie Bałkany.

Po wznowieniu działań wojennych pomiędzy Brytanią i Francją w maju 1803 roku, Aleksander pogodził się z myślą, iż być może będzie musiał porzucić politykę izolacjonizmu. Za radą Czartoryskiego, by zdecydowanie stanąć w obronie pozycji Rosji na przyległych do niej terenach, tj. w Europie Środkowej i na Bałkanach, coraz bardziej skłaniał się ku radykalniejszym rozwiązaniom w sprawach zagranicznych. - Skorzystaj z okazji. Wystąp z inicjatywą utworzenia ligi państw europejskich, federacji europejskiej - nakłaniał go książę Adam. Mimo to, car nie mógł się zdecydować, jak poskromić Napoleona - czy użyć przyjacielskiej perswazji, czy też przystąpić do wrogiej mu koalicji. Tak czy inaczej, cesarz chciał mieć pewność, że w przypadku wojny rosyjska armia będzie w stanie utrzymać pozycje. Przewidując, iż wcześniej czy później, ponownie rozlegnie się brzmienie werbli, Aleksander postanowił przygotować swe wojska do boju. 26 maja 1803 roku, mianując Arakczejewa generałem inspektorem artylerii, car poinstruował go: - Twoim naczelnym zadaniem będzie zająć się batalistyką i opracować efektywne systemy zaopatrzenia i dowodzenia w tej kluczowej gałęzi naszych sił zbrojnych. Jeśli dojdzie do wojny, na straszliwą siłę ognia Francuzów powinniśmy odpowiedzieć nowymi, ulepszonymi działami z fabryk zbrojeniowych w Tule. Nasze armaty będą najskuteczniejszą odpowiedzią na twierdzenie Bonapartego, że ma najlepszą artylerię na świecie.

ROZDZIAŁ VIII

Austerlitz

Rozłam pomiędzy Petersburgiem a Paryżem przyspieszyła egzekucja Ludwika d'Engien wiosną 1804 roku. Louis de Bourbon d'Engien ks. Cond, był bratankiem Filipa, księcia Orleanu, głowy młodszej gałęzi Burbonów. Po wybuchu Rewolucji Francuskiej książę Orleanu stanął po stronie jej radykalnego skrzydła, zrzekł się tytułu i przyjął imię obywatela Egalit. Kiedy za Rządów Terroru mimo to stracono jego stryja, jego syn, Duc d'Enghien, zasilił szeregi emigracji gotowej walczyć o sprawę króla. Po podpisaniu pokoju w Amiens w roku 1801, młody książę osiadł w Badenii. Mimo iż spokojnie mieszkał na neutralnym terytorium, napoczątku 1804 roku został pojmany przez francuskich agentów na rozkaz Napoleona i oskarżony orzekomy współudział w antybonapartowskim spisku. Przewieziono go do twierdzy Vincennes niedaleko

Paryża, gdzie w trybie doraźnym sąd polowy skazał go na śmierć przez rozstrzelanie za zdradę ojczyzny. Na wieść o tym Aleksander, którego żona, Elżbieta była córką księcia Badenii, wpadł w szał. Natychmiast potępił zbrodnię, ogłosił żałobę na dworze iodmówił przyjęcia francuskiego ambasadora.

Na reakcję Napoleona nie trzeba było długo czekać. Pierwszy Konsul, pod nazwiskiem swego ministra spraw zagranicznych Talleyranda, zamieścił w rządowym organie *Monitorze Paryskim*, następującą notę: "Skoro to Anglia obmyśliwała zamach na Pawła I, to czy rząd rosyjski wiedząc, iż autorzy spisku znajdują się nieco ponad milę od granicy, nie potrafiłby ich natychmiast schwytać?" W tej aluzji do śmierci ojca, Aleksander dopatrzył się osobistej zniewagi i postanowił wziąć odwet. Pierwszym krokiem było zerwanie stosunków dyplomatycznych z Francją. Ale co dalej? Aleksander stanął przed dylematem: kontynuować reformy w kraju czy też zemścić się na Napoleonie, co było jednoznaczne z kosztowną, wyczerpującą wojną. "Jego dusza nie nabrała jeszcze właściwego koloru" - zauważył Czartoryski w liście do rodziny w Polsce. "Są tam wszystkie barwy tęczy, z przewagą mglistej szarości. Myśl o wojnie nie daje mu spokoju i dręczy go".

Swoją drogą, to właśnie postępowanie rywala zmusiło Aleksandra do działania. 18maja1804 roku Napoleon ogłosił się cesarzem Francuzów. Uroczystość koronacyjna zawierała mnóstwo symbolicznych insynuacji. Celem uświęcenia ceremonii, Napoleon kazał przybyć z Rzymu papieżowi i w ten oto sposób, sankcji, której LeonIII odmówił Karolowi Wielkiemu, PiusVII zgodził się udzielić synowi świętokradczej rewolucji. Podniosłą uroczystość zakłócił sam Napoleon; wyrwał cesarską koronę z drżących rąk papieża i osadził ją sobie na głowie, mówiąc: "To Bóg przeznaczył ją dla mnie. Niech strzeże się ten, kto po nią sięgnie!"

Dla Aleksandra proklamowanie się Napoleona na cesarza stanowiło niewybaczalną zniewagę, wyzwanie dla monarchicznego porządku, na którego straży stał on sam. Można było tolerować względnie dobre stosunki z głową Republiki Francuskiej, generałem Bonaparte, ale to, że rewolucyjny parweniusz, korsykański arywista, przywłaszczał sobie cesarski tytuł i koronę zakrawało na niesmaczną maskaradę. Dowiedziawszy się o koronacji w Notre Dame, Aleksander wybuchnął: - Napoleon nie zadowoli się Francją. Wkrótce zechce rozszerzyć swe rządy na całą Europę. Jego cel to imperium bez granic. Pragnie zostać nowym Cezarem, a zarazem nowym Karolem Wielkim. Dotąd było tylko dwu cesarzy, Habsburg na Zachodzie i Romanow na Wschodzie. Europa jest zbyt mała dla trzeciego.

Jakby na potwierdzenie obaw Aleksandra, Napoleon udał się do Akwizgranu, ażeby uklęknąć przed grobowcem Karola Wielkiego. Tam też zagarnął najcenniejszy relikt bazyliki, fragment tego, co uchodziło za krzyż Kalwarii, osadzony w talizmanie z szafiru i złota, który Karol otrzymał w prezencie od kalifa, Harun-al-Raszida. Następnie, 26 maja 1805, wKatedrze Św. Ambrożego w Mediolanie, Napoleon włożył na swą głowę jeszcze jedną koronę, lombardzką koronę Italii. Nazywano ją Żelazną Koroną, ponieważ bizantyjscy złotnicy, którzy wykonali ją wroku 625 dla królów Lombardii, umieścili na niej w emaliowym

kręgu jeden z gwoździ, które rzekomo przeszyły ręce Jezusa na Golgocie. Nikt od czasów KarolaV nie miał śmiałości, aby ją nosić. Na ostatek, Napoleon, teraz jako król Italii, podarował Francji republiki Genui, Wenecji i Toskanii, oraz państwa papieskie i królestwo Neapolu.

- Czy on zna słowo "wystarczy"? Dziś będąc władcą Zachodu, zechce jutro położyć rękę na Wschodzie, na Konstantynopolu, Gruzji, Persji i Indiach. Jest nienasycony! Jego zachłanność nie zna granic! Nie ma już co liczyć na umiarkowanie Bonapartego - tłumaczył Aleksander Czartoryskiemu. - Dlatego musimy mu pokazać, że 200 tysięcy Prusaków, 200 tysięcy Rosjan i300 tysięcy Austriaków jest w stanie go powstrzymać...

W Petersburgu rada złożona z wszystkich ministrów i głównodowodzących sił zbrojnych rozpoczęła wnikliwą analizę nowej sytuacji międzynarodowej. Ich *tour d'horizon* jednak nie był zbyt optymistyczny. - Możemy liczyć wyłącznie na Anglię, jakkolwiek jej król Jerzy III znajduje się już na krawędzi szaleństwa. Fryderyk Wilhelm III jest sojusznikiem Napoleona, niemalże jego satelitą. Co więcej, to mięczak, który podda się choćby najsłabszej presji Paryża. Franciszek II, cesarz Austrii, ten tępy mruk, ma bzika na punkcie przestarzałego hiszpańskiego ceremoniału dworskiego. Prawdę rzekłszy, to głupiec w pełnej gali. Słowem, nasi potencjalni sprzymierzeńcy to zidiociałe marionetki w rękach niekompetentnych ministrów. - podsumował Aleksander raporty swych doradców.

- Dzięki Bogu, król Jerzy ma wspaniałego premiera, Williama Pitta - wtrącił Czartoryski. - Ponadto, miejmy nadzieję, że w kancelarii Austrii zostali jeszcze jacyś uczniowie Kaunitza. Trzeba też wierzyć, że Habsburgowie zdają sobie sprawę, iż ich pozycji zagraża nie tylko chciwość Bonapartego, lecz także ambicje Prus, by rządzić Niemcami...

I rzeczywiście, ceremonie, jakie miały miejsce w Paryżu, Mediolanie i Akwizgranie, poruszyły Wiedeń bardziej niż jakąkolwiek inną metropolię. To, iż Napoleon po przywłaszczeniu cesarskiej korony Francji, sięgnął po koronę Lombardii Habsburgowie uznali za prowokację. Traktat z Luneville formalnie gwarantował niepodległość Republiki Cisalpejskiej na północy Włoch. Poza tym, Austria chciała odzyskać pozycję we Włoszech, choć nie pozbierała się jeszcze po wojnach dwóch pierwszych koalicji z katastrof, które ją dotknęły, od czasu inwazji francuskiej na Półwysep Apeniński w 1796 roku. Tymczasem skarbiec w Wiedniu świecił pustkami, tak więc Austria nie była w stanie odbudować rozbitej armii. Dlatego też, gdy Aleksander zaproponował Wiedniowi zjednoczenie sił przeciwko Bonapartemu, austriacki minister Cobenzl wyznał mu szczerze: - Francuskie armaty wymierzone są prosto w nas. Rozerwą nas na strzępy zanim zdążycie przybyć nam na ratunek!...

Wszelako Cobenzl nie powiedział Alerksandrowi jeszcze innej prawdy, a mianowice, że Austriacy nie zapomnieli, jak wojska Suworowowa plądrowały i łupiły ich ziemie, i że perspektywa rosyjskiej pomocy przeraża ich w równym stopniu co francuskie zagrożenie. Do tego wszystkiego, Cobenzlowi dobrze znana była treść memoriału Czartoryskiego, dotyczącego rosyjskiej polityki zagranicznej, w którym proponowano restytucję państwa polskiego w

unii zRosją. Jeden z egzempalrzy memoriału nabył od rosyjskiego dygnitarza w Petersburgu pruski ambasador. Prusak ów, cierpiący na brak gotówki, przehandlował dokument swym austriackim kolegom za 45000 rubli. Cobenzl w lot pojął sens memoriału. Pomysł wykorzystania zaognionej sytuacji w Europie dla wskrzeszenia Polski, poprzez zespolenie pod berłem Romanowów wszystkich prowincji zagarniętych przez cesarzową Katarzynę, wraz zFryderykiem II i Marią Teresą, przerażał tyleż Wiedeń, co Berlin. Poza tym - kalkulował Cobenzl - polski plan wykluczał Prusy, głównego udziałowca w trzecim rozbiorze Polski i potencjalnego członka koalicji. Poza Gdańskiem i Toruniem, Prusy objęły wówczas w posiadanie Warszawę i znaczną część Środkowej Polski. Stąd też Fryderyk Wilhelm zdziwił się niepomiernie, otrzymawszy od Aleksandra notę zachęcającą go do zerwania związków z Francją i przystąpienia do koalicji przeciwko Napoleonowi. Swojemu sekretarzowi natomiast szepnął w zaufaniu: - Albo Aleksander jest głupcem, albo hipokrytą. Sojusz z Francją to przecież najlepsza gwarancja naszej integralności. Plan Czartoryskiego stanowi śmiertelne zagrożenie dla istnienia naszego państwa.

Postrzegając niebezpieczeństwa wynikające z przyłączenia się do chwiejnej koalicji przeciwko Napoleonowi, niezdarny i bojaźliwy Fryderyk Wilhelm grał na zwłokę i szukał wymówek. Pomimo nieustannej presji Rosjan, wybrał neutralność. Nie widział sprzeczności pomiędzy francuską ekspansją a istnieniem silnych Prus, ciągnących korzyści z dalszego rozpadu imperium Habsburgów i nowych zdobyczy terytorialnych w Niemczech. Niemniej Fryderyk Wilhelm wstydził się nieco swej uległości wobec Napoleona, toteż nadrabiał to patetycznymi gestami. Prężąc się niczym struna, wykrzyknął do rosyjskiego posła w Berlinie: - Mam niezachwiane zasady. Nikogo się nie boję. Obserwuję rozwój wydarzeń z kamiennym spokojem!

* * *

Poniósłszy fiasko zarówno w Berlinie, jak i w Wiedniu, Aleksander zwrócił się do Londynu, odwiecznego wroga Francji, która obecnie zagrażała Anglii nie tylko na Morzu Śródziemnym, ale także na kontynencie, gdzie Hanower, dziedziczne księstwo brytyjskich monarchów, stanęło w obliczu ponowionych ataków Napoleona. Przez kilka miesięcy Anglicy nie szczędzili wysiłków, by skłonić Rosję i Austrię do wspólnego wystąpienia przeciwko Francji, nęcąc je dodatkowymi subsydiami i korzystniejszą wymianą handlową. Aleksander, niezdecydowany, grał na zwłokę, ale imperialistyczne zapędy Napoleona zmusiły go w końcu do spojrzenia na brytyjskie zabiegi przychylniejszym okiem. Zasięgnąwszy rady Czartoryskiego, postanowił rozpocząć negocjacje z Anglią. Tajną misję dyplomatyczną powierzono Nowosilcowowi, sekretarzowi Aleksandra i cichemu rywalowi księcia Adama. Braki na polu dyplomacji Nowosilcow nadrabiał pomysłowością oraz skłonnością do intryg, co w pełni uzasadniało jego przydomek "Pan Kurek na Kościele". Nikt nie mógł odgadnąć

i skuteczniej urzeczywistnić zamiarów cara niż on sam. Pod koniec października 1804 roku, Nowosilcowa delegowano do Londynu ze szczegółowymi instrukcjami, sporządzonymi w oparciu o memoriał Czartoryskiego, a dotyczącymi całkowitej przebudowy Europy, pod egidą Rosji i Anglii. Miał to być najlepszy sposób na powstrzymanie imperialistycznych zapędów Napoleona.

Kiedy Nowosilcow przedstawił plan Williamowi Pittowi, ten nie krył zaskoczenia i irytacji. Zamiast propozycji bezpośredniego sojuszu wojskowego przeciwko Francji, jakiej się spodziewał, ujrzał mglisty, idealistyczny projekt sporządzenia na nowo mapy Europy, utworzenia z niej luźnej konfederacji państw oraz ustanowienia międzynarodowego gremium do pośredniczenia w sporach pomiędzy państwami członkowskimi. Znużony długim wywodem Nowosilcowa, Pitt przerwał bezpardonowo: - Ilu żołnierzy możecie wystawić przeciwko Napoleonowi?

- Około 200000 ludzi - padła odpowiedź.

- Jak dużego wsparcia finansowego wymagałoby utrzymanie takiej armii w walce?

- Przynajmniej cztery miliony funtów rocznie.

- To o wiele za dużo. Na to nas nie stać. Moglibyśmy dać wam tylko tyle, na ile pozwala nam obecny stan naszych finansów, czyli około dwa miliony. Co do reszty waszego niezwykle ambitnego, aczkolwiek chimerycznego planu, będziemy mieli dość czasu, ażeby zająć się tymi złożonymi problemami po wojnie. Nie będziemy chyba dzielić skóry na żywym niedźwiedziu?

Pitt wezwał następnie swego osobistego sekretarza i podyktował mu zarys traktatu sprzymierzeńczego pomiędzy Wielką Brytanią a Rosją. Uwzględniał on pomoc finansową wysokości dwóch milionów funtów rocznie, dzięki której Rosja będzie mogła utrzymać dwustutysięczną armię, by ta stawiła czoła siłom francuskim w Europie Środkowej do końca lata. Konsultacje wojskowe pomiędzy obiema stronami miały się rozpocząć niezwłocznie. Plan Czartoryskiego dotyczący Europy zignorowano w ogóle, jako "mrzonkę i urojone brednie", jak prywatnie określił go Pitt. Traktat angielsko-rosyjski stanowił zalążek Trzeciej Koalicji przeciwko Napoleonowi. 9 sierpnia 1805 roku, Austria, choć niechętnie, przystąpiła do paktu. Później do koalicji dołączyła jeszcze Szwecja w obawie, iż resztki jej posiadłości na Pomorzu pochłonie ekspansja Napoleona w północnych Niemczech.

Na papierze wojskowe plany Trzeciej Koalicji wyglądały imponująco. Z czterech stron miano dokonać ofensywy na Francję, zarówno na lądzie, jak i na morzu. Na Morzu Śródziemnym rosyjskie eskadry miały współdziałać z flotą admirała Nelsona w planowanej przezeń inwazji na Neapol, wówczas prowincję francuską. Na północnej flance, siły szwedzkie, wspierane przez dwudziestotysięczny kontyngent rosyjski, miały nacierać z Pomorza na Stralsund. W Europie Środkowej, poza wojskami austriackimi walczącymi we Włoszech, główna osiemdziesięciotysięczna armia habsburska pod dowództwem generała Macka miała maszerować na Ulm, aby zagrozić francuskim pozycjom nad Renem. Jednocześnie około 70000 żołnierzy rosyjskich miało wesprzeć Austriaków i zagrodzić Napoleonowi drogę do Wiednia.

Tymczasem wkrótce po podpisaniu traktatu sprzymierzeńczego z Wielką Brytanią, Aleksander postanowił rozważyć rzecz ponownie. Po dokładnym zbadaniu sytuacji, spostrzegł, iż zbyt lekkomyślnie i bez wystarczającego zabezpieczenia, rzucił się w wir niebezpiecznych przygód. Marzył o tym, by stanąć na czele wielkiej krucjaty, której celem byłaby gruntowna przebudowa europejskiego domu, miast tego zaś dał się wciągnąć do wojny w obronie dominacji Habsburgów w Niemczech i brytyjskiego handlu.

W owym czasie, jego romans z Marią Naryszkiną rozwinął się na dobre, tak więc Aleksander nie miał ochoty wyrywać się z jej ramion, aby poprowadzić swe wojska na austriacką ziemię. Nagle zdał sobie sprawę, iż nie jest wcale przygotowany do prowadzenia wojny. W armii nie zaszły większe zmiany od czasów Pawła, który szkolił ją na paradę, nie zaś do walki, a już na pewno nie do stawienia czoła zaprawionym w boju wiarusom Napoleona. Zbrojownie i magazyny, zaopatrywane przez zaniedbywane rosyjskie arsenały, świeciły pustkami. Brakowało amunicji, sprzętu, prowiantu i środków transportu.

Zaistniał też problem, komu powierzyć dowództwo. Kto miał stanąć na czele rosyjskiego kontyngentu? Z uczniów wielkiego Suworowa pozostał już tylko stary, schorowany Michał Kutuzow. Hrabia de Langeron, francuski emigrant na carskiej służbie, który znał go bardzo dobrze, opisał go następująco: "Nikt nie jest tak inteligentny, jak książę Kutuzow, ale inikomu bardziej nie brakuje charakteru. Nikt nie łączy w sobie takiej równowagi z taką bystrością umysłu. Nikt nie przejawia większego talentu, lecz i nikt nie jest równie zepsuty. Wspaniała pamięć, rozległa wiedza wojskowa, umiejętność prowadzenia miłej i interesującej konwersacji - oto zalety Kutuzowa. A do tego nadmierna gwałtowność, chamska szorstkość, gdy wpadnie w gniew, lub gdy nie musi bać się osoby, do której się zwraca. Jest najwybitniejszym uczniem Suworowa".

Prawdą jest, że reputację doskonałego żołnierza Kutuzow zawdzięczał swym wcześniejszym dokonaniom. Za panowania Katarzyny brał udział w wojnach tureckich i, służąc pod Suworowem, zdobył twierdze w Oczakowie i Ismail, jakkolwiek podczas tych kampanii został poważnie ranny i stracił oko. Poza tym, Kutuzow był już po sześćdziesiątce, bardzo się roztył i często chorował. Rany, jakich doznał, w poprzednich kampaniach nierzadko dawały mu się we znaki, czuł się wyczerpany, apatyczny i senny. Z trudem dosiadał konia, toteż zwykle podróżował w wygodnej kolasie z czworokonnym zaprzęgiem. Samo chodzenie również sprawiało mu trudność i wyglądało na to, że siły życiowe opuściły go na dobre. Pełniąc uprzednio funkcję generała gubernatora Petersburga, zawiódł nadzieje, jakie pokładał w nim Aleksander, wobec czego zamieszkał na wsi ze swoją metresą, potężną mołdawską chłopką, która całkowicie go zdominowała i nie wahała się łajać w obecności innych. Obecnie - po trzech latach - pomimo zaawansowanego wieku i wielu wad, wezwano go, aby stanął na czele rosyjskiej armii.

* * *

21 września 1805 roku, w mglisty, chłodny poranek, Aleksander wyjechał z Petersburga w towarzystwie sztabu, w tym i Czartoryskiego, który jechał na koniu tuż obok swego monarchy. Gdy tylko przekroczyli granice miasta, posępne niebo rozwidniła błyskawica. Znad Zatoki Fińskiej nadciągała silna burza; na horyzoncie strzelił piorun, a na ziemię spadł raptowny deszcz. - To zły znak - wyszeptał stary kapitan kozaków z osobistej eskorty cara, po czym przeżegnał się trzy razy. - To bardzo zły znak. Lepiej zawrócić... Niewłaściwa pora na podejmowanie tak diabelsko ryzykownej operacji.... Kampania zimowa na obcej ziemi będzie cholernie trudnym zadaniem. Takie działania rozpoczyna się wiosną, o świcie w słoneczny poranek po nowiu.

Czartoryski sam był pełen złych przeczuć. Popierając wojenne plany cara miał nadzieję, że jego suweren będzie się trzymał programu i rozpocznie od sprawy polskiej.

"Skoro Pitt uparł się zignorować nasz projekt, to tym gorzej dla Anglii. Ale Rosja musi działać, choćby sama jedna" - kontemplował książę Adam. "Cały plan spotkał się ze zdecydowaną aprobatą cara, kiedy omawiałem z nim mój memoriał na temat linii politycznej, jaką powinna obrać Rosja; powstrzymać agresję Napoleona, zahamować rakowaty rozwój Prus, odbudować Polskę w unii personalnej z Rosją, a następnie utworzyć z Europy coś na kształt federacji".

I istotnie, kiedy wojska Aleksandra sunęły wolno przez Polskę w kierunku Czech, car nadal zdawał się popierać polski plan. Po drodze odwiedził Puławy, posiadłość z dawien dawna należącą do Czartoryskich. Książę Adam bardzo się starał przygotować grunt do wizyty cara. Zkońcem września 1805 roku, pałac w Puławach wypełniła ta część polskiej arystokracji, która sympatyzowała z Rosją. Gdyby Aleksander zwrócił się przeciwko Prusom, oni opowiedzieliby się za zbrojnym oporem; represyjna polityka Prus na obszarze większości Polski jaskrawie kontrastowała z liberalizmem władz w prowincjach przyłączonych do Rosji. W nieoficjalnych rozmowach z przedstawicielami czołowych polskich rodów, Aleksander dawał do zrozumienia, że jak tylko upora się z Bonapartem, przywróci państwo polskie pod własną egidą, zachowując istniejący podział społeczny. Od Polaków oczekiwał pełnego poparcia w postaci narodowego powstania przeciwko Prusom. Był tak miły, czarujący, tak przekonujący, że tylko nieliczni słuchacze wątplili w jego szczerość.

Polscy właściciele ziemscy obawiali się radykalizmu kodeksu napoleońskiego. Równość wszystkich obywateli wobec prawa oraz zniesienie poddaństwa były ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali. Z tego też względu, optowali za prorosyjską polityką Czartoryskiego, gotowi związać swój los z Aleksandrem. Liczyli na zjednoczenie polskich ziem pod panowaniem oświeconego księcia z dynastii Romanowów, który - jak się wydawało polskim arystokratom - mógłby zachować Konstytucję 3 maja, biorącą wprawdzie chłopów pod "ochronę prawa", ale nie przyznającą im ziemi, którą uprawiali. Kiedy Czartoryski odczytał zgromadzonym projekt manifestu Aleksandra, wzywającego Polaków do broni przeciwko pruskim ciemiężcom, zmiejsca zapanował bezgraniczny

entuzjazm. Wszak teraz niepodległość Polski była tylko kwestią czasu. Na uroczystym obiedzie wydanym przez Czartoryskich, książę Adam zaproponował toast: - Za przyszłego króla Polski!

Tymczasem rosyjscy przeciwnicy koncepcji Czartoryskiego nie zasypiali gruszek wpopiele. Pod wpływem głównego rywala księcia Adama, Piotra Dołgorukiego, Aleksander w tajemnicy przygotowywał plan alternatywny. Zamierzał namówić Prusy do zerwania sojuszu z Francuzami i wykorzystać pruską armię do wzmocnienia sił koalicji przeciwko Napoleonowi. Wszelako król Fryderyk Wilhelm III, zachęcany przez rosyjskiego ambasadora w Berlinie, by przyłączył się do Rosji, Austrii i Szwecji, zwlekał z podjęciem ostatecznej decyzji. Powtórnie obiecał jedynie zachowanie neutralności. W międzyczasie francuskie oddziały przemaszerowały przez Prusy, kierując się nad Dunaj, by stawić tam czoła zbliżającej się austriackiej armii pod wodzą generała Macka.

- To jawne pogwałcenie pruskiej neutralności! - wykrzyknął Aleksander. - Ten manewr powinien pchnąć Fryderyka Wilhelma w nasze ramiona i wzmocnić koalicyjne siły o 200000 pruskich żołnierzy! Taki kontyngent, powiększony o oddziały nasze i austriackie, da nam nad Napoleonem zdecydowaną przewagę militarną...

Żywiąc nadzieję, iż poprzez fakt pogwałcenia przez Francuzów pruskiej neutralności uda się pozyskać Fryderyka Wilhelma, Aleksander wysłał do Berlina księcia Dołgorukiego z osobistą notą do króla, ponaglającą go do wsparcia koalicji. Pomimo przekonywających argumentów iobietnicy znacznych zdobyczy terytorialnych w Niemczech, Dołgoruki powrócił jedynie zwymuszoną zgodą na przemarsz rosyjskich oddziałów przez pruskie ziemie, w celu połączenia się z Austriakami. Lecz Aleksander nie zamierzał pogodzić się z odmową, postanowił więc użyć osobistego wpływu na króla i królową Luizę. Pospiesznie opuszczając Puławy, podążył do Berlina, dokąd przybył 25 października.

Towarzyszący mu książę Adam pogrążył się w rozpaczy. Polityka prowadzona przez jego monarchę była skrajnym przeciwnieństwem tego, co on sam mu doradzał. W Berlinie, król Fryderyk Wilhelm, nie szczędząc carowi pochlebstw i zaszczytów, powtórnie odmówił swego udziału w konflikcie zbrojnym, godząc się jedynie na szereg klauzul zawile określających ewentualność pruskiego pośrednictwa w rozmowach pomiędzy walczącymi stronami. Jedynie odrzucenie takich mediacjii zmusiłoby Berlin do działania. Królowa Luiza, która wciąż nazywała Aleksandra swym "aniołem pocieszenia" i "boskim przyjacielem", obawiała się, iż wykręty jej bezsilnego małżonka mogą doprowadzić do zerwania stosunków pomiędzy dworami. Ratując nadwyrężoną przyjaźń, zaincenizowała widowisko mające na celu zbliżenie jej męża i kochanka poprzez stworzenie przynajmniej symbolicznej więzi pomiędzy Rosją a Prusami. Francja winna albo oddać Hanower Prusom, albo pogodzić się z faktem ich przystąpienia do Trzeciej Koalicji - kalkulowała. 3 listopada, punktualnie o dwunastej obaj władcy podążyli opustoszałymi ulicami Poczdamu do kościoła garnizonowego. Tam, przy blasku pochodni, zbliżyli się do krypty zawierającej szczątki Fryderyka Wielkiego. Stojąc przed jego grobem, rosyjski car i pruski król uścinęli sobie dłonie i wymienili obietnice dozgonnej przyjaź-

ni. Królowa Luiza, blada i opatulona w czarny płaszcz, przyjmowała od nich ślubowanie. "Jakiekolwiek złamanie tej przysięgi uznane będzie za świętokradztwo" - oznajmiła.

Związki Aleksandra z Pruskami zbulwersowały Czartoryskiego, nie ze względu na ich romansowy wątek, lecz dlatego, że cała ta sprawa ostatecznie przekreślała jego koncepcję. Porzucając raz na zawsze polski plan, Aleksander dał się wplątać w dziwaczną, niezobowiązującą przyjaźń z niepewnym partnerem, który wciąż oscylował pomiędzy Rosją a Francją. Gdyby Napoleon, zająwszy północną flankę głównego teatru wojny, wykazał więcej stanowczości, Prusy stanowiłyby potencjalne zagrożenie dla Rosji, pomimo platonicznych gestów ich króla pod adresem Aleksandra. Nie było wiadomo po czyjej ostatecznie Prusacy staną stronie, ponieważ Napoleon wciąż mógł przekupić ich Hanowerem. Czartoryski nie zawahał się błagać swego władcy, ażeby nie wplątywał się w tak problematyczny związek. - Powiązania twego dziadka z pruskim dworem okazały się w równie katastrofalne dla niego, co dla Rosji. Prusy posiadające we władaniu Środkową Polskę, wcześniej czy później, spróbują podbić inne kraje Europy Wschodniej, w tym Litwę, a także prowincje bałtyckie należące do Rosji... - Nawet Wołkoński, który bynajmniej nie był przyjacielem Polaków, wyrażał poparcie dla koncepcji księcia Adama i nie uważał wizyty w Poczdamie za polityczny sukces: - Czy nie jesteśmy aby świadkami powtórki z *Antoniusza i Kleopatry*?

Po powrocie z kościoła w Poczdamie do Berlina, Aleksander pożegnał się z gospodarzami, wsiadł do powozu i odjechał. Wszelako podróżował bez pośpiechu. Po drodze zatrzymał się w Weimarze, by spotkać się z Goethem i porozwodzić się wspólnie nad jego dziełami. Dopiero potem dołączył do swych żołnierzy maszerujących w kierunku Czech.

* * *

Kiedy sprzymierzeńcy, łudząc się perspektywą pruskiej pomocy, grali na zwłokę, Napoleon działał z typowym dla siebie pośpiechem. Plan inwazji na Wielką Brytanię porzucił jeszcze zanim dowiedział się, że eskadra Villeneuve'a, zrezygnowawszy z ataku na wyspę przez Kanał La Manche, udała się do Kadyksu, gdzie pod Trafalgarem została rozgromiona przez Nelsona. Napoleon natychmiast przerzucił swe wojska z Boulogne nad Ren, by stawiły opór Austriakom pod wodzą generała Macka. Okrążywszy austriacki kontyngent, odciął Macka od Wiednia, rozbił jego siły i 20 października 1805 roku w Ulm zmusił do kapitulacji. Zaraz po zwycięstwie rozpoczął szybki marsz na Wiedeń.

Tymczasem kontyngent Kutuzowa wlókł się w ślimaczym tempie w kierunku Moraw, obchodząc Ołomuniec, twierdzę położoną około czterdzieści mil na północ od Brna. Wyczerpane rosyjskie wojska ledwo trzymały się na nogach.

Wygłodniałym oddziałom brakowało właściwego zaopatrzenia, toteż często dopuszczały się grabieży. 13 listopada Aleksander otrzymał niepokojący raport o zajęciu habsburskiej stolicy przez Napoleona. Skłoniło go to do wystosowania kolejnego pilnego posłania do Fryderyka Wilhelma: "Sprawy przedstawiają się znacznie gorzej niż sobie wyobrażaliśmy, kiedy opuszczałem Berlin. Nie ma ani chwili do stracenia. Losy Europy są w twoich rękach". Jednak apel Aleksandra pozostał bez odpowiedzi.

Ostatecznie, 18 listopada car dotarł do Ołomuńca, gdzie niecierpliwie oczekiwał go cesarz Franciszek I. Podczas wspólnej narady wojennej ustalono, iż nie będzie naczelnego dowództwa, bowiem nieufni Austriacy obstawali przy tym, by ich kontyngent nadal stanowił jednostkę autonomiczną. W pewnej chwili, cesarz Franciszek - załamany utratą stolicy, - gotów był nawet wystąpić z koalicji i negocjacjować z Napoleonem zawieszenie broni. Aleksander, wciąż żyjąc złudzeniami, iż uda się wciągnąć Prusy do koalicji, żywiołowo się temu sprzeciwiał, domagając się jednocześnie natychmiastowego podjęcia akcji zbrojnej. "Nasz pierwszy triumf na polu bitwy nie pozostawi Fryderykowi wyboru".

Przez cały ten czas pomiędzy sprzymierzeńcami stale dochodziło do tarć. Rosjanie narzekali na złe zaopatrzenie, gdyż Austriacy rzadko dostarczali obiecane posiłki. Ciągłe kłótnie wprawiły przywódców koalicji w ponury nastrój. Wefekcie Kutuzow zaproponował odłożenie decydującej bitwy na możliwie najdalszy termin. Jego zdaniem, nawet połączone siły rosyjsko-austriackie nie wystarczą, by stawić czoła Napoleonowi. Kutuzow naciskał na swego suwerena, by ten wycofał się i tym samym odciągnął Francuzów od ich zaplecza. - Niech oddziały Napoleona zmęczą się pościgiem za nami. Potem przystąpimy do walki. - Aleksandrowi zależało jednakże na szybkim rozstrzygnięciu. Kutuzow niechętnie przyjął plan cara, a podczas omawiania szczegółów drzemał przy stole konferencyjnym, udając tylko, iż przysłuchuje się ostrej wymianie zdań obu sztabów w kwestiach technicznych.

20 listopada Napoleon wkroczył do Brna, stolicy Moraw, i rozpoczął reorganizację oddziałów, czekając na posiłki z Trzeciego Korpusu marszałka Davout, który nadal przebywał w Wiedniu. Rosyjskie i austriackie oddziały ograniczyły się do przeprowadzenia zwiadu w okolicy Ołomuńca, Austerlitz i Brna. Ołomuniec był małym, mocno przeludnionym miasteczkiem. Rozdział żywności przeprowadzano chaotycznie; brakowało wody, a jej dystrybucja urągała wszelkim zasadom higieny. Aleksander i jego żołnierze stale skarżyli się na rozstrój żołądka, a sam car zmuszony był spędzić kilka dni w łóżku. Niemniej, zanim powaliła go choroba, zdążył przeprowadzić kilka przeglądów, a nawet wyprawił się niemal pod same forpoczty Francuzów. Przez lornetkę polową zaobserwował coś, co na pozór przypominało rozgardiasz: wydawało mu się, iż nieprzyjaciel wycofuje się z zajętych pozycji na drodze z Wiednia do Ołomuńca.

Czy to możliwe, by Napoleon pośpiesznie opuszczał teren, którego nie był w stanie utrzymać? Czy wahał się, co robić dalej? Jeśli tak, to sojusznicy powinni wykorzystać fakt, iż wróg stracił zimną krew. Celem rozbicia koalicji czy też

przynajmniej dla uśpienia czujności nieprzyjaciela i zyskania na czasie, Napoleon wysłał do Aleksandra posłańca z listem, zapewniając cara o swej dobrej woli i proponując spotkanie w cztery oczy dla zawarcia tymczasowego rozejmu. Aleksander odmówił, adresując odpowiedź nie do "cesarza Francuzów", lecz "głowy rządu francuskiego, generała Bonaparte". Dołgorukiemu, który dostarczył posłanie, Napoleon wydał się "małym, grubawym człowieczkiem, najwyraźniej niechlujnym i źle ubranym", w jego oddziałach zaś panował zamęt i harmider.

Dołgoruki powrócił do Ołomuńca wielce podekscytowany i przedłożył mocno przesadzony raport o zszarpanych nerwach Napoleona i jego armii gotującej się do odwrotu w kierunku Wiednia. To właśnie Aleksander pragnął usłyszeć, a mianowicie, iż widmo klęski w walce zprzeważającymi siłami wroga zmusiło Bonapartego do podjęcia pokojowych negocjacji celem uratowania swych wojsk przed nieuchronną porażką. Tak wnioskując, Aleksander zaproponował Napoleonowi następującą alternatywę: albo natychmiast wycofa się z ziem należących do Austrii i z Półwyspu Apenińskiego - albo działania wojenne zostaną wznowione i "zakończą się dopiero z chwilą, gdy Francuzi wycofają się za granice sprzed 1789 roku". Usłyszawszy ultimatum, Bonaparte wpadł w szał, odrzucając propozycję cara, dostarczoną mu przez "impertynenckiego, wyperfumowanego, szczeniaka... który zwracał się do mnie jak do chłopa, którego chętnie zesłałby na Sybir". Kości zostały rzucone.

Wojska rosyjskie i austriackie zajęły pozycje na wzniesieniach, u podnóża których otwierała się przepastna równina, ciągnąca się od Brna po Austerliz. Z brnenskiej fortecy droga na Wiedeń skręca na wschód pod kątem prostym, potem rozwidla się: jeden trakt prowadzi do Ołomuńca, drugi - do Wiednia. Po zajęciu rozwidlenia, Napoleon rozkazał wysuniętej prawej kolumnie przesunąć się nieco w stronę Brna. Udawał, że oddaje wygodną pozycję, ciągnącą się z północy na południe wzdłuż Praceńskiego Płaskowyżu. Upewniło to koalicję, iż Napoleonowi brakuje animuszu i nie wie, co dalej począć. Z tego też względu, oddziały sprzymierzonych otrzymały rozkaz ofensywy za Praceńską Górę, co zmusiło je do porzucenia dogodnych pozycji obronnych, za którymi optował Kutuzow. Plan zakładał rozbicie wycofującego się prawego skrzydła Napoleona, dotarcie do drogi prowadzącej z Brna do Wiednia, i odcięcie Francuzom odwrotu oraz możliwości zaopatrzenia.

I o to właśnie chodziło Napoleonowi, który specjalnie w tym celu pozostawił prawą flankę niemal całkowicie bez osłony, ponaglając jednocześnie oddziały z Wiednia, ażeby wsparły rzekomo bezbronne skrzydło. Podczas gdy sprzymierzeni nie mogli dojść do porozumienia, wprowadzając coraz to większe zamieszanie, Napoleon osiągnął szczyt formy. Wieczorem 1 grudnia, wyraził zadowolenie z przeprowadzonych operacji, i na następny dzień, 2 grudnia - rocznicę koronacji - zaplanował szybką, decydującą bitwę. Dla Bonapartego natychmiastowe, roztrzygające zwycięstwo stało się koniecznością. Nie ulegało kwestii, że jego linie łącznościowe były w gruncie rzeczy niebezpiecznie nadwyrężone. Jego finanse znajdowały się w opłakanym stanie, a myśl o ponownej próbie przewrotu nie opuszczała go ani na chwilę. 1 grudnia oznajmił

Davoutowi: - Prusacy porzucą w końcu swą neutralność i z północy zaatakują nasze tyły. Musimy jak najszybciej pokonać Rosjan i Austriaków, zanim przyłączą się do nich Prusy. Stanie się to jutrzejszego dnia...

W przededniu bitwy, Napoleon - jak to miał w zwyczaju - udał się do swych żołnierzy. Przy biwakowym ognisku gwarzył z generałami o Corneille'u, o odrodzeniu sztuki, którego miał nadzieję dożyć. - To polityka winna dostarczać teatrowi współczesnego odpowiednika fatalizmu właściwego sztukom klasycznym. - Poza tym, wspominał niepowodzenia i sukcesy kampanii egipskiej: - Powinienem był zacząć nosić turban. Trzeba było ubrać armię w torbiaste spodnie, przejść na islam... Powinienem był oprzeć się na Arabach, Grekach i Ormianach - oni pokonaliby Turków. Trzeba było ogłosić się imperatorem wschodu i wrócić do Paryża przez Konstantynopol!....

* * *

Bitwa pod Austerlitz rozegrała się 2 grudnia 1805 roku. Owego chłodnego, mglistego poranka, ziemię pokrywała cienka warstwa mokrego śniegu. Plan Napoleona był prosty - poczekać aż słońce w południe rozproszy mgłę i osuszy nieco ziemię. Chciał sprowokować wroga do wykonania pierwszego ruchu, stopniowo wycofując swe oddziały na prawej flance. W ten sposób, zachęcał wojska koalicji do opuszczenia pozycji na wzgórzach. Planował następnie zawrócić piechotę i - przy wsparciu artylerii - zaskoczyć wroga. Kutuzow przejrzał podstęp Napoleona i rozkazał swym oddziałom czekać, aż Francuz wykona pierwszy ruch. Chciał go zaatakować w chwili, gdy ten będzie przypuszczał szturm na rosyjskie pozycje na Płaskowyżu Praceńskim. Lecz Aleksandrowi spieszyło się do łatwego zwycięstwa. Sprzymierzeni, posiadając przewagą liczebną, z pewnością zmiażdżą osłupiałego przeciwnika - kalkulował car.

W czerwono-zielonym mundurze, białych bryczesach z koźlej skóry i wysokich oficerskich butach z cholewami, dosiadając kasztanowego ogiera z krótko przyciętym ogonem, Aleksander prezentował się niezwykle imponująco. W towarzystwie austriackiego cesarza, pogalopował do Kutuzowa, który stał na Praceńskim Wzgórzu, dokładnie przypatrując się pozycjom nieprzyjacielskim przez polową lornetkę. Kutuzow przestrzegł swego zadufanego w sobie suwerena przed podstępem Napoleona i prosił, by poczekał aż mgła się podniesie, a Francuzi rozpoczną ofensywę. Jednak Aleksander aż się rwał do walki - Dlaczego nie zaczynasz?

- Cofnijmy się nieco i wywabmy Francuzów z ich pozycji, zamiast porzucać własne - ostrzegał Kutuzow. - Nie powinniśmy pchać się prosto w pułapkę Napoleona.

Ale podniecony car naciskał na Kutuzowa.

- Zaczynamy - ponaglał - Atakujmy!

- Powinniśmy jeszcze poczekać, Najjaśniejszy Panie - uparcie twierdził generał - nie uformowały się jeszcze wszystkie kolumny. Poczekajmy i upewnijmy się co do zamiarów Napoleona...

Rozgniewanemu monarsze nie spodobała się ta odpowiedź. Wzruszył swymi krągłymi ramionami, wyrażając tym samym dezaprobatę dla opieszałości Kutuzowa, po czym dodał z szyderczym uśmieszkiem: - Wiesz co, Michale Iłarionowiczu, nie jesteśmy na Polu Marsowym w Petersburgu, gdzie nie zaczyna się parady dopóki wszystkie oddziały nie stoją w idealnym szyku.

- Pole bitwy to nie plac parad, sire. To poważna gra, której ceną jest ludzkie życie. Oto dlaczego nie zaczynam. - zripostował nieugięty Kutuzow tubalnym głosem. - Właśnie dlatego nie zaczynam, że nie znajdujemy się na placu parad.

Car, którego obraziła arogancka odpowiedź Kutuzowa, rozkazał natychmiast atakować wszystkimi siłami. Kutuzow spełnił wolę imperatora i z widoczną niechęcią wysyłał adiutantów, jednego po drugim, to dowódców dywizji. Otrzymawszy rozkaz ataku, rosyjskie oddziały krzyknęły "Hura! Niech żyje car!" i ruszyły naprzód. Zachęceni przykładem sojuszników, do boju rzucili się Austriacy. Rosyjsko-austriackie wojska w czterech kolumnach zeszły do doliny, próbując zajść Napoleona z pozornie słabej prawej flanki, celem odcięcia go od Wiednia. Napoleon, po skoncentrowaniu ogromnej większości swych sił w centurm, tylko czekał na taki ruch. Gdy Rosjanie zeszli z Praceńskich Wzgórz, ich rozproszone pułki znalazły się w niedogodnym położeniu. Zrazu armaty Napoleona zdziesiątkowały rosyjsko-austriackie kolumny, następnie zaś niedobitki obu armii wycięła w pień francuska piechota w ataku na bagnety, przeprowadzonej przez weteranów z korpusu rezerwy marszałka Davout. Rosjanie walczyli dzielnie, lecz nie dorównywali nieprzyjacielowi siłą ognia i manewrowością.

Spostrzegłszy, iż sojusznicy wpadli w pułapkę, Austriacy rzucili do boju ostatnie rezerwy, te jednak zostały powstrzymane i zmuszone do odwrotu. Zapobiegliwy Kutuzow trzymał w odwodzie kilka batalionów piechoty i osiemnaście szwadronów kawalerii pod dowództwem Wielkiego Księcia Konstantego. Widząc beznadziejne położenie aliantów oraz chcąc wyrwać zwycięstwo z paszczy klęski, Konstanty rozkazał swej rezerwie kawalerii nacierać. W srebrnym hełmie i napierśnikach sam poprowadził desperacki kontratak. Z okrzykiem "Hurrrra!" na ustach, około dwu tysięcy konnych, kwiat rosyjskiej kawalerii, pogalopowało, by powstrzymać zwycięską ofensywę marszałka Soulta. W pierwszej chwili szarżujący samym rozpędem przełamali szyki francuskiej piechoty. Jednak tuż za nią znajdowały się zmasowane baterie francuskiej artylerii. Gdy przemówiły armaty, rozpoczęła się przeraźliwa rzeź. Szarża załamała się.

Napoleona, obserwującego całe to wydarzenie przez polową lornetkę, zdumiała siła rosyjskiego natarcia. Zawsze podziwiał odwagę, nawet u wroga. Widząc, jak atak stopniowo przemienia się w jatkę, powiedział: - Wkrótce w Petersburgu wiele kobiet będzie płakało na wieść o tym, jaki los spotkał ich kochanków i mężów.

Bitwa pod Austerlitz trwała jedynie dwie godziny i zakończyła się całkowitym zwycięstwem Francuzów, odwrót Rosjan natomiast - druzgocącą klęską. Zbieranina zagubionych żołnierzy popędziła przed nosem Kutuzowa i jego sztabu, o mało nie tratując Aleksandra, jego adiutantów i Czartoryskiego, zawsze na koniu u boku swego władcy. W końcu, ich także poniósła ta spanikowana, cofająca się hurma, tak że stracili wszelką orientację. Sam Kutuzow został ranny. W pewnej chwili, zaistniało niebezpieczeństwo, iż rosyjskie dowództwo wpadnie w ręce francuskiej straży przedniej, która szybko posuwała się w jego kierunku. Był to zupełny pogrom: Aleksandera rozdzielono nawet z Czartoryskim, osobistym doradcą ipomocnikiem.

* * *

Kiedy świta Aleksandra ujechała około dwu mil od pola bitwy, car, kiepski jeździec, natrafił na ogromny rów. Jego koń zatrzymał się nagle i nie chcąc go przeskoczyć, zaczął walić kopytami i parskać. Gwałtownie zawracając konia, Aleksander począł kłuć go strogami po brzuchu i uderzać biczem, zmuszając zwierzę, by pokonało przeszkodę. Ono jednak w odpowiedzi wyginało głowę w łuk, stawało dęba, aż w końcu zrzuciło jeźdzca. Upokorzony car musiał przemierzyć rów pieszo, brnąc po kolana w błocie. Trzęsąc się z zimna, z pustym spojrzeniem, zapadniętymi, bladymi policzkami, konał ze zmęczenia; potrzebował chwili odpoczynku. Padł pod starą, zeschłą jabłonią, zakrył dłońmi twarz i zapłakał. Zdał sobie sprawę, iż przyczyną klęski była jego własna pycha i brawura. Rozwiało się marzenie o roli wielkiego wodza narodów. Po chwili bolesnej medytacji, ponownie dosiadł konia i podjechał do Czartoryskiego i Wołkońskiego, taktownie czekających na niego opodal.

- Jesteśmy dziećmi w rękach potężnego olbrzyma - powiedział Aleksander kompanom. - Bezbronnymi dziećmi...

Ucieczka trwała dwa dni, niemalże bez postojów. Kutuzow, aczkolwiek ranny, objawił chłodny zmysł organizacyjny. Dzięki jego przytomności umysłu, udało się powoli przeprowadzić odwrót ogromnej większości oddziałów. Niemniej, jako że niełatwo było ponownie zebrać rozproszone i zdezorganizowane jednostki rosyjskie, niektóre oddziały błąkały się całymi dniami w okolicy na wschód od Austerlitz i na południe od Ołomuńca. Oddzielony od oficerów i zaopatrzenia, wspomagany jedynie przez Czartoryskiego i trzech kozaków, Aleksander konał ze zmęczenia i wstydu. Przez trzy dni, kiedy zmuszony był od czasu do czasu zatrzymać się, by dać odpocząć koniom, car walczył ze snem, aż do chwili gdy minęło niebezpieczeństwo, iż wpadnie w ręce wroga.

Wieczorem trzeciego dnia Aleksander źle się poczuł. Szczęściem był przy nim jego angielski lekarz, James Wylie, który złagodził gwałtowne skurcze jelit. Zostawiwszy cesarza pod opieką Czartoryskiego i Wołkońskiego, Wylie udał się do najbliższego posterunku austriackiego po butelkę czerwonego wina, by rozgrzać żołądek pacjenta. Po niespokojnej nocy, trapiony koszmara-

mi, o siódmej rano następnego dnia, Aleksander był w stanie dosiąść konia ikontynuować ucieczkę w wolniejszym niż dotąd tempie, aż wreszcie dotarł bezpiecznie do terytorium Rosji. Jadąc pomiędzy Czartoryskim i Wołkońskim, Aleksander odbierał częste raporty z różnych źródeł, zarówno wojskowych, jak i dyplomatycznych. Dwa dni po bitwie, 4grudnia, cesarz Franciszek zgodził się na zawarcie rozejmu. Pozwolił także Aleksandrowi na powrót do Rosji wraz z całą armią. Taki był koniec fatalnej kampanii. Rozmiary klęski Rosjan iAustriaków wyraźnie odzwierciedlał ogrom poniesionych strat: około 15 tysięcy zabitych irannych, 11 tysięcy pojmanych. Napoleon stracił w sumie około 9000 ludzi.

Czartoryski, po przeanalizowaniu nowej sytuacji, zauważył z ironią: - Ta bitwa to punkt kulminacyjny dotychczasowej polityki. Z powodu rozbieżnych raportów, jakie Wasza Cesarska Mość otrzymywał, często w ciągu jednego dnia wpadaliśmy ze skrajności w skrajność: z głębokiej depresji w przesadną pewność siebie. - Po chwili dodał, z jeszcze większą goryczą: - Twoja obecność pod Austerlitz, sire, nie była korzystna dla kampanii. To właśnie w miejscu, gdzie stacjonowałeś pogrom nadszedł niespodziewanie i przybrał największe rozmiary. Twoja ucieczka spotęgowała panikę, przyczyniając się do ogólnej utraty woli walki....

Aleksander przybył do Gatczyny w południe, 21 grudnia 1805 roku. Ponieważ przerażała go perspektywa publicznego powrotu w biały dzień, zmienił konie i podążył nocą do Pałacu Zimowego. Po przyjeździe opowiedział Elżbiecie o fiasku kampanii, obarczając winą "haniebne zachowanie Austriaków, tchórzliwych, a i niekiedy zdradzieckich". Jak zawsze, ilekroć spotkało go jakieś niepowodzenie, znajdował w małżonce życzliwego słuchacza, który nie szczędził mu ciepłych słów pocieszenia. W końcu, zdjęty żalem, w milczeniu udał się do sypialni. Jeszcze cztery miesiące temu chełpił się przed Elżbietą i Marią, iż wróci w glorii chwały, teraz zaś - załamany, upokorzony i pokonany - musiał im obu spojrzeć w oczy. "Muszę zebrać półmilionową armię, by wziąć odwet na tym przeklętym korsykańskim parweniuszu. Muszę, muszę... Nie pozostało mi nic prócz honoru, a splamić go oznaczałoby przestać być monarchą". Wtem przystanął na chwilę, zamyślił się i rzekł filozoficznie do Elżbiety:
- Ostatecznie, młody Piotr Wielki także ponosił klęski na początku Wielkiej Wojny Północnej. Nie od razu odniósł zwycięstwo nad Połtawą... Dopiero po klęsce nad Narwą....

ROZDZIAŁ IX

Tylża

Napoleon nazwał Austerlitz swą "najwspanialszą bitwą". Z czasem dalekosiężne konsekwencje porażki koalicji stawały się coraz dotkliwsze. Pokój podpisany przez cesarza Franciszka w Pressburgu (Bratysława) wymagał od Austrii ogromnych wyrzeczeń i po z górą siedmiu wiekach położył kres Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu. Obecnie utworzono konfederację państw reńskich, która oddała się pod opiekę Francuzów. Po Austerlitz Napoleon pisał do Piusa VII: "Teraz jestem niczym Karol Wielki, gdyż połączyłem korony Francji i Lombardii, a moje cesarstwo maszeruje na wschód". I rzeczywiście, wkrótce zdwoił presję dyplomatyczną na Imperium Otomańskie. 2 maja 1806 roku, ambasadorem w Konstantynopolu mianował jednego ze swych najzdolniejszych oficerów, generała Sebastianiego. Określając cele, jakie stoją przed dyplomatą, cesarz podyktował mu następujące instrukcje: "1) Musisz dążyć do utworzenia trójprzymierza pomiędzy mną, dworem tureckim i Persją, wymierzonego przeciwko Rosji i Anglii. 2) Bosfor musi być zamknięty dla Rosjan. Nie mam zamiaru dzielić się z nikim tą cieśniną. 3) Pragnę wzmocnienia Imperium Otomańskiego, które posłuży mi za ośrodek opozycji wobec Rosji".

Gdy wieść o tym zagrożeniu dotarła do Petersburga, Aleksander doszedł do wniosku, iż Rosja musi wznowić działania wojenne przeciwko Francji w obronie swych żywotnych interesów nie tylko w Europie Środkowej, ale także na Bałkanach i Morzu Śródziemnym. Liczył przy tym na nowe brytyjskie subsydia oraz na sprzeciw Prus wobec kolejnych ran, jakie Bonaparte zadał niemieckiej dumie, tworząc Związek Reński, zasłonę dymną dla francuskiej hegemonii w Niemczech. "Fakt, że Napoleon zaanektował Hanower, który wszak uprzednio obiecał Prusom w nagrodę za neutralność, zmusi wkońcu Fryderyka Wilhelma do działania w obronie własnych interesów, a także honoru" - kalkulował Aleksander. "Musimy pokrzyżować plany Napoleona wobec wschodu, bowiem zagrażają one naszym interesom na Bałkanach". W tym punkcie, zarówno car, jak i Czartoryski byli jednomyślni: - "Trzeba uświadomić Napoleonowi, że prędzej wznowimy wojnę aniżeli zgodzimy się na jego zakusy wobec Turcji i pozwolimy mu zdominować Imperium Otomańskie". - Na potwierdzenie tej rezolucji sporządzili deklarację podkreślającą, iż Rosja zajmie księstwa naddunajskie, Mołdawię i Wołoszczyznę, celem ochrony własnych interesów i przeciwstawienia się planom Napoleona wobec Wschodu.

Prusacy, którzy nie sprzymierzyli się z Rosjanami i Austriakami, kiedy ci mogli im jeszcze przyjść z pomocą, tzn. przed Austerlitz, nadal zachowywali bierność. Pomimo nagłego przypływu fali niemieckiego patriotyzmu oraz zachęt wojowniczo nastawionej małżonki, Luizy, Fryderyk Wilhelm wciąż się wahał, sparaliżowany strachem na samo wspomnienie błyskawicznych zwycięstw Napoleona nad koalicją rosyjsko-austriacką. Mimo to Luiza naciskała, domagając się ostatecznego rozwiązania kwestii francuskiej. Jej koronny argument stanowiła obietnica pomocy dana przez Aleksandra w prywatnym liście do Fryderyka Wilhelma z 10 marca 1806 roku. Niepomny dwulicowości Prusa-

ków w pierwszej fazie wojny, car pisał: "Obecnie bliski sojusz pomiędzy Prusami i Rosją wydaje się niezbędniejszy niż kiedykolwiek. Niechaj Wasza Wysokość pamięta, że znalazłszy się wniebezpieczeństwie, ma we mnie przyjaciela gotowego natychmiast przyjść zpomocą. Cokolwiek powiesz i cokolwiek zdecydujesz, możesz liczyć na nasze pełne poparcie, którego Rosja udzieli ci, ilekroć uznasz to za konieczne".

Luiza, przeczytawszy list, uradowała się i zaczęła nakłaniać męża: - Ty, potomek Fryderyka Wielkiego, naczelny wódz sił zbrojnych, szkolony przez najwspanialszego oficera w Europie, za którym stoi prześwietna tradycja zwycięstw, nadal się wahasz? Co z ciebie za mężczyzna?

Kuszony obietnicą pomocy wojskowej daną przez Aleksandra i dręczony histerycznymi wymówkami własnej żony, król-pantoflarz skapitulował i wypowiedział Francji wojnę. Napoleon wpadł we wściekłość. - Tak długo życzliwie traktowałem tych Prusaków, a teraz mnie zdradzili. Co za podstępny król! Co za zdradziecki naród!

Aleksander istotnie zamierzał pomóc Prusom odeprzeć atak Napoleona, lecz jego środki były ograniczone, potrzebował bowiem czasu na zgromadzenie rezerw. Tymczasem zanim Aleksander zdążył przyłączyć się do swego pruskiego sojusznika, Napoleon zadziałał z właściwą sobie szybkością. Wykonując niezwykły manewr zwrotny przez Las Turyński, odciął armię Fryderyka Wilhelma od Berlina, anastępnie rozbił ją 14 października 1806 roku w dwu bitwach: pod Jeną iAuerstdt. Owa druzgocząca klęska uruchomiła reakcję łańcuchową. Pozostałe pruskie jednostki wpadły w panikę ipoddały się, w zasadzie bez walki. Pruskie fortece składały broń jedna po drugiej, Napoleon zaś triumfalnie wjechał do Berlina, witany przez grupę służalczych notabli, którzy ofiarowali mu szablę Fryderyka Wielkiego. Bonaparte odmówił jej przyjęcia, oznajmiając z pogardą: - Nie jest mi potrzebna. Mam własną.

W królewskim pałacu w Charlottenburgu agenci Napoleona dokładnie przeszukali sypialnię Luizy. W jednej z szuflad znaleźli portret Aleksandra i jego listy miłosne do królowej, ukryte pośród perfumowanych skrawków koronek i wstążek. Napoleon wpadł w furię: - Wyślę tę diablicę, tę parszywą dziwkę z powrotem do siódmego piekła, tam gdzie jej miejsce. - Następnie rozkazał prasie francuskiej opublikować listy, opatrzywszy je uprzednio własnym komentarzem: "Królowa pruska wraz z armią, przebrana za amazonkę, w mundurze swych dragonów, pisze dwadzieścia listów dziennie, by gdzie się da siać niezgodę. My jej pokażemy. Chce krwi - będzie ją miała".

Z Berlina Bonaparte ruszył na Polskę. Późną jesienią zajął Poznań i Warszawę, które wcześniej drugi i trzeci rozbiór przyznał Prusom. W obydwu miastach zgotowano mu gorące powitanie. W Warszawie 27 listopada 1806 roku, Napoleon proklamował powstanie kadłubowego państwa polskiego pod nazwą Księstwa Warszawskiego. Wkrótce potem, poznał na balu hrabinę Marię Walewską, wówczas jeszcze blondynkę, która niebawem została jego metresą. W ten oto sposób, dwaj władcy rywalizujący o supremację w Europie mieli w tym samym czasie polskie kochanki, obie o imieniu Maria. W jednym i drugim przypadku romans trwał blisko piętnaście lat.

* * *

Osobą najbardziej rozczarowaną takim biegiem wydarzeń był Czartoryski. Zlekceważono jego rady, a wszystkie dalekosiężne plany polityczne spełzły na niczym. Z tego też względu, w lipcu 1806 roku złożył urząd tymczasowego ministra spraw zagranicznych. Na odchodne, książę nie mógł się powstrzymać przed poczynieniem gorzkiej uwagi: - Powinniśmy byli ubiec Napoleona proklamując królestwo polskie, gwarantując mu swobody i łącząc korony Rosji i Polski dynastyczną unią przypominającą więź pomiędzy Habsburgami a Węgrami. Dziś polska karta atutowa znajduje się w rękach Napoleona. - Aleksander, choć niechętnie, przyjął rezygnację.

Po powrocie do Petersburga Czartoryski dowiedział się od Nowosilcewa, iż Elżbieta nadal romansuje z młodym porucznikiem Gwarii Kawalerów, Grigorijem Okotnikowem, i że jest w ciąży. Próbował odnowić dawną znajomość, lecz wszystkie listy wracały doń nieotwarte. Co więcej, w październiku 1806 roku dotarła do księcia jeszcze jedna wiadomość - po przedstawieniu w operze, Okotnikow otrzymał cios w plecy sztyletem. Policja nigdy nie przeprowadziła należytego śledztwa, zaś po mieście krążyły dziwaczne pogłoski na temat domniemanego zamachowca. Elżbieta, która w międzyczasie powiła dziewczynkę, odwiedziła Okotnikowa kilkakrotnie, a także towarzyszyła mu w chwili śmierci. Na jego grobie kazała umieścić marmurowy posąg, przedstawiający płaczącego anioła. Ci, którzy ją znali, rozpoznali bez trudu, iż ma on rysy Elżbiety.

Po kilku miesiącach cierpliwego oczekiwania, książę Adam napisał do Elżbiety jeszcze jeden list, prosząc o spotkanie. W odpowiedzi otrzymał lakoniczny bilecik: "Przed wyjazdem na Sardynię, przyrzekłeś mi dozgonną miłość. Tymczasem w pierwszych raportach, jakie cesarz otrzymał z Florencji od twojego prywatnego sekretarza, zdetalami opisano twą przygodę z królową Klotyldą. Kiedy Aleksander pokazał mi ów raport, o mało nie załamałam się nerwowo. Ponowne dojście do siebie zajęło mi kilka dni. Wtedy to, podczas noworocznego balu maskowego, spotkałam Grigorija. Życiem zapłacił za swoją miłość do mnie. Kocham go nadal ipozostanę wierna jego pamięci do końca swych dni". Pod listem widniała jedynie litera "E".

Podczas gdy książę Adam wolno wychodził z szoku i depresji, w jaką popadł po przeczytaniu listu, strategiczne położenie Rosji uległo znacznemu pogorszeniu. Spóźniona, żałosna interwencja Prus przybliżyła tylko francuskie armie do zachodnich granic Rosji, narażając tym samym na niebezpieczeństwo Litwę i prowincje bałtyckie. Kiedy wiarusi Napoleona gromili pruskie wojska, Aleksander stawał na głowie, by zmobilizować wszystkie rezerwy Imperium. Nawoływał do narodowej krucjaty przeciwko siłom zła gotowym unicestwić Świętą Rosję. Duchowieństwu prawosławnemu polecono wygłaszać kazania

piętnujące Napoleona, potępionego przez Świątobliwy Synod jako "zaprzańca, francuskiego antychrysta", który "zaprzedał się Żydom itwierdzi, iż jest ich Mesjaszem". Pułkowi kapelani otrzymali egzemplarze proklamacji Synodu, określającej Bonapartego jako "sługę Szatana i czciciela dziewek i bałwanów", tudzież druha "perfidnych Żydów".

Jako że Kutuzow nadal leczył rany odniesione pod Austerlitz, Aleksander - po długich wahaniach i biciu się z myślami - mianował wodzem naczelnym sił zbrojnych generała Bennigsena, który poprzednio popadł w niełaskę i został odesłany na Litwę. Z 67000 ludzi i 276 działami wyekspediowano go do Polski, by powstrzymał francuskie kohorty ścigające niedobitki armii Fryderyka Wilhelma. Pierwsze potyczki z Francuzami zakończyły się odwrotem Rosjan. Pozbawiony skutecznego wsparcia ze strony rozbitych i zdemoralizowanych pruskich oddziałów, Bennigsen wycofał się na północ, a 26 grudnia 1806 roku jego tylnia straż stoczyła zaciętą bitwę pod Pułtuskiem. Jedna z najkrwawszych potyczek całej kampanii zakończyła się remisem.

Z początkiem 1807 roku Bennigsen, otrzymawszy nowe posiłki, posuwał się naprzód w nadziei, iż uda mu się oskrzydlić lewą flankę Napoleona. Obie armie starły się 7 lutego pod Pruską Iławą, na południe od Królewca, w oślepiającej śnieżycy. Gdy 63000 Rosjan zaskoczyło 41000 Francuzów wydawało się, że Bennigsen zdobył w końcu przewagę. Wojska obu stron walczyły z desperacką nieustępliwością, a losy bitwy zmieniały się z godziny na godzinę. Kiedy jednak nacierające oddziały marszałka Augereau, pomyliwszy w zamieci kierunek, podeszły zbyt blisko pozycji nieprzyjaciela, zdziesiątkowała je potężna rosyjska bateria. Wrezultacie, środek wojsk rosyjskich, prąc zwartą masą, niemalże starł Francuzów na proch. Napoleon usiłował powstrzymać Rosjan szarżą kawalerii, lecz na próżno. Przez cały czas przedłużającej się potyczki do akcji wkraczały coraz to nowe oddziały francuskie, ale i tak od niechybnej klęski ustrzegła Napoleona jedynie zmasowana siła jego artylerii. Walki trwały do późnej nocy, ich koniec zaś nie przyniósł zdecydowanego roztrzygnięcia. Bennigsen wycofał się, natomiast Bonaparte pozostał na placu boju, ogłaszając się zwycięzcą. Każda ze stron straciła od 18000 do 20000 ludzi. Był to najpoważniejszy impas w całej dotychczasowej kampanii, a obie armie potrzebowały chwili wytchnienia, by wylizać rany i czekać na posiłki, które wzmocniłyby przerzedzone szeregi.

Walki wznowiono dopiero wiosną. 14 czerwca 1806 roku Napoleon sądził, iż zaskoczył Bennigsena podczas marszu na Królewiec. Jednak, rosyjski generał wykazał daleko większą czujność niż przypuszczał Bonaparte i pod Frydlandem, 27mil na południe od Królewca, rzucił do walki 58000 swych żołnierzy przeciwko 80000 armii francuskiej. Tu Napoleon ponownie pokazał swą klasę. Umiejętnie zawrócił maszerujące kolumny, by stawiły opór nacierającym Rosjanom. Po powstrzymaniu ich ataku, Francuzi ponownie zepchnęli Rosjan do wsi Frydland. Bennigsen walczył zaciekle o każdy dom. Zbici w kupę Rosjanie kilkakrotnie desperacko odpierali bagnetami francuskie szarże. Ostatecznie jednak, rosyjskie oddziały spędzono na niewielką przestrzeń i wycięto z bliskiej odległości gradem kartaczy, wystrzeliwanych przez zmasowaną

francuską artylerię. Rosyjscy żołnierze - niemal bez wyjątku - zostali bądź to zabici, bądź to ranni, lub, ewentualnie, wzięci do niewoli; wielu z nich, zepchniętych nad rzekę Łynę, utonęło w jej odmętach. Ogółem, rosyjska armia straciła 19000 ludzi, podczas gdy francuska - niecałe 9000. Rany odniosło sześciu francuskich i dziewięciu rosyjskich generałów. Generał Michał Barclay de Tolly, który osobiście przewodził ostatniej, rozpaczliwej szarży kawalerii, mającej na celu umożliwienie niedobitkom rosyjskiej armii odwrotu, sam odniósł poważne rany i z trudem uniknął niewoli.

W przeciwieństwie do dobrze zorganizowanej służby medycznej Francuzów, rosyjskie punkty sanitarne znajdowały się w opłakanym stanie; brakowało personelu, środków dezynfekujących oraz bandaży. Dostęp do pomocy medycznej zależał wdużej mierze od szarży, szczęścia i znajomości. Zajmowano się wyłącznie lżejszymi przypadkami. Tych, których można było ocalić, lecz niezdolnych do dalszej służby, pozostawiano samym sobie. Większość z nich zmarła.

Pruski sojusznik, w sile 25000 żołnierzy skupionych wokół Królewca, nie wsparł Rosjan w ich trudnym położeniu. Ostatecznie oddziały pruskie oddały miasto, wycofując się na wschód w kierunku Tylży, do granicy rosyjskiej. Francuzi natomiast pospiesznie zajęli Królewiec, przez co stali się niekwestionowanymi panami Prus Wschodnich, zagrażając tym samym litewskim prowincjom Aleksandra rozciągającym się na wschód od Niemna. Posiłki nadeszły, lecz w sile mniejszej niż się spodziewano. W rosyjskiej służbie zaopatrzeniowej panował ogólny bałagan. Carskie wojska, wygłodzone i wycieńczone, traciły ducha walki. Nawet racje chleba nadchodziły nieregularnie, żołnierze zaś zmuszeni byli szukać pożywienia na i tak ubogiej ziemi. Pomimo ogromnego poboru, który miał zapewnić blisko sześćsettysięczną siłę zbrojną, Aleksandrowi zostało niewiele ponad 30000 słabo wyszkolonych rezerwistów. Ponadto zawiedli go Anglicy, którzy nie udzielili obiecanej pomocy finansowej. Czegóż więcej mógł się spodziewać po tchórzliwych Prusakach?

Czyżby Rosjanie sami mieli stawić czoła kohortom Napoleona? Bennigsen iwiększość generałów uznało, iż w obecnej sytuacji należy niezwłocznie zawrzeć pokój. W czerwcu 1807 roku Aleksander poszedł za ich radą i zdecydował się poprosić ozawieszenie broni. Rosyjskich oficerów, wysłanych na negocjacje do Tylży, poinstruowano, by byli uprzejmi, nie zapominali o cesarskim tytule Napoleona, i nie zwracali się doń per "generale Bonaparte". Napoleon, którego armia również znajdowała się u kresu sił, z dala od swego zaplecza, skwapliwie wyraził zgodę izaproponował spotkanie w Ty lży.

* * *

Sceneria historycznego spotkania dwóch rywali ukazała cały reżyserski kunszt Napoleona. Przez całą noc z 24/25 czerwca francuscy inżynierowie konstruowali barkę podtrzymującą drewniany pawilon pokryty płótnem. Nazajutrz rankiem, przyholowano ją na sam środek rzeki i przywiązano do słupów zniszczonego mostu. Pawilon przyozdobiono cesarskimi orłami i monogramami pomalowanymi na jedyny dostępny kolor - zielony. Litera "N" zwrócona była w stronę lewego brzegu, litera "A" - w stronę prawego. Scena zaaranżowana przez Napoleona stanowiła najwymowniejsze świadectwo jego umiejętności improwizatorskich. Jeden z sekretów wirtuozerii cesarza w sztuce przedstawiania siebie w najkorzystniejszym świetle tkwił wumiejętnym przemawianiu do pospolitej wyobraźni. - Niczego nie można pozostawić przypadkowi... - często powtarzał. - Sukces jest uzależniony od najdrobniejszych szczegółów. - Przyświecał mu zawsze jeden cel: uwydatnić własną potęgę iprestiż niezwyciężonego, lecz łaskawego władcy poprzez wykreowanie własnego image.

Aleksander, w paradnym mundurze, przybył na prawy brzeg Niemna ojedenastej, w towarzystwie brata, Konstantego, a także generała Bennigsena i jego adiutanta, hrabiego Paula Lieven. Napoleon kazał im na siebie czekać bez mała dwie godziny - gwoli przypomnienia, kto tu jest panem sytuacji. Na krótko przed pierwszą, triumfator wszedł na tratwę pośród odgłosów wiwatującego tłumu, które dochodziły z obu brzegów rzeki. Wówczas Aleksandra i jego świtę przewieziono łodzią przez rzekę. Napoleon, w towarzystwie marszałków Berthiera i Duroca, a także generała Armanda de Caulaincourt, powitał Aleksandra, ściskając go z wylewną serdecznością i nazywając go "swym bratem".

Zrazu Napoleon nie tylko nie zrobił na Aleksandrze żadnego wrażenia, ale wręcz cara rozczarował. Jakże to możliwe, by ten karłowaty człowieczek o niezdrowej, ziemistej cerze i nalanej twarzy był wielkim przywódcą narodów, mistrzem dyplomacji, a zarazem zwycięzcą tylu bitew? Dopiero w chwili, gdy Napoleon przeszył swego gościa badawczym spojrzeniem i zaczął mówić, car pojął, co stanowi charyzmatyczną siłę przeciwnika. Aczkolwiek o stopę niższy od reszty obecnych, Napoleon od samego początku stał się dominującą postacią spotkania. Onieśmielał gościa, próbując przy tym rozbroić go pozorami wspaniałomyślności. Kiedy zaproponował Aleksandrowi, iż udekoruje go Orderem Wielkiego Krzyża Legii Honorowej, car odmówił, oznajmiając: - Ależ, sire, ostatecznie zostałem pokonany. Wielki Krzyż przyznaje się jedynie zwycięskim dowódcom.

- Tak. - odparł Bonaparte - Wiem. Ale być pokonanym przez Napoleona to prawie tyleż samo co odnieść zwycięstwo.

Spotkanie pomiędzy Napoleonem i Aleksandrem było pamiętnym wydarzeniem. Obydwaj cesarze - jeszcze przed kilkoma dniami zagorzali wrogowie - teraz wymieniali komplementy, uściski oraz zapewnienia o dozgonnej przyjaźni. Na obydwu brzegach rzeki, zbliżeni ku sobie jak gdyby w amfiteatrze, stali żołnierze z obu armii, którzy przed jedenastoma zaledwie dniami zarzynali się z barbarzyńskim okrucieństwem. Obecnie, jakby cudownie przemie-

nieni, wiwatowali, przyglądając się historycznemu widowisku. Scenę tę utrwaliło nawet kilku malarzy, których Napoleon sprowadził na tę okazję. Dla upamiętnienia spotkania w Tylży kazał również wybić specjalny medal. Obsypując Aleksandra honorami i pochlebstwami, nie omieszkał upokorzyć króla Prus, Fryderyka Wilhelma. Wprawdzie negocjacje odbywały się na jego terytorium, wszelako nie zaproszono go do wzięcia w nich udziału. Podczas długich obrad stał potulnie na brzegu Niemna wraz ze swymi generałami i dworem, niczym skarcony uczniak. Przechodząc tuż obok króla i jego żony, Napoleon warknął: - Jak śmieliście wypowiedzieć mi wojnę? - Potem, by złagodzić nieco szorstki ton, przybrał szarmancką pozę i zwrócił się do królowej Luizy. Zachwycając się wzorem jej jedwabnej sukni, ujął rąbek w dłonie i zapytał: - Co to za materiał, madame?... Francuski czy włoski?

- Sire, jak możesz w tak podniosłej chwili mówić o rzeczach tak błahych? - odparła ze łzami w oczach.

Po południu Aleksander i Napoleon udali się do Tylży, by przeprowadzić poufne rozmowy. Już na wstępie Aleksander stwierdził bez ogródek: - Sire, nienawidzę Anglików równie mocno jak ty. - Na co Napoleon odrzekł: - Zatem wszystko inne da się załatwić. Połączmy nasze siły, by powalić na kolana ten naród sklepikarzy i oszustów. Amerykańscy koloniści dali im pierwszą lekcję. Ja natomiast ich wykończę. - W trakcie rozmów, Napoleon otrzymał depeszę od ambasadora wKonstantynopolu z wiadomością o zabójstwie sułtana Selima podczas buntu janczarów. Pokazał depeszę carowi z komentarzem: - Widzę w tym rękę Opatrzności, znak, iż Cesarstwo Tureckie musi upaść!... Droga na Wschód stoi otworem.

Po spotkaniu Napoleon osobiście udekorował dwa tuziny wyselekcjonowanych rosyjskich oficerów czerwoną wstęgą Orderu Legii Honorowej. Gdy car poprosił cesarza o nadanie Legii generałowi Bennigsenowi, głównodowodzącemu rosyjskich wojsk, Napoleon uśmiechnął się ironicznie, po czym odmówił. Na twarzy Aleksandra egzaltacja ustąpiła miejsca przygnębieniu. W lot pojął sens odmowy odznaczenia człowieka, który w ową tragiczną noc w marcu 1801 roku jako pierwszy wdarł się do sypialni cara Pawła.

Pomimo tego niemiłego incydentu, cały dzień przebiegał pod hasłem: "Bratajmy się!". Napoleon, w swym ulubionym czarnym kapeluszu z trójkolorową kokardą i wprostym, zielonym mundurze, spod którego wyzierała biała kamizelka, dosiadł białego araba i wraz z Aleksandrem, strzemię przy strzemieniu, udali się na rynek miasta. Jeden batalion pułku preobrażańskiego stał naprzeciwko napoleońskiego batalionu starej gwardii. Żołnierze zaprezentowali broń i niemalże równocześnie zawołali: "Hura!", "Vive l'Empereur!" i "Niech żyje nasz car!". Następnie obaj władcy zsiedli zkoni i wspólnie dokonali przeglądu obu jednostek. Podchodząc do prawej flanki batalionu preobrażeńskiego, Napoleon wyraził życzenie: - Sire, niech wolno mi będzie udekorować Legią Honorową pięćdziesięciu najdzielniejszych żołnierzy i oficerów, którzy podczas ostatniej kampanii wykazali się największą walecznością. Aleksander wyraził zgodę, po czym zasięgnął rady dowódcy batalionu, podpułkownika, kto zasługuje na podobne wyróżnienie. Ceremonia wręczania odznaczeń tra-

wała mniej więcej godzinę, gdyż Bonaparte uparł się, by zamienić parę słów zoficerami władającymi francuskim, każdego zaś obejmował z wylewną serdecznością.

Po uroczystości Napoleon zaprosił cały rosyjski batalion na wspólny obiad zżołnierzami swego batalionu starej gwardii. Pragnął, by żołnierze obu jednostek złamali szeregi i zbliżyli się do siebie. Francuskich oficerów, a także podoficerów iżołnierzy, poinstruowano, aby okazywali swym rosyjskim odpowiednikom życzliwość i serdeczność. Do stołu podawali przeszkoleni francuscy lokaje. Car zamierzał odwzajemnić gościnność z równym przepychem, lecz Rosjanie nie dysponowali odpowiednią ilością zastawy; nie udało jej się także kupić, mimo iż Aleksander gotów był zapłacić za nią wysoką cenę. Kolejną przeszkodę stanowiły niewielkie zapasy żywności, ledwie pokrywające dzienne zapotrzebowanie oddziałów.

Następnego ranka, Napoleon zademonstrował Aleksandrowi karność iumiejętności swych żołnierzy, a w szczególności kurierów konnych, tzw. przewodników, którymi się chlubił. Ci specjalnie wyszkoleni ludzie mieli za zadanie dostarczać wiadomości konno, broniąc się przy tym pistoletem lub szablą, wrazie straty konia docierali do celu biegiem lub wpław. - Gdyby nie ich odwaga, prędkość i pomysłowość nie byłbym w stanie dowodzić oddziałami, rozciągniętymi na wiele mil na terytorium, na którym aż roi się od wojsk nieprzyjaciela. - Na rozkaz Napoleona dwóch przewodników wskoczyło do Niemna, popłynęło na rosyjską stronę i z powrotem, po czym dosiadło koni i przeskakując przez rowy i żywopłoty dało popis swych umiejętności w akrobatyce, szermierce oraz trafianiu do celu.

Nazajutrz odbyła się parada francuskich jednostek elitarnych. Widowisko to, przygotowane w najdrobniejszych szczegółach przez samego Napoleona, wywarło na Aleksandrze niezatarte wrażenie. Choć przegląd wojsk nie był dlań pierwszyzną, car nie mógł wyjść z podziwu na widok tak wielu doskonałych żołnierzy, stojących na baczność w równych szeregach. Wyjątkowo imponująco prezentowali się gwardziści w białych bryczesach, kamizelkach ze złotymi guzikami i granatowych kurtach, od których odcinały się przewieszone przez ramię białe bandoliery, podtrzymujące ładownice. Na głowach nosili olbrzymie czapy z niedźwiedziego futra, przyozdobione szkarłatnymi pomponami, opadającymi aż na brwi. Srogi, marsowy wygląd twarzy wiarusów - każdy z nich liczył sobie przynajmniej sześć stóp wzrostu - potęgowały jeszcze ich sumiaste wąsiska. Nigdzie w Europie, nawet wPrusach, Aleksander nie spotkał równie okazałych wojaków.

Nie mniej szykownie wyglądali żołnierze gwardii konnej na swych wspaniałych rumakach. W kurtach zdobionych srebrem, z błękitno-karmazynowymi kołnierzami ipagonami dosiadali karych koni, formując za swym oficerem idealnie proste kolumny. Kirasjerzy stanowili główny rdzeń ciężkiej kawalerii Napoleona. Prezentowali się wyjątkowo imponująco w połyskujących srebrem napierśnikach i hełmach, gdy galopowali na swych olbrzymich czarnych wierzchowcach. Lecz najbarwniejsza ze wszystkich była cesarska straż przyboczna, szwadron czarnoskórych mameluków, których Bonaparte zwerbował

w Egipcie. Olśnili Rosjan turbanami z piórami, czerwonymi pantalonami, wielokolorowymi szarfami, za którymi tkwiły po dwa pistolety i sztylet. - Cóż za armia! Nic dziwnego, sire, żeś starł Prusaków na proch! - wykrzyknął Aleksander, z mieszaniną podziwu i zawiści w głosie.

Po widowiskowej paradzie Napoleon zsiadł z konia i osobiście podziękował każdemu ze swych oddziałów. Wizytował uważnie jednostkę po jednostce z zainteresowaniem eksperta, którego uwadze nie umknie nawet najdrobniejszy szczegół. Zatrzymawszy się przy kilku wiarusach, rozmawiał z nimi ciepło i serdecznie, wspominając bitwy, w których odnieśli rany lub zostali odznaczeni. Uczestnicząc w setkach podobnych uroczystości w Rosji, gdzie żołnierzy traktowano brutalnie, jak siłę roboczą, nie zaś wojowników, Aleksander nie mógł się nadziwić bliskim, niemalże ojcowskim związkom Napoleona z jego żołnierzami, ich wspólnym żartom, jego trosce o ich losy i poszanowaniu godności osobistej. Szczególnie zdumiało go to, iż Napoleon zwracał się do pojedynczych żołnierzy per "ty", często nazywając ich po imieniu.

* * *

7 lipca w Tylży dawni wrogowie podpisali kilka traktatów o przyjaźni iwspółpracy. Zgodnie z jednym z nich, Aleksander zobowiązał się porzucić dawnych sojuszników - Prusy, Anglię i Szwecję - Napoleon natomiast obiecał zerwać sojusz z Turcją. Poczynił już kroki, mające na celu wprowadzenie blokady kontynentalnej i wykluczenie towarów brytyjskich z Europy, a tym samym wykończenie "narodu sklepikarzy" na płaszczyźnie gospodarczej. Obecnie Aleksander niezobowiązująco obiecał, iż przyłączy się do blokady i zakaże wstępu angielskim statkom do rosyjskich portów, chociaż świadomie unikał składania oficjalnych oświadczeń. Musiał ponadto wyrazić zgodę na francuską kontrolę Zatoki Kotorskiej oraz wyspy Korfu, albowiem Napoleon utrzymywał, że Rosja nie ma interesów w basenie Morza Śródziemnego. Nie wątpił, iż wkrótce przepędzi stamtąd brytyjskie eskadry. W rezultacie, do dyspozycji Aleksandra pozostawiono tylko Bałkany.

- Możesz rościć sobie prawo do księstw naddunajskich, Mołdawii i Wołoszczyzny. To twoja naturalna strefa wpływów. Finlandia także.

Co się tyczy cieśnin Morza Czarnego, Dardaneli i Bosforu, a także samego Konstantynopola, Napoleon stanowczo odmówił przyznania ich Aleksandrowi. "Kto włada Konstantynopolem - mawiał - włada światem". Właśnie na wschodnim wybrzeżu zamierzał podkopać pozycję Brytyjczyków na Morzu Śródziemnym, które od czasów wypraw krzyżowych uważał za strefę francuskich wpływów.

W Tylży Prusy utraciły Środkową Polskę, która teraz miała stać się państwem autonomicznym pod protektoratem Francuzów, nosząc odtąd wymyślną nazwę: Księstwo Warszawskie. W pewnej chwili Napoleon gotów był sce-

dować je na Aleksandra, lecz ten odmówił przyjęcia prezentu. - Nie chcę postępować jak szakal i zagarniać tereny należące niegdyś do dawnego sojusznika, króla Prus. Mimo to, nalegał, aby Bonaparte nie rozbudowywał księstwa i nie podarował Polakom Gdańska, cesarz zapewnił go jednak, że bynajmniej nie ma takiego zamiaru.

- Nie chcę być polskim Don Kiszotem. Stworzone przeze mnie państwo polskie będzie nosić skromną nazwę Księstwa Warszawskiego. Przede wszystkim muszę trzymać w szachu Prusaków i Austriaków. Ale nie martw się... Nie pozwolę, ażeby Polacy stanowili dla ciebie zagrożenie.

Aleksander jednakże nie przestał się martwić, gdyż - pomimo obietnic Napoleona - widział w Księstwie francuską kolonię militarną, a również zalążek przyszłego państwa o znacznie większych rozmiarach.

W Tylży Prusy nie tylko zostały ograbione, lecz także zmuszone do utrzymywania olbrzymiej francuskiej armii okupacyjnej. Gdy Aleksander, pamiętając o poczdamskiej przysiędze przyjaźni, napomknął, iż powinno się pozwolić Fryderykowi Wilhelmowi (formalnie nadal władcy Tylży) zabrać głos, zanim o jego ziemiach rozstrzygnie jednostronny mandat, Napoleon kilkakrotnie powtórzył z naciskiem:

- Nie, nie, nie! Wstrętny król! Wstrętny naród! Wstrętna armia! Wyłącznie na twoją prośbę i ze względu na naszą przyjaźń nie zmiotłem ich z powierzchni ziemi. Czy to nie wystarczy?

Potwierdzono następnie istnienie Związku Reńskiego, założonego po Austerlitz pod francuskim protektoratem, umacniając tym samym hegemonię Napoleona w Niemczech.

Tego wszystkiego dokonano w jeden dzień. Jak wyraził to dość buńczucznie sam Napoleon: "W kilka godzin załatwiliśmy więcej aniżeli nasi ministrowie przez kilka dni".

Po podpisaniu Traktatu Tylżyckiego cesarz Francuzów zaprosił Aleksandra na wspaniały bankiet. Jakkolwiek gospodarz znajdował się tysiące mil od Paryża, kolacja nie ustępowała pod żadnym względem posiłkowi, jakim monarcha podjąłby gości w swym pałacu w stolicy. Imperatorzy, wraz z członkami osobistej świty, zasiedli przy osobnym stole na podwyższeniu. Dwunastu ciemnoskórych mężczyzn, ubranych w szaty mameluków, tj. w białe turbany, zielone kurty przeplatane złotem i szerokie, czerwone pantalony przewiązane kaszmirowymi pasami, obsługiwało główny stół, serwując wymyślne dania i wina. Raz jeszcze Napoleon zaimponował Aleksandrowi zmysłem organizatorskim i mistrzowską reżyserią. "Jak zdołali przygotować tę lukullusową ucztę tak starannie i w tak krótkim czasie?" - car zazdrośnie zapytywał się w duchu.

Przez moment wydawało się, iż Napoleona wyraźnie uradowało pozyskanie sojusznika, którego tak bardzo potrzebował, chcąc rzucić na kolana Brytyjczyków i urządzić świat zgodnie z własną cesarską wizją. Niemniej, kilka dni potem, zwierzając się swemu sztabowi, potem zaś austriackiemu ambasadorowi w Paryżu, hrabiemu Klemensowi Metternichowi, powiedział: - Nie podobna być bardziej inteligentnym niż car Aleksander, czuję jednak, że czegoś mu bra-

kuje, ale nie udało mi się stwierdzić czego. To prawdziwy sfinks, Talma Północy. Czy jest to człowiek uczciwy czy też mistrz hipokryzji?

Fascynacja Aleksandra Napoleonem minęła, gdy tylko car wyjechał z Tylży i uwolnił się spod jego hipnotycznego uroku. W drodze powrotnej do Petersburga, gwarząc z Dołgorukim, Aleksander próbował usprawiedliwić swe postępowanie:

- Nie jestem głupcem.... Rosja zapłaciła za tylżyckie traktaty wysoką cenę. Jednak ma to też swoje dobre strony. Teraz bez przeszkód możemy wszcząć konflikt ze Szwecją i zaanektować Finlandię. W ten sposób łatwiej obronimy naszą stolicę, która bądź co bądź, jest miastem przygranicznym. Następnie wyrwiemy Turkom Mołdawię i Wołoszczyznę, kładąc tym samym łapę na ujściu Dunaju. W każdym razie, powstrzymaliśmy pochód Napoleona na wschód. Pod Pruską Iławą i Frydlandem przekonaliśmy się, że jego siła uderzeniowa nie jest już tak skuteczna, z dala od kraju. A nawet gdyby kiedykolwiek zapomniał o tej lekcji, my zyskaliśmy czas, ażeby się przygotować. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

ROZDZIAŁ X

"Napoleoński prefekt w Rosji?"

Powrót Aleksandra do Petersburga z Tylży, 4 lipca 1807 roku, był jeszcze bardziej upokarzający niż powrót spod Austerlitz. Wówczas haniebną klęskę można było usprawiedliwić tchórzostwem i zdradą Austriaków. Poza tym, istniała nadzieja, że Prusy pomogą zmienić całą sytuację. Obecnie one same nie tylko doznały druzgocącej porażki, ale znalazłszy się pod okupacją wojsk Napoleona, stały się niemalże jego satelitą. Rosjanie, rzecz jasna, byli w lepszym położeniu. Cesarstwo nie poniosło żadnych strat terytorialnych, na jego ziemiach zaś nie stacjonowały francuskie garnizony. Tylżycki Traktat jednakoż uzależniał Aleksandra od ekscentrycznego kolosa, któremu marzyło się panowanie w Europie.

Zgoda Napoleona na wojnę Rosji ze Szwedami i Turkami, jak również na uzależnienie Finlandii, księstw naddunajskich, Mołdawii i Wołoszczyzny okazała się tylko słodką otoczką, mającą pozwolić Aleksandrowi przełknąć gorzką pigułkę, a reszcie świata przedstawić porozumienia z Tylży jako obopólnie korzystny kompromis. Niemniej twarde realia ekonomiczne działały na niekorzyść francusko-rosyjskiego aliansu. WTylży Aleksander obiecał zerwać stosunki dyplomatyczne zBrytyjczykami, nie wpuszczać angielskich okrętów do

rosyjskich portów, awreszcie przyłączyć się do blokady kontynentalnej. Jednak to właśnie do Anglii Rosja wysyłała większość eksportowanych surowców: zboże, konopie, drewno, len, łój, potas, skórę, wosk ikońskie włosie. Łączna wartość towarów opuszczających port w Petersburgu wynosiła 30 mln rubli, z czego przynajmniej 17 mln trafiało prosto do Brytyjczyków, podczas gdy Francuzi importowali produkty za niespełna milion. Tego samego roku z 986 statków handlowych, które wpłynęły do petersburskiego portu 477 należało do Brytyjczyków, a zaledwie tuzin do Francuzów. Dysproporcja ta tłumaczyła zaniepokojenie rosyjskich kupców, gdy w 1807 roku wprowadzono zakaz handlu z Anglią. Wkrótce po Tylży Francuzi usiłowali zwiększyć import rosyjskich wyrobów, ale pomimo potrojenia wymiany towarowej w roku 1810 nie sposób było pokryć ogromnego deficytu w rosyjskim bilansie handlowym. Tonąc wpapierowych pieniądzach, Rosja znalazła się o krok od gospodarczego krachu.

Należałoby do tego dodać psychologiczne konsekwencje tylżyckiego upokorzenia. Rosyjski naród przywykł do wielkich zwycięstw Suworowa, toteż nie mógł się pozbierać po niedawnej podwójnej klęsce, za którą obwiniano brawurę iniekompetencję Aleksandra. Ludzie zadawali sobie pytanie: czy Piotr Wielki lub Katarzyna kiedykolwiek prosili inne mocarstwo o uznanie rosyjskiej dominacji nad sąsiadami? Kiedy jakieś dziecko zapytało oficera, dlaczego tłumy wiwatują na cześć powracających oddziałów, choć doznały porażki, ten odparł, że miały szczęście ujść zżyciem.

Upolitycznione kręgi Petersburga i Moskwy po cichu przeklinały monarchę, który przegrał, jedna po drugiej, obie rozstrzygające kampanie i przystał na warunki poniżającego traktatu. Przeciwnicy polityki Aleksandra oskarżali go o to, iż płaszczył się przed zwycięzcą i bratał z dyktatorem, którego jeszcze rok temu potępiał jako antychrysta oraz obrońcę muzułmanów i żydów. Czyżby nawrócił antychrysta na chrześcijaństwo i ochrzcił go w Niemnie?

Wśród organizatorów szerokiej kampanii przeciwko "wstrętnej zdradzie z Tylży" znalazła się Cesarzowa Wdowa, tradycyjnie zajmująca w dworskiej hierarchii miejsce drugie po carze. Korzystając z ochrony, jaką dawała jej pozycja, stała się głównym filarem opozycji wobec traktatu, który drastycznie zredukował rosyjski eksport i uczynił z kraju "francuską prowincję". Francuscy rojaliści, emigranci, którzy jako oficerowie zaciągnęli się do rosyjskich pułków elitarnych, jeszcze bardziej podsycali powszechne niezadowolenie. "Nie ulega wątpliwości - pisał jeden z nich, Roger de Damas - że dziś Bonaparte zarządza swym imperium oraz kieruje sprawami tak, jak gdyby Rosja była zaledwie jedną z francuskich prowincji. Car nie jest niczym innym, jak tylko napoleońskim prefektem w Rosji".

Do przeciwników Napoleona zaliczali się ponadto nadbałtyccy baronowie, którzy, będąc poddanymi cara, zachowali emocjonalne więzi z Niemcami, jak również pruscy oficerowie, którzy zaciągnęli się pod sztandary Aleksandra po rozwiązaniu armii Fryderyka Wilhelma III. We wrześniu roku 1807, kiedy car postanowił zmienić umundurowanie, zastępując obcisłe uniformy szyte na

pruską modłę bardziej wygodnymi, wzorowanymi na mundurach wojsk napoleońskich, wojsko buntowało się przeciwko "francuskiej liberii".

Nawet Elżbieta, zazwyczaj lojalna w stosunku do niestałego męża, zajęła krytyczną postawę wobec porozumień tylżyckich. Winę przypisywała urokowi, jaki Napoleon rzucił na Aleksandra. Dała temu wyraz w liście do matki, margrabiny Baden: "Dla mnie Bonaparte jest niczym szarlatan albo czarodziej, który za pomocą rozmaitych sztuczek bądź siły, zdobywa serca i umysły swych ofiar. Rosja długo się opierała, lecz teraz w końcu poszła śladem pozostałych. Wygląda na to, że car nie może się oprzeć temu uwodzicielowi".

Intrygi knute w wysokich kręgach dworskich, inspirowane i wspierane przez Cesarzową Wdowę, przybierały z wolna kształt spisku. Anonimowi autorzy kuli złowrogie i wywrotowe hasła: "Ślepota cara to koniec cesarstwa" albo "Car nie powinien zapominać, jak zmarł jego ojciec". Ten nagły przypływ niezadowolenia nie uszedł uwadze zagranicznych dyplomatów. "Zdaniem wielu, jedynym wyjściem z tej niebezpiecznej sytuacji - pisał hrabia Joseph de Maistre, przedstawiciel Sardynii wPetersburgu - jest tylko azjatyckie lekarstwo...."

Aleksandra, zachowującego pozorny spokój, głęboko raniła ta surowa krytyka, szukał więc pocieszenia w ramionach Marii Naryszkiny. Prawie co wieczór widziano jak cesarski powóz przywozi cara do willi na Kamiennej Wyspie. Lecz obecnie nawet ona zobojętniała na jego samooskarżenia i ubolewania nad własnym losem. Wszelako jej oziębłość nie wynikała z pobudek politycznych; wdała się bowiem właśnie w kolejną przygodę miłosną, tym razem z młodym oficerem Gwardii Kawalerów. Kilka tygodni po powrocie do Petersburga, Aleksander dowiedział się od Wołkońskiego (swoich uszu i oczu w stolicy) o jej licznych romansach podczas jego pobytu na froncie. Tego było już za wiele. Tu wybuchnął, żaląc się swemu niezawodnemu przyjacielowi:

- Całe lata bezgranicznie ufałem tej kobiecie! A jednak i ona jest równie fałszywa, jak inne piękne kobiety. To rozpustna klacz, udająca wielką damę i wyrafinowaną intelektualistkę po to tylko, abym się kajał u jej stóp.

W pierwszym odruchu chciał z nią zerwać, ale po chwili ochłonął i zwrócił się do przyjaciela: - Piotrze, niech to zostanie pomiędzy nami. Nigdy nie powtarzaj tego, co tu usłyszałeś.

Postanowił wybaczyć Marii jej brak lojalności, głównie ze względu na ich wspólną córkę, Zinajdę, którą uwielbiał.

* * *

Przygnębiony i opuszczony, Aleksander zwrócił się do jedynej osoby, w której widział lojalnego, godnego zaufania przyjaciela - do swojej młodszej siostry Katarzyny. Dziwna więź, jaka ich łączyła miała swe korzenie w dzieciństwie. Aleksander był najstarszym z dziewięciorga rodzeństwa (czterech

chłopców i pięciu dziewczynek). Zarówno w wieku dojrzewania, jak i wcześniej, nie miał wiele okazji przebywać na łonie rodziny, z wyjątkiem kontaktów z Kostią, bowiem na wyraźny rozkaz babki stawiali się w Gatczynie wyłącznie na szkolenie wojskowe oraz krótkie ceremonialne wizyty. Sytuacja uległa radykalnej zmianie, kiedy na tronie zasiadł Paweł i w listopadzie 1796 roku przeniósł się wraz z rodziną do Pałacu Zimowego. Od tamtej pory Aleksander okazywał rodzeństwu wiele serca, jednak od samego początku szczególnym uczuciem darzył swą czwartą siostrę, Katarzynę. Urodzona wmaju 1788 roku, była odeń o jedenaście lat młodsza. Ciemnowłosa, smukła, acz nie piękna, tryskała życiem i intelektem.

Z reguły, pociąg seksualny brata do siostry, czy na odwrót, przytępiony zostaje wskutek rodzinnych kontaktów. Aleksander i Katarzyna, jednakoż, byli dla siebie niemalże obcy. Kiedy Aleksander zasiadł na tronie, ona - podówczas trzynastoletnia, nad wiek rozwinięta dziewczyna - zdumiewała błyskotliwą inteligencją, bujną wyobraźnią i niepohamowanym temperamentem. Nienaganne wychowanie odebrała od matki-Niemki, która czułość i troskę zwykła zastępować żelazną dyscypliną. Czasami, gdy Katarzyna, spragniona pieszczoty, usiłowała wdrapać się na kolana "kochanej mamusi", ta odtrącała ją, każąc dziecku natychmiast zejść. "Pognieciesz mi suknię" - słyszała w odpowiedzi. Guwernantki nierzadko strofowały Katarzynę, dając jej do zrozumienia, że matka faworyzuje jej siostry, gdyż są lepiej ułożone i nie buntują się przeciwko surowej etykiecie obowiązującej Wielkie Księżne. "Ty mała diablico" - nieustannie powtarzała matka. Cesarzowa zleciła guwernantkom Katarzyny wpajać dziecku niewolnicze posłuszeństwo, zwalczając jednocześnie "wszelkie przejawy braku umiaru i sentymentalizmu". Wychowywano ją na wzorową damę, przyszłą żonę i matkę królów.

Paweł był jeszcze bardziej surowy w stosunku do dzieci. Rzadkie oznaki czułości przyćmiewały napady złego humoru, trwające nieraz przez wiele dni. Sam pozbawiony matczynej miłości, obarczał potomstwo własnym kompleksem sieroty, mieszaniną wstydu, winy i odtrącenia. W rezultacie, emocjonalna więź Katarzyny zrodzicami była zgoła żadna. Aleksander, praktycznie porwany przez swą babkę wwieku lat pięciu, młodzieńczy okres spędził pod skrzydłami nadopiekuńczej, władczej staruchy, która za wszelką cenę usiłowała zastąpić mu ojca i matkę. To ona decydowała o tym, jakie książki ma czytać jej wnuk, jakich otrzyma nauczycieli ikogo poślubi. Pragnienie wychowania chłopca na przyszłego monarchę, ba, mitycznego bohatera, kłóciło się czasami z chęcią pobawienia się nim jak marionetką. Jej pieszczoty jednakże, pozbawione prawdziwego ciepła, wyrażały jedynie dumę zposiadania tak bystrej i ładnej maskotki. Dorastająca Katarzyna stykała się zmłodymi mężczynami wyłącznie podczas cotygodniowych lekcji tańca. Nauczyciele muzyki francuskiej, niemieckiej i angielskiej, oraz jazdy konnej byli podstarzałymi, nieatrakcyjnymi mężczyznami. Ona sama zaś przed ukończeniem piętnastu lat nie mogła uczestniczyć w dworskich balach iprzyjęciach. Aleksander był pierwszym atrakcyjnym mężczyzną, traktującym ją jak kobietę: przynosił jej kwiaty i tań-

czył z nią jak z dorosłą damą - upajające i ekscytujące doznanie, które rozpalało jej bujną wyobraźnię.

Umysł Katarzyny kształtowały nie tylko doświadczenia z dzieciństwa, ale także lektura powieści sentymentalnych. Jedną z pierwszych stanowiła historia nieszczęśliwej miłości - *Cierpienia młodego Wertera* autorstwa sławnego, acz wciąż młodego Johanna Wolfganga Goethego. Potem przyszła kolej na *Emila* Rousseau. Pierwszą angielską sztuką, jaką przeczytała, był *Romeo i Julia*, historia kochanków, mniej więcej w jej wieku. Książki te wywarły na niej olbrzymie wrażenie. Dziewczęca fantazja nakazała jej utożsamiać się z Julią. "Ale gdzie jest mój Romeo?" - pytała samą siebie.

Stosunkowo wcześnie u Katarzyny dało o sobie znać wyrobienie towarzyskie, które zaowocowało w licznych kontaktach. Dla przykładu, zaprzyjaźniła się z poetą, Wasylem Żukowskim, który przedłożył jej do oceny swą balladę pt. "Ludmiła". Interesowała się także historią, i w wieku lat czternastu przeczytała od deski do deski *Historię Karola XII* Woltera. Temperament, inteligencję oraz ambicję odziedziczyła po swej babce i imienniczce. Gardziła zarazem pozorami rodzinnego poważania tworzonymi przez nadętą, pompatyczną i srogą matkę. Jej bunt potęgowały pogłoski o licznych ekscesach miłosnych cesarzowej, tudzież coraz częstszych romansach ojca. Pragnienie tej tryskającej życiem dziewczyny, by przyćmić innych i zwrócić na siebie uwagę, stanowiło wyzwanie wobec rodzicielskich nakazów szacunku i posłuszeństwa.

Piętnastoletnia Katarzyna zdecydowanie sprzeciwiała się wizerunkowi kobiecości obowiązującemu w dworskich kręgach. Pragnęła jeździć konno okrakiem i brać lekcje fechtunku. Niemniej jej plany pokrzyżował gwałtowny sprzeciw matki, co jeszcze bardziej wzmogło tłumione pragnienie niezależności i przygody. Z niecierpliwością czekała na okazję, by dopiąć swego. Lektura dzieł markiza de Sade i *Żywotów sławnych ludzi i wielkich rycerzy* oraz *Żywotów pań swawolnych* Brantme'a rozpalała jej wyobraźnię i kosztowała ją kilka nieprzespanych nocy. Wprawdzie ostatnią z wymienionych książek przechwyciła francuska guwernantka, Katarzyna jednak nigdy nie zapomniała frywolnych przygód jej bohaterek, kobiet wyzwolonych trzysta lat przed tym, jak słowo "feminizm" weszło do powszechnego użycia. Potajemnie marzyła, aby stać się wolną, niezależną, śmiałą i zuchwałą. Często powtarzała: "Nie chcę wyjść za mąż. Chcę używać życia!"

Katarzyna, spragniona miłości na tym emocjonalnym pustkowiu, kokieteryjna i pełna temperamentu, widziała w Aleksandrze czułego, czarującego towarzysza zabaw i żartów. Gdy dorastała, wspólnie chadzali na spacery, gwarzyli i czytali jej ulubione książki. Długie rozmowy i przechadzki we dwoje przeplatały się z figlami ibłazenadą. Już wkrótce nie mogli się bez siebie obejść, zadając sobie jednocześnie pytanie, jak nazwać ową więź, która ich łączyła. Aleksander odwzajemniał pocałunki i pieszczoty Katarzyny, owe "niewinne dowody siostrzanej miłości", jak zwykła je nazywać.

Zrazu Aleksander usiłował tłumić swe popędy, lecz moralne skrupuły okazały się słabsze od rosnącej namiętności. Braterska serdeczność stopniowo przybierała formę intymnego związku. Regularnie składał Katarzynie wizyty

w dniu jej urodzin iimienin, zawsze z koszami kwiatów, i obsypywał ją drogimi prezentami. Z czasem związek ten przeistoczył się w obsesyjną namiętność, która zagroziła w końcu długotrwałemu romansowi Aleksandra z Marią Naryszkiną.

Wieść o nowej miłostce męża dotarła w końcu do Elżbiety. Mimo iż zzadziwiającym spokojem znosiła inne grzeszki, nie wyłączając przygód z własnymi damami dworu, to nie mogła wręcz ścierpieć obecności Katarzyny, unikając jej podczas oficjalnych uroczystości. Prywatnie Elżbieta nazywała ją "aroganckim dziewuszyskiem" bądź "tą twoją napastliwą, fałszywą siostrą". Katarzyna była przypuszczalnie jedyną osobą, w stosunku do której Elżbieta - skądinąd dama wkażdym calu - bywała rzeczywiście niegrzeczna.

Wiosną 1803 roku Cesarzowa Wdowa, Maria Fiedorowna znalazła odpowiedniego kandydata do ręki Katarzyny, Habsburga, arcyksięcia Józefa, palatyna Austrii. "Czy mam się dać sprzedać jak jakieś głupie cielę na małżeńskim targu?" - protestowała Katarzyna. Pomimo to przebiegła Maria Fiedorowna domagała się owego mariażu, wobec czego zaprosiła palatyna do Petersburga na dłuższy pobyt. Kiedy Aleksander poznał rzeczywisty cel tej wizyty, stanął po stronie siostry, która nie zgadzała się na zaaranżowane małżeństwo. Stał się niespokojny, przygnębiony i rozdrażniony. Widząc, iż arcyksiążę nie kryje zainteresowania Katarzyną, Aleksander wpadał w wściekłość. Nie mógł znieść myśli, iż ta wyjdzie za mąż i wyjedzie z Rosji. Groźba utraty ukochanej siostry poruszyła go do tego stopnia, że zachorował i przeleżał w łóżku blisko tydzień. O planowanym małżeństwie wyrażał się krytycznie, wysuwając wszelkie możliwe argumenty: różnicę wieku, wyznania, itd. Ostatecznie, zniechęcony i obrażony arcyksiążę Józef powrócił na Węgry. Fakt, iż niemal nie utracił Katarzyny, pogłębił jeszcze uczucie Aleksandra do umiłowanej siostry. Stała się dlań "najważniejszą towarzyszką", "najjaśniejszym światłem mego życia", jak ujął to w jednym z licznych skierowanych do niej listów.

Od czasu wstąpienia na tron Aleksander składał coraz częstsze wizyty w apartamencie siostry. Bez wątpienia dwórki Katarzyny wiedziały, co w trawie piszczy. W istocie rzeczy, by dotrzeć do jej pokoi, musiał przejść przez komnaty jej guwernantki. Dwórki miały jednak swoje własne sprawy, większości z nich bowiem również składano potajemne wizyty. Koniec końców, o tych nocnych schadzkach doniesiono Cesarzowej Wdowie, która wezwała Aleksandra do siebie, ganiąc jego skandaliczne zachowanie. Aleksander zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczył.

- Matko, Katarzynę darzę przyjaźnią czysto platoniczną. Nie mogę się obyć bez jej siostrzanej miłości. Rozumie mnie lepiej i umie pocieszyć bardziej niż Elżbieta czy nawet Maria. Katarzyna jest wrażliwsza i inteligentniejsza od wszystkich kobiet, jakie znam. Potrzebuję jej towarzystwa i serdecznej przyjaźni.

Tymczasem już wkrótce okazało się, że intymna przyjaźń nie jest w stanie zaspokoić rosnących ambicji siostry. Podobnie jak babka pragnęła władzy.

- Dziś w nocy miałam sen - powiedziała Aleksandrowi w maju 1802 roku. - Siedzieliśmy obok siebie na złotym tronie, a zagraniczni ambasadorowie klękali przed nami błagając, byśmy przyjęli dary od ich władców....

Aleksander oniemiał ze zdumienia, po czym wykrzyknął: - To szaleństwo, Katiu... Musisz panować nad swą dziką wyobraźnią!

- A cóż jest dzikiego w moim śnie? Perscy władcy i dynastia egipskich Ptolemeuszy stanowią przykład związków małżeńskich pomiędzy braćmi i siostrami. Żaden z owych rodów nie robił z tego tajemnicy, mimo iż zakazywano podobnych praktyk ludowi. Stanowiło to przywilej królewski, sposób na skonsolidowanie władzy. W książce, którą sam podarowałeś mi na urodziny, wyczytałam, że przodkowie królowej Kleopatry od pokoleń zawierali małżeństwa w obrębie jednej rodziny. Gwoli ścisłości, obaj jej mężowie byli jej rodzonymi braćmi....

* * *

Aleksander darzył siostrę niezwykle silnym uczuciem. Świadczyła o tym ich korespondencja, którą i tym razem zapoczątkował nie Aleksander, lecz Katarzyna. W jednym z pierwszych listów, pisanym w kwietniu 1801 roku, wyznała: "Drogi Sasza, teraz kiedy oboje zostaliśmy sierotami muszę przyznać, że jesteś dla mnie nie tylko bratem, lecz najserdeczniejszym, najukochańszym przyjacielem, łączą nas bowiem nie tylko więzy krwi, ale i miłości".

Aleksander napisał w odpowiedzi: "Moja droga, nie sposób wyrazić, jak bardzo cieszą mnie Twoje listy... Do szczęścia niezbędna mi jest Twa miłość, gdyż jesteś najpiękniejszą istotą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. Miłuję cię i boję się tylko, że w końcu zaczniesz mną pogardzać.... Niestety! Nie mogę jak dawniej obsypywać Cię czułymi pocałunkami w Twej sypialni...."

W innym liście Aleksander pisał do Katarzyny: "Moja droga przyjaciółko, Twoje listy są coraz bardziej ujmujące i niepodobna wyrazić, jaką sprawiają mi przyjemność. Jeśli twierdzisz, że jesteś szalona, to jesteś zapewne najcudowniejszą wariatką na świecie. Muszę wyznać, iż podbiłaś moje serce i że za Tobą szaleję. Uwielbiam cię.... Do widzenia, radości moich oczu, Pani mego serca... Moje serce i dusza należą do Ciebie".

Katarzyna odpowiedziała na list Aleksandra nie mniej czule: "Drogi Sasza, sięgając po pióro, by do ciebie napisać, czułam się jak uczennica, która staje przed nauczycielem i drapie się po głowie, bo nie odrobiła lekcji i nie zupełnie wie, w jakim humorze jest jej profesor. Mimo to, mówię sobie tak: jeśli on tego chce, to wszystko w porządku. Jeśli nie, wówczas wyjawi mi swoje powody i wtedy zobaczymy. W każdym razie, powiem Ci tyle: zostańmy przyjaciółmi, Sasza.
To moja inicjatywa!... Żegnaj, Najdroższy, cała jestem Twoja".

Po powrocie do Petersburga w lipcu 1807 roku, Aleksander, pogrążył się w depresji, odsunął się od większości przyjaciół i pojechał odwiedzić siostrę. Po-

dróż do Pawłowska, gdzie Katarzyna wówczas rezydowała, miała dostarczyć mu balsamu pociechy na bolesne rany, jakie zadała mu krytyka matki i obojętność Marii Naryszkiny. Przedstawienie Tylży jako osobistego triumfu spotkało się z raczej chłodnym przyjęciem nawet ze strony Katarzyny.

- Bóg nas oszczędził - mówił car. - Zamiast ponieść ofiarę, wyszliśmy z tej kampanii nawet z odrobiną chwały. Co sądzisz o tym wszystkim? Wyobraź sobie, całe dni spędzałem z Bonapartem; godzinami rozmawiałem z nim sam na sam!... Nie widzisz, że to wszystko raczej przypomina sen!...

Jednakże, próby usprawiedliwienia ustępstw na rzecz Napoleona spotkały się ze zdecydowaną dezaprobatą Katarzyny.

- To wszystko jest pułapką. Twój pakt z Francuzami to pakt z diabłem, szkodzi bowiem nie tylko Tobie jako suwerennemu monarsze, ale także żywotnym interesom Rosji i jej prestiżowi - wyrzuciła z siebie. - Cały urok, jaki Napoleon rzucił na ciebie to tylko jedno wielkie oszustwo, bo ten człowiek to parweniusz, uosobienie przebiegłości, ambicji i pretensjonalności... - Następnie dodała cichszym tonem - Musisz pamiętać, że złożyłeś ogromną ofiarę, a co w zamian? Wolę, by naszą ojczyznę szanowano nie tylko w słowach, ale i czynach. Nasz ukochana Rosja z pewnością posiada zarówno możliwości, jak i prawo do tego, aby przodować w świecie, nie zaś być li tylko francuską prowincją. Póki żyję, nie pogodzę się z myślą, że ustąpiłeś Bonapartemu.

- Więc i ty, ukochana siostrzyczko, mnie potępiasz....? Nie masz dla mnie choćby jednego słowa zachęty....?

- Wybacz mi, drogi Sasza, ten wybuch gniewu, ale mówię z głębi serca. Do końca życia będę Ci szczerze oddana. Zawsze możesz liczyć na moją miłość i przyjaźń. Jednak strzeż się Bonapartego!

Noc spędzona w Pawłowsku nieco uspokoiła nerwy Aleksandra. Nazajutrz rano, relaksując się w wannie Katarzyny, rozmyślał o dziwnej konstelacji otaczających go kobiet. "Mam małżonkę, prawowicie poślubioną, która w gruncie rzeczy nie jest dla mnie niczym więcej niż przyjacielem, pełnym ciepła i zrozumienia, lecz jedynie przyjacielem. Faktycznie moją żoną jest Maria, matka moich dzieci, ta jednak nie jest przyjacielem, a tylko kochanką.... Moja matka chciała być regentką. Odstawiona na boczny tor, czuje się pokrzywdzona i łaknie teraz mojej władzy. Popiera mych przeciwników i próbuje podkopać mój autorytet. W istocie, sama stała się filarem opozycji. A tutaj ja jestem ze swoją siostrą, która jest wszystkim, czego pragnę: namiętną kochanką, przyjacielem, który cię zrozumie, wspaniałym kompanem. Jaka szkoda, że nie jestem egipskim faraonem, jaka szkoda..."

Ubierając się, wspomagany przez służącego, Mielnikowa, Aleksander dumał: "Najczęściej spotykaną figurą w życiu człowieka jest trójkąt: mąż, żona oraz kochanka lub kochanek. Ja natomiast muszę radzić sobie z żeńskim kwadratem: matką, żoną, kochanką i siostrą. Od każdej jestem na swój sposób uzależniony. Co za dziwna sytuacja! Jakiż emocjonalny labirynt....."

* * *

Napoleon doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż francuski alians nie cieszy się popularnością. Jego ambasador w Rosji, generał Savary, były szef żandarmerii, który dowodził plutonem egzekucyjnym, wykonującym wyrok na księciu d'Ehghien, był zupełnie ignorowany przez petersburskie towarzystwo, a i Aleksander ledwie mógł go ścierpieć. Toteż cesarz Francuzów zastąpił go wkrótce potomkiem starego, arystokratycznego i, w gruncie rzeczy, rojalistycznego rodu, generałem Armandem de Caulaincourt. Dla przełamania lodów, Caulaincourt wydał serię przyjęć dla rosyjskiej elity. Jego suto zastawione stoły przyciągały wielu gości. Ambasador wydał więcej niż wynosiła jego pensja, tj. ponad 600000 franków, i zaczął pożyczać. "Czy mam sprzedać ostatnią koszulę, żeby spłacić długi?" - pisał do Napoleona. Pomimo to, nawet te wykwintne biesiady nie przełamały niechęci Rosjan do sojuszu z Francuzami.

Napotkawszy na opozycję wobec nowej polityki zagranicznej, Aleksander próbował zająć się sprawami kraju, a zwłaszcza finansami, nadwyrężonymi przez wojnę i wciąż pogarszającymi się wskutek wprowadzenia papierowego pieniądza, który obniżył wartość rubla. Aleksander zdał sobie sprawę, że wewnętrzne reformy, przerwane w wyniku działań wojennych, należy podjąć jak najszybciej, póki przestarzały aparat biurokratyczny jeszcze zipie. Ogromne koszta ponoszone w związku z wojną utrudniały dalsze subwencjonowanie kilku uniwersytetów i szkół wyższych. Odeszli Stroganow i Czartoryski, pomysłodawcy i administratorzy ze śmiałymi, perspektywicznymi wizjami. Nowosilcow, służalec, a nawet serwilista, jak zwykle nie podzielał reformatorskich pasji Aleksandra i stawał się coraz większym oportunistą. Aczkolwiek zawsze gotów wykonać rozkazy władcy, rzadko wychodził z własnym pomysłem. Pozostał jeszcze Koczubej, ówczesny minister spraw wewnętrznych, jednak jego reformatorski zapał do tego czasu znacznie ostygł, i coraz częściej przytakiwał zamiast wyrażać własne opinie. Oczywiście, był jeszcze Arakczejew, jak zawsze opętany sprawami wojskowości, jak zawsze - Naczelny Służbista.

Pomimo rozpadu Tajnego Komitetu, Aleksander czuł się moralnie zobowiązany do kontynuowania poszukiwań formy rządów opartych na prawie, a może nawet pewnego ciała doradczego, które wzmocniłoby jego autorytarną władzę. Brakowało mu jednak inteligentnych, energicznych i kompetentnych ludzi, którzy urzeczywistniliby jego młodzieńcze marzenia.

W znalezieniu lojalnego współpracownika pomógł mu przypadek. Pewnego dnia 1807 roku Koczubej miał osobiście złożyć sprawozdanie z działalności swego ministerstwa. Złożony chorobą, wysłał jednakże do cara jednego ze swych zastępców, Michała Michajłowicza Sperańskiego. Aleksander spodziewał się ujrzeć służalczego, płaszczącego się *czynownika*, gdy tymczasem stanął przed nim wysoki, dobrze ubrany i ułożony mężczyzna z długim nosem, wąskimi ustami, głębokimi, przenikliwymi oczami i łysiejącym czołem - który zwięźle, acz precyzyjnie przedstawiał rzecz, zadziwiając cara gotowością

obrony własnej logicznej argumentacji. Aleksandrowi tak bardzo spodobało się owo sprawozdanie, iż uczynił Sperańskiego osobistym asystentem. Wkrótce został on zaufanym współpracownikiem imperatora, jego doradcą i prawą ręką.

Sperański zrobił zaiste błyskotliwą karierę. Urodził się w 1772 roku w Czerkutine, wiosce w gubernii władymirskiej, jako syn tamtejszego popa, przedstawiciela najniższej warstwy ludzi wolnych. Jednak pozycja ojca otworzyła przed Michałem możliwości na ogół niedostępne dla większości Rosjan bez szlacheckiego rodowodu, a mianowicie pobieranie nauk w jednym z diecezjalnych seminariów. I rzeczywiście, mając lat dwanaście Sperański wstąpił do seminarium we Władymirze i już wkrótce stał się przodującym uczniem. W roku 1790 wybrano go do nowo założonego seminarium w Klasztorze Aleksandra Newskiego w Petersburgu, który miał służyć za wzór dla innych instytucji tego rodzaju. Seminarium nie odbiegało poziomem nauczania od innych placówek tego typu w ówczesnej Rosji. Młody Sperański studiował klasyków, historię, francuski, niemiecki i filozoficzną tudzież naukową myśl oświeceniową, oraz tradycyjną scholastykę. Tutaj, podobnie jak we Władymirze, okazał się wybitnym uczniem; w roku 1792 wybrano go na nauczyciela matematyki, fizyki i retoryki, a w 1795 został nauczycielem filozofii.

Rzecz jasna, kariera duchownego stała przed Sperańskim otworem, jednak on zbuntował się przeciwko tradycji, zgodnie z którą syn popa miał zostać popem, i w 1796 roku przyjął świeckie stanowisko sekretarza księcia Aleksieja Kurakina. Wszelako niskie pochodzenie społeczne odbierało mu pewność siebie, a owa nieśmiałość objawiała się w spożywaniu posiłków razem ze służbą, nie zaś przy stole mocodawcy. Niemniej, wkrótce zwrócił na siebie uwagę oraz zdobył szacunek dzięki przenikliwej inteligencji i fanatycznemu oddaniu, z jakim spełniał każde powierzone mu zadanie. Car Paweł bardzo cenił sobie takie zalety. Nie minęło parę miesięcy a mianował Kurakina Generała Prokuratorem Senatu, przez co Sperański znalazł się w samym centrum życia politycznego Rosji. Kiedy Kurakin odszedł z tego urzędu, Sperański nadal pozostał w kancelarii senatu i w przeciągu roku osiągnął ósme co do ważności stanowisko w rządowej służbie, co automatycznie zapewniło mu dziedziczny tytuł szlachecki. Odtąd zmienił swe postępowanie. Czując się bardziej pewny siebie, porzucił dawną skromność i pokorę, zaczął ubierać się jak dżentelmen i korzystać ze zbytkownych czterokonnych powozów.

W roku 1798 zakochał się i poślubił Angielkę, Elizabeth Stephens, która zmarła rok później, po urodzeniu córki. Sperański nigdy w pełni nie doszedł do siebie po tym ciosie, nigdy też nie ożenił się ponownie. Tragedia ta spotęgowała przypuszczalnie jego naturalną skłonność do trzymania się na uboczu, nadwrażliwość, podejrzliwość w stosunku do rywali oraz inklinację do używania obelżywych słów. Od śmierci żony prowadził żywot samotnika, z dala od życia towarzyskiego stolicy. Łączył w sobie wrodzoną przebiegłość i dar prostego przedstawiania złożonych zagadnień z niesamowitą pracowitością. Do tych to wartości próbował przekonać swego nowego zwierzchnika, cara Aleksandra, podczas ich długich rozmów. W pracy "O podstawowych prawach

państwa" utrzymywał, że nawet wszechpotężna monarchia nie może panować bez obywatelskiego społeczeństwa i wykształconej grupy posiadaczy-obywateli.

Aleksander odpowiedział na to: - Ależ Michale Michajłowiczu, igrasz z ogniem. Chcesz, ażebym ja i moi potomkowie musieli tłumaczyć się przed jakimś rosyjskim Konwentem Narodowym. W młodości podzielałem entuzjazm hrabiego Stroganowa dla francuskiego eksperymentu. Ale wszyscy widzieliśmy, jak to się skończyło....

- Doskonale rozumiem obawy Waszej Cesarskiej Mości. W istocie rzeczy, i ja je podzielam. Proces trwałby co najmniej jedno pokolenie. Ale musimy planować o wiele dalej i przygotować się do zniesienia poddaństwa...

- Twój pomysł zniesienia poddaństwa jest przedwczesny. Ba, niebezpieczny. Moi przyjaciele, Stroganow i Czartoryski, mieli rację twierdząc, że wpierw powinniśmy wykształcić chłopów, potem dopiero czynić z nich wolnych dzierżawców. W przeciwnym razie, pociągnęłoby to za sobą bunt szlachty przeciw państwu i skończyłoby się anarchią. Czy w najbliższej przyszłości stać nas na taki eksperyment?

Sperański natychmiast się wycofał, oznajmiając: - Zgadzam się z Waszą Cesarską Mością, w zupełności się zgadzam.... Mój plan jest perspektywiczny. Oczywiście, nie powinniśmy się spieszyć. Ale nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Całkowicie zgadzam się również ze stwierdzeniem, że edukacja powinna poprzedzać emancypację. Dlatego też nalegam na rozbudowę i reformę szkół, zwłaszcza parafialnych. Winny one nauczyć naszych chłopów czytać, pisać irachować.

Sperański, który w głębi duszy podziwiał Napoleona i jego reformy, zdawał sobie sprawę, jak bardzo rosyjska gospodarka uzależniona jest od handlu z Anglią. Trudno było sobie wyobrazić pogodzenie francuskiego sojuszu z potrzebami rosyjskiej ekonomii. Zasugerował więc carowi, żeby urzędy celne przymykały oczy na kontrabandy działające pod szwedzkimi i amerykańskimi flagami. - Gdyby Francuzi protestowali, zawsze moglibyśmy udać naiwnego. Jeśli będą nalegać, obiecamy im, że w przyszłości postaramy się ukrócić próby przerwania blokady...

Kolejna propozycja Sperańskiego dotyczyła zwiększenia krajowej produkcji takich podstawowych towarów jak cukier i bawełna.

- Po co przemycać je z brytyjskich kolonii? - pytał. - Zastąpmy bawełnę rodzimymi konopiami albo załóżmy własne plantacje bawełny i buraków cukrowych w południowych prowincjach, na Ukrainie w rejonie Morza Czarnego bądź na Krymie. Dlaczegóżby nie pożyczyć pieniędzy od Francuzów, Szwajcarów czy Holendrów?

Jednakoż rosyjscy obszarnicy i kupcy, od pokoleń nawykli do opieki państwa, nie chcieli poważnie zastanawić się nad dalekosiężnymi planami Sperańskiego. Co się tyczy Aleksandra, jego obowiązki towarzyskie i sercowe, jak również upodobanie do wojskowych parad, nie zostawiły mu dość czasu na zajęcie się zasadniczymi problemami kraju. Nie pozwalała na to także skom-

plikowana sytuacja międzynarodowa, w jakiej Rosja znalazła się w latach 1808-1809.

* * *

Napoleon, który miał w Rosji rozbudowaną siatkę wywiadowczą, doskonale zdawał sobie sprawę z kłopotów cara. Dla skonsolidowania francusko-rosyjskiego partnerstwa Bonaparte rozważał nawet możliwość poślubienia jednej z sióstr Aleksandra, Katarzyny lub Anny. Dla osiągnięcia zamierzonego celu gotów był podarować Aleksandrowi Księstwo Warszawskie. Nie chcąc powierzać tak delikatnej sprawy Caulaincourtowi, oraz polegając na uroku, jaki udało mu się rzucić na Aleksandra w Tylży, Napoleon zaproponował kolejne spotkanie we wrześniu 1808 roku w Erfurcie. Już sam wybór miejsca był znaczący, bo chociaż należało do Prus, to napoleoński kaprys ogłosił je "prywatnym rewirem cesarza", *le domaine reserve l'Empereur.*

Gdy tylko petersburski dwór dowiedział się, że Aleksander ma zamiar udać się do Erfurtu, rozpętało się istne piekło. Raz jeszcze Cesarzowa Wdowa stanęła na czele opozycji gwałtownie sprzeciwiającej się wyjazdowi cara.

- Na honor Rosji, trzymaj się z dala od Erfurtu. Napoleon traktuje Europę tak jak pirat pojmany okręt, a ciebie - jak niewolnika! Monarchów przestawia tak samo jak nasi obszarnicy chłopów, przenosząc ich z jednej posiadłości do drugiej - wściekała się Cesarzowa Wdowa. - Ten parszywy tyran zmusił niedawno do abdykacji hiszpańskiego króla, na jego miejscu zaś posadził Józefa Bonaparte. Powtarzam, trzymaj się od tego z daleka. Trzymaj się z daleka, moje dziecko.

- Nie pojechać teraz do Erfurtu oznaczałoby zbyt wcześnie odkryć karty. Bezbronny, jako głowa kraju rozdzieranego przez wewnętrzne konflikty, stałbym się jawnym wrogiem najpotężniejszego monarchy świata. Laharpe był mądrym nauczycielem. Niegdyś opowiedział mi o ostatnich godzinach życia Makiawelego. Gdy autor *Księcia* dogorywał na łożu śmierci, ksiądz, który przyszedł doń z ostatnią posługą, podejrzewając go o konszachty z diabłem, zapytał: "Czy wyrzekłeś się szatana?", na co Makiaweli odparł: "Jest za wcześnie na to, by robić sobie wrogów...".

Maria Fiedorowna pozostała jednak głucha na takie argumenty.

- Dobra historyjka, nawet jeśli zmyślona. Jak to mawiają Włosi: *Si non e vero e bene trovato*. Jestem przekonana, że odpowiadając na wezwanie Napoleona, upokorzysz nie tylko siebie, ale i naszą ukochaną Rosję. Dla ciebie Erfurt może być tym, czym Bayonne było dla króla Hiszpanii. Erfurt - to pułapka!

Aleksander w milczeniu wysłuchiwał histerycznego błagania matki.

- Sasza... Nie rób tego! Zgubisz cesarstwo i rodzinę. Jeszcze jest czas, by zmienić zdanie. Pomyśl o honorze, wysłuchaj próśb i modłów matki.

Tymczasem Aleksander, choć pełen szacunku, bronił swego stanowiska: - Póki co, muszę udawać, że podzielam poglądy Napoleona. Zawsze zdążymy

wypowiedzieć mu wojnę. Spiesząc się zbytnio, ryzykujemy utratę wszystkiego. Udajmy raczej, że zależy nam na umocnieniu sojuszu, by tym samym uśpić jego czujność. Musimy zyskać na czasie, a ten pracuje na naszą korzyść. Podczas gdy chciwość Napoleona rośnie, jego zasoby kurczą się. Kampania hiszpańska to studnia bez dna. Niemcy, w szczególności upokorzeni Prusacy, aż zieją nienawiścią, żądni odwetu. Poczekajmy!

Aleksander wyjechał z Petersburga z niewielkim orszakiem, w którego skład wchodzili Wielki Książę Konstanty, kanclerz Rumiancew oraz Sperański. W owych październikowych dniach 1808 roku drogami prowadzącymi do Erfurtu ciągnęły długie sznury powozów, karet i kolas, wiozących dygnitarzy, szambelanów, dwórki, paziów i służących ze wszystkich stron kontynentalnej Europy. Wieźli ze sobą przepyszne stroje, biżuterię, złote i srebrne zastawy, najlepszych kucharzy i lokai w liberiach. W drodze do Erfurtu Aleksander postanowił zatrzymać się w Królewcu, gdzie spotkał się z królem Prus i królową Luizą. Wysłuchawszy ich żalów, jeszcze bardziej upewnił się, że także Prusy grają na zwłokę i obmyślają zemstę. Nie przeszkodziło to mu jednakże przywitać marszałka Lannes, który oczekiwał go we Friedbergu, następującymi słowami: "Cesarza Napoleona darzę wielką sympatią, i skorzystam z każdej sposobności, by mu to okazać".

Napoleon powitał Aleksandra u bram Erfurtu. Widząc nadjeżdżającego cara, zsiadł z konia i uścisnął go z wylewną serdecznością. Następnie koniuszy podprowadził do gościa wspaniałego konia karej maści o imieniu Zaćmienie, w rosyjskim zaprzęgu i rzędzie z białego niedźwiedzia - dar od Bonapartego. Obydwaj władcy wjechali do Erfurtu strzemię przy strzemieniu, przy akompaniamencie bębnów, trąbek, dzwonów, artyleryjskich salw i wiwatującego tłumu. Dosiadając swego białego araba, Napoleon przyjął dość niedbałą pozę, w jednej ręce trzymając lejce, drugą zaś poklepując zwierzę po grzbiecie. Z kamiennym spokojem przyjmował okrzyki "Niech żyje cesarz!", jak gdyby uznając je za rzecz oczywistą. U jego boku jechał spięty i niespokojny Aleksander. Jego zawiść i rozdrażnienie wywoływał fakt, iż większość owacji skierowana była do Napoleona, nie zaś do niego. Znalazłszy się w cieniu gospodarza, czuł się lekceważony i ignorowany.

* * *

Spotkanie w Erfurcie stanowiło apogeum sławy Napoleona. Cała ta pompa miała olśnić wasali Europy potęgą nowego Karola Wielkiego. Nazajutrz po przybyciu Aleksandra odbyły się publiczne ceremonie. Do najbardziej imponujących należało otwarcie konferencji w pałacu książęcym, zajmowanym przez Napoleona. W głównej sali zgromadzili się oficerowie cesarskiej gwardii wraz z lordem szambelanem, który stał bez ruchu u stóp monumentalnych schodów. Stukając swą zdobioną srebrem laską, Mistrz Ceremonii tubalnym

głosem anonsował nadchodzących gości. Kolejność i formę zapowiedzi ułożył sam Napoleon w oparciu o sztywną etykietę i ścisły protokół, jednak przede wszystkim w celu wywołania zamierzonego efektu. Na początku szli ambasadorowie i ministrowie, po nich pomniejsi książęta, jak Książę Weimaru i Książę Meklemburgii, następnie królowie i królowe, począwszy od monarchów Saksonii, Westfalii i Bawarii. Potem, po wyraźnej przerwie, lord szambelan wykrzyknął: - Jego Cesarska Mość, Imperator Wszechrosji, AleksanderI! - Dyskretnie czytając z malutkiej karteczki, trzymanej w lewej ręce, wymienił z tuzin, a może i więcej feudalnych tytułów, jakie przywłaszczyli sobie rosyjscy carowie, wskutek podbojów lub drogą dziedzictwa. Na ostatek, po długiej przerwie, która spotęgowała napięcie zgromadzonych, lord szambelan trzy razy stuknął swą laską, po czym wydał tylko jeden donośny okrzyk: "*L'Empereur*".

W przeciwieństwie do większości obwieszonych medalami możnowładców, pobrzękujących orderami oraz biżuterią, Napoleon pojawił się w prostym zielonym mundurze strzelców gwardii, przyozdobionym jedynie czerwoną wstęgą Wielkiego Krzyża Legii Honorowej. Z jego oblicza promieniowała władcza pewność siebie, która zdawała się mówić - "Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną".

Wszystkie głowy pochylały się, podczas gdy damy składały głęboki ukłon pozostając bez ruchu w tej pozycji aż do chwili, gdy cesarz je minął. I tym razem Aleksander czuł, że się go ignoruje. Czyż to nie on, Car Wszechrosji, gość honorowy Napoleona, powinien jako ostatni zaszczycić swą obecnością to szlachetne grono?

Wieczorem Napoleon i Aleksander wzięli udział w wykwintnym bankiecie, po którym urządzono wielki bal w weimarskim zamku. Car próbował ukryć irytację pod maską dobrych manier; tańczył z damami, a Napoleon obserwował go spokojnie, z ironicznym, pobłażliwym uśmiechem na ustach. Wspólnie rozmawiali z królami Bawarii, Westfalii i Wirtembergii oraz pozostałymi panującymi głowami niemieckich państewek, które pospieszyły złożyć hołd swemu protektorowi. Wszyscy ci pomniejsi książęta drżeli na widok człowieka, od którego zależał ich los. W trakcie spotkania, kiedy to król Maksymilian Józef śmiał podnieść głos, by wtrącić swoje trzy grosze w jakiejś banalnej sprawie, Napoleon warknął nań: - Zamknij się, królu Bawarii!

Kolejne dni zeszły na prywatnych rozmowach i publicznych ceremoniach. Obydwaj cesarze podziwiali manewry francuskiej armii okupacyjnej, stacjonującej w Niemczech. Razem odwiedzili pole bitwy pod Jeną, miejsce klęski Prus. Do Erfurtu wezwano nawet Goethego, który pokłonił się przed Napoleonem i został odznaczony Krzyżem Legii Honorowej.

Pewnego wieczoru, po kolacji przy cesarskim stole, książęta wraz ze swą świtą spotkali się ponownie w teatrze. Przed znakomitymi gośćmi stanęli najlepsi aktorzy Comedie Francaise, a Talma, grający w *Edypie* Woltera, zwracając się do Aleksandra, wyrecytował interpolację Napoleona: "Przyjaźń wielkiego człowieka - to dar bogów!". Na te słowa Aleksander wstał, uścisnął dłoń Bonapartego, siedzącego tuż obok w loży, po czym objęli się, jakby powtarza-

jąc scenę z tratwy na Niemnie. Publiczność odpowiedziała spontaniczną owacją.

Car znajdował się pod szczególnym urokiem Antoinette Bourgoin, francuskiej aktorki o przydomku "boginii radości i rozkoszy". Kiedy zdradził Napoleonowi chęć spotkania się z nią sam na sam, ten odparł: - Nie radzę ci czynić do niej awansów.

- Sądzisz, sire, że by odmówiła?

- Ależ, nie! - objaśniał Napoleon. - Wprost przeciwnie. Wielce by ją to uradowało.Twoja wizyta pozwoliłaby jej szantażować menażera, by podwoił jej honorarium. Co więcej, za kilka dni cały Paryż znałby w detalach anatomię Jego Cesarskiej Mości, od stóp do głów... Poza tym, dbam o twoje zdrowie. W rzeczy samej, dbam o zdrowie *całego* rodu Romanowów - dodał zagadkowo.

Zdumiony Aleksander zażądał wyjaśnień, wobec czego Napoleon oznajmił: - O moim szczerym zainteresowaniu rodem Romanowów porozmawiamy może jutro, na osobności. Teraz, pozwól, że ci zakomunikuję, iż mój minister policji, Fouch, przechwycił interesującą przesyłkę z londyńskiej apteki, zaadresowaną do mademoiselle Bourgoin. Zawierała proszek do produkcji lekarstwa na chorobę, którą wy, cudzoziemcy, zwiecie francuską, my zaś nazywamy hiszpańską lub włoską. To, czy sprowadzili ją do Włoch krzyżowcy, czy też do Hiszpanii przywieźli marynarze Krzysztofa Kolumba, nie jest moją sprawą.

Nazajutrz, już po pierwszej wymianie zdań, Napoleon zauważył, iż Aleksander nie jest już tak uległy jak w Tylży. Przyciśnięty nagłą potrzebą odesłania armii z Prus do Hiszpanii, pragnął uzyskać formalne zapewnienie, iż car udzieli mu wsparcia, gdyby Austria chciała wykorzystać nieobecność wojsk napoleońskich. Aleksander ze swej strony, stale znajdował jakiś pretekst, by unikać podobnych zobowiązań. Rozmowy przeciągały się i stawały się coraz bardziej przykre. Podczas jednej z debat, Napoleon - bardziej wybuchowy niż inni - cisnął swój kapelusz na ziemię i podeptał go. Aleksander, na którym ów pokaz złego humoru nie zrobił większego wrażenia, oznajmił: - Ty, panie, jesteś gwałtowny; ja - uparty. Złością nic ze mną nie wskórasz. Rozmawiajmy, argumentujmy, w przeciwnym razie - wychodzę. - Napoleon uspokoił się.

- Sire - ciągnął Aleksander - zapewniasz mnie o pokojowych intencjach względem Rosji, a jednak w krajach przyległych do mego cesarstwa, w Prusach i Księstwie Warszawskim, trzymasz silne garnizony. Bądź tak łaskaw i okaż mi swą przyjaźń, zabierając swoje wojska z terenu tych krajów...

- W Tylży, jak zapewne pamiętasz, proponowałem ci Księstwo Warszawskie w całości. Odmówiłeś, bo ziemia ta należała uprzednio do króla Prus, twego serdecznego przyjaciela i sojusznika. Dziś potrzebuję Księstwa, by móc trzymać w szachu zarówno niespokojnych Austriaków, jak i Prusy.Jeśli naprawdę jesteś moim przyjacielem, to nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- Nie mam. Ale Polacy ślą szpiegów i agitatorów do mych zachodnich prowincji. Chcą odzyskać dawne ziemie - Litwę, Podole, Ukrainę....

- To czysto platoniczne pragnienia. Bez mojej pomocy nic nie mogą zrobić.

Aleksander milczał, Napoleon zaś nerwowo przemierzał pokój z dłońmi splecionymi na plecach. Po chwili ryknął ponownie:

- W Tylży okazałem ci wyjątkową wielkoduszność. Pozwoliłem ci zaanektować Mołdawię i Wołoszczyznę. Zgodziłem się także na podbój Finlandii. Czyż to nie dostateczne świadectwo mej dobrej woli?
- Tak, sire, lecz oznacza to konieczność ekspansji na północ i południe, z dala od ważnego regionu Europy Środkowej, który znajduje się w twoim władaniu, a skąd można się spodziewać zagrożenia dla mojego kraju. Nie zamierzasz wskrzesić naszym kosztem dawnego państwa polsko-litewskiego?
- Jeśli chcesz, potwierdzę na piśmie to, co kilkakrotnie powtarzałem w Tylży, a mianowicie, że nigdy nie rozszerzę granic Polski. Ustanowiłem Księstwo Warszawskie z ziem zaboru pruskiego, nie zaś twojego. Sam na tym skorzystałeś, bo Białostocczyznę przyłączyłem do Rosji. Jeszcze raz powtarzam: Księstwa potrzebuję, ażeby trzymać w szachu Prusy i Austrię i nie dopuścić, by rozrosły się ipodkopywały twe potężne imperium. Prusy rozgromiłem, więc z ich strony nic ci nie grozi. Austriacy natomiast nadal stroją fochy, spiskują i po kryjomu ponownie się zbroją. W każdej chwili mogą chcieć skorzystać z mojej nieobecności. Gdyby tak się stało, czy na dowód przyjaźni przyjdziesz mi z pomocą? Czy przynajmniej powstrzymasz się przed zaatakowaniem mojej wschodniej flanki, wspieranej przez Księstwo Warszawskie?
- Gdyby cesarz Franciszek okazał się na tyle głupi, by cię zaatakować, będę u twego boku. Nigdy nie sięgnę po broń przeciwko tobie.

Po tych słowach, Aleksander sięgnął prawą dłonią w kierunku lewego biodra, jak gdyby chciał dobyć szpady, lecz spostrzegł, iż jej zapomniał. Napoleon, który wcześniej wyciągnął swoją, odczytał znaczenie zamierzonego gestu cara, wziął swoją szpadę ze stołu i podał ją Aleksandrowi.
- Proszę, przyjmij ją jako skromny dowód mojej przyjaźni i dobrych intencji wobec Rosji. Razem powalimy na kolana angielskich sklepikarzy.
- Przyjmuję twoją szpadę na znak przyjaźni. Możesz być pewny, Wasza Cesarska Mość, że nigdy nie wyciągnę jej przeciw tobie.

I tak wzajemnie się ogłupiając, obydwaj rywale podpisali szereg porozumień, jawnych i tajnych. W oficjalnym komunikacie, wyrazili zadowolenie z umocnienia więzi pomiędzy Rosją i Francją. W tajnym porozumieniu ta ostatnia z góry wyraziła zgodę na rosyjską aneksję księstw naddunajskich, Mołdawii i Wołoszczyzny, jak również Finlandii. Inna tajna konwencja zakładała wojskową współpracę skierowaną przeciwko Austrii, na wypadek gdyby ta wszczęła działania zbrojne przeciwko Francji lub któremuś z jej sojuszników.

* * *

Tymczasem Aleksander spodziewał się usłyszeć od Napoleona wyjaśnienie intrygującej uwagi, iż cesarz troszczy się nie tylko o zdrowie cara, lecz także całego rodu Romanowów. Mimo to, Napoleon unikał tematu, a przyciśnięty do muru uciął rozmowę stwierdzeniem: - To bardzo delikatna sprawa. Powierzy-

łem ją Talleyrandowi, który omówi ją z Waszą Cesarską Mością przed waszym powrotem do kraju.

I faktycznie, na dwa dni przed wyjazdem Aleksandra z Erfurtu, Talleyrand poprosił go o audiencję. Co prawda, w sierpniu 1807 roku przestał piastować stanowisko ministra spraw zagranicznych, jednak nadal zachował kluczowe stanowisko Wielkiego Szambelana i Wice-Wielkiego Elektora, trzeciego co do ważności dostojnika w Imperium. Napoleon zabrał go do Erfurtu ze względu na jego doświadczenie w dyplomacji.

- Mój pan - oznajmił Talleyrand - pragnie rozwieść się z cesarzową Józefiną, ponieważ jako kobieta czterdziestosześcioletnia nie jest w stanie rodzić dzieci, a cesarz chce mieć męskiego potomka. Sire, czy istnieją szanse na to, by mój pan otrzymał rękę waszej młodszej siostry, obecnie dziewiętnastoletniej Katarzyny?

Szokująca propozycja odjęła Aleksandrowi mowę. Już sama myśl o tym, że Katarzyna mogłaby wyjechać z Rosji, przepełniała go trwogą. Po chwili wahania, odzyskawszy zimną krew, odparł: - Czuję się wielce zaszczycony propozycją cesarza Napoleona, ale decyzja nie należy do mnie. Wpierw będę musiał omówić rzecz z Cesarzową Wdową, moją matką, a także z siostrą.
Talleyrand wykorzystał te poufne tête-à-tête, by ostrzec Aleksandra przed planami Napoleona i jego nieokiełznaną ambicją.

- Sire, co ty tu robisz, pośród tych małych, płaszczących się książąt? W twojej mocy jest ocalić Europę, ale nie dokonasz tego, ustępując pola Napoleonowi. Europę może uratować jedynie ścisła współpraca pomiędzy Rosją i Austrią. Francuzi to naród cywilizowany; ich cesarz, niestety, nie. Dlatego też rosyjski monarcha winien stać się sprzymierzeńcem ludu Francji, nie zaś awanturnika i dyktatora. Niszcząc resztki potęgi austriackiej w Europie Środkowej, narażasz na niebezpieczeństwo własne cesarstwo, które jako następne może znaleźć się na liście podbojów Napoleona. Lew schował pazury, ale nie całkiem. Strzeż się...

Aleksander wziął sobie do serca przestrogę Talleyranda, która w gruncie rzeczy równała się zdradzie. Po tej ważkiej rozmowie, powiedział Rumiancewowi: - Trzeba nagrodzić przysługę Talleyranda. Wyślę mu pieniądze przez naszego szwajcarskiego bankiera. Jeśli weźmie, będzie nasz. W przyszłości możemy potrzebować kogoś z taką pozycją. Może trzeba go skontaktować ze Sperańskim.

Jednakże najbardziej zdumiała Aleksandra propozycja małżeństwa złożona przez Napoleona. W drodze powrotnej, car bił się z myślami: "Katarzyna nie może dłużej pozostawać niezamężna. Chcąc zatrzymać ją w kraju, powinienem wydać ją za jakiegoś nieszkodliwego staruszka, zamieszkałego na stałe w Rosji, w lub niedaleko jednej ze stolic, który przymknie oko na wszystko. Problem w tym jak znaleźć odpowiedniego kandydata, którego zaakceptowałaby dziewczyna z takim temperamentem, uparta i kapryśna.

Dowiedziawszy się od Aleksandra o oświadczynach Napoleona, Katarzyna wpadła we wściekłość.

- Jak możesz, Sasza? Ni stąd, ni zowąd, mówisz jak matka? Wyobrażasz sobie mnie z dala od Rosji, w ramionach tego karłowatego wampira?

- Już na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Ale, wcześniej czy później, musisz wyjść za mąż.

- Nie chcę wychodzić za mąż. Chcę żyć pełnią życia - powtarzała stary argument. - Nie jestem cielakiem, którego sprzedaje się na targu!

- W twoim przypadku małżeństwo jest konieczne z dwu powodów. Po pierwsze, odpowiednie zamążpójście podniesie twą pozycję społeczną, chroniąc jednocześnie twoją reputację. Po drugie, jako wielka księżna Romanow musisz służyć imperium. Nasza babka zwykła mawiać, że wielcy książęta i wielkie księżne stanowią własność państwa, i miała rację. Nasze małżeństwa to element gry dyplomatycznej.

Gdy Katarzyna nieco ochłonęła, usiedli oboje na sofie i zaczęli obmyślać plan działania. - Jako że nie żyjemy w Egipcie, lecz w Rosji, musimy się dostosować do panujących tu zwyczajów. Sporządźmy listę zagranicznych książąt, przydatnych ze względów politycznych, których mogłabyś zaaprobować.

Przenieśli się do gabinetu Katarzyny, gdzie olbrzymi stół służył za biurko, przy którym zwykle pisywała listy. Stały tam również jej ulubione książki, a wśród nich egzemplarz *Gothaischer Hofkalendar,* lepiej znany pod nazwą *Almanachu Gotajskiego,* kopalni informacji o wielu arystokratycznych rodach Europy. Przestudiowawszy tę opasłą księgę, doszli do wniosku, że najodpowiedniejszym kandydatem będzie książę Jerzy z Oldenburgu, następca tronu, starszy od Katarzyny co najwyżej o jakieś kilkanaście lat.

- Spotkałam go kiedyś, przypadkiem. Jest nieśmiały, niezgrabny, niezbyt przystojny, ale nie przywiązuję zbytniej wagi do wyglądu - podsumowała Katarzyna.

- Ponieważ jego państwo stoi w obliczu napoleońskiego zagrożenia, a jego pozycja jako następcy tronu jest raczej niepewna, nie powinniśmy mieć trudności z przekonaniem go, by osiedlił się w Rosji - wnioskował Aleksander.

- Pod warunkiem, że zapewnisz mu pozycję na tyle prestiżową, by zaspokić jego próżność i zapełnisz jego puste kieszenie. - wtrąciła Katarzyna.

- Zawsze mogę mu znaleźć jakieś stanowisko na dworze, lub też uczynić go gubernatorem którejś z naszych prowincji.

- Może by tak Twer? Jest po drodze z Piotra do Moskwy. Zawsze w podróży do starej stolicy mógłbyś się zatrzymać u mnie na dzień lub dwa.

- Nieźle pomyślane!

Twer, stary gród położony nad górną Wołgą, na szlaku z Petersburga do Moskwy, sto mil od dawnej stolicy, odpowiadał Aleksandrowi także ze względów politycznych, potrzebny był tam bowiem dobry administrator. Wkrótce do Olenburga wysłano specjalnego posła i raz - dwa odbyła się uroczystość zaślubin.

Aczkolwiek Aleksander rozumiał konieczność wydania Katarzyny za mąż, i, bądź co bądź, sam do tego dążył, sama perspektywa małżeństwa głęboko odbiła się na jego zdrowiu. Dzień po ceremonii ślubnej zaniemógł, a niedyspozycja dała o sobie znać również przed wyjazdem młodej pary do Tweru, gdzie

Jerzy miał rezydować jako gubernator. I tak, 26 sierpnia 1809 roku, Katarzyna żegnała się z Petersburgiem rozpływając się we łzach, jak gdyby udawała się na wygnanie.

Nie otrzymawszy ręki Katarzyny, Napoleon ponowił próby poślubienia którejś z wielkich księżnych z rodu Romanowów, tym razem zaledwie piętnastoletniej Anny. Aleksander powtórnie unikał jasnej odpowiedzi, powołując się na konieczność skonsultowania się z matką.

- Jeśli będzie nalegał, co mam mu odpowiedzieć - pytał Aleksander Cesarzową Wdowę.- Konsekwencją odmowy będzie resentyment i zła wola.

Tu matka wpadła w histerię: - Czy musimy poświęcać naszą biedną Aneczkę na ołtarzu państwa? Jakiż nędzny żywot prowadziłaby z człowiekiem bez sumienia, który nawet nie wierzy w Boga!... Cóż robiłaby w Paryżu, w tej stolicy skandalu i grzechu?... I ja, jej własna matka, miałabym sprowadzić na nią takie nieszczęście?...

Przez kilka godzin Aleksander i Cesarzowa Wdowa debatowali nad odpowiedzią, jaką mieli przekazać Caulaincourtowi.

Po długiej naradzie rodzinnej poinformowano go, iż Wielka Księżna Anna jest jeszcze zbyt młoda i musi poczekać z zamążpójściem przez rok, a może nawet dwa, do czasu osiągnięcia dojrzałości. Poza tym, jak można ją było wydać za czterdziestoletniego Napoleona? Wszelako, dla uniknięcia otwartego konfliktu pomiędzy obydwoma dworami, dano Caulaincourtowi do zrozumienia, iż za parę lat, z chwilą gdy Anna osiągnie odpowiedni wiek, propozycja zostanie ponownie rozważona.

Na wieść, iż po raz wtóry odrzucono jego oświadczyny, Napoleon wpadł w szał. Stosunki rosyjsko-francuskie ponownie znalazły się w fazie krytycznej.

* * *

Wiosną 1809 roku, wykorzystując kłopotliwą interwencję Napoleona w Hiszpanii, Austriacy zaatakowali jego siły w Niemczech i najechali na Księstwo Warszawskie. Napoleon poinstruował Caulaincourta, by ten przypomniał carowi o tajnej konwencji zawartej w Erfurcie, zobowiązującej Rosję do wsparcia Francuzów w przypadku austriackiej prowokacji. Aleksander odpowiedział ze zdecydowaną stanowczością: - Uczyniliśmy wszystko, aby uniknąć wojny. Ale skoro Austria sama ją sprowokowała i pierwsza chwyciła za broń, znajdziesz we mnie sprzymierzeńca, który mężnie rusza do boju. Dam z siebie wszystko.

Tymczasem całkowicie odmienne stanowisko zajął w rozmowie z austriackim ambasadorem, księciem Schwarzenbergiem, który zrelacjonował ją następująco: "Imperator zapewnił mnie, że Rosja zrobi co tylko w ludzkiej mocy, aby uniknąć starcia z naszymi siłami. Dodał także, iż jego sytuacja jest tak osobliwa, i że choć znaleźliśmy się w przeciwnych obozach, życzy nam zwycięstwa".

Z wielkim ociąganiem, car rozkazał swym wojskom w sile 60 tys. sforsować Bug i wkroczyć na terytorium Austrii. Na wszelkie sposoby rosyjska armia unikała konfrontacji zbrojnej z Austriakami. Prawdziwymi przeciwnikami Rosjan stali się Polacy, oddani francuskiej sprawie. Caulaincourt wielokrotnie ponaglał Rosjan, aby bardziej zaangażowali się w walkę. - Działamy powoli - powiedział Caulaincourtowi Rumiancew - ale za to skutecznie.

Książę Poniatowski, głównodowodzący sił polskich pisał do Napoleona: "Nie chciałbym zarzucać rosyjskim generałom perfidii, ale nie mogę też ukrywać przed Waszą Cesarską Mością faktu, iż pomiędzy nimi a naszym wrogiem panuje idealna zgoda. Rosyjskie straty w całej kampanii wynoszą: dwóch zabitych kozaków i dwóch rannych oficerów, w tym jeden przez przypadek, w wyniku pijackiej burdy".

Napoleon wpadł w szał i wyładował swą złość na rosyjskim ambasadorze w Paryżu. - Podczas waszych chłopskich wesel jest więcej ofiar niż w czasie całej kampanii w Galicji. Co z was za sojusznicy? Przekaż moje niezadowolenie swojemu monarsze i to natychmiast!...

Po błyskotliwych zwycięstwach w Bawarii, 13maja Napoleon ponownie zajął Wiedeń. Bitwa pod Wagram rozstrzygnęła o wyniku wojny, który gorzko rozczarował Aleksandra. Oficjalnie był po stronie zwycięzcy, jakkolwiek ubolewał nad pokonanymi. Traktat z Schnbrunn, podpisany 14 października 1809 roku, rozszerzył granice Księstwa Warszawskiego kosztem terytorium Austrii. Dla zachowania pozorów Napoleon podarował Rosji niewielki obwód tarnopolski, co zbulwersowało rosyjską opinię publiczną. "Napoleon upokorzył Jego Cesarską Mość, cara Aleksandra - pisał do Cesarzowej Wdowy jeden z petersburskich dworzan - dając mu z ziem zagarniętych Austrii nie prowincję, lecz jakieś 400000 dusz, tyle co Piotr Wielki podarował niegdyś biesiadującym kompanom czy też Katarzyna swoim kochankom".

Nie czekając na "definitywną odpowiedź" rosyjskiego dworu co do ewentualnego poślubienia "za parę lat" Wielkiej Księżny Anny, Napoleon ogłosił, iż zamierza pojąć za żonę Austriaczkę, Marię Luizę. Odtąd wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie. Uwięziono papieża, Piusa VII, oraz zaanektowano Holandię i miasta hanzeatyckie. Wśród zagarniętych przez Napoleona terytoriów znalazło się malutkie księstwo Oldenburg, teścia ukochanej siostry Aleksandra natomiast zdetronizowano. - To publiczna zniewaga - oburzał się Aleksander - policzek wymierzony zaprzyjaźnionemu mocarstwu.

Co więcej, nie mógł dłużej pozostawać obojętny wobec gospodarczej zapaści swego cesarstwa, odczuwającego skutki wprowadzenia "systemu kontynentalnego". Jak należało się spodziewać, rosyjskich kupców i ich wierzycieli spotkał dotkliwy cios po upadku kilku niemieckich banków, który spowodował ogólną panikę whandlu na całym kontynencie. Poza tym, dawne urazy wywołane ingerencją Francuzów w tajne porozumienia handlowe pomiędzy Rosją i Anglią odżyły pod postacią niechęci z powodu wtrącania się w wewnętrzne sprawy Rosji. W Petersburgu wiele rozprawiano o możliwościach uwolnienia się od sytemu kontynentalnego, który nie pozwalał Rosji na jawne eksportowanie konopii, zboża, drewna i lnu, oraz na importowanie angielskich towa-

rów przemysłowych, doprowadzając jednocześnie do zalania imperium francuskim jedwabiem, perfumami i winem.

Rada Państwa rozważała sposoby stopniowego odejścia od systemu kontynentalnego, a zagadnienie to stanowiło przedmiot dyskusji cara ze swymi ministrami. Rumiancew sprzeciwiał się jakiejkolwiek zmianie taryf, głównie dlatego, że chciał uniknąć kryzysu dyplomatycznego z Francuzami. Sperański natomiast optował za swobodniejszą wymianą towarową prowadzoną pod flagą amerykańską, w czym popierał go minister finansów, Aleksander jednakże nie mógł podjąć ostatecznej decyzji. Sperański utrzymywał, iż system kontynentalny przyczyni się do pobudzenia rosyjskiego przemysłu oraz pomoże kupcom w znalezieniu nowych rynków zbytu, niemniej, jego argumenty nie przekonały zbyt wielu.

* * *

Po powrocie z Erfurtu Aleksander powierzył Sperańskiemu szereg zadań dyplomatycznych o poufnym charakterze. Jedno z nich stanowił nadzór nad rosyjską siatką wywiadowczą na terenie Europy, a zwłaszcza we Francji, gdzie kluczową postacią był Talleyrand. W 1809 roku Sperański stał się jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Rosji, a jednocześnie największym rywalem Arakczejewa. Błyskawiczna kariera tego osieroconego syna ubogiego popa wzbudzała powszechną zazdrość w arystokratycznych kręgach dworskich. Fakt, iż miał on łatwiejszy niż ktokolwiek inny dostęp do cara, iż ten często zapraszał go na kolacje, spędzał sen z oczu zawistnym dworzanom. Przez blisko cztery lata, od 1807 do wiosny 1811, Sperański cieszył się zaufaniem cara, które porównać można tylko do tego, jakim Aleksander darzył dawnych arystokratycznych przyjaciół z Tajnego Komitetu.

Tym, co jeszcze bardziej rozdrażniło szlachtę, była propozycja Sperańskiego, ażeby znieść dotychczasowe przywileje umożliwiające szlachetnie urodzonym szybszy awans w służbie państwowej. I rzeczywiście, car wydał ukaz, zgodnie z którym ubiegający się o wyższe stanowiska musieli uprzednio zdać pisemny egzamin. Odtąd, na mocy dekretu, tytuł szlachecki nadawany urzędnikom państwowym stawał się wyłącznie tytułem honorowym, bez wpływu na ich służbową pozycję. Inny ukaz uzależniał awans od poziomu wykształcenia. Wielu arystokratów oburzały te restrykcje godzące w uświęconą tradycją zasadę o wyższości urodzenia nad wykształceniem. Szemrano po kątach, że Sperański chce znieść poddaństwo, że chce opodatkować szlachtę i ustanowić taryfę celną na towary luksusowe. Oba te posunięcia wywoływały wściekłość i gniew wielmożów. Przedstawiciele drobnej szlachty, zajmującej nadal niskie szczeble drabiny społecznej mieli zostać pozbawieni szans na sprawowanie wyższych godności, nigdy bowiem nie zdaliby egzaminu z rosyjskiego czy matematyki, nie mówiąc już o takich przedmiotach jak łacina czy francuski. Jedy-

nie jakiś szalony pedant mógłby chcieć znęcać się w taki sposób nad poczciwymi rosyjskimi chłopcami - argumentowali przeciwnicy Sperańskiego.

Z czasem zawiązała się koteria, skonsolidowana przez zawiść i partykularne interesy, celem obalenia aroganta z prowincjonalnej parafii, który miał czelność wybić się na ministra. Miłośnicy skandali poczęli szperać w prywatnym życiu Sperańskiego w poszukiwaniu jakiegoś pikantnego kęsa, lecz daremnie. Następnie, wrogowie usiłowali wmieszać tego "podstępnego zbira" - jak go nazywali - w aferę związaną z przemytem angielskich towarów na pokładzie amerykańskiego okrętu. I tym razem intryga nie powiodła się, gdyż materiał dowodowy okazał się nieudacznym fałszerstwem.

W końcu, nie mogąc pozbyć się Sperańskiego za pomocą rozpowszechniania pogłosek, wrogowie sięgnęli po broń ostateczną: poczęli szargać jego reputację pomówieniami, iż jest obcym agentem, "jakobinem w przebraniu". Oskarżenie to padło po powrocie cara z Erfurtu, niektórym uczestnikom wyprawy wydawało się bowiem, że Sperański aż nadto pozostaje pod urokiem francuskich zwyczajów i tamtejszej formy rządów. Przytaczano przypadki, kiedy nazywał Napoleona "nowym Justycjanem", "wielkim legislatorem". Te posłyszane słowa uznania wystarczyły zawistym rywalom, by stwierdzić, iż Sperański został przekupiony celem wprowadzenia do Rosji obcych idei i innowacji opartych na francuskim prawie konstytucyjnym. Uznano go winnym zdrady starych rosyjskich wartości, wobec czego należało przedstawić dobrodusznemu carowi prawdziwe oblicze tej "żmiji", tego "Judasza".

W miarę pogarszania się stosunków rosyjsko-francuskich, ataki na Sperańskiego jako czołowego frankofila przybierały na sile. On zaś bronił się następująco: "W cesarzu Francuzów widzę nie tyle zwycięzcę spod Wagram, co raczej odrodziciela religii, autora kodeksu obywatelskiego, który zreorganizował państwo i twórcę administracji nie mającej sobie równych w świecie". Owo usprawiedliwienie uznano za przykrywkę dla jego chorobliwej frankofilii oraz za akt zdrady.

Dodatkowym elementem potęgującym rozdrażnienie arystokratów był fakt, iż ów syn ubogiego popa otrzymawszy nominację na ministra spraw wewnętrznych, porzucił wcześniejsze skromne maniery i zaczął zachowywać się, jakby był jednym z nich: sprowadzał odzież od czołowych paryskich krawców, dosiadał konia czystej maści z krótko podciętym ogonem, wydawał przyjęcia równie wystawne co bojarskie uczty. Kiedy zaproponował opodatkowanie szlachty, oburzenie w kołach dworskich nie miało granic. "Ten przeklęty parweniusz chce się z nami równać. A co gorsza, chce nas puścić z torbami".

Do najsurowszych krytyków Sperańskiego należał Karamzin, któremu po długich staraniach udało się zdobyć przyjaźń wielkiej księżnej Katarzyny. Odwiedzał ją dość często w Twerze i obsypywał pochlebstwami, nazywając ją "najinteligentniejszą kobietą w Rosji, czcigodną wnuczką naszej Wielkiej Katarzyny". Podczas jednej z licznych wizyt Aleksandra w Twerze, Karamzin odrzucił zarzuty Sperańskiego, skierowane pod adresem rodzimych instytucji. - Jeden z moich przyjaciół - nie wyjawię jego nazwiska Waszej Cesarskiej Mości - doniósł mi o następującym stwierdzeniu Sperańskiego: " Nie ma większej

różnicy pomiędzy służalczością chłopa wobec swego pana, a płaszczeniem się szlachty przed monarchą. Tylko ludzie wolni są twórczy i produktywni, w Rosji znajduję natomiast wyłącznie dwa stany: niewolników władcy i niewolników ziemianina. Tych pierwszych, w przeciwieństwie do pozostałych, zowie się wolnymi, lecz po prawdzie wolnością cieszą się u nas jedynie żebracy i filozofowie..."

- Ależ to skandal! - wykrzyknęła Katarzyna.

- Jak można tak oczerniać nasz system? Jakże mamy stawić czoła francuskiej inwazji, skoro nasi właśni przywódcy wątpią w nasz sposób życia?

- Ten parweniusz pragnie podważyć wiekowe podstawy państwa moskiewsko-ruskiego. Jego plany reform - to puszka Pandory, z której pochodzą wszystkie nieszczęścia nawiedzające nasz kraj - wściekał się historyk Karamzin. - Rosji nie potrzeba konstytucji; wystarczy pięćdziesięciu dziarskich i kompetentnych gubernatorów. - Po chwili zaś dodał: - Car powinien raczej przestudiować *Księcia* Makiawelego zamiast dawać ucha takim mętnym umysłom jak Sperański. - Udając, iż wierzy w to, że Sperański zamierza znieść poddaństwo, dowodził: - Nie sądzę, że trudno będzie zwrócić im wolność. Mniejsze zagrożenie stanowi dla państwa zniewolenie ludzi niż obdarowanie ich wolnością w nieodpowiednim czasie.

Podczas pobytu w Pskowie Karamzin wręczył Katarzynie memoriał, z którego pochodzi następujący fragment: "Od czasów Piotra Wielkiego staliśmy się obywatelami świata, ale przestaliśmy być obywatelami Rosji... Francuzi zdominowali nasz system oświaty; dwór zapomniał rodzimej mowy. W pogoni za luksusami Europy, nasza szlachta doprowadziła się do ruiny... Niebezpiecznie jest chwiać podstawami wiekowego państwa... Od tysiąca lat Rosja zalicza się do potężnych mocarstw, nie zaś hord dzikusów. Mimo to reformatorzy przekonują nas do nowych instytucji i zasad, jak gdybyśmy dopiero co wynurzyli się z dziewiczych lasów Ameryki". Karamzin potępił także proponowany przez Sperańskiego kodeks prawny, wzorowany na prawodawstwie francuskim: "Doprawdy, nie ma potrzeby, ażeby Rosja na oczach całej Europy uroczyście przyznała się do swej głupoty i z uszanowaniem chyliła posiwiałą głowę przed jakimś wymysłem kilku kłamliwych kauzyperdów i jakobinów. Podstawą zasad naszej polityki jest nie Kodeks Napoleoński czy encyklopedia wydana w Paryżu, lecz źródło o nieporównywalnie starszym rodowodzie - Pismo Święte".

* * *

Podczas rozmów z Katarzyną i lektury memoriału Karamzina *O dawnej i nowej Rosji,* Aleksander zdał sobie sprawę, jak mało wie o potędze konserwatystów, wrogich Sperańskiemu. Podejrzewał wprawdzie, że za atakami na jego doradcę kryje się jakiś spisek, niemniej nie spieszył się z jego zdemaskowaniem, świadom, iż przyjdzie mu rzucić wyzwanie siłom, których potrzebował

do zmobilizowania potencjału kraju, a także do obrony przed zagrożeniem z zewnątrz. Bo czyż to rozsądnie prowadzić politykę reform nie do przyjęcia dla uprzywilejowanych z racji bogactwa i urodzenia? Czy to stosowna pora, by zajmować się zmianami wewnątrz kraju, gdy Napoleon zbiera wojska, aby być może dokonać inwazji na Rosję? Jest sens polegać na człowieku niepopularnym, bez żadnego poparcia?

Na czele jawnej opozycji stał Arakczejew, który nie ustawał w krytyce proponowanych przez Sperańskiego reform. Przez długi czas, Aleksander usiłował balansować pomiędzy tymi nienawidzącymi się oraz pogardzającymi sobą nawzajem powiernikami. Sperański, liberał z otwartym umysłem i wyobraźnią, człowiek przedsiębiorczy i kulturalny, patrzył z góry na nieokrzesanego półanalfabetę o brutalnych manierach i mentalności zwykłego sierżanta. Arakczejew z kolei, cierpiący na dotkliwy kompleks niższości, stronił od Sperańskiego, którego uważał za intruza, intryganta i parweniusza. Z powodu tego zderzenia osobowości, Aleksander postanowił siedzieć na dwóch stołkach. Niegdyś mistrz w prowadzeniu podwójnej gry, spotykał się z każdym potajemnie na osobności i ukrywał przed jednym, co powiedział drugi. Udając, iż wierzy temu, kto radził ostatni, postępował stosownie do okoliczności.

Śmiertelnym ciosem dla Sperańskiego okazało się odkrycie, iż obarczony zadaniem utrzymywania kontaktu z Talleyrandem i innymi Francuzami, pragnącymi służyć Aleksandrowi, począł rozbudowywać siatkę wywiadowczą i infiltrować co poniektóre wysokie rosyjskie urzędy. Umieszczając tajnych agentów nie tylko w kilku europejskich stolicach, począwszy od Wiednia, przystąpił do przekupywania pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych celem zdobycia pewnych tajnych akt. Gdy wiadomość o tym dotarła do generała Balaszewa, ministra policji, ten z miejsca doniósł o wszystkim carowi.

W niedzielę, 17 marca 1812 roku, przybył do Sperańskiego posłaniec z Pałacu Zimowego, z rozkazem stawienia się przed carem o ósmej wieczór. Gdy Sperański przybył do pałacu, w hallu czekał już generał z dwoma wysokiej rangi urzędnikami policji. Wprowadzono go do gabinetu, gdzie przez dwie godziny przebywał sam na sam z carem.

- Michale Michajłowiczu - zagaił Aleksander - doniesiono mi, iż dopuściłeś się szeregu nierozważnych czynów. Twoi wrogowie określają je mianem zdrady stanu. Świadom twej dotychczasowej lojalności oraz oddania Koronie, a także i mnie osobiście, nie chce mi się wierzyć, żeś działał w złej wierze. Wszelako kopiowanie tajnych akt z kancelarii Ministerstwa Spraw Zagranicznych stanowi poważne naruszenie bezpieczeństwa kraju....

- Ależ, sire, w Erfurcie sam powierzyłeś mi funkcję łącznika pomiędzy Talleyrandem i innymi francuskimi przyjaciółmi. Poza tym, to przeze mnie przekazywałeś im pieniądze z różnych banków za świadczone usługi... Ty sam prosiłeś mnie, abym służył ci radą nie tylko w sprawach polityki wewnętrznej, ale także zagranicznej. Czy nie mówiłeś mi, abym użył "wszystkich niezbędnych środków", byle by tylko zdobyć wyczerpujące informacje na temat działalności naszych dyplomatów zagranicą, abym nadzorował ich poczynania i przekazywał ci poufne spostrzeżenia o jakichkolwiek niedociągnięciach? Kiedy-

kolwiek prosiłem jego ekscelencję, ministra spraw zagranicznych o oficjalne akta, niezbędne w mojej pracy, spotykałem się z odmową. Traktował mnie jak intruza i oszusta. Tak się pysznił, był taki niegrzeczny, że jako kolega z ministerstwa miałem prawo wyzwać go na pojedynek. W pewnej chwili zdecydowany byłem tak uczynić i zacząłem nawet brać lekcje fechtunku. Jednak, sire, musiałem zrezygnować z tego niedorzecznego pomysłu... Bo jakże ja, syn ubogiego popa, mógłbym w wieku lat czterdziestu opanować tę sztukę na tyle, by móc stawić czoła arystokracie, który szermierki i strzelania uczył się od dziecka? Byłoby to samobójstwo...

- Współczuję ci w twym trudnym położeniu, Michale Michajłowiczu, ale i ty musisz zrozumieć moją sytuację. Wróg puka do bram mojego cesarstwa. Wiem, że oskarżenia pod twoim adresem są co najmniej mocno przesadzone, jednak cóż mam począć w obliczu podejrzeń, jakie ściągnąłeś na siebie swym zachowaniem i niebacznie rzucanymi uwagami? Musisz zrozumieć, iż ważne jest, bym w oczach poddanych nie uchodził za człowieka słabego, który nadal pokłada zaufanie w kimś, kogo oskarżono o zdradę stanu... W krytycznej sytuacji nawet samowładca musi słuchać głosu opinii publicznej...

- Ależ, sire, te oskarżenia nie są przesadzone. Są fałszywe, sfabrykowane... To paszkwil...

- Być może... Przyznam nawet, że to bardzo prawdopodobne, lecz tutaj chodzi nie tylko o twój los, ale o losy całego Imperium. Jest mi niezmiernie przykro, mój drogi Michale Michajłowiczu, jednak muszę cię poświęcić dla skonsolidowania rosyjskiej opinii publicznej w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa... Mam nadzieję, że rozumiesz moje pobudki... Monarchy nie można sądzić wedle powszechnie przyjętych norm moralnych. Świat polityki każe mu robić rzeczy, przed którymi wzdraga się ludzkie serce...

- Sire, więc tak odpłacasz się najbardziej oddanemu i bezinteresownemu słudze, jakiego kiedykolwiek miałeś?...

- Lojalnie mi służyłeś, Michale Michajłowiczu, i jestem ci za to niezmiernie wdzięczny - odpowiedział Aleksander, obejmując go z przesadną, wylewną serdecznością. - Niemniej, mężowie stanu nie mogą kierować się afektem czy sentymentem, lecz racją stanu. Polityka wymaga ode mnie, bym wykonał tę bolesną operację z zimną krwią, jakkolwiek nie jest to przyjemne, a serce mi tego wzbrania. W każdym razie niechaj mą surowość, podyktowaną koniecznością i sytuacją, złagodzi choć moja szczodrość. Zamieszkasz w Niżnym Nowogrodzie, niczego sobie mieście, nad brzegiem Wołgi. Twoja pensja wystarczy ci na pokrycie wydatków związanych z utrzymaniem domu, jaki należy się byłemu ministrowi. Możesz zabrać ze sobą cały swój dobytek, łącznie z biblioteką. Żegnaj, mój drogi Michale Michajłowiczu Kiedy zmienią się okoliczności, mogę ponownie potrzebować twej pomocy...

Dwaj oficerowie policji, którzy towarzyszyli Sperańskiemu w drodze do carskiego gabinetu czekali teraz w przedpokoju na zakończenie audiencji. Wreszcie otworzyły się drzwi i w progu stanęli car i jego współpracownik. Zarówno Sperański, jak i sam cesarz miał łzy w oczach, obaj wydawali się wielce wzru-

szeni. Sperański nerwowo przyciskał do piersi zieloną aktówkę z marokinu. Aleksander powiedział wzruszonym głosem - Raz jeszcze, żegnaj.

Kiedy Sperański dotarł do domu, czekał tam już na niego policyjny furgon i czterech kozackich oficerów. Zapieczętowano jego dokumenty, a w środku nocy, pod eskortą, wyjechał z Petersburga na zesłanie do Niżnego Nowogrodu. Tego samego dnia osadzono w areszcie dwóch urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy przekazali Sperańskiemu tajne dokumenty.

Opinia publiczna uznała koniec kariery Sperańskiego za zwycięstwo. "Cóż za wspaniały dzień dla kraju i nas wszystkich" - odnotował ówczesny pisarz. "Bóg okazał nam swą łaskę, nieprzyjaciele zaś ponieśli klęskę. Na jaw wyszła w Rosji wstrętna zbrodnia, haniebna zdrada... Sperański chciał sprzedać najgorszemu wrogowi ojczyznę i naszego cara".

* * *

Po zesłaniu Sperańskiego do Niżnego Nowogrodu, rozbity Aleksander stopniowo zaczął odzyskiwać zimną krew. Wyrazy uznania, jakie otrzymał za podjęcie słusznej decyzji stłumiły nieco moralne skrupuły. Miał wrażenie, iż poświęcając bliskiego współpracownika odbudował dokoła siebie jedność narodową. Sam przed sobą usprawiedliwiał owo posunięcie alarmującymi wieściami, jakie docierały doń zarówno z Paryża, jak i od agentów w Polsce. Napoleon koncentrował swe wojska w Prusach i Księstwie Warszawskim. Gdańsk w zawrotnym tempie przeobrażał się w olbrzymią bazę wojskową. Austria otrzymała polecenie dostarczenia większego kontyngentu wojsk na "europejską wyprawę krzyżową" przeciwko "perfidnemu kolosowi z Północy". W maju 1812 roku Caulaincourt, zdecydowany zwolennik współpracy francusko-rosyjskiej, został odwołany z "powodów zdrowotnych".

Rankiem 18 maja, na dzień przed odjazdem, car przyjął Caulaincourta na audiencji pożegnalnej. Aleksander traktował Francuza jako osobistego przyjaciela i ostrzegał go: - Jeśli Napoleon wypowie mi wojnę, to możliwe, iż zrazu doznamy klęski. Ale to nie zapewni mu pokoju... Nie przyjmiemy żadnych kompromisowych rozwiązań. Na tyłach mamy ogromne przestrzenie i utrzymamy dobrze zorganizowaną armię... Ja nie wyciągnę szabli pierwszy, ale będę ostatnim, który ją schowa. Prędzej osiądę na Syberii, a nawet na Kamczatce, by uprawiać tam ziemniaki, niż oddam moje prowincje i podpiszę traktat w podbitej stolicy, co równałoby się kapitulacji.

Po powrocie do Paryża, Caulaincourt usiłował przekonać Napoleona, że nie ma on już do czynienia z naiwnym marzycielem z Tylży i Erfurtu, lecz ze zdeterminowanym i zmyślnym przeciwnikiem.

- Mówisz jak Rosjanin - warknął nań cesarz - Jedna właściwie rozegrana bitwa wystarczy, by zrobić porządek z twoim przyjacielem Aleksandrem i jego zamkami na lodzie.

ROZDZIAŁ XI

Wojna bez pokoju

W połowie maja, doskonale wyposażone 554 tys. wojska Napoleona zajęły pozycje na lewym brzegu Niemna i Bugu, wzdłuż linii od Bałtyku po Wołyń i Podole. Tak zwana Wielka Armia w gruncie rzeczy składała się głównie z wojsk alianckich - niemieckich, włoskich i polskich - skupionych wokół głównego rdzenia, który stanowili Francuzi. Popularna pieśń śpiewana przez pułki Starej Gwardii przerażała złowrogim referenem:

Z Północy na Południe
Rozbrzmiewa wojenna trąbka
Drżyjcie wrogowie Francji.

Napoleon w pośpiechu opuścił Paryż, by przyłączyć się do swych oddziałów. W drodze, jadąc przez Drezno, Gdańsk i Warszawę, uważnie studiował logistykę rosyjskiej kampanii. Bardzo zależało mu na zaopatrzeniu żołnierzy nie tylko w najlepszą broń, lecz także w żywność i amunicję, które do rosyjskiej granicy transportować miano ciężkimi furgonami zaprzężonymi w woły, a następnie lżejszymi pojazdami konnymi, zaprojektowanymi tak, by sprostały prymitywnym rosyjskim drogom. Część kolumny transportowej z mąką, owsem, ryżem i winem wysłano drogą morską do Gdańska i Królewca, głównych baz zaopatrzeniowych Wielkiej Armii na wschodzie. U boku Napoleona jechał ponury Caulaincourt, obecnie główny doradca do spraw rosyjskich, który przestrzegał cesarza przed inwazją: - Ze względu na swe położenie geograficzne, rozległość oraz dziki teren, Rosję można uznać za odporną na jakąkolwiek groźbę inwazji. Jej nieprzyjaciele nie będą przypuszczalnie mieli więcej szczęścia niż Rzymianie, usiłujący podbić Wizygotów, Scytów czy Partów.

- Ci barbarzyńcy za bardzo cię przerażają, sire - warknął nań Napoleon. - Rosja to kolos na glinianych nogach. Nie doceniasz męstwa, odwagi i wytrwałości mych żołnierzy. Gdy rozlega się bicie w bębny, to jakby zgodnie biło tysiąc serc, by z naszych żołnierzy wykuć potężny młot, który zmiażdży każdego wroga w jednej decydującej bitwie na zachód od Dniepru. Poza tym, zapominasz o tym, iż to ja nimi dowodzę.

- Co się tyczy sztuki wojennej, sire, barbarzyńcy nie raz wykazali się większą pomysłowością niż narody cywilizowane. Pamiętasz tatarskie metody walki i

Aleksander I, Car Tajemniczy

zwiadu? Przejęli je kozacy. Na przykład, pozorując ucieczkę zwabiają nieprzyjaciela w pułapkę, po mistrzowsku wykorzystując budowę terenu. Przypomnij sobie także nowe metody dowodzenia i walki wprowadzone przez Wizygotów. Rzymscy oficerowie wykrzykiwali swe rozkazy, nierzadko ginące w tumulcie bitwy; Wizygoci natomiast używali sygnałów flagowych, co sprawiało, że ich dowodzenie było znacznie skuteczniejsze. Kolejny wynalazek Wizygotów to strzemię, które wpłynęło na kształt dzisiejszej kawalerii. Rzymianie wykorzystywali konnych wyłącznie jako posłańców i zwiadowców, jednak to dopiero strzemię pozwoliło kawalerii atakować dużą siłą. Dzięki strzemieniu wizygoccy jeźdźcy, pewnie osadzeni w siodłach, mogli swobodnie operować włócznią i mieczem. Zademonstrowali to w bitwie pod Adrianopolem w 378 roku po Chr., jeśli mnie pamięć nie myli. Wtedy to, co najmniej trzy legiony rzymskiej piechoty zostały zmiecione przez nie tak liczne hordy wizygockich jeźdźców.

- Widzę, Caulaincourt, że dobrze zna pan historię starożytną. Ja także. Nie wolno zapominać, że rzymski cesarz Walens był zerem, więc gdzie mu tam do zwycięzcy czterdziestu bitew.

Pomimo tych wszystkich przechwałek, Napoleon wierzył w głębi serca, iż zmusi Aleksandra do uległości samą groźbą inwazji. Wciąż żywił nadzieję, że w ostatniej chwili dogadają się "zasiadłszy do posiłku przy wspólnym stole, pomiędzy wysuniętymi posterunkami". Tak więc, Napoleon postąpił jak ktoś, kto skacząc w przepaść, zastanawia się, czy słusznie zrobił, że się na to ważył.

Aby ułatwić Aleksandrowi zrobienie pierwszego kroku, Bonaparte wysłał doń jednego ze swych adiutantów, generała de Narbonne, instruując go, by pozostał w Wilnie dopóty, dopóki nie przekona cara, iż jego cesarz nadal pragnie pokojowego kompromisu. Aleksander udzielił generałowi Narbonne następującej odpowiedzi: - Niech pan powie swemu cesarzowi, że pierwszy nie dobędę szpady. Nie chcę brać przed światem odpowiedzialności za krew, która poleje się na tej wojnie. Nie pozwolę jednakże splamić honoru mego kraju. Rosja nigdy nie cofnie się przed groźbą niebezpieczeństwa, a mojej decyzji nie zmienią nawet wszystkie bagnety Europy.

Następnie rozłożył przed sobą mapę i wskazując palcem najdalszy kraniec swego imperium, Kamczatkę, rzucił ostrzeżenie: - Jeżeli wybuchnie wojna, a fortuna sprzyjać będzie Napoleonowi, to aby zawrzeć pokój, będzie mnie musiał ścigać aż tutaj. - Generała Narbonne, który zamierzał pozostać w Wilnie jeszcze kilka dni, uprzejmie poinformowano, że "jego konie pocztowe będą gotowe na szóstą wieczór".

22 czerwca armia Napoleona sforsowała Niemen i nie napotkawszy na opór zaczęła posuwać się w stronę Smoleńska trasą, którą podczas Wielkiej Wojny Północnej, prawie sto lat wcześniej, przemierzył król szwedzki Karol XII. 27czerwca, w 113 rocznicę zwycięstwa Piotra Wielkiego nad Szwedami nad Połtawą, Aleksander wydał proklamację, w której wzywał żołnierzy do wykazania równie nieugiętego ducha walki i wzięcia odwetu na najeźdźcach. Później wysłał do Szwedów specjalnego wysłannika, by drogą negocjacji skłonić ich do zachowania neutralności. Mógłby wówczas wycofać swe oddziały ze

świeżo zaanektowanej Finlandii i zasilić nimi nowoczesną armię księcia Michała Barclaya de Tolly.

Początkowo siły rosyjskie liczyły nie więcej niż 120000 żołnierza, ale stopniowo wzmocniło je pięć oddziałów pod wodzą Kutuzowa, wycofanych z księstw naddunajskich po pośpiesznym podpisaniu traktatu pokojowego z Turkami. Kolejny układ, jaki Aleksander zawarł ze swym przeciwnikiem z Północy, Szwecją, pozwolił mu wycofać z Finlandii 14000 żołnierzy. Co więcej, w miarę nasilania się działań wojennych tworzono coraz to nowe bataliony. Rosyjskie oddziały, których liczba stale rosła, podzielono na dwie osobne armie: jedną pod dowództwem Barclaya de Tolly, drugą - Piotra Bagrationa. Trzecia armia, dowodzona przez generała Tormasowa, powstała nieco później na Podolu, by mieć na oku korpus księcia Schwarzenberga, stanowiący prawe, najdalej na południe wysunięte skrzydło Wielkiej Armii. Wszystkie trzy armie, nawet połączone, nie byłyby w stanie stawić czoła przeważającym siłom najeźdźcy. Napoleon jednakże ani myślał dopuścić do ich zjednoczenia; pragnął rozprawić się z każdą z osobna.

Rosjanie zdawali sobie z tego sprawę, i za radą Barclaya de Tolly postanowili zwabić wroga w głąb wrogiego kraju, nie dopuszczając jednocześnie do tego, by Napoleon okrążył którąkolwiek z armii. Unikając decydującej bitwy, ustawicznie nękali nieprzyjaciela, którego rezerwy znalazły się na wyczerpaniu. Wymykając się Napoleonowi, siły rosyjskie zmierzały w forsownym marszu w kierunku Dźwiny i Dniepru. W ten sposób nadzieja na rozstrzygające starcie rozwiała się bezpowrotnie. Bonapartemu nie chciało się wierzyć, że Rosjanie oddadzą mu Litwę bez jednego strzału. Zakładał, że przystąpią do walki przed lub za Wilnem. Przekonany, iż odniesie oszałamiające zwycięstwo powtarzał Caulaincourtowi: - Gdy tylko ich pokonam, Aleksander będzie błagał o pokój. - Wycofujący się Rosjanie niszczyli wszystko, co mogło się przydać wrogowi: urządzenia wojskowe, domy, chłopskie chaty, zapasy żywności - wywożąc jednocześnie na wschód, za Wołgę, to co dało się ocalić. Tak więc najeźdźcy, którzy spodziewali się, że łupy wojenne zapewnią im przetrwanie, zastali jedynie bezkresne pustkowia, ogołocone z prowiantu i schronienia; nawet woda bywała nieraz zatruta.

Na domiar złego zaskoczył ich surowy i kapryśny klimat. W kilka dni po przekroczeniu Niemna, a potem przez cały lipiec, nękał ich wpierw nieznośny upał, potem zaś ulewne deszcze. Do tego długie odcinki dzikiego bezdroża paraliżowały transport, natomiast brak żywności i paszy znacznie osłabiły napoleońskie wojska. W miarę jak Wielka Armia parła naprzód, jej szeregi rzedniały wskutek dezercji, chorób oraz strat poniesionych w licznych potyczkach. W trakcie wyczerpujących marszów, podczas których niekończące się kolumny wojsk wlokły się jak muchy w smole, niebrukowane piaszczyste drogi roiły się od maruderów. Artyleria utraciła jedną trzecią koni, a w doszczętnie spalonych siołach nie można było znaleźć nic do jedzenia.

W międzyczasie Rosjanie dawali pokaz niezwykłego patriotyzmu. Wszystko, co mogło okazać się przydatne - konie, broń, sprzęty, prowiant, przekazywano wojsku. Starzy i młodzi, rezerwiści i przedpoborowi hurmem zaciągali się do

armii. Na naprędce organizowane oddziały podążały szybkim marszem do ośrodka dowodzenia. Partyzantka nękała najeźdźców posuwających się w głąb kraju. Głowy rodzin, często mężczyźni siedemdziesięcioletni, a i starsi, zasilali szeregi walczących, niezwykle bohatersko znosząc niebezpieczeństwa i trudy wojaczki.

Pod koniec czerwca poinformowano Napoleona o przybyciu adiutanta cara, generała Bałaszowa, z osobistym listem od Aleksandra. Twarz cesarza pojaśniała radością. - Mój brat Aleksander już prosi o zgodę. Boi się. Dzięki mojej strategii rozgromiłem Rosjan. Nie minie miesiąc, a będą błagać o litość.

Tymczasem treść listu Aleksandra brzmiała następująco: "Jeśli Wasza Cesarska Mość zechce łaskawie wycofać swoje wojska z terytorium Rosji, uznam to co zaszło za niebyłe, i możliwe, że dojdziemy jeszcze do porozumienia". Przejrzawszy pobieżnie list, Napoleon wybuchnął: - Prosić mnie o całkowite wycofanie wojsk... Jak on śmie żądać tego od zwycięscy spod Austerlitz i Frydlandu?... Aleksander sobie ze mnie kpi!

Rozmowa z Bałaszowem przemieniła się w kłótnię, a w końcu, w awanturę. Z roziskrzonymi oczyma Napoleon zagadnął gościa zaczepnie: - Która droga prowadzi prosto do Moskwy?

Bałaszow ripostował: - To zależy jak komu wygodnie. Karol XII wybrał drogę przez Połtawę.

Napoleon uznał odpowiedź za kiepski żart. Wciąż chodziło mu o to, by pokonać nieprzyjaciela w jednej wielkiej decydującej bitwie, oraz wedrzeć się w głąb Rosji, ażeby móc podyktować wrogowi warunki pokoju. Przewidywał, iż do ostatecznej potyczki dojdzie gdzieś pomiędzy Dźwiną a Dnieprem, pomiędzy Witebskiem a Smoleńskiem. Ale Wilno i Smoleńsk dzieliło 250 mil, a stamtąd do Moskwy czekało kolejne 250 mil wypalonej, opustoszałej ziemi.

* * *

Od początku konfliktu zbrojnego Aleksander przeżył wiele bolesnych chwil. Pomimo mobilizacji, siły rosyjskie nadal nie były w stanie dać pola najeźdźcy Co gorsza, w jego kwaterze głównej nie ustawały zażarte kłótnie, intrygi i rywalizacja. Barclay de Tolly, Bagration i Tormassow bez przerwy sprzeczali się, oskarżając się wzajemnie o brak zdecydowania, tchórzostwo, a nawet zdradzieckie spiski.

27 lipca, tuż przed Witebskiem, wydawało się, że Rosjanie gotowi są podjąć walkę, jednak nazajutrz o świcie wróg zniknął bez śladu. Rozczarowany Napoleon stwierdził: - Obydwie rosyjskie armie zdecydowały się przypuszczalnie na bitwę pod Smoleńskiem. Zaatakuję je obie... - I faktycznie, 17 sierpnia, wrogie wojska starły się ze sobą u bram Smoleńska. Bitwa była krótka ichaotyczna. Wieczorem Rosjanie wycofali się, podpaliwszy uprzednio miasto. Stosunkowo łatwe zwycięstwo skłoniło Napoleona do uderzenia bezpośred-

nio na Moskwę. Powiedział Caulaincourtowi: - Przed końcem miesiąca będziemy w Moskwie, a za sześć tygodni będziemy mieli pokój.

Bonapartego przerażała nie tyle perspektywa pokonania 250 mil w tym zniszczonym i spalonym terenie, gdzie hurmy kozaków nękały flanki jego armii, ile kłopoty z rozbudową sieci łączności. Znajdował się wszak 300mil od brzegów Niemna, gdzie przeniesiono główne bazy zaopatrzeniowe i arsenały - 650 mil od Odry, 1100 mil od Renu i 1300 mil od Paryża.

Bitwa pod Smoleńskiem wywołała żywe niezadowolenie rosyjskiej opinii publicznej. Francuzi nieustannie parli na Moskwę, wobec czego rosyjski establishment domagał się zdecydowanego powstrzymania odwrotu carskiej armii i stawienia czoła nieprzyjacielowi w obronie Starej Stolicy. Wyrażano ostrą krytykę pod adresem zdolności dowódczych Barclaya de Tolly, insynuując nawet zdradę. Od początku kampanii Aleksander zmagał się z drażliwym problemem wybrania naczelnego wodza. Skrupulatnie studiował raporty nadsyłane mu przez dowódców frontowych oraz listy pełne skarg pod adresem Barclaya de Tolly, jego "niezdecydowanego" dowodzenia i wojskowej "niekompetencji". Wysłuchiwał również narzekań na jego rzekome "zdradzieckie kontakty z wrogiem". Podobne oskarżenia kierowano także pod adresem Bagrationa. Jako cudzoziemców, otaczała ich aura podejrzeń tworzona przez Rosjan, którzy zazdrościli im wysokiej pozycji. Aleksander był w kropce. Wszyscy żądali zdymisjonowania Barclaya de Tolly, twierdząc, iż jest zdrajcą i głupcem. Ale któż miał go zastąpić? Aleksander nie wątpił w męstwo Bagrationa, lecz nie pokładał zbytniej wiary w jego znajomość zagadnień strategii. Nie ufał Bennigsenowi i nie lubił go za rolę, jaką odegrał w zamachu na cara Pawła. Poza tym, Bennigsen, z pochodzenia Hanowerczyk, w jeszcze mniejszym stopniu mógł mienić się Rosjaninem aniżeli Barclay, który przynajmniej szczycił się tym, że pochodzi z Inflant, ówczesnej prowincji rosyjskiej, wydartej z rąk Szwedów w Wielkiej Wojnie Północnej przez Piotra Wielkiego. W pewnej chwili Aleksander wahał się, czy samemu nie przejąć funkcji głównodowodzącego sił zbrojnych, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, jak niewiele wie o sztuce wojennej. W końcu, jak to już nieraz bywało, zniechęcony, przygnębiony i skołowany, wróciwszy z frontu, udał się do Tweru na spotkanie z ukochaną siostrą, Katarzyną.

W owym czasie Katarzyna była już w zaawansowanej ciąży, toteż miewała przypływy złego humoru i często wpadała w gniew. Pomimo odmiennego stanu, który nie pozostał bez wpływu na jej wygląd, oraz jej złego nastroju, Aleksander wciąż był pod wrażeniem jej niezłomnego ducha i nieugiętej woli. Teraz żałował, że zmusił ją do zawarcia małżeństwa bez miłości, które stwarzało obecnie wiele barier, fizycznych i psychicznych, pomiędzy nim a najbliższym, najbardziej wyrozumiałym i inteligentnym kompanem. Starał się być uprzejmym wobec jej męża, potulnego a zarazem zadowolonego z siebie Jerzego. Niekiedy jednak ogarniała Aleksandra wściekłość. Wpadał w szał z powodu własnej niefortunnej decyzji. Rozgoryczenie wywołane tym, iż pozwolił takiemu zeru stanąć pomiędzy sobą a siostrą, dawało o sobie znać i godziło w biednego szwagra. Pieklił się, iż Jerzy nie dostarczył dostatecznej liczby żołnierzy,

że osobiście ich nie szkolił i że stacjonowali zbyt blisko domu. Tuż przed wyjazdem wysłał Jerzego, by osobiście przeprowadził inspekcję kontyngentów owsa wysyłanych dla twerskich dragonów, które właśnie odchodziły na front. Chciał być sam na sam z Katarzyną. Zaniepokojona planami brata, który najwyraźniej chciał odgrywać rolę, do której się nie nadawał, Katarzyna błagała go, by porzucił zamiar kierowania operacjami wojskowymi. - Na Miłość Boską - przekonywała - nie próbuj osobiście dowodzić armią. Nie mieszaj się do tych spraw. Zapomniałeś Austerlitz? Potrzebny nam nowy i kompetentny wódz, do którego wojsko ma zaufanie. Ty nie wzbudzasz go wcale.

- Wiem, ale kogo mam wyznaczyć?

- Daj sobie spokój z tymi cudzoziemskimi najemnikami, tymi wszystkimi protestantami - Niemcami i Szkotami, Bennigsenami i Barclayami. By podbudować morale oddziałów musisz mieć wśród dowodzących więcej Rosjan. Ogłoś, iż ta wojna jest walka do upadłego, narodową krucjatę. Tylko prawdziwy prawosławny Rosjanin, taki jak na przykład Kutuzow, przywróci wiarę naszego narodu w wojnę patriotyczną.

- Modlę się o to i ufam, że poród będzie łatwy i obejdzie się bez komplikacji.

Następnie pocałował Katarzynę w czoło i szepnął: - Cokolwiek przydarzy się mnie i naszej ojczyźnie, musisz pamiętać, że kochałem ciebie bardziej niż kogokolwiek. Żegnaj, moja droga.

Zrezygnowany, z ciężkim sercem, wsiadł do bryczki, która miała go zawieźć do Moskwy. Gdy ruszyli, nie zważając na obecność Piotra Wołkońskiego, wybuchnął gorzkimi łzami. Dopiero po mniej więcej godzinie opanował spazmy płaczu i wrócił do siebie na tyle, by móc przestudiować najświeższe doniesienia z frontu. Nie poprawiło to jednak jego nastroju. Na każdym odcinku odwrót albo porażka, Francuzi atakują i prą naprzód. Ponownie ogarnęła go depresja. "Jak się skończy ta przeklęta wojna?". Wreszcie, przezwyciężając przygnębienie, podyktował Wołkońskiemu rozkaz mianujący Kutuzowa wodzem naczelnym wszystkich carskich sił zbrojnych.

W owym czasie Kutuzow liczył już lat sześćdziesiąt siedem. Był otyły, ślamazarny i wiecznie ospały, poza tym cierpiał na artretyzm i podagrę. Miał tylko jedno oko, drugie wybiła mu nieprzyjacielska kula. Z trudem dosiadał konia, zwykle potrzebował dwu i więcej adiutantów, by usadowili go w siodle na tę krótką chwilę, kiedy dokonywał przeglądu oddziałów. Zazwyczaj podróżował w wygodnej bryczce na resorach. Nie mogąc mu wybaczyć upokorzenia, jakiego doznał pod Austerlitz, Aleksander traktował generała ozięble, niemniej, cenił jego doświadczenie oraz to, iż cieszył się zaufaniem zarówno zwykłych żołnierzy, jak i oficerów sztabowych. - Ma na nich wyjątkowy wpływ - wyznał raz Wołkońskiemu. - Dlatego postanowiłem mianować go głównodowodzącym wszystkich trzech armii.

W istocie rzeczy, Kutuzow całkowicie zgadzał się z planem Barclaya de Tolly - scytyjską strategią odwrotu pomieszaną z taktyką dywersji, a także polityką spalonej ziemi. Wszelako, chcąc zadowolić cara i potwierdzić słuszność nominacji - tudzież dla uspokojenia opinii publicznej - Kutuzow postanowił roze-

grać główną bitwę na zachód od Moskwy. Pozostał tylko wybór odpowiedniego miejsca.

* * *

Aleksander, kierowany poczuciem odpowiedzialności, udał się do Moskwy, by dokonać przeglądu urządzeń obronnych. Na Kremlu przywitał go generał gubernator, hrabia Rostopczyn. Podczas dwumiesięcznej kadencji udało mu się obudzić w narodzie ducha patriotyzmu i nienawiść do Napoleona. Rostopczyn towarzyszył carowi podczas uroczystej mszy w tamtejszej Katedrze czy też Dormitionie, odprawianej przez patriarchę, podczas której Aleksander doznał niezwykłego uczucia. Otóż, patriarcha, zwracając się do cara, rzekł: - Tyś jest żywą ikoną a także narzędziem Boga na ziemi. W twe ręce oddał On nie tylko losy Rosji, ale i całego świata. Ty jesteś tarczą i mieczem Wszechmogącego. - Aleksander oniemiał na te słowa, a w jego sercu, umyśle i duszy zaszła niespodziewana zmiana. Podziwiając grobowce dawnych carów i patriarchów na Kremlu poczuł jak odzyskuje dawnego ducha. Było to niczym akt łaski - czuł, iż Opatrzność powierzyła mu zadanie wyzwolenia własnego narodu.

Do tamtej chwili religijne uczucia nie odgrywały w jego życiu większej roli. Często drażniły go te niekończące się rytualne zaklęcia. Teraz, nagle, nabrały dlań nowego znaczenia, stały się wyrazem czegoś głębszego. Nadal kryło się za nimi coś enigmatycznego, jednak wspomnienie tych przeżyć otwierało przed nim nowe metafizyczne perspektywy. Od czasu owej pamiętnej wizyty w Moskwie, Aleksander, jak dotąd sceptyk i praktykujący ateusz, począł wątpić w swoje zwątpienie. Jego umysł pogrążył się w chaosie. Skoro mógł doznać łaski nawrócenia po kilku chwilach modlitwy i medytacji, to być może religia jest czymś więcej niż pozostałością barbarzyńskiej przeszłości, czymś więcej niż narzędziem do manipulowania prostymi ludźmi, jak nauczali go w młodości babka i Laharpe.

Po powrocie z katedry do kwatery na Kremlu nagle, po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat, poczuł potrzebę studiowania Biblii. Posiadał wersję anglojęzyczną, którą wielebny Samborski podarował mu na dziesiąte urodziny, jednak zniechęcony przez Laharpe'a, ani razu jej nie otworzył. Jego mentor zapewniał go, iż grecka mitologia jest tysiąc razy ciekawsza, bardziej pouczająca i barwna od tych "dziwacznych opowieści biblijnych". Z czystej ciekawości sięgnął po opasłą, bogato zdobioną rosyjską księgę, którą był zoczył na górnej półce kremlowskiej biblioteki. Próbował właśnie unieść ciężki wolumen, gdy ten spadł na podłogę. Schyliwszy się, by go podnieść, Aleksander spostrzegł, że Biblia otwarła się na Księdze Przysłów, 41: "Powiem o Panu: On jest moim schronieniem i twierdzą, Bóg mój. W Niego chcę wierzyć".01HI101HI Na Aleksandrze zrobiło to duże wrażenie. Czy fakt, iż Pismo Św. otworzyło się w tym właśnie miejscu to czysty przypadek? A może było to osobiste przesłanie nie-

bios w godzinie niebezpieczeństwa? Gorączkowo pochłaniał księgę, a w Apokalipsie Św. Jana wyczytał: "I ujrzałem: oto biały koń, a siedzący na nim miał łuk. I dano mu wieniec, i wyruszył jako zwycięzca, by jeszcze zwyciężać..."

Zafascynowany tym fragmentem, nadal wertował Nowy i Stary Testament. Przez resztę wieczoru studiował Biblię, odkrywając, że jej słowa przynoszą sercu nieznany spokój i zaspokajają pragnienie duszy. Głęboko medytował nad słowami: "Wierz w Pana całym swoim sercem i nie polegaj na własnym rozumie". Im dłużej czytał, tym bardziej go to absorbowało. Około 4.30 nad ranem zasnął wyczerpany. Spał niespokojnie, dręczony koszmarem o jeździcu na białym koniu, z którym starł się w krwawym pojedynku. Przypomniał sobie przepowiednie starego Cygana.

Obudził się wczesnym popołudniem, cały w dreszczach, a służący, Mielnikow, poinformował go, że od ponad dwóch godzin czeka na niego dwóch panów, generałowie Rostopczyn i Bałaszow, by zdać raport oraz prosić o instrukcje. Aleksander ubrał się w pośpiechu z pomocą Mielnikowa, po czym odbył z gośćmi czterogodzinną konferencję. Po wszystkim wrócił do pokoju, by oddać się medytacji. Doszedł do wniosku, że nieźle byłoby czytać Pismo Święte częściej, porównując wersję rosyjską z angielską, oraz notować na marginesie osobiste spostrzeżenia. Wkrótce jednak zapomniał o tym postanowieniu, przygnieciony ogromem obowiązków natury wojskowej i administracyjnej: podpisywaniem rozkazów i dekretów, dokonywaniem przeglądu nowych jednostek wysyłanych na front oraz negocjacjami z cudzoziemskimi dyplomatami.

Gdy opuszczał Moskwę, Aleksander żegnając się z generałem gubernatorem Rostopczynem dał mu nieograniczone pełnomocnictwa: - Kto wie, co się może zdarzyć? Polegam całkowicie na twej mądrości i energii.

Rostopczyn odrzekł: - Sire, możesz na mnie liczyć. - I rzeczywiście, natychmiast zabrał się do dzieła. Aby jeszcze bardziej rozpalić patriotyczne uczucia moskwiczan, wydał odezwę wzywającą ich do "najwyższej ofiary w obronie naszego Świętego Miasta przed niewiernymi i okrutnymi Francuzami, szarańczą i plagą Europy. Niech piekło pochłonie piekło!"

Reakcja ludzi przeszła najśmielsze oczekiwania. Moskwiczanie prześcigali się w składaniu ofiar. Kupcy podarowali łącznie 2400000 rubli na potrzeby wojny. Sam hrabia Mamonow ofiarował 800000 rubli w srebrze oraz szkatułkę pełną diamentów wartych kolejne setki tysięcy. Niektórzy wielmoże ogłaszali, iż zwalniają swoich aktorów, chórzystów, całe prywatne orkiestry, by ich członkowie mogli zaciągnąć się do milicji obywatelskiej. Inni deklarowali zmiejszenie liczby lokai, koniuszych oraz pozostałej czeladzi, by mogli zasilić szeregi wojska. Wszelako nie przezwyciężono człowieczej natury: co niektórzy moskiewcy kupcy postanowili zrobić niezły interes na tym patriotycznym szaleństwie. Z dnia na dzień cena szabli skoczyła z 5 - 6 do 30 - 40 rubli. Za parę pistoletów, kosztujących dotąd 8 - 10 rubli, zdzierano teraz od 40 do 50 rubli.

* * *

Aleksander wjechał ukradkiem do Petersburga 2 września o 2. rano, po długiej podróży przerywanej kilkoma postojami i pośpiesznymi przeglądami nowo uformowanych oddziałów. Niekiedy składały się one z chłopów z północnych gubernii, w innych przypadkach - z jednostek jeźdźców baszkirskich lub tatarskich, sprowadzonych ze środkowej Azji i pogranicza Syberii. Wielu z nich dosiadało drobnych kucyków o owłosionych kopytach, a na całe uzbrojenie nierzadko składały się długie włócznie, łuki i kołczany pełne strzał. Jedynie centurioni tych egzotycznych jednostek posiadali pistolety i muszkiety, przewieszone przez plecy. W zaciśniętych pięściach trzymali wygięte kindżały, którymi salutowali "białemu chanowi". Słyszeli o nim dziwaczne, fantastyczne opowieści. Bywało, że ci dziwni wojownicy nie rozumieli ani słowa po rosyjsku. Gdy rosyjski dowódca szwadronu baszkirskiego zawołał: "Pluton - w prawo zwrot!", nikt nawet nie drgnął. Dopiero gdy zastępca dowódcy, krajowiec, powtórzył rozkaz po swojemu, jednostka wykonała manewr. Kiedy szwadron przejeżdżał oddając honory Aleksandrowi, zauważył on, że niektóre kucyki są niewiele większe od syberyjskich psów. - Są małe, ale wytrwałe - objaśniał Wołkoński. - Tygodniami mogą żywić się jedynie sianem i gałęźmi drzew iglastych.

Car wrócił do stolicy w samą porę. Podczas jego nieobecności, z braku wiarygodnych wieści z frontu, po mieście zaczęły krążyć niestworzone historie. Z Rygi napływały raporty, że jej gubernator stracił zimną krew, zarządził ewakuację mieszkańców i podpalił przedmieścia portowe zamiast przygotować obronę. Jeszcze bardziej niepokoiły doniesienia, iż Napoleon, zająwszy Smoleńsk, kieruje się prosto na Moskwę. Aleksander natychmiast rozkazał garnizonowi, nadal stacjonującemu w Petersburgu, maszerować na południe i przyłączyć się do Kutuzowa, który przygotowywał się do większej bitwy na zachód od Moskwy. Dla mieszkańców stolicy oznaczało to, że pozostawia się ich samym sobie, z zaledwie kilkoma batalionami świeżych rekrutów, którym powierzono obronę miasta. Z tego też względu, Cesarzowa Wdowa, Maria Fiedorowna kazała spakować co wartościowsze rzeczy na wypadek, gdyby rodzina cesarska miała się w pośpiechu ewakuować. Wiele urzędów przystąpiło do niszczenia ważnych dokumentów państwowych. Na Placu Senackim płonęły ogromne sterty papierów.

Pomimo inwazji napoleońskiej Teatr Francuski w Petersburgu nie zaprzestał działalności. Wielu mieszkańców stolicy uznało to za rzecz oburzającą, wychodząc z założenia, że w takiej chwili nie powinno się tolerować francuskich aktorów i aktorek w jedynym publicznym teatrze w mieście. Dla okazania dezaprobaty niektórzy petersburczycy bojkotowali przedstawienia. Brytyjski obserwator wojskowy, sir Robert Wilson, zauważył, że gdy poszedł obejrzeć sławną mademoiselle Georges w głównej roli w *Fedrze* Racine'a, większość lóż i miejsc na sali świeciła pustkami.

Dla podbudowania morale dworu oraz społeczeństwa Aleksander uroczyście poprzysiągł "prędzej wycofać się do Kazania i dalej walczyć na brzegach Wołgi, zapuścić brodę i jeść ziemniaki na Syberii, jak najbiedniejszy chłop niż podpisać traktat pokojowy". Lecz przesiadując samotnie w swym gabinecie, wątpił w szczerość swoich słów i w to, czy Kutuzow będzie w stanie powstrzymać najeźdźców u wrót Moskwy, pomimo posiłków z Petersburga. Gdy śpiewano "Te Deum" w Katedrze Naszej Pani z Kazania w rocznicę koronacji Aleksandra, tłumy zachowywały złowrogą ciszę i dolatywały jedynie głosy kościelnego chóru. "Można było słyszeć brzęczenie muchy - pisała Elżbieta - a sądzę, że wystarczyłaby mała iskierka, by rozpalić w tłumach ogień namiętności". Zaniepokojony Aleksander na klęczkach modlił się do Boga prosząc o siłę, aby mógł wytrwać w postanowieniu. Sardyński ambasador, hrabia de Maistre, pisał do swego króla, iż "tylko cud może w chwili obecnej ocalić Rosję".

* * *

Po nominacji Kutuzowa na stanowisko głównodowodzącego, wszyscy spodziewali się, iż rosyjska strategia ulegnie zmianie z dnia na dzień, armia stawi nieprzyjacielowi zdecydowany opór i rozgromi go w jednej, decydującej bitwie. Jednak po objęciu najwyższego dowództwa, nowy naczelny wódz sił zbrojnych zarządził natychmiastowy odwrót z obwodu smoleńskiego w kierunku na zachód. Rosyjskich patriotów spotkało ponowne rozczarowanie. Podczas gdy Aleksander oddawał się mrocznym medytacjom nad Bogiem i jego tajemnymi zrządzeniami, Kutuzow przegrupowywał swoje oddziały i mobilizował tysiące chłopów, w tym i kobiety, nakazując im przygotowanie obszernych redut wzdłuż rozległego pola oskrzydlającego wieś Borodino. Wioska rozciągała się pomiędzy drogą ze Smoleńska do Moskwy, jakieś 75 mil na zachód od starej stolicy, na lewym brzegu Kołczy, dopływu rzeki Moskwy. Oddziały Napoleona, obecnie liczące zaledwie nieco ponad 135000 ludzi, musiały zająć Borodino, chcąc kontynuować marsz na Moskwę smoleńską trasą.

Kutuzow skoncentrował ponad dwie trzecie swych sił na północnym lub też prawym skrzydle. Pozycję Rosjan za Kołczą chroniła rzeka Moskwa oraz silne umocnienia ziemne, na lewej flance zaś równie potężne reduty. Tak więc, gdyby Napoleon chciał obrać najkrótszą drogę na Moskwę, musiałby się wpierw przedrzeć przez szereg silnie ufortyfikowanych pozycji. Kutuzow miał zatem nadzieję, że zmusi nieprzyjaciela do frontalnego ataku. Przyświecały mu dwa cele: pozwolić wrogowi wykrwawić się, a zarazem samemu zachować dość sił na obronę dawnej stolicy. Do tej pory stan ilościowy obu wrogich armii mniej więcej się wyrównał. Wojska rosyjskie liczyły około 132000 ludzi i 624 dział, armia francuska natomiast około 135000 ludzi i 587 armat. Lecz podczas gdy siły francuskie składały się z regularnych żołnierzy, oddziały rosyjskie zasiliło około 21000 niedostatecznie wyszkolonych i słabo uzbrojonych ochotników oraz 7000 nieregularnej kawalerii, na ogół kozaków. Spodziewano się, iż Na-

poleon rozgromi siły rosyjskie i zamierza przedrzeć się przez sam środek ich pozycji, obejść lewe skrzydło i odciąć odwrót na Moskwę.

W nocy, 6 września, dwie armie stanęły na przeciwko siebie wzdłuż wąskiego pasa zaoranych pól. W migoczącym świetle obozowych ognisk nieziemskie cienie spajały się z ciemnością. Napoleon dokonywał przeglądu swych oddziałów, a rosyjskich oficerów dochodziły okrzyki "Vive l'Empereur", gdy przechodził wzdłuż szeregów i gwarzył z żołnierzami na wysuniętych posterunkach. Po obu stronach panowało zbyt silne napięcie, by móc spokojnie udać się na spoczynek.

O świcie rozległ się przeraźliwy huk armat. Bitwa rozpoczęła się około 6.rano od szarży oddziałów Eugeniusza Beauharnais na Borodino przez Kołczę. Rosjanie odparli napór Francuzów zadając im ciężkie straty. Nie powiodły się także ataki polskich oddziałów pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, te jednak na kilka godzin związały część rosyjskiego korpusu. Ofensywa głównych sił Napoleona na dwie reduty strzegące skrzydeł rosyjskiej obrony trwała nieprzerwanie ponad sześć godzin. Jedną z głównych przeszkód stanowił dla atakujących fort określany mianem "reduty Rajewskiego", nazwany tak ze względu na waleczność generała, który nim dowodził. Podtrzymywał ducha walki u swoich żołnierzy przechadzając się wśród nich z fajką w zębach, w lśniących butach i nieskazitelnie czystym mundurze. Celem obrony reduty, dowódca umieścił działa daleko za piechotą, przednie okopy wypełniając uzbrojonymi w bagnety fizylierami. Szarżującym kawalerzystom reduta przypominała ogromnego jeżozwierza stroszącego stalowe bagnety, przez którego miały przeskoczyć ich konie. Atak francuskiej kawalerii, który sam w sobie stanowił nadludzki wysiłek, poprzedzała dzika kanonada z ponad stu dział. Reduta była tak zbombardowana, że jej parapety zamieniły się w bezkształtną masę wywróconej ziemi, spowitej gęstym kurzem i dymem, zza którego od czasu do czasu przezierał czerwonawy blask rosyjskich armat plujących pociskami.

Widząc opór reduty, Napoleon rozkazał, by ponownie przypuszczono na nią szarżę. Zadanie to powierzono Drugiemu Korpusowi Kawalerii pod dowództwem generała Mountbruna. Podczas natarcia został on strącony z konia kartaczem, którego odłamek przebił mu nerkę. I ten manewr zakończył się klęską - zdziesiątkowaniem kwiatu napoleońskiej kawalerii. Bonaparte odwołał generała Mountbruna, mianując na jego miejsce generała Augusta de Caulaincourt, młodszego brata Armanda, byłego ambasadora Francji w Petersburgu. Augustowi rozkazano ponowienie ataku bez oglądania się na straty. Taktyka nowej ofensywy miała ulec zmianie: kawaleria miała oskrzydlić redutę z obu stron, frontalne natarcie natomiast miały przypuścić trzy dywizje piechoty, w sile około 30000 ludzi pod wodzą księcia Eugeniusza Beauharnais, przy wsparciu blisko 300 dział.

Szturm przypuszczono o 3. po południu. Rozpętało się istne piekło. Pod osłoną salwy artyleryjskiej, lawiny kartaczy i gradu pocisków wystrzeliwanych z muszkietów, francuska piechota wdarła się do reduty, jednak już po chwili została ponownie wyparta. Następnie Francuzi szarżowali w dwu miejscach.

Rozgorzała straszna walka. Ludzie i konie spadali tyłem ze stromych zboczy reduty, rozlegały się okrzyki jeźdzców próbujących wydobyć się spod rannych zwierząt. Ci, którym udało się przeskoczyć ponad bagnetami fizylierów tratowali wszystko co znalazło się pod kopytami, niosąc śmierć i zagładę pozostałym obrońcom. Jeźdźcy, których strącono z koni kontynuowali szalony atak pieszo, rzucając się na wroga z szablami, pięściami, a nawet zębami. Zadaniem drugiej fali kawalerzystów, głównie Polaków i Sasów, było przeprowadzenie jednoczesnego szturmu z lewej i prawej flanki, celem zakończenia tej strasznej jatki.

Pod koniec bitwy, reduty i wszystko dokoła pokrywały trupy i ranni, a zbłąkane konie bez jeźdzców potęgowały ogólny chaos. Ci, którzy odnieśli lżejsze rany próbowali o własnych siłach dostać się do wozów sanitarnych. Pole bitwy usłane było powywracanymi jaszczami oraz końską padliną ze sztywnymi nogami wyrzuconymi w powierze. Wszędzie walały się strzelby, szable, hełmy i kirasjerskie napierśniki wymieszane z fragmentami rozszarpanych ludzkich ciał, poodrywanych kończyn. Na polu bitwy rozlegały się dzikie okrzyki ciężko rannych, przeklinających własny los lub błagających pozostałych przy życiu towarzyszy, by sprowadzili sanitariuszy, którzy odtransportują ich do najbliższego punktu sanitarnego. Niestety, wysłuchano zaledwie parę takich próśb. Większość ocalałych była tak wyczerpana, że z trudem mogła zatroszczyć się o samych siebie.

Niepewny sytuacji, z dala od spowitego dymem pola bitwy, Napoleon z niepokojem śledził starcie, w którym zwycięstwo - niczym huśtawka - przechylało się raz na jedną, raz na drugą stronę. Pomimo ponagleń marszałków nie rzucił do boju dwudziestotysięcznej Gwardii Cesarskiej. - W tej odległości od Francji nie mogę ryzykować utraty mych wiarusów - odpowiedział. Wahanie to kosztowało Napoleona utratę szansy na decydujące, nie zaś tylko pozorne zwycięstwo, Kutuzow bowiem rzucił do boju wszystkie dostępne mu siły. W konsekwencji, starcie to pozostało w gruncie rzeczy nieroztrzygnięte. Jednak, skoro wojska rosyjskie opuściły pole bitwy i wycofały się na wschód, Napoleon ogłosił się zwycięzcą. By podnieść w oczach świata rangę tej krwawej batalii, w swoich annałach określił ją mianem Bitwy nad Moskwą, choć w rzeczywistości rozegrała się ona nad jednym z jej dopływów. W czasie bitwy pod Borodino Napoleona zaskoczyła taktyka armii rosyjskiej: manewry rezerwy z tyłu i wzdłuż frontu, długofalowe wykorzystanie kawalerii oraz czynna obrona połączonych sił piechoty, kawalerii i artylerii.

Była to najbardziej krwawa batalia w całej kampanii, słowem pyrrusowe zwycięstwo. Armia francuska poniosła niepowetowane straty: ponad 30000 zabitych, w tym 47 generałów. Wojska rosyjskie straciły 44000 ludzi i 23 generałów, wśród nich księcia Bagrationa, dowódcę drugiej armii. Caulaincourt towarzyszył Napoleonowi przy oględzinach pola bitwy. - To okropne, sire. - wołał zdegustowany. - Eee... tam! - odparł Napoleon. - Pamiętaj, sire, słowa rzymskiego cesarza: "trup wroga zawsze ładnie pachnie!"

* * *

Siedem dni później, w południe 14 września, forpoczty francuskiej armii zbliżyły się do Moskwy. Maszerując w szyku rozrzuconym, oddziały Napoleona wspięły się na Wróble Wzgórze, nad ich głowami zaś rozpościerało się jasne niebo. Zauroczeni majestatycznym widokiem żołnierze przystanęli i zawołali: - Moskwa, Moskwa!

Napoleon wjechał na sam szczyt galopem, zsiadł z konia, wziął lornetkę i zadumał się nad roztaczającym się przed nim widokiem. Ujrzał legendarne miasto, z tysiącem cerkwi i monastyrów zwieńczonych złotymi i lazurowymi kopułami w kształcie cebuli tudzież połyskującymi miedzianymi iglicami. Nie dalej niż jakąś milę stąd widać było czerwone wieże Kremla, dokoła którego tłoczyły się pobielone pałace i dworki wielmoży i zamożnych kupców, zatopione w zieleni parków i sadów. Uniesiony radością, Napoleon wykrzyknął: - A więc to jest to przesławne miasto! - po czym dodał. - Najwyższa pora!

Jego radość trwała jednak krótko. Dowiedziawszy się, że Rosjanie w pośpiechu ewakuują metropolię i usiłują puścić ją z dymem, zwrócił się do Caulaincourta: - Ci barbarzyńcy chcą zniszczyć swoją pradawną stolicę. Czy to możliwe? Caulaincourt, co pan o tym sądzi? Niech mi pan powie, może pan w to uwierzyć?

- Wasza Cesarska Mość wie lepiej niż ktokolwiek inny, co o tym sądzę - padła odpowiedź.

Gdy awangarda Napoleona wkroczyła do miasta, zastała je opuszczone, a w kilku miejscach budynki trawił ogień. Nigdzie ani śladu przedstawiciela władz starej stolicy, ani jednego policjanta; pozostało jedynie kilka tysięcy najuboższych mieszkańców, co poniektórzy zaś, korzystając z okazji, włóczyli się po ulicach i plądrowali puste domy. W trzecim dniu francuskiej okupacji masowe pożary, starannie zaplanowane przez Rostopczyna, poczęły ogarniać miasto.

Napoleon, chcąc położyć kres owym niszczycielskim praktykom, nakazał wieszać w trybie doraźnym osoby złapane na gorącym uczynku. Nie przeraziło to jednak podpalaczy, którzy nadal kontynuowali swe dzieło. Niektórzy posługiwali się pochodniami, inni koszami pełnymi przeróżnych materiałów palnych. Każdemu domowi zajmowanemu przez oficera francuskiego wyższej rangi groziło zniszczenie; wybuchła panika. Generał Grouchy, dowódzca Trzeciego Korpusu Kawalerii, uniknął upieczenia się we własnym łóżku dzięki temu, iż złapano podpalacza w chwili, gdy przykładał pochodnię do pościeli. Marszałek Davout musiał trzykrotnie zmieniać rezydencje, każdą z nich bowiem usiłowano puścić z dymem. Niektóre budynki sprytnie zamieniono za pomocą prochu w domy-pułapki; wybuch następował w chwili otwarcia drzwi.

W piątek rano, 18 września, zaczął padać deszcz, który następnie przerodził się w ulewę. Wygasiła ona większość pożarów, przeistaczając zdewastowane

miasto w morze błota. Ze zgliszcz spalonych domów wydobywały się kłęby czarnego dymu spowijającego Moskwę niczym pogrzebowy całun. W samym środku tych zgliszcz włóczyły się bez celu zmizerowane szkapy oraz sfory wygłodniałych psów. W powietrzu unosił się trupi zaduch. Napoleon, oglądając miasto z wieży bramy Spasskiej na Kremlu (zbudowanej z czerwonej cegły), pogrążył się w kontemplacji nad ogromem zniszczeń i westchnął: - To wszystko wróży dla nas wielkie nieszczęście!

Jako że główny rdzeń armii rosyjskiej ewakuował się ze starej stolicy bez walki, Napoleon powziął przekonanie, iż Aleksander będzie dążył do zawarcia pokoju. Dla zabicia czasu, niespokojny cesarz Francuzów oddał się zajęciom administracyjnym i literackim. *Statute Comedie Francaise* (tak a propos nadal obowiązujący) powstał na Kremlu, w przerwie pomiędzy jedną a drugą nieudaną próbą negocjacji z carem Aleksandrem.

20 września pisał do cara: "Nie ma już dumnej i pięknej Moskwy. Rostopczyn kazał ją spalić. Czterystu podpalaczy schwytano na gorącym uczynku. Wszyscy zeznali, iż działali na rozkaz swego gubernatora. Taktyka nie uległa zmianie od czasu Smoleńska. Tak nie postępują ludzie cywilizowani. Rozwiązaniem humanitarnym, a także zgodnym z interesami Waszej Cesarskiej Mości oraz tego wspaniałego miasta, było powierzenie stolicy mojej pieczy. Administracja, sądy, polityka powinny nadal funkjonować. Tak było w Wiedniu, Berlinie i Madrycie...". I tym razem list pozostał bez odpowiedzi.

Napoleon szalał ze złości. Ale jak miał się zemścić na rywalu? Tutaj, w samym sercu Rosji, nie musiał, tak jak na Litwie, spełniać kaprysów miejscowej arystokracji. Nagle przyszła mu do głowy olśniewająca myśl. Cóż mogło zmusić Aleksandra do działania jak nie groźba wojny domowej przeciwko obszarnikom? Napoleon nie wątpił, że wystarczy zagrozić, iż wyda dekret o zniesieniu poddaństwa, ażeby rosyjscy właściciele ziemscy skłonili cara do zawarcia traktatu pokojowego. Lecz po dłuższym zastanowieniu porzucił ten pomysł: "Dekret o zniesieniu poddaństwa oznaczałby totalną anarchię, w której pogrążylibyśmy się wszyscy bez wyjątku".

* * *

Po utracie Moskwy, Kutuzow starał się uzasadnić swoje rozumowanie w obszernym raporcie, który przedłożył niezadowolonemu carowi: "Po krwawej bitwie pod Borodino musiałem się wycofać się z zajmowanych pozycji. Armia pogrążyła się w chaosie". Dopiero dwa dni później Aleksander poczuł się pewny na tyle, by ogłosić tę gorzką prawdę poddanym. Kazał opublikować osobiste przeprosiny Kutuzowa, po wprowadzeniu do tekstu jedynie nieznacznych zmian, wraz z oficjalnym oświadczeniem rządu, broniącym decyzji generalissimusa i uzasadniającym opuszczenie stolicy zamiarem "przemienienia chwilowego triumfu wroga w ostateczną i nieuniknioną klęskę". Kończyło się ono

błaganiem Wszechmogącego o pomoc dla narodu rosyjskiego prowadzącego wszak słuszną walkę z nieprzyjacielem. Albowiem, triumfując nad Napoleonem "oraz ocalając sam siebie, ocali on [naród] wolność i niezależność władców i ich państw".

Z końcem września 1812 roku popularność Aleksandra osiągnęła najniżej notowany poziom. Car zaszył się w pałacu na Kamiennym Ostrowiu usytuowanym tuż przy kolanie rzeki Newy, gdzie podczas długich, samotnych spacerów rozmyślał nad swym ciężkim położeniem. Był chory, trawiła go gorączka, nie chciał się widzieć z nikim poza Arakczejewem i Bałaszowem, którzy informowali go o bieżących sprawach. Administrowanie cesarstwem powierzył Arakczejewowi, dowództwo wojskowe - Kutuzowowi, i modlił się żarliwie do Boga o pomoc. Jednak i w tym stanie przygnębienia jego wola oporu pozostała niezłomna. Pocieszał się nadchodzącymi raportami o reorganizacji i przegrupowaniu armii Kutuzowa, stacjonującej poza stolicą i szykującej się do ofensywy w stosownej chwili.

Najbardziej dotkliwą i bolesną ranę zadała mu siostra Katarzyna, ponownie ganiąc go za brak odwagi i zdecydowania, a przede wszystkim za zdradę zaufania narodu rosyjskiego. "Moskwa wzięta - pisała do niego. - Utrata Moskwy spowodowała ogólne rozdrażnienie. Powszechne niezadowolenie dosięgnęło szczytu, a i ciebie się nie oszczędza. Jeżeli ja tak widzę sprawy, to możesz sam osądzić jak widzą je inni. Otwarcie wini się ciebie za cierpienia twojego cesarstwa, za to, żeś doprowadził je do ruiny i wreszcie za to, żeś pogrzebał jego i własny honor. Jednym z głównych zarzutów jest to, żeś nie dotrzymał słowa danego moskwiczanom, którzy niecierpliwie czekali twego przybycia. Wygląda na to, żeś ich zdradził. Sam zastanów się nad położeniem kraju, w którym ludzie gardzą własnym monarchą. Pomyśl o honorze!".

Mimo to, znalazły się głosy popierające jego postawę. Francuska przeciwniczka Napoleona na emigracji, Madame de Staël, która schroniła się w Petersburgu, chwaliła w swym liście determinację cara i wolę dalszej walki. Brytyjski dyplomata, sir Robert Wilson oraz pruski baron na wygnaniu, Karl von Stein, również złożyli mu najlepsze życzenia i gratulacje za odmowę negocjacji z Napoleonem. Tym, którzy jak brat Konstanty, radzili mu zawrzeć pokój, Aleksander odpowiadał: - Czas i ogromne przestrzenie przemawiają na naszą korzyść. Jeśli Napoleon chce pokoju, to zawrze go na Kamczatce.

Tymczasem piętrzące się kłopoty sprawiły, iż Napoleon zaczął wątpić w możliwość przezimowania w Moskwie. Jak długo mógł pozostać w zdewastowanym, spalonym mieście? W październiku prawie skończyła się żywność znaleziona w piwnicach spalonych domów. Jak miał zaspokoić potrzeby armii? Jak utrzymać przeciążoną sieć łączności wiodącą przez Polskę i Niemcy? Czy rosyjska partyzantka, z każdym dniem rosnąca w siłę, nie odetnie mu odwrotu? I wreszcie, czy austriaccy i pruscy sojusznicy, których zadaniem było chronić jego flanki, nie wykorzystają jego trudnej sytuacji i nie zmienią frontu? Pokonane, lecz nie unicestwione siły nieprzyjaciela, znajdujące się tuż za miastem, z dnia na dzień nabierały odwagi i pewności siebie.

4 października Napoleon ponownie uczynił pojednawczy gest i wysłał do Kutuzowa generała de Lauristona z propozycją zawieszenia broni, którą następnie przekazano carowi. W posłaniach Napoleona Aleksander nie wyczytywał nic poza rozpaczliwym przyznaniem się do niemocy, wobec czego na żadne nie odpowiedział. Rozkazał Kutuzowowi, by ten poinformował żołnierzy, że wojna toczyć się będzie nadal, jak przedtem, bez litości, dopóty choć jeden francuski żołnierz pozostanie na rosyjskiej ziemi. - Albo Napoleon - albo ja. Nie możemy już dłużej panować jednocześnie. Poznałem się na nim. Już mnie nie przechytrzy!

- Aleksander jest uparty! - krzyczał Bonaparte po powrocie Lauristona. - Ale tego pożałuje! Lepszych warunków od tych, jakie mu dzisiaj zaproponowałem, nie dostanie nigdy! Jeszcze nie wie co to znaczy mieć do czynienia z człowiekiem o moim charakterze!

W połowie października, jednakże, po dwóch tygodniach zmarnowanych na negocjacje, francuskim oddziałom dano wreszcie długo oczekiwany rozkaz odwrotu. 19 października o świcie armia Napoleona zaczęła ewakuować się z Moskwy. Dawna Wielka Armia obecnie skurczyła się do niewielkich rozmiarów: 87500 piechoty, 14750 kawalerii oraz 533 dział, obciążona taborem złożonym z 40000 wozów i pojazdów załadowanych łupami i bagażem. Za nimi sunęła karawana cywilów, w tym francuskich kobiet i dzieci, a także służba zabrana podczas okupacji miasta. Tak oto wolno i ociężale ciągnął się ten niekończący się konwój. Napoleon wydał rozkaz, by zbędne pojazdy zostawiać po drodze i sam dla przykładu spalił jeden ze swoich. Wszelako okazało się, że innych nie da się namówić na podobny gest. W końcu on sam zrabował niektóre ze skarbów Kremla, w tym wielki krzyż z Dzwonnicy Iwan Wielki, który zamierzał umieścić nad Hotelem Inwalidów.

Odwrót spod Moskwy był bodajże najbardziej upokarzającym i tragicznym wydarzeniem w politycznej karierze Napoleona. Wydawało się, iż nawet przyroda sprzysięgła się przeciw niemu. Zima nadeszła pod koniec października, a z początkiem listopada temperatura spadła znacznie poniżej zera. Zdemoralizowani żołnierze, na ogół obładowani łupami, w równej mierze cierpieli z braku żywności i opału, co z braku ciepłej zimowej odzieży. Co więcej, w wypalonej i opustoszałej okolicy nie mieli gdzie skryć się przed dotkliwym chłodem nocy i musieli biwakować na zamarźniętej ziemi oraz spać w śniegu, przykryci tylko pledem lub słomą skradzioną z walących się wiejskich chat. Stała groźba kozackich lub partyzanckich rajdów sprawiła, iż zarówno oficerowie, jak i zwykli żołnierze musieli czujnie pełnić wartę. W rezultacie spali zwykle nie więcej niż kilka godzin, częściej jedną lub dwie. Ciała tych, którzy padli pod Borodino, nadal zaśmiecały pola i drogi. Jednak aż do przeprawy przez Berezynę żołnierze napoleońscy nadal znajdowali się pod magnetycznym urokiem swego wodza. Ten od czasu do czasu zsiadał z sań, by rozprostować zdrętwiałe kości. Odziany w futro, z brzozową laską w dłoni, gwarzył z niegdyś dumnymi, dziś zaś przemarzniętymi i głodnymi żołnierzami starej gwardii. Niektórzy padali tuż obok niego na drodze z okrzykiem "Vive l'Empreur". Potem powracał do swego powozu. W czasie podróży rozmawiał z Caulaincourtem o daw-

nej chwale i planach na przyszłość, oraz o nowej, młodej armii, którą chciał zebrać po powrocie do Francji. Czasami unosił się radością, innym razem wyrzucał z siebie okrzyki nienawiści. - To Anglia uniemożliwiła mi przyjaźń z Aleksandrem. Przewrotni Anglicy zatruli jego umysł i udaremnili wszystkie moje wysiłki zmierzające do pojednania. Przede wszystkim muszę wziąć odwet na Anglikach!

Z dnia na dzień niegdysiejsza Wielka Armia nikła w oczach. Koszmarna przeprawa przez Berezynę, 28 listopada, zadała ostateczny cios uciekającym najeźdzcom. Po niej przypominali już tylko zbiorowisko przemarzniętych, wygłodzonych i obdartych łazęgów. Sam Napoleon zawdzięczał swą ucieczkę ogromnemu poświęceniu saperów: zanurzeni po pas w lodowatej wodzie skonstruowali drugi most pontonowy, po którym wóz cesarza niemalże cudem prześlizgnął się na drugą stronę.

5 grudnia, w Smorgoniach, Napoleonowi doniesiono o zdławieniu rewolty generała Maleta w Paryżu, wobec czego zdecydował się pozostawić niedobitki własnej armii i popędzić galopem - via Warszawa - do stolicy. "W obecnej sytuacji mogę rządzić Europą tylko z Pałacu Tuileries". Oprócz woźnicy zabrał z sobą jedynie Caulaincourta i polskiego tłumacza. Drogę tarasowały zamarznięte trupy z powykręcanymi grymasem twarzami.

Tymczasem myśl o tym, w jaki sposób przedstawić porażkę i przygotować kraj na nowe ofiary, nie opuszczała Napoleona ani na chwilę. W warszawskiej kwaterze, mieszczącej się w Hotelu Angielskim, sporządzono plan sławetnego biuletynu nr 29. Ukazał się on 16 grudnia 1812 roku w *Le Moniteur*, dwa dni przed przybyciem cesarza do Paryża. We wzniosłych słowach przepełnionych tragicznym patosem, wódz nieistniejącej już armii opisywał zmagania mające na celu zmuszenie Rosji, do tego, by przyłączyła się do systemu kontynentalnego. Końcowe fiasko jego heroicznych wysiłków nie było wynikiem wyższych umiejętności i przeważającej siły barbarzyńskiego wroga, lecz "nieokiełznanej przyrody". Każde słowo dobierano z niezwykłą skrupulatnością. Następujące po tym sceny bohaterskiej walki potęgowały wrażenie nieuchronności i zlewały się w jedną ponurą, przygnębiającą panoramę. Podobnie jak w tragediach Sofoklesa czy Szekspira, o wszystkim decydowała nieposkromiona przewrotność wszechpotężnego Losu. Opisywano pokryte śniegiem białoruskie równiny usłane stertami trupów, ludzkich i zwierzęcych, porzucone wozy, żołnierzy zmagających się z ciężkim tobołami, generałów dowodzących plutonami oraz pułkowników przypuszczających szarże na bagnety, jak gdyby byli zwykłymi szeregowcami. Nad każdą z tych fantasmagorycznych scen, godnych pędzla Goi, wybijała się postać nieustraszonego cesarza, w otoczeniu resztki dzielnej Starej Gwardii, walczącej do ostatniego naboju. Biuletyn, pomimo opisu apokaliptycznych wydarzeń, podkreślał majestatyczny spokój i opanowanie wodza. W trakcie całej niefortunnej wyprawy - wskazywano - ani na chwilę nie stracił on zimnej krwi, lecz, nadludzkim wysiłkiem górował nad niepokonanymi. Biuletyn kończył się słowami: "Jego Cesarska Mość nigdy nie cieszył się lepszym zdrowiem".

* * *

Na wieść o ostatecznym rozpadzie sił Napoleona, upajając się cudownym zwycięstwem, Aleksander napisał do Katarzyny: "To dzieło Boga. To On nagle zmienił nasz los, spuszczając na głowę Napoleona wszystkie nieszczęścia, które miały być naszym udziałem."

Katarzyna odpisała: "Tak, złóżmy dzięki Opatrzności, ale to ty - odrzucając rokowania pokojowe - zmusiłeś Fortunę, by była łaskawa. I to właśnie twoja żelazna wola zapewni ci nieśmiertelność w chwale".

Jednak chwała Aleksandra w wojnie z roku 1812 miała drugorzędne znaczenie. Jego rzeczywisty wkład w militarne zwycięstwo nad Napoleonem był nikły. Niezłomna wola odzwierciedlała wyłącznie zdeterminowanie narodu rosyjskiego, by walczyć do upadłego. To prosty lud ocalił Rosję dzięki swej niezłomności, odwadze i gotowości do złożenia każdej ofiary. To naród zniszczył prawie wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość dla nieprzyjaciela, podpalając swe domostwa i umiłowaną Moskwę. Surowy klimat zrobił swoje, ale to zacięty opór Rosjan zdecydował o ostatecznym wyniku.

W pogoni za wycofującymi się niedobitkami armii Napoleona, Kutuzow odbił Wilno 10 grudnia. 23 grudnia, w przeddzień swych urodzin, dołączył doń Aleksander. Car odmroził sobie nos, gdyż przez trzy dni podróżował otwartymi saniami, a lodowaty wiatr przeniknął nawet gruby futrzany kołnierz jego palta. Iście triumfalny był to powrót. Oświetlono fasadę wileńskiego ratusza, która przedstawiała teraz sylwetkę dwugłowego czarnego orła dzierżącego w swych szponach mackowate łby bonapartowskiej hydry. Car uświęcił swój powrót dekorując Kutuzowa Orderem Św. Jerzego Pierwszej Klasy, wymownie dziękując generałowi za jego zasługi podczas kampanii. Nazajutrz, w dzień urodzin Aleksandra, Kutuzow wydał na jego cześć wspaniały i starannie wyreżyserowany bankiet. Gdy car pojawił się w drzwiach, rzucono mu pod nogi kilka zdobycznych chorągwi francuskich, by mógł je podeptać. Po kolacji rozpoczął się bal, w trakcie którego Aleksander rozkazał swoim oficerom tańczyć z polskimi i litewskimi damami, choć ich mężowie zasilali armie napoleońskie. W międzyczasie wezwał Czartoryskiego i przypomniał mu dawne plany połączenia Polski i Rosji pod wspólnym berłem.

Następnym posunięciem Aleksandra było podjęcie negocjacji w sprawie dezercji pruskiej armii pod dowództwem generała Yorka, która miała za zadanie ochronę lewej flanki wycofujących się Francuzów. Niemniej York unikał walki z Rosjanami, w ten sposób zachowując swe wojska w prawie nienaruszonym stanie. Zachęciło to Aleksandra do wynegocjowania oficjalnej współpracy pomiędzy obiema armiami. Znalazła ona wyraz w rosyjsko-pruskiej konwencji podpisanej 30grudnia w Taurogach. Po konwencji przyszła kolej na traktat rosyjsko-pruski zawarty przez Aleksandra i Fryderyka Wilhelma III w Kaliszu. Porozumienie to zakładało, iż Prusy zrzekną się na rzecz Rosji większości terenów, które Berlin otrzymał w drugim i trzecim rozbiorze Polski. W ramach

Aleksander I, Car Tajemniczy

rekompensaty, w zamian za scedowanie mu ziem polskich, Aleksander przyrzekł Prusom Saksonię, dotychczasowego sojusznika Napoleona. Obaj sygnatariusze poprzysięgli prowadzić wojnę dopóty, dopóki całość ziem niemieckich nie zostanie wyzwolona spod francuskiej okupacji. Konwencja oznaczała kolejny cios wymierzony w napoleoński system sojuszy. Patriotyczny entuzjazm, jaki wyzwoliła w Niemczech klęska Francuzów, a także konwencja tauroska niezbyt dobrze wróżyły francuskiej hegemonii w Europie Środkowej. Aleksander zabawił w Wilnie trzy tygodnie, upajając się totalnym zwycięstwem. Pijany ze szczęścia, rzucił się wir zabaw i uciech. Wszelako, w przerwach pomiędzy jednym a drugim balem, deliberował z generałami i cywilnymi doradcami nad przyszłością. Niektórzy namawiali go do zawarcia pokoju, inni radzili kontynuować zwycięski marsz. Baron Heinrich von Stein - gorący zwolennik jedności Niemiec, którego Napoleon przegnał za to z Prus - towarzysząc Aleksandrowi do Wilna, zasypywał go memoriałami z prośbą o wyzwolenie niemieckich ziem spod despotycznej władzy Napoleona. Tym samym, utrzymywał Stein, w Europie zapłonąłby wspaniały kaganek oświaty i postępu, trysnęłoby źródło muzyki, literatury i filozofii. - Jakież szlachetniejsze zadanie można by powierzyć tobie, panie, wspaniałomyślny Oswobodzicielu Niemiec?

Pomimo rosnącej pewności siebie, Aleksander nadal wahał się, jaki obrać kurs działania. Powściągliwy Kutuzow optował za przerwaniem wojny. Kanclerz Rumiancow, Arakczejew i Rostopczyn byli tego samego zdania. Po ciężkiej próbie, przez jaką przeszli rosyjscy żołnierze i rosyjski naród, kraj miał prawo myśleć wyłącznie o własnych interesach i porzucić dalsze ambitne plany pomocy innym. Własny interes zaś nazkazywał wcielić do Rosji Księstwo Warszawskie, a następnie zawrzeć pokój z Napoleonem, nie przejmując się zbytnio Prusami, Austrią i Anglią. Najpilniejszym zadaniem Rosji winna stać się odbudowa zniszczonych zachodnich prowincji cesarstwa i umocnienie jej pozycji na arenie międzynarodowej. Głównym, a przy tym żarliwym zwolennikiem natychmiastowego zawarcia pokoju był Kutuzow. - A po co nam ten cały europejski bigos? Nasi dzielni chłopcy bohatersko bronili naszej świętej ojczyzny. Reszta świata podziwia ich męstwo. Czy nie dość już chwały? Nie powinniśmy ich zmuszać do nowych ofiar. Głupotą byłoby dalej prowadzić walkę, głównie w obronie niemieckich interesów. Niech Europa kisi się we własnym sosie. A tak czy siak, czego nam szukać w Europie? Nasi oficerowie nie przywiozą stamtąd nic poza głupimi ideami i kiłą.

Jednak Aleksander był odmiennego zdania. Uradowany nagłą odmianą fortuny i upojony zwycięstwem nad znienawidzonym, acz podziwianym wrogiem, chętniej słuchał kuszących i kwiecistych propozycji barona von Steina. Rosja powinna doprowadzić do ostatecznego upadku napoleońskiej hegemonii.

Chciał wziąć odwet na Paryżu za sprofanowanie Moskwy, za Austerlitz, Frydland i Smoleńsk. Chciał zapisać się w annałach historii jako wybawiciel Europy, począwszy od narodu niemieckiego.

Medytując nad śmiertelnym niebezpieczeństwem, którego dopiero co uniknął oraz nad perspektywami, jakie otwierało przed Rosją militarne zwycię-

stwo, Aleksander ponownie sięgnął po Biblię. Pierwsze zdanie, na którym spoczął jego wzrok pochodziło z Drugiego Listu Św. Pawła do Tymoteusza: "Pan stanął przy mnie i wzmocnił mię... wyrwany też zostałem z paszczy lwa". Aleksander zawsze interesował się astrologią. Wiedząc, iż Napoleon urodził się 15 sierpnia, to znaczy pod znakiem Lwa, car zadumał się nad ogromem przepowiedni zawartych w Biblii, a odnoszących się do cesarza Francuzów i jego samego. Przez jego przesądny, wrażliwy umysł przemknęło wspomnienie z Erfurtu o "lwie na białym koniu" i sprawiło, że podjął w końcu decyzję. Nazajutrz rano rozkazał rosyjskiej armii przekroczyć Niemen i posuwać się w głąb Prus Wschodnich i Polski. Wojna bowiem musi toczyć się dalej, a jej celem jest odtąd wyzwolenie Niemiec spod napoleońskiej supremacji.

Po zakończeniu kampanii rosyjskiej, Kutuzow, zupełnie wyczerpany i cierpiący na zapalenie płuc, załamał się nerwowo i obłożnie rozchorował. Kiedy Aleksander dowiedział się o jego stanie, udał się doń z wizytą. Leżąc na łóżku polowym, Kutuzow przypominał grubą kłodę dużego, starego drzewa powalonego podczas gwałtownej burzy. Widząc monarchę wchodzącego do pokoju, usiłował podnieść się, ale siły odmówiły mu posłuszeństwa i ponownie opadł na poduszkę. Z odwagą właściwą ludziom znajdującym się na progu śmierci zapytał cara: - Dlaczegoś wysłał naszych żołnierzy, by przelewali krew za tych cholernych, chciwych, zarozumiałych Niemców, którzy gardzą nami, Słowianami, jakbyśmy byli dzikimi barbarzyńcami?

- Ufam, Michale Iłarionowiczu, że wybaczysz mi, iż raz jeszcze się z tobą nie zgodzę.

Umierający Kutuzow wyszeptał: - Ja ci wybaczę, ale naród rosyjski - nigdy.

ROZDZIAŁ XII

Triumf

Fiasko kampanii rosyjskiej obaliło mit o niezwyciężoności Napoleona. Bezpośrednim następstwem odwrotu spod Moskwy była konwencja tauroska. Rosyjsko-pruskie porozumienie znalazło natychmiast poparcie Londynu, który obiecał wysokie subsydia na kontynuowanie wojny koalicyjnej z Napoleonem.

Początkowo Austriacy nie poparli Rosji i Prus. Cesarz Franciszek, ojciec Marii Luizy, nadal darzył swego zięcia szacunkiem. Poza tym, aczkolwiek prestiż

Napoleona został mocno nadszarpnięty, wciąż dysponował on potężnym potencjałem. Po powrocie do Francji żwawo zabrał się do odbudowywania swej armii, i wszystko wskazywało na to, że na polu bitwy nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Toteż Metternich próbował zyskać na czasie i tak kierować sprawami, by Habsburgowie w stosownym momencie mogli gładko przejść z taktycznego sojuszu z Francją przeciwko Rosji w silny związek z Rosją i Prusami przeciwko Francji, nie prowokując przedwcześnie Napoleona. Tymczasem sytuacja zmieniała się szybko i to na niekorzyść francuskiego wodza. Wojska francuskie w Hiszpanii zostały pobite pod Vittorio przez Wellingtona, po czym nastąpiła ewakuacja Madrytu i ucieczka króla Józefa Bonaparte do Paryża. Dzięki temu droga przez Pireneje stanęła dla Brytyjczyków otworem. Gdy słabość Napoleona stała się faktem, 10 sierpnia 1813 roku, Austria wypowiedziała Francji wojnę.

W międzyczasie rozpoczęła się już kampania niemiecka. Pomimo kilku efektownych zwycięstw francuskiej armii, przewyższającej przeciwnika liczebnością wojsk i uzbrojenia, sytuacja Napoleona stawała się coraz bardziej krytyczna. 15października, w obliczu groźby okrążenia pod Lipskiem, zdecydował się na rozstrzygającą bitwę. Naprzeciw siebie miał 349000 wojsk sprzymierzonych, podczas gdy sam zdołał zmobilizować zaledwie 155000 żołnierzy. Dla zniwelowania tej niekorzystnej różnicy postanowił pierwszy podjąć inicjatywę i z werwą przypuścił atak, chcąc tym samym uniemożliwić koncentrację wojsk nieprzyjacielskich oraz zniszczyć każdą armię aliancką z osobna. W decydującym momencie bitwy Aleksander dał dowód bezprzykładnej odwagi: ryzykując własnym życiem, popędził do najbardziej zagrożonego sektoru rosyjskiej armii i kilkakrotnie rzucił do walki swoją kozacką eskortę. Przez dwa dni sytuacja była niejasna, ale w rozstrzygającym momencie Napoleona opuściły walczące dotąd u jego boku oddziały saskie i bawarskie, tak więc ostatecznie po czterech dniach krwawej rzezi cesarz przegrał Bitwę Narodów. 18 października nie było już mowy o odwrocie wojsk napoleońskich, lecz o pogromie. 4 listopada Bonaparte ponownie przekroczył Ren pod Moguncją, wraz z resztkami pobitych kontyngentów.

Sprzymierzeni deptali mu po piętach. Od 21 grudnia 1813 do 1 stycznia 1814 roku 250000 wojsk alianckich przeprawiło się przez Ren na odcinku pomiędzy Koblencją i Bazyleą. Po wzmocnieniu posiłkami z Austrii, Niemiec i Rosji liczyły one już 420000 ludzi, skupionych w trzech armiach. Głównymi siłami, armią czeską, nacierającą od strony Szwajcarii i Jury, dowodził Schwarzenberg. Blücher stał na czele armii śląskiej, która wkraczała do Francji przez Alzację i Lotaryngię. Trzecia armia, Armia Północna, pod wodzą Jean Baptiste Bernadotte'a, dawniej marszałka Francji, a obecnie szwedzkiego następcy tronu, koncentrowała swe siły w Holandii. Nie napotykając zrazu na żaden opór, wojska sprzymierzonych pewnie parły w kierunku Paryża. Tak oto rozpoczęła się francuska kampania roku 1814. Napoleon walczył z zaciekłą determinacją, z zawziętością drapieżcy zapędzonego w kozi róg. 26 stycznia, gdy trzy armie dotarły do Sekwany, Aube i Marny, Napoleon rozpoczął kontrofensywę, ponownie odnosząc serię niespodziewanych i efektownych zwycięstw.

Zaskoczeni przywódcy państw sprzymierzonych wpadli w panikę i rozważali możliwość negocjacji pokojowych. Aleksander odrzucił wszelki kompromis i opowiedział się za marszem na Paryż. - Nie wolno nam zawierać pokoju z Napoleonem. Pokój z Napoleonem oznaczać będzie zawsze jedynie zawieszenie broni. Nie zawrę pokoju dopóty, dopóki Napoleon zasiada na tronie.

Po przegrupowaniu, trzy armie podjęły na nowo ofensywę na Paryż. 22 marca nierozstrzygnięte bitwy pod Craonne, Laon i Arcis nad Aube jeszcze bardziej nadwyrężyły siły Bonapartego, poprawiając nieco militarne położenie sprzymierzonych. Napoleona mogła ocalić już tylko cudowna odmiana losu. I oto wpadł na doskonały pomysł, aby prześlizgnąć się pomiędzy rozczłonkowanymi wojskami nieprzyjaciela na ich tyły i tam je zaatakować. Następnie zamierzał rzucić się na ich linie zaopatrzeniowe i odciąć je od Renu. Zdawał sobie sprawę z tego, iż pozostawia Paryż bez osłony. Mimo to - kalkulował - sprzymierzeni nie odważą się zapewne zaatakować stolicy, ponieważ musieliby ponownie przeprowadzić koncentrację sił, by móc sprostać nowej sytuacji na tyłach. Jednakże, los sprzysiągł się przeciw niemu, kiedy to wieczorem 24 marca do rosyjskiej kwatery głównej wpłynął ważny raport. Kozacki patrol przechwycił posłańca wydelegowanego z Paryża do Napoleona, z pakietem listów i ściśle tajnych depesz od Fouch, ministra policji, który uskarżał się na powszechne niepokoje w stolicy, rosnącą nędzę ludności i niezadowolenie w prowincjach. W zakończeniu Fouch orzekł, iż wyczerpany skarbiec oraz arsenały, a także ogólne pragnienie pokoju nie pozwala na kontynuowanie wojny.

Tej samej nocy Aleksander długo studiował raport, zaś 25 marca postanowił: - Wszystkimi naszymi siłami musimy nacierać na Paryż szybkim krokiem marszowym i tam podyktujemy nasze warunki.

Barclay de Tolly zaprotestował: - Napoleon spostrzeże się, że go nie ścigamy. Rzuci się na nas, atakując nasze tyły, jak tylko ruszymy w kierunku Paryża. Lew nie jest jeszcze martwy. Jest zbyt wcześnie, by sobie z niego kpić. Strzeż się!

Aleksander odparł: - Moja decyzja jest ostateczna. Musimy natychmiast ruszać na Paryż.

I rzeczywiście, 29 marca wojska sprzymierzonych znalazły się u wrót miasta. Następnego dnia, o pierwszej po południu, gdy na odcinku północnym nadal wrzała mordercza bitwa, Aleksander pogalopował na wzgórze Chaumont, skąd mógł podziwiać cudowną panoramę miasta, które uważało się za stolicę Europy. Jego duszę ogarnęła gwałtowna euforia: niczym w transie powtarzał sobie słowa: - A więc Boska Opatrznść pozwoliła, bym tego dokonał ja - *ja*.

* * *

31 marca 1814 roku, o drugiej rano, Paryż poddał się. Przyjąwszy rolę wspaniałomyślnego zwycięzcy, Aleksander postanowił nie brać odwetu na paryżanach za splądrowanie Moskwy. Delegaci władz miejskich nie wierzyli wła-

snym uszom, gdy im powiedział: - Niczego się nie obawiajcie. Ani o wasze domy, ani o publiczne pomniki. Przybywam tu jako przyjaciel i wyzwoliciel. Żołnierze nie będą kwaterować pod waszymi dachami. Musicie im jedynie dostarczyć żywności. Wasza policja i Gwardia Narodowa w dalszym ciągu utrzymywać będą prawo i porządek. Nie będzie odwetu za napaść na mój kraj. Całe miasto biorę pod swoją pieczę. Nie mam wrogów we Francji, wyjąwszy Napoleona Bonaparte.

O jedenastej rano, z eskortującym go szwadronem kozaków na przedzie, w czerwonych tunikach i czarnych perskich czapkach z jagnięciej skóry, na których widniała złocista sylwetka dwugłowego cesarskiego orła, Aleksander, w towarzystwie swego drugiego, młodszego brata, Wielkiego Księcia Mikołaja, triumfalnie wjechał do Paryża. Miał na sobie zielono-czerwony mundur Gwardii Siemionowskiej i błękitną wstęgę Wielkiego Krzyża Św. Andrzeja. Symbolicznie dosiadł czarnego araba o imieniu Zaćmienie, którego Napoloen podarował mu w Erfurcie. U lewego boku cara jechał pruski król, a po jego prawej stronie - książę Schwarzenberg, reprezentujący swego monarchę, cesarza Austrii, Franciszka, który pozostał w Chaumont, wymawiając się od wzięcia udziału w zwycięskiej paradzie w stolicy swego pokonanego zięcia i własnej córki, Marii Luizy. Za trzema przywódcami maszerował trzydziestotysięczny pochód. Na przedzie szli żołnierze Aleksandra: Rosjanie, Tatarzy, Czerkiesi; za nimi podążali Niemcy, na ogół jednostki pruskie; dalej szli Austriacy, Chorwaci i Węgrzy - przedstawiciele narodów wchodzących w skład Imperium Habsburgów. Jeszcze wczoraj wszyscy oni walczyli z Francuzami, dziś zaś tłumy paryżan witały ich jako wyzwolicieli spod napoleońskiej dyktatury. Promyki wiosennego słońca rozjaśniały lica Aleksandra, a z niebieskich oczu bił olśniewający blask dumy. Oto nastał dzień jego świetności, dzień radosnego triumfu nad rywalem.

Chłodne przyjęcie w robotniczej dzielnicy Saint-Martin zaalarmowało zwycięzców. W oknach sterczało niewielu gapiów, ci jednak, którzy się pokazali oraz przechodnie na chodniku mieli gniewny wyraz twarzy i zaciśnięte pięści. Francuscy robotnicy nie przepadali za dyktaturą Napoleona, lecz nie zapomnieli, iż to on przywrócił rewolucyjne zasady równości wobec prawa i równego startu dla wszystkich. Mimo to, za bramą Saint-Denis, w dzielnicy burżuazji, tłumy zagęściły się bardziej. Tu i tam słychać było okrzyki: "Niech żyją wyzwoliciele!", a ktoś odważny zawołał nawet "Niech żyją Burboni!" i pomachał białą flagą.

Aleksandra przyjmowano coraz radośniej w miarę, jak zbliżał się do centrum miasta. Tam domy udekorowano kobiercami i kwiatami, z balkonów i okien rozwijano białe burbońskie sztandary, tłum zaś wiwatował na cześć najeźdzców maszerujących w pochodzie. Kilka młodych kobiet przedarło się przez eskortę kozaków, by lepiej się przyjrzeć przystojnemu carowi. Co bardziej śmiałe wspinały się na grzbiety kozackich wałachów i tak jechały trzymając zwycięzców w swym uścisku. Aleksander, gdy je zobaczył, zaśmiał się i powiedział do Schwarzenberga: - Mam nadzieję, że moi kozacy nie porwą tych paryskich sabinek!

Aleksander wkroczył do Paryża jako zdobywca, jednak sądząc z entuzjazmu tłumów zgromadzonych wzdłuż trasy i z życzliwego wyrazu twarzy triumfatora, wydawało się, jakby to Henryk IV lub Ludwik XIV wracał do własnej stolicy po udanej kampanii, by odebrać hołd od swoich poddanych.

Jednakże Napoleon nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Pozostawał w Fontainbleau, z około 60000 nadal lojalnych wobec niego ludzi, i w każdej chwili mógł kontratakować. Tymczasem alianci musieli zrobić kolejny krok. Swoją postawę wobec Bonapartego Aleksander określił zwięźle na radzie sprzymierzonych: - Ostateczne pokonanie Napoleona nie jest jedynie koniecznością polityczną. Wymaga tego chrześcijańskie sumienie jako dowód dla świata, że istnieje jeszcze sprawiedliwość i moralność. Nie może być mowy o żadnych układach z Napoleonem.

Kiedy sprzymierzeni nadal się wahali, 5 kwietnia Schwarzenberg poinformował cara, iż armia rezerwistów marszałka Marmonta, na której wsparcie liczył Napoleon, przekroczyła formacje liniowe Austriaków i poddała się. Na wieść o tym, Aleksander wykrzyknął: - W tej kapitulacji wyraźnie widać rękę Opatrzności.

Zapytany o to, kogo zamierza uczynić monarchą we Francji, car odpowiedział: - Regencja nie wchodzi w grę. Syn Bonapartego, "Orlątko", jest zbyt młody. Poza tym, ojciec stanowiłby nieprzezwyciężoną przeszkodę dla rządów syna. Niestety, pozostają nam tylko Burbonowie.

Niemniej raz jeszcze dała o sobie znać dwojakość uczuć Aleksandra wobec Napoleona. Nadarza się kolejna okazja - twierdził - by okazać wielkoduszność. Toczył zacięte boje z francuskim rządem tymczasowym oraz aliantami, domagając się, by oddali Napoleonowi we władanie wyspę Elbę. Mściwy Talleyrand, Hardenberg, a także Castlereagh chętnie deportowaliby Bonapartego jak najdalej od Francji, może nawet na Azory, ponad tysiąc mil od wybrzeża Portugalii. Wszelako nie do końca sprecyzowany stosunek Aleksandra do Napoleona, jak również rozmiłowanie w gestach wspaniałomyślności kazały mu bronić dawnego rywala, którego nienawidził i podziwiał zarazem.

- Zmuszony byłem prowadzić tę wojnę. Teraz jednak, kiedy Napoleon został pokonany, przebaczam mu wszelkie zło, jakie wyrządził mojemu krajowi. Zapominam o jego przewinach i gotów jestem odnowić naszą przyjaźń. Pragnę, aby zachował tytuł cesarza. Powierzymy mu absolutną władzę nad Elbą, dodając do tego dwa miliony franków rocznie. Jego rodzina otrzymywać będzie wysokie pensje. Jeśli odmówi przyjęcia Elby, a nie znajdzie azylu nigdzie indziej, niech przybywa do mojego kraju. Zgotuję mu tam wspaniałe przywitanie. Zrobię wszystko co w mej mocy, by złagodzić skutki klęski, jakiej doznał ten tak wielki, acz nieszczęśliwy mąż.

Żądając wyrozumiałości dla pokonanego wroga, Aleksander popierał jednocześnie restaurację Burbonów. Na jego wniosek, a także na wniosek Talleyranda, 6 kwietnia senat ogłosił, iż "zgodnie z wolą narodu francuskiego na tronie zasiądzie Ludwik Stanisław Ksawery, brat zmarłego króla, jako Ludwik XVIII". Niemniej, jego powrót z Londynu opóźnił atak podagry, wobec czego

do Compiegne przebył dopiero 29 kwietnia, ale już następnego dnia spotkał się z Aleksandrem.

Jeszcze przed spotkaniem car wysłał do Ludwika depeszę z gratulacjami, dołączając przestrogę, aby rządził Francją z umiarem i "pielęgnował pamięć dwudziestu pięciu lat chwały". Ludwik, będąc pewnym swej uprzywilejowanej pozycji oraz uważając królowanie z bożej łaski za święty dogmat, uznał tę radę za impertynencję poczynioną pod jego adresem przez aroganckiego barbarzyńcę. W Compiegne przyjął cara, traktując go protekcjonalnie, jak gdyby chciał poniżyć swego dobroczyńcę, któremu zawdzięczał koronę. Na samym początku król, nie podnosząc się ze swego barokowego, pozłacanego fotela, obitego czerwonym adamaszkiem, wskazał carowi zwykłe siedzenie. Wymieniono lodowate uśmiechy oraz zdawkowe, konwencjonalne uprzejmości. Zdumiony niewdzięcznością króla Aleksander powziął do niego głęboką niechęć i nie krył zbytnio swego gniewu przed własną eskortą. - Nawet Ludwik XIV w czasach swej największej chwały nie zgotowałby mi chłodniejszego przyjęcia! Można by pomyśleć, że to nie ja jego, lecz on mnie posadził na tronie!

Aczkolwiek rozzłościł go nowy monarcha, Aleksander żywił przekonanie, iż dla równowagi sił w Europie, niezbędna jest silna Francja, z prawowitym i konstytucyjnie uznanym królem. Nie podzielał zdania Castlereagha, Metternicha, Steina i Hardenberga, iż sprzymierzeni powinni maksymalnie wykorzystać zwycięstwo i zmusić Francuzów, by zapłacili za dwadzieścia dwa lata grabieżczych podbojów. Traktat pokojowy z 30 maja 1814 roku stanowił kompromis. Dla Francji oznaczał dotkliwe straty, odbierał jej bowiem wszystkie tereny zdobyte po roku 1792 i zamykał ją w granicach dawnej monarchii. Nie nakładał jednakże żadnych sankcji natury wojskowej, ani odszkodowań. Zdawało się, iż sprawa Francji została załatwiona.

Tymczasem sprzymierzeni nie potrafili dojść do porozumienia co do dalszych losów pozostałych terytoriów wyzwolonych obecnie spod panowania Napoleona. Co należało zrobić z Polską, Saksonią, Hanowerem, Nadrenią, Niderlandami i całą Italią? Nie ukrywając różnicy zdań i świadomi wzajemnej wrogości, postanowili odłożyć ustalenia w tych sprawach do kongresu, który miał odbyć się w Wiedniu.

ROZDZIAŁ XIII

Zwycięzcy się bawią

To na skutek nalegań austriackiego ministra spraw zagranicznych, hrabiego Klemensa Metternicha, wybrano Wiedeń na miejsce kongresu pokojowego,

planowanego na wrzesień. Miało to znaczenie symboliczne, bowiem Austria jako pierwsza stawiła czoła rewolucyjnej Francji, ale też za opór swój zapłaciła najwyższą cenę. Aleksander nie znosił Metternicha, gdyż przystojny Austriak śmiał z nim rywalizować nie tylko w polityce, lecz także w rozlicznych podbojach sercowych. Teraz car postanowił się zemścić. Zadecydował, iż obejmie rolę przewodniczącego w nadchodzącym kongresie, choć Metternich sądził, iż winna ona przypaść jemu, jako gospodarzowi. Poza tym, Metternich sprzeciwiał się zagarnięciu przez Rosję całej Polski, uważał to bowiem za rzecz niebezpieczną dla Europy, a szczególnie dla Austrii. Podejrzewał, iż tak naprawdę Aleksander ma zamiar restytuować królestwo polskie pod berłem Romanowów, co z natury rzeczy naruszałoby nowy układ sił powstały po upadku Napoleona. - Cała Polska zjednoczona z Rosją niechybnie zdominuje Europę Środkową i stanie się panią kontynentu - tłumaczył. Wkrótce rywalizacja przybrała formę osobistego pojedynku dyplomatycznego.

Metternich, który podążył za Aleksandrem z Paryża do Londynu, nie omieszkał wykorzystać nieufności, jaką okazywał wobec Rosji surowy i podejrzliwy minister spraw zagranicznych Brytanii, Robert Castlereagh. Jedynie bliski sojusz pomiędzy Austrią i Anglią mógłby pohamować ambicje Rosjan - argumentował Metternich. Zadanie ułatwił mu Aleksander, który bawiąc w Londynie popisał się wyjątkowym brakiem taktu i aroganckim zachowaniem. Jego rozmowy przy stole z żoną księcia regenta przerodziły się niebawem w jawny flirt. Zaowocował on serią potajemnych spotkań, o których niezwłocznie doniesiono mężowi. Co więcej, Aleksander na lewo i prawo cytował zabawny epigram, podsłyszany u jakiegoś wiga: Niektórzy religią leczą smutek,Inni w rozpuście lubią się wyszumieć,Księżna w amorach szuka pocieszenia,A Książę Regent - w rumie.

Wszystko to rozzłościło regenta i sprawiło, iż ta początkowo udana wizyta stała się w końcu źródłem tarć, powodujących niechęć Brytanii wobec ambitnych planów Aleksandra. Jego wyjazdowi z Londynu towarzyszyła obopólna oziębłość.

* * *

Po nieudanym pobycie w Londynie, 20 czerwca Aleksander wsiadł na statek w Dover, skąd przez Belgię dotarł do Badenii. Bawiąc krótko na tamtejszym dworze, gdzie Elżbieta przebywała właśnie w odwiedzinach u matki, przyjął delegację Świątobliwego Synodu oraz Rady Cesarstwa Rosyjskiego, pokornie błagającą go o zgodę na przyjęcie tytułu "Błogosławionego" oraz proszącą o pozwolenie na wzniesienie na Placu Senackim w Petersburgu monumentalnej kolumny z napisem "Temu, który przywrócił królów - od wdzięcznej Rosji".

Po krótkim pobycie w Petersburgu, 12 września Aleksander wyjechał do Wiednia. Po drodze zatrzymał się w pałacu księcia Adama Czartoryskiego w Puławach. W ten sposób chciał pokazać Polakom, iż mogą liczyć na jego dobrą

wolę pomimo udziału w napaści na Rosję. W owym czasie prześladowała go myśl o ustanowieniu pod swym berłem wielkiego Imperium Słowiańskiego. Łechcząc próżność Polaków i obiecując im liberalną konstytucję, car unikał wiążących zobowiązań i nie dał się przyprzeć do muru w sprawie kształtu polskich granic. - Decyzja zapadnie w Wiedniu, na Kongresie - powiedział.

Będąc orędownikiem odrodzenia Polski w unii personalnej z Rosją, Aleksander nie miał złudzeń co do trudności, na jakie napotka rządząc tym narodem kłótliwych indywidualistów. Podczas Kongresu pisał do Laharpe'a: "Polacy nie przepuszczą żadnej okazji, by jako naród odzyskać swą polityczną egzystencję, ja zaś będę musiał skazać się na ich wieczną pogardę i postępować z nimi jak inkwizytor. - Nową armią polską miał dowodzić jego brat, Konstanty.

Dwanaście dni później, 24 września, Aleksander uroczyście wjechał do Wiednia w otoczeniu grupy zaufanych doradców. Delegacja, którą wybrał, by reprezentowała na Kongresie jego Imperium była niezwykle urozmaicona. W jej skład weszli: były ambasador Rosji w Wiedniu, książę Razumowski; obecny ambasador, hrabia Stackelberg; sprawujący funkcję ministra spraw zagranicznych hrabia Nesselrode; doradcy dyplomatyczni, baronowie Anstedt i Stein; jego dwaj adiutanci, Pozzo Di Borgo oraz Capo d'Istria; i wreszcie specjalista od spraw polskich, książę Adam Czartoryski. W tej wspaniałej falandze broniącej sprawy rosyjskiej znajdowało się czterech Niemców, jeden Korsykanin, jeden Grek, jeden Francuz z Alzacji oraz jeden Polak, a wśród nich tylko jeden Rosjanin - książę Razumowski. Aczkolwiek rangą przewyższał pozostałych, nie brał czynnego udziału w pracach delegacji. "Być może wybrano mnie wyłącznie dlatego, że potrzebny był choć jeden Rosjanin z krwi i kości".

Z początkiem września 1814 roku, monarchowie z całej Europy zjeżdżali się do stolicy Austrii. Królowie Prus, Bawarii, Wirtembergii i Danii, książęta hescy [*Hessen-Cassel, Hessen-Darmstadt*] oraz koburski *[Sachsen-Coburg*], a wraz nimi wszystkie niemieckie książątka spieszyły tam, by zawiązać dyplomatyczną intrygę. Kongres Wiedeński był największym w historii zjazdem koronowanych głów. Wprawdzie oficjalne otwarcie Kongresu nie odbyło się przed 1października, ale już w połowie września austriacka metropolia aż roiła się od dystyngowanych gości. Zdetronizowani i wywłaszczeni książęta, których ziemie zagarnął był Napoleon, teraz z niecierpliwością czekali na zwrot terytoriów i praw.

Spośród wszystkich obecnych władców, Aleksander jako jedyny wzbudzał ogólną atencję. Podczas gdy inni monarchowie i dyplomaci ograniczyli się do śledzenia codziennych obrad Kongresu z należytego dystansu, Aleksander z miejsca rzucił się do dyplomatycznego boju. Od początku jego ambitny plan polski napotkał na opór trzech groźnych przeciwników, arcymistrzów dyplomatycznej szermierki, prześcigających się nawzajem pod względem bystrości umysłu i przebiegłości - Metternicha, Talleyranda i Castlereagha.

Aleksander obawiał się i nie znosił wszystkich trzech, lecz Talleyrandem pogardzał najbardziej głównie z powodu jego nienasyconej zachłanności. Książę Beneventu, doskonale znany ze swego dyplomatycznego kunsztu i wyrafinowanego smaku, podkreślając swe "prawdziwe, szczere przywiązanie" stale na-

wiązywał do potrzeby zwiększenia rosyjskich subsydiów, przesyłanych mu regularnie od czasu Erfurtu. Kiedy car nie potrzebował już raportów służb wywiadowczych i odciął strumień pieniądzy, Talleyrand zmienił front, kontrując swego dobroczyńcę na każdym kroku. Aleksandrowi doniesiono nawet, że Talleyrand obiecał Metternichowi i Castlereaghowi przeciwstawić się polskim planom cara, jako że stanowią one "próbę zdominowania kontynentu europejskiego". Jeden z raportów stwierdzał także, iż Talleyrand, chcąc wkraść się łaski Ludwika XVIII i uzyskać przebaczenie za liczne akty apostazji - zasługi dla Rewolucji i dla Napoleona - powiedział królowi, że w istocie Romanowowie to "zgraja nędznych bękartów", gdyż ich dynastia datuje się od 1613 roku, podczas gdy Burbonowie są o wiele starszym rodem.

Położenie Aleksandra było w rzeczy samej nie do pozazdroszczenia. Jakkolwiek buntował się przeciwko tradycji, nie mógł lekceważyć obowiązków nałożonych nań przez rosyjski establishment: armię i szlachtę, główne filary swego państwa. Uważali oni, że po każdym zwycięstwie car ma obowiązek wynagrodzić straty i ofiary poniesione na wojnie poprzez roszczenia terytorialne. Od wieków stanowiło to jedyny namacalny dowód militarnego triumfu, na jakim Rosjanom zależało. Rozszerzanie granic to dla każdego cara Rosji *conditio sine qua non*. Gdy już raz zdecydował się na kontynuowanie wojny, musiał wrócić do kraju z łupami. Aleksander zdawał sobie sprawę, że jeśli nie wzbogaci narodu o nowe zdobycze terytorialne i nie przyniesie mu chwały i prestiżu, może go w końcu spotkać los ojca.

Od pierwszego dnia Kongresu sprawa polska stała się problemem numer jeden. Rosja zażądała co najmniej całego Księstwa Warszawskiego, którego tytularnym władcą był król Saksonii. Oznaczało to, że Prusy utracą większą część prowincji zajętych po trzecim rozbiorze. W ramach kompensaty Prusy otrzymać miały wszystkie ziemie Saksonii, której król Fryderyk August, a także Książę Warszawski, zbyt długo okazywał lojalność wobec Napoleona, za co teraz został uwięziony w Berlinie. Austrii miano przyznać Lombardię, Wenecję i wybrzeże Dalmacji, w zamian za tereny, których się zrzekła w Galicji.

Podkreślając ogromne znaczenie swego planu, Aleksander oznajmił: - Mam 200000 ludzi pomiędzy Odrą i Wisłą. Spróbujcie ich przepędzić! Nie dam sobie niczego odebrać. Prędzej rozpocznę nową wojnę niż zrzeknę się okupowanych ziem! Jeśli król Saksonii nie abdykuje, zostanie wywieziony do Rosji i tam umrze. Już kiedyś jeden polski król dokonał żywota w mym kraju. Fryderyk August dobrze zrobi, jeśli wspomni los Poniatowskiego, który po trzecim rozbiorze Polski zmarł w Petersburgu jako zakładnik mojej babki.

Jako że Prusy, po otrzymaniu Saksonii w zamian za utratę polskich prowincji, najprawdopodobniej pozostałyby sojusznikiem Rosji, takie partnerstwo oznaczałoby w rzeczywistości koniec austriackiej dominacji na tym obszarze, a zwłaszcza w Niemczech. Z tego też powodu Metternich żywiołowo sprzeciwiał się układowi, w którym dwóch północnych sąsiadów Austrii: Rosja powiększona o Polskę i Prusy o Saksonię narzuciłoby swą hegemonię w Europie Środkowej kosztem Habsburgów. - Rosjanie w Warszawie i wzdłuż granic w

Karpatach, a Prusy w Lipsku i Dreźnie i wzdłuż granicy w Czechach? Nie, nigdy się na to nie zgodzimy! Prędzej rozpoczniemy wojnę!

Metternich znalazł wkrótce przebiegłego sprzymierzeńca w osobie Talleyranda, który popierał go wykorzystując chełpliwość Aleksandra i układając kilka wytwornych aforyzmów, które rozwinął z właściwą sobie zręcznością. A oto jego wywód: - Europa musi przede wszystkim raz na zawsze położyć kres mniemaniu, że prawa można zdobywać orężem. Równowaga sił i święta zasada legalności nie pozwala, by Rosja całkowicie podporządkowała sobie Polskę, podobnie jak nie zezwala na absolutną dominację Prus w Niemczech czy Austrii we Włoszech. Czy Rosjanie rzeczywiście potrzebują zdobyczy terytorialnych? Nie utraciwszy ani piędzi ziemi w ciągu ostatnich dwudziestu lat, Rosja zdobyła przy poparciu Napoleona Finlandię i Bessarabię. Potem została napadnięta przez Bonapartego i straszliwie zniszczona. Tak naprawdę, musi się teraz na nowo podźwignąć i wylizać rany, a nie myśleć o podbojach.

Przedstawiciel Anglii, lord Castlereagh zdecydowanie stanął po stronie Metternicha i Talleyranda: - Nie po to przez dwadzieścia lat toczyliśmy z Napoleonem ciężkie boje, by pozwolić Rosji opanować Europę.

Tak więc podczas obrad Kongresu, a także po nich - i to z jeszcze większą zajadłością - spory ciągnęły się całymi tygodniami. Mimo iż debaty dotyczyły głównie Polski i Saksonii, zadecydować miano również o losach Neapolu, Toskanii, Państwa Papieskiego, Modeny, Lukki, Parmy, Hanoweru, Szwajcarii, Belgii, Nadrenii i księstewek niemieckich. Przed arbitrami w Wiedniu stanęło wiekopomne zadanie. Nie przeszkadzało im to jednak oddawać się rozrywkom.

Kongres był nie tylko wydarzeniem politycznym najwyższej rangi, ale i gigantycznym karnawałem. Po raz pierwszy od dwudziestu lat, kiedy to Europą wstrząsały krwawe rewolucje i straszliwe wojny, pojawiła się szansa na ustanowienie trwałego pokoju. Pokonano wulgarną dziewkę Rewolucji i przywrócono dawny feudalny porządek. To poczucie bezgranicznego triumfu znalazło swe odzwierciedlenie w orgiastycznym sensualizmie, który udzielił się delegatom i rozpalił w nich płomień namiętności. Całe zastępy kobiet zażywających nowej wolności uganiały się za mężczyznami na balach, przyjęciach i kolacjach, udając przy tym, iż to ci ostatni próbują je usidlić. Książęta, królowie i cesarze oddawali się upajającym rozkoszom Wiednia, który oszalał - istne saturnalia starego świata.

W porównaniu z Londynem i Paryżem, Wiedeń roku 1814 - ze swymi 200000 mieszkańców - był miastem średniej wielkości. Najważniejsze spośród koronowanych głów, takie jak car Rosji czy pruski król, zakwaterowano w olbrzymim kompleksie cesarskich pałaców - Hofburgu, dokoła którego ciągnęły się rezydencje arystokracji, domostwa burżuazji i lepianki biedoty, stłoczone w labiryncie średniowiecznych zaułków. Wprawdzie nie brakowało sklepów, kawiarni i teatrów, ale nie dla wszystkich tych, którzy przybyli wziąć udział w Kongresie starczyło miejsc w oberżach i hotelach.

Gospodarz Kongresu, cesarz Franciszek I, a także Metternich, wkrótce pożałowali, iż zaprosili tak ogromną rzeszę znakomitości. Wczesną jesienią roz-

szalała się inflacja, a wydatki na królewski wikt w Hofburgu nie schodziły poniżej 50000 florenów dziennie, co stanowiło z grubsza rzecz biorąc dzienny budżet całego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Niespodziewanie duży napływ gości, który postawił w stan pogotowia władze odpowiedzialne za bezpieczeństwo, ucieszył jednak wiedeńczyków. Dla nich oznaczał nowe interesy i uliczne przedstawienia, tak upragnione po latach wojennej posuchy. Wiedeńczyków przepełniała duma, że ich cesarz gości u siebie najważniejsze osobistości ówczesnej Europy. Po niedawnych upokarzających klęskach nastały radośniejsze czasy. Ludziom nie przyszło nawet na myśl, że obciążenie państwowego budżetu wkrótce da o sobie znać w postaci nowych podatków i akcyz, od których nie uwolnią się przez lata. Zrazu wszyscy z entuzjazmem odnosili się do Kongresu, a wielu ochotników zaoferowało swe usługi władzom. Potomkowie szlachetnych rodów zgłaszali się, by zostać paziami i koniuszymi, zaś synowie biedaków ustawiali się w kolejce, by otrzymać pracę woźniców, lokajów czy służących; ubiegający się o posadę tajnych agentów oblegali barona Franza Hagera, szefa policji.

Od początku nie ulegało kwestii, że nadzorowanie wszystkich zagranicznych znakomitości przekracza możliwości regularnej policji, toteż mile widziano ochotników. Ich zadanie sprowadzało się do infiltrowania ambasad, gdzie zatrudnieni jako służący mogli donosić o poczynaniach swoich pracodawców. Sieć wywiadowcza Hagera marnowała sporo czasu. Jedna z komórek, wybitnie pracowita, spędzała całe dnie na sklejaniu skrawków papieru, uratowanych z koszy dyplomatów. Inny oddział otwierał przy pomocy pary wszystkie przechwycone listy nadchodzące do Wiednia i stamtąd wysyłane. Najbardziej skandaliczne z nich przedkładano Metternichowi, a nawet samemu cesarzowi. Franciszek uwielbiał czytać tajne sprawozdania, a niektóre znich bardzo go ubawiły, zwłaszcza te, w których opisywano miłosne przygody znamienitych gości.

Aczkolwiek baron Hager wychodził z siebie, by właściwie przygotować się do Kongresu, nikt nie pracował ciężej niż książę Trauttmansdorff, marszałek dworu i koniuszy cesarski. Jemu to powierzono zadanie ulokowania w Hofburgu przyjezdnych monarchów wraz ze świtą, oraz urządzanie oficjalnych przyjęć. Obliczono, iż co wieczór trzeba zastawić do kolacji czterdzieści stołów. Do obowiązków marszałka należało również dostarczenie powozów dla znakomitych gości. Po dwudziestu latach wojny, cesarskie stajnie znajdowały się w opłakanym stanie. Stare bryczki i karety wymagały odmalowania na kolor ciemnozielony, a na ich drzwiczkach należało umieścić cesarskie orły. Trzeba było znaleźć tysiąc czterysta koni, oraz wyszkolić i ubrać w żółto-czarne habsburskie liberie niezbędną ilość woźniców i stajennych.

Jednak liberie i stajnie stanowiły nieistotny drobiazg w porównaniu z trudnościami zprotokołem. Lista gości nie miała końca i Trauttmansdorff nie bardzo wiedział, jaki zastosować porządek, albowiem nigdy jeszcze w historii nie urządzano międzynarodowej konferencji na taką skalę. Złożony i delikatny problem pierszeństwa rozwiązano usadawiając monarchów według wieku. Pomocą służyła mu cesarzowa Maria Ludwika, zawsze ochocza i pełna entu-

zjazmu. Ta czarująca i delikatna włoska księżniczka, trzecia żona dwukrotnie owdowiałego cesarza Franciszka, gotowa była ponieść każdą ofiarę, byleby tylko pomóc swemu mężowi i sprawić, by Kongres uznano za udany. Dwudziestosiedmioletnia cesarzowa, wątła blondynka o niebieskich oczach, trawiona przez gruźlicę, skwapliwie podjęła się zadania wspomożenia marszałka dworu i na prędce powołała Komitet Festiwalowy, odpowiedzialny za rozrywkę dla gości zagranicznych. Z wrodzonym zmysłem artystycznym, cesarzowa - patronka sztuki, muzyki i teatru - połączyła talenty kilku artystów, by zmienić wystrój podupadłego nieco hofburskiego pałacu i przyległej doń Hiszpańskiej Szkoły Jazdy. Pod jej sprawnym kierownictwem pałac wyremontowano, tak że lśnił od świeżej farby i tynku.

* * *

Aleksander, jako "Agamemnon Królów", obecnie trzydziestosiedmioletni i pełen zapału imperator, był centralną postacią Kongresu. Powszechne podniecenie udzieliło się mu w równym stopniu co Metternichowi czy Talleyrandowi, który pomimo swych sześćdziesięciu lat nie przestał szukać nowych przygód miłosnych. Wprawdzie ówczesne międzynarodowe sfery wyższe nie były w zasadzie pruderyjne, jednak ci dwaj szokowali nawet największych lubieżników swawolnym i cynicznym pokazem zmysłowego zaspokajania żądz na wielką skalę. Aleksander bił rywali na głowę, jeśli chodzi o romanse. Zawsze towarzyszył mu cały harem dam. Zmusił swą żonę, Elżbietę, by wbrew swej woli przyjechała do Wiednia i ze względu na protokół żądał, by brała udział w ważniejszych oficjalnych uroczystościach. Marię Naryszkinę sprowadził jako swą główną metresę. Była tam też jego siostra, Katarzyna. Ona jednakże rozczarowała brata. Wkrótce po przyjeździe do Wiednia postanowiła wykreślić go ze swego życia. Po śmierci pierwszego męża, Jerzego, szukała towarzysza bardziej odpowiadającego jej pozycji jako Wielkiej Księżnej. - Dość mam kiszenia się w tym prowincjonalnym Twerze - oznajmiła bratu bez ogródek. - Chcę być królową. - Udawała, że zakochała się w młodym księciu Wilhelmie, następcy tronu Wirtembergii. Niczym łowczyni na safari ścigała go z typową dla siebie energią, zdecydowana go poślubić. I w końcu dopięła swego.

Podobnie jak dawniej, tak i teraz Elżbieta okazała się liberalną i pobłażliwą żoną. Z radością powitała zakończenie skandalicznego romansu męża z Katarzyną, na jego pozostałe sercowe przygody zaś przymykała oczy. Co więcej, w Wiedniu nagle odżyła dawna miłość do Czartoryskiego, a on odwzajemnił jej uczucia. Książę nie odstępował jej na krok, chyba że wzywały ich formalne obowiązki. Posunęli się nawet do tego, że poprosili Aleksandra o zgodę na rozwód, by mogli się pobrać. Epizod ten wszelako zraził Aleksandra do przyjaciela i doradcy. - Co za arogant z tego księcia Adama! Moja tolerancja przewróciła mu w głowie. To przywilejem rosyjskiego cara jest rozwieść się z żoną, a nie odwrotnie.

Na Kongresie porządek dnia Aleksandra nie uległ zmianie. Wstawał wcześnie i nacierał twarz kostką lodu, by napiąć skórę. Był dumny ze swej różanej, młodzieńczej cery i pragnął zachować ją na zawsze. Po śniadaniu konferował z sekretarzami i adiutantami. Około południa spożywał lekki posiłek, często ze swymi współpracownikami, potem zaś rzucał się w wir zajęć towarzyskich. Bywał na większości ważniejszych przyjęć i bardzo się starał przypodobać ładnym paniom. Jego mocną stronę stanowił taniec. Zapięty na ostatni guzik, w ciasnym wojskowym mundurze ze sztywnym, wysokim kołnierzem oraz w opiętych, białych bryczesach z koźlej skóry, zwykle ruszał w tany na pierwszy takt muzyki. Był też uroczym gawędziarzem, mającym w zanadrzu mnóstwo ciekawych anegdot oraz porywających komplementów. Flirt z tak czarującym, wysoko postawionym człowiekiem oznaczał awans towarzyski. Nic więc dziwnego, że najszanowniejsze damy rywalizowały ze sobą o jego względy. Należała do nich księżna Katarzyna Bagration, wdowa po dzielnym generale, który został śmiertelnie ranny w bitwie pod Borodino. Była wnuczką siostry Katarzyny II, a przez to daleką kuzynką Aleksandra. Odeszła od swego nieokrzesanego i wojowniczego męża wkrótce po ślubie, przemieszkując głównie w Dreźnie i Wiedniu. Była niegdyś kochanką Metternicha, z którym miała córkę. Jako gorliwa rosyjska patriotka, popierała ze wszystkich sił polski plan Aleksandra.

Główną rywalką Katarzyny Bagration była Wilhelmina Sagan, najstarsza z czterech córek zmarłego księcia Kurlandii i spadkobierczyni ogromnej fortuny. Wilhelmina odziedziczyła rozległe posiadłości w Inflantach, tudzież na Śląsku i w Czechach. Ona także była metresą Metternicha. Mimo licznych burzliwych kłótni pomiędzy dawnymi kochankami, Austriakowi udało się zachować znaczny wpływ na Wilhelminę poprzez pochlebstwa, szantaż a także hojne dary. Próbował utwierdzić ją w przekonaniu, iż realizacja polskiego planu oznaczać będzie wojnę Austrii z Rosją i Prusami, ona sama zaś - będąc zgodnie z prawem poddaną cara - ryzykuje utratę rozległych posiadłości w austriackich Czechach, a być może i na pruskim Śląsku, w przypadku gdyby Austriacy odzyskali tę prowincję, odebraną im przed dwoma pokoleniami przez Fryderyka II. Stąd, w jej własnym interesie leży przekonać cara, by szukał kompromisu i zrezygnował z planu polskiego, bowiem pozwoliłoby to jej zachować fortunę. Jeżeli zamysł ten się powiedzie - sugerował Metternich - Habsburgowie sowicie ją wynagrodzą, przyznając jej nowe olbrzymie posiadłości w Czechach.

Wilhelminy nie trzeba było długo namawiać. Jej kobieca duma, a także chciwość, kazały jej zarzucić sieć na Aleksandra. W ten oto sposób, zarówno Wilhelmina Sagan, jak i Katarzyna Bagration, manipulując carem, usiłowały wywrzeć wpływ na ważne kwestie omawiane na Kongresie. Obydwie były ambitnymi, pięknymi i doświadczonymi kobietami, pałającymi chęcią zdominowania mężczyzn poprzez dostarczanie im przyjemności. Obydwie były poddankami cara, zamieszkałymi zagranicą i należącymi do awanturniczej kosmopolitycznej kasty, posiadającej mienie w innych krajach, a więc osobami o podwójnej lojalności. Wiedeńska śmietanka z ożywieniem śledziła ich pojedynek

o względy cara. Początkowo przewagę zdobyła Wilhelmina, lecz wkrótce jej zaborczość, natrętne pochlebstwa, a także podtrzymywana znajomość z Metternichem kazała Aleksandrowi mieć się na baczności; rzucił ją wkrótce po oficjalnym otwarciu Kongresu.

* * *

Zebrani monarchowie prześcigali się nawzajem w urządzaniu wspaniałych balów, przyjęć i tym podobnych imprez. Cesarski turniej Habsburgów i towarzyszące mu hulanki okazały się najświetniejszym wydarzeniem sezonu. Zorganizowano go 23 listopada w Hiszpańskiej Szkole Jazdy, zbudowanej przez Karola V. Do obejrzenia spektaklu gospodarz zaprosił śmietankę europejskiej arystokracji. W każdym rogu rozległej areny wybudowano olbrzymie galerie, biegnące wzdłuż całej szerokości potężnego budynku, w których zasiadało tysiąc dwustu widzów na ławkach ustawionych w kilku rzędach. Ponad galeriami znajdowały się trzy balkony dla dwóch orkiestr oraz chóru chłopięcego, który śpiewał na otwarcie i zakończenie uroczystości, a także podczas antraktów. Chłopcy występowali w renesansowych kostiumach w barwach Habsburgów: żółci i czerni, oraz czarnych beretach z białymi strusimi piórami. Arenę wysypano piaskiem i trocinami, z sufitu zaś zwisało z tuzin gigantycznych żyrandoli, a ich woskowe świece rzucały tak silne światło, że w pomieszczeniu było równie jasno jak za dnia.

O godzinie ósmej rozległy się fanfary ogłaszające otwarcie turnieju. Dwadzieścia cztery damy z wiedeńskiej śmietanki towarzyskiej, podzielone na cztery grupy, w zielonych, karmazynowych, błękitnych lub czarnych barwach, przemierzyły arenę na oczach tysięcy wpatrzonych w nie widzów. Następnie herold zapowiedział przybycie koronowanych głów. Obydwie orkiestry odegrały, a chór chłopięcy odśpiewał hymn Habsburgów "Boże chroń naszego cesarza". Wszyscy powstali, a zewsząd rozległy się burzliwe oklaski. Austriacki cesarz i cesarzowa zajęli miejsca pośrodku galerii. Pozostali władcy i książęta zasiadali według wieku i dostojeństwa.

Cesarz Franciszek wstał, by ogłosić otwarcie turnieju, po czym sala rozbrzmiała taktami muzyki wojskowej. Dwudziestu czterech rycerzy, szlachecki kwiat cesarstwa, wjechało na arenę na hiszpańskich koniach pod pysznymi rzędami. Rycerze mieli na sobie obcisłe aksamitne kaftany z bufiastymi rękawami i atłasowymi klapami, przyozdobione z przodu złotymi guzikami, na nogach zaś obcisłe bryczesy i zielone kamasze ze złoconymi ostrogami; ich głowy zdobiły ogromne kapelusze z podniesionym rondem, do którego diamentową zapinką przytwierdzono białe strusie pióro, opadające łukiem na lewą stronę. Ich miecze, uwieszone u pasa, połyskiwały diamentami. Także rycerze

dzielili się na cztery drużyny, każda zaś reprezentowała barwy pań, o które mieli walczyć. Przed nimi maszerowało dwudziestu czterech paziów w habsburskich liberiach z wzniesionymi do góry sztandarami, za nimi zaś podążało tyleż samo giermków ubranych na modłę hiszpańską. Każda dama dała swemu rycerzowi chusteczkę w kolorze jego stroju.

Oddawszy honory monarchom i damom opuszczonymi lancami, rycerze rozpoczęli turniej przy akompaniamencie muzyki. Cwałując chwytali kółka zawieszone przed cesarskim trybunałem. Rzucali oszczepem w atrapy głów Turków w kolorowych turbanach, podnosili je z ziemi w pełnym galopie i znowu rzucali. Potem, także w pełnym biegu, przecinali mieczami jabłka na dwie połowy. Wykonywali wszelkiego rodzaju manewry i skoki z ogromnym wdziękiem i w zawrotnym tempie. Publiczność nagradzała zwinność rycerzy burzą oklasków. Następnie podzielili się na dwie grupy, nałożyli hełmy ochronne i napierśniki, by zmierzyć się ze sobą w pojedynku. Na dźwięk trąbki ruszyli na siebie próbując strącić przyciwników z koni.

Po widowisku wzorowanym na średniowiecznym turnieju, goście udali się na bankiet w pałacu hofburskim. Główny stół, dla koronowanych głów, umieszczono na specjalnym podwyższeniu, a posiłek serwowano na złotych talerzach. Po lewej stronie znajdował się stół dla zwycięskich rycerzy i ich dam, po prawej natomiast zasiadł korpus dyplomatyczny oraz czołowe osobistości wojskowe z poszczególnych delegacji. Dokoła hallu i w przyległych pokojach stało wiele mniejszych stołów dla pozostałych znakomitych gości. Nigdy przedtem nie widziano w Wiedniu takiego spektaklu jak ów wielki cesarski pokaz w Hiszpańskiej Szkole Jazdy. Europa była głodna, dotknięta epidemią cholery, zrujnowana, oszalała, niepewna przyszłości. Cóż z tego, skoro Dawny Porządek postanowił uczcić swoje "zmartwychwstanie".

* * *

Dwóm czołowym patronom Kongresu towarzyszyły ich małżonki, lecz panie pozostawały w cieniu, rzadko pokazując się publicznie, chyba że podczas niezwykle ważnych oficjalnych uroczystości. Hrabia Klemens Metternich, wówczas dobrze zapowiadający się młody dyplomata, poślubił był Eleonorę, z domu księżniczkę von Kaunitz, dla jej bogactwa i pozycji społecznej. Nie była atrakcyjną, lecz bystrą i wyrozumiałą partnerką, a ich związek stanowił klasyczny przykład małżeństwa z wyrachowania. Jako wnuczkę potężnego kanclerza Marii Teresy, całkowicie zadowalał ją status małżonki przystojnego i błyskotliwego następcy jej ojca. W Dreźnie, na jego pierwszej placówce, musiała się biernie przyglądać jak Klemens romansuje z księżną Katarzyną Bagration. Teraz znowu czuła się upokorzona z powodu jego licznych przygód sercowych, ale miłość do dzieci, na których zależało jej bardziej niż na czymkolwiek innym, okazała się ważniejsza od kobiecej dumy.

Mając u boku Czartoryskiego, cesarzowa Elżbieta nie przejmowała się zbytnio flirtami Aleksandra. Obie panie towarzyszyły mężom podczas oficjalnych uroczystości, gdzie traktowano je z całą czcią należną ich dostojeństwu. Potem jednakże dyskretnie oddalały się do swoich rezydencji, podczas gdy ich małżonkowie - pod pretekstem "ważnej prywatnej konferencji" lub "rozmowy" - szli oddawać się najdzikszym szaleństwom. Rozpalająca zmysły aura Wiednia sprawiła, iż Aleksander zapomniał o swym religijnym przeżyciu, które tak silnie oddziaływało nań w decydujących momentach kampanii 1812 roku. Schował Biblię do szuflady i rzucił się w wir cielesnych rozkoszy. Agenci barona Hagera bacznie śledzili poczynania cara, Metternich zaś z rozbawieniem studiował ich pikantne sprawozdania po porannej kawie. Jeden z raportów stwierdzał: "Zachowanie się rosyjskiego cesarza w Paryżu, we Francji, w Londynie a obecnie w Wiedniu, powszechnie nadszarpnęło jego reputację, a pogłoski o bezeceństwach cara dotarły nawet do Rosji. Osoby z jego otoczenia, które miały sposobność dokładnie przeanalizować jego charakter, twierdzą, iż Aleksander również jest nieco niezrównoważony i skończy jak jego ojciec".

Miejscem wielu miłosnych igraszek Aleksandra była Schenkenstrasse, niewielka alejka nieopodal Hofburga. Niezwykłym zbiegiem okoliczności, księżna Wilhelmina Sagan oraz księżna Katarzyna Bagration wynajęły przeciwne skrzydła tej samej rezydencji, usytuowanej przy tej właśnie uliczce. Po przelotnym flircie z Wilhelminą, Aleksander wybrał na swą stałą towarzyszkę Katarzynę, zaniedbując chwilowo Marię Naryszkinę. Romans zapowiadał się cudownie. Po pierwszej nocy spędzonej z Aleksandrem, Katarzyna odnotowała w pamiętniku: "W chwilach najwyższych uniesień z moim kochankiem modliłam się do Boga, «Panie, proszę, wybacz mi nadmiar mej rozkoszy»" ("*Pendant les moments les plus decisives avec mon amant je priais a Dieu - mon Dieu je demand pardon de l'excs de mon bonheur."*). Jednak podobna sielanka nie mogła trwać wiecznie.

30 listopada Katarzyna, odprawiwszy służących, wcześnie położyła się do łóżka z bólem głowy. Po chwili jednak obudził ją dzwonek oddźwiernego. W samym negliżu zeszła po schodach i ujrzała Aleksandra. Z udawanym zaskoczeniem i stosownym zakłopotaniem zaprosiła go do sypialni na górze. Tu Aleksander - ku swemu zdumieniu - zobaczył na krześle męski kapelusz.

- A to co? - zapytał oburzony.

- To mojego dekoratora, monsieur Jean Moreau - objaśniała księżna. - Przygotowuje dom do jutrzejszego balu. - Wszelako, ta niewiarygodna historia nie zadowoliła cara.

- Twój dekorator musi być bardzo zamożnym człowiekiem - zauważył z sarkazmem. - Stać go na kapelusz ze strusim piórem?

Zmieszana księżna, znalazłszy się w kropce, nie potrafiła tego wytłumaczyć. Tymczasem rozwścieczony Aleksander, rzucił kapelusz na podłogę i wyszedł z domu, by nigdy już doń nie powrócić.

Upokorzona Katarzyna zasypywała go listami z przeprosinami, ale na próżno. Zrozpaczona urządzała, jedno po drugim, kosztowne przyjęcia, i rzucała

się w ramiona przygodnych kochanków. W końcu jej bankiety zamieniły się w wyuzdane orgie i tak stała się jedną z najbardziej obmawianych dam na Kongresie. Policyjny raport przedłożony Metternichowi w ten oto sposób opisywał atmosferę panującą w jej domu: "Córka księcia Starhemberga uczestniczyła wraz z rodzicami w zabawie sylwestrowej urządzonej przez księżną Bagration. W czasie, gdy grano w fanty i dziecięce zabawy w kole, córka udała się do najdalszego pokoju z rosyjskim oficerem, który zamknął drzwi na klucz. Książę Starhemberg obserwował całe to zajście i rozwścieczony rozkazał dziewczynie, by otworzyła drzwi. Gdy odmówiła, kazał wyważyć zamek, po czym ujrzał córkę roznegliżowaną. Raz jeszcze potwierdziła się opinia, że rezydencja Bagrationowej to burdel, i aż dziw, że matki przyprowadzają tam swoje córki".

* * *

Koniec romansu z Katarzyną Bagration stał się punktem zwrotnym w postępowaniu Aleksandra. Przyczyniło się do tego nagłe obniżenie prestiżu Rosji. Car zdawał sobie sprawę, że Austria, popierana przez Anglię i Francję, mobilizuje swe siły, szykując się do walki z Rosją i Prusami o podział Polski. W grudniu współpracownicy Aleksandra dostrzegli wyraźną zmianę w jego usposobieniu. Stale rosnące poddenerwowanie cesarza stało się tak widoczne, że wkrótce nawet osoby postronne zaczęły komentować ten fakt. Znalazło ono swój wyraz w szukaniu odosobnienia, a także w mniejszym zainteresowaniu życiem towarzyskim. Coraz częściej oddawał się car poważnym dyskusjom politycznym i dyplomatycznym negocjacjom, stroniąc od balów i przyjęć. Ta nagła zmiana stała się tematem wielu spekulacji. Metternich żywił z początku nadzieję, iż Aleksander porzucił zamiar walki o Polskę pod wpływem swych greckich towarzyszy o antytureckiej orientacji, książąt Ypsilaniego i Sturdzy, którzy chcieli, by patronował sprawie greckiej niepodległości i w ogóle poruszył kwestię wschodnią na Kongresie. Inni twierdzili, iż Aleksander stracił entuzjazm dla Polaków, gdyż Czartoryski i cesarzowa Elżbieta odnowili stary romans, a nawet zażądali rozwodu. Wkrótce jednak agenci Hagera, których zadaniem było przechwytywanie korespondencji cara, odkryli jedną z przyczyn nagłej zmiany nastroju Aleksandra. Zaobserwowano coraz częstszą wymianę depesz pomiędzy pewną tajmeniczą damą, baronową Julią von Krüdener a bliską przyjaciółką Aleksandra, Roksandrą Sturdza, dworką Elżbiety i siostrą jego sekretarza.

W listopadzie 1814 roku Roksandra otrzymała od Julii list, w którym baronowa pisała: "Proszę ostrzeż wszech-umiłowanego Męża Przeznaczenia, że nadciąga nowa burza. Oznaczać to będzie, że burbońskie lilie wkrótce zwiędną. Napoleon szykuje się do powrotu do Francji. Strzeżcie się!". Aleksandrowi nie dawała spokoju ta wiadomość, toteż zastanawiał się z Roksandrą nad jej treścią. Jakże człowiek, odizolowany od całego świata, dzień i noc pilnowany

przez komisarzy sprzymierzonych mocarstw, mógłby uciec z internowania? A jednak schlebiało mu, iż nazwano go "wszech-umiłowanym Mężem Przeznaczenia". Tajemnicza wiadomość spędzała mu sen z powiek. Kilkakrotnie budziły go nocą koszmary o jeźdźcu na białym koniu, w czarnym kapeluszu i szarym płaszczu, pędzącym przez sterty martwych ciał.

W styczniu i lutym 1815 roku, baronowa przesłała przez Roksandrę nowe ostrzeżenie dla "tego, którego wszyscy kochamy i szanujemy". Wiadomość kończyła się słowami: "Człowiek, którego się lęka, ma zamiar powrócić, by zagrozić nam wszystkim". Tym razem Aleksander poprosił Roksandrę o spotkanie z autorką tych zagadkowych przestróg. - Jeśli jest prorokinią jak twierdzi, to może powie mi coś więcej na temat mojej przyszłości i pomoże mi rozbić zawiązującą się przeciwko mnie koalicję - powiedział. - Roksandra, zawsze gotowa służyć swemu władcy, przekazała wiadomość baronowej. Wszelako odpowiedź nie dotarła na czas.

* * *

Metternich zdawał sobie sprawę z historycznej roli, jaką przyszło mu odegrać, a także ze znaczenia Kongresu, który zainicjował i któremu przewodniczył. Aby uwiecznić ten jedyny w swoim rodzaju zjazd najznakomitszych mężów stanu tamtej epoki, poprosił Jean-Baptiste Isabeya, ażeby namalował zbiorowy portret najważniejszych delegatów na Kongres. Wybrano Isabeya, gdyż w młodości był nadwornym malarzem Ludwika XVI. Mając na uwadze jego artystyczne osiągnięcia, a także talent towarzyski, przemilczano fakt, iż podobną pozycję zajmował również na dworze Napoleona. Malowanie na dużym płótnie okazało się zajęciem żmudnym i czasochłonnym, wymagało bowiem grubo ponad dwadzieścia dwugodzinnych sesji. Na początku marca 1815 roku ogromne malowidło miało zostać ukończone, do tego jednakże potrzebne były jeszcze ze dwie lub trzy sesje. 4 marca o godz. 17.30, w trakcie wyjątkowo długiego pozowania, dostojne modele nie mogły się już doczekać, aby opuścić atelier i włączyć się w życie towarzyskie.

Isabey przenosił swój przenikliwy wzrok z płótna na stół, przy którym usadowiono czołowych mężów stanu. Widząc ich zniecierpliwienie, rzekł: - Panowie, wkrótce będziecie mogli odejść, przebrać się i udać na wasze spotkania towarzyskie. Sesja skończy się za kilka minut. Robi się coraz ciemniej, stąd to opóźnienie. - Stojąc przy sztalugach z pędzlem w ręce, uspokajał zebranych: - Jeszcze dwie, trzy minutki, panowie. Wiem, jak cenny jest wasz czas. Tak, tak. Ale gdy punktualność jest grzecznością królów, precyzja jest grzecznością artystów. Zważcie, iż malowałem nieszczęsną królową Marię Antoninę. Była cierpliwa, a także piękna. Powiedzenie, iż uroda jest jedynym wymogiem stawianym królowym nie jest do końca słuszne. Drugi - to cierpliwość. Proszę, bądźcie cierpliwi. W końcu, Napoleon siedzi bezpieczny na Elbie. Nie ma pośpiechu. - Delegaci wybuchnęli śmiechem; znali poczucie humoru Isabeya.

Ledwie malarz wypowiedział te słowa, gdy lokaj otworzył na oścież drzwi prowadzące do hallu. Do sali wbiegł austriacki pułkownik, stanął na baczność przed Metternichem i zameldował: - Wasza Wysokość wybaczy, że przerywam posiedzenie, ale właśnie otrzymaliśmy alarmujące wieści od brytyjskiego konsula w Genui. Bonaparte opuścił Elbę na pokładzie statku. Nie wiadomo dokąd się udał!

Gdyby piorun strzelił w salę, nie zrobiłoby to na obecnych większego wrażenia. Siedzieli jak sparaliżowani. Metternich pierwszy odzyskał zimną krew, zerwał się na równe nogi i - opanowując zdenerwowanie - oświadczył: - Panowie, to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Wybiła godzina poważnej decyzji. Nastał czas zdecydowanego działania.

O godzinie dziesiątej wieczór czołowi mężowie stanu państw sprzymierzonych zgromadzili się w jego gabinecie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, by zdecydować o podjęciu dalszych kroków. Rozprawiano nad różnymi scenariuszami. Najświeższe wieści postawiły Aleksandra w kłopotliwej sytuacji. Doskonale pamiętał, że to z jego inicjatywy zesłano Napoleona na Elbę, nie zaś na o wiele bezpieczniejsze Azory. Zdawał sobie też sprawę z faktu, że Austria, Anglia i Francja spiskują przeciwko niemu. Wszelako, wszystkim im przyszło ponownie stawić czoła rozjuszonemu Napoleonowi. Nie było jeszcze jasne, czy udawał się do Francji czy do Włoch. Niemniej, przezornie wysłano natychmiast z Wiednia specjalnych kurierów, aby zaalarmowali dowódców wszystkich sprzymierzonych armii.

Tymczasem 1 marca 1815 roku Napoleon bezpiecznie wylądował w Zatoce Juan, opodal Nicei, nie napotkawszy na żaden opór ani ze strony francuskich sił zbrojnych, ani też miejscowych władz cywilnych. Wprost przeciwnie. Gdziekolwiek się pojawił, witano go entuzjastycznie. Triumfalny marsz z południa Francji na Paryż stanowił jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Francuskie jednostki, jedna po drugiej, poddawały mu się dobrowolnie. Owa nagła zmiana nastroju Francuzów znalazła swój wyraz w nagłówkach paryskiego *Le Moniteur*. 5 marca dziennik donosił, iż "Korsykański Potwór wylądował w Zatoce Juan". Dwa dni później w czołówkach pojawiła się groźba: "Kanibal maszeruje na Grasse". 12 marca paryżanie dowiedzieli się, że "Uzurpator wkroczył do Grenoble". 16 marca, gazeta potulnie stwierdziła, iż "Napoleon maszeruje na Fontainebleau". Wreszcie 20 marca francuska opinia publiczna dowiedziała się, że "Jego Cesarska Mość jest oczekiwany jutro w Paryżu". W międzyczasie Ludwik XVIII w pośpiechu opuścił stolicę i powrócił do Anglii. Jak ujął to Wiktor Hugo, była to najbłyskotliwsza inwazja w dziejach świata; przeprowadził ją jeden nieuzbrojony człowiek, nie oddawszy ani jednego strzału.

Ten niespodziewany i bezprzykładny triumf Napoleona wywarł na Aleksandrze głębokie wrażenie. Po chwili zadumy nad zlekceważonymi przestrogami sybilińskiej baronowej, postanowił: - Żadnego pokoju z Napoleonem! Przede wszystkim należy go zmiażdżyć! Potem zadecydujemy o politycznej przyszłości Francji.

Słowa te zdradzały wątpliwość co do słuszności poprzedniego posunięcia: popierania Burbonów, którymi pogardzał, zwłaszcza groteskowo opasłym i

buńczucznie aroganckim Ludwikiem XVIII. Brytyjskiemu delegatowi na Kongres, lordowi Clancarty, który przypomniał mu o zasadzie "legalizmu" - uznanej za jedną z podstaw polityki sprzymierzonych - oświadczył: - Francuski naród nie potrzebuje Burbonów. Niech pan patrzy, z jakim spokojem przyjmuje ich odejście. Czy chce pan siłą narzucić Francuzom rząd, któremu właśnie pokazali plecy?

Aczkolwiek rozprawiał o sile, Aleksander był chwilowo bezsilny. Ogromna większość jego wojsk stacjonowała wówczas w Polsce lub powróciła do Rosji. Nie ulegało wątpliwości, że armia rosyjska nie będzie w stanie podjąć walki z Napoleonem jeszcze przez kilka miesięcy. Mimo to, natychmiast wysłano rozkazy do Barclaya de Tolly, by szykował oddziały do marszu na zachód, skoro tylko będzie to wykonalne. Jako że Austriacy zajęci byli poskramianiem Włochów, zadanie obrony zagrożonych granic Holandii postanowiono powierzyć przede wszystkim Anglikom i Prusakom. W międzyczasie Schwarzenberg, jako głównodowodzący sojuszniczych armii, miał przeprowadzić koncentrację wojsk austriackich na prawym brzegu Renu i przyszykować je do inwazji na Francję, razem z pruską armią Blüchera. Dowództwo mieszanego angielsko-holenderskiego kontyngentu, który miał się zebrać w Belgii, Brytyjczycy oddali w ręce Wellingtona.

W czasie gdy dowódcy wojskowi w pośpiechu przygotowywali się do działań wojennych, dyplomaci w zawrotnym tempie sporządzali ostateczną wersję rezolucji przyjętych na Kongresie. W obliczu niebezpieczeństwa, spowodowanego powrotem Napoleona, pomiędzy mocarstwami znowu zapanowała doskonała harmonia. Na znak solidarności ze sprzymierzeńcami, Aleksander pogodził się zestratami terytorialnymi w Polsce. Ogromna część Księstwa Warszawskiego miała zostać przyłączona do Rosji, jednakże Prusy zatrzymywały Poznań, Bydgoszcz i Toruń. Miały też otrzymać prowincje nadreńskie jako kompensatę za Saksonię, która w zasadzie zachowała swą integralność. Austria otrzymała obwód tarnopolski we wschodniej Galicji, scedowany Rosji w 1809 roku, po bitwie pod Wagram. Miała też odzyskać resztę Galicji bez Krakowa, a także zagarnąć Lombardię, Wenecję, Triest, Dalmację i Ilirię.

Napoleon, gdy tylko urządził się w Paryżu, podjął próbę rozbicia nowej koalicji. Kazał przeszukać gabinet Ludwika XVIII w pałacu Tuileries, gdzie w jednej z szuflad królewskiego biurka znaleziono tekst traktatu z 3 stycznia 1815 roku. W nim to Austria, Francja i Anglia zobowiązywały się do poskromienia ambicji Rosji w Polsce poprzez groźbę wypowiedzenia wojny. Zaznajomiwszy się z dokumentem, Napoleon przekazał jego treść rosyjskiemu charg d'affaires, który natychmiast wyjechał do Wiednia. Po zapoznaniu się z faktami, Aleksander wybuchnął gniewem. Jego adiutant, Capo d'Istria, świadek zajścia, opisywał potem cara biegającego tam i z powrotem po pokoju, tupiącego nogami, który z purpurową twarzą i wzrokiem ciskającym błyskawice wrzeszczał: "To robota tych dwu jadowitych wężów, Metternicha i Talleyranda".

Konfrontacja z Metternichem, do jakiej niezwłocznie doprowadził, trwała krótko, lecz miała dramatyczny przebieg. Z arogancką pewnością siebie pokazał mu traktat i spytał: - Zna pan ten dokument?

Następnie, nie zważając na wyjaśnienia plączącego się rywala, powiedział spokojnym głosem: - Dopóki żyjemy, nie może być o tym mowy... przenigdy! Są pilniejsze sprawy. Nie wolno nam myśleć o niczym poza naszą wspólną walką z Napoleonem.

ROZDZIAŁ XIV

Bałtycka baronowa

Aleksander nie był obecny na ostatnich posiedzeniach Kongresu Wiedeńskiego oraz przy podpisywaniu traktatu 9 czerwca 1815 roku. Obawiał się, że strategia Wellingtona, Blüchera i Schwarzenberga pozwoli im przetrącić kark Napoleonowi i wkroczyć do Paryża zanim Rosjanie zdążą oddać choćby jeden strzał. 25 maja wyjechał z Wiednia do Heilbronn nad Neckarem, gdzie 4czerwca założył swą kwaterę główną. Rada wojenna sprzymierzonych, której Aleksander przewodniczył, miała za zadanie opracowanie planów kampanii przeciwko Napoleonowi. Siły sprzymierzonych należało skoncentrować nad Renem, pomiędzy Bazyleją i Koblencją. Armia angielsko-pruska uformowałaby prawe skrzydło i przeprowadziłaby ofensywę w kierunku na Langres; rosyjski kontyngent, który mógł dotrzeć do Renu dopiero w lipcu, miał stanowić armię rezerwową i skoncentrować swe siły opodal Moguncji, by w razie potrzeby interweniować. Kości zostały rzucone.

Aleksander pozostawał w Heilbronn niecierpliwie wypatrując przyjazdu pierwszych rosyjskich oddziałów. Pewnego czerwcowego poranka, do jego drzwi zapukał Piotr Wołkoński, oznajmiając, iż pewna dama - Julia von Krüdener - nalega, by car natychmiast ją przyjął. Dziwnym zbiegiem okoliczności Aleksander rozmyślał właśnie o jej przepowiedni, dotyczącej powrotu Napoleona, i gorąco zapragnął ją poznać. Powiadomiony o jej nagłym przybyciu, rzekł do Wołkońskiego: - By tak odgadywać moje myśli, musi chyba czytać w mej duszy. Widzę w tym znowu rękę Opatrzności.

Baronowa fascynowała swą kosmopolityczną osobowością. Przyszła na świat w Rydze w roku 1764, w rodzinie Niemca bałtyckiego, obszarnika, barona Otto von Vietinghoffa. W wieku lat osiemnastu poślubiła rosyjskiego dyplomatę, Aleksego von Krüdenera, i towarzyszyła mu na placówkach w Wenecji, Kopenhadze i Berlinie. Mieli dwoje dzieci, Pawła i Julietę. Aleksy i Julia rozstali się w 1792 roku, on zaś zmarł dziesięć lat później. Baronowa wkrótce zasłynę-

ła ze swych rozlicznych i bulwersujących przygód miłosnych. Rozgłos i sławę - niemal z dnia na dzień - przyniosła jej jednak na wpół autobiograficzna, zmysłowa powieść sentymentalna pt. *Waleria.* Niemałe zdziwienie przyjaciół wzbudziło jej niespodziane wycofanie się z życia towarzyskiego, będące wynikiem nagłego nawrócenia. Pod wpływem mistycznego natchnienia wydała kilka esejów i broszur oraz teoretycznych rozważań na temat Biblii. Na tę wszechstronną działalność Julii na polu literatury i religii zwróciła uwagę Aleksandra Roksandra Sturdza. Podczas gdy jej brat sprawował funkcję prywatnego sekretarza cara, ona sama była swego czasu intymną towarzyszką Aleksandra i, zazdrosna początkowo o Katarzynę Bagration, starała się - pozostając w tle - zachować wpływ na potężnego przyjaciela, świadcząc mu najrozmaitsze przysługi.

Gdy tylko przekroczyła próg jego pokoju, baronowa zaskoczyła Aleksandra młodością i wigorem. Miała na sobie prostą, acz elegancką czarną suknię bez ozdób, z wyjątkiem diamentowego krzyżyka na srebrnym łańcuszku, zawieszonego na szyi. Mimo swych czterdziestu ośmiu lat atrakcyjna nieznajoma wyglądała jak kobieta po trzydziestce: szczupła, choć o nieco zbyt wydatnym biuście, z młodzieńczą cerą, zmysłowymi ustami i ogromnymi, wyrazistymi oczyma. Jej głos, melodyjny i łagodny, wabił i przekonywał. Niemiecki poeta E.M. Arndt, który poznał baronową mniej więcej w tym samym czasie, tak oto ją opisał: "Kobieta ta, aczkolwiek nie pierwszej młodości, nadal zachwycała urodą. Emanowała magicznym blaskiem pełnej skruchy, choć pożądliwej Magdaleny". Nie uchodziła za skończoną piękność, lecz łączyła w sobie urodę i błyskotliwą inteligencję, zalety, które ujęły Aleksandra, obecnie samotnego wojownika, spragnionego takiej towarzyszki.

Na pierwszym spotkaniu baronowa łagodnie upomniała cara, iż nie posłuchał jej przepowiedni i wiódł skandaliczny tryb życia, "niegodny chrześcijańskiego księcia". Chciała, by wyznał jej swe grzechy, co też skwapliwie uczynił. Podzielił się z nią " wszystkimi smutkami i namiętnościami, które od dziecka zatruwały mu życie". Nakłaniała go, by okazał skruchę i odkupił winę, podejmując się "świętej misji ocalenia świata". Już przy ich pierwszym spotkaniu Aleksander znalazł się pod urokiem baronowej, Wołkońskiemu zaś wyznał: - Dostąpiłem niezwykłego szczęścia, iż w tak krytycznej chwili dane mi było doznać tego cudownego natchnienia. I tym razem Opatrzność okazała się dla mnie łaskawa. Pojawienie się tej fascynującej istoty to z pewnością zrządzenie niebios. Muszę częściej rozmawiać z baronową. Proszę, zatroszcz się o to, by nie brakowało jej niczego; niech zostanie tak długo, jak zechce. Ale najpierw znajdź moją Biblię! Jest wśród koszul albo w kieszeni zimowego palta, które nosiłem w Moskwie. Jak dotąd nie miałem czasu studiować Pisma Świętego, gdyż żyłem w siodle. Odtąd, jednakże, stanie się ono codzienną lekturą. Baronowa zaś będzie mym przewodnikiem.

Parę dni później Aleksander przeniósł się z Heilbronn do Heidelbergu, gdzie rezydowali już cesarz Austrii i król Prus. Towarzysząca mu baronowa zamieszkała niedaleko cara. Zaszyta w małym domku nad Neckarem, Julia - podczas Stu Dni - napominała Aleksandra, by nie ustawał w walce z Napoleonem,

cytując psalm 35 i 37: "Jeszcze chwila, a nie będzie przestępcy". Ich spotkania, trwające zazwyczaj od osiemnastej do drugiej nad ranem, okrywała wielka tajemnica, a wiemy o nich głównie dzięki niedyskrecji baronowej oraz zdawkowym wzmiankom z listów Aleksandra do matki. Car mógł słuchać Julii godzinami, siedząc jak zahipnotyzowany, ze łzami spływającymi po policzkach.

Poglądy baronowej na temat chrześcijaństwa charakteryzował chaos i eklektyzm. Jej zdaniem, Bóg obdarował wszystkie swe stworzenia umiejętnością rozróżniania pomiędzy dobrem a złem, a także całkowitą swobodą wyboru. Mimo to, w większości przypadków, pojęcie dobra i zła nie wynika z wewnętrznego przekonania, gdyż ulega wypaczeniom pod wpływem środowiska i pozycji społecznej. Mądrość świata - to głupota. Epoka oświecenia, usiłująca sprowadzić wszystko do naukowych wzorów, odrzuciła intuicyjne zrozumienie tajemnic religii, czyniąc nas krótkowzrocznymi i ograniczonymi. Poprzez modlitwę i medytację musimy szukać Łaski Bożej, aby doznać mistycznego objawienia. - Oślepieni kosmicznym blaskiem będziemy mogli doświadczyć boskiego oświecenia. - przekonywała Aleksandra. - Łuski spadną nam z oczu, a nasze dusze przepełni miłość, która pozwoli nam postępować zgodnie z wolą boską.

Mimo iż sama była luteranką, gardziła wszystkimi wyznaniami bez wyjątku. - Zmysłowych katolików zbyt pochłania rytuał, wciąż dostrzegają cienie, a nie rzeczywistość - głosiła. Co więcej, katolicy pozostają niewolnikami tradycji. Natomiast zimni, ograniczeni protestanci omijają niezbadane tajemnice chrześcijaństwa i dają się uwieść rozumowi, który wielbią, gdyż wbija ich wpychę.

- Sztywne więzy wyznaniowe są niczym okowy i powinny zostać zniesione - twierdziła. - Ci, którzy zwracają się w kierunku niewidzialnego, mistycznego kościoła, by znaleźć "dzieci boże wszędzie, w każdej chrześcijańskiej sekcie, są prawdziwymi poszukiwaczami prawdy objawionej. Powinniśmy zjednoczyć nasze wysiłki, wspólnie naprawić błędy, i powrócić do tych wspaniałych czasów, gdy Europa wciąż była domem jednej, niepodzielonej chrześcijańskiej religii".

Baronowa należała do przeciwników zinstytucjonalizowanego stanu duchownego, wychodząc z założenia, iż każdy głęboko wierzący, nie wyłączając kobiet, może głosić Słowo Boże i udzielać sakramentów. "Kobieta, która posiadła sekret duchowych cierpień, którą duchowo uszczęśliwia i uświęca miłość Jezusa Chrystusa, kobieta, która żyje wyłącznie prawdą zasługuje na miano kapłana". Wielokrotnie powtarzała przyjaciołom, że "droga do duchowej wzniosłości prowadzi często przez fizyczny związek dwu jednakowo natchnionych osób". "Ciało i dusza" - argumentowała - "będąc dziełem Boga, są w równym stopniu święte". Seks jest konieczny do zbawienia. Bez seksu nie ma mowy o spontanicznym i bezpośrednim kontakcie z Bogiem, ani o wypełnieniu Jego misji na ziemi. Zespolenie płci stanowi pierwszy krok w kierunku zespolenia ludzkości z Bogiem w ostatecznym, mistycznym związku. - Zdaniem baronowej, miłość ludzi, których łączą duchowe więzy - tak jak ją i cara - samoistnie przybrała formę mistycznej jedności. Owo zespolenie dusz i serc

odpowiada temu, co Grecy określają mianem *agape,* nie zaś zwyczajnemu zaspokojeniu fizycznego *libido* czy też *erosa.*

- Im dłużej cię słucham, tym silniejszego nabieram przekonania, że jestem narzędziem w ręku Boga - wyznał Aleksander, łapczywie chwytając każde słowo Julii, która utwierdzała go w tym mniemaniu: - Jesteś Wybrańcem Boga, Jego ukochanym, nadzieją ludzkości! - Kilkakrotnie określając swój stosunek do Aleksandra, baronowa przyrównywała swe uczucia do uczuć "matki roztaczającej nad synem troskliwą opiekę". I rzeczywiście, często zwierzał się Wołkońskiemu, iż postępuje według jej wskazań "niczym potulne, posłuszne dziecko".

* * *

Na wieść o zwycięstwie sił sprzymierzonych pod Waterloo, 24 czerwca, Aleksander postanowił pojechać do Paryża. Julia Krüdener zdecydowała się mu towarzyszyć i dostarczać duchowego pocieszenia. Podróżując z rosyjskim paszportem, w ślad za kolumnami armii sprzymierzonych, dla których punktem docelowym była stolica Francji, 14 lipca Aleksander i Julia dotarli do Paryża. Tak oto baronowa opisywała ich podróż: "Przejeżdżaliśmy przez kraj targany politycznymi namiętnościami, w którym aż roiło się od pospolitych przestępców. Często zatrzymywaliśmy się na postój w miejscowościach, w których jeszcze dzień wcześniej dopuszczono się jakiejś grabieży lub dopiero co stłumiono bunt. Niemal w każdej wiosce tłum rzucał broń i oblegał nasze powozy. Zarówno cesarz, jak i ja głosiliśmy Ewangelię i pouczaliśmy o sprawiedliwej karze, a także łasce Zbawiciela, który w swej bezgranicznej miłości pragnie jedynie wybawić nas od grzechu ślepej zemsty".

I rzeczywiście, podczas drugiej kampanii francuskiej, Aleksander ponownie rozkazał swoim żołnierzom wkraczającym do Francji, by przychodzili w przyjaźni, a nie nienawiści, by zapomnieli o cierpieniach, jakich Napoleon przysporzył ich krajowi, i by nie obwiniali za nie francuskiego narodu. Nadal podkreślał różnicę pomiędzy Bonapartem a francuskim ludem. "Wielkie Mocarstwa nie mogą korzystać tutaj z prawa podboju, albowiem w pierwszym rzędzie należy potraktować Francję sprawiedliwie, ustanowić władzę królewską, nie dopuścić do rewolucji, przywrócić pokój i szczęście narodowi francuskiemu. Druga restauracja i legalna monarchia musi mieć jeszcze jedną szansę na przywrócenie Francji dawnej pozycji ważnego elementu w europejskim układzie sił".

W Paryżu Julia zatrzymała się początkowo w Hôtel de Mayence na południowym brzegu, ale już po kilku dniach przeniosła się do nowej rezydencji na rue Saint-Honor, gdzie jej ogród przylegał do pałacu zajmowanego przez cara. Umożliwiło mu to częste, nocne wizyty, trwające od dziewiątej wieczór do pierwszej nad ranem. Nie uszły one uwadze córki baronowej, Juliety: "Mama i

Aleksander bardzo często przebywają sam na sam. Jego wizyty są zawsze utrzymywane w tajemnicy".

W miarę jak przybliżała się chwila ostatecznej rozgrywki z Napoleonem, Aleksander coraz częściej zdawał się na rady baronowej. Podczas drugiej kampanii francuskiej nie odstępowała go na krok, niosąc mu moralne wsparcie w chwilach depresji i zwątpienia, kiedy wojna zdawała się nie mieć końca.

Baronowa była niezwykle zajęta. Organizowała dla wyższych sfer wspólne modlitwy, podczas których błagano Boga o wskazanie właściwej drogi. Chateaubriand w swych *Pamiętnikach zza grobu* poświęcił inflandzkiej "prorokini" następujący ustęp: "Baronowa von Krüdener przerzuciła się z romantyzmu na mistycyzm. Zamieszkiwała rezydencję na Faubourg Saint-Honor. Car Aleksander odwiedzał ją incognito, korzystając z ogrodowej furtki, a ich polityczno-religijne rozmowy kończyła żarliwa modlitwa. Baronowa zaprosiła mnie na jeden ze swoich niebiańskich sabatów czarownic. Wprawdzie należę do ludzi chimerycznych, ale nienawidzę braku rozsądku, nie znoszę myślowego zamętu i gardzę szarlatanerią. Całe to widowisko znużyło mnie niepomiernie; im bardziej próbowałem się modlić, tym wyraźniej czułem, że me serce przepełnia coraz większa pustka. Nie miałem Bogu nic do powiedzenia, a diabeł kusił mnie, bym wybuchnął śmiechem."

Po drugiej klęsce Napoleona Aleksander mógł się odprężyć i nacieszyć Paryżem. Próbował zwiedzać co cenniejsze zabytki francuskiej stolicy, w tym Htel des Invalides. Jego mieszkańcy, napoleońscy wiarusi, pogrążeni byli w głębokim smutku, bowiem dopiero co odebrano im wojenne trofea: działa zdobyte pod Jeną, Austerlitz i Wagram. - Nie martwcie się, dzielni towarzysze - pocieszał ich Aleksander. - Wstawię się za wami u monarchów, mych sprzymierzeńców, by zostawili wam niektóre z pamiątek waszych dni chwały". Rozkazał ponadto, ażeby dwanaście armat rosyjskich, które Napoleon zdobył pod Austerlitz, pozostawiono w Inwalidach. Kiedy Francuzi z poniżającą służalczością zaproponowali zmianę nazwy mostu Austerlitz, Aleksander odrzekł tylko:
- Nie trzeba, wystarczy że wiadomo, iż przejechał nim rosyjski car wraz ze swą armią.

Zwiedził Luwr i podziwiał serię obrazów zamówionych przez Napoleona u takich artystów jak: Jacque Louis David, Jean-Baptiste Ingres oraz Louis Gros. Wszyscy oni usiłowali przemienić historię w legendę i uwiecznić w zbiorowej wyobraźni heroiczne wyczyny zleceniodawcy. Aleksander zadumał się dłuższą chwilę nad malowidłem Ludwika Grosa "Bonaparte i trędowaci z Jaffy". Napoleon skłonił artystę, by przedstawił go jak chrystusowym gestem dotyka zarażonych, niby cudownie ich uzdrawiając. - Ten spryciarz - powiedział do baronowej - sam doglądał dzieła tworzenia własnej legendy. Ciekaw jestem, co w przyszłości powiedzą na to historycy.

* * *

W czasie gdy Napoleon udawał się na wygnanie na Św. Helenę, Aleksander urządzał wielką paradę wojskową 19 września, na zboczu wzgórza w Vertus opodal Epernay w Szampanii, jakieś siedemdziesiąt pięć mil na wschód od Paryża. Miał to być pokaz militarnej potęgi Rosjan - którzy bądź co bądź nie odegrali pod Waterloo żadnej roli. Opromienione wieczornym słońcem, Vertus zmieniło się nie do poznania dzięki różnobarwnym siedzeniom, rozstawionym dla pomieszczenia widowni. Gigantyczne namioty, udekorowane kwietnymi girlandami, zdobiły sztuczne ogrody. Wspaniali oficerowie przemieszali się ze straganiarzami i damami z towarzystwa. Przed zgromadzonymi monarchami, książętami, generałami i wielkim tłumem stały w paradnym szyku oddziały Aleksandra, niczym ołowiane żołnierzyki, poustawiane przez pedantycznego choreografa. Wśród znamienitych gości, obok cesarza Franciszka i króla Fryderyka Wilhelma, jaśniała międzynarodowa konstelacja książąt, feldmarszałków, generałów i dyplomatów.

Monarchów powitała salwa z dwudziestu jeden armat, dając tym samym sygnał do rozpoczęcia parady. Nigdy przedtem nie widziano tak wspaniałej defilady: około 100000 ludzi z blisko 500 działami przemaszerowało przed przywódcami sprzymierzonych państw. Jako że za pomocą słownych komend nie sposób było dyrygować tak ogromną ludzką masą, poszczególnymi etapami parady kierowano poprzez wystrzeliwanie rakiet we wszystkich kolorach tęczy. Dopiero na ten znak dowódcy batalionów, baterii i innych jednostek wydawali komendy swoim żołnierzom. Po pierwszym wystrzale, na oczach zgromadzonych, zastępy wojska - jak jeden mąż - stanęły na baczność, co widzowie nagrodzili burzliwymi oklaskami. Po drugim - żołnierze zaprezentowali broń, na trzeci zaś - zarzucili broń na ramię. Następnie bataliony uformowały kolumny i przygotowały się do marszu. Szósty wystrzał oznaczał sygnał do rozpoczęcia przemarszu przed znakomitymi gośćmi. Miłośnikowi widowiskowych parad aż serce rosło na widok szeregów, które, niczym roboty, precyzyjnie wykonywały jego polecenia. - Ta wspaniała defilada sprawia mi nie mniejszą radość niż zwycięstwo na polu bitwy - powiedział Aleksander do baronowej, stojącej tuż za nim i niemalże oniemiałej z podziwu. Po paradzie zachwycony car zszedł z widokowego wzgórza, dosiadł swego karego rumaka Zaćmienie i pojechał podziękować oddziałom za doskonały popis ich umiejętności, potem zaś - wzorem Napoleona - gawędził z oficerami i żołnierzami.

Nazajutrz, 21 września 1815 roku, odbyła się uroczystość ku czci świętego wojownika Aleksandra Newskiego, a także imieniny cara. By oddać hołd swemu patronowi, Aleksander kazał wznieść na polu siedem ołtarzy, przy których popi odprawiali msze. Miejscem głównych nabożeństw był Plac de la Concorde, gdzie zgilotynowano niegdyś Ludwika XVI. Tym razem żołnierze wystąpili bez rynsztunku, a kawalerzyści nie dosiadali koni. Kiedy kapłani zaintonowali dawny słowiański hymn, w niebo wzbił się chór tysięcy głosów. Tłumy zaciekawionych obcokrajowców, którzy zdecydowali się uczestniczyć w dwugodzinnej mszy, nie mogły wyjść z podziwu. Po nabożeństwie car wziął udział w uroczystej procesji, modląc się przy każdym ołtarzu z osobna.

Owej nocy wyznał madame Krüdener: - Był to najpiękniejszy dzień mojego życia. Moje serce przepełnia wdzięczność dla mych żołnierzy i dla chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim moi ludzie traktowali dawnych nieprzyjaciół. Płakałem u stóp krzyża, prosząc o bezpieczeństwo dla Francji i szczęście dla ludzkości..

Następnie spytał baronową: - Ale jakże można je osiągnąć? - Julia otworzyła Biblię i przeczytała Psalm 23: "Prowadź mnie Panie i służ radą, potem zaś przyjmij do Swego Królestwa". - Ten oto werset - powiedziała - daje ci pewność, że Bóg myśli razem z tobą. Odnosi się to także do twoich spraw i - jako pomazańcowi bożemu - pozwala ci rozwinąć w sobie wyjątkową zdolność dostrzegania mądrości, nazywaną intuicją. Musisz częściej medytować, zdać się na Pana i iść za Jego głosem. - Po chwili dodała raz jeszcze. - Módl się! Módl się jak dziecko! Gdy się wahasz, gdy targają tobą wątpliwości, módl się! Szukaj tej łaski bożej, której Bóg udziela poprzez miłość Swego syna! Pojmiesz, że człowiek nie może być szczęśliwy w tym czy też w przyszłym życiu bez Jezusa Chrystusa, bez przekonania, że zbawienie przychodzi wyłącznie poprzez Niego, przez jego Ducha. Powinieneś mieć więcej odwagi, musisz wiedzieć dokąd zmierzasz. Wiatry nie sprzyjają temu, kto żegluje bez celu.

- Co masz na myśli? Cóż znaczą twe słowa? - Odpowiedziała bez wahania: - Twoim obowiązkiem, jako najpotężniejszego ze wszystkich monarchów, jest urzeczywistnienie Królestwa Bożego na ziemi, którego Królem jest Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus. Wierzę, że zapanuje On na ziemi pod ludzką postacią, widzialną i namacalną. Twoim zadaniem jest przyspieszyć nastanie Jego rządów poprzez stworzenie instytucji, dzięki którym szybciej ustanowi się Jego Królestwo. Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek nad założeniem królewskiego przymierza, braterstwa monarchów o poglądach podobnych do twoich? Jednostki są śmiertelne, ale instytucje przeżyją swych założycieli. Potrzeba ci wizji, byś mógł postępować zgodnie z ich nakazem. Rządy Zbawiciela nastaną z chwilą, gdy zawiążesz sojusz z tymi władcami, którzy pozostają w wierze. Niechaj przysięgną, że wspólnymi siłami będą walczyć z wszystkimi tymi, którzy pragną wykorzenić religię. Niechaj stanie się to fundamentem naszego społeczeństwa, a wówczas zatriumfujesz. Przelej swe ideały na papier. Sporządź oficjalny dokument, traktujący o duchowej więzi jak również o przymierzu politycznym, i przedłuż go braciom monarchom.

Aleksander zasiadł do pisania, baronowa zaś kontynuowała: - Należy bezwzględnie odrzucić dawny porządek w stosunkach międzynarodowych, oparty na sile i dyplomatycznych fortelach - przekonywała. - Trzeba go zastąpić ładem bazującym na wzniosłych prawdach, których naucza nas nieśmiertelna religia Boga Zbawiciela. Wojna - to dzikie szaleństwo. Twoim celem winny stać się pokój i braterstwo. Władcy nie powinni być dla siebie jak rywale, ustawicznie walczący o nowe terytoria, lecz jak bracia, a swoich poddanych winni traktować jak własne dzieci. Podstawą prawa narodów na ziemi musi stać się Boże Królestwo nie z tego świata.

Podczas kolejnej bezsennej nocy Aleksander własnoręcznie sporządził szkic najbardziej brzemiennego w skutki dokumentu w swoim życiu, któremu

nadał tytuł "Traktat Świętego Przymierza". W preambule potwierdzał zamiar oparcia swych działań "na wzniosłych prawdach zawartych w nieśmiertelnych naukach naszego Zbawiciela". Istota kolejnych trzech artykułów dotyczyła kilku podstawowych zasad. Po pierwsze, monarchów, którzy podpisaliby się pod traktatem, miały łączyć więzi duchowego, nierozerwalnego braterstwa; mieli wyrazić zgodę na traktowanie swych poddanych tak, jak dobry ojciec traktuje swe dzieci, i w podobnym duchu kierować mieli nimi w trosce o ich bezpieczeństwo, sprawiedliwość i pokój. Po wtóre, jedyną zasadą obowiązującą sygnatariuszy - odnoszącą się zarówno do rządów państw, jak i ich poddanych - miało być niesienie w razie potrzeby wzajemnej pomocy i wsparcia. Po trzecie, wszystkie mocarstwa pragnące uroczyście ślubować tym dwu fundamentalnym zasadom, dla których powoływano do życia Święte Przymierze, zostaną z radością i otwartym sercem przyjęte na jego łono. Monarchowie sygnujący Traktat będą mogli uważać, iż to Opatrzność wyznaczyła ich do rządzenia swymi poddanymi w sposób sprawiedliwy, ze współczuciem i matczyną troską.

Traktat Świętego Przymierza zawarto w Paryżu, 15 września 1815 roku. Podpisali go cesarz Austrii, Franciszek I, król pruski, Fryderyk Wilhelm III i, rzecz jasna, Aleksander. Inni władcy państw europejskich ociągali się z podjęciem decyzji. Większość głów pomniejszych niemieckich państewek w końcu także przyłączyła się do Przymierza, z reguły, by sprawić przyjemność potężnemu carowi, który pomógł im wyzwolić się spod hegemonii napoleońskiej. Brytyjski Książę-Regent - przyszły Jerzy IV - wyraził swe uznanie dla wzniosłego ducha paktu, ale odmówił podpisania, gdyż "zawierali go sami monarchowie, podczas gdy zgodnie z brytyjską konstytucją traktaty winny wychodzić spod pióra odpowiednich ministrów". Prywatnie, zarówno Castlereagh, jak i Wellington otwarcie przyznali, że ich zdaniem Święte Przymierze to czcza gadanina, "gdzie wzniosłość kłóci się ze śmiesznością". Castlereagh natomiast osobiście nazwał pakt "odrobiną mistycyzmu i nonsensu".

Stany Zjednoczone również zaproszono do przyłączenia się do Przymierza. Początkowo, amerykańska opinia publiczna była temu przychylna, potem jednak zraziło ją poparcie Aleksandra dla idei przywrócenia kolonii hiszpańskich w Nowym Świecie, tak więc pomysł ten zdecydowanie odrzucono. Papież Pius VII odmówił poparcia twierdząc, iż "Kościół wszak od niepamiętnych czasów nadawał stosunkom międzynarodowym chrześcijański wymiar". Podpisania paktu odmówił także sułtan turecki w obawie, iż przymierze chrześcijańskich władców może się przekształcić w jeszcze jedną krucjatę przeciwko jego chwiejnemu imperium.

* * *

Sporządzenie traktatu stanowiło punkt zwrotny w relacjach pomiędzy baronową a Aleksandrem. Do sierpnia dały o sobie znać kłopotliwe - tak dla jednej,

jak i drugiej strony - różnice zdań i nawyków, co sprawiło, że dalsze życie w symbiozie z wolna stawało się nie do zniesienia. Do tego, niespokojna i despotyczna natura Julii utrudniała tę osobliwą przyjaźn. Baronowa nalegała, by jej moralne przewodnictwo obejmowało także kontrolę korespondencji oraz kontaktów towarzyskich, więc otwierała te z prywatnych listów, które jej zdaniem mogły pochodzić od kobiet. Urządzała następnie piekielne sceny zazdrości, oskarżając Aleksandra o to, iż "powraca do starych, grzesznych nałogów".

Żądała ponadto coraz to nowych dowodów szczodrobliwości, domagając się od Aleksandra znacznych sum pieniędzy na rozmaite "szczytne cele". Co więcej, ni stąd, ni zowąd zaczęli się pojawiać jej ekscentryczni przyjaciele z prośbą, by Aleksander nadał im w Rosji ziemię, gdyż chcą zakładać nowe kościoły oraz szkoły nauki Ewangelii. Wszystko to coraz bardziej denerwowało Aleksandra. Pragnął wyzwolić się spod tej "uciążliwej kurateli". Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, a z końcem sierpnia 1815 roku, wzmianka o narastającym kryzysie znalazła się w pamiętniku Juliety: "Mama płacze - cierpi. Aleksander jest rozdrażniony, na chwilę ustępuje, ale potem nalega, by wyjechała".

Wkrótce po zawarciu Świętego Przymierza, nagromadzone napięcie pomiędzy Aleksandrem a Julią dosięgło zenitu i mistyczno-sentymentalne więzy pękły z hukiem. 28 września, zaledwie dwa tygodnie po sygnowaniu Świętego Przymierza, Aleksander wyjechał z Paryża, w liście do siostry, Katarzyny zaś napisał: "Rad jestem, żem opuścił ten przeklęty Paryż, gdzie ani na krok nie odstępowała mnie zazdrosna, apodyktyczna, opętana kobieta. Nalegając, bym stał się narzędziem Boga, usiłowała zrobić ze mnie własne narzędzie".

Tak oto skończyła się idylla, "mistyczny związek dwu pokrewnych dusz". Rozgoryczona i bez grosza, Julia zmuszona była powrócić do rodzinnej Kurlandii. Czuła się zdradzona i porzucona przez "tego, którego wielbiła, a który teraz nie ma dla niej nawet kwiatka". Zmarła w 1824 roku, w wigilię Bożego Narodzenia. Nałożu śmierci, użalała się: - Wdzięczność spotyka się równie rzadko, jak białe kruki.

ROZDZIAŁ XVI

W poszukiwaniu zbawienia

Od końca roku 1812 do końca 1815, Aleksander przebywał poza Rosją. Zajęty wyzwalaniem Europy niemalże zapomniał o własnym narodzie. Przez całą dekadę Rosjanie prawie bez przerwy prowadzili boje z Francuzami i ich satelitami, a także ze Szwedami i Turkami. Tymczasem w kraju zapanowało kompletne bezhołowie; zachodnie prowincje imperium popadały w ruinę, wokół zaś szerzyła się potworna nędza. Zamęt, gwałt, malwersacje i wszelkiego rodzaju nadużycia władzy były na porządku dziennym. Koszty wojny, spustoszenie kraju przez armię Napoleona, restrykcje wynikłe z blokady kontynental-

nej, a także klęski chorób i głodu wyczerpały zasoby skarbca i zrujnowały gospodarkę kraju. Rozszalała się inflacja. 15 grudnia 1815 roku Aleksander powrócił do Petersburga i poczuł się jak obcy we własnym kraju. Nawet wysocy urzędnicy dworscy szeptali po kątach: - Car nasz to już cudzoziemiec. Stroni od Rosji. Na urzędy powołuje obcokrajowców, a interesy Austriaków przedkłada nad własne. Płaszczy się przed księciem Metternichem.

Co śmielsi wyrażali niezadowolenie z faktu, iż Aleksander odmówił przyjścia z pomocą prawosławnym Grekom, którzy powstali przeciwko tureckiemu ciemiężcy i na próżno błagali Rosję o wsparcie. Na tych, którzy domagali się, by wspomógł dążenia niepodległościowe greckich patriotów, warknął tylko: - Grecy? Wszak to buntownicy, występujący przeciwko prawowitemu władcy.

Wiosną 1816 roku, z Francji zaczęli powracać drogą morską żołnierze rosyjskiego korpusu ekspedycyjnego, walczący w Europie. Pierwszy kontyngent przybił do Oranienbaum, niedaleko Petersburga, dzień później zaś weterani wzięli udział we mszy, a następnie przedefilowali przed carem. Aleksander dosiadał tego samego, wspaniałego, czarnego konia, na którym wkroczył do Paryża; obserwował witające go, uradowane oddziały. Ich ciężki, równy krok dźwięczał w uszach niczym grzmot odległego pioruna. Wprawdzie maszerowali tak, jak już nieraz, z dumnie wzniesionymi głowami, tego dnia jednak mundury wielu z nich zdobiły medale, okupione własną krwią; wołali: "Niech żyje car!" Aleksander obdarował wiwatujących uśmiechem i wymachiwał kapeluszem z piórami. Wszelako już podczas owej triumfalnej parady bohaterowie spod Borodino i Lipska nie mogli nie dostrzec jak straże bezlitośnie okładają ludzi, próbujących zanadto zbliżyć się do cesarza. Nie opodal zbito pałkami chłopa przechodzącego przez drogę.

W czasie kampanii niemieckiej i francuskiej ci młodzi żołnierze zaznajomili się zcywilizowanymi sposobami postępowania z ludnością. Wielu z nich czytało i podziwiało francuską Deklarację Praw Człowieka i Obywatela. Teraz mogli porównać to, z czym zetknęli się zagranicą, z sytuacją w kraju: zniewolone masy chłopskie, nieludzkie traktowanie podwładnych, bezduszni biurokraci mający w pogardzie obywatelskie prawa.

Podczas gdy Aleksander wojował z Napoleonem, przestając z zagranicznymi dyplomatami i porządkując europejskie podwórko, Rosją zarządzał Arakczejew. Od czasów Gatczyny pomiędzy nim a Aleksandrem wytworzyła się dziwna więź. W pewnym sensie byli dla siebie jak bracia, czy też raczej ojciec i syn. Nie stroniący od pochlebstw, a przy tym brutalnie szczery, ślepo oddany, a zarazem szczwany intrygant, zdobył sobie Arakczejew absolutne zaufanie cara. Dla Aleksandra stanowił on uosobienie nieprzekupności i niewolniczego przywiązania, graniczącego ze służalstwem. Podczas długich nieobecności cesarza, Arakczejew pełnił obowiązki Wice-Imperatora. Nazywany przez wrogów już to "psem łańcuchowym", już to "buldogiem", niepodzielnie dzierżył władzę wykonawczą. Był prawą ręką cara, jego Wielkim Wezyrem.

Zdobycie tak wysokiej pozycji Arakczejew w niemałym stopniu zawdzięczał urzeczywistnieniu jednej z mrzonek cara. W 1816 roku, podczas pobytu we Francji, Aleksander przeczytał książkę, która zawładnęła jego umysłem, roz-

prawę autorstwa francuskiego generała Servana po tytułem *Sur les forces frontires des etats.* Znalazł w niej teoretyczne sformuowanie koncepcji, która nie dawała mu spokoju od wiosny 1813 roku. Servan proponował utworzenie kolonii wojskowych wzdłuż granic Cesarstwa Napoleońskiego. W ten sposób, Bonaparte chcąc nagrodzić swych wiarusów, obdarowywałby ich ziemią uprawną, która zapewniłaby im utrzymanie w okresie pokoju. Żołnierze mieszkaliby we własnych gospodarstwach, uprawialiby rolę, a w razie mobilizacji nietrudno byłoby ponownie skompletować oddziały. Napoleonowi spodobał się ten pomysł, lecz zaprzątnięty nieustającymi wojnami, nie znalazł czasu na jego praktyczną realizację. Po powrocie z kampanii 1815 roku Aleksander postanowił poddać próbie projekt Francuza. Nakazał Wołkońskiemu przetłumaczyć książkę na rosyjski, by ułatwić zadanie Arakczejewowi, nie władającemu francuskim. Gotowy przekład przesłał car wiernemu przyjacielowi, opatrzywszy go wpierw własnym komentarzem: "Utrzymanie armii kosztuje nas zbyt wiele. Musimy zmniejszyć wydatki na wojsko. Ażeby stworzyć niezależne i samowystarczalne oddziały musimy założyć wzdłuż naszych granic osady wojskowe. Tobie chciałbym powierzyć ich organizację i zarządzanie".

Pragnąc umocnić swoją pozycję, Arakczejew odniósł się do tego planu z entuzjazmem. Osady wojskowe stanowiły spełnienie jego marzenia o autonomicznej, nieograniczonej władzy. Po kilku latach, jednakże, osadnicy, zarówno chłopi, jak i zawodowi żołnierze, stali się ofiarami jego sadystycznych skłonności. Chłopo-żołnierze żyli i pracowali w oparciu o ścisły regulamin skrupulatnie egzekwowany przez podoficerów i dowódców mianowanych przez Arakczejewa. Każde niezastosowanie się do rozkazu, będącego nierzadko zwykłą zachcianką lub kaprysem, karano z bezwzględną surowością. Ponieważ tortury i kara śmierci zostały zniesione, Arakczejewowi pozostała jedynie kara szpicruty obowiązująca w carskim wojsku. Dwieście lub trzysta uderzeń jednakże wystarczyło, by wykończyć nawet silnego mężczyznę. Strofowany przez cywilnych zarządców za to, iż uciekając się do tych morderczych praktyk łamie prawo, odpowiadał tylko: - Moi koloniści to przede wszystkim żołnierze, więc obowiązuje ich wojskowa dyscyplina. Ilość wymierzanych szpicrut ustala oficer dowodzący osadą. Nie mogę zaprzątać sobie głowy podobnymi błahostkami. - Choć Aleksandra doszły słuchy o tych aktach okrucieństwa, pominął je milczeniem; na swe usprawiedliwienie natomiast rzucił krótko: - Ufam księciu Arakczejewowi i nie zamierzam się wtrącać do spraw, które leżą wyłącznie w jego gestii.

* * *

Drugim człowiekiem, w którym nieobecny car pokładał swe zaufanie, był inny druh z czasów Gatczyny - książę Aleksander Golicyn. W młodości, książę - wówczas rozpustny światowiec - zasłynął ze swych orgii w "Czerwonej Obe-

rży" i jej podobnych przybytkach; później, tak jak Aleksander, cudownie się nawrócił. Za panowania cara Pawła, Golicyn został wygnany ze stolicy z powodu niesubordynacji i licznych skandali. Osiadłszy w Moskwie, próbował nadrobić braki w wykształceniu, oddając się lekturze uczonych ksiąg i rozpraw religijnych. Pod wpływem owych dzieł, a także kilku świętych mnichów, porzucił hulaszcze życie i poświęcił się studiom nad Pismem Świętym oraz dziełami prawosławnych, protestanckich i katolickich autorów. Kredo Golicyna brzmiało: doskonałość polega na zwycięstwie ducha nad ciałem, które należy nieustannie ćwiczyć i umartwiać. Tak oto stary rozpustnik przemienił się w żarliwego mistyka.

Gdy Aleksander powrócił do Petersburga z zagranicznych wojaży, Golicyn znowu stał się jego bliskim towarzyszem, który - podobnie jak i car - również wgłębiał się w "święte tajemnice naszej prawosławnej wiary". Tym razem podzielając zainteresowanie Aleksandra religijną odnową Rosji, przez kolejnych dziesięć lat Golicyn często wieczerzał z cesarzem, korzystając z okazji, by pogłębić jego wiedzę na temat religijnego mistycyzmu. Chcąc zachęcić cara, by skłonił się ku mistycyzmowi, argumentował: - Na samym początku chrześcijaństwo było li tylko mistyczną sektą. Do społeczności przyjmowano wyłącznie tych, którzy pomyślnie przeszli pewne próby i zostali oczyszczeni. Świeccy władcy nadali mistycznym naukom Chrystusa formę zhierarchizowanej i zrytualizowanej religii. Stworzyli rytuał, lecz jakkolwiek próbowali, nie był on w stanie wydobyć na jaw misterium. A przecież bez niego nie ma mowy o religii...

Ostatecznie Golicyna mianowano oberprokuratorem Świątobliwego Synodu, który miał za zadanie przewodniczyć posiedzeniom Najwyższej Rady Biskupów Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Parę lat później Aleksander powierzył jego urzędowi także religie nieprawosławne. Wbrew oczekiwaniom i straszliwym proroctwom, Golicyn dobrze wywiązywał się z powierzonych mu obowiązków, mimo iż jego praca nie należała do najłatwiejszych. Z mocy urzędu stykał się się z najprzeróżniejszymi wyznaniami, nie wchodzącymi w skład Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, przy czym do największych z nich należeli starowiercy, zwani także staroobrzędowcami. Stanowili oni odłam Kościoła Prawosławnego, który w XVII wieku odseparował się na znak protestu przeciw reformie liturgicznej, zapoczątkowanej przez metropolitę Nikona. Starowiercy rozpadli się z czasem na rozmaite pomniejsze sekty, różniące się pomiędzy sobą dogmatyką i rytuałem. Najradykalniejsze z nich odrzucały nie tylko tradycyjną liturgię, ale także hierarchię kościelną i wszystkie sakramenty, za wyjątkiem chrztu i spowiedzi. Wszystkich innych chrześcijan brali za ofiary antychrysta, który przybrał postać cara - ich zdaniem, heretyka i oszusta. Rzecz jasna, głoszenie podobnych poglądów uchodziło w świetle prawa za zdradę stanu, toteż starowierców prześladowano i szykanowano, często wyjątkowo okrutnie.

Inną liczną sektę stanowili flagelanci, biczownicy, zwani *chłystami*, którzy zawdzięczali swą nazwę własnym praktykom okładania się biczem lub kijem. Karząc się w ten sposób za grzechy, flagelanci osiągali rzekomo wyższy sto-

pień duchowej świadomości. Biczownicy interpretowali duchowo biblijną zapowiedź powtórnego przyjścia Chrystusa, wierząc, iż powróci za ich życia w duszy każdego z nich. Umartwianie ciała traktowali jako przygotowanie do przyjęcia Ducha Świętego. Flagelanci łączyli biczowanie z ekstatycznym tańcem i śpiewem; powstrzymywali się nie tylko od spożywania napojów alkoholowych, ale także od częstych kontaktów cielesnych. Tych, którzy ściśle przestrzegali zasad zupełnej wstrzemięźliwości, czczono jako świętych i uznawano za duchowych przywódców sekty.

Poza tym, istniał cały szereg innych sekt, z których co poniektóre stanowiły zagrożenie dla społeczeństwa. Zaliczali się do nich tzw. kastraci, którzy odczytali dosłownie napomnienie Chrystusa: "Jeśli twoja ręka lub noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie. Lepiej jest dla ciebie wejść do życia ułomnym lub chromym, niż z dwiema rękami lub dwiema nogami być wrzuconym w ogień wieczny. I jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie. Lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do życia, niż z dwojgiem oczu być wrzuconym do piekła ognistego".

Członkowie owej sekty urządzali orgiastyczne uroczystości wtajemniczenia, określane przez obserwatorów mianem "satanicznych". Po libacji suto zakrapianej alkoholem, zachęcano kandydatów - mężczyzn w długich, białych szatach - by poddali się kastracji. Rytuał ten nosił nazwę "chrztu przez ogień", bowiem początkowo używano do tego celu rozżarzonego żelaza; dopiero potem pozwolono zastąpić je ostrym nożem. Ludzie są owocem ohydnej, zwierzęcej chuci, hańbiącej dla istot, które przede wszystkim winny dążyć do duchowości. Pierwsi chrześcijanie - dowodził przywódca sekty - wszyscy dokonywali tego zabiegu, by uwolnić się od cielesnych żądz i zdobyć pewność, iż wejdą do Królestwa Niebieskiego wolni od grzechu. Kobiety dokonywały na sobie niebezpiecznych operacji, byleby tylko uczynić się bezpłodnymi, co poniektóre zaś obcinały sobie piersi. Podobne praktyki spowodowały, że członków owej sekty uważano za obłąkanych, a nawet za przestępców. Obowiązywała ich przysięga, iż nie zdradzą tajemnic sekty rodzinie ani znajomym.

Ogólnie rzecz biorąc, petersburska elita okazywała żywe zainteresowanie tematyką życia pozagrobowego oraz religiami Wschodu. Oprócz prawdziwych badaczy Pisma Świętego spotkać tam można było ludzi zajmujących się głównie fantastycznymi interpretacjami Apokalipsy. Śmietanka towarzyska stolicy oddawała się zabawie w okultyzm i nierzadko uczestniczyła w orienatlnych eksperymentach. Na ulicach i w alejach wędrowni mnisi i świeccy pielgrzymi snuli opowieści o niedawnych cudach, twierdząc, iż tylko oni i nikt inny wiedzą, jaka jest wola Pana.

Trudno ustalić liczbę sekt i wyznań, wszelako według szacunków Golicyna blisko połowa chrześcijańskiej społeczności Rosji zetknęła się z nimi w takiej czy innej formie. Ponowne podporządkowanie ich przywództwu oficjalnej prawosławnej hierarchii uważał Golicyn za swoją misję. Trudniej jednakże było znaleźć właściwą metodę dla osiągnięcia tego celu. Jego zdaniem prześladowania, tortury, a nawet kara śmierci, powszechnie stosowane wobec sekciarzy przez poprzednie rządy, odnosiły wręcz przeciwny skutek, powiększa-

Aleksander I, Car Tajemniczy

jąc tylko grono męczenników. W postępowaniu z członkami sekt zalecał uświadamianie i perswazję tudzież organizował prawosławne misje mające na celu oświecanie i nawracanie na panującą religię.

Niemniej jednak sekty nie były jedynym zmartwieniem Golicyna. Zdawał sobie sprawę z istnienia licznych tajnych stowarzyszeń i próbował infiltrować je przy pomocy swych agentów. W tym celu wykorzystywał nawet swych młodych bratanków, oficerów gwardii należących do loży masońskiej i innych tajnych bractw. Dzięki nim mógł nadzorować działalność podziemia. Sprawozdania jego agentów przekonały go, iż tajnych stowarzyszeń - zbyt rozproszonych i nieszkodliwych - nie można traktować poważnie, wobec czego skupił się na religijnych sektach.

Uprzywilejowana pozycja Arakczejewa drażniła księcia Aleksandra; człowieka wychowanego w duchu cywilizowanego Zachodu bulwersował potężny wpływ, jaki ten miał na cara. Ułożony i wykształcony arystokrata nie mógł znieść obecności owego gburowatego służbisty. Na obiekcje przyjaciela z młodości Aleksander miał tylko jedną odpowiedź: - Wiem, że Arakczejew jest nieokrzesanym, niekulturalnym ignorantem. Nie brakuje mu jednak zmysłu praktycznego, odwagi i inicjatywy; a przy tym obdarzony jest ogromną energią i pracowitością. Ponadto, przywiązuje wagę do najdrobniejszych szczegółów. Łączy w sobie wyjątkową prawość z pogardą dla honorów i materialnych korzyści. Ma niezłomną siłę woli i fanatycznie wprost uwielbia dowodzić ludźmi. Nie mógłbym się bez niego obejść.

* * *

Pomimo wpływu Arakczejewa, Aleksander przyjął ekumeniczny punkt widzenia, okazując w sprawach poglądów religijnych ogromną tolerancję. - Sądzę, zwykł mawiać, że Bogu nie robi żadnej różnicy, czy wznosi się doń modły w języku cerkiewno-słowiańskim, po grecku czy po łacinie. Najważniejsze, by płynęły z głębi serca!

W 1818 roku, przejeżdżając przez Berlin w drodze na międzynarodowy Kongres w Akwizgranie, Aleksander wysłuchał z uwagą kazania pewnego luterańskiego biskupa, po czym zaproponował mu dyskusję o sprawach ducha i zaprosił go do Rosji.

To właśnie owo poszukiwanie chrześcijańskich wartości duchowych, bez względu na wyznanie, skłoniło go w 1819 roku do wyrażenia zgody na przyjazd do Petersburga dwóch przedstawicieli Towarzystwa Przyjaciół. Zezwolono im na założenie drukarni oraz prowadzenie Towarzystwa Biblijnego.

Podobne przejawy tolerancji wzbudziły gwałtowny sprzeciw hierarchii rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Świątobliwy Synod uznał doktrynę i wierzenia kwakrów za herezję, stwierdzając przy tym, iż tylko i wyłącznie Kościół Prawosławny jest w stanie właściwie zinterpretować Słowo Boże. Mimo to w roku 1822, Aleksander, udając się na Kongres w Weronie, zatrzymał się w

Wiedniu specjalnie po to, by podyskutować na temat życia zakonnego z opatem, księciem Aleksandrem von Hohenlohe.

Ekumeniczne stanowisko cara wywołało konsternację prawosławnego establishmentu. Przed wyjazdem, Aleksander musiał solennie obiecać matce, iż nie złoży wizyty papieżowi. Cesarzowa Wdowa, znajdująca się od jakiegoś czasu pod wpływem fanatycznych kaznodziei, obawiała się, że papież, którego nazywała "antychrystem w białej, owczej skórze", mógłby nakłonić jej syna do przejścia na katolicyzm.

Do najbardziej radykalnych duchownych Kościoła Prawosławnego zaliczał się porywczy i szalony archimandryta Focjusz. Urodzony w 1792 roku, mnich miał bardzo trudne dzieciństwo, gdyż ojciec - wiejski zakrystianin, a do tego pijak o sadystycznych skłonnościach - często bił syna aż do utraty przytomności. Później, kiedy chłopiec wstąpił do seminarium duchownego, dostawał lanie od swych wykładowców, ich zdaniem bowiem był zbyt niezależny i swarliwy. Te wczesne lekcje umartwiania się uczyniły zeń typowego introwertyka, zatopionego w myślach lub modlitwie i lubującego się w postach i biczowaniu. Już na samym początku swej kariery duchownego, Focjusz ujawnił niepospolite zdolności hipnotyzera, jasnowidza i charyzmatycznego uzdrowiciela, który przywraca zdrowie dotykiem dłoni. Zdarzało się, iż miewał halucynacje. Wierzył święcie, iż los wyznaczył mu rolę proroka, żywcem wyjętego ze Starego Testamentu. W swej autobiografii opisywał, jak to we własnej celi, uzbrojony w krucyfiks, stanął twarzą w twarz z Belzebubem. Ponieważ nie wystarczało mu przestrzeganie zasad życia zakonnego, umartwiał się noszeniem łańcuchów kaleczących ciało; aby zapobiec gojeniu się ran, zakładał włosiennicę. Na pytanie, dlaczego sypia w starej trumnie, wyjaśniał: - To moje łoże. I nie tylko moje; spoczniemy tu wszyscy w oczekiwaniu Sądu Ostatecznego.

Focjusz zaprzągł wszystkie swe talenty do walki z herezją i moralnym zepsuciem stolicy. W 1820 roku nawrócił majętną hrabinę Annę Orłow-Czesmeńską, zgryźliwą starą pannę i satanistkę, czyniąc z niej zajadłą fanatyczkę Kościoła Prawosławnego. Hrabina oddała mu na usługi swe niezmierzone bogactwa oraz potężne wpływy, i przedstawiła Focjusza Cesarzowej Wdowie, dla której wkrótce stał się idolem. Jego gwiazda z każdym dniem świeciła coraz jaśniejszym blaskiem. Ascetyczny wygląd i płomienne mowy tudzież cudowne uzdrowienia przyciągały wielu wpływowych dworzan.

Z czasem Focjusz został bliskim przyjacielem Arakczejewa, który podzielał skrajne zapatrywania mnicha. Ponieważ Golicyn nie przepadał za samozwańczym prorokiem, Arakczejew i Focjusz mogli stać się jeszcze bliższymi sojusznikami. Na Focjusza spłynęły zaszczyty: Cesarzowa Wdowa namówiła Aleksandra, by powierzył mu opactwo zamożnego klasztoru Juriew w Nowogrodzie, gdzie Arakczejew często go odwiedzał.

Wszystkie te honory i bogactwa nie odwiodły Focjusza od ascetycznego trybu życia oraz wypełnienia zadania, jakie sam sobie wyznaczył, a mianowicie zwycięstwa Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego nad wszelkim nonkonformizmem. Ściśle współpracując z Arakczejewem, planował obronę panującej religii przed rzeczywistymi i urojonymi wrogami. Wspólnie knuli, jak pozy-

skać cara dla własnych metod skutecznego wykorzeniania dysydentyzmu i herezji, choćby przy użyciu siły. - Za to - powtarzał Focjusz - gotów jestem oddać życie. Z radością zginę męczeńską śmiercią!

Wykorzystując swą popularność, nie cofnął się także przed publicznym oskarżeniem cara o to, iż nad tradycyjną wiarę prawosławną przedkłada fałszywe, eklektyczne i <letnie> chrześcijaństwo, mieszaninę protestantyzmu, katolicyzmu i mglistego, bliżej nieokreślonego mistycyzmu. Focjusz nie wahał się także potępić Marię Naryszkinę za "kuszenie cara, by dał się zawładnąć szatańskiej, cielesnej żądzy", a także "papieskim herezjom", które ucieleśniał głównie zakon Jezuitów.

* * *

Autokratyczne rządy i podejrzliwy charakter Aleksandra sprawiły, iż doskwierała mu samotność. Jego zbolała dusza kazała mu szukać ukojenia w nieustannych podróżach. Pretekstu dostarczyła potrzeba dokonania oceny stanu rozległego Imperium po długiej nieobecności. Wszelako, prawdziwego powodu należało upatrywać w jego niespokojnym sumieniu. W latach 1816 do 1825 odbył czternaście podróży po Rosji, a również cztery zagraniczne: na kongresy w Akwizgranie, Opawie, Ljublianie i Weronie. W gruncie rzeczy, blisko sześć lat spędził w tym okresie poza stolicą. W latach 1816 i 1817 kurierzy z Petersburga uganiali się za nim po Moskwie, Warszawie, Tule, Kursku, Kijowie, Mohylewie, Smoleńsku, Witebsku i Nowogrodzie. W żadnym z tych miast Aleksander nie zabawił dłużej niż kilka dni. Przebywając pod jednym dachem ponad tydzień, stawał się niespokojny. Rozkazał, by jego powóz o każdej porze był gotowy do drogi. Kiedy już przyszło mu powrócić do Petersburga, większość czasu spędzał w osamotnieniu, coraz bardziej pogrążając się w religijnym mistycyzmie. Wydawało się, iż nigdzie nie potrafi znaleźć sobie miejsca, stale w drodze, w tempie, które nie pozwalało mu sycić się tym, co zobaczył. Całymi miesiącami przebywał z dala od stolicy, co sprawiało, że na ten czas zamierało życie publiczne. "Car rządzi Rosją z pocztowej kolaski" - biadolił Golicyn. Wyglądało na to, że Aleksandra nie bawi już władanie jedną szóstą powierzchni kuli ziemskiej. Poza lekturą natchnionych pism i religijnymi rozważaniami, wszystko nużyło go niepomiernie. Na jego biurku rosła sterta dokumentów wagi państwowej, wymagających jego zatwierdzenia i podpisu. Tylko sporadyczne wizyty Arakczejewa i Golicyna potrafiły wyrwać go z tego letargu.

Na ogół podróże, jakie odbywał po kraju, dawały mu się we znaki. Większość dróg w Rosji stanowiły zwykłe trakty, latem ginące w tumanach kurzu, jesienią i wiosną zaś - tonące w błocie. Jedynie podczas oficjalnych wizyt, gdy zatrzymywał się u gubernatorów na prowincji lub też u bogatych właścicieli ziemskich zażywał wygód, do których był przywykł. Mimo to stale jakiś wewnętrzny nakaz pchał go naprzód, przed siebie.

Ludzie, których spotykał car byli zabiedzeni, przerażeni i zastraszeni przez pomniejszych tyranów, miejscowych biurokratów. Sioła położone bądź to blisko wielkich miast, bądź w dziewiczych lasach, na północ od Wołogdy, czy też na wybrzeżu Morza Czarnego składały się z reguły z nędznych przysiółków ciągnących się wzdłuż jednej jedynej drogi, błotnistej lub zakurzonej, w zależności od pory roku. Wśród walących się, krytych słomą, chałup z nieciosanego drewna, na plan pierwszy wybijała się cerkiew lub kaplica. Niekiedy, w jednej z pobliskich opuszczonych chałup mieściła się wiejska szkoła, do której uczęszczały z przerwami dzieci ponurych i apatycznych chłopów. Wizytując owe szkoły Aleksander spotykał nierzadko zarówno zapijaczonego popa, jak i nauczyciela. Przestępstwa takie jak kradzież, pijaństwo, bezkarne morderstwa, a także rodziny popadające w ruinę - oto plugawe bagno, w którym grzęzła rosyjska wieś. Jednakoż, najbardziej przygnębiały Aleksandra okrucieństwo i chciwość ludzi. Swego czasu wydał ukaz zabraniający sprzedaży pojedynczych chłopów bez ich rodzin. Mimo to, już podczas pierwszych inspekcji dowiedział się, że obecnie - dwadzieścia lat po wejściu w życie wspomnianego dekretu - za pełną aprobatą władz wystawia się na sprzedaż tysiące istnień ludzkich, rozłączając dzieci z rodzicami i mężów z żonami. Na jednej z takich aukcji, starą wieśniaczkę sprzedano za dwa ruble i pięćdziesiąt kopiejek niemalże na progu Pałacu Zimowego. Na wieść o tym, Aleksander nie wytrzymał i wykrzyknął na cały głos: - A to świnie! A to szubrawcy! Tacy to właśnie otaczają nas, nieszczęsnych władców!

Pewnego razu car złożył niezapowiedzianą wizytę w fabryce broni w Tule. Już rzut oka na obsługę maszyn produkujących strzelby dla piechoty wystarczył, by przekonać się, iż nie zdaje ona egzaminu. Prymitywną, źle utrzymaną maszynerię obsługiwali bez zapału leniwi, opieszali robotnicy. Stali tak na przeciwko urządzeń, gapiąc się na siebie nawzajem bądź spierając się, co robić dalej. Niektórzy kierownicy ucinali sobie drzemkę lub znajdowali się pod wpływem alkoholu. Aleksander wezwał dyrektora fabryki, zwymyślał go za brak nadzoru i kazał zwolnić pijanych inżynierów.

- Jak Wasza Cesarska Mość sobie życzy. Ale gdzie znajdę kogoś na ich miejsce? Nie ma chętnych do takiej pracy.

Aleksander wyjechał z Tuły wielce zasmucony i przybity. Po powrocie do Pałacu Zimowego nie mógł się uwolnić od myśli o abdykacji, o tym, by raz na zawsze przestać udawać, iż jest niepodzielnym władcą swojego imperium. Gdyby tak mógł porzucić tę arlekinadę dworu i pójść tam, gdzie go oczy poniosą; ruszyć przed siebie rozległymi dolinami Rosji, przez śnieżyce i zamiecie, nie przejmując się beznadziejnym stanem nieokiełznanego cesarstwa.... Gotowość wyruszania w coraz to nowe podróże, ich zawrotne tempo, zygzakowate trasy można by uznać za oznaki poważnej depresji.

"Jak zmienić ludzi?" - zapytywał sam siebie. Wiedział z doświadczenia, że w Rosji nic nie zmienia się dobrowolnie, a jednak jego natura, jego temperament instynktownie wzdragały się przed użyciem siły. Pozostawiał to Arakczejewowi i uspokajał własne sumienie udając sam przed sobą, iż o niczym nie wie. Czyżby jedyne wyjście stanowił pomysł Golicyna: latami cierpliwie przekony-

wać i uświadamiać? Jak dotąd nie znalazł na to pytanie ostatecznej odpowiedzi.

Po jednej z podróży skarżył się Golicynowi: - Wszędzie stykam się z lenistwem, kradzieżami, przekupstwem, w najlepszym razie - z niekompetencją. Większością ludzi kieruje chciwość. Kiedy się pojawiam, odgrywają zazwyczaj kiepską komedię. Jak więc możesz się dziwić, że jestem zmęczony i zniechęcony?

- Wiesz co odkryłem w czasie mojej ostatniej podróży w okolice Niżnego Nowogrodu?

- Co ?

- Nasze chłopstwo wciąż znajduje się pod przemożnym wpływem zabobonnej wiary w czary. Gdy w rodzinie coś się nie układa, może to być nieurodzaj, susza, waśnie, brak potomstwa, epidemia czy choroba, winę za to przypisuje się czarodziejom albo czarownicom. Czarów obawiają się nie tylko chłopi, ale także klasy wyższe: właściciele ziemscy, kupcy, a nawet niektórzy duchowni. Nasi włościanie oddają cześć nie Jezusowi Chrystusowi, nie Trójcy Świętej, lecz starym pogańskim bóstwom: Perunowi, Wołosowi i Mokoszowi. Wielu oświeconych księży zwalcza podobne bałwochwalstwo, ogłaszając je wiarą w złe duchy, a więc i w szatana. Lecz na próżno. Potajemnie, nocą, wieśniacy zbierają się w lesie i czczą bożki, składając im w ofierze jedzenie, picie i dziwaczne symbole pogańskich wierzeń. Bezpieczniej jest - zdradził mi kiedyś jeden stary chłop - żyć w zgodzie zarówno z dobrymi, jak i złymi duchami. Diabeł jest potężny. Złe duchy mogą sprowadzić nieurodzaj... Pomimo zewnętrznych oznak pobożności i poddania się nakazom panującego Kościoła, znaczna część rosyjskiego duchowieństwa posiada mgliste pojęcie o zasadach naszej wiary. Nie otrzymali należytego wykształcenia w naszych seminariach. Naiwną i zabobonną jest ich własna wiara, którą wpajają ludowi.

- Jak temu zaradzić?

- Uważam, że potrzeba więcej wychowania, więcej oświecenia, poczynając już od wychowawców, duchowieństwa, które prowadzi szkoły parafialne. To oznacza reformę seminariów, które znajdują się obecnie w opłakanym stanie. Na ten cel trzeba przeznaczyć więcej pieniędzy.

- Jak ci wiadomo, sire, - tłumaczył Golicyn - gdy pop odwiedza wiejski dworek, wielmoża prawie nigdy nie zaprasza go do swego stołu. Musi jeść ze służbą, w kuchni, a kiedy dostanie w darze parę rubli, całuje panisko po rękach, a nawet pada mu do nóg. Tak dalej być nie może! Musimy poprawić sytuację materialną niższego duchowieństwa i podnieść ich pozycję społeczną.

* * *

O ile sam pomysł reformy kościelnej zasługiwał na pochwałę, o tyle jego realizacja okazała się niezwykle trudna, zarówno z powodu szczupłości fundu-

szy, jak i złożonej natury całego przedsięwzięcia. Po rozmowie z Golicynem, w czasie podróży po kraju Aleksander zaczął zwracać szczególną uwagę na sytuację wiejskiego duchowieństwa i przekonał się naocznie, iż w rzeczy samej żyje ono w strasznej nędzy i ciemnocie. Pozbawieni stałej pensji popi pozostawali na łasce chłopów, którym musieli schlebiać, przez co często popadali w kłopotliwe uzależnienie od swoich parafian. W przeciwieństwie do katolickich księży żyjących w celibacie, wiejscy popi byli żonaci, przeto stawali przed koniecznością zapewnienia godziwej egzystencji swym nierzadko bardzo licznym rodzinom. Tworzyli tym samym oddzielny stan, niemalże kastę, której potrzeby i grupowe interesy decydowały o podziale własności, zawieranych małżeństwach i obsadzaniu kościelnych stanowisk. Z reguły syn popa uczęszczał do przykościelnej szkoły i seminarium, poślubiał córkę innego popa i zajmował miejsce ojca lub teścia. Tak oto ich rodziny separowały się od reszty społeczeństwa, nie dopuszczając do swej "owczarni" ludzi z zewnątrz i niechętnie zgadzając się, by ich dzieci wyłamały się spod rodzinnej tradycji.

Aleksander złożył raz wizytę w władymirskim seminarium, uważanym za wzór dla innych instytucji tego rodzaju. Wszelako to, co tam zastał, przeraziło go. Seminarium kształcące ponad tysiąc kleryków otrzymywało od rządu mizerną subwencję w wysokości 9000 rubli na pokrycie wszystkich swych wydatków. Pomieszczenia uczelni znajdowały się w opłakanym stanie, walące się budynki porastały brudem. Podczas długich i srogich rosyjskich zim nie ogrzewano ich należycie, toteż studenci gnieździli się dokoła stygnących pieców, opatuleni kożuchami, usiłując ogrzać się nawzajem. Jedzenie było marne i ledwie go starczało. W rezultacie, nieodstępującym towarzyszem młodszych seminarzystów stało się doskwierające uczucie głodu. Rektor przekonywał Aleksandra, iż wielu kleryków, powracając z wakacji spędzonych w rodzinnych stronach, przywozi ze sobą zapasy prowiantu. Na dodatek, co bogatsi otrzymywali paczki żywnościowe, ale nawet owo wspomożenie z zewnątrz okazywało się niewystarczające. Wykładowców opłacano tak kiepsko, że ci lepsi wybierali nierzadko zajęcie guwernera lub służbę państwową, podobnie jak swego czasu Sperański.

Nauczyciele seminaryjni często wykorzystywali uczniów dla własnych, partykularnych celów, zlecając im załatwianie różnych sprawunków i wykorzystując ich jako służbę domową, itp., zamiast dostarczać im wiedzy i kształcić. W takich warunkach akademicki poziom tych szkół pozostawiał wiele do życzenia.

- Ależ biedna ta moja Rosja, jakże znękana - użalał się Aleksander Golicynowi po jednej z owych podróży. Tymczasem w głębi duszy słyszał oskarżający szept, że i on ponosi odpowiedzialność za to potworne zacofanie, za ową gnuśność i rozkład, pozwalał wszak, by większość państwowego budżetu przeznaczano na dwór i armię. Byłże dbałym rządcą ojcowizny powierzonej mu przez Opatrzność? Gdzie podziały się jego młodzieńcze marzenia o radykalnych reformach, o poprawie losu ludu, o powszechnej edukacji? Co robił przez dwie długie dekady swego panowania - bawił się na przyjęciach, tańczył, uganiał się za najdziwniejszymi kobietami, bratał się z cudzoziemskimi mężami

stanu, uczestniczył w ambitnych międzynarodowych przedsięwzięciach, prowadził wojny z dala od ojczyzny - wojny, które wbijały go w pychę, lecz z których rosyjski naród niewiele miał pożytku. Teraz ogarniała go rozpacz, bo czuł się bezradny. Wyrzuty sumienia oblepiły jego duszę, niczym pąkle skórę wieloryba. W obliczu pogrążającej go coraz bardziej fali samozwątpienia, ostatnie pocieszenie znajdował w modlitwie. - Pomóż mi - błagał - miłosierny Boże, pomóż. Jestem taki bezsilny. Sam nic zdziałać nie potrafię. Jedynie Ty możesz mnie oświecić i uzdrowić z tej beznadziei.

I tak odtąd spędzał car dni i noce - raz to na żarliwej modlitwie i pokucie za grzechy dnia wczorajszego - raz to zatopiony w duchowym letargu. Jednego dnia wyrażał skruchę z powodu przeszłości, następnego godził się z nią, innym razem z kolei odstręczała go karnawałowa aura dworskiego życia. Mierził go ów niekończący się ciąg balów, maskarad i oficjalnych obiadów. Czyż te wystawne dworskie przyjęcia nie obnażały jedynie ludzkiej próżności? Wszystko to urządzano kosztem milionów nieszczęsnych ludzkich istnień, rozkładających się w grzęzawisku ludzkiej nędzy. Ta psychologiczna huśtawka nie pozwalała mu zaznać spokoju.

Dręczyło go pragnienie pokuty za grzechy, trawiła go nostalgia za utraconą młodością. Czyniąc sobie wyrzuty z powodu dawnej próżności, egoizmu, czczej chwały i bezsensownej egzystencji; bolejąc nad niewykorzystanymi sposobnościami, by polepszyć los swego narodu, nie mógł nie żałować namiętnych chwil rozkoszy, upajającego wspomnienia niezliczonych przygód sercowych i bałwochwalczej czci, jaką oddawały mu całe rzesze najwspanialszych, najponętniejszych kobiet Europy. Tęsknił za cnotą, a zarazem pragnął przeżyć raz jeszcze dawno minione szaleństwa. Ale gdzież się podziały owe jedyne w swoim rodzaju romantyczne doznania, którymi był się delektował? Gdzież był teraz tamten dionizyjski duch młodzieńczego rozpasania? Co stało się ze sprośnymi zabawami, z rozpalającymi zmysły wizytami w "Czerwonej Oberży" - co się z nimi stało? Miłostki i amory spustoszyły jego prywatne życie. Zaniedbywał swego najlepszego i najszczerszego przyjaciela - własną żonę, Elżbietę. Nieustannie gryzł się ze swoją metresą, Marią Naryszkiną, którą stale podejrzewał o niewierność. Wpadł w swego rodzaju emocjonalne limbo i nie miał w sobie dość siły, by się z niego wydobyć. Myślał o tym, ażeby paść na kolana przed Elżbietą i błagać ją o przebaczenie, brakowało mu jednak odwagi. Pragnął zmienić swe życie, a zarazem bał się jakiejkolwiek zmiany. Czyż nie był jedynie starzejącym się szaławiłą na emeryturze, obłudnikiem i świętoszkiem, usiłującym konieczność przemienić w cnotę? Powrócił tedy do medytacji pomagających mu wznieść się poza ziemską rzeczywistość i rozpoczął peregrynację w głąb własnej jaźni. Pragnienie uwolnienia się od smutku dzięki poddaniu się temu, co nieskończone, nurtowało najskrytsze zakamarki jego serca. Coraz bardziej docierała doń świadomość tego, że - gdy tak zaskorupia się w rutynie nierzadko bezsensownych i nudnych działań administracyjnych i wojskowych - życie przecieka mu przez palce. Wyobraźnią jego zawładnęła potrzeba odszukania miłości absolutnej, wszechogarniającej, idealistycznej, którą osiągnąć mógłby dzięki pokucie i ofierze. "Moje życie było

dotychczas jedną wielką maskaradą. Przez blisko pół wieku stawałem na głowie, aby całemu światu pokazać, jaki to ja jestem potężny, jak mi się wszystko udaje, jak mi z tym dobrze. Naprawdę zaś moje życie było równie monotonne, co powtarzające się pory roku. Monotonia i sztuczność życia dworskiego i wojskowych zajęć wyczerpała moje siły duchowe i umysłowe". W głębi ducha czuł przerażającą pustkę, oderwanie od rzeczywistości. To wewnętrzne rozdarcie wycieńczyło go do tego stopnia, że brakowało mu sił, by zająć się najpilniejszymi sprawami Imperium. Czuł, że Rosja pogrąża się w chaosie, dryfując w kierunku, którego on nie potrafił przewidzieć, zbyt słaby był jednak, by zmienić bieg zdarzeń.

* * *

Tymczasem, wielu niespokojnych młodych ludzi, rozgoryczonych z powodu zaprzepaszczenia ich nadziei na reformy i postęp, szukało po omacku własnego celu wżyciu. Jedni znaleźli go w pijaństwie i rozpuście, drudzy - w najprzedziwniejszych sektach, inni - w działalności w tajnych stowarzyszeniach, które - po powrocie do kraju tysięcy oficerów z kampanii na Zachodzie - rozmnożyły się w Rosji niczym grzyby po deszczu. Ci na ogół młodzi, porywczy mężczyźni, upojeni liberalnymi ideami, zakładali liczne loże masońskie i karbonarskie, z których niektóre kamuflowano pod przykrywką stowarzyszeń brackich, inne zaś - klubów towarzyskich czy kulturalnych. Jako jedna z pierwszych powstała loża Zjednoczonych Przyjaciół, po niej przyszła kolej na bractwo Trzech Cnót. Najmodniejsze z towarzystw literackich nosiło nazwę Zielonej Lampy, za którym kryła się, rzecz jasna, inna loża masońska. U wolnomularzy spod Zielonej Lampy zawsze można było nieźle zjeść, mocno popić, a także ostro pograć w karty tudzież wziąć udział w żarliwej politycznej dyskusji. Na ogół rozprawiano na tematy kontrowersyjne: monarchie konstytucyjne a republiki; zniesienie poddaństwa chłopów, z i bez ziemi; natychmiastowe przekształcenie przestarzałego systemu autokratycznego a stopniowe przemiany pod kontrolą zgromadzenia ustawodawczego, wyłonionego w wyborach.

Zarówno Golicyn, jak i Arakczejew z niepokojem przyglądali się tym zjawiskom. Ten pierwszy proponował przedsięwzięcie bardziej radykalnych kroków administracyjnych, by móc kontrolować napływ literatury wywrotowej i rewolucyjnych idei. Już wstępne śledztwo wykazało, iż poza armią, zarzewiem rewolucyjnego fermentu są uniwersytety. W wyniku represji Golicyna z Uniwersytetu Petersburskiego zwolniono kilku liberalnych profesorów - wśród nich wybitne autorytety w poszczególnych dziedzinach - pod zarzutem rzekomego sympatyzowania z ustrojem konstytucyjnym i popierania ateizmu.

Arakczejew wszelako uznał te posunięcia za niewystarczające i kazał natychmiast aresztować zbuntowanych studentów oraz ich profesorów, i zesłać na Sybir. W owym czasie Arakczejew znajdował się pod przemożnym wpły-

wem Focjusza, który zdołał go przekonać, że "szatan zwietrzył, iż nadchodzi kres jego rządów na ziemi, przeto ucieka się do ostatniego szczwanego wybiegu, by zdeprawować ludzi". Z tego względu należało wszcząć szeroko zakrojoną, bezwzględną kampanię przeciwko wszelkim przejawom tego, co uważał za "knowania szatana". Nawet Golicyn wydawał mu się nazbyt tolerancyjny, nazbyt obojętny. Za namową Focjusza, Arakczejew zgromadził raporty swych agentów, poświęcone tajnym stowarzyszeniom, by następnie przedłożyć je carowi, który jak dotąd popierał Golicyna i jego politykę umiarkowanych i selektywnych represji. Pewnego styczniowego poranka 1820 roku Arakczejew zjawił się w gabinecie cara z grubą teczką pod pachą. - Sire, właśnie otrzymałem mnóstwo ważnych raportów. Czy mogę przekazać te dokumenty Waszej Cesarskiej Mości?

- Jak najbardziej, ale streszczaj się, gdyż w południe muszę dokonać przeglądu zmiany warty.

- Otóż, według moich informatorów - zagaił Arakczejew - 9 stycznia 1820 roku, w mieszkaniu braci Siergieja i Matwieja Murawiowów-Apostołów zebrało się sześciu młodych ludzi. Obecni byli tam też ich kuzyni Nikita i Aleksander Murawiowowie, książę Siergiej Trubecki, hrabia Aleksander Bestużew i dobrze znany poeta Kondrat Rylejew. Wszyscy należą do wojskowego spisku, który inwigiluję od kilku miesięcy.

- Jaki był cel spotkania? O czym rozmawiało tych sześciu?

- Celem spotkania było powitanie i wysłuchanie mowy przywódcy południowego odłamu spisku, pułkownika Pawła Pestela. Pestel omówił treść niedawno napisanej przezeń broszury "Ruska Prawda". Zaleca w niej zniesienie poddaństwa, podział ziemi pomiędzy chłopów, zniesienie monarchii i ustanowienie republiki. Pestel to dziwny osobnik, z szanowanej rodziny. Ojciec jego przez wiele lat zajmował ważne stanowiska w administracji państwowej, wpierw jako dyrektor Poczty, potem - gubernator Syberii. Mając tak wpływowego ojca i duży talent, pułkownik Pestel, obecnie dwudziestoośmioletni, miał szanse osiągnąć przed czterdziestką rangę generała. Lecz jego ambicje sięgają o wiele dalej. Niektórzy z jego przyjaciół zwracają uwagę na uderzające fizyczne podobieństwo do Napoleona. I istotnie, ma on ambicje na miarę Bonapartego.

- Jaką ma opinię u swoich przyjaciół? - zapytał Aleksander.

- Cieszy się ogromnym prestiżem. Jego współpracownicy boją się go. W razie zwycięstwa rewolucji, mógłby zostać wielkim dyktatorem. Nie znosi porównań z Napoleonem i uważa się raczej za przyszłego Waszyngtona Rosji, jej pierwszego prezydenta pochodzącego z wyborów. Jest zafascynowany Stanami Zjednoczonymi Ameryki i ich ustrojem.

W chwili, gdy car przeglądał raport, Arakczejew wtrącił: - Pestel to w gruncie rzeczy rosyjski jakobin.

- Jesteś pewien, że jest jakobinem? Jakobini to przecież krwiożerczy królobójcy.

- Pestel otwarcie mówi o konieczności zlikwidowania wszystkich członków rodziny cesarskiej. Uważa to za rzecz nieodzowną. Miałby to być symbol zwy-

cięstwa nowego ładu republikańskiego nad starą autokracją. Żąda również spalenia Pałacu Zimowego, symbolizującego rosyjską bastylię. Jego bohaterami są Brutus i Robespierre. W swej mowie, o której wspominałem, ważył się w bezczelny sposób krytykować twoją politykę zagraniczną, sire. Twierdzi, na przykład, że twoje Święte Przymierze to narzędzie czarnej reakcji, przeistaczające się w Świętą Inkwizycję; że jesteś, panie, marionetką Metternicha!

- Ale bezczelny - mruczał Aleksander.

- Pestel powiada także, że nie wyciągnąłeś lekcji z inwazji napoleońskiej, że nie podkreślasz roli, jaką naród odegrał w obronie państwa, wychwalasz natomiast sam siebie. Że na rzeczywistość dzisiejszą patrzysz przez okulary przyćmione przez obskurantyzm Metternicha, który czyni cię ślepym na sprawy polityki. Co gorsza, Pestel jest do tego żarliwym ateistą, jak przystoi na republikanina, rzecz jasna. Kłopot w tym, że gdy ludzie przestają wierzyć w Boga, przestają wierzyć w cokolwiek. Żadnego Boga, żadnego monarchy.

Tu Arakczejew zerknął na inny tajny raport policyjny i ciągnął dalej: - Najlepszym dowodem złych zamiarów Pestela jest jego zamiłowanie do bliskich kontaktów z gminem. Pomimo swej wojskowej rangi, chętnie pospolituje się z chłopami. Moi agenci widzieli jak usadowiwszy się na krawędzi chłopskiego wozu załadowanego workami zboża, wesoło gwarzył z otaczającymi go wieśniakami. Innym razem moi agenci widzieli, jak śniadał z chłopami, zadowalając się skórką czarnego chleba i kapuśniakiem. Pestel uwielbia także bratać się z pospolitym wojskiem, z podoficerami a nawet zwykłymi żołnierzami. Uczy ich czytać i pisać, ba, je i pije z nimi w koszarach. Wydaje się, iż werbuje ich do planowanej rebelii. Podobne zapatrywania ma młody poeta o nazwisku Rylejew. Jako sekretarz zarządu rosyjsko-amerykańskiej spółki handlowej pozostaje w stałym kontakcie z cudzoziemcami, szczególnie Amerykanami, rzecz jasna. To on przekonał Pestela, iż agitacja wśród mas to warunek wstępny dla powodzenia wojskowego buntu. Obydwaj upowszechniają niebezpieczną ideę, że wszyscy ludzie są równi. Czyż nie jest to oburzające?

- Niestety, w młodości i ja zaprzątałem sobie głowę podobnymi mrzonkami. - wyszeptał Aleksander.

- Ależ, sire, ci ludzie to nie tylko buntownicy. To dno moralne. Na przykład, w trakcie tych tajnych spotkań nie tylko wygłasza się wywrotowe mowy, lecz potem urządza się pijackie orgie, śpiewa sprośne piosenki, a na koniec wszyscy idą do Cyganów. Rozpusta to teraz dla cynicznych młodych chleb powszedni. Bestużew zaprosił raz Rylejewa do burdelu. "Jestem przecież żonaty" - rzecze Rylejew. "No i co z tego?" - odpowiada mu na to Bestużew - "czy nie pójdziesz do restauracji tylko dlatego, że masz kuchnię w domu?"

- To nic nadzwyczajnego. Za moich czasów w Gatczynie wyprawy do Cyganów i upijanie się na umór po służbie stanowiło normę dla wszystkich oficerów. Tam gdzie życie wypełniają ciągły nadzór i musztra, a także inne nudne, rutynowe czynności, tam rozrywką staje się chodzenie na dziwki, picie i hazard.

- Co zatem mam zrobić z tymi łotrami, sire? - zapytał zdumiony Arakczejew.

- Niestety, jako młody człowiek podzielałem podobne poglądy. Nie mogę dziś być surowy wobec tych młodych narwańców. Każ nie spuszczać ich z oczu, a zwłaszcza Pestela. Tylko on jest naprawdę groźny. Reszta - jak się zdaje - to tylko zgraja pijaków, rozpustników i pieniaczy.

- Jak to? Nikogo nie aresztować, sire?

- Nikogo.

- Jesteś pewien, sire?

- Tak, jestem jak najzupełniej pewien. Przynajmniej na razie.

* * *

Tak łagodne potraktowanie konspiratorów, a także religijnych nonkonformistów i Towarzystwa Biblijnego zupełnie zbiło Arakczejewa z pantałyku. Po wizycie u cara, zdumiony nieoczekiwaną tolerancją swego władcy, zaczął knować, jakby się tu pozbyć najbardziej znienawidzonego wroga, Golicyna, któremu również przypisywał tolerancyjny charakter. Plan Arakczejewa wspierał się na charyzmatycznej osobowości Focjusza i jego sile perswazji. Bez trudu zdobył jego poparcie i przekonał go, że w istocie prawdziwym wrogiem Kościoła Prawosławnego jest Golicyn, zniewieściały, słabowity, i na domiar złego obłudny patron Biblijnego Towarzystwa Kwakrów, car natomiast to jego tarcza i protektor. Arakczejewowi wystarczył kwadrans, by uświadomić Focjuszowi, iż w duchu Golicyn to wilk w owczej skórze.

To wystarczyło, by rozpalić wyobraźnię fanatycznego mnicha, który w kilku publicznych kazaniach potępił Golicyna i jego tolerancję wobec politycznego i religijnego dysydentyzmu. Krytyka dosięgła również jego protektora, a mianowicie cara. Nawiązania Focjusza do "jawnego cudzołóstwa uprawianego w najwyższych sferach" odnosiło się niewątpliwie do samego cesarza. Usłyszawszy te uwagi pod swoim adresem, Aleksander wezwał Focjusza do Pałacu Zimowego. Zamierzał udzielić ostrej osobistej reprymendy niepohamowanemu mnichowi.

Rozmowa odbyła się w lutym 1820 roku. By dodać sobie animuszu, Focjusz wziął ze sobą Arakczejewa. Wspinając się po białych marmurowych schodach prowadzących z dolnego hallu do gabinetu Aleksandra, Focjusz przeżegnał się parokrotnie, jakby odprawiając egzorcyzmy nad złymi duchami, które od pokoleń nawiedzały to miejsce. Gdy wszedł do gabinetu cara, Aleksander podniósł się z krzesła i oznajmił: - Wezwałem cię, albowiem głosisz wywrotowe i tak bezczelne kazania, że przechodzi to wszelkie pojęcie. Śmiałeś mnie krytykować, mnie twego cara i władcę, otwarcie i publicznie.

Focjusz tymczasem zlekceważył swego gospodarza. Zoczywszy starą bizantyjską ikonę, przedstawiającą Chrystusa, przywiezioną przez Zoe Paleolog z Konstantynopola, padł na kolana i na kilka minut zatopił się w cichej modlitwie. Dopiero gdy wstał z klęczek, zwrócił się do cara ze słowami: - Sire, naszą

najpierwszą powinnością jest wielbić Boga Wszechmogącego, potem dopiero jego sługi, nawet jeśli są wszechpotężnymi monarchami, jak ty, Wasza Wysokość.

Zachowanie i wypowiedź Focjusza rozdrażniły Aleksandra. - Jesteś źle wychowany i tak bezczelny, jak mi mówiono. Nawet jeszcze bardziej. Nie wiesz, jak zachować się przed swoim cesarzem? - Tu przerwał, po czym podniesionym głosem niemalże wrzasnął na Focjusza: - Zdajesz sobie sprawę z tego, że postępujesz jak wywrotowiec i obrażasz mnie? Czy wiesz, że mogę kazać cię wychłostać i zesłać na Sybir?

- Możesz mnie zesłać, sire. Możesz kazać wychłostać, łamać kołem lub wbić na pal. Lecz umierając nie przestanę krzyczeć, iż jesteś zatwardziałym grzesznikiem, skazanym na wieczne potępienie, skazanym na ognie piekielne.

Aleksander stanął jak wryty. Nikt dotychczas, nawet jego ojciec, nie mówił doń w taki sposób. Focjusz nie przestawał perorować: - Ty nie tylko tolerujesz herezję, sire, ty jawnie żyjesz w grzechu... publiczny skandal. Porzuciłeś swoją legalnie, co więcej, sakramentalnie poślubioną małżonkę. Przez długi czas żyłeś z konkubiną, która jest zamężną kobietą, a co gorsza, papistką. Śmierć dwojga dzieci, które z nią miałeś, to namacalny znak gniewu bożego, kary bożej za twoje jawne, skandaliczne cudzołóstwo.

Tu Focjusz przerwał, by nabrać tchu. Sięgnął ręką do kieszeni, z której wyciągnął chusteczkę, przetarł nią spienione usta, po czym podjął wątek: - Okaż skruchę! Wyspowiadaj się ze swoich grzechów. Prawdziwa spowiedź jednakże polega nie tylko na wyrzeczeniu się grzechu, lecz na natychmiastowej, szczerej skrusze, pokucie oraz poprawie. Musisz powrócić do swej legalnie poślubionej małżonki. Musisz błagać ją o przebaczenie i ponownie uczynić z niej bliskiego towarzysza twej duszy i ciała.

Aleksander w osłupieniu słuchał obelżywej przemowy Focjusza. Gdy tak zmagał się z pokusą, by kazać go aresztować, wychłostać publicznie, a potem skazać na ciężkie roboty, usłyszał własny głos sumienia: "To są przecież moje własne myśli, które dręczą mnie w godzinach samotności, w podróży i podczas medytacji. Napomnienia Focjusza to tylko echo moich własnych myśli". Niemniej, poczuł nieodparte pragnienie, by się bronić. Gdy Focjusz przerwał, by ponownie zetrzeć pot z czoła, Aleksander wykorzystał tę sposobność, aby przedstawić rzecz po swojemu.

- Jestem winny, przyznaję, ale nie tak bardzo jak myślisz. Prawdą jest, że gdy pewne nieszczęśliwe okoliczności sprawiły, że moje życie rodzinne legło w gruzach, szukałem towarzystwa innych kobiet. Żyłem - jak dziś widzę - w błędnym przekonaniu, że skoro połączono nas z małżonką bez naszej zgody, z czysto konwencjonalnych względów, to w oczach Boga byliśmy nadal wolni. Moja pozycja wymagała ode mnie, bym szanował zwyczaj, co też i czyniłem. Wierzyłem, że mam prawo oddać serce tej, której chciałem. Okoliczności, niestety, rzucały mnie w ramiona kobiet zamężnych. Moja kochanka także, znalazłszy się w podobnie niezręcznej sytuacji, popełniła taki sam godny pożałowania błąd. Jej mąż nie oponował. Mniemaliśmy, że nie ma w tym nic zdrożnego, jej małżonek bowiem aprobował nasz związek.

- To, o czym mówisz, to tylko wstrętna obłuda, nędzny kamuflaż dla jawnego, bezwstydnego cudzołóstwa. Przyzwolenie męża twojej konkubiny nie ma tu nic do rzeczy. Wprawdzie jesteś pomazańcem bożym, sire, ale jesteś także zwykłym śmiertelnikiem, takim samym stworzeniem jak my wszyscy. Poza swoimi obowiązkami jako władca, masz do wypełnienia jeszcze inne, ważniejsze powinności: moralne powinności człowieka wobec Boga, powinności wobec swej własnej nieśmiertelnej duszy.

- Ale, jak już powiedziałem, jedynie wskutek niefortunnych okoliczności prowadziłem grzeszne życie. Teraz chcę to zmienić i odpokutować.

- To dobrze. Jednak, skoro szczerze zależy ci na zbawieniu twej duszy, dlaczego zezwalasz na heretyckie praktyki jezuitów, na robotę antychrysta? Czy nie widzisz, że cudzoziemskie uniwersytety to siedlisko wszelkiego rodzaju diabelskich praktyk i niebezpiecznych spisków. Młodzi wynoszą z nich poglądy sprzeczne z religią i moralnością. W Rosji aż roi się od tajnych stowarzyszeń stających w obronie wolnomularstwa, a nawet jawnego ateizmu. Twój oddany przyjaciel, książę Golicyn, jest zbyt miękki, zbyt pobłażliwy wobec religijnych odszczepieńców. Zwolnij go. On tylko udaje stanowczego wobec tych agnostyków - profesorów i studentów, ateistów i wolnomularzy. Toleruje kwakrów i to ich całe Towarzystwo Biblijne, stanowiące jedynie zasłonę dymną, dzięki której mogą sączyć w naszą krew truciznę liberalizmu.

- Co zatem mam robić?

- Zakaż rosyjskim studentom uczęszczania na cudzoziemskie uniwersytety. Każ zaostrzyć kontrolę literatury napływającej z zagranicy. Zakaż działalności tym diabłom, jezuitom. Rozwiąż Towarzystwo Biblijne. Bądź bezwzględny, jeśli zajdzie konieczność. Bóg uczynił cię ojcem swoich poddanych. Dobry ojciec musi być też surowym panem! Każ aresztować i ukarać oficerów, którzy spiskują przeciwko tobie. Jeśli nie zaczniesz działać natychmiast, wkrótce będziesz miał w Rosji karbonarską rewoltę.

Aleksander, choć zbity z tropu, nadal próbował się bronić. - Wiem, że Golicyn był niegdyś członkiem loży, zresztą tej samej, do której i ja należałem za młodu. Lecz podobnie jak ja, opuścił ją już dawno temu. Od chwili, gdy się ponownie nawrócił, stał się gorliwym chrześcijaninem.

- Jakimże chrześcijaninem? Przecież nie szczerze lojalnym wiernym Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Jego poczynania, jego mętna polityka, zadają kłam twoim słowom, sire. Toż to nadal krypto-ateista. Kto raz był wolnomularzem, ten nigdy nim być nie przestanie. Jego tolerancja jest li tylko słabo skrywaną obojętnością, oznaką "letniego" charakteru. Pamiętaj, co Jezus mówił o tych, co są ani gorący, ani zimni: ci pójdą do piekła przed nierządnicami i poborcami podatków. Rzekoma przyjaźń Golicyna ma skierować cię na niewłaściwą drogę, sire. Jest tylko jeden człowiek, który nigdy cię nie okłamuje. To hrabia Arakczejew.

Gdy wyczerpany Focjusz zakończył perorę, ponownie klęknął, tym razem przed ikoną Świętej Dziewicy, i pogrążył się w modlitwie. Aleksander czuł się całkowicie rozbity, przygnieciony napastliwym tonem mnicha. Po kwadransie, gdy Focjusz wstał szykując się do wyjścia, Aleksander zatrzymał go i wyszep-

tał: - Proszę nie odchodź jeszcze. Zostań ze mną chwilę. Potrzebuję twego duchowego wsparcia, twej rady. Rozwiążę Towarzystwo. Wrócę do żony. Przyrzekam. Możesz mi zaufać. Ale wpierw, proszę wysłuchaj mej spowiedzi.

Po tych słowach, samowładny car, Imperator Wszechrosji padł na kolana przed spienionym mnichem i godzinami spowiadał się z grzechów swego życia. Na koniec, rozmyślnie wolnym, zamaszystym ruchem ręki, Focjusz wykonał znak krzyża nad głową Aleksandra, szepcząc doń przy tym: - Rozgrzeszam cię z tego ciężkiego brzemienia, które tak długo zatruwało twe sumienie, i błogosławię cię w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Amen. Idź w pokoju i wypełnij obietnice pokuty i poprawy.

Otrzymawszy rozgrzeszenie, car ucałował spoconą, zmizerniałą dłoń Focjusza. Kiedy ten skierował swe kroki ku drzwiom, Aleksander podbiegł do nich, otworzył je przed mnichem i raz jeszcze ucałował jego rękę. Za drzwiami stał Arakczejew.

Trzy dni później książę Golicyn został zwolniony z obowiązków oberprokuratora Świątobliwego Soboru i ministra do spraw wyznań. Samo ministerstwo zlikwidowano, jego zadania zaś powierzono nowo powstałemu wydziałowi Świątobliwego Synodu. Na uniwersytetach - dorpackim i wileńskim - zwalniano profesorów za nauczanie oświeceniowej filozofii i zachęcanie studentów do czytania "wywrotowej" literatury. Przy najmniejszej oznace protestu, studentów natychmiast uznawano za buntowników, strasząc ich, a i niekiedy faktycznie karząc, zsyłką, poborem do wojska lub łagrem. Zakazano im podejmowania studiów na większości zagranicznych uczelni, argumentując, iż stanowią one zarzewie antyreligijnych i niemoralnych idei.

Na rosyjskich uniwersytetach wprowadzono zakaz przyjmowania studentów uprzednio studiujących poza krajem, albowiem mogliby "sprowadzić ze sobą ateizm i upowszechniać zwyczaje nieposłuszeństwa panujące na zagranicznych uniwersytetach". Jezuitów wygnano z Rosji. Towarzystwo Biblijne rozwiązano, jego bibliotekę zaś publicznie spalono. W ceremonii wzięli udział Focjusz i Arakczejew. Przed podpaleniem stosów zakazanych ksiąg, mnich wygłosił jadowite kazanie, potępiające wszelką religijną heterodoksję. - Być prawdziwym Rosjaninem oznacza być prawosławnym chrześcijaninem, chrześcijaninem lojalnym wobec macierzystego kościoła". Swoją mowę zakończył stwierdzeniem, iż owo palenie książek stanowi symbol zwycięstwa rodzimego prawosławia nad cudzoziemską herezją. Tak oto rosyjski Savonarola odniósł zupełny triumf.

ROZDZIAŁ XVII

Dlaczego do Taganrogu?

Wizyta Focjusza w Pałacu Zimowym wstrząsnęła Aleksandrem do głębi. W duchu zapytywał sam siebie: "Czy jestem w stanie dotrzymać ślubowania, które sam złożyłem w Traktacie Świętego Przymierza? Czy jestem godzien być władcą rozległego imperium? Tak". Czuł wszelako, jak ubywało mu życiowej energii, a rutynowe obowiązki ciążyły mu jak nigdy. Nawet parady wojskowe wyczerpywały i tak już opuszczające go siły.

Po z górą dwu dekadach zasiadania na tronie, coraz bardziej przerażał go ogrom obowiązków, które dotychczas zaniedbywał, z góry zakładając, iż to on, car, jest przecież najwyższym arbitrem we wszystkich sprawach wagi państwowej. Perora Focjusza uprzytomniła mu jednakże rozmiary odpowiedzialności. Nie był li tylko widocznym symbolem cesarstwa, jego władzy i jedności, ale również jedynym i absolutnym władcą swoich poddanych. Nie miał tu do pomocy ani kompetentnych i niezawodnych doradców, ani gabinetu ministrów, tak jak angielski król. U jego boku stało jedynie grono na ogół słabo wykształconych, zdeprawowanych lizusów. W praktyce, nie był jedynie głową państwa, lecz także premierem własnego rządu i naczelnym wodzem sił zbrojnych. Poza tym sprawował funkcję Najwyższego Sędziego cesarstwa, przeto wszystkie wyroki wydawano w jego imieniu. Z kolei senat miał za zadanie pomagać mu w sporządzaniu ustaw, ale czy senat okazał się kiedy pomocny? Senatorzy byli tylko gromadą zastraszonych służalców, zwykłych zer, z których zaledwie kilku posiadało prawnicze wykształcenie. Ukoronowanie tego niekończącego się szeregu obowiązków stanowiła jeszcze funkcja świeckiej głowy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Ale czy był w stanie sprostać temu ogromnemu zadaniu?

Strapiony i skołowany, Aleksander powrócił do myśli, która nawiedzała go od lat: ażeby uwolnić się od straszliwego ciężaru korony. Tu wszelako na drodze stały poważne przeszkody. Młodszy brat, Konstanty, nie nadawał się na cara, zarówno ze względu na swoją odrażającą powierzchowność, jak też niezbyt błyskotliwy umysł. Wyglądem - w żadnej mierze nie książęcym - odstraszał raczej i śmieszył. Brzydka twarz z płaskim nosem dla wielu ludzi sprawiała wrażenie nieludzkiej. Jak zauważył pewien złośliwy francuski podróżny: "Podobne stworzenie musi być owocem gwałtu dokonanego przez młodego goryla na starej Tatarce". Konstanty nosił okulary, gdy zaś chciał się czemuś przyjrzeć z bliska, wykrzywiał twarz w nieprzyjemnym grymasie. Miał szorstki głos i często podnosił go nawet w prywatnej rozmowie. Poruszał się niezgrabnie, maniery miał chamskie a nawet brutalne, posługiwał się językiem wulgarnym, a przy tym obraźliwym.

Na szczęście, Konstanty, świadom swych ograniczeń i przerażony losem, jaki spotkał ojca, nie pragnął panować. Rezydował w Warszawie jako głównodowodzący zarówno nowej polskiej armii, jak i stacjonujących tam rosyjskich garnizonów, nie spuszczając oka z niespokojnych Polaków. Prowadził rozwiązłe życie i wsławił się tam brutalnością. Już w roku 1819 unieważniono jego małżeństwo z koburską księżną Julią z powodu jego aktów perwersji i ekshi-

bicjonizmu, a w rezultacie - jej odejścia. Po długich i żmudnych umizgach, udało mu się w końcu zdobyć rękę Polki, Joanny Grudzińskiej. Choć nosił jeszcze tytuł carewicza nadany mu przez ojca, to jednak było nie do pomyślenia, żeby Konstanty - ożeniony z katoliczką, a do tego nawet nie księżną - mógł kiedykolwiek zasiąść na tronie Romanowów.

Następnym z kolei pretendentem do tronu był Mikołaj, jedenaście lat młodszy od Aleksandra. W przeciwieństwie do Konstantego, Mikołajowi nie brakowało ani urody, ani kompetencji, ani pilności. Wszelako nie różnił się od zwyczajnego żołnierza: surowy, zdeterminowany i zdyscyplinowany, człowiek ze stali, lecz i z pustą głową. Posiadał spore luki w wykształceniu, a wąskie horyzonty i brak polotu stanowiły poważną wadę. Aleksander znalazł się w trudnym położeniu, ale nie miał wielkiego wyboru. Już latem 1818 roku uprzedził Mikołaja, iż to w nim widzi swojego następcę. - Zdaje się, że zaskoczyła cię ta nowina, ale powiem ci w tajemnicy, że naszemu bratu, Konstantemu, nigdy nie zależało na tronie. Szykuj się, czeka ciebie wielkie zadanie.

Choć rozprawiał o tym w prywatnych rozmowach, Aleksander nie chciał publicznie ujawnić faktu, iż to Mikołaj, nie zaś Konstanty, otrzyma po nim koronę. Obydwaj młodsi bracia znaleźli się przeto w kłopotliwej sytuacji, toteż Konstanty nakłaniał Aleksandra, by przynajmniej potwierdził swe zamiary na piśmie. Po konsultacji z księciem Golicynem, Aleksander opracował dokument, w którym Konstanty formalnie zrzekał się tronu. Golicyn własnoręcznie sporządził cztery kopie. Zachowano absolutną tajemnicę: deklaracji nie powierzono do rąk żadnemu urzędnikowi. Po jednej kopii, w zapieczętowanej kopercie, otrzymały Synod, Senat, i Rada Cesarska. Czwartą złożono w Kościele Wniebowzięcia w Moskwie. Na każdej kopercie widniał napis: "Otworzyć dopiero po śmierci Jego Cesarskiej Mości, Aleksandra I". Opinii publicznej nigdy nie poinformowano o tych postanowieniach.

* * *

Próbując rozstrzygnąć problem sukcesji, Aleksander musiał uregulować szereg delikatnych spraw w swoim prywatnym życiu. Przysiągł Focjuszowi, że powróci do Elżbiety, niemniej, spełnienie tej obietnicy wymagało taktu i czasu. Od dwudziestu lat żył z małżonką w separacji, podczas której oboje dopuszczali się skandalicznych aktów zdrady. Nawet przed Focjuszową diatrybą, podczas długich podróży Aleksander często rozważał możliwość pogodzenia się z żoną. Surowe napomnienie mnicha pchnęło go w końcu do działania. Zdawało się jednak, że pojednanie nie będzie rzeczą łatwą. Stawało temu na przeszkodzie przywiązanie do trojga dzieci, dwóch córek i syna, które urodziła mu Maria Naryszkina. Miłość do jednej z dziewczynek, Zofii, była równie silna co każda inna namiętność w jego życiu.

Przez kilka miesięcy, zanim zbliżył się do Elżbiety, Aleksander znajdował się w stanie duchowej depresji, która jeszcze bardziej pogłębiała jego chroniczną

neurastenię. Uwadze otoczenia nie uszły jego pochylona głowa, wolny chód, podejrzliwe i ponure spojrzenie, nagłe przejścia z apatii do stanu podniecenia. Znowu szukał pocieszenia w modlitwie, zatapiając się w niej nierzadko na całą noc. Zdaniem jednego z nadwornych lekarzy, Tarassowa, car "klęczał modląc się tak długo, aż na kolanach pojawiły się olbrzymie modzele".

Pewnej nocy, medytując nad swym mocnym postanowieniem i szukając pocieszenia w Biblii, Aleksander natrafił przypadkiem na fragment listu Św. Pawła: "Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący... Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest.... Ona tylko może znieść ciężar życia, bo nie ma takiej rzeczy, której miłość nie stawi czoła". Jak często przedtem, tak i teraz Aleksander wziął te słowa do siebie, widząc w nich odniesienie do swego osobistego życia. "Jak to możliwe, że choć czytałem ten fragment tyle razy, nie uchwyciłem jego prawdziwego sensu?" - czynił sobie wyrzuty. Teraz doznał niespodziewanego olśnienia. Jak dotąd okoliczności pchały jego uczucia w trudnych do przewidzenia kierunkach. Lecz nagle we wszystkich swych dawnych przygodach erotycznych dostrzegł daremne próby pochwycenia czegoś, co było tuż obok, co jednak ignorował i latami miał w pogardzie. Nagle zniknęły wszystkie wątpliwości dotyczące pojednania. Postanowił być panem samego siebie i raz na zawsze odmienić swe życie. Poczucie wewnętrznego wyzwolenia przepełniało go szczęściem, jakiego od dawna już nie zaznał. Teraz wszystko zależało od niej; czy się zgodzi? czy przebaczy mu zadane cierpienia i upokorzenia?

Nazajutrz udał się do Elżbiety, padł na kolana i błagał, by przebaczyła mu dawne szaleństwa. Aczkolwiek przewidywał, że pojednanie będzie długim, skomplikowanym i bolesnym procesem, wszystko okazało się cudownie proste. Od czasu ostatecznego zerwania z Czartoryskim, na zakończenie Kongresu w Wiedniu, Elżbiecie doskwierała samotność, przeto złakniona była szczerego uczucia. Osuszyła łzy Aleksandra, przyjęła pokorne przeprosiny, puściła wszystko w niepamięć. Aleksander nie posiadał się z radości. Mile zaskoczyła go łatwość z jaką przyszło im powrócić do dawnej zażyłości. Czuł się jak nowo narodzony Bóg. Z głębi duchowej zapaści wyłonił się ponownie niczym motyl wydobywający się z kokonu.

Aleksander powrócił do Elżbiety bardzo późno, prawie za późno, by móc odwrócić skutki ponad ćwierćwiekowej separacji. Jednak niebawem na nowo odkrył jej troskliwe serce i docenił niemalże instynktowne rozumienie jego potrzeb. Elżbiecie, z kolei, dał to, czego pragnęła najbardziej - odwzajemnioną przyjaźń. Żyła każdą wspólnie spędzoną chwilą, czy to przy stole, czy podczas rozmowy.

Aleksander robił co mógł, by wynagrodzić jej te wszystkie lata zaniedbań i oddalenia. Pomiędzy mężem i żoną, którzy przed tak długi czas byli dla siebie obcy, ponownie zawiązała się nić intymności i zaufania. Aleksander porzucił swój "nałóg" podróżowania. Teraz dużo czasu spędzał z żoną, chadzając z nią na spacery, rozprawiając o wspólnych zainteresowaniach, czytając razem powieści i poezje, zwłaszcza Byrona i Goethego. Obok swoich apartamentów kazał przygotować pokoje dla żony i umeblować je tak, by odpowiadały jej gu-

stom. Teraz tolerował wszystkie jej słabostki, nawet te, które dotychczas go drażniły. Elżbieta uwielbiała pekińczyki, on ich nie znosił. Pozwalał im jednak, by okupowały kanapy i krzesła, co tylko chciały.

Odtąd wspólnie jadali obiady, kolacje, lecz tęte-a-tęte, odprawiwszy wpierw służących. Pragnęli, by pozostawiono ich samym sobie. Jeździli razem na przejażdżki, Aleksander zaś planował te krótkie wypady z dbałością o każdy szczegół. Przywrócony do życia dzięki tej małżeńskiej idylli, z zapałem powrócił do swych rutynowych zajęć, administracyjnych i wojskowych.

* * *

Tymczasem los jeszcze bardziej zbliżył ich do siebie. We wrześniu 1823 roku, w trakcie manewrów wojskowych, Aleksander, silnie kopnięty przez konia, doznał poważnych obrażeń. Wskutek zaniedbań wojskowego lekarza, stan cara pogorszył się, a noga zaczęła ropieć. Wypadek ten pozostawał w ścisłym związku z jeszcze jedną przypadłością. 6 stycznia 1824 roku, w święto Trzech Króli, odbywała się uroczysta procesja, podczas której metropolita Petersburga starym zwyczajem święcił wody Newy. Pomimo niedawnej kontuzji, Aleksander wziął udział w długiej mszy, odprawianej przed skrzydłem Pałacu Zimowego, wychodzącym na rzekę, stojąc tam z gołą głową na lodowato zimnym wietrze. Głęboko go wzruszył ten uroczysty obrzęd, upamiętniający ochrzest Jezusa w wodach Jordanu.

Po powrocie z ceremonii cały aż trząsł się z zimna. Nazajutrz dostał wysokiej gorączki, a jego lekarz, Tomassow, postawił diagnozę: zapalenie płuc. W dodatku, rana ponownie zaczęła krwawić i ropieć. Zakażenie rozprzestrzeniało się w takim tempie, że lekarze nie wykluczali gangreny i rozważali konieczność amputacji. Szczęściem, po kilku dniach nastąpiła nieznaczna poprawa, chociaż dopiero w połowie marca można było mówić o całkowitym wyleczeniu.

W tym długim, uciążliwym okresie rekonwalescencji Elżbieta przejęła rolę pielęgniarki. Aleksander chciał, by nie opuszczała go ani na chwilę. Czasami oddawali się jakiejś lekturze, robiąc przerwy na odpoczynek; potem gwarzyli i wymieniali poglądy na temat fragmentów, które właśnie przeczytali. Któregoś dnia Elżbieta z radością powitała jego słowa: - Tobie zawdzięczam, moje uzdrowienie. Nie mogę już żyć z dala od ciebie. Jesteś dla mnie czymś więcej aniżeli żoną. Jesteś uwielbianą kochanką, a zarazem najlepszym przyjacielem.

- Niestety, mamy przed sobą coraz mniej szczęśliwych chwil. - stwierdziła Elżbieta. - Moja gruźlica rozwija się w zawrotnym tempie. Wiem, że doktor Wylie nie powie mi tego wprost, ale podsłyszałam jak mówił do doktora Tomasowa: "Biedna cesarzowa w najlepszym wypadku ma kilka miesięcy życia".

- Ależ kochanie, zrobimy wszystko, by ci pomóc, by wyleczyć twoje płuca. Może poszukajmy jakiegoś miejsca w Rosji, o łagodnym i ciepłym klimacie, gdzie wrócisz do zdrowia. Co powiesz na Krym?

- Z tobą pojadę wszędzie. Jednak zarówno Tomasow, jak i Wylie uważają, że Włochy lub Egipt lepiej mi zrobią.

W trakcie przygotowań do wyprawy do Włoch, w zimie 1824-25, stan zdrowia Elżbiety uległ znacznemu pogorszeniu. Trawiła ją gorączka, męczył nieustanny kaszel, miała złe krążenie, palpitacje serca, a do tego straszliwą anemię. Przerażeni lekarze orzekli, iż są to nie tylko galopujące suchoty, lecz także sercowe dolegliwości.

Niespodziewanie do tego nieszczęścia dołączyło następne: klęska żywiołowa. W październiku 1824 roku podniosły się wody Newy i zalały Petersburg. Nigdy przedtem rzeka nie pokonała granitowego nabrzeża i nie wylała z taką gwałtownością. W ciągu paru godzin fale pływowe zatopiły niżej położone dzielnice miasta. Aleksander natychmiast zabrał się do dzieła, kierując akcją ratunkową, do której włączono niemal cały garnizon stacjonujący w mieście. Kiedy próbował uratować jakąś nieumiejącą pływać starowinę, usłyszał głos ślepego żebraka wołającego do tłumu: - Ta powódź to kara boska za nasze grzechy! Ale to dopiero początek! - Aleksander nie mógł odpędzić przykrej myśli: "Niestety, to także kara za moje grzechy".

Mijały miesiące. Choroba żony wpędzała go w coraz to głębsze przygnębienie. Elżbieta doznawała utraty przytomności, halucynacji, bezustannie kaszlała i pluła krwią. Siły odmawiały jej posłuszeństwa. Lekarze radzili, by najbliższą jesień i zimę spędziła w ciepłym, suchym klimacie, z dala od chłodnej i wilgotnej stolicy. Wtedy Aleksander podjął dosyć dziwną decyzję, którą w sierpniu 1825 roku ogłoszono w dworskim komunikacie: Car będzie towarzyszył swojej małżonce podczas jej rekonwalescencji w Taganrogu, na południu Rosji, gdzie oboje zamierzają spędzić nadchodzącą zimę.

Ogólne zdziwienie wzbudził wybór Taganrogu. Nie wydawał się on odpowiednim miejscem, w którym cesarzowa mogłaby wracać do zdrowia. Owo miasto-twierdza, wybudowane przez Piotra Wielkiego w 1689 roku, na północnym krańcu Morza Azowskiego, w pobliżu ujścia Donu, miało strzec niepewnej pozycji Rosji na Morzu Czarnym. Nie lada zagadkę stanowił fakt, iż car postanowił wyjechać do tej nędznej, zaniedbanej mieściny, z morską przystanią nad płytkim, cuchnącym morzem, położonej w dzikiej i bagnistej krainie, oddalonej o ponad tysiąc mil od Petersburga.

Skoro Elżbieta nie mogła znieść mroźnej petersburskiej zimy, dlaczego nie pojechała do Włoch lub Egiptu, jak wielokrotnie doradzali jej lekarze? Dlaczego nie zimowała na południowym wybrzeżu krymskim, w słonecznej Jałcie, gdzie czekała na nią stara willa i piękny ogród? Być może nie chciała zostawić swego męża. W dworskich kręgach krążyły rozmaite pogłoski, opierano się na spekulacjach. A może cesarz postanowił dokonać przeglądu floty czarnomorskiej? A może wreszcie zdecydował się poprzeć greckich powstańców, pragnących wyzwolić się spod tureckiego ucisku, pilnie potrzebujących wsparcia prawosławnego cara? Katolicka Francja i protestancka Anglia nie odmówiły pomocy dzielnym helleńskim bojownikom o wolność. Być może zawstydziły one Aleksandra, zmuszając go do podjęcia spóźnionych działań. Wielu ochotników z całego świata zaciągało się do szeregów greckich powstańców, w tym

także były adiutant cara, Capodistrias, jak również ulubiony poeta Elżbiety, lord Byron. Takie to pogłoski rozpowszechniano w armiii i na dworze. Mimo to, osobliwego wyboru Taganrogu na zimowy kurort dla schorowanej Elżbiety nie dało się racjonalnie wytłumaczyć. Ktoż jednak śmiałby się przeciwstawić woli cara?

* * *

Gdy tylko publicznie ogłoszono nowinę, Wielki Marszałek Dworu wysłał architekta i rzemieślników do Taganrogu, aby urządzili zwykłą siedzibę miejscowego gubernatora tak, by mogli tam rezydować niespodziani, acz znakomici goście. Na dzień wyjazdu Aleksander wyznaczył 13 września. Wczesnym rankiem tegoż dnia, gdy przygotowywano kolasę cara do drogi, stolica tonęła w ciemnościach i gęstej mgle. Przy starym monastyrze swego patrona, św. Aleksandra Newskiego, cesarz zatrzymał pojazd, rozkazał zamknąć wszystkie drzwi i odprawić uroczyste nabożeństwo żałobne. Modlił się na klęczkach przez blisko dwie godziny, pod koniec mszy zaś legł krzyżem na marmurowej posadzce. Przed odjazdem, przekazał opatowi dziesięć tysięcy rubli, prosząc go: - Módl się za moje zdrowie i zbawienie mej duszy.

Gdy wsiadał ponownie do powozu, w jego oczach stały łzy. Wyjeżdżając ze stolicy - zanim dotarł do południowej rogatki - odwrócił się, ukłonił i przeżegnał, spoglądając na spiczaste wieże katedry, wynurzające się spod porannej mgły. Przy rogatkach rozkazał woźnicy, Ilii, by się zatrzymał. Stąd, stojąc w otwartym powozie, przez dłuższą chwilę podziwiał panoramę stolicy, jak gdyby żegnając się z nią na zawsze. Wreszcie ruszył w drogę, jak zwykle w wielkim pośpiechu, i 25 września dotarł do Taganrogu, przywożąc ze sobą jedynie dwóch adiutantów i dwóch lokajów.

Elżbieta - zbyt słaba, by znieść tak długą podróż, i zmuszona zatrzymywać się na kilkudniowe postoje - wyjechała z Petersburga 15września. Zabrała ze sobą niewielką świtę: dwie dworki, dwu doktorów, trzech podoficerów i pomoc domową: pięciu służących i kucharzy. Starając się, by w podróży niczego jej nie brakowało, Aleksander osobiście dokonywał inspekcji każdego domu, w którym Elżbieta miała się zatrzymać, jak gdyby chciał się upewnić, że zapewniono jej wszelkie wygody i nie przegapiono namniejszego szczegółu. Dotarłszy bezpiecznie do Tagonrogu 5października, Elżbieta była mile zaskoczona zapobiegliwością męża, który i w tych warunkach nie omieszkał zadbać o luksusy.

Domek był niewielki, skromny, jednopiętrowy, frontonem zwrócony ku ulicy, z tyłu zaś - aż do przystani - ciągnął się sad. Elżbieta zajęła trzy pokoje: sypialnię, garderobę i buduar, pięknie udekorowany przez Aleksandra dywanami, draperiami, obrazami, lustrami i kandelabrami, pochodzącymi z jej apartamentu w Pałacu Zimowym. Wszystko to po to, aby mogła czuć się jak u siebie w domu.

Dla siebie zarezerwował tylko dwie izby, z których większa służyła za gabinet, mniejsza zaś za garderobę. Przestronny hall służył jako salon i jadalnia. Z jednego okna rozciągał się widok na Morze Azowskie oraz przystań. Inne wychodziło na dziedziniec, na którym rosły śliwy, figi i wiśnie tudzież kwiaty. Całość sprawiała wrażenie domu dość zamożnego kupca, a nie cesarskiej rezydencji. Dlaczego potężnemu carowi Rosji przypadł do gustu ten zapadły kąt - trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Najbliższy przyjaciel i adiutant Aleksandra, książę Wołkoński, kategorycznie odmówił komentarza.

Odcięta od reszty świata, przez około cztery tygodnie cesarska para odpoczywała, chadzając na spacery, czytając i relaksując się. Z końcem października, po nieoczekiwanie długim i gorącym babim lecie, odbyli kilka wycieczek po okolicy. Dopiero na początku listopada wrócił Aleksander do swych rutynowych zajęć i zabrał się do przeglądania sterty dokumentów piętrzących się na biurku. Wypoczęty i w doskonałym nastroju, zagłębił się w nie z widocznym zaangażowaniem. Elżbieta zdawała się dochodzić do siebie; wszystko wskazywało na to, że pobyt w Taganrogu należy uznać za udany.

* * *

Mijała jesień, a Taganrog coraz bardziej pogrążał w prowincjonalnej apatii i śpiączce. Zaledwie parę osób spostrzegło spory, luksusowy brytyjski jacht, przybijający 13 listopada do części przystani przeznaczonej dla rosyjskich jednostek pływających. Na ląd zszedł jedynie kapitan, by dopełnić niezbędnych formalności z rosyjskimi władzami. Obecność jachtu sprawiła, że wśród miejscowych greckich i ormiańskich kupców, a także dziewcząt z oberży, poczęły krążyć dziwne pogłoski. Szczególnie niepokoiły się dziewczęta, zadając sobie pytanie, dlaczego nie wypuszczono na przepustkę brytyjskich marynarzy, z reguły doskonałych klientów. Co to za tajemnicza kwarantanna? Co robił ten luksusowy jacht w takiej zapadłej dziurze?

Tymczasem, Aleksander nadal oddawał się swoim zajęciom. Dzień 14 listopada spędził na inspekcji koszarów i terenu przystani, a także szpitala marynarki. Poświęcił wiele uwagi ciężko chorym marynarzom, zwłaszcza pewnemu porucznikowi komandorowi, cierpiącemu na nieznaną lekarzom, dziwną chorobę tropikalną; rozkazał przeto ordynatorowi, by ten osobiście informował go o stanie zdrowia oficera. Co poniektórzy podejrzewali, że marynarze zapadli na cholerę.

15 listopada, car przyjął kuriera, kapitana Iwana Maskowa z Petersburga, który przywiózł ważne dokumenty do podpisania. Rzuciwszy okiem na gruby plik papierów, Aleksander postanowił zająć się nimi później, po kolejnej wizycie w szpitalu. Następnie rozkazał kapitanowi, by wsiadł do swojego powozu i pojechał za nim do domu. Po drodze wydarzył się wypadek. Podchmielony woźnica Maskow zbytnio gnał konie i na ostrym zakręcie rozbił tylnie koło o przydrożny głaz. Powóz wywrócił się, kapitan wypadł na ziemię, doznając

wstrząsu mózgu i poważnego urazu kręgosłupa. Aleksander nakazał doktorowi Tarassowowi zająć się Maskowem i na bieżąco meldować o jego kondycji. Tarassow, z kolei, nie mogąc poradzić sobie z tym przypadkiem, odtransportował Maskowa do szpitala, gdzie - miał nadzieję - kapitan otrzyma należytą opiekę.

Wkrótce potem, Aleksander zaczął uskarżać się na szereg dolegliwości. Narzekał, iż ma bóle głowy, skurcze i paroksyzmy, nazajutrz zaś legł w łożu. Wylie i Tarassow, po zbadaniu pacjenta, orzekli, iż temperatura utrzymuje się w normie, i że u cesarza nie występują żadne objawy poważnej choroby. Ponieważ pacjent uskarżał się także na obstrukcję, zastosowano środki przeczyszczające, a także uśmierzające, z zaleceniem, by odpoczywał w spokoju. Na następny dzień Aleksander nie wstał z łóżka, skarżąc się na coraz to nowe boleści. Wśród osób z najbliższego otoczenia cara zdania co do stanu jego zdrowia i charakteru choroby były podzielone. Doktor Tarassow upatrywał przyczyn tej niedyspozycji w neurotycznym usposobieniu, które dało o sobie znać dawno temu. Rozbieżność stanowisk znalazła także swój wyraz w zapiskach Wołkońskiego i doktora Wylie. Pod datą 18 listopada adiutant zapisał, iż car dobrze spał tej nocy, lekarz natomiast odnotował: "Noc z siedemnastego na osiemnastego - pogorszenie. Obawiam się, że może być jeszcze gorzej. Zawroty głowy, wymioty, ataki gorączki i omdlenia powtarzają się nazbyt często". W dzienniku doktora Tarassowa z kolei czytamy: "Zupełnie nie potrafię określić, co to za tajemnicza choroba. Ze zdziwieniem zauważyłem, że cara pochłania coś innego niż stan własnego zdrowia. Wydaje się, że te niewypowiedziane myśli całkowicie zawładnęły jego umysłem". Opisując zdarzenia z 18 listopada, Wołkoński stwierdza, iż zmuszony był przerwać obiad Wylie'emu i Tarassowowi, gdyż car ponoć gorączkował; powróciły również torsje. W dzienniku Elżbiety wszelako trudno doszukać się oznak niepokoju, wynikającego ze złego stanu zdrowia męża. W liście do matki, poza wzmianką o sporadycznych bólach głowy, Elżbieta pisze, iż Aleksander czuje się dobrze i że cesarska para wiedzie spokojną, acz monotnną egzystencję, ot, jak przeciętna rodzina z wyższych klas średnich.

* * *

29 listopada doniesiono carowi, iż w miejscowym szpitalu wojskowym zmarł kapitan Maskow. Wieść o tym dziwnie ożywiła Aleksandra. Z miejsca zapomniał o dolegliwościach, rozpierała go energia i chęć działania. Kiedy doktor Wylie zaproponował mu środek na uspokojenie, kategorycznie odmówił. Wyskoczył z łóżka na równe nogi, rzekłszy tylko: - Mam ważne sprawy do omówienia z cesarzową. - Następnie odprawił oboje służących, przykazując im: "Nie przeszkadzajcie nam. Chcemy być teraz sami", po czym zamknął się z żoną w pokoju.

Całe to poruszenie i nagła zmiana nastroju cara głęboko zaintrygowała starego służącego Aleksandra, Iwana Mielnikowa, który wierzył święcie, iż aby najlepiej służyć swemu panu, należy wiedzieć o nim wszystko. Miał Iwan w zwyczaju, nabytym dawno i głęboko zakorzenionym, podsłuchiwać rozmowy cara z żoną i przyjaciółmi. Usiłował przeto przez dziurkę od klucza wysłyszeć i zobaczyć, co dzieje się w pokoju cesarza. To jednakże, co ujrzał, wprawiło go w nie lada zdumienie. Jako człek przygłuchy, zdołał pochwycić zaledwie kilka zdań wyrwanych z kontekstu. Starego sługę zaskoczył widok jego pana, który klęcząc przed cesarzową i całując ją po rękach, zwracał się do niej, z twarzą zalaną łzami: - Kochana, wybacz, wybacz. - Cesarzowa, podobnie zapłakana, szeptała ledwie dosłyszalnym głosem: Jestem śmiertelnie chora. Niedługo umrę. To już mój koniec. Niech cię Bóg błogosławi.

Rozdrażniony, iż nie może uchwycić sensu tej rozmowy, sprytny Mielnikow postanowił uciec się do podstępu. Zapukał do drzwi, i nie czekając na odpowiedź, pospiesznie wszedł do środka z zapaloną świecą: - Czy Najjaśniejszy Pan dzwonił na mnie? - zapytał.

- Nie dzwoniłem po ciebie! Po coś tu przyszedł z tą świecą?

- Bo dwie świece palące się w biały dzień na stole Najjaśniejszego Pana przepowiadają śmierć, trzy zaś symbolizują Trójcę Świętą, olśnienie i błogosławieństwo.

- Och, przesądny starcze, idź już - warknął Aleksander. - Odejdź i nie przeszkadzaj nam więcej!

Elżbieta niebawem wyszła z pokoju, car tymczasem wezwał obydwu swych lekarzy. Gdy przekroczyli próg komnaty, osobiście zamknął drzwi na klucz. Po poufnej rozmowie, trwającej blisko trzy kwadranse, wyszedł stamtąd doktor Tarassow i - mając w ręku dużą kopertę z zalakowaną pieczęcią oraz księcia Wołkońskiego u swego boku - pojechał do szpitala marynarki.

Ordynator nie krył zaskoczenia, gdy doktor Tarassow pokazał mu osobisty rozkaz cara z żądaniem natychmiastowego wydania zwłok Maskowa. - Taki jest rozkaz Jego Cesarskiej Mości - potwierdził Wołkoński.

Wieczorem, 30 listopada, doktor Tarassow powrócił z księciem Wołkońskim do pokoju Aleksandra, by zdać relację z wizyty w szpitalu. Późną nocą książę po cichu otworzył drzwi prowadzące na dziedziniec, gdzie czekało już czterech marynarzy z długą drewnianą skrzynią. Zanieśli ją do cesarskiej garderoby, po czym odeszli. Wołkoński odprowadził ich do drzwi i kazał powrócić rano. Wylie, wraz z Tarassowem przystąpili do balsamowania ciała. Następnego dnia rankiem przybyli marynarze i zabrali drewnianą skrzynię. Nazajutrz o świcie, na miejscowym cmentarzu odbył się oficjalny pogrzeb Maskowa, ze wszystkimi honorami, ale ani razu nie uchylono wieka trumny.

Rankiem, 1 grudnia, było zimno i mglisto. Wcześnie odprawiono mszę za zdrowie cara, po czym jej uczestnicy udali się bezpośrednio do cesarskiej siedziby, by usłyszeć najnowsze wieści. Tutaj ku swemu przerażeniu dowiedzieli się, że car zmarł w nocy na cholerę.

30 listopada i 1 grudnia nikt poza cesarzową nie miał prawa wstępu do jego sypialni. Ten sam ścisły zakaz obowiązywał też następnego dnia. Ludzie byli

oburzeni, lecz nikt nie śmiał otwarcie zaprotestować. Zajęci opłakiwaniem monarchy, nie zwrócili uwagi, że brytyjski jacht wypłynął z przystani, żeglując ku Cieśninie Czarnomorskiej, a potem dalej. Jedynie stary ormiański handlarz dywanów, Aram Gybian, rzucił cierpko: - Mój ojciec zwykł mawiać: "Anglicy to naród dziwny, pyszny i arogancki. Nigdy nie podają ręki przy przywitaniu i wychodzą bez pożegnania." Nie spuścili nawet flagi do połowy masztu, na znak szacunku dla naszego zmarłego cara!

Wieczorem, 2 grudnia, w garderobie cesarskiej wystawiono zabalsamowane ciało, odziane w mundur feldmarszałka. Zaledwie parę osób miało prawo zobaczyć zwłoki. Nazajutrz złożono je w drewnianej trumnie, którą, z kolei, wstawiono do mosiężnej, tę zaś zamknięto po krótkiej modlitwie odmówionej przez cesarzową. Przerażony lud nie miał sposobności złożyć cześć pamięci swego monarchy. Tłumaczono to faktem, że wszak cholera to groźna choroba zakaźna, i istnieje obawa, że się rozprzestrzeni.

Doktor Tarassow, pytany później przez petersburskich dworzan, dlaczego dozwolił, by pogwałcone zostały rytuał i tradycja kościelna, odparł: - Baliśmy się, że wybuchnie cholera na południu Rosji, gdzie parę lat temu szalała epidemia. - Słudzy, którzy zdołali rzucić okiem na ciało, zanim zatrzasnęło się wieko trumny, twierdzili, że twarz cara była zdeformowana do tego stopnia, że mogli jej rozpoznać: pożółkła, opuchnięta i pokryta czerwonymi plamami. Poczęły krążyć najrozmaitsze plotki.

Wieść o tym, iż car zmarł na cholerę dotarła do Moskwy i Petersburga, wywołując polityczny kryzys. Przez kilka dni nie było pewności, kto jest prawowitym następcą tronu: Wielki Książę Konstanty czy Mikołaj. Wreszcie, po długotrwałych negocjacjach, Mikołaj ogłosił, iż przyjmie koronę, w rezultacie czego 14 grudnia w Petersburgu wybuchła wojskowa rebelia. Mikołaj natychmiast stłumił ten w pośpiechu zaimprowizowany bunt, przy pomocy kilku dobrze wymierzonych salw artyleryjskich, śląc przy tym Plac Senacki gęstym trupem. Aresztowano i osądzono setki spiskowców. Pięciu prowodyrów, w tym Pestela, powieszono, wielu innych zesłano dożywotnio na Syberię.

Elżbieta nie żyła długo. Zmarła tuż przed wojskową rebelią wymierzoną przeciwko nowemu carowi. Tymczasem z Taganrogu do Moskwy i Petersburga podążał kondukt żałobny, zatrzymując się po drodze w różnych prowincjonalnych stolicach. Trumny nie otwierano; uczyniono to dopiero 18 marca, na krótko przed tradycyjną uroczystą mszą żałobną w Katedrze Naszej Pani z Kazania, by rodzina cesarska mogła zobaczyć ciało. 25 marca zabrano ją na pochówek do cerkwi w twierdzy Pietropawłowskiej.

W ten szary, pochmurny poranek, procesja prowadzona przez młodego cara Mikołaja z obnażoną głową, ruszyła wolno ulicami stolicy, wzdłuż których ustawili się żołnierze i zwarty tłum gapiów. Wielu z nich popłakiwało, zwłaszcza kobiety. Minęły ze dwie godziny zanim kondukt, brnąc w na wpół stajałym śniegu, dotarł wreszcie na miejsce. Trumnę złożono w nowo wybudowanej krypcie, a salwa ze stu dział oznajmiła narodowi rosyjskiemu, że ich byłego władcę, błogosławionego cara Aleksandra odprowadzono właśnie na wieczny spoczynek.

ROZDZIAŁ XVIII

W syberyjskiej dziczy

Sybir - już na samo brzmienie tego słowa przechodzą człowieka ciarki. Olbrzymi syberyjski subkontynent to jedyny w swoim rodzaju świat; niemal wszędzie tylko lasy i bagna, przez pół roku zamarznięte pod płaszczem śniegu, późną wiosną zaś i latem przesiąknięte wilgocią i aż rojące się od komarów. W XVI i XVII wieku zapuścili się tam Rosjanie, nie napotykając przy tym na większy opór ze strony rozproszonych syberyjskich plemion, które - swoją drogą - z łatwością mogłyby odeprzeć śmiałe napady kozackich awanturników i innych pionierów, gdyż nie brakowało wśród nich mężnych wojowników. Nie stało się tak jednak, ponieważ miejscowa ludność zrazu nie uważała przybyłych za najeźdźców, okazując im gościnność, służąc radą i dając im do dyspozycji przewodników. Tubylcy pragnęli handlować z Rosjanami, by zaopatrzyć się w towary, których sami nie posiadali: narzędzi z żelaza, broni, tkanin, paciorków, itp. Pozwoliło to rosyjskim pionierom szybko posuwać się w głąb lądu, aby wreszcie - na początku XVII wieku - dotrzeć do wybrzeży Pacyfiku.

Syberyjskie plemiona utrzymywały się z łowiectwa, rybołóstwa i hodowli reniferów, a wraz z napływem rosyjskich osadników w XVIII wieku szybko rozwinęło się u nich rolnictwo. Wkrótce jednak carowie znaleźli inne przeznaczenie dla tych rozległych, skutych lodem puszczy. Już w XVII wieku Syberia była dla Rosji tym, czym Australia miała się stać sto lat później dla Imperium Brytyjskiego, a mianowicie, miejscem, gdzie zsyłano tych wszystkich, których carowie uznali byli za elementy niepożądane: zbrodniarzy, więźniów politycznych i religijnych dysydentów. Zpoczątkiem XIX stulecia kraina ta zamieniła się w jeden wielki zimny loch.

Dziwną ironią losu, to właśnie polityczni zesłańcy, jak - dajmy na to - oficerowie, którzy zbuntowali się przeciwko Mikołajowi I w grudniu 1825, stopniowo odkrywali dobre strony zesłania - pierwotną wolność i szerokie możliwości gospodarczego rozwoju. Wygnańcom tym, których nie złamał surowy tryb życia, syberyjska dzicz dawała sposobność stworzenia innego modelu organizacji społecznej i politycznej, rolnictwa wolnego od niewolniczej pracy i fabryk obsługiwanych przez ochotniczą siłę roboczą. Zarówno jedno, jak i drugie stanowiło pokusę dla zesłańców z reszty imperium tudzież śmiałków poszukujących przygód i szczęścia. Region ów stał się z czasem nowym pogra-

niczem, rosyjskim "Dzikim Wschodem". Zesłańcy i ich potomkowie często stawali się pionierami edukacyjnego i ekonomicznego rozwoju tego obszaru.

Gospodarcze możliwości tkwiły przede wszystkim w jak dotąd niewykorzystywanym ogromnym potencjale bogactw naturalnych. Poza bogatymi złożami złota, srebra, platyny i diamentów, kraina ta słynęła z cennego futra, w szczególności, srebrnych lisów, gronostaji i soboli, zwanych też "miękkim złotem". Szybko zbijano fortuny na eksporcie futer do Europy, Chin, a wreszcie Ameryki. Obok górnictwa i łowiectwa, również kuśnierstwo stało się na Syberii intratnym interesem, a to wysoce dochodowe rzemiosło dało początek pewnej swoistej formie organizacji społecznej, sieci bractw nazywanych po rosyjsku *jamszczina*. Ich członkowie, tzw. *jamszcziki*, parali się głównie myśliwstwem, przewożeniem i sprzedażą skór cennych zwierząt bądź to na obszarze cesarstwa, bądź zagranicą. Poza tym, zajmowali się rozprowadzaniem innych wartościowych towarów takich jak jedwab, herbata i korzenie po syberyjskiej dziczy. Zimą karawany *jamszcziny*, sanie ciągnione przez refinery lub konie, podróżowały po całym kaju, od Mongolii po wielkie rosyjskie targi w Kazaniu, Niżnym Nowogrodzie i Moskwie. *Jamszczina* stanowiła dynamiczną organizację posiadającą własną tradycję i niepisane prawo. Należy zważyć, że jedynie najbardziej krzepcy i odważni ludzie byli w stanie przewozić ciężkie ładunki cennych towarów z Syberii do centralnej Rosji. Niebezpieczeństwo dla *jamszczików* przedstawiały nie tylko srogie mrozy i śnieżyce, lecz także bandy rabusiów, z których niektórzy uciekli byli z syberyjskich łagrów i czyhali na przejeżdzające karawany. Ale też i *jamszcziki,* prócz handlu cennym towarem, nie gardzili zbójeckim rzemiosłem. Okradali bogatych podróżnych, napadali na dyliżanse pocztowe i konwoje przewożące rządowe pieniądze, grabili wioski i miasta, nierzadko plamiąc swe ręce krwią.

By zostać *jamszczikiem* należało wpierw złożyć przysięgę na wierność przywódcy - z reguły potężnemu i apodyktycznemu hersztowi, w rodzaju ojca chrzestnego - i związać się z nim braterstwem krwi. Podczas skomplikowanego rytuału inicjacji herszt i wtajemniczany wznosili toasty krwią, po czym ten ostatni składał przysięgę na wierność. Lojalność wobec przywódcy egzekwowano bezwzględnie, za jakiekolwiek przejawy nieposłuszeństwa wymierzano okrutne kary, zzasady śmierć przez powieszenie lub zasztyletowanie. Wszelkie osobiste zatargi zawsze rozstrzygał najwyższy rozjemca, tzn. sam herszt. Nie zezwalano na zawieranie małżeństw. Gdy jednak *jamszczik* postanowił się ożenić, musiał opuścić bractwo, składając wpierw przysięgę, iż nigdy nie wyjawi jego tajemnic. Zdradę tajemnic *jamszcziny* karano śmiercią.

* * *

Jednym z najsławnieszych hersztów *jamszczików* na początku XIX stulecia był Grigorij Chromow. Był on jedynym synem syberyjskiego zbira, powieszonego na rynku w Tomsku, za to, że udusił miejscowego stupajkę, gdy ten pró-

bował go zaaresztować. Matka Grigorija zmarła na cholerę wkrótce po śmierci męża. Zdany wyłącznie na siebie w wieku lat jedenastu, chłopak przez dłuższy czas żył własnym przemysłem, wędrując od sioła do sioła, najmując się na posługi, głównie obdzierając ze skóry zwierzęta futerkowe dla rozmaitych band *jamszcziny*. Mając lat piętnaście przyłączył się do jednej z nich. Zrazu terminował, jak dawniej zdzierając i garbując skóry sprowadzane przez starszych kamratów. Wkrótce jednak zaczął się szybko piąć w górę, posiadał bowiem wyjątkowy dar, niezwykle cenny dla każdego *jamszczika*: brnąc przez gęste poszycie puszczy zawsze umiał znaleźć drogę do lęgowisk cennych zwierząt. Kochał przyrodę i umiał w niej czytać jak w książce. Rozeznawał się na zwyczajach i odgłosach każdego zwierza, każdego ptaka. Potrafił naśladować trel słowika i gila, ryk jelenia i rozwścieczonego niedźwiedzia, a także wycie wilka. Wierzył w bliskie rytualne związki pomiędzy fauną a człowiekiem. Żywił przekonanie, iż zwierzęta posiadają wędrujące dusze, że są żywymi symbolami ludzkich przodków. Ponadto ten przedsiębiorczy chłopak obdarzony był wrodzonym talentem przywódczym. Tak więc już po kilku latach stał się prawą ręką herszta, a po jego śmierci, którą ten spotkał na pograniczu mandżurskim w potyczce z chińskimi zbójami, Grigorija Chromowa jednogłośnie wybrano na przywódcę bandy. Trzeba przyznać, że jego uderzająca powierzchowność sprawiała imponujące wrażenie: był średniego wzrostu, szczupły, barczysty, a jego wąsy i brodę tu i ówdzie przyprószyła siwizna. Niespokojnie wodził dokoła błyszczącymi, chytrymi, przenikliwymi oczyma. Mówił powoli, posługując się swoistym żargonem, niekiedy wulgarnym, choć zawsze obrazowym.

Awanturnicze życie rozbudziło w Chromowie pewien rodzaj barbarzyńskiego romantyzmu. Gdy popił, lubił opowiadać przyjaciołom niestworzone historie o swych gwałtownych i okrutnych przygodach. W opowieściach tych, na ogół ponurych, krwawych i dzikich, relacjonował zaciekłe boje, jakie był prowadził z konkurencyjnymi bandami lub policją. Trzeba też powiedzieć, że policja nie miała nic przeciwko wchodzeniu w układy z miejscowymi przywódcami band, próbując często wyłudzić jaki haracz za przymknięcie oka na popełniane przez *jamszczików* zbrodnie. Ulubione historie wiązały się jednak zawsze z bezwzględną konkurencją.

- Pewnej nocy, ja i moi towarzysze zabiliśmy dwudziestu trzech zbójów, co to chcieli ukraść nasz karawan. Złapaliśmy ich więc i powiesiliśmy na przydrożnych sosnach. Tropiąc resztę, doszlimy do sioła Mokroje. Tam dopiero mieliśmy ubaw. Chłopi z tej złodziejskiej wsi drogo zapłacili za to, że chowali u siebie tych zbójów co nas napadli. Powiesiliśmy co dziesiątego. Trzy dni szaleliśmy tam z młodymi i ładnymi dziewuchami. Oj, ta wieś długo będzie nas pamiętać!

Podczas jednej ze swoich wędrówek Chromow poznał w tomskiej tawernie konkubinę oberżysty i zupełnie stracił dla niej głowę. Do tej pory zdobył już dość pieniędzy, by móc wykupić kobietę od jej pana. A była to prawdziwa rosyjska piękność: tęga, lecz kształtna, o ciemnych włosach i czarnych świecących oczach. Chromow kochał ją dziką miłością: ubierał w rzeczy sprowadzane z Paryża, otaczał bajecznym luksusem, rozpieszczał drogimi prezentami,

Aleksander I, Car Tajemniczy

jednak gdy się upił lub dostał napadu zazdrości, tłukł ją z bezlistosnym okrucieństwem, po czym padał jej do stóp i błagał o przebaczenie.

Kiedy już się ożenił, postanowił opuścić bandę, ustatkować się i prowadzić żywot szanowanego obywatela. Zakupił więc spory kawał ziemi nieopodal Tomska, nad brzegiem Obu, a na rozległym zalesionym obszarze zbudował dom, ot taki jak owe dworki szlacheckie, które widywał podczas podróży po centralnej Rosji. Długi, jednopiętrowy, biały, drewniany budynek z sześcioma kolumnami od frontu, otaczał olbrzymi ogród, za domem zaś stała stajnia, w której trzymał kilka koni i hartów. Chromow okazał się gościnnym, hojnym i miłym gospodarzem. Czasami, jednakże, kiedy zżerała go nostalgia za awanturniczą przeszłością, urządzał dzikie orgie, które zwykle kończyły się piciem na umór i rozbijaniem szklanek, butelek, i luster. - Taka to już moja durna ruska natura. Musi się wyszumieć od czasu do czasu. Dusi mnie ten nudny żywot burżuja - wyjaśniał.

Chromow nieraz okazywał pomoc wielu ludziom w mieście, toteż szybko wybaczano mu sporadyczne bądź co bądź wybuchy szału. Wszakże pociąg do butelki tkwi głęboko w naturze Rosjanina, Chromow zaś nie różnił się w tym względzie od swych współbraci. Po kilku latach zapomniano w końcu o jego przeszłości, ba, zaczął nawet zdobywać sympatię i to nie tylko władz miejskich, którym nigdy nie szczędził łapówek, ale również miejscowego biskupa prawosławnego, któremu niegdyś podarował wspaniałe sobolowe futro. I tak oto wiódł Chromow życie zamożnego, szanowanego, byłego kupca. Opływał w dostatek, ale doskwierała mu nuda i nie wiedział czasami, co ma ze sobą zrobić.

* * *

Jak na warunki syberyjskie, wrzesień roku 1836 był niezwykle łagodny. Jedynie podmuchy arktycznego wiatru, nocne mrozy i sporadyczne opady śniegu zapowiadały długą i srogą zimę. Za dnia, w ciepłym powietrzu unosiła się odurzająca woń sosen. Wieczorem 16 września, po zachodzie słońca, w gospodzie Arkadego Morozowa pojawił się nieznajomy. Przybysz, jak to było w zwyczaju, stanął przed ikoną wiszącą w rogu i wykonał znak krzyża, po czym pozdrowił gospodarza, pytając przy okazji, czy mógłby przenocować za skromną opłatą. Morozow przytaknął, oznajmiając, iż chce za to dwadzieścia kopiejek. Nieznajomy zapłacił mu należną sumę, zdjął z siebie długi wełniany płaszcz i usiadł przy stole. Poprosił o kubek gorącej herbaty, a ze swej torby wyjął dużą pajdę czarnego chleba.

Morozow, były skazaniec, za dobre sprawowanie zwolniony z przymusowych robót w kopalni złota, uważnie przyglądał się przybyszowi. Nieznajomy był wysokim mężczyzną około sześćdziesiątki, z prezencją wojskowego. Posiwiała broda, wysokie czoło i długa grzywa nadawały mu dostojny wygląd. Bez wątpienia nie był to ani chłop, ani kupiec, jak większość gości w gospodzie

Morozowa. Kim więc był? Nieznajomy milczał zatopiony w myślach. Zapytany o tożsamość i cel podróży udzielał krótkich, wymijających odpowiedzi. U oberżysty wzbudziło to podejrzenia, dlatego też pobiegł do naczelnika miejscowej policji, z którym chciał żyć w zgodzie, i zameldował mu o pojawieniu się "dziwnego włóczęgi".

Nazajutrz rano do oberży przybył sierżant policji, ażeby przesłuchać przybysza. - Nazywam się Fiodor Pawłowicz Kuzmicz - odpowiedział nieznajomy.

- Gdzie macie paszport?

- Nie mam. Zgubiłem w Odessie, powracając z pielgrzymki do Ziemi Świętej. Przypuszczalnie ukradł mi go złodziej w porcie.

- Coś takiego! Nie macie paszportu? Nie wiecie, że rosyjski poddany składa się z trzech części: ciała, duszy i paszportu? Muszę was aresztować. Idziemy na posterunek, opowiecie waszą historię kapitanowi Serdiukowi, naczelnikowi policji.

Kapitan Serdiuk, spostrzegłszy ogładę i subtelne rysy Kuzmicza, z miejsca zmiarkował, że nie jest on zwyczajnym włóczęgą. Zapytany o zawód, podróżny odparł: - Jestem wędrownym pielgrzymem, poszukującym miejsca na odpoczynek i medytację.

- Co robiliście przedtem?

- Byłem oficerem w armii. Ale ostatnio pielgrzymowałem do Ziemi Świętej.

- Długo?

- Blisko dziesięć lat. Zostałem wyznaczony przez naszych prawosławnych mnichów do pilnowania Kościoła przy Świętym Grobie.

- Coś takiego? Dziesięć lat w Ziemi Świętej. Ludzie z reguły udają się tam na kilka tygodni, co najwyżej, miesięcy. Ale wy mi wyglądacie na jednego z tych angielskich lub tureckich szpiegów, którzy kręcą się po naszym kraju pod pretekstem powrotu z pielgrzymki do Ziemi Świętej. Mówcie raz dwa, co wy za jedni, bo jak nie, to zaraz *sprawię*, że mi tu wszystko wyśpiewacie.

- Już wam mówiłem: jestem Fiodor Pawłowicz Kuzmicz, emerytowany oficer armii carskiej, wróciłem właśnie z pielgrzymki do Ziemi Świętej. Zgubiłem swój paszport.

- Łżesz! - ryknął naczelinik. - Jestem zbyt zajęty, by wdawać się z tobą w dyskusję. Ale może dwadzieścia batów rozwiąże ci język i zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu.

Tu zwrócił się do sierżanta, który był przyprowadził Kuzmicza na posterunek i rozkazał: - Każ Sliwowowi wymierzyć temu tutaj na początek jakie dwadzieścia batów - to mu rozwiąże język. Jak dojdzie do siebie, to znowu z nim porozmawiam.

- Tak jest - szczeknął sierżant, zasalutował przełożonemu, po czym wyprowadził Kuzmicza do sąsiedniej izby, gdzie kat, Grigorij Sliwow, ucinał sobie właśnie słodką drzemkę. Również on był niegdyś skazany na dożywotnie roboty - za zamordowanie swego majstra podczas pijackiej burdy. Zwrócono mu jednak wolność w zamian za podjęcie się zadania wymierzania kary chłosty. Po dwunastu latach bicia, doskonale opanował ten fach, stając się w tej dziedzinie nie lada artystą. Tak zręcznie potrafił posługiwać się swoją nahajką, że

umiał sciąć główkę kwiatu we falkonie, nie tłukąc przy tym szkła. Ponieważ nie otrzymywał regularnego wynagrodzenia - płacono mu bowiem od ilości wymierzonych batów - po dziesięć kopiejek za każdy, Sliwow aż palił się do roboty. Gdy sierżant go zbudził, uradował się na wieść, że po kilku dniach leniuchowania, znowu będzie mógł wykazać się umiejętnościami. Bezzwłocznie pochwycił nahajkę z plecionej skóry, przytwierdzonej do długiej rękojeści. Z jej koniuszka wychodziły trzy bicze, zaś z końca każdego z nich zwisała ołowiana kulka.

Kuzmicza przywiązano do grubej deski, nazywanej "kobyłą", szerokiej u góry i zwężającej się ku dołowi. Żelazna noga pozwalała ustawić kobyłę pod kątem około trzydziestu stopni. W górnym końcu deski znajdowały się trzy wydrążone otwory; środkowy miał pomieścić twarz i głowę, w pozostałe wkładano ręce, przytraczając je skórzanymi rzemieniami, nogi natomiast mocowano u dołu. Kat stawał kilka metrów od tego urządzenia i zabierał się do roboty. Pracował cicho i sprawnie. W przeciwieństwie do innych kolegów po fachu, ani nie beształ swoich ofiar, ani też nie rzucał uszczypliwych uwag na temat wątpliwej reputacji ich matek. Sliwow po prostu od razu przystąpił do dzieła i z całej siły przeciągnął rzemieniem po plecach Kuzmicza. Dwa, a może trzy razy powtórzył ten zabieg, jednak zawsze skupiając się na jednym i tym samym miejscu. Potem przeszedł na drugą stronę, uderzając w to samo miejsce, tym razem z innego kierunku. Po chwili przerwał, czekając na reakcję więźnia.

Jako że otrzymywał marną pensyjkę, Sliwow dorabiał sobie głównie na swoich ofiarach. Prawo przewidywało określoną ilość batów, nie precyzowało wszelako, jak bardzo bity musi cierpieć. Otrzymawszy łapówkę od przestępcy lub jego druhów, Sliwow wymierzał pierwsze względnie silne uderzenie, po którym ofiara wyła z bólu, a na jej plecach pozostawały widoczne ślady. Potem zmniejszał siłę pozostałych uderzeń. Jednakże, gdy nie otrzymał łapówki, wtedy zaczynał delikatnie, stopniowo bijąc coraz to mocniej i mocniej. Od czasu do czasu przerywał, dając ofierze sposobność, by cicho zaproponowała mu cenę za złagodzenie kary. Nie otrzymawszy żadnej oferty, czuł się wielce rozczarowany.

Kuzmicz jednakże nie miał ani pieniędzy, ani nikogo, kto przekupiłby Sliwowa. W gruncie rzeczy nie znana mu była nawet praktyka przekupywania kata. W rezultacie, doświadczony siepacz wymierzył Kuzmiczowi dwadzieścia najokrutniejszych batów, na jakie go było stać. Po ostatnim uderzeniu Sliwow odwiązał krwawiącego więźnia, i otarłszy pot z czoła, zameldował naczelnikowi:
- Melduję, że już skończyłem. Dałem z siebie wszystko, ale i tak nie powiedział nic jak tylko "Jestem Fiodor Kuzmicz. Wracam z pielgrzymki. Jestem niewinny." Twarda sztuka z tego szpiega, skoro dostawszy ode mnie dwadzieścia solidnych batów, nie powiedział nawet kim jest. Może dać jeszcze dwadzieścia?
- Zgoda, daj jeszcze dwadzieścia - rozkazał kapitan.

Niemniej jednak, pomimo kolejnych dwudziestu batów, zakrwawiony i na wpół przytomny więzień nie zmienił swych zeznań. Kapitan Serdiuk, zaintrygowany szlachetnym wyglądem i niezłomnością Kuzmicza, postanowił do-

nieść gubernatorowi zachodniej Syberii o tym tajemniczym nieznajomym z prezencją wojskowego, lecz bez paszportu, opowiadającego dziwną historię o dziesięcioletnim pobycie w Ziemi Świętej.

* * *

Gubernatora, hrabiego von Osten-Sackena, tak bardzo zaintrygował ów raport, że osobiście przybył, ażeby z bliska przyjrzeć się więźniowi. Hrabiego z kolei uderzyły szlachetne rysy oraz arystokratyczne maniery rzekomego szpiega. Próbował wyciągnąć z niego więcej informacji, lecz Kuzmicz uporczywie trzymał się swojej wersji. - Sprawdzimy zatem prawdziwość twoich słów u opata naszego monastyru w Jerozolimie. Święty człowiek, znałem go, kiedy obaj mieszkaliśmy w Moskwie... Skontaktujemy się również z władzami w Petersburgu. Być może byłeś notowany w Ministerstwie Policji. Jeżeli kłamiesz, jeżeli jesteś angielskim albo tureckim szpiegiem, albo, nie daj Bóg, dezerterem, powiesimy cię publicznie na rynku w Tomsku. Ludziom się nudzi, to i przyda im się trochę rozrywki.

I rzeczywiście, gubernator natychmiast wysłał pilny raport o dziwnym przypadku "niejakiego Fiodora Kuzmicza, podejrzanego o szpiegostwo i/lub dezercję" do szefa żandarmerii, hrabiego Benkendorffa. Mijały tygodnie i miesiące, odpowiedź jednak nie nadchodziła. Tymczasem Kuzmicza trzymano pod kluczem w miejscowym więzieniu wraz z pospolitymi przestępcami, głównie złodziejami i mordercami.

Po ponad sześciu miesiącach czekania, gubernator otrzymał niezwykłą instrukcję ze stolicy: "Uwolnić natychmiast Fiodora Kuzmicza, wydać mu normalny paszport, nie pozwalać na opuszczenie Tomska. Jego poczynania śledzić pilnie, a gdyby się coś wydarzyło, raporty przedkładać mi osobiście". Podpisano "Aleksander hrabia von Benkendorff, Szef III Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości".

Rozkaz ten zupełnie zbił gubernatora z tropu, ale będąc przykładnym biurokratą, musiał go wykonać. Niespokojny o własną karierę, ponownie odwiedził Kuzmicza, tym razem, by przeprosić go za "nieumyślnie spowodowany kłopot". Hrabia rozkazał natychmiast wypuścić więźnia i dał mu dziesięć rubli w srebrze, komplet świeżej bielizny, a także ciepły futrzany płaszcz oraz parę rękawiczek z sarniej skóry. Tak oto Kuzmicz odzyskał wolność. Zakłopotany, nie wiedząc, co ma dalej ze sobą począć, wrócił do oberży, z której to zaciągnięto go do więzienia. Chciał się wykąpać, potrzebował przynajmniej kilku dni, by ponownie dojść do siebie po sześciu miesiącach karceru.

Tymczasem, całe miasto zaczęło rozprawiać o historii Kuzmicza. Jedną z osób, od samego początku zainteresowanych losami szlachetnego pielgrzyma podejrzanego o szpiegostwo, był Grigorij Chromow. Znudziła go egzystencja emerytowanego *jamszczika*, toteż często zaglądał do miejscowych oberży. Lubił spotykać rzadkich przybyszów, zajeżdżających do sennego, prowincjonal-

nego Tomska. Dobrym miejscem na wypatrywanie takich ludzi była tawerna Morozowa i gospoda, którą - ku zmartwieniu własnej żonie - odwiedzał nazbyt często. Spostrzegłszy Kuzmicza, popijającego herbatę w kącie, z miejsca wyczuł, że to jest właśnie ów niezwykły gość. Podszedł doń i zaproponował mu kieliszek wódki. Tu spotkał się jednak ze zdecydowaną odmową. - Kiedy byłem w Ziemi Świętej, ślubowałem, iż nigdy więcej nie wezmę do ust mocnych trunków.

- Toć bez wódki nie ma życia. Prawda to, że pielgrzymowałeś do Palestyny? Gdzie chcesz teraz zamieszkać?

- Zamierzałem spędzić tutaj kilka nocy, a potem znaleźć jakieś miejsce, gdzie nadal mógłbym oddawać się modlitwie i kontemplacji.

- Zatrzymaj się u mnie - rzekł Chromow. - Mam duży dom. Moja żona, Matriona Aleksandrowna, z chęcią wysłuchałaby twoich opowieści o Ziemi Świętej. W przyszłym roku sama wybiera się na pielgrzymkę.

Pańskim gestem nakazał Morozowowi wezwać woźnicę, czekającego na zewnątrz. Następnie wdział futro i poprosił Kuzmicza, by ten zrobił to samo. Wsiedli do dużych, wygodnych sań, a po kwadransie znaleźli się w rezydencji Chromowa. Żona z niecierpliwością wyczekiwała jego powrotu. Jej majestatyczna uroda i elegancja tradycyjnej sukni wprawiły Kuzmicza w podziw. Kobieta miała na sobie długą, fałdzistą wierzchnią suknię, rozszerzającą się ku dołowi, zwaną sarafanem, z rzędem drobnych srebrnych guzików z przodu bufiastej bluzki, zdobionej barwnym haftem.

- Gdzieś był tak długo? Już myślałam, żeś się znowu upił - trajkotała. - Aż dziw, że widzę cię trzeźwym. Kogoś tam z sobą przywiózł?

- To Fiodor Kuzmicz, nasz gość. Przez dziesięć lat przebywał w Ziemi Świętej i chciałby ci o tym opowiedzieć. Przynieś nam gorącej herbaty.

Pani domu pokłoniła się przed gościem i rzekła: - Witajcie! Bóg z wami!

Po chwili wróciła z samowarem. Na tacy przyniosła dwie szklanki, bochen chleba i solniczkę, tradycyjne symbole słowiańskiej gościnności.

- Wielkie dzięki - powiedział Kuzmicz - Wasze szczere słowiańskie powitanie znaczy dla mnie więcej aniżeli pokarm. Będę się modlił do Pana Boga, by wynagrodził waszą chrześcijańską gościnność, okazaną nieznajomemu pielgrzymowi.

- Radam, iż niespodzianym zrządzeniem Pańskim mogłam was poznać. Ufam, że opowiesz mi o twoim pobycie w Ziemi Świętej.

- Opowiem, w stosownym czasie, dziś jednak jestem nazbyt zmęczony.

- Ależ tak, tak. Wypijcie swoją herbatę, a ja tymczasem każę dziewczynie przygotować pokój.

Po chwili dodała: - Pojutrze mamy Wielką Sobotę, możesz więc uczestniczyć z nami we mszy świętej i otrzymać błogosławieństwo Boże. Na niedzielne śniadanie wielkanocne zapraszamy zwykle wielu gości.

W trakcie rozmowy Matriony z Kuzmiczem, Chromow zoczył wystającą z torby gościa książkę i zapytał: - A co to za księgę tutaj macie?

- To moja Biblia Święta - odparł Kuzmicz.

- Mogę rzucić okiem? - Wyjął Biblię, otwarł ją i przerzucił parę stron, nie mogąc przeczytać ani słowa.
- Prawda to, że od zbytniego czytania można postradać zmysły?
- Ale gdzie tam. To mądra książka. Stale uczę się z niej czegoś nowego.

Chromow odłożył Biblię na stół i chciał kontynuować rozmowę, ale jego żona przerwała mu zniecierpliwiona: - Chodźmy już spać. Nasz gość zasługuje na odpoczynek. Jutro Wielki Piątek. Pójdziemy wszyscy do łaźni publicznej. Nasz gość pościł cały dzień. Ale teraz wszyscy do łóżka! Dobranoc, dobranoc!

* * *

W sobotę wieczór gospodarz Kuzmicza szykował się do mszy wielkanocnej w miejscowej katedrze. Woźnica zajechał pod frontowe drzwi dużymi, wygodnymi saniami, w których znajdowała się derka z niedźwiedziej skóry, dla okrycia pasażerów przed zimnem. Gęsta siatka miała osłaniać ich przed odpryskami lodu z końskich kopyt. Smagnięte batem, kuce potruchtały wesoło przed siebie zaśnieżonymi ulicami, przez miasto na rynek. Skromny rynek otaczał szereg prymitywnych straganów, chłopskich wozów i sań zaparkowanych wzdłuż drewnianych, nadal tonących w śniegu trotuarów. Tomską architekturę stanowiły na ogół niskie domy z kwadratowych kloców, ze zdobionymi okiennicami i lekko spadzistymi dachami. Rozproszone domostwa rozdzielały wysokie drewniane parkany. Po środku rynku stała potężna czerwona katedra z zieloną kopułą w kształcie cebuli.

W mrocznym świetle sanktuarium wzrok Kuzmicza zatrzymał się na promiennozłotym obrazie za ołtarzem, zasłaniającym wejście do prezbiterium. Zdobiony ikonami, przystrojony został gałązkami jodły z okazji wielkanocnego święta. Kościół szczelnie wypełniały tłumy wiernych, a wszyscy stali, z wyjątkiem kilku starowin. Z przodu znajdowało się miejsce zarezerwowane dla dostojników państwowych i personelu wojskowego. Za nimi tłoczyli się rzędami zwyczajni ludzie - kupcy, rzemieślnicy i chłopi - ścieśnieni jeden przy drugim, każdy z zapaloną świecą w ręku.

Wkrótce rozpoczęła się uroczysta msza. Za obrazem stał pop z diakonami, we wspaniałych błękitnych i srebrnych szatach z brokatu, na których widniały wyhaftowane złote krzyże. W prawej ręce trzymał olbrzymi krucyfiks, w lewej zaś - trzy świece. Diakon, wymachiwał przed ikonami kadzidłem, którego woń unosiła się nad głowami zgromadzonego tłumu. Na dźwięk katedralnych dzwonów, mężczyźni ustawieni pod kandelabrami podpalili lont łączący knoty setek świec. Wnet z jednej na drugą począł przeskakiwać płomień, aż cała konstelacja kandelabrów zajaśniała od świateł. Pop wraz z diakonami kontynuował swą natchnioną pieśń, a następnie ustawili się przy nawie - duchowieństwo z ikonami, krzyżami i chorągwiami - dalej miejscowi dostojnicy, oficerowie, żołnierze, a na ostatku natomiast pozostali wierni. Procesja, symbolizująca podróż kobiet z Jerozolimy do Świętego Grobu, obeszła katedrę dokoła

i weszła z powrotem do środka, gdzie nadal rozbrzmiewała pieśń popa, a na tradycyjne pozdrowienie "Chrystus zmarwychwstał" zgromadzeni odpowiadali: "Zaprawdę zmartwychwstał". Uradowani parafianie obejmowali się nawzajem i całowali. Potem pop i diakoni postąpili nieco do przodu, ludzie natomiast podchodzili, by ucałować krucyfiks. Do dwugodzinnej ceremonii wszyscy rozpierzchli się pospiesznie, wymieniając szeptem komentarze, plotki i żarciki.

Nazajutrz rano Chromow zaprosił Kuzmicza na świąteczne śniadanie w gronie rodziny. Niebawem salon aż pękał w szwach, z trudem mieszcząc blisko trzydziestu gości, głównie miejscowych kupców. Na środku świątecznego stołu stał duży baranek wielkanocny, wyrzeźbiony z masła, z zatkniętą chorągiewką, na której widniał krzyż. Dokoła w nieładzie leżały bajecznie kolorowe pisanki. Rozpoczęła się uczta. Na początek poszły z*akuski*, marynowane grzyby, rozmaite sałatki i kawior, by potem ustąpić miejsca rozmaitym kiełbasom i mięsnym smakołykom - jagnięciu, cielęcinie i całemu prosiakowi prosto z rusztu. Na deser zaserwowano olbrzymie lukrowane baby wielkanocne, przy czym nie skąpiono wódki ani wina. Dla Kuzmicza było tego za wiele.

W połowie biesiady, gdy większość gości była już na niezłym rauszu, wymknął się z izby, by pomedytować. Przeszkadzały mu w tym odrobinę pijackie śpiewy.

* * *

Wieczorne medytacje Kuzmicza przerwała wszelako pani domu, namawiając go, by przyłączył się do gości i opowiedział im o swoich przygodach. Zasypano go lawiną pytań o pobyt w Palestynie. "Jakie święte miejsca widzieliście? Gdzie mieszkaliście?" - i tak dalej i tak dalej. Kuzmicz próbował sprostać niełatwemu zadaniu. Czuł się zobowiązany, choćby tylko odpłacając się w ten sposób Chromowowi za jego gościnność. Najbardziej ciekawa jego opowieści była pani domu. - Jak to się stało, że znaleźliście się w Ziemi Świętej? - pytała.

- Przybyłem do Jaffy statkiem z Konstantynopola. Po kilku dniach zwiedzania miasta przyłączyłem się do grupy pielgrzymów, prowadzonej przez ojca Olega Korolanko z Kijowa, znanego ze swych studiów nad Pismem Świętym i wielu podróży do Palestyny. Na ogół pielgrzymi przybywali w łachmanach, boso, niosąc buty pod pachą. Wielu z nich należało do starowierców, którzy wyrzekli się tytoniu i alkoholu, a całe życie oszczędzali na taką pielgrzymkę. Z zasady, żebracy ci wyruszali z tobołkami na plecach i różańcami w rękach, by szukać przebaczenia niebios za swe grzechy. By dotrzeć do Jerozolimy, musieliśmy pokonywać olbrzymie dystanse podróżując na grzbiecie osiołka albo wielbłąda. Potem, trzy czy cztery mile, szliśmy wzdłuż pól uprawnych aż dotarliśmy do głębokiej doliny, skąd po raz pierwszy ujrzeliśmy Święte Miasto. W oddali majaczyły zwały ruin, a hen daleko za nimi kontury wałów fortecznych i wież. Cel naszej pielgrzymki - Jerozolima. Cóż za widok! Padliśmy na

kolana, całowaliśmy skalistą ziemię i śpiewaliśmy nasze piękne ruskie hymny. Potem legliśmy krzyżem w cichej medytacji, dziękując Panu Bogu za to, iż pozwolił nam zobaczyć owo święte miejsce.

- O, jaka szkoda, że mnie tam z wami nie było - wykrzyknęła Chromowa.

- Przeszedłszy jaką milę, dotarliśmy do Bram Dawidowych i znaleźliśmy się w samym sercu miasta. Zamieszkaliśmy w schronisku dla prawosławnych pielgrzymów, prowadzonym przez naszych mnichów. Nazajutrz poszliśmy zwiedzić cudowne miejsca, w których Jeremiasz i Izajasz głosili swoje proroctwa i gdzie wieki później Jezus nauczał, uzdrawiał i w końcu został ukrzyżowany. Obecnie w mieście nie sposób zliczyć wszystkich kramów i bazarów, należących głównie do Turków, Arabów i perskich kupców oraz rzemieślników.

- Czy żyje tam wciąż wielu chrześcijan prawosławnych? - pytał Chromow. - Jak im się wiedzie?

- Los tej niewielkiej grupy nie jest godny pozazdroszczenia. Niestety, muzułmanie traktują ich jak pogańskich intruzów. Ci biedni ludzie stali się celem nieustannych prześladowań. U stóp ołtarza próbują zapomnieć o swoich ofiarach i dotkliwej nędzy. Żyją w ciągłym strachu przed tureckim gniewem, szykanami, a niekiedy i śmiercią męczeńską. Jedynie obawa przed zbrojną interwencją naszego dobrego ojczulka, cara, protektora tych prawosławnych chrześcijan na mocy traktatu, powstrzymuje oprawców przed wygnaniem lub nawet wymordowaniem naszych braci.

- Jakie to smutne - wyszeptała Matriona. - Długo przebywałeś w Ziemi Świętej?

- W istocie, kilka lat pracowałem u mnichów, strzegących i zajmujących się Kościołem Świętego Grobu. Jako świecki brat, na początek dostałem pracę jako ogrodnik. Po trzech czy też czterech latach podupadłem na zdrowiu, i wówczas zostałem stróżem. Żyliśmy w ciągłym strachu przed tureckimi i arabskimi ulicznikami, którzy nachodzili nasz monastyr i próbowali wybić szyby, a nawet podpalić kościół.

- Okropność! Przecie to świętokradztwo - wykrzyknęła pani domu. - Dzięki Bogu, mamy naszego ojczulka, cara Mikołaja. Dzięki Bogu, ten ochroni naszych braci.

- Tak naprawdę, to muzułmanie nie są jedynym zagrożeniem dla naszych świętych miejsc. Kolejne stanowią katoliccy mnisi. Franciszkanie stale domagają się udziału w pilnowaniu miejsc świętych. Wielokrotnie podejmowali próby przejęcia Bazyliki Świętego Grobu. Kilka razy nasi bracia toczyli z nimi zacięte boje przy wejściu do świątyni. Jako oręża używano nawet drzewców, na których wisiały kościelne chorągwie. Rzecz jasna, miejscowy turecki gubernator nie posiadał się z radości. Interweniowała policja, a ofiary tych burd trzeba było zabrać do szpitala. Niektórzy umarli. Takie wydarzenia bardzo mnie przygnębiały. Nieustanne swary pomiędzy prawosławnymi i katolickimi gwardianami tych świętych miejsc to istotny skandal. To ohyda nad ohydami. Dają władzom tureckim pretekst, by interweniować..

- Jak tłumaczyć to skandaliczne zachowanie mnichów, którzy bądź co bądź mają świecić przykładem?

- Nie ma na to wytłumaczenia. Być może diabeł, który kusił Jezusa trzy razy na pustyni i poniósł porażkę, nadal wałęsa się po Ziemi Świętej i próbuje powetować sobie przegraną, przepełniając chrześcijańskie dusze pychą, małostkowością i nienawiścią.

- A jak Turcy traktują naszych? - spytał stary kupiec.

- Turcy wprowadzili zaiste bardzo, bardzo surowe rządy. Chrześcijanom zakazano budowy nowych kościołów. Nie wolno im też na głos śpiewać hymnów kościelnych, a modlić się mogą tylko w duchu, albo szeptem. Zobowiązani są zawsze okazywać muzułmanom szacunek. Gdy do izby wejdzie Turek, wszyscy innowiercy muszą wstać i złożyć mu pokłon. Jeżeli chrześcijanin zabije muzułmanina, czeka go śmierć. Jeżeli zaś muzułmanin zabije innowiercę, zapłaci niewielką grzywnę.

- A co się wam najbardziej podobało, mój drogi Fiodorze Pawłowiczu? - spytał Chromow.

- Największe wrażenie w Palestynie zrobiła na mnie Droga Krzyżowa, czy też *Via Dolorosa*, jak nazywają ją katolicy i protestanci. Dzisiaj jest to wąska, zatłoczona i hałaśliwa uliczka. Kupcy, żebracy i straganiarze nie baczą na pobożnych pielgrzymów, którzy często przemierzają Drogę Krzyżową na kolanach. A przecież szedł tędy Chrystus z krzyżem, stąpał po tych kamieniach. U kresu drogi czekała nań Golgota, czyli Wzgórze Trupiej Głowy. Dziś miejsce ukrzyżowania otacza Bazylika Świętego Grobu, którą opiekują się przede wszystkim nasi prawosławni mnisi.

- Dzięki Bogu, mamy naszych pobożnych i dzielnych mnichów! - skomentowała półgłosem pani domu, podając kolejną szklankę herbaty wyczerpanemu Kuzmiczowi.

- Kopułę bazyliki wybudowano z kamiennych bloków łączonych sztukaterią. Grobowiec podtrzymuje sześć pilastrów, oddzielonych arkadą, która tworzy kolistą galerię. Rzeczywisty Święty Grób stanowi niski marmurowy ołtarz, otoczony kwadratową kaplicą, również z marmuru, oświetloną niezliczonymi lampami olejnymi. Wewnętrzne ściany zdobią haftowane aksamitne draperie. Malowidło nad świętym kamieniem, przedstawia scenę Zmartwychwstania, zwycięstwo Naszego Pana nad śmiercią. Trudno opanować wzruszenie, jakie ogarnia człowieka na widok tego skromnego grobowca. Gdy weszliśmy na marmurową posadzkę bazyliki, widzieliśmy, jak chrześcijanie z Cypru i Abisynii leżeli krzyżem tuż obok pielgrzymów z naszego Kijowa, Tobolska, Nowogrodu i Tyflisu. Opuszczając to święte miejsce, powiedziałem sobie: Jak mam mówić o Jeruzalem? Ja, który swe najszlachetniejsze uczucia pozwalałem tłumić zbrodniom, uprzedzeniom i bezsensowności tego zepsutego świata.

Tu Kuzmicz urwał, a z jego oczu popłynęły łzy.

- Czy w Palestynie nadal mieszkają Żydzi? - spytał Chromow.

- Osiem czy dziewięć tysięcy wciąż zamieszkuje swą Ziemię Obiecaną. Odwiedziliśmy ich getto. Wąska i skalista droga, tonąca w brudach, o której można powiedzieć wszystko, tylko nie to że jest ulicą, oddziela dzielnicę żydowską

od reszty miasta. Blade i schorowane istoty, parają się drobnym handlem, rzemiosłem i wdają się w zwariowane religijne dysputy. Schodząc po obłupanych stopniach do piwinicy, niespodzianie zdaliśmy sobie sprawę, że to synagoga. Dziatwa w łachmanach słuchała, jak stary ślepy rabin opowiada o historii miasta, w którym ich przodkowie wznosili modły do Boga Izraela we wspaniałej świątyni Salomona, pod marmurowymi portykami i dachem wspartym na libańskich cedrach. W dniu naszego przyjazdu widzieliśmy, jak wszyscy żydowscy mężczyźni ze Świętego Miasta gromadzą się w dolinie Cedronu. Za odpowiednią opłatą turecki gubernator Palestyny zezwolił Żydom obchodzić tam święto grobowców. Tyle pozostało z tego wielkiego narodu.

- A nasi ludzie, nasi pielgrzymi - jak się odnoszą do Żydów?

- Nasi chłopi często są wobec nich surowi i pełni pogardy. Kiedyś widziałem, jak jeden z naszych pielgrzymów przystanął i zelżył Żyda. Twierdził, że kiedy przechodził *Via Dolorosa*, tamten mu ubliżył. Tak bardzo był uprzedzony do Żydów, że przeklinał całą ich rasę. Uważał, że nie są godni mieszkać na tej świętej ziemi. Później przyznał, że odczuwa do nich silną niechęć. Próbowałem wówczas przekonać go, że nie ma racji i powiedziałem: "Mój przyjacielu, kiedy przeklinasz Żydów, nie ma miłości w twym sercu. To też są stworzenia boże, tak jak my wszyscy, powinniśmy mieć dla nich miłosierdzie i modlić się, by się nawrócili. Wierz mi - twoja nienawiść bierze się stąd, żeś nie utwierdził się wystarczająco mocno w miłości do Pana Boga i nie pogodził się z samym sobą.

- A co na to twój chłop? - spytał Chromow.

- Nie chciał mnie słuchać i odszedł ciskając wyzwiskami.

Po chwili odpoczynku i kolejnym kubku herbaty, Kumzicz podjął wątek: - Po opuszczeniu bazyliki Świętego Grobu, udaliśmy się na Górę Kalwarii, pielgrzymi zaś poszli do tak zwanego pałacu Antonii czy też, jak kto woli, dawnego pałacu Piłata. To duży budynek, nad którym wznosi się wieża. Pozwolono nam wejść na taras, skąd zobaczyliśmy olbrzymi plac, na którym niegdyś stała świątynia Salomona. Niestety, w jej miejscu znajdują się obecnie dwa duże meczety. Muzułmianie głoszą pogląd, że prorok Mohamet wstąpił do niebios na białym skrzydlatym koniu z twarzą kobiety. Wierzą również, że powróci do Jerozolimy w Dniu Sądu Ostatecznego, a towarzyszyć mu będą Jezus Chrystus i Abraham. W dolinie Jozafata, Mohamet sądzić będzie wszystkie zmartwychwstałe i zgromadzone tam dusze świata.

- O, jak cudownie jest słuchać słów świętego człowieka jak wy, Fiodorze Pawłowiczu. Nigdy nie słyszałam tak wzruszającej opowieści - mówiła półgłosem pani domu. - Proszę, mówcie dalej, mówcie dalej.

- Płonię się ze wstydu, gdyż nie jestem w stanie oddać w mojej skromnej i nieudolnej relacji owego cudownego uroku, jaki wywarło na mnie Święte Miasto. Pozwólcie, że chwilę wypocznę zanim podejmę mą opowieść...

* * *

Świtało już, gdy Kuzmicz kończył gawędę o swych podróżach po Ziemi Świętej. Goście, którym kleiły się oczy, powoli zaczęli opuszczać rezydencję Chromowa. Kiedy zostali sam na sam, pan domu zapytał Kuzmicza: - Dlaczego wróciliście do Rosji?

- Nostalgia, mój drogi przyjacielu, nostalgia. Palestyna to piękna i święta ziemia, ale nasza Rosja również. Po kilku latach spędzonych w tej małej, pustynnej krainie, moja porywcza rosyjska dusza zatęskniła do naszych bezkresnych przestrzeni, naszych śniegów i deszczów oraz przepastnych, zielonych borów...

- Ale dlaczego chcieliście osiedlić się właśnie na Syberii?

- Syberia to także część naszej ukochanej ojczyzny. Miałem nadzieję znaleźć tutaj spokojne miejsce do modlitwy i medytacji. Pomożecie mi w tym?

- Niechaj no pomyślę. Muszę się z tym przespać... Już bardzo późno. Jutro o tym porozmawiamy. Dobranoc, Fiodorze Pawłowiczu. Dobranoc. Wielkie dzięki za cudowne opowieści. Serdeczne dzięki. Śpij dobrze.

N

V Nazajutrz Kuzmicza zdumiała uprzejma prośba gospodarza, by jeszcze raz opowiedział swoją historię, tym razem gronu około pięćdziesięciu innych osób, których nie było u Chromowa w pierwszy dzień Wielkiejnocy. Potem przyszedł trzeci dzień świąt; głośno było niczym w ulu, a wódka lała się strumieniami. I tym razem nie mógł odmówić. Jednak, im bardziej towarzystwu kurzyło się ze łbów, im bardziej stawało się nieznośne, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że nie może żyć pośród takich ludzi. Wszak przybył na Syberię w poszukiwaniu odosobnienia i spokoju, tutaj zaś oblegała go chmara natrętów, wypytująca o najdrobniejsze szczegóły z jego wędrówek.

Wieczorem, trzeciego dnia, Kuzmicz czuł się skrajnie wyczerpany, przeto jeszcze raz pokornie poprosił Chromowa, by ten pomógł mu w znalezieniu jakiegoś miejsca na odludziu, gdzie mógłby się modlić, medytować i studiować Pismo Święte.

- Dobrze, wpierw jednak powiedz mi, dlaczego chcesz żyć w samotności. Odosobnienie to tyle co leniuchowanie, zbijanie bąków. Matka zawsze uczyła mnie, że lenistwo to grzech.

- Kto żyje w odosobnieniu wcale nie próżnuje. Działalność pustelnika należy do działalności wyższego rzędu. Oddaje się kontemplacji, rozmyślając nad marnością ludzkiego istnienia. Kontemplacja zaś to prawdziwy cel ciszy! Odosobnienie i cisza niezbędne są do modlitwy, umartwianie się natomiast przygotowuje naszą duszę do pokuty za grzechy.

- Dobrze, jeśli się upierasz, pokażę ci miejsce, gdzie możesz być panem samego siebie.

W milczeniu Chromow poprowadził gościa jakie pół mili w głąb lasu, otaczającego jego rezdencję i wskazał mu drewniany domek kryty strzechą.

- Możesz sobie tutaj zamieszkać - powiedział. - Ta stara chata należała niegdyś do człowieka z lasu. Wprawdzie na pałac jej nie przebudujesz, ale to za-

wsze jakiś dach nad głową. Możesz tu zostać jak długo zechcesz. Jedzenia nam nie brak, więc i dla ciebie starczy. Nieopodal masz strumyk, a w nim pełno ryb - jeśli tylko lubisz łowić.

- Jak mam ci dziękować, mój drogi przyjacielu. Odwzajemnić ci się mogę tylko modlitwą za ciebie i twoją rodzinę.

- I to wystarczy. Jestem marnym grzesznikiem, a twoich modłów potrzebuję bardziej niż czegokolwiek innego. Zostań tutaj z Bogiem, i przestań mi dziękować. To ja jestem ci dłużny - za twoje opowieści i modlitwę.

Tego samego ranka, Kuzmicz przeniósł do chaty cały swój dobytek: torbę z kilkoma ubraniami i parę książek. Tak oto rozpoczął się kolejny etap w jego życiu.

* * *

W swej chacie prowadził Kuzmicz prosty żywot pustelnika. We wszystkim ograniczał się do minimum: ot, kęs jadła, kawałek łacha na grzbiet, absolutna wstrzemięźliwość. W jednej izbie stały stół i krzesło, na stole leżała Biblia, ołówek i trochę papieru. W kącie trzymał dużą glinianą miskę, a także gliniany dzbanek do polewania się wodą. W łóżku, zamiast materca, znajdowały się drewniane listwy, ciężkie watowane koce i wypchana słomą poduszka. Podobnie jak inni syberyjscy chłopi, zimą ubierał wysoką futrzaną czapę, ciężkie futrzane palto oraz grube, wysokie po kolana boty z cholewami. Letnią odzież stanowił ręcznie tkany chłopski chałat z szorstkiego płótna, długi do kolan i przewiązany w pasie zwykłym sznurkiem. Uzupełnieniem tego odzienia była para płóciennych spodni i buty z łyka. Dzienne wyżywienie składało się z bochenka chleba podzielonego na części: jedna na śniadanie, druga na obiad i trzecia na kolację. Tę skromną dietę uzupełniały okazjonalne dary od Chromowej: mleko, ser, grzyby, jajka lub ryby. Pustelnik odmawiał jedzenia mięsa. Swój skromny przybytek opuszczał jedynie wtedy, gdy udawał się na niedzielną mszę.

Po kilku miesiącach życia w samotności, Kuzmicz stał się przedmiotem krążących po mieście opowieści o dziwnym pustelniku. Znęceni sławą, jaką zdobył sobie barwnymi relacjami o Ziemi Świętej, ściągali doń w odwiedziny najrozmaitsi ludzie, głównie zaś ubodzy, chorzy i wędrowcy. Zapytany przez Chromowa, dlaczego złamał śluby, iż będzie wiódł żywot pustelnika, Kuzmicz odparł: - Gościnność to również rodzaj miłosierdzia. Święty Benedykt zapisał w swojej regule, iż mnisi z jego zakonu winni przyjmować pod swój dach obcych przybyszów tak, jakby był to sam Chrystus. Nie ma gościnności połowicznej. Nie wystarczy bowiem dzielić się z przybyszem chlebem, choć pierwszą rzeczą, jaką zwykle mu się proponuje jest jedzenie. Bóg przychodzi do nas pod postacią chleba. Winno się przeto dzielić także nauką Pana...

Jako że Kuzmicz istotnie dzielił się wszystkim ze swymi gośćmi, nie prosząc o nic w zamian, w przeciągu kilku lat zasłynął w całej zachodniej Syberii jako

"święty starzec z Tomska", zawsze skory poratować bliźniego jadłem i radą. Dzięki pewnemu osobliwemu wydarzeniu zyskał sobie również miano uzdrowiciela. Otóż, którejś nocy miejscowy kupiec zapukał do jego drzwi, błagając: - Proszę, pomóżcie! Moja żona jest w poważnym kłopocie.

- A cóż takiego się stało?

- Pomyłkowo, nasz kucharz usmażył piątkową rybę w tranie, którego ona nie znosi. Zakrztusiła się biedaczka, a ość utkwiła jej w gardle.

- Ale ja nie jestem lekarzem.

- Jesteś jednak świętym człowiekiem. Pomóż mojej żonie, módl się za nią. Jesteś bożym człowiekiem, zawsze pomagasz bliźnim, Wszechmogący ciebie wysłucha.

Po chwili zastanowienia i żarliwej modlitwy Kuzmicz rzekł: - Mówiłeś, że nie znosi tranu, tak? Że już sam zapach jest jej wstrętny. A więc, każ jej wypić łyżeczkę. To wywoła u niej mdłości, zwymiotuje i ość wyjdzie. Tran złagodzi też ranę w gardle i żona wkrótce wyzdrowieje.

- Ale jak kazać jej wypić tran, skoro nie lubi. Ma majaki, spuchło jej gardło, i okropnie się dławi!

- Użyj siły, jeśli trzeba. Przytrzymaj ją, wlej do gardła tran i każ połknąć.

Kupiec zrobił, jak mu kazano. Nalał tranu do szklanki i zmusił jęczącą żonę, by połknęła jej zawartość. I faktycznie, kobietą natychmiast poczęły targać gwałtowne torsje i ość wypadła sama. Po pół godzinie kupcowa poczuła się lepiej. Wieść o tym rozniosła się po okolicy, a ludzie zaczęli uważać Kuzmicza za świętego cudotwórcę. Z odległych siół ciągnęły doń rzesze wieśniaków ze swymi kłopotami. Przynosili mu prezenty i pieniądze, okazując najgłębszy szacunek. Przyjmował ich dary przez jakiś rok, aż pewnego razu sumienie nakazało mu rozdzielić pieniądze pomiędzy miejscowych nędzarzy. I tak jednak nękała go myśl, że pycha zniszczy nie tylko jego spokój ducha, ale również całe życie duchowe. Jedyne pocieszenie znajdował w tym, że na drodze swego moralnego rozwoju pomaga bliźnim.

* * *

Pewnego styczniowego wieczora, gdy właśnie układał się do snu, usłyszał pukanie do drzwi. Przez chwilę nie miał pewności, czy to już sen czy jeszcze jawa, ale ponowny hałas wyrwał go na dobre z objęć morfeusza. Wtenczas pukanie powtórzyło się, a jakiś przerażony kobiecy głos błagał: - Otwórzcie, na rany Chrystusa, wpuśćcie mnie. Zagubiłam się. Przemarzłam do kości. - Kuzmicz wstał i wyjrzał przez okno. W śniegu, w nocnym mroku, dostrzegł kobietę w ciężkim futrzanym palcie i czapce, spod której wyzierała przerażona twarz.

- Otwórzcie drzwi - krzyczała. - Proszę, pomóżcie. Błagam. Zimno mi.

Nałożył futro i poszedł otworzyć. Śnieżyca wymiotła tumany śniegu ze ścieżki prosto do sieni. Do chaty weszła młoda kobieta, otrząsnęła śnieg z butów i poczęła nerwowo rozcierać zmarznięte dłonie. - Kim jesteście? Czego chcecie?

- Zabłądziłam - powiedziała.

Stała przez chwilę na środku pokoju, a topniejący śnieg skapywał z jej długiego bobrowego futra. Następnie zsunęła je z siebie i zdjęła czapkę, skrywającą jej włosy, oraz wełniany szalik, owinięty dokoła szyi. Kuzmicz ujrzał wysoką, nadobną niewiastę około trzydziestki, ubraną w przepyszną jedwabną orientalną suknię. Z miejsca wydała mu się niezwykle ponętna. Gdy skrzyżowali spojrzenia, jej promienna osobowość urzekła go. Spostrzegła to i uśmiech zagościł na jej ustach.

- Proszę wybaczcie, że zakłócam wam wasz sen, ale sami widzicie, w jakim się znalazłam położeniu. Sanie zboczyły z drogi, i tak oto wpadłam na waszą chatę. - Z uwagą przyglądała się jego kręconym, siwym włosom dokoła łysiejącej głowy, oraz śnieżnej brodzie, podziwiając doskonały kształt jego nosa oraz błękitne oczy. To wszystko razem było dla niej pewną zagadką. Człowiek o tak szlachetnych rysach w chacie na odludziu? Jakie to osobliwe znaleźć w syberyjskich ostępach tak arystokratycznie wyglądającą postać.

- Może usiądziecie? - zaproponował zmieszany, podprowadziwszy ją do jedynego krzesła zbie. Doszedł go szelest jej jedwabnej sukni i silna woń egzotycznych perfum. Znowu poczuł jakiś dziwny pociąg do tej młodej kobiety. Zakręciło mu się w głowie.

O, Panie, pomóż - modlił się w duchu - pot oblewa całe me ciało. Co mam czynić? Nie wiem co się ze mną dzieje.

Choć szybko doszedł do siebie, jego twarz stała się trupio blada i nie mógł opanować drżenia rąk. Wpatrując się w młodą niewiastę, wymamrotał: - Czego chcecie ode mnie o tak późnej porze?

- Jestem Tamara Simiczowa. Przybywam z Moskwy, by odnaleźć męża mego, Iliariona Pietrowicza. Mieliśmy karczmę w Moskwie i przez sześć lat żyło nam się szczęśliwie z naszą trójką dzieci. Pewnego dnia pojawiła się Cyganka, proponując, że powróży każdemu z gości za srebrnego rubla. Mój mąż był jednym z tych naiwnych, którzy jej zaufali. Oglądając jego dłoń, wykrzyknęła: "Twoja przyszłość znajduje się daleko, daleko, na wschodzie, głęboko zakopana w ziemi. Musisz szukać złota na Syberii!" Potem zaczęli szczebiotać, pić i szeptać - musiała rzucić jakiś urok na niego bo już po kilku dniach uciekł ode mnie. Stało się to w czerwcu. Na Boże Narodzenie napisał z Tomska do swego brata. Dlatego myślę, że musi tu gdzieś być. Dzieci zostawiłam u matki i pojechałam do Orenburga dyliżansem. Stamtąd przyjechałam tutaj saniami, ale nocą złapała nas śnieżyca i mój woźnica zabłądził. Teraz czeka na zewnątrz, zmarznięty i przerażony, jak i ja. Moglibyście go także wpuścić? Jemu też potrzeba odpoczynku i ciepła.

- Jak mam wam obojgu pomóc? Mam tylko tę jedną izbę, no, i niewielki, wąski przedsionek. Może ulokuję woźnicę w przedsionku i a sam położę się koło niego, wy zaś odpocznijcie na łóżku. Obawiam się jednak, że jest tak twarde, że nie będzie wam w nim wygodnie. Rankiem musicie odjechać.

- Jestem tak wyczerpana, że wszystko mi jedno, gdzie będę spać... Jestem wam niezmiernie wdzięczna za waszą gościnność.

- Ale musicie obiecać, że o świcie wyjedziecie.

- Napewno. Lecz musicie pomóc mi odnaleźć męża. Zdaje się, że mieszkacie tutaj już szmat czasu, zapewne znacie wielu ludzi. Może któryś z waszych przyjaciół spotkał kupca z Moskwy, wysokiego na sześć stóp, z krótką rudawą brodą. Poszukuje złota z młodą, mniej więcej dwudziestoletnią Cyganeczką.

- Możemy o tym pomówić jutro. Zrobię wam herbaty i dam resztkę czarnego chleba. Niestety, nie mam cukru. Potem idźcie spać, odpocznijcie.

Kuzmicz gotował wodę i kroił chleb, Tamara zaś odpoczywała, bacznie mu się przyglądając. Jego piękne rysy i dworskie maniery intrygowały ją coraz bardziej. Ciepłe powietrze w izbie przepełniało ją uczuciem błogości. Po wypiciu dwu kubków herbaty, zdjęta ciekawością zaczęła go wypytywać.

- Co robicie w tej dziczy? Może jesteście jednym z tych oficerów, którzy zbuntowali się przeciwko naszemu dobremu carowi Mikołajowi, za co zesłano was na Sybir?

- Madame, jestem zbyt zmęczony i senny, by rozprawiać z tobą o mojej przeszłości i twoich planach poszukiwania męża. Wiodę żywot pustelnika, spędzając czas na modlitwie. Może jeszcze herbaty i chleba?

Ale Tamara nie dawała za wygraną. Tajemniczy i szlachetny gospodarz fascynował ją coraz bardziej. Przeniosła się zatem z krzesła na łóżko, tuż obok Kuzmicza. - Zdaje się, że niewiele obchodzi cię mój los i poszukiwania. Nie chcesz zrozumieć mego położenia. Moje serce jest takie samotne i przestraszone. Zobacz sam jak szybko bije.

Kuzmicz nie rzekł ani słowa; czuł się jeszcze bardziej zażenowany. Ciszę przerwało jedynie chrapanie woźnicy, śpiącego w przedsionku pod własnym futrem. Tamara przylgnęła do Kuzmicza, szepcząc: - Jestem taka samotna, taka samotna. - Chwyciła jego prawą dłoń i przyłożyła do swej piersi. - Czujesz jak bije mi serce, jak łaknie współczucia.

Kuzmicz nie mógł opanować wzburzenia, poczuł bowiem, że od dawna dławiona namiętność wymyka się spod jego kontroli. Tamara jeszcze mocniej wtuliła się w jego ciało. Następnie wzięła jego lewe ramię i objęła nim swoją kibić. Usta swoje przycisnęła do jego ust. - Mój Boże - jęczał Kuzmicz - obroń mnie przed moją własną chucią.

- Nie bądź taki nieśmiały - szepatała Tamara. - Zlituj się nad moją samotnością. Pop z mojej parafii, ojciec Iłarion, zwykł mawiać, że uścisk świętego człowieka dobrze robi nie tylko ciału, ale i duszy. Całuj mnie, całuj.....

* * *

Po wizycie Tamary, Kuzmicz narzucił sobie jeszcze ostrzejsze rygory. Odmawiał sobie wszystkiego co uznał za zbyteczne, a w końcu doszedł do tego, że zadowalał się wyłącznie czarnym chlebem, herbatą, rybą i zupą jarzynową.

Wszystkie inne produkty, jakie otrzymywał: miód, cukier, mleko i jaja, rozdawał miejscowym ubogim i wędrownym żebrakom. Coraz więcej czasu spędzał na modlitwie i medytacji.

Mijały lata, monotonne i nudne; po zimach ze śnieżycami i górami śniegu tudzież wilkami grasującymi po tomskiej okolicy, nadchodziły pochmurne lata oraz wiosny i jesienie tonące w morzu błota. Wyjąwszy niewielką grupę dostojników i bogatych kupców, większość mieszkańców Tomska nadal żyła w brudzie i ubóstwie, jedyną rozrywkę znajdując w religijnych obrzędach i pijackich biesiadach podczas świąt. Tymczasem w całym regionie rosła sława Kuzmicza jako uzdrowiciela bożego i cudotwórcy, zwłaszcza po tym, jak wyleczył dwunastoletniego chłopca, któremu po upadku sparaliżowało rękę. Zatroskana matka przywiozła syna z Omska i zaprowadziła go do zakłopotanego Kuzmicza. Wpierw odmówił interwencji, tłumacząc, iż brak mu doświadczenia, gdy jednak klęknęła przed nim, błagając o pomoc, zgodził się położyć dłonie na skroniach chłopca i odmówić błogosławieństwo zalecane w takich wypadkach przez pewnego mnicha z klasztoru na Górze Atos, którego był napotkał w drodze z Ziemi Świętej. Jako że nie dało to oczekiwanego rezultatu, nakazał matce masować rękę chłopca trzy razy dziennie, podając mu przy tym sok ze świeżych jagód do każdego posiłku. Po kilku miesiącach Kuzmicz otrzymał list, w którym wylewnie dziękowano mu za "cudowne uzdrowienie". Ponownie poczuł się zaskoczony i zakłopotany. - Ja tylko się modlę. To Wszechmogący uzdrawia - powtarzał w kółko wdzięcznym rodzinom, które obsypywały go prezentami i pochwałami.

Kuzmicza tak bardzo pochłonęła działalność charytatywna, że nie zwracał najmniejszej uwagi na wydarzenia polityczne i zachodzące dokoła głębokie zmiany. Kiedy w roku 1861 dotarła do Tomska wieść, że syn i następca cara Mikołaja, Aleksander II wyzwolił pańszczyźnianych chłopów, miasto ogarnęła fala dyskusji. Na Syberii żyło niewielu chłopów pańszczyźnianych, na ogół byli to słudzy wysokich dostojników państwowych i bogatych kupców. Ściśle rzecz biorąc, prawdziwymi niewolnikami byli uciekinierzy, którzy zbiegli od okrutnych panów. Kuzmicz, wszelako, nie wdawał się w te dysputy. Rzekł tylko: - Zawsze uważałem, iż jest rzeczą niemoralną, by jeden człowiek zniewalał drugiego. Bóg stworzył nas jako dzieci Swoje, tak więc Ojciec Niebieski kocha nas wszystkich jednako.

Po uzdrowieniu chłopca z Omska, przybytek Kuzmicza zalała istna powódź chłopów szukających pomocy, przez co coraz mniej czasu pozostawało mu na modlitwę i medytację. Do jego duszy poczęły wkradać się wątpliwości co do sensu niektórych poczynań. Niekiedy przyrównywał się do żywego źródła, które niegdyś tryskało radośnie, a po którym obecnie pozostała tylko strużka. Czy dlatego porzucił modlitwę, a zajął się uzdrawianiem, że wbijało go w pychę?

"Kiedyś byłem szczęśliwym pustelnikiem, dzisiaj zaś udaję boskiego uzdrowiciela. Jestem zwykłym szarlatanem - myślał - Panie, pomóż mi w moim nieszczęściu". - Innym razem, kiedy czuł wewnętrzne zadowolenie z dobrych uczynków, zmieniał zdanie. "Może wolą boską jest, bym nie był pustelnikiem,

lecz ostatnie lata życia poświęcił służbie bliźniemu. Może to z woli boskiej tylu ludzi przychodzi do mnie po pomoc?"

Jeszcze mocniej utwierdził się w tym przekonaniu po wizycie w miejscowej katedrze podczas świąt Bożego Narodzenia. Tomsk leżał na jednym z najważniejszych szlaków, którymi skazańców i zesłańców politycznych transportowano do miejsc jeszcze odleglejszych, jak Kołyma, Magadan czy Sachalin. Po odkryciu złóż mineralnych na Syberii, rząd zdał sobie sprawę, że skazańcy mogą okazać się przydatni jako siła robocza w kopalniach żelaza na zboczach Uralu i kopalniach złota w Kołymie. Kiedy w 1753 roku cesarzowa Elżbieta zniosła karę śmierci, zbrodniarzy skazywano na zsyłkę i dożywotnie ciężkie roboty na Syberii. Pod koniec XVIII wieku zakazano również okaleczania jako kary, zastępując je tymczasową zsyłką.

Budowa więzień stanowiła kosztowne przedsięwzięcie, zesłanie natomiast nie nadwyrężało rządowego budżetu. Z przyczyn politycznych, a także za użycie przemocy, wysyłano ludzi w coraz to dalsze, bezkresne regiony zamarzniętej dziczy. Karę tę stosowano nawet za pomniejsze wykroczenia, takie jak przepowiadanie przyszłości, boks, zażywanie tabaki, a niekiedy nawet za żebranie przed gmachem użyteczności publicznej.

Za panowania Katarzyny II, kiedy to znacznie wzrosło zapotrzebowanie na siłę roboczą w kopalniach, lista przewinień podlegających karze zsyłki wzrosła trzykrotnie. Zsyłano na Syberię chłopów za scinanie drzew lub za opieszałość, podoficerów za niesubordynację, pijaństwo i rozmaite inne występki. Żydów zsyłano, gdyż nie płacili podatków lub pod jakimkolwiek innym pretekstem, byle tylko wycisnąć z nich jaki okup albo łapówkę. Znacznie wzrosła także liczba <złoczyńców>, którzy stracili polityczne łaski. "Syberia - to miejsce, gdzie Rosja ukrywa swoje grzechy" - pomyślał Kuzmicz.

Zesłańców przewożono z reguły w dużych konwojach, niczym stado bydła, nie zapewniając im należytego prowiantu na drogę. W początkach XIX stulecia zaradził temu energiczny i niezwykle skrupulatny car Mikołaj I. Wydał on ukaz, zgodnie z którym zesłańcy otrzymywali dowody tożsamości, zawierające imię, miejsce urodzenia, okres, na jaki więzień został zesłany oraz miejsce zsyłki. Wzdłuż najważniejszcyh tras co mniej więcej dwadzieścia mil budowano komisariaty. Zesłańców dzielono na trzy kategorie: katorżników, kolonistów karnych, i "zesłanych na mocy zarządzenia administracyjnego". Do tej ostatniej kategorii zaliczali się na ogół więźniowie polityczni, z których ponad połowa nie miała procesu, a na Syberię jechała na mocy zarządzenia ministra spraw wewnętrznych lub jakiegoś pomniejszego miejscowego oficjela - z powodu bliżej nieokreślonych działań wywrotowych lub też kaprysu jakiegoś urzędnika policji lub żandarmerii.

Tomsk stanowił jedną z wielu takich stacji, gdzie konwoje ze skazańcami zatrzymywały się na postój. Kuzmicz nieraz widywał niekończące się korowody więźniów, ze skutymi nogami, brnących w śniegu lub błocie, pod strażą żołnierzy uzbrojonych w pistolety i nahajki. Podobne sceny wyciskały łzy z jego oczu, postanowił więc, że zrobi co w jego mocy, aby dopomóc skazańcom. Kuzmicz cieszył się tak wielkim autorytetem moralnym, że gdy prosił naczelnika

tomskiej policji, żeby informował go o planowanych przejazdach kolumn ze skazańcami, ten nigdy mu nie odmawiał. Na krótko przed przyjazdem konkretnej kolumny, Kuzmicz czekał już na zachodnim krańcu miasta z całym szeregiem rozmaitych artykułów, mających ulżyć doli skazańców: słoikami dżemu, wyrobami tytoniowymi, torebkami cukru i soli.

Wielu więźniów znajdowało się w tak złym stanie, że nie mogli kontynuować podróży i należało ich odstawić do miejscowego szpitala. Kuzmicz odwiedzał ich tam, rozdając drobne podarki, głównie żywność, jaką otrzymał był na znak wdzięczności za swe miłosierne czyny. Przerażała go obojętność owej garstki lekarzy i pielęgniarek zajmujących się setkami schorowanych pacjentów, cierpiących najczęściej na: szkorbut, tyfus, bronchit, reumatyzm i syfilis. Nigdy przedtem nie widział twarzy tak wynędzniałych i zbolałych, jak te, leżące na otłuszczonych, szarych poduszkach w owych szpitalnych celach. Panował w nich zaduch, w powietrzu zaś unosił się odór potu i smród ekskrementów. Nic też dziwnego, że umieralność w każdym konwoju wynosiła od 20 do 40 procent.

Cała ta działalność charytatywna nie zadowalała Kuzmicza, pragnącego jeszcze ofiarniej służyć swym bliźnim. Po porannej modlitwie i śniadaniu, z reguły zwykłej pajdzie czarnego chleba i kubku niesłodzonej herbaty, przyjmował grupy pielgrzymów, którzy niemal codziennie przychodzili doń ze swymi problemami. Dla człowieka grubo po siedemdziesiątce była to niezmiernie wyczerpująca praca, jednakże starał się jej podołać na tyle, na ile pozwalały na to opuszczające go siły. W niektóre dni przyjmował aż pięćdziesiąt - sześćdziesiąt osób, wysłuchując ich narzekań i służąc radą w sprawach zdrowia, rodziny i rozterek duchowych.

Mijały lata. Siwa broda Kuzmicza zrobiła się biała jak śnieg, a i włosy znacznie się przerzedziły. Chodził ciężko, podpierając się laską, wszelako stawał się coraz bardziej aktywny. Pewnego razu otaczało go aż dziewięćdziesięciu petentów, błagając o pomoc. Gdy próbował się wymówić, rozlegało się wołanie: "Na miłość Boską, Ojczulku, nie zostawiaj nas!" Wśród tej ciżby znajdowało się wiele niewiast, które wędrowały od jednego pustelnika do drugiego. Kuzmicz znał ten rodzaj nienasyconych, rzekłbyś, nałogowych pielgrzymów. Dotyczyło to także starców, których przycisnęła bieda, a którzy nie stronili od kieliszka, wędrujących od monastyru do monastyru tylko po to, by dostać odrobinę ciepłej strawy albo jakie miejsce do spania na noc lub dwie. Przychodziły też wieśniaczki ze swoimi kłopotami: jak wyjść za mąż? jak wydać córkę? jak kupić kawałek ziemi? co zrobić z mężem pijakiem lub okrutnikiem? co począć z nieślubnym dzieckiem? Kuzmicz wiedział, że niewiele może im pomóc, ale zawsze robił co mógł.

Pod koniec jednego z takich wyjątkowo męczących dni Kuzmicz zasłabł. Do jego chaty zaniosło go dwu silnych chłopów, którzy szczęśliwym trafem znaleźli się pośród tłumu, jaki przyciągnęła sława "cudotwórcy". Położyli go do łóżka. Lekarz wezwany z miejscowego szpitala kazał mu odpoczywać przez kilka dni, jeść bardziej suto i pić mleko z miodem. - Jesteście wyczerpani. Musicie bardziej dbać o swoje zdrowie - przestrzegał.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest - mamrotał Kuzmicz, choć tym razem czuł, że poważnie nadwyrężył swoje siły.

* * *

Pod koniec stycznia 1864 roku Kuzmicz był już bardzo chory. Nie mógł spożywać treściwych pokarmów, żywiąc się jedynie mlekiem i wodą. Aczkolwiek słabł w oczach, trzeźwy umysł zachował aż do samego końca. 1lutego w nocy obudził się, wsparł na łóżku, i rzekł do Chromowej, która go pielęgnowała: - Mój koniec jest już bliski. Proszę, wezwijcie popa. - Zaalarmowany przez żonę Chromow pojawił się w jego chacie i uklęknął przy łóżku chorego. Kuzmicz co chwila poruszał wargami, jakby się modlił po cichu. Pod wieczór Chromow spostrzegł, że chory jest już u kresu sił: z ledwością oddycha i straszliwie cierpi; mimo to, z jego ust nie wyrwała się ani jedna skarga. Na wieść o tym, że życie świętego starca dobiega końca, ludzie tłumnie przybyli do jego chaty na modlitwę. Gdy Chromow czynił znak krzyża na czole umierającego, Kuzmicz wyszeptał: - Mam tu pewien ważny dokument, który pragnę powierzyć twej pieczy. Jestem zbyt słaby, aby podnieść głowę, ale pod moją poduszką znajdziesz rękopis. To mój pamiętnik. - Spod wypchanej słomą poduszki Chromow wyciągnął gruby plik papierów. Na okładce widniał napis: "Dziennik Fiodora Kuzmicza". Pod nim na czerwono dołączono uwagę: "otworzyć dopiero pięćdziesiąt lat po mojej śmierci".

- Moją ostatnią wolą jest - szeptał Kuzmicz - abyś poprzysiągł, że będziesz wiernie strzegł tego dziennika i wręczysz go - zapieczętowany - Jego Cesarskiej Mości. Nie pokazuj go nikomu innemu.

Następnie dłoń, którą chciał wykonać znak krzyża nad głową Chromowa, opadła bez czucia. Kiedy przybył pop, aby wysłuchać ostatniej spowiedzi, Kuzmicz leżał już zimny i sztywny. Jego ciało pochowano na terenie Monastyru Bogorodicko-Aleksiejewskiego w Tomsku, 4 lutego 1864 roku. Na grobie postawino prosty krzyż z napisem: "Tutaj leży ciało Błogosławionego Ojca, Fiodora Kuzmicza".

ROZDZIAŁ XIX

Epilog

Zanim Chromow zdołał wypełnić ostatnią wolę Kuzmicza, urzędnik oddelegowany przez generała gubernatora zachodniej Syberii, Meszczerinowa, skon-

fiskował cały dobytek zmarłego, w tym także dziennik. Rękopis opieczętowano i odesłano do Petersburga, gdzie znajdował się w osobistych archiwach Romanowów aż do Rewolucji Bolszewickiej w listopadzie 1917 roku.

Komunistyczne władze, pałające żądzą skompromitowania carskiego reżimu, opublikowały wiele dokumentów, przedstawiających dawne cesarstwo w niezbyt korzystnym świetle. Przeprowadzenie wstępnej selekcji tej całej masy akt powierzono w 1918 roku Feliksowi Dzierżyńskiemu, szefowi Nadzwyczajnej Komisji do Zwalczania Kontrrewolucji, bardziej znanej pod rosyjskim akronimem *Czeka*. Jej szef zwykł nazywać swoją organizację "oczyma, uszami i uzbrojoną pięścią proletariackiej rewolucji". Sam zajęty tropieniem i wykańczaniem zarówno rzeczywistych, jak i urojonych wrogów, Dzierżyński zlecił zadanie wyselekcjonowania materiałów kompromitujących carską przeszłość jednemu ze swych sekretarzy, wydalonemu ongi z wydziału historii Uniwersytetu Moskiewskiego.

Sekretarz poważnie zabrał się do dzieła, i gdy tak zagłębiał się w sterty papierów, coraz bardziej fascynowała go ich treść. Wszelako, zadanie było tak czasochłonne, że nie wystarczyłoby na to nawet dwunastogodzinnego dnia pracy. W rezultacie, selekcję przeprowadzono pobieżnie, po łebkach. Jednak gdy doszedł do grubego tomu ledwie czytelnych zapisków Fiodora Kuzmicza, zaintrygowały go one na tyle, że zaczął czytać nawet całe ustępy. Wiedząc, iż Dzierżyński lubuje się w pamiętnikach historycznych, młody człowiek zaniósł dziennik swemu szefowi i zameldował: - Towarzyszu komisarzu, wśród carskich dokumentów, znalazłem interesujący materiał, pełen rewelacji. Znacie, zapewne, te niesamowite legendy i sensacyjne pogłoski związane z Fiodorem Kuzmiczem....

- Pamiętam, że słyszałem na jego temat jakieś niestworzone brednie, ale w nie nie wierzę. W dziejach Rosji aż roi się od takich samozwańczych oszustów, awanturników i szarlatanów.

- Ale ten Kuzmicz to niezwykła, charyzmatyczna postać, uzdrowiciel Pański, niektórzy sądzą nawet, że cudotwórca, towarzyszu sekretarzu.

- Ach tak, więc wy, postępowy i wykształcony człowiek, bolszewik, w duchu jesteście zabobonnym chłopem! - ryknął Dzierżyński. - Nie wstyd wam? Mieliśmy już dość uzdrowicieli i cudotwórców, takich jak Rasputin. My, komuniści, przejęliśmy władzę po to, żeby zapewnić Rosji wystarczająco liczny, dobrze wyszkolony personel medyczny, by nasz naród mógł obejść się bez szamanów, szarlatanów, uzdrowicieli i czarowników.

Ledwie zerknąwszy na rękopis, Dzierżyński wrzucił go do kosza, sekretarz zaś powrócił do dalszych poszukiwań materiału, jakiego zażądał redaktor *Czerwonego Dziennika*, gazety założonej przez nowy rząd po to, by lżyła to, co stare, ujawniając potajemnie zawierane traktaty oraz polityczne intrygi.

Nastały trzy straszne lata wojny domowej. Jak we wszystkich tego rodzaju konfliktach nie obeszło się bez aktów bestialstwa i okrucieństwa. Mściwa nienawiść uczyniła najpierwszą zasadą Dzierżyńskiego maksymę: "dwoje oczu za oko, wszystkie zęby za ząb". Wychodził on bowiem z założenia, że lepiej jest rozstrzelać dziesięciu niewinnych, niż pozwolić zbiec choćby jednemu

winnemu. Pod koniec wojny *Czeka* przemianowano na Państwowy Zarząd Polityczny, powszechnie znany pod rosyjskim akronimem G.P.U. Kiedy w styczniu 1924 roku zmarł założyciel Partii Bolszewickiej i Państwa Sowieckiego, Włodzimierz Lenin, a zastąpił go Józef Stalin, Dzierżyński zachował swój urząd jako jego najbardziej oddany człowiek, prawa, a może lewa ręka. Pewnego mglistego marcowego poranka, na Łubiankę, niegdyś gmach towarzystwa ubezpieczeniowego, zadzwonił telefon. Dzierżyński podniósł słuchawkę i usłyszał znajomy, szorstki głos, mówiący z silnym gruzińskim akcentem. - Tu Stalin. Towarzyszu Dzierżyński, chcę się z wami zobaczyć w moim biurze o trzeciej po południu.

Wszedłszy do gabinetu Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Dzierżyński ujrzał potężnego *genseka,* siedzącego przy masywnym dębowym stole. Na ścianie, za biurkiem, wisiał duży portret Lenina, a w odległym rogu stało jego marmurowe popiersie. Wygląd Stalina cechowała skromność, by nie rzec, surowość. Miał na sobie uniform - zwykły, jasnobrązowy, zapinany na guziki aż po szyję, oraz spodnie tego samego koloru, wsunięte w buty z wysokimi cholewami. Jego ospowatą fizjonomię zdobił krzaczasty wąs oraz na wpół nieśmiały, na wpół zaś złowieszczy uśmiech, który odkrywał zęby pożółkłe od zbyt częstego palenia. Nie odpowiadając na pozdrowienie Dzierżyńskiego, Stalin od razu wybuchnął: - Ci skończeni idioci z Komisariatu Handlu Zagranicznego znowu mają trudności ze sprzedażą zagranicę naszych klejnotów, diamentów, biżuterii Faberg i starych ikon. Nasz przedstawiciel handlowy w Paryżu to ostatni imbecyl. Prawie nic nie sprzedał. Czy mamy go odwołać i ukarać za sabotowanie prób zdobycia twardej waluty?

- Może i imbecyl, w rzeczy samej, towarzyszu Stalin. Ale nie można zapominać, że te skur....., ci cholerni rosyjscy emigranci, z których wielu na gwałt potrzebuje gotówki, przelicytowują naszych agentów i sprzedają swoje kosztowności po śmiesznie niskich cenach.

- Czy nie mamy jakichś przedmiotów, których ci przeklęci emigranci nie mogliby przelicytować? Co proponujecie?

- W gruncie rzeczy, już od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie pewien pomysł związany z tą niezwykle ważną sprawą. Czy mogę wam go przedstawić, towarzyszu Generalny Sekretarzu?

- Ależ, jak najbardziej.

- Dlaczegóżby nie otworzyć grobów dynastii Romanowów? Tych sukinsynów chowano razem z całym kosztownym dobytkiem, jak egipskich faraonów. Niektóre z grobowców, zwłaszcza carów i ich żon, mogłyby okazać się małymi sklepami jubilerskimi.

- Cudowny pomysł, towarzyszu Dzierżyński! Cudowny pomysł! Natychmiast zabierajcie się do roboty. Pilnie potrzeba nam twardej gotówki na zakup amerykańskich urządzeń, niezbędnych do wybudowania tamy na Dnieprze.

Po dwóch tygodniach, Dzierżyński ponownie zjawił się w biurze Stalina na Kremlu, ażeby zameldować o swoich odkryciach. - Towarzyszu Generalny Sekretarzu, przeszukaliśmy wszystkie groby Romanowów. Znaleźliśmy kilka niezwykle cennych przedmiotów, zwłaszcza u kobiet. Dzięki ich diamento-

wym tiarom i wspaniałym naszyjnikom z łatwością zdobędziemy mnóstwo dolarów i funtów szterlingów. Co się tyczy mężczyzn, to oprócz pierścieni, nie znaleziono właściwie niczego poza wojskowymi odznaczeniami, które nadają się głównie do muzeów, ale nie przyniosą nam twardej waluty. Jeśli idzie o grób Aleksandra I, to spotkało nas wielkie rozczarowanie. Zastaliśmy pustą trumnę.

KONIEC